Sczytanie: Natalia Kłobukowska
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1917 (lipiec-październik)
Mateusz Rzymski
(Michał Römer)
18.VII. 1917
Obóz jeńców w Szczypiornie pod Kaliszem
Tom XXII

18 lipca, rok 1917, środa
Wczoraj wieczorem nastąpił nasz odjazd z pułku. Zaopatrzono nas z pułku na drogę dobrze. Wypłacono resztki różnych jakichś dodatków mięsnych i chlebowych, dalej wypadającą na każdego część dochodu z kantyny, wreszcie rozdzielono w naturze resztę zapasów kompanijnych, pochodzących jeszcze z czasów austriackich. Wypadło z tego u nas na każdego żołnierza po kilkanaście marek gotówki, po parę funtów chleba, po 40 albo i więcej sztuk papierosów, po dwie puszki konserw austriackich, po cztery kostki prawdziwej austriackiej smacznej kawy konserwowej, po świecy, po pudełku zapałek itp. Wszystkie te rzeczy, a zwłaszcza konserwy, kawa i najbardziej pieniądze – przydadzą się nam bardzo nie tylko na drogę, ale i w obozie koncentracyjnym, gdzie nie wiadomo, co nas czeka i gdzie w każdym razie z pewnością dostatku mieć nie będziemy. Rzeczy, to znaczy przedmiotów ekwipunku, nie odebrano nam w pułku. Oddaliśmy tylko broń, którą złożyliśmy w poniedziałek 16 lipca (karabin, bagnet, pas, ładownice, naboje ćwiczebne i przyrządy do czyszczenia broni) oraz przedmioty wyfasowane w Pomiechówku na czas pobytu, jak miski do jedzenia, koce, prześcieradła, ręczniki. Poza tym wiara, gotując się do wyjazdu i licząc się z ewentualnością rozmundurowania w obozie i wysłania do domu, sprzedawała i wymieniała na gorsze różne przedmioty ekwipunku, jak płaszcze, lepsze mundury i spodnie, owijaki itd. Na skutek tego koszary po obiedzie zamieniły się na jakąś halę targową. Galicjanie zostający w pułku korzystali z okazji, o ile mieli pieniądze i skupywali albo wymieniali za dopłatą swoje rzeczy na lepsze. Niektórzy wyzyskiwali naszą sytuację, ale na ogół nie brak było i dowodów szczerego koleżeństwa, niosącego bratnią pomoc w ciężkiej chwili: niejednemu, który był bez butów albo miał buty zniszczone, koledzy Galicjanie zostający w pułku zamieniali buty na lepsze, aby go wyekwipować na drogę i na nędzę czekającą w obozie. Ostatnie chwile w pułku upłynęły w nastroju serdecznym, osładzającym braterstwem i miłością gorycz rozstania. Z naszej I kompanii ogółem odeszło przeszło 40 Królewiaków. Z mojego kapralstwa z ogólnej liczby 20 Królewiaków odchodzących było 9 (ja, Capiga, Mieszkowski, Bruzda, Smyk, Kaliński, Miładowski, Karwowski i Kownas); z tej liczby dwóch zwiało ostatniego dnia – Bruzda i Karwowski, udając się gdzieś w strony płockie. Na ogół prąd ucieczki w ostatnich dniach był dość znaczny, ale charakteru masowego nie przybrał. Wiali przeważnie ci, którzy byli zwolennikami oporu i nie chcieli się godzić na dobrowolne złożenie broni. Gdy zwyciężył kierunek umiarkowany, kierunek lojalizmu względem rozkazów Piłsudskiego, żądających kategorycznie posłusznego poddania się wszelkim zarządzeniom Komendy Legionów w sprawie rozbrojenia i internowania, rzecznicy radykalnego kierunku, nie chcąc się poddać i nie widząc możności wykonania oporu w masie, a nie dostrzegając też żadnej idei w dobrowolnej biernej martyrologii zbiorowej, zaczęli się na własną rękę salwować ucieczką. Wiali do domu lub do Warszawy, gdzie kto mógł. Jedni robili to z tchórzostwa, inni – z konsekwencji swego

radykalizmu niezaakceptowanego przez masę. Największe rozmiary przyjęła ucieczka z XI kompanii (III baonu), najradykalniej usposobionej, i w kompanii karabinów maszynowych. Między innymi, z jednostek wybitniejszych zwiał sierżant Pączek, zwiał Dymidas, zwiał, zdaje się, Wądołkowski. Rzecznicy umiarkowania i bezwzględnego posłuszeństwa rozkazowi Piłsudskiego traktowali ucieczkę wrogo, jako objaw tchórzostwa i łamania solidarności, żądającej wspólnego ponoszenia konsekwencji. Co do mnie, nie potępiam tych, którzy uciekali. Rozumiem, że mogli oni aż nadto zwątpić w skuteczność wszelkich prób nowego łatania sprawy Legionów i zresztą w wartość sztucznego odgrzewania całego dzieła, które, zdaje się, w obecnych warunkach coraz dalej odbiega od zadań, wytwarzanych przez życie. Ogółem z całego pułku naszego odchodzi do obozu w Szczypiornie przeszło 400 ludzi, to znaczy wszyscy Królewiacy, ile ich w pułku jest, za wyłączeniem tych, co zbiegli. Wszyscy oficerowie-Królewiacy z pułku zgłosili życzenie, aby pozwolono im także dzielić los żołnierzy w Szczypiornie w charakterze pospolitych szeregowych. Pułkownik jednak w porozumieniu z Piłsudskim nie zgodził się na to; tylko kilku oficerów zostało wybranych do wyjazdu z żołnierzami do obozu; pojadą oni tam w charakterze sierżantów; będą faktycznie naszymi przełożonymi i zarazem doradcami masy żołnierskiej i przewodnikami dyrektyw Piłsudskiego. Do wyjazdu tego wyznaczeni zostali kapitan Zosik i kilku niższych szarżą, między nimi chorąży Szajewski. Co do reszty oficerów-Królewiaków ze wszystkich pułków, którzy odmówili przysięgi, to zarządzeniem Komendy Legionów zostają oni wszyscy na razie internowani w osobnym obozie oficerskim w Zegrzu Północnym. Na komendanta naszego transportu, odchodzącego do Szczypiornie, wyznaczono porucznika Młota-Parczyńskiego, który, jako Galicjanin, nie stracił charakteru żołnierza i zachował szablę. Odjeżdżamy bez żadnej eskorty. Przed godz. 8 wieczorem zarządzona została zbiórka dla całego Pomiechówka na placu ćwiczeń na błoniach. Odchodzący Królewiacy w pełnym rynsztunku, Galicjanie – osobno, bez rynsztunku. Zebrali się też wszyscy oficerowie. Deszcz ulewny z burzą zmącił nieco uroczystość pożegnania, ale nie obniżył głębokiego tonu, który panował w tej chwili pamiętnej, płynąc z serc zarówno tych, co odchodzili, jak tych, o zostawali. W I pułku nie było wśród nas żadnego cienia niezgody i rozdźwięku na gruncie sprawy, która nas dziś podzieliła, odrzucając Królewiaków precz do obozu jeńców. Wszyscy jak mur, jak jeden mąż są zgodni i solidarni bez wahania i chwiejności. Wszyscy jednako myślą. I pułk – to jak szlachta w Legionach; płynie w nim szlachetna błękitna krew idei i wierności dla sztandaru i hasła. Na pułku tym polegać można. Jest w nim głęboka karność i stateczna obowiązkowość wobec zadań sprawy. Nie jest on może skłonny do odruchowych nieobliczalnych wyskoków rewolucyjnych, bo w podstawie jego głębokiej ideowości jest nie mniej głęboka karność, posłuszeństwo i wiara do Piłsudskiego, ale za to na dane hasło porusza się sprawnie i tak harmonijnie, jak cudowne narzędzie. W ręku Piłsudskiego jest to wspaniały instrument ludzkiego ducha, pełny woli i doskonałej sprężystości czynu. Ileż to razy w tych ostatnich dniach podziwiałem tę cudowną harmonię i ten głęboki, a zawsze tak zwarty, tak równy i pełny ton, pełen taktu, wrażliwy i dźwięczny. Do zebranych dwóch batalionów z Pomiechówka, uszykowanych w dwa szyki – odchodzących i zostających – przyjechał pułkownik. Przemówił, pożegnał odchodzących, podniósł historyczne znaczenie czynu odmowy przysięgi i ponoszonych dziś konsekwencji, wyraził nam głęboką cześć za wytrwanie i zakończył okrzykiem „Niech żyje!" dla Piłsudskiego, powtórzonym przez żołnierzy i oficerów. Wzniesiono jeszcze okrzyków kilka i odmaszerowano. W drodze lał deszcz. Maszerowaliśmy na stację kolejową, do Modlina, odprowadzani przez kolegów-Galicjan i oficerów, śpiewając po drodze pieśni, same pieśni narodowe i strzeleckie. Nastrój był raczej poważny, ale pełny spokoju i poczucia spełnionego

obowiązku. Szliśmy na mękę i poniewierkę, ale z miną zwycięzcy, bośmy naszym czynem zwyciężyli w narodzie. W Modlinie stanęliśmy przy stacji. Wkrótce nadszedł z twierdzy Modlina II baon. Zaśpiewaliśmy „Rotę" Konopnickiej, stojąc z obnażonymi głowami. Kapelan nasz wygłosił gorącą przemowę, składając nam hołd bohaterstwa, spełnionego w odmowie nieprawej przysięgi. Szereg gorących okrzyków, którym końca nie było, towarzyszył nam do chwili odjazdu.

19 lipca, rok 1917, czwartek
Pociąg nam dano wygodny; wszystkie wagony – osobowe; lepszy od wielu innych, którymi nas dotąd wożono; wypadło na jeden przedział od 4 do 6 ludzi. Pociąg odszedł z Modlina o godz. 11 ½ w nocy, żegnany hucznymi okrzykami zostających Galicjan. W ich oczach urośliśmy na bohaterów, stając się męczennikami za ideę, ofiarami przemocy, która rozporządzając siłą (notabene zapożyczoną od obcych), nie rozporządza prawem, uznanym w naszym i narodu pojęciu i płynącym z woli narodu. Rola męczenników idei i przeto bohaterów zaczyna nam być zresztą przyznawana nie tylko w szeregach naszych kolegów, ale i szeroko w opinii narodowej. Z pewnością też w tym charakterze przejdzie ona do historii tych czasów. Że tak pojmuje nasze obecne stanowisko społeczeństwo, tego mieliśmy dowody już w drodze. Znamy odezwy warszawskie, namiętnie potępiające Radę Stanu za jej politykę, wyrażoną najjaskrawiej w sprawie przysięgi wojskowej i gorąco, z zapałem wznoszące okrzyk na cześć Legionów, które stawiły opór tej polityce. A cóż dopiero gdy się rozejdzie wieść o internowaniu nas w obozie jeńców! Nie tylko stronnictwa polityczne, zarówno lewicy, jak prawicy, witają i czczą w czynie naszym istotny wyraz narodowej woli i polityki. Samorzutnie z masy społeczeństwa biegnie ku nam uznanie, cześć i objawy gorącej sympatii. Czytaliśmy przed naszym odjazdem odezwę, wydaną w prowincjonalnym partykularzu w Zakroczymiu, wyrażającą hańbę Radzie Stanu, a nam najgłębsze, z serca narodowego płynące uznanie. W drodze, gdyśmy przejeżdżali koło Nowego Dworu, w szczerym polu jakaś gromadka cywilów oczekiwała w nocy naszego przejazdu, by przejeżdżających owacyjnymi okrzykami pożegnać. Tego samego doświadczyliśmy w Kaliszu, gdzie krótki nasz pobyt zamienił się w wielką zaimprowizowaną gorącą manifestację narodowych uczuć, zwróconą przeciwko zachłanności niemieckiej i jej poplecznikom w Radzie Stanu, a bratającą się entuzjastycznie z nami. Ten entuzjazm bezpośredni mas narodowych, towarzyszący nam w drodze do obozu jeńców, wpłynął nader dodatnio na żołnierzy: natchnął ich zapałem i mocą, jakich dawno nie doświadczali i podniósł wysoko poziom moralny i ideowy; nastrój, który ożywia dziś naszą masę żołnierską w obozie jeńców, jest, pomimo ewentualne uciążliwości naszego nowego stanu, bez żadnego porównania wyższy, niż był w pułku, w tej beznadziejnej, bezczynnej wegetacji, jaką tam do ostatnich czasów wiedliśmy. Jest poczucie zadowolenia, prawości i siły wytrwania, poczucie spełnionego czynu, który był obowiązkiem i uczciwą konsekwencją idei i przeszłości naszej. W tych warunkach to, co w naszym obecnym losie ma cechy męczeństwa, jest słodkie i wzniosłe, bo ma w naszym przekonaniu i sumieniu wartość celowej ofiary. Świadomość zaś, żeśmy z sumieniem narodu zgodni, krzepi żołnierza do większej mocy wytrwania na raz obranej drodze i służy za podnietę do uczuć, pełnych zapału. Żołnierz, który był w dużym stopniu zdemoralizowany, wyszlachetniał pod wpływem ostatnich wypadków. Nie jest to bynajmniej frazes lub wniosek rozumowy; jest to objaw, dający się stwierdzić wprost empirycznie.
Wracam do opisu naszej podróży. W przedziałce wagonu, w której siedziałem, miałem za towarzyszy: Smyka, Kalińskiego, Miładowskiego i Stecewicza. Przez Warszawę przejechaliśmy w nocy, nie budząc się; zdaje się, że pociąg nie stawał na żadnym z

dworców warszawskich. Nazajutrz rano, to znaczy już wczoraj, stanęliśmy na dłuższy postój w Koluszkach; tu wydano nam kawę na śniadanie i zarazem jakąś niezłą kaszkę z mięsem konserwowym, zaliczoną nam, jak się później okazało, za obiad. Poza tym, zastaliśmy dokoła stacji za drutami mnóstwo kobiet i dzieci, sprzedających nam różne artykuły żywności, jak chleb, masło, jaja, kiełbasę itd. Sprzedawano to ukradkiem, rozpraszając się za każdym ukazaniem żołnierzy niemieckich. Ale wiara zaopatrzona nieźle w gotówkę, zaprowiantowała się prawdziwie po królewsku, jak już dawno nawet w Pomiechówku się nie miała, zwłaszcza w pieczywo, które tu jest białe i z czystej mąki po cenie względnie możliwej. W dalszej drodze, w Zduńskiej Woli, w Sieradzu – takież tłumy sprzedających z produktami wiejskimi i jagodami. Wreszcie koło godz. 2 pociąg stanął w Kaliszu, gdzieśmy wysiedli, mając stąd przemaszerować ostatnich kilka kilometrów pieszo. W drodze z pociągu kilku żołnierzy zbiegło. Tym niemniej – zjawisko zaiste niezwykłe – ilość ogólna ludzi w transporcie nie tylko nie zmalała, ale się powiększyła; przybyło bowiem kilku śpieszących z urlopów; ci wcale jeszcze do przysięgi nie stawali, ale, dowiadując się o wysłaniu nas do obozu jeńców, śpieszyli tamże za nami, by dzielić nasz los, zaznaczając tym z góry swoją decyzję odmowy przysięgi i pogardę dla wszelkich prób w tym kierunku. Z dworca w Kaliszu, choć droga do Szczypiorna prowadziła w bok, Młot nas poprowadził wpierw do miasta. Chodziło mu o zobaczenie się z legionowym komendantem stacji w Kaliszu w służbowych sprawach transportu. Tymczasem to wkroczenie do Kalisza zaimprowizowało wielką gorącą manifestację zbratania się naszego z tłumem miejskim. Ten krótki pobyt w Kaliszu zostanie mi na zawsze pamiętny jako jedna z najpiękniejszych chwil w Legionach. Było to tym piękniejsze, że zupełnie niespodziane, szczere, płynące bezpośrednio z improwizacji. Wchodziliśmy do Kalisza z pieśnią na ustach. Już przy pierwszych domach miejskich zaczęły się gromadzić i towarzyszyć nam w marszu gromadki dzieci i wyrostków. Wkrótce i starsi przechodnie zaczęli stawać i przypatrywać się nam ciekawie. Ludność wiedziała, w jakim celu przychodzimy. Słyszano już tu o odmowie przysięgi i internowaniu Królewiaków w pobliskim Szczypiornie, dokąd już zresztą przed nami kilka transportów przyszło (z III i V pułków piechoty oraz z pomniejszych oddziałów, jak z Ostrowia, z obozu ćwiczebnego werbunkowców (w Zambrowie itd.), choć żaden z tych transportów nie zawadził o Kalisz, maszerując wprost z dworca na miejsce internowania. Ludność Kalisza, mająca szczególne powody do nienawiści względem Niemców, zarówno za zburzenie miasta przez wojsko niemieckie w pierwszych dniach wojny w r. 1914, jak z powodu grożących Kaliszowi apetytów niemieckich do urwania z Królestwa cząstki po Wartę pod pozorem strategicznego wyrównania granicy, ze szczególną sympatią traktowała nasz czyn jako zwrócony pośrednio przeciwko zachłanności niemieckiej i przeciwko organizowaniu Polski w ogonku interesu niemieckiego. Źle wyekwipowani, niejeden obdarty, zmęczeni podróżą, zakurzeni, obarczeni rynsztunkiem, bez broni, to znaczy nie tylko bez karabinów, ale i bez pasów i bez charakterystycznej dla żołnierza broni bocznej (bagnetu), szliśmy jednak z głową wysoko podniesioną jako ludzie, którzy spełnili swój prosty obowiązek wobec narodu i sprawy i z dumną pieśnią na ustach, tak dobrze dostosowanej do okoliczności: „O, cześć wam, panowie, magnaci, za naszą niewolę, kajdany!”. Maszerowali tak przez Kalisz, wśród ruin i zwalisk zniszczenia niemieckiego, legioniści, rycerze powstającej Polski, jej heroldowie czynu, by się udać do obozu jeńców, dokąd ich ręka polskiej Rady Stanu, garści polityków, tracących czucie z narodem, wtrąciła. Obraz był w tonie głęboki, pełny indywidualnego nastroju, obraz, który brał Kaliszan za serce.

20 lipca, rok 1917, piątek

Wracam do dnia pozawczorajszego i w szczególności do naszego pobytu w Kaliszu. Idąc przez miasto, mieliśmy sposobność podziwiać zniszczenia, dokonane przez Niemców w roku 1914. Zbombardowanie Kalisza, dokonane przez Niemców w odwet za jakiś strzał, który padł z okna na przechodzące wojsko niemieckie, było w swoim czasie głośnym wypadkiem, o którym mówiono w całej Polsce, w Rosji i za granicą. Faktem tym posługiwali się w Polsce moskalofile, a w całym świecie koalicyjnym wrogowie Niemców. Sądziłem wtedy, że fakt tej jest sztucznie rozdmuchany dla agitacji antyniemieckiej. Potem zwolennicy tzw. aktywizmu antyrosyjskiego, opierający się z konieczności na przymierzu z mocarstwami centralnymi, a również prasa, wychodząca pod cenzurą niemiecką, przedstawiała fakt zniszczenia Kalisza jako uszkodzenie tylko „jednej dzielnicy", jak mówiono. Tymczasem trzeba być w Kaliszu, aby dopiero poznać w całej grozie ten akt dzikiego wandalizmu. Ta „jedna dzielnica" ogarnia centralną część miasta i główną jego ulicę. Ulica ta jest dziś ulicą zwalisk, które wstrząsają zgrozą, gdy się uprzytomni zwłaszcza ową straszną chwilę przed trzema laty, kiedy to kwitnące miasto, już zabrane i wolne od nieprzyjaciela, niszczono aktem represji, bez bitwy, bez oporu. Dziś rumowiska te wyglądają nawet malowniczo i co najmniej oryginalnie; wśród żywego miasta, wśród normalnego ruchu przechodniów leżą po obu stronach ulicy zwały kamienia i cegły, nagie postrzępione mury lub ich odłamy i wyskoki, olbrzymie stosy rumowisk, porosłe przez trzy lata trawą i krzewami – widok dziwaczny i niezwykły. Rumowiska takie, jak w mieście dotkniętym trzęsieniem ziemi, ale już stare, porosłe, rozsypujące się wolno w gruzy, a wśród tego żywy ruch zamieszkałego miasta! Nie odbudowuje się jednak na rumowisku nic ani się usuwają gruzy. Maszerowaliśmy tak, otoczeni coraz gęstszym pochodem cywilnych mieszkańców Kalisza. Można pojąć szczególną nienawiść do Niemców, jaka się tu w zbombardowanym Kaliszu gnieździ. Śpiew nasz: „O, cześć wam, panowie, magnaci, za naszą niewolę, kajdany!" wymierzony był oczywiście do bezpośrednich sprawców naszej niewoli – do panów z Rady Stanu. Tym razem nie była to piosenka taka oto historyczna, ale literalna, odtwarzająca naszą rzeczywistość. Dla Kaliszan był to atut przeciw Niemcom; Rada Stanu spadła do rzędu atrybutu niemieckiego narzędzia nie wolności narodowej, ale zachłanności obcej. Z głównej ulicy zwalisk zeszliśmy na jakąś boczną ulicę, niezniszczoną, gdzie stanęliśmy wreszcie przed tym hotelem, którego szukał Parczyński. Rynsztunek nasz poukładaliśmy na chodniku i wzdłuż parkanu cmentarza kościelnego. Stojąc, z głowami obnażonymi, zaśpiewaliśmy „Rotę" Konopnickiej. Gęsty tłum publiczności gromadził się, słuchał, przyglądał nam stojąc również z głowami obnażonymi. Gdyśmy skończyli, zrobił się z obu stron ruch; żołnierze siadali na chodniku, kładli się, łączyli się z grupami cywilów, gawędzili, szli w boczne uliczki po chleb, po jagody itp. Zaśpiewano jeszcze kilka pieśni, wznoszono okrzyki, wtórowane przez publiczność. Kaliszanie, współczując nam serdecznie, wypytując, radząc, snuli jak mrówki wśród luźnych gromadek żołnierzy. Zaczęli też zaraz wyrażać nam swą życzliwość czynnie, traktując papierosami, zakupując dla nas chleb, bielutki, śliczny, smaczny, jakiegośmy od lutego od Zambrowa nie jedli, ofiarowując nam zapasy papierosów, chleba, masła nawet – do podziału na ogół. Produkty te dzielono u nas podług plutonów lub zabierano do podziału w Szczypiornie. Niektórzy zgłaszali się z ofiarami w gotówce, ale tych z naszej strony nie przyjmowano. Ksiądz ofiarował nam bieliznę do podziału, jaką miał przeznaczoną dla jeńców Moskali. Jakaś uboga kobiecina, nie mając innego do ofiarowania, a litując się nad nami, roznosiła z wnuczką swoją wodę w wiadrze z dwoma kubkami do picia, częstując nią spragnionych. Od Młota dowiedzieliśmy się, że Kalisz już z góry pomyślał o zorganizowaniu opieki materialnej nad nami; powstał Komitet Opieki nad Legionistami, internowanymi w Szczypiornie. Komitet ten gotów jest nam dostarczać

wszystkiego, co jest w życiu naszym najpotrzebniejsze, to znaczy zwłaszcza chleba, papierosów, książek i gazet oraz zaspakajać wszelkie nasze potrzeby; nie wiadomo tylko, czy i w jakim stopniu władze obozowe pozwolą na to; komitet jest pełny zapału i gorliwości i zapowiada, że gotów jest zaraz puścić w ruch trzy wiatraki, aby mełły dla nas mąkę na chleb. Licząc się z tym, że w Kaliszu i okolicach jest jeszcze względny dostatek i licząc na gorliwą pomoc komitetu, nie zabrakłoby nam tu niczego, gdybyśmy tylko nie byli ograniczeni niewolą w obozie i niemożnością komunikowania się ze światem zewnętrznym. Ale nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, jakie stosunki zastaniemy w Szczypiornie; wierzyliśmy, że spryt i pomysłowość legionisty, która może się stać prawdziwie przysłowiową, jego specjalny talent łazika – przezwycięży wszelkie przeszkody, uśpi lub podstępem złamie czujność każdej straży i potrafi znaleźć setki sposobów skomunikowania się ze światem zewnętrznym, przynajmniej o tyle, o ile potrzeba dla sprowadzenia sobie chleba. Dowiedzieliśmy się też od Młota w Kaliszu, że już poczynione zostały kroki w Szczypiornie dla zorganizowania naszego samorządu w obozie. Władze niemieckie obozu zgodziły się na nasz samorząd i zaakceptowały kapitana Olszynę (zdaje się – z pułku V) w roli komendanta wszystkich internowanych oddziałów legionowych. Kapitan Olszyna, jako poddany austriacki, nie był dotknięty sprawą przysięgi i pozostał oficerem w służbie rzeczywistej. Przyprowadził transport Królewiaków V pułku do Szczypiornie, a funkcję autonomicznego komendanta wszystkich internowanych legionistów przywłaszczył sobie sam na zasadzie układu z władzami obozowymi zawartego na własną rękę. Byliśmy tym ucieszeni, bo to zapowiadało nam znośniejsze warunki pobytu; jako jedną z realnych pierwszych zdobyczy tego samorządu było to, że Niemcy zgodzili się na oddanie nam do rąk kuchni, to znaczy, że z prowiantu, fasowanego w obozie, sami sobie gotować będziemy pożywienie. W dalszej konsekwencji świtała nadzieja, że przez Olszynę będziemy mogli komunikować się zarówno z kaliskim Komitetem Pomocy, jak z pułkiem, a stopniowo pozyszczemy możność i różnych ulepszeń w warunkach zaprowiantowania, ewentualnie kantynę, możność sprowadzania produktów z zewnątrz itp. Jedyne bezwzględne ograniczenie, które władze obozowe zastrzegły, to że nie będziemy mogli wychodzić z obozu. Przepustki są wykluczone, ale i pod tym względem była nadzieja, że się da to ograniczenie obejść pod płaszczykiem tzw. patroli kuchennych, które ewentualnie mają być przez władze obozowe dozwolone, a których zadaniem ma być zakup prowiantów w mieście i okolicach dla polepszenia kuchni. Po paru dniach te piękne nadzieje zaczęły jednak pryskać, zanim się zrealizowały. Dziś przyszła hiobowa dla nas wieść, że kapitan Olszyna odjeżdża, odwołany przez Komendę Legionów, a wraz z nim kończy się nasz samorząd w obozie ze wszystkimi jego perspektywami. Jak to będzie dalej – nie wiadomo. Władze obozowe miały telegrafować do Warszawy do „Abteilung fur Polnische Wehrmacht" z prośbą o instrukcje co do naszego samorządu, co do roli Olszyny i naszej pozycji w obozie. Odpowiedziano im, że samorządu być nie może, Olszynę zaś odwołano.

21 lipca, rok 1917, sobota
Cofam się do kolejności opisu wypadków (do dnia 18 lipca). Po postoju naszym w Kaliszu, który trwał koło dwóch godzin, wypełnionych gorącym, serdecznym brataniem się żołnierzy z ludnością, odmaszerowaliśmy do Szczypiorna. Zarówno tłum niższej ludności miejskiej z klas uboższych, jak eleganccy panowie i panie, a nade wszystko młode Kaliszanki – wszyscy w równym stopniu interesowali się i bratali z nami. Gdyśmy odchodzili, odprowadzały nas rzesze, towarzysząc nam w pochodzie. Żołnierze, rozweseleni, podochoceni powodzeniem, syci i obficie zaopatrzeni w chleb i papierosy – dwa główne artykuły pożądania – maszerowali ochoczo ze swawolną

żołnierską piosenką na ustach, bez troski i złej myśli, tak jak żeby szli nie do obozu jeńców na ciężką nieznaną poniewierkę, ale gdzieś z jednego miejsca postoju na inne. Piosenkom nie było końca. Wszystkie więcej i mniej znane wypływały z archiwów pamięci i płynęły przez usta żołnierzy, ku radości zwłaszcza malców i panien oraz młodzieńców z POW, maszerujących równolegle z nami. U wylotu Kalisza znalazł się fotograf miejscowy z aparatem prosząc Młota o pozwolenie dokonania zdjęć pamiątkowych. Jeden pluton po drugim stawał w marszu przed aparatem. Cały tuzin klisz upamiętnił ten przemarsz rozbrojonych i skazanych na internowanie legionistów przez Kalisz. Trzeba zaznaczyć, że tej manifestacji zbratania legionistów z ludnością Kalisza doświadczył wyłącznie jeden pułk I, bo on jeden wpadł na myśl wkroczenia do Kalisza po drodze do Szczypiorna. Gdyśmy, maszerując dalej, znaleźli się na poziomie dworca kolejowego, ujrzeliśmy z dala pociąg, pełny również legionistów. Wiedzieliśmy, że to jakiś nowy transport internowanych Królewiaków, zdążających do Szczypiorna. Jak się później okazało – byli to czwartacy. Powitaliśmy ich z dala wymachiwaniem czapkami i chusteczkami, na co nam oni z pociągu, przez okna, z ganków i dachów odpowiadali takąż sygnalizacją pozdrowień. Niemcy jednak, nauczeni doświadczeniem z naszym pułkiem (manifestacja kaliska nie przypadła im do smaku!), nie wysadzili już czwartaków w Kaliszu, lecz odwieźli ich bezpośrednio do Szczypiorna. Myśmy pomaszerowali dalej. O parę wiorst za Kaliszem usiedliśmy jeszcze w cieniu drzew dla wypoczynku. Znaczna część młodzieży kaliskiej towarzyszyła nam jeszcze (cząstka odprowadziła nas wytrwale aż do samego Szczypiorna). Żołnierze na wypoczynku znów się opychali chlebem, rozprawiali z publicznością, pili wodę w sąsiednich domach, których mieszkańcy wyszli przed próg z całym kramem dzieci, współczując nam serdecznie i patrząc na to widowisko żołnierza polskiego, pędzonego w Ojczyźnie do obozu jeńców za odmowę przysięgi na „braterstwo broni” z Niemcami, żołnierza narodowego bez narodowej władzy, żołnierza, który jak z własnej woli poszedł w pole świadczyć krwią o Wolności Polski, tak teraz, zachowując tej Wolności ideę, znalazł w sobie moc oparcia się usiłowaniom do zrobienia zeń narzędzia niewolnego budownictwa Polski. Humory dopisywały, wesele bez troski grało w sercach żołnierzy. W kupie, razem – nie bano się żadnych obozów. Nie śpieszyliśmy się w naszym marszu do Szczypiorna, aleśmy szli jak ludzie wolni, których przemoc i męczeństwo nie straszy i którzy eskorty i przymusu nie potrzebują, skoro się na przyjęcie konsekwencji zdecydowali. Niemcy w Szczypiornie nie mogli wyjść z podziwu, przyjmując do obozu tych osobliwych „jeńców”, którzy przychodzili oddziałami i pojedynczo sami, bez żadnej eskorty, na ochotnika, tak jak na ochotnika byli w szeregi Legionów wstąpili. W tej ochotniczości jest szczególne znamię wolnego ducha Legionów. Nie znoszą przymusu i nic z przymusu nie robią. Na ochotnika szli walczyć z Moskalami, na ochotnika idą do obozu jeńców, odmawiając nieprawej przysięgi. W ogóle Niemcy nie wiedzą, jak nas w obozie traktować. Nie jesteśmy w ścisłym znaczeniu jeńcami, jakimi są inni pensjonariusze obozu, jeno w pojęciu Niemców czymś w rodzaju zbuntowanego wojska, formalnie zaś, prawnie – jesteśmy właściwie zwykłymi prywatnymi krajowcami okupowanej Polski, którzy walczyli ochotniczo, nie zechcieli wstąpić do szeregów tworzącego się regularnego wojska i przeto, przechodząc do stanu cywila, są tu czasowo zalokowani, zanim technicznie załatwione zostanie ich rozesłanie do miejsc zamieszkania. Ale ten stan prawny, niezaprzeczalny nawet ze stanowiska Komendy Legionów, nie jest uzgodniony ze stanem faktycznym, wyrażającym się w internowaniu nas w obozie jeńców. Władze obozowe nie mogą się zorientować i są w prawdziwym kłopocie. Chcą one szczerze grać rolę neutralnych, wypełniających wobec nas tylko zlecenia odpowiednich władz naszych, nie traktując nas za właściwych pensjonariuszy obozu, oddanych całkowicie w

ich ręce. Ale nie wiedzą dobrze, jaka jest natura tych zleceń, a skądinąd muszą się liczyć z zasadami regulaminu obozowego. Na ogół niemieckie władze obozowe traktują nas możliwie jak najwzględniej i najuprzejmiej, usiłując utrzymać się w roli biernej. Nie otaczają one kwartałów, zajętych przez nasze koszary, swoją strażą zbrojną, wewnątrz całego obszaru, ogarniającego nasze kwartały, dają nam samorząd i swobodę ruchów, komunikują się z nami pośrednio przez naszych oficerów, których akceptują w roli naszych bezpośrednich przełożonych (mówię tu o oficerach, którzy przyjechali z nami, ale posiadają, jako Galicjanie, cechę oficerów rzeczywistych), itd. Tendencją Niemców jest utrzymanie się w roli nie sprawców naszego internowania i losu, jeno pośredników, oddających usługę czynnikom wojskowym i politycznym polskim, stanowiącym o naszym losie. Jedyną ich troską, poza bezpośrednimi zleceniami, jest zachowanie pewnych ogólnych zasad regulaminu obozowego, ograniczającego zewnętrznie naszą swobodę ruchów i nasz samorząd. Ilość internowanych legionistów wzrasta codziennie. Co dzień przybywają olbrzymie transporty po kilkaset ludzi. Przed nami przybyli tu żołnierze z pułku III i V, potem my, pułk IV, potem artyleria, różne drobniejsze oddziały, różne techniczne, telefoniczne, sztabowe i tym podobne formacje, dziś olbrzymi transport ułanów i drugi transport czwartaków itd. Tylko jedni biedacy z pułku III, najpierwsi, przyprowadzeni tu zostali w prawdziwym charakterze aresztowanych, reszta – przychodzi sama i zgłasza się do internowania, a co Niemców najbardziej dziwi, to że co dzień przybywają luźne grupki i pojedynczy żołnierze, wracający z urlopów i przepustek za marszrutami, zgłaszający się z wolnej stopy do obozu jako do przynależności swojej. Gdyśmy we środę przychodzili do Szczypiorna, widok obozu i skoncentrowanych dokoła oddziałów niemieckich podziałał jednak na żołnierzy przygnębiająco. Naraz ustały śpiewy, upadły podniecone humory i wiara w milczeniu szła dalej szosą wzdłuż drutów aż do wrót wstępu do obozu. Przygnębienie nasze udzieliło się też towarzyszącym nam Kaliszanom, którzy, zasępieni, umilkli i stopniowo odeszli. Wkroczyliśmy do obozu. Pociechą i rozproszeniem w tym zasępieniu było dla nas powitanie ze strony naszych kolegów, których już zastaliśmy w Szczypiornie. Tłumy ich cisnęły się do drutów w zajętych przez nich kwartałach i gromkimi okrzykami „Niech żyje pułk I!" gorąco, owacyjnie nas witały. Odpowiadaliśmy im stosownymi okrzykami.

22 lipca, rok 1917, niedziela

Szczypiorna (czy Szczypiorno) jest to miejscowość położona o kilka kilometrów za Kaliszem tuż nad samą granicą pruską naprzeciwko niemieckich pogranicznych Skalmierzyc. Założony tu obóz jeńców, istniejący, zdaje się, od początku wojny, położony jest częściowo na terytorium pruskim, częściowo na terytorium Królestwa Polskiego. Nazwę swą zapożycza od niemieckich Skalmierzyc, albowiem urzędowo zwie się „Obozem jeńców wojennych w Skalmierzycach" („Kriegsgefangenlager in Skalmierschutz"). Nazwy „obozu w Szczypiornie" w niemieckiej terminologii urzędowej nie nosi wcale. To, że my internowani jesteśmy rzekomo w „obozie w Szczypiornie", jest, jak się zdaje, pospolitym szwindelkiem Rady Stanu czy tam Komendy Legionów, maskujących obłudnie istotny stan rzeczy. Radzie Stanu i Komendzie Legionów chodziło naturalnie o zalokowanie nas w jakimś miejscu odosobnionym i odpowiednio strzeżonym, abyśmy nie mogli być niebezpieczni, bo, choć rozbrojeni, mogliśmy jeszcze burzyć się i jakimiś nieprzewidzianymi ruchami utrudniać i bez tego trudną dla niej sytuację. Najlepszą drogą do tego było internowanie nas w obozie jeńców pod ścisłą i mocną strażą niemiecką, przez co bylibyśmy całkowicie obezwładnieni i odcięci od niebezpiecznego w tych warunkach kontaktu zarówno z właściwymi pułkami Legionów, jak ze społeczeństwem. Za pozór do

zalokowania nas gdzieś w obozie koncentracyjnym służyło oczywiście to, że po odmowie przysięgi i rozbrojeniu podlegamy zwolnieniu z wojska i że internowanie nas będzie chwilowe tylko do czasu dostarczenia nam odzieży cywilnej, co wymaga pewnej zwłoki, zanim to się wykona. Przy tym Radzie Stanu chodziło o zyskanie na czasie dla przeczekania ostrego stadium kryzysu, aż się rzeczy wyklarują i aż się ostatecznie ustali jej własna decyzja co do dalszego jej postępowania. Rada Stanu bowiem sama, zdaje się, straciła głowę w tej zawierusze i piwie, które nawarzyła. Część jej elementów, ze Studnickim i Łapickim na czele, pcha ją dalej konsekwentnie po linii wytkniętej, część jednak, a bodaj większość, jest chwiejna, niezdecydowana i tchórzliwa, obawiająca się niepopularności i skandali i rada zawrócić z drogi, albo, jeżeli to niemożliwe, to przynajmniej wymyślić jakieś panaceum, mające pogodzić wszystkie sprzeczności i wyciągnąć sprawę z błędnego koła, w jakie się zaplątała. Jednym z takich panaceów jest, jak słychać, usiłowanie wytworzenia na miejscu Rady Stanu rządu narodowego, złożonego z trzech osób: marszałka Niemojowskiego, księcia Zdzisława Lubomirskiego i arcybiskupa Kakowskiego. Inne znów próby ratunku polegały na zwracaniu się drogami pośrednimi do Piłsudskiego z podsuwaniem mu propozycji zmiany formuły przysięgi, które spotkały się z odmową wręcz Piłsudskiego. Które metody zwyciężą – czy prosta bezwzględna linia Studnickiego i polityków ideologii LPP, czy jakieś połowicznie kompromisy i wątpliwe praktycznie panacea, czy też całkowita rezygnacja Rady i jej klapa – to trudno jeszcze zgadnąć. Ale Rada Stanu jest w takim rozgardiaszu, że musi zyskać na czasie, zanim zdefiniuje swoją decyzję i postanowi wyciągnąć z niej konkretną konsekwencję. Internowaniem nas zabezpiecza się od nas i jednocześnie otrzymuje pożądaną zwlokę; przez to samo ma nas jeszcze w zanadrzu, nie tracąc tak całkowicie, jak by straciła, zwalniając nas od razu do domów, i może sobie rezerwować zarówno próby ponownego nakłonienia nas do ustępstw, gdy będziemy należycie wygłodzeni i wymęczeni w obozie jeńców, jak ewentualnie odwołania nas nazad do pułków ze zwrotem broni, gdyby się znalazło jakieś wyjście, zawracające z drogi lub prowadzące sprawę na nowe tory. Wszystko to się osiąga przez internowanie nas w obozie pod niemiecką strażą, bo Rada Stanu, nie będąc rządem polskim, własnymi obozami nie rozporządza jeszcze. Pozór przyzwoity jest: czeka się na załatwienie sprawy odzieży cywilnej. Ale z drugiej strony Radzie Stanu i Komendzie Legionów, czującym się na swej drodze pozbawionymi moralnego poparcia i zaufania we własnym społeczeństwie, nie chodzi oczywiście o to, aby społeczeństwo to, sympatyzujące w ogromnej większości z nami, dowiedziało się o rzeczywistym fakcie internowania nas w niemieckim obozie dla jeńców wojennych. Byłoby to źródło nowego skandalu, kompromitującego Radę Stanu, nam zaś przysparzające aureoli męczeństwa. Tego Rada nie życzy. I oto w konszachcie z Niemcami znajduje taki obóz niemiecki, który jedną częścią zaczepia o terytorium Królestwa. Oznajmia się więc, jak to robią komunikaty Rady Stanu i Komendy Legionów, że my bynajmniej nie jesteśmy internowani w niemieckim obozie jeńców, jeno umieszczeni (skoncentrowani) na razie – w Polsce, mianowicie w Szczypiornie. Jest to fałsz i nędzna obłuda. Nas to już w żadnym razie nie oszuka, boć wiemy przecie, widzimy i doświadczamy, gdzie jesteśmy, a i przed społeczeństwem nie da się to ukryć. Jesteśmy w najprawdziwszym niemieckim obozie jeńców bez żadnych ogródek, w obozie, który zwie się „obozem w Skalmierzycach", choć cząstką sięga w Królestwo i na adresie pisze się wyraźnie „Kriegsgefangenenlager in Skalmierschutz. Deutschland. Wprawdzie kwartały, wyznaczone w obozie na nasze kwatery, są położone istotnie na terenie Królestwa i przeto mogą być przez Radę Stanu ochrzczone imieniem Szczypiorna. Nieszczęsna Rada Stanu! Mimo jej nikczemność i ubóstwo polityczne, dochodzące do podłości, aż mi jej żal! Jakże biednych chwytać się

musi środeczków, wykrętnych spekulacji i mistyfikacji, by ciągnąć nić swej nędznej i tak wątłej w narodzie polityki!
Otóż dopiero po wejściu do obozu „w Szczypiornie” przekonaliśmy się naocznie, gdzie nas wpędzono. Słyszeliśmy poprzednio, że to jest jakiś duży obóz koncentracyjny, że pensjonariusze są trzymani w ziemiankach itp. Sądziliśmy jednak, że to jakiś zapewne punkt czy tam obóz etapowy, w którym bywali rozmieszczani bądź jacyś ewakuowani z terenów wojny, bądź robotnicy, wysyłani z Królestwa do Niemiec, bądź nawet jeńcy przed rozsegregowaniem do właściwych obozów dla jeńców. Wszak i w Łomży służyły w różnym czasie za miejsce zakwaterowania i przymusowego przytułku dla różnych ewakuowanych i zbiegów. Mówiono nam w drodze i Kaliszu, że zastaniemy w obozie tym jeńców Moskali. Lekceważyliśmy to, sądząc, że jest ich tam trochę, ale tylko bądź przejściowo, bądź dla wykonywania różnych posług w obozie, jak to często gdzie indziej bywało. Rzeczywistość przekonała nas, że myliliśmy się. Obóz w Skalmierzycach, a więc i w Szczypiornie, jest specjalnym obozem właśnie dla jeńców wojennych. Pierwszych ujrzeliśmy tam Moskali. Kupy ich tam i gromady wałęsały się za drutami kolczastymi w przeznaczonych dla nich kwartale. Gdyśmy stanęli na chwilę naprzeciwko jednego z takich kwartałów, przyglądali się nam ciekawie, zagadywali, wypytywali. Legioniści nasi na ogół chętnie gawędzą z jeńcami Moskalami. Pomimo że się z nimi bili, czują do nich pewną sympatię, rodzaj pokrewieństwa i litość. Ale tym razem znalezienie się nasze z nimi na stopie prawie koleżeńskiej, jako współinternowanych, napawało nas uczuciem upokorzenia. Zaiste nie wspaniały to dla nas dorobek trzech lat wojny. Następnie ujrzeliśmy jeńców Francuzów.

23 lipca, rok 1917, poniedziałek
Dziś wieczorem rozeszła się wieść o aresztowaniu Piłsudskiego. Zdaje się, że ta wieść jest zupełnie ścisła i opiera się na gazetach, drukowana czarno na białym. Głuche pogłoski o tym krążyły u nas już od paru dni, ale jeszcze pewności nie mieliśmy; nie bardzo wierzono temu. Do wieści tej, która już się stała pewną, dodają, że podobno Piłsudski po aresztowaniu wywieziony został do Berlina. Oprócz tego, przyszły wiadomości o odwołaniu pułkownika Śmigłego z Legionów do c.k. armii austriackiej przez A.O.K. (Armee-Ober-Komando). Mówią, że Śmigły już pojechał. Podobno odwołani zostali z Legionów do armii austriackiej ci wszyscy wyżsi oficerowie – austriaccy poddani, którzy notorycznie sprzyjają aktowi odmowy przysięgi. Podobno między innymi odwołany został także brygadier pułkownik Roja, jeden z najgorętszych i najczynniejszych przeciwników przysięgi. Co do aresztowania Piłsudskiego, to przypuszczam, że formalnie stało się to bez porozumienia z Radą Stanu, jednak co do odwołania wyższych oficerów, to z całą pewnością Komenda Legionów, a przez to samo i Rada Stanu, której Komenda jest posłuszna, umaczała w tym ręce. A chociaż aresztowanie Piłsudskiego mogło być dokonane przez Niemców samodzielnie, to przecież Niemcy zdecydowali się na to z pewnością tylko na gruncie świadomości ogólnych wytycznych polityki Rady Stanu, wiedząc, że Rada Stanu nie tylko się za nim nie ujmie, ale jeszcze będzie zadowolona z tego jako z faktu leżącego na drodze jej linii działania. Fakty te oznaczałyby przesilenie się polityki Rady Stanu w kierunku bezwzględnej linii Studnickiego, prowadzącej do logicznego końca program, zapoczątkowany przez przysięgę. Widocznie Rada Stanu, w myśl tego, co w przemowie swojej do nas wyraził Januszajtis, że choćby w Legionach miałby pozostać jeden tylko żołnierz, który wytrwa wiernie w posłuszeństwie budowniczej działalności Rady Stanu i złoży przysięgę, to oni na tym jednym żołnierzu będą budować armię, nie ustając w wysiłku, realizującym cały ideał legionowego dzieła, zdecydowała się przed rozpoczęciem swej budowy wyrwać z Legionów wrzód z korzeniami i usunąć nie tylko

tych, którzy formalnie przeciwstawili się tej robocie, odmawiając przysięgi, ale i wszystkich tych, którzy, jak oficerowie – austriaccy poddani, osobiście i formalnie, jako nie obowiązani do przysięgi, nie przeciwstawili się, ale o których wiadomo, że są piłsudczykami i wrogami zasadniczymi programu „państwowotwórczego" i metody Rady Stanu. Rada Stanu wie dobrze, że jeżeli oni pozostaną w Legionach, to jeżeli nie dziś, to jutro, przy innej okazji przeciwstawią się oni jej robocie i mogą utrudnić, a ewentualnie nawet dzięki swoim wpływom w wojsku, udaremnić i zmarnować niejedno z tego, co ona z mozołem dokonać zdoła. Rozumowanie to jest niewątpliwie logiczne. Mogłoby ono oznaczać koniec chwiejności Rady Stanu. Na początek Rada Stanu próbuje pozbyć się wyższych oficerów, a może ograniczyć się do tego, licząc, że po złamaniu ich wpływów reszta da się podporządkować i poprowadzić posłusznie. Ze stanowiska linii politycznej, którą my reprezentujemy i której wyrazem była nasza odmowa przysięgi, fakty te są oczywiście bardzo ujemne, które, jeżeli jeszcze nie przesądzają o zwycięstwie kierunku Rady Stanu, to w każdym razie zdają się ostatecznie grzebać wszelkie szanse budowania wojska i elementów władzy państwowej po linii naszych metod i dążeń. Bo udaremnić tych faktów lub zareagować na nie nie mamy dziś żadnej możności. Było to możliwe jeszcze przed tygodniem, ale dziś – po złożeniu broni i internowaniu nas – szlus. W łeb wzięły spekulacyjne kombinacje Piłsudskiego o jakiejś intrydze politycznej wygrywania antagonizmów między Austrią i Niemcami, na czym rzekomo my byśmy coś zarobić mogli – jeżeli tylko prawdą jest, że Piłsudski żywił tak nędzne i niedołężne pomysły. Oczywiście, zamknięcie nas, rozbrojonych, w obozie jeńców znakomicie ułatwiło Radzie Stanu i Niemcom zarówno dokonanie aresztowania Piłsudskiego i usuwanie dziś wyższych oficerów-piłsudczyków, jak wykonywanie całego dalszego programu Rady Stanu. Byliśmy w Polsce bodaj jedynymi, którzy mogli podjąć zarzewie czynnego protestu przeciwko polityce i drogom, na które weszła Rada. Mieliśmy po temu moc wewnętrzną duch i siłę oparcia moralnego, a kto wie – może i fizycznego – w Narodzie. W moim przekonaniu, było to nie tylko prawem naszym, ale i obowiązkiem. Piłsudski zakazał nam tego. Odpowiedzialność spada na niego, bo żołnierz w naszych warunkach nie może być winiony za to, że całą wiarą i posłuszeństwem przywarł do niego i że tym razem także, choć to było wbrew jego historycznemu obowiązkowi, usłuchał jego rozkazu. Cóż z tego, że Piłsudski jest autorem tej linii politycznej, po której kroczymy, skoro nie zechciał czy nie zdołał linii tej poprzeć tymi środkami, którymi faktycznie mógł rozporządzać. To, co zostało dziś w Legionach, to znaczy Galicjanie (bo zaprzysiężonych Królewiaków z II i III pułków w rachubę brać nie można), nie jest w stanie reagować, po oddzieleniu nas od nich, po pierwsze dlatego, że samiśmy się na to oddzielenie i na bierne poddanie zgodzili, a po wtóre dlatego, że sami Galicjanie, jako bądź co bądź obcy poddani, nie mogą mieć w Królestwie tej powagi dla politycznej inicjatywy czynu, jaką mogliby mieć wespół z nami. Zwłaszcza gdyby wystąpili dziś, dając pozory rozdwojenia ich woli a woli naszej, skierowanej do bierności. Wrażenie tych wiadomości dzisiejszych było u nas wśród żołnierzy internowanych ogromne. Przygnębienie było wielkie i poczucie przegrania sprawy. Żałują teraz wszyscy żołnierze, że się dali rozbroić i posłusznie zainternować. Ich godność, ich sumienie i los własny przemawia. Poniewczasie! Przegraliśmy w tej kampanii, przynajmniej w znaczeniu czynu i pchnięciu sprawy po naszej linii. Dziś jedynym protestem, który by pozostał Galicjanom, byłoby chyba tylko rozbicie Legionów dla utrudnienia polityki Rady Stanu. W znaczeniu konstrukcyjnym jednak nie ma na razie nic do zrobienia. Przynajmniej nie widzę. Inna rzecz, że i Rada Stanu prawdopodobnie nie osiągnie nic, bo wdała się w politykę zbyt jaskrawie antynarodową. Niepopularną w początkach wojny była w Królestwie i akcja powstańczo-legionowa, ale ta, choć w mniejszości,

miała swój zaczyn entuzjazmu. Polityka Rady Stanu tego nie ma i jest niepopularna jeszcze bardziej. Wszakże pod jednym ewentualnie warunkiem Rada Stanu może wygrać kampanię: jeżeli uda się jej przeprowadzić pobór rekruta. Byłby to z jej strony krok bardzo ryzykowany i śmiały, wielkością i odwagą godny Wielopolskiego, który, gdyby się nie udał, pogrzebałby Radę Stanu i aktualnie, i w sądzie potomnych, ale gdyby się dokonał z powodzeniem, mógłby się stać jej zwycięstwem. Czy Rada Stanu na to pójdzie – zobaczymy.

Trudna i smutna jest sytuacja ogólna i nasze w niej stanowisko. A żal mi najbardziej tych, którzy pozostali w Legionach – naszych kolegów Galicjan. Biedni są oni! Znów staje przed nimi zagadnienie, co mają począć. Od takich zagadnień „ma prawo" – „bieleć włos". Co za nieszczęsny los tego żołnierza polskiego, legionisty, zmuszonego do tak trudnych i odpowiedzialnych politycznie postanowień! Dziś jednak trudniej, niż kiedykolwiek, im, Galicjanom, powziąć decyzję, gdy pozostali sami po odejściu naszym. Co oni poczną? Nie widzę żadnego logicznego wyjścia. Jestem tego przekonania, że przez dobrowolne poddanie się rozbrojeniu i dobrowolne odejście do obozu jeńców popełniliśmy straszliwy błąd, który będzie się ciężko mścić. Sami wleźliśmy w pułapkę i Galicjan wpędziliśmy w błędne koło bez wyjścia. W rzeczy samej: wleźliśmy sami do butelki, dając przeciwnikowi swobodę zakorkowania jej i zamknięcia nas bez żadnego wysiłku i dziś siedzimy nieużyteczni. Martwa dobrowolna martyrologia, bierne poddanie się męczeństwu nie przemawia do mego przekonania. Zaiste – nie dostrzegam bohaterstwa w tym, żeby się samym ustroić w wieniec cierniowy. Można być wysłanym na Sybir, można być męczonym i cierpieć, ale to wtedy jest wielkim, gdy męczennik jest ofiarą przemocy, gdy uległ gwałtowi, popełnionemu na nim. Ale dobrowolne poddanie się rozbrojeniu, dobrowolne internowanie się, dobrowolne przyjęcie męczeństwa – to co jest warte? Dowód to słabości, nie mocy, która jest istotą bohaterstwa. Bohaterstwo może być zawarte nawet w dobrowolnym poddaniu się męczeństwu, ale to dopiero wtedy, gdy jest ono co najmniej celowe, gdy się łączy z wiarą, jaką miał Chrystus, dający się ukrzyżować – że z męczeństwa tego wykwitnie coś zaiste płodnego dla sprawy. Ale myśmy szli i dali się umęczyć bez tej wiary. Zrobiliśmy to wbrew wierze i nawet wbrew sumieniu większości, na rozkaz Piłsudskiego. Niektórzy (w naszym pułku taki Zagłoba-Kamiński, Zowczak), którzy stali się rzecznikami tego rozkazu, byli istotnie święcie przekonani o tym, że rozkaz ten zawiera w sobie cel dostateczny; rozkaz ten stał się ich wiarą. Ci byli czyści i zapaleni przynajmniej szlachetną ofiarą, acz – obym był złym prorokiem! – chybioną. Ale większość tych, na których się oni oparli, powodowała się nie wiarą w celowość męczeństwa, jeno nadzieją, że tą drogą dostaną się najprędzej do cywila (nie do obozu jeńców, o nie!). Oni to przeforsowali sumienia tych, którzy wzdrygali się przed dobrowolnym rozbrojeniem i takim męczeństwem. Dziś oni cierpią zarówno jak my, ale cierpienie ich żadną nie jest uświęcone ideą.

Oto są smutne refleksje, które mi się dziś nasuwają w obozie jeńców.

Dla żołnierza rozbrojenie, złożenie broni jest rzeczą zawsze nieładną, rzeczą, która – plami. Musimy sobie powiedzieć: my jesteśmy tymi żołnierzami, nie którzy ulegli gwałtowi i którym broń z rąk przemocą odebrano, ale którzy ją złożyli sami, którzy się dobrowolnie biernie poddali rozbrojeniu, miast ją trzymać mocno i do ostatka spełnić swój czyn dla Ojczyzny, czyn, dla którego porwali się do broni. Gdy w r. 1831 generał Giełgud na Żmudzi wyprowadził żołnierzy za granicę pruską i wydał im rozkaz złożenia broni na ręce Prusaków, żołnierz z jego szeregów odpowiedział mu kulą, zadając mu śmierć jako zdrajcy. Akt ten żołnierze w sumieniu swoim zakwalifikowali jako zdradę popełnioną przez Giełguda. Nie wyciągam stąd aluzji do Piłsudskiego, bo wiem i czuję, jak ten wielki człowiek, ten świetlany rycerski duch został przez historię

trzech lat ostatnich strasznie doświadczony i wyzyskany, ale z pewnością i Giełgud w r. 1831 nie był świadomym zbrodniarzem. Wskazuję tylko, czym jest rozbrojenie dobrowolne w psychologii żołnierza, a zwłaszcza żołnierza ideowego, walczącego za wolność. I gdyby nawet przyszło nam wrócić do pułku, wrócilibyśmy z plamą poprzedniego złożenia broni. Żołnierz bronią nie frymarczy i ma ją dla czynu. Silnym i statecznym żołnierskim czynem była odmowa przysięgi, czynem prawdziwie mocnym i leżącym na drodze naszej ideowej służby sprawie, ale nie złożenie broni. A przeto Piłsudskiego i Giełguda różni jeszcze to, że Piłsudski, choć stracił busolę środków i czynu, nie stracił przecie linii, gdy Giełgud stracił wszystko.

24 lipca, rok 1917, wtorek
Wiadomość o odwołaniu Śmigłego do c.k. armii jako o fakcie dokonanym, okazała się przedwczesna. Dziś przyjechał z pułku jeden z oficerów, który, wyjeżdżając z pułku, nic o tym fakcie nie słyszał; mówiono tam jeno, że komendant Legionów pułkownik Zieliński zwrócił się o to z propozycją do austriackiej Armee-Ober-Komando. Natomiast aresztowanie Piłsudskiego i wraz z nim Sosnkowskiego jest faktem.
Zza kulis politycznych w sprawie naszej odmowy przysięgi i złożenia broni dochodzą wieści, że na wydanie przez Piłsudskiego rozkazu poddania się rozbrojeniu i dalszym konsekwencjom wpłynąć miały elementy Koła Międzypartyjnego, które nade wszystko uniknąć chciały jakiegokolwiek krwi rozlewu. Jak wiadomo, Piłsudski w obecnym stadium swej polityki jest w bliskim kontakcie z tymi elementami; wchodzą one bardzo poważnie w jego rachuby. Przejdę dziś do opisu naszego obozu jeńców oraz elementów i wypadków naszego życia. Obóz jeńców w Skalmierzycach, względnie w Szczypiornie, jest olbrzymi, obliczony na 30 000 ludzi. Zajmuje rozległą przestrzeń na równinie po obu stronach granicy prusko-polskiej. Miejscowość jest zupełnie płaska, na terenie obozu nie ma żadnych drzew; ułatwia to oczywiście czuwanie nad całością, daje większą przejrzystość terenu, utrudniającą ucieczkę. W nocy cały obóz oświetlony jest gęsto latarniami elektrycznymi; widno jest zupełnie. Latarnie, zawieszone na wysokich słupach, unoszą się nad obozem, oświetlając całość z góry. Obóz cały podzielony jest na wielkie kwartały, które przecinają obóz w poprzek; między kwartałami przebiegają wielkie szerokie drogi, jak szosy. Kwartały te są zamieszkałe przez jeńców. Poza tymi kwartałami są dzielnice, zajęte przez funkcjonariuszy obozu i władz obozowych, lokale wart i pogotowia, ogrody warzywne, pastwiska, wreszcie takie urządzenia, służące dla potrzeb całego obozu, jak piekarnia, zakłady kąpielowe i dezynfekcyjne, magazyny prowiantowe i intendenckie itd. Między dzielnicami, jak wzdłuż całego obozu przebiegają drogi. Wszystkie drogi mają linie proste i przecinają się pod kątem prostym. Wszystkie też kwartały mieszkalne jeńców i różne dzielnice specjalne mają symetryczne formy prostokątów. Dokoła cały obóz jest otoczony wysokimi podwójnymi ogrodzeniami z drutów kolczastych. Między tym podwójnym ogrodzeniem przechadzają się gęste warty niemieckie, oczywiście w pełnym uzbrojeniu; co kilkadziesiąt kroków budki dla posterunków. Takimiż podwójnymi względnie gdzieniegdzie pojedynczymi ogrodzeniami z drutów kolczastych obsadzone są brzegi dróg i otoczone wszystkie poszczególne dzielnice i kwartały. Każda dzielnica, każdy kwartał, każdy zakład i urządzenie, każdy wylot drogi – obsadzone są zbrojnymi posterunkami. Wewnątrz kwartały mieszkalne jeńców podzielone są takimiż ogrodzeniami z drutów na sekcje. Każdy kwartał ma swoje lokalne urządzenia, jak kuchnia, kantyny itp., sekcje zaś – swoje ustępy i umywalnie. Urządzenia kwartałowe i poszczególne sekcje są także obstawione zbrojnymi posterunkami niemieckimi. Każdy kwartał zabudowany jest symetrycznymi rzędami długich jednostajnych ziemianek, w których mieszkają jeńcy; każdy taki rząd, złożony z pięciu równoległych ziemianek,

stanowi jedną odrębną sekcję; sekcja taka, prócz rzędu ziemianek, zawiera jeden placyk przy drodze głównej u wejścia do sekcji (placyk kwadratowy o wymiarach mniej więcej 45 na 30 kroków wzdłuż i wszerz); przy placyku tym, dotykając drogi, mieści się umywalnia, którą jest szopa pod dachem, z ławami dla stawiania miednic, zlewem w podłodze cementowej i kranem z wodą oraz cementowym basenem pod kranem; drugi kran z basenem, służący do mycia menażek i misek, znajduje się na placyku koło wrót wyjściowych. Drugi takiż placyk, należący do sekcji, znajduje się z tyłu za rzędem ziemianek, z niego prowadzi przejście między drutami do wychodka, utrzymywanego przez Niemców bardzo starannie. Przez sekcję wzdłuż prowadzi droga, przechodzą od wrót wejściowych przez placyk wzdłuż frontu ziemianek i ginąca na tylnym placyku w wychodku; między rzędami drutów, dzielącymi sekcje, rowy; po obu stronach wszystkich większych dróg w obozie – również rowy; wreszcie w obrębie sekcji rowy między ziemiankami. Ziemianka od ziemianki w równym odstępie, tworzącym wąski długi (długości ziemianki) placyk, przecięty w środku wzdłuż rowem. Tak wygląda w ogólnym rysie obóz, kwartały i w kwartałach – sekcje. Ziemianki wszystkie są równe, wkopane są w ziemię na głębokość koło ½ metra; długość ziemianki wynosi koło 15 kroków, szerokość koło 25 kroków; ściany są z desek, sufit także z desek z rzadkim belkowaniem z mniej więcej 5-calowych okrąglaków, opartych na słupkach z takichże okrąglaków wzdłuż ścian. Ściany wzdłuż ziemianki są obłożone ziemią, na którą zewnątrz spadają skrzydła dachu pokrytego papką; ścianki poprzeczne są nieco wyżej nad poziom terenu obłożone ziemią. Ziemianka taka wewnątrz dzieli się rzadkim deskowym przepierzeniem na dwie połowy wzdłuż; każda połowa tworzy odrębną izbę czyli, jak u nas nazwano, barak. Do każdej połowy, czyli baraku prowadzą z frontu od drogi sekcyjnej drzwi; wchodzi się do środka po paru stopniach ubitej ziemi, umocnionej z kraju drzewem. Naprzeciwko drzwi na przeciwległej poprzecznej ścianie dwa okienka kwadratowe o czterech szybach każde. Przez środek baraku wzdłuż prowadzi korytarzyk bez żadnej podłogi, po obu zaś stronach – podniesienie z desek, lekko pochyłe w kierunku od ścianki do korytarzyka. Na podniesieniu tym, tworzącym rodzaj parterowej niskiej pryczy – posłania lokatorów; w środku baraku piec, do połowy murowany z cegły. Z pieca komin blaszany prowadzi ponad dach; piecu rodzaj kuchenki (plitki kuchenne, na których można coś ugotować lub zagrzać). Wzdłuż ścian półki. Stołów ani ław żadnych. W barakach tych mieści się u nas po 50 ludzi. Każdy ma siennik, bardzo słabo wypchany drobnymi wiórami, czyli słomą drzewną; oprócz tego, każdy dostał po kocu; co do tych koców, to trzeba podziwiać gospodarną pomysłowość i praktyczność Niemców, która we wszystkich sferach życia podczas tej wojny zastępuje braki równymi wymyślonymi „erzatzami”. Żeby zaoszczędzić materiału na koce i podnieść ich wydajność ciepła, a raczej ich wartość ochronną od zimna, są one tak sporządzone: zszyte są dwie płachty kolorowego o jaskrawych barwach barchanu, pomiędzy którymi jest płachta ze zszytych gazet papierowych; papier, jak wiadomo, doskonale chroni od zimna, bo nie przepuszcza powietrza z zewnątrz. Każdemu też wydano miskę do jedzenia i na barak po kilka miednic. Oto i wszystko. Dziś zaprowadzono nas do kąpieli. Ostrzyżono tam każdemu maszynką włosy głowie, na organach płciowych i pod pachami jako środek przeciwko wszom; rzeczy wszystkie dezynfekowano. Oprócz ostrzyżenia wysmarowano okolice członka i jaj oraz dupę jakimś rozczynem siarki, od którego wszy wypełzają. To się robi po to, aby zniszczyć ewentualne gnidy. Strzygli nas i szorowali jeńcy Moskale.

25 lipca, rok 1917, środa
Są pogłoski, że rychło mamy być stąd wypuszczeni, otrzymując pozwolenie na wyjazd do swoich stałych miejsc zamieszkania. Podobno Rada Stanu zdecydowała się już na to

i podobno przyszły już tu do władz obozowych niemieckich odpowiednie zarządzenia. Mówią, że mamy nie wprost stąd jechać do domu, ale jeszcze wpierw być odesłani do Warszawy, gdzie ci, co zechcą pozostać w wojsku (a więc chyba złożyć przysięgę), będą mogli pozostać, reszta zaś, po formalnym zwolnieniu, odesłana do penatów domowych. Sporządzano dziś po barakach spisy żołnierzy z wyszczególnieniem miejsca urodzenia, miejsca zamieszkania przed wstąpieniem do wojska, wykształcenia, zawodu cywilnego itd. Czy to puszczenie na wolność do domów będzie do mnie osobiście zastosowane, w to, niestety, mocno wątpię. Gdyby można było, pragnąłbym się dostać wprost do Bohdaniszek i tam osiąść spokojnie na dalszy czas wojny, ale czy Niemcy, a zwłaszcza wojskowe i polityczne władze Ober-Ostu, pozwolą mi na to – wątpię. Władze te są w ogóle bardzo nieufne i z wielką trudnością udzielają pozwoleń nie tylko na stały powrót, ale i na wjazd do Litwy, szczególnie gdy się dowiedzą o moim charakterze legionisty, który odmówił złożenia przysięgi, i to jeszcze do Bohdaniszek, pod linię dyneburskiego odcinka frontu. Władze Ober-Ostu są zupełnie niezależne od władz okupacyjnych Królestwa i rządzą się zupełnie samodzielnie i autokratycznie na terenie Litwy nieszczęsnej: kierują się swymi własnymi względami wojennymi i politycznymi, a nic ich nie obchodzą względy jakichś jednostek ani takie sprawy, jak zwolnienie żołnierzy z Legionów z prawem powrotu do domu. Do Wilna także jeszcze mniej bodaj szans się dostać, niż do Bohdaniszek, a zresztą w Wilnie chyba bym jadł ziemię w obecnych warunkach albo był ciężarem dla Maryńki. Co się ze mną stanie, jeżeli mnie nie puszczą do Bohdaniszek – nie mam pojęcia. Zapowiedziane było, że zwolnionym żołnierzom, których miejsce zamieszkania względnie rodzina jest za kordonem, będzie wyznaczone jakieś osobne miejsce pobytu. Gdzie – nie wiadomo. Ewentualnie i ja bym się mógł znaleźć w tym położeniu. W takim wypadku starałbym się o puszczenie mię bądź do Warszawy, bądź na wieś do panny Elwiry O'Rourke w obwodzie dąbrowskim na okupacji austriackiej. Wśród naszych żołnierzy wieści o prędkim wypuszczeniu do domu budzą otuchę i wpływają na lepszy humor. Prawie wszyscy tego tylko pragną.
Gdyby nawet prawdą się okazało to, że nas prędko stąd puszczą, to przecież potwornym jest fakt choćby tego krótkiego tylko internowania nas w niemieckim obozie jeńców. Wstępując do Legionów, mogliśmy się wielu najrozmaitszych rzeczy spodziewać: śmierci od kuli lub bagnetu, kalectwa na wojnie, stryczka na szubienicy moskiewskiej, wygnania, Sybiru, ewentualnie emigracji z kraju po wojnie na zawsze, gdyby losy wojny nie spełniły naszych ideałów, wreszcie w ostatnich czasach mogliśmy się spodziewać jakiegoś ostrego konfliktu z Niemcami i represji z ich strony. Tego jednak, żeby żołnierze Legionów Polskich stali się pierwszą ofiarą ucisku politycznego w powstającej Polsce, żeby ich pierwsza instytucja państwowa polska miała uznać za szkodliwych wrogów ojczyzny i wtrącić do… niemieckiego obozu jeńców, bez względu na to, ile czasu i pod jakim pretekstem mogą być tam trzymani – tego zaiste nikt chyba w najśmielszej wyobraźni spodziewać się nie mógł. Ci żołnierze Legionów, którzy krwawym czynem tworzyli wolność Polski, którzy ofiarą krwi, znojów i męki moralnej wśród ciągłych zawodów świadczyli o sprawie, gdy jeszcze większość obecnych radców stanu spała snem niewoli lub tchórzliwie wyczekiwała, kto będzie zwycięzcą i z czyich rąk łaski upatrywać należy, ci są dziś przez własnych rodaków, przez tych, co się mianują „budowniczymi" Polski, sponiewierani i umęczeni. Jest w tym fakcie ohyda, którą trudno wyrazić. Przysięga! Przez kogoż jest ona od tych żołnierzy żądana! I jakim prawem od tego żołnierza, który nie słowem, lecz czynem i krwią przysięgał wiarę Ojczyźnie, on, jej kochanek najwierniejszy i jej rycerz złotego rogu pobudki, jakim prawem od niego nie tylko się dziś żąda przysięgi na kredyt, bo taką jest ta przysięga, ale jeszcze za odmowę, nie ograniczając się odsądzeniem od wojska, prześladuje się i

męczy i ogłasza za akt niewierności Ojczyźnie! Żołnierzom Legionów, którzy własnym czynem kształcili polityczny kierunek sprawy polskiej wobec wojny, przysługuje, choćby w sferze moralnej, gdyby nawet to kolidowało ze sferą zasad prawno-państwowych, prawo wolnego decydowania o tym, czy obecna przysięga w tych warunkach, w jakich została postawiona, służy przez nich rozpoczętemu dziełu, czy nie. I Rada Stanu, gdyby nawet sama była innego zdania, powinna była co najmniej się liczyć z tym szczególnym moralnym czynnikiem, obowiązującym dziś jeszcze w Polsce względem Legionów. A tym bardziej, że w tym wypadku kolizji z zasadą prawno-państwową nie ma, bo Polska dotychczas państwowo skonstytuowana nie jest. A wreszcie – bez żadnych innych długich względów – jest po prostu jedna elementarna rzecz, gdyby się nawet odrzuciło wszystko, co w szczególności stanowisko legionistów w Polsce wyróżnia: jesteśmy ochotnikami w walce o wolność Polski; jeżeli obecnie ma się tworzyć regularna państwowa armia, wolno nam do niej wstąpić lub nie, bo nasz właściwy poprzedni czyn się kończy, a ten, co powstaje, należy już do odrębnej kategorii funkcji; wprawdzie ta nowa powstająca funkcja, funkcja państwowa – armia narodowa polska – wypływa logicznie z naszego poprzedniego czynu jako jego uwieńczenie, jako to, do czegośmy dążyli i co było tęsknotą dzieła Legionów, jednak jest ona rodzajowo czymś odrębnym, czymś, co jest osobną kategorią; jeżeli uważam, że ta nowa funkcja, ta armia narodowa, organizuje się w warunkach i na zasadach takich, które, podług naszego przekonania, nie gwarantuje jej spełnienia (spełnienia istotnie narodowej armii, służącej za podwalinę niepodległej budowy państwa), wolno nam usunąć się od udziału w tym dziele; nie przestaliśmy bowiem dotąd być ochotnikami; w takim razie wracamy po prostu do stanu powszechnej ludności kraju, czyli przechodzimy w stan cywila i na tym koniec. Jak od ogółu ludności krajowej nie żąda się przysięgi, dopóki państwo nie zostało zorganizowane, tak nie wolno jej wymagać od nas, a tym mniej wolno stosować do nas za to represje i internować w obozie jeńców. Rozkazem rozbrojenia i internowania w Szczypiornie Rada Stanu zadała cios – sobie i swemu dziełu. Nie pomoże to, że na słowach Rada Stanu rzekomo uznaje stanowisko naszej swobody przysięgi, skoro fakty, dotyczące sprawy przysięgi i jej konsekwencji, są diametralnie przeciwne tym słowom. Gdyby Rada Stanu, decydując się na przystąpienie do tworzenia armii i zaprzysiężenie wojska, rzekła do nas tak: Oto doszliśmy do przekonania, że dłużej zwlekać niepodobna i że choć nienormalne są warunki, w jakich ta armia się tworzy, jednak za niebezpieczniejszą od tej próby uważamy próżnię, która przy dłuższym trwaniu grozi pogrzebaniem całej sprawy; dlatego idziemy i biorąc za podwalinę tego poczynania przysięgę, wzywamy do jej złożenia tych żołnierzy-legionistów, którzy chcą wejść na tę drogę z nami i wziąć udział w dziele; gdyby tak się odezwała do nas, czy to motywując swoje postanowienie, czy nie, może by tak samo tylko mała garstka poszła za nią, a może stopniowo poszłaby i większa, która się na razie zawahała, ale zbrodni i złej wiary zarzucić by się jej nie dało. W podobny sposób, ale niezupełnie wyraźnie, przemówił do nas w Modlinie z ramienia Rady Stanu Grendyszyński i w podobny sposób brzmią niektóre oświadczenia Rady Stanu. Tymczasem fakty i postępowanie przeczą temu, a najjaskrawiej przeczy wtrącenie nas do obozu jeńców i internowanie; nic nie pomogą słowa, które brzmią pozornie inaczej. Wolno było Radzie wejść na tory niepopularnej polityki, gdy takie było jej przekonanie; historia by osądziła, czy by to był błąd czy nie, ale potępienia na uczciwość obywatelską tych ludzi by nie wydała. Przysięga taka, jaką Rada Stanu nam zaproponowała, opierała się na kredycie zaufania tak do samej Rady Stanu, jak do warunków, w jakich armia ma być tworzona. Punkt ciężkości leży nie w tekście, nie w rocie przysięgi, lecz w tym zaufaniu. W listopadzie roku 1916, nawet przed powstaniem Rady Stanu, przysięglibyśmy na tę rotę; przysięglibyśmy i w styczniu zaraz po

ukonstytuowaniu się Rady Stanu, i jeszcze w kwietniu. Dziś nie przysięglibyśmy nie tyle dla brzmienia roty, ile dlatego, że nie posiadamy wiary, aby tworzenie wojska przez tę Radę Stanu i w tych warunkach politycznych służyło budowie niepodległości i wolności Polski. Gdyby ta wiara była, tekst byłby uszedł. Bez tej wiary tekst przysięgi stawał się wadliwym i uwydatniały się wszystkie jego braki, służące w obecnych warunkach w naszym przekonaniu do ujarzmienia sprawy polskiej w kierunku przeciwnym ideałowi legionowego dzieła.

26 lipca, rok 1917, czwartek
Z gazet, które przyniesione zostały do nas wczoraj i dziś (bardzo skąpo są one do nas przemycane), dowiedzieliśmy się o nowych ciekawych i wybitnych wypadkach na terenie wojny. Niech mi z tego powodu wolno będzie zrobić małą dygresję od naszych aktualnych spraw obozie jeńców. Zresztą dobrze czasem jest odetchnąć świeżym powietrzem wielkich wypadków, odbiegających daleko od spraw osobistych. Otóż na froncie wschodnim zachodzą znów wielkie epiczne wypadki wojny, zrywające z rutyną szarzyzny, jaka się od dłuższego czasu utarła, zasklepiając prawie beznadziejnie wojnę w mozolnej walce okopowej, mierzącej ruchy zaczepne nie na przestrzenie, lecz na metry, jak się mierzy sukno w sklepie galanteryjnym. Niezbyt dawno temu, jak, zdaje się, w dzienniku zanotowałem, Rosjanie złudzeni pozorami zastoju operacyjnego ze strony Niemiec i Austrii, uderzyli ofensywą, tzn. ofensywą Kiereńskiego, mierząc ją na front galicyjski w okolice zwłaszcza Brzeżan. Odnieśli na razie pewne sukcesy i posunęli się gdzieniegdzie naprzód. Mogło się zdawać, że pójdą na Stryj, że zdobędą powtórnie upragniony Lwów, a co dla mocarstw centralnych najstraszniejsze – zagrożą okręgowi naftowemu w Borysławiu. Austriacy pod naporem rosyjskim zachwiali się i zaczęli łamać. Ale oto wkrótce popłynęła tam fala niemiecka, ta wspaniała i mocna, jak zawsze, i Moskali wstrzymała. Z wielką pompą, z wielkim trąbieniem w surmy i biciem w bębny na całą Europę, rozpoczęła Rosja rewolucyjna swą dawno zapowiadaną ofensywę. Wśród depesz gratulacyjnych, przebiegających między Petersburgiem a stolicami koalicji, wśród uroczystych świetnych obchodów zwycięstw i powinszowań, symbolicznych darów i manifestacji dla wojska rozpoczynała Rosja swe postępy. Musiała rychło umilknąć. Aż oto lwią iście mocą uderzyli na nią Niemcy. Nie tylko że jej ofensywę złamali, ale poszli naprzód sami. Już przed kilku dniami depesze i komunikaty niemieckie zwiastowały przejście do kontrofensywy i odpływ Rosjan z zajętych przez nich nowych stanowisk. Aż oto już we wczorajszej gazecie przeczytaliśmy o wielkim ciosie w całej jego pełni. Front rosyjski przełamany, Moskale w pełnym odwrocie na Tarnopol, to znaczy aż het nad Seret, drgnął już odcinek brzeżański. Dziś – jeszcze więcej. Zdobyty Tarnopol, Buczacz, Stanisławów, Moskale wypędzeni z Nadwórny. Wojska zwycięskie są już po drugiej stronie Seretu, Moskale w gwałtownej, jak dzika rozpętana lawina, ucieczce, front więc cofa się szybko już po obu stronach Dniestru, drgnął i zwija się rosyjski front w Karpatach. Wielka i tak wspaniale rzucona ofensywa niemiecka zdaje się mówić Rosjanom: myśmy uszanowali wasz odruch twórczy do wolności, uznali dzieło waszej rewolucji i czekali odeń inicjatywy pokoju; z rezerwą umyślną nie tykaliśmy was; daliśmy wam milczący układ zawieszenia operacji na froncie wschodnim; wyście ten układ złamali, uderzyliście na nas – macie teraz! Co będzie dalej? Gdzie się oprą Niemcy? Czy nie drgnie fala aż ku południowi, gdzie wielki Mackensen stoi w Rumunii nad drugim Seretem? Czy ograniczą się Niemcy wypędzeniem Moskali z Galicji Wschodniej i Bukowiny, czy też przerzucą ofensywę na ziemie rosyjskiej Ukrainy w głąb? Ofensywa już ma wspaniałe sukcesy w tych kilku dniach. Zdobyty Tarnopol, który od jesieni roku 1914 był w ciągłym posiadaniu rosyjskim. Jakżebym pragnął, żeby ta ofensywa spełniła wreszcie

linię Dniepru i Berezyny! Pomimo wszelkie polityczne zmiany orientacji, związane z rewolucją rosyjską, gorąco sprzyjam militarnemu zwycięstwu mocarstw centralnych nad Rosją co najmniej do linii Dniepru, odcinającej faktycznie od Rosji kraje Ukrainy, Litwy i Białej Rusi, ewentualnie całej Łotwy i Estonii. *Primo* – będzie to atut umiędzynarodowiający zagadnienia odnośnych egoistycznych kupieckich interesów Anglii. Zwycięstwo wojskowe Niemiec nie grozi ich dyktaturą światu i nie sprowadzi tego „pokoju niemieckiego", o którym marzą junkry pruskie i nacjonal-liberali, ale zaledwie zrównoważy ich polityczną i gospodarczą słabość, która na tych polach równa się ich porażce. A wreszcie jest pewien moralny wzgląd, który, przynajmniej do mojego sumienia, przemawia: Niemcom należy się zwycięstwo. Za ich wielkość, za ich wolę i hart, za ich wspaniały, potężny w tej wojnie wysiłek, równy i nieustający, a tak bohaterski i wielki, że przekracza pojęcie granic możności ludzkiej. Czy podobna pomyśleć bez draśnięcia poczucia sprawiedliwości i zmysłu miary uczynków ludzkich, żeby wielkie Mackenseny nie były zwycięskie!
Do naszego obozu jeńców przyszły już duże transporty świeżych jeńców rosyjskich spod Tarnopola. Zdrowe chłopy rosyjskie dopiero się tu poczują, gdy dostaną na dzień po 1/6 niedużego bochenka chleba, a na obiad „zupkę" z trawy siekanej z łuską kartoflaną!
Dziś przyszły nowe wieści o losie naszym. Wpierw oznajmił nam o tym przez naszych podoficerów major niemiecki, komendant główny obozu. Zawiadomił, że już od 23 lipca zostaliśmy z wojska zwolnieni i za kilka dni, koło 1 sierpnia, zostaniemy puszczeni do domów; żołd za ostatnią dekadę lipca będzie nam wypłacony. Zaczęto już nam odbierać rzeczy fasowane, na razie tylko mniej potrzebne, które zostaną do pułku odesłane, jak pasy, koce itd. Menażki, manierki, plecaki, chlebaki i cały ubiór wraz z bielizną i butami na razie zostawiony. Co do butów, to jednak podobno zostaną one wkrótce odebrane i tymczasem, o ile kto nie posiada własnych, chodzić będziemy, jak większość jeńców Moskali, Francuzów i innych, w trzewikach drewnianych. Gazety i delegacja z mieszanego komitetu z członków Rady Stanu i Rady Głównej Opiekuńczej, która zawitała do nas po obiedzie w osobach pp. księdza Sztobryna, Kasperowicza i jeszcze kogoś, dostarczyły nam nowych dokładniejszych o naszym losie wyjaśnień. Rada Stanu zajęła wobec nas stanowisko, że po zwolnieniu nas z wojska jesteśmy wolni i możemy wracać swobodnie do domów. Jednak okupacyjne władze niemieckie żądają w stosunku do każdego zwolnionego gwarancji, że na miejscu, dokąd wyjedzie, będzie miał środki utrzymania i nie stanie się ciężarem dla gminy oraz elementem dzikim, który, nic nie mając do stracenia, może się rzucić na wszelkie warcholstwo, awanturnictwo, nawet bandytyzm. Dlatego każdy musi się wylegitymować co do środków utrzymania. Rodziny powinny złożyć deklaracje, zobowiązujące się do utrzymania danego ex-legionisty przez czas wojny. Sprawę zorganizowania całej tej procedury, by rychlej ją doprowadzić do końca, przekazała Rada Stanu Radzie Głównej Opiekuńczej, która ją poleciła Komitetowi Opieki nad Jeńcami. Komitet ten będzie pośredniczyć między internowanymi legionistami a ich rodzinami oraz władzami w sprawie owych żądanych deklaracji, a także ubrań cywilnych itd. Poza tym, dla niesienia doraźnej pomocy internowanym utworzony został Centralny Komitet Pomocy, do którego weszli ludzie tak z Rady Stanu, jak z Rady Głównej Opiekuńczej. Komitet ten w pierwszym rzędzie wszedł w porozumienie z takimże komitetem kaliskim. Dziś przyjeżdżali do nas delegaci tego komitetu. Przywieźli ze sobą kilka worków chleba; mamy z tego źródła dostawać co dzień pewien zasiłek chleba, zarówno jak kaszę, kartofle itp. do kuchni. Panowie z komitetu mieli oświadczyć, że ci, którzy pochodzą z Ober-Ostu (z Litwy), nie będą mieli możności powrotu do rodzin. W tej właśnie pozycji jestem ja. Nimi, jak w ogóle wszystkimi, którzy nie mają rodzin lub nie mogą się

wylegitymować ze środków utrzymania, zaopiekuje się Rada Główna Opiekuńcza, która ma się wystarać dla nich o posady i pracę zarobkową. Tak się zarysowują nasze dalsze losy i los mój własny. Jutro zamierzam napisać przez Komitet Opieki nad jeńcami do księcia Eustachego Sapiehy w Warszawie, prezesa R.G.O., z prośbą o udzieleni jakiejś posady w instytucjach tejże Rady. Zawsze się przecież jakoś nie zginie.
Potwierdza się znowu wieść o odwołaniu pułkownika Śmigłego z Legionów. Podobno na jego miejscu objął już dowództwo I pułku piechoty Mężyński. Nie ręczę jeszcze za ścisłość.
Szkoda, że mi tak mało zostaje co dzień miejsca na opis stosunków w obozie oraz własnego naszego życia. Są to przecież rzeczy ciekawe, o których dużo bym chciał i miał do napisania. Postaram się to zrobić w dniach najbliższych, o ile to zrobić zdążę. Na razie wspomnę, ponieważ miejsca mało, o jeńcach wojennych różnych narodowości, jacy tu są. Przeważają oczywiście Moskale, których jest jak szarańczy. Poza tym, są tu Rumuni, Belgowie, Anglicy, Francuzi wraz z malowniczymi przedstawicielami ich egzotycznych różnokolorowych wojsk kolonialnych. Moskale i Rumuni są, jak się należało spodziewać, pariasami w tym świecie niewolniczym. Tylko że Rumunów jest niewielu, Moskali – tysiące i tysiące. Pełno ich wszędzie. Używani są do wszystkich robót, a zwłaszcza do najpospolitszych. Francuzów widziałem używanych tylko do robót ogrodowych. Moskale dźwigają wszystko, pracują w robotach ziemnych, mularskich, ładowaniu i rozładowywaniu, czyszczeniu itd. Obdarci są i wynędzniali, aż żal się patrzyć. Są wiecznie głodni, bo żywieni są strasznie i strawa, którą nieraz dostają, zdałaby się chyba dla świń. To, co my jemy, choć to jest nędzą, wobec której pożywienie parobków w Bohdaniszkach jest pańskim, jest jeszcze królewskie w porównaniu do jadła Moskali. Dla tych biedaków z rolniczego chlebnego kraju brak chleba jest rzeczą straszną. Mrą też jak muchy. Ratując się improwizacją od głodu, nie dają pardonu żadnej żabie, którą napotkają przypadkowo w obrębie, gdzie się znajdą. Podobno jedzą żaby na surowo. Rwą trawę i gotują ją, co zresztą i nasi legioniści z niedostatku już robią. Francuzi mają się lepiej, bo mają przesyłki z kraju, mają rodzaj samorządu i umieją się gospodarować.

27 lipca, rok 1917, piątek
Dziś zabiorę się do opisu naszych stosunków wewnętrznych w obozie. Zacznę od tego, jak jesteśmy podzieleni i zorganizowani. Ogółem jest nas, legionistów, internowanych w Szczypiornie, 3 000 i kilkuset żołnierza ze wszystkich pułków. Dotąd liczba internowanych nie jest zamknięta, albowiem przybywają jeszcze coraz nowe transporty, szczególnie z kawalerii i artylerii. I jeszcze kilka transportów ma przybyć. Zakwaterowani jesteśmy w jednym z wielkich kwartałów obozu, które opisywałem przed kilku dniami, w jednym z pierwszych od strony Kalisza. Mamy stąd widok w jedną stronę (północny wschód) na ogrody warzywne obozu, dalej na różne zakłady i zabudowania gospodarcze obozu; w drugą stronę widok rozlega się na wolne pola uprawne (na północny zachód), za którymi w głębi widać grupy drzew i zabudowań, należących do jakiegoś dworu szlacheckiego i kolonii niemieckiej na terytorium Królestwa; w przeciwną stronę (południowy wschód) horyzont za drutami kolczastymi obozu zamyka się przebiegającym w pobliżu nasypem toru kolejowego, po którym w dość krótkich odstępach pędzą pociągi z Prus do Polski i odwrotnie, symbolizując nam cywilizację i wielki szeroki świat niezmierzonej wolności; ogromna większość tych pociągów – pełna wojska niemieckiego, przewożonego z zachodu na wschód; przypuszczamy, że to są transporty wojenne, śpieszące na front wschodni z zachodniego dla zasilenia ofensywy przeciwko Rosji; wreszcie widok w kierunku południowo-

zachodnim wpada na bratnio podobny do naszego rząd kwartałów z równymi w nich rzędami wielkich ziemianek, wychodków itd., w których gąszczu rychło tonie; w głębi na lewo skos nad tym monotonnym obrazem szablonu obozowego unoszą się lekko szczyty konturów miasteczka Skalmierzyc na stronie niemieckiej z wieżami kościoła czy kirchy, z których dobiega nas miarowy głos zegara kościelnego, bijącego godziny. Kwartał, który zajmujemy, dzieli się, jak inne kwartały, o czym już mówiłem, na części, które nazwałem sekcjami, a które w naszej praktyce nazwane zostały blokami. Każdy taki blok ma pięć ziemianek, czyli dziesięć sal mieszkalnych, zwanych u nas barakami; na każdą więc ziemiankę wypada dwa baraki, czyli 10 baraków na blok. W zasadzie każdy blok jest zajęty przez odrębny pułk, lecz ponieważ liczby internowanych z poszczególnych pułków nie pokrywają się ściśle z liczbami miejsc w blokach (licząc przeciętnie po mniej więcej 50 ludzi na barak), więc czasem w jednym bloku współżyją dwa pułki, względnie poszczególne oddziały są rozrzucone po różnych blokach, z tą wszakże zawsze tendencją, aby poszczególne oddziały skupiały się w jednych odrębnych barakach. Ogółem zakwaterowanych jest dotąd przez legionistów coś ze 6 czy może nawet 7 bloków. Numeracja bloków zaczyna się od skraju północno-zachodniego. Biorąc zakwaterowanych ogólnikowo, w bloku I mieszczą się żołnierze z pułków III i VI, w bloku II – z pułku V, w bloku III – z pułku IV, w bloku IV – z pułku I, czyli my, w bloku V – artyleria. Oczywiście jest to niewyczerpujące przedstawienie zakwaterowania, w którym zupełnie nie uwzględniłem licznej kawalerii z obu pułków ułanów, II pułku piechoty i całego szeregu oddziałów specjalnych. My więc mieszkamy w bloku IV. W każdym bloku numeracja baraków idzie od strony wejścia do bloku – w głąb. Komendantem całego obozu internowanych legionistów jest kapitan Zosik-Tessaro, który formalnie wobec władz urzędowych niemieckich jest tylko sierżantem, jak wszyscy inni oficerowie nasi, którzy tu przyjechali z nami, ukrywając się pod oznakami sierżanckimi. Zosik ma do pomocy oficerów-adiutantów. Każdy blok ma swojego komendanta i komendantem naszego bloku jest porucznik czy podporucznik Żarski. Ja wraz z żołnierzami pochodzącymi z I kompanii naszego pułku oraz części pochodzących z II kompanii mieszkam w baraku I. Każdy barak liczy się za pluton, chociaż to nie jest ścisłe. Właściwie jest to zupełnie specjalna jednostka – barakowa, będąca czymś pośrednim między plutonem a kompanią. W baraku naszym w liczbie 50 ludzi, którzy w nim mieszkają, kwateruje także chorąży Szajewski (naturalnie, jak inni, w charakterze sierżanta). Jaką jest jego funkcja, jeżeli ją ma – nie wiem i nie zdaję sobie z tego sprawy. Komendantem naszego baraku jest starszy sierżant Krzymowski Jerzy, nasz dawny dobry znajomy. Barak jest podzielony na 4 kapralstwa czy sekcje, z których I-szą ma kapral Drzewiecki (pseudonim Wzgórze, a przezwisko Pagórek), komendantem II-ej jest starszy żołnierz Trzęsiński, III-ej – ja i IV-ej – szeregowiec Krzewski. Z szarż w baraku naszym kwateruje jeszcze starszy sierżant sanitarny Bajurski i starszy żołnierz Szałkiewicz, który jest faktycznym ordynansem Szajewskiego, jak zresztą ordynansem był i w pułku. Towarzysze niedoli w baraku są wszyscy dobrymi znajomymi, ponieważ ogromna większość pochodzi z jednej kompanii. Z charakterystycznych grup czy klik, jakie się powiązały w łonie tej całości, wyodrębniając się od ogółu, jest grono Radomiaków w osobach Krzewskiego, Kowalskiego, Kownara, Brudnickiego, Balcera, Piskorskiego i jeszcze jakiegoś gościa, którego nazwiska nie wiem; ci tworzą jedną bandę, która żyje nieomal w komunie, wspólne robi zakupy, gdy się da, dzieli się, czym ma, trzyma się zawsze razem, razem się zabawia, żartuje lub drażni wzajemnie, grywa w preferansa itd.; są jeszcze w baraku Radomiacy, jak Stępień, Szos, Adam Ostrowski, Orzechowski, Gugała i inni, ale ci do tej kliczki nie należą, kliczka ta składa się prawie z rówieśników, równych też wykształceniem: wszyscy, prócz Krzewskiego, który jest maturzystą, mają po 5, 6, 7

klas szkoły realnej czy handlowej ukończonych; jeden z nich, ten, którego nazwiska nie znam i który się przyłączył do nich dopiero tutaj – zwą go przyjaciele Jasiem – ma bardzo ładny głos i umie mnóstwo zabawnych piosenek, toteż często uprzyjemnia nam wieczorami w baraku czas śpiewem. Zresztą mamy tworzący się chór w obozie, o którym może innym razem w związku z radą żołnierską napiszę. Druga taka kliczka w baraku naszym, złożona z trzech serdecznych przyjaciół – Kalińskiego, Miładowskiego i Stecewicza, również chłopców inteligentnych z wykształceniem szkolnym, podobnym do wykształcenia Radomiaków, jest tylko szczątkiem większego kółka – piątki przyjacielskiej, która stale się w pułku trzymała razem. Ubył z niej Rzepecki, który, jak wspominałem, był jedynym w naszym pułku, który przysiągł (zrobił to zresztą w formie przyzwoitej, nie rażącej formalnie solidarności, zresztą zrobił to poza pułkiem i z pobudek przekonaniowych) i ubył Vyskočil, który, jako Galicjanin, pozostał w pułku. Wreszcie trzecia klika w baraku naszym – to garstka z II kompanii, w której są moi towarzysze kompanijni z Zegrza – Trzęsiński, Nosarzewski, Godlewski, Duda, Dębski i jeszcze kilku mniej znajomych. Grupka to niesympatyczna, pełna chamstwa, wnoszonego przez takie typy, jak Duda i Dębski. Moje III kapralstwo, z którym zresztą mało żyję, bo śpię od niego daleko, jest poza tymi klikami i składa się z luźnych jednostek, z chłopców nie-inteligentów, ale na ogół dobrych i porządnych a spokojnych. Należą tu: Stokowski, które jest moim zastępcą w kapralstwie, Spychała, Kędziorek, Adam Ostrowski, Płoza, Orzechowski, Mroczek, Głos, Bieniak, Langner i Mielczarek.

28 lipca, rok 1917, sobota
Na froncie wschodnim dalsze sukcesy Niemców. Abstrahując się od sympatii i od oceny wszelkich innych wartości politycznych i kulturalnych, jakie w moim pojęciu łączą się z imieniem Niemców i kontemplując tylko ich czyny, wyrywa mi się okrzyk: Niech żyje naród wielkich ludzi, którzy w tak trudnych warunkach do takich jeszcze potężnych, wielkich czynów są zdolni! Zdobyta Kołomyja, przekroczony Seret poniżej Trembowli, w Karpatach aż do Kirlibaby front rosyjski się cofa. W szeregach rewolucyjnej armii rosyjskiej, tak jak w samej Rosji, obok entuzjazmu i wspaniałych wzorów poświęcenia i bohaterstwa – podłość i rozprężenie. Jak hucząca lawina, odpływa w dzikim chaosie na wschód armia rosyjska, świecąc gdzieniegdzie błyskami bohaterskiej walki, pełnej rycerstwa. Gwałtownie a metodycznie i z niepokonaną siłą postępują za cofającym się nieprzyjacielem Niemcy, rażąc ciosami, zdobywając teren, następując na pięty i nie dając odetchnąć. Ciekaw jestem, dokąd się posunie ta kontrofensywa niemiecka.
Nadzieje, obudzone u nas gwałtownie przed paru dniami na rychłe wypuszczenie z obozu jeńców, zaczynają stygnąć. Zasada wypuszczenia na wolność a jej wykonanie w praktyce – to są rzeczy różne, które mogą być od siebie nieokreślenie dalekie w czasie. Zaczynamy się z tą myślą oswajać i godzimy się, bo nie mamy zresztą nic innego przed sobą, jak „*faire bonne mine au mauvais jeu*”. Napisaliśmy listy do rodzin z prośbą, aby te przesłały do Komitetu Opieki nad Jeńcami w Warszawie piśmienne zaświadczenia, że zwolnieni legioniści mają zapewnione do końca wojny utrzymanie, względnie zarobek. Co do mnie, to napisałem list taki do nie do rodziny, ale do księcia Sapiehy w Warszawie, prosząc bądź o zaświadczenie, że w razie puszczenia mię do Bohdaniszek znajdę tam zapewnione utrzymanie, bądź o wystaranie się dla mnie jakiejś posady w sferze działalności R.G.O. Listy te mieli zabrać ze sobą do Warszawy wracający delegaci komitetu opieki nad internowanymi legionistami, ks. Sztobryn i p. Kasperowicz. Ale delegaci już wyjechali, a listy od dwóch dni leżą. Okazało się, że jeszcze udzielone zostaną wyjaśnienia co do formy, w jakiej mają być podawane przez rodziny zaświadczenia. Czekamy więc, czas płynie i my siedzimy i wegetujemy. Pod

wpływem pierwszych wieści o rychłym zwolnieniu wszystko w naszym życiu i w projektach jego lepszego zorganizowania – zamarło. Zdawało się, że nie ma po co się tą naprawą życia naszego zajmować, gdy już tylko kilka dni tu zabawimy. Teraz atoli znowu zaczynamy się brać do naszego trybu i warunków życia. Czujemy już bowiem, że te „kilka dni" rozciągną się na tygodnie, jeżeli nie na miesiące. Dobre jest przynajmniej to, że materialne warunki naszego życia polepszą się odtąd, zdaje się, znacznie, dzięki gorliwości Kaliskiego Komitetu Opieki.
Przyjechało dziś znowu kilku spóźnionych gości z pułku. Przywieźli oni do nas pocztę. Ja otrzymałem list od Heli Ochenkowskiej i od Papy. Z listu Papy dowiedziałem się, że mi wysłał 100 marek, oczywiście do pułku, bo ani się domyśla, że siedzę w… obozie jeńców. Pieniądze te przydadzą mi się bardzo, bo gonię ostatkami. Mam w kieszeni niespełna 2 marki, oprócz tego 30 marek długu Włodkowi Mozołowskiemu w pułku, który przed wyjazdem moim wystarał mi się o te pieniądze, żebym mógł z nich pokryć drobne długi kolegom. Spodziewam się, że pieniądze od Papy podejmie z poczty pułkowej i przyśle mi przy najbliższej okazji Heller, któremu zostawiłem prywatną plenipotencję na podnoszenie wszelkich sum, przychodzących na moje imię. Drugi list – od Heli Ochenkowskiej. List bardzo mądry, bardzo obiektywnie i spokojnie stawiający diagnozę całej sprawy przysięgi, dzielącej nasze stanowisko od stanowiska Rady Stanu. Osobiści Hela stoi na gruncie przysięgi, uważając, że Legiony powinny były to zrobić dla sprawy polskiej. Jaka szkoda, że tak trudno korespondować stąd z ludźmi. Są takie pilne sprawy do załatwienia i poza tym tyle by się chciało pomówić z tylu ludźmi listownie! Chociaż skądinąd ta korespondencja, taka niepewna, urywana, przygodna, niespodziewanymi okazjami przemycana, ma swój szczególny urok.
Powracam do sprawy, o której wczoraj pisałem. Podział na kapralstwa czy sekcje wewnątrz baraku służy do regulowania podziału fasunków, wszelkich wpływów i zakupów wspólnych (podział chleba fasowanego co dzień rano, podział chleba i względnie innych produktów, dostarczanych z Komitetu w Kaliszu, wreszcie chleba i innych rzeczy, zakupywanych ryczałtowo dla sprawiedliwej dystrybucji w kantynie) oraz podziału służby. Służbę tu mamy tak zorganizowaną. Kolejno co dzień jeden blok jest inspekcyjny w obozie, w bloku zaś jest jeden inspekcyjny barak, w baraku co dzień jest jedno kapralstwo służbowe. Szarże inspekcyjne w obozie i bloku są na każdy dzień wyznaczane przez przełożonych oficerów. Szarże inspekcyjne jako godło służby noszą czerwone lub czerwono-białe opaski na ramieniu. Inspekcyjny blok dostarcza ludzi do wszelkich robót dla całego obozu, jak ludzi do wyładowania i strzeżenia wozów z chlebem i prowiantem, przywożonym z Kalisza od komitetu, do pompowania wody do kuchni itd. Wewnątrz bloków służba jest następująca: przynoszenie dla bloku chleba zarówno z fasunku, jak z podziału i innych źródeł, wszelkie sprzątanie obozowe, wreszcie warta – we dnie przy wrotach, aby nie wypuszczać dowolnie ludzi, włóczących się bez żadnego celu, a zwłaszcza nie wypuszczać gromadnych wypraw za obręb bloku i nie dopuszczać do skupiania się ludzi na drodze, w nocy zaś – warta wewnątrz bloku, aby przeszkadzać usiłowaniom ucieczki, przełażenia przez druty, włóczenia się jakichś obcych ludzi po bloku, jedną zaś ze szczególnych, a w naszych warunkach bardzo ważnych funkcji tej warty nocnej jest czuwanie nad tym, aby żołnierze w nocy nie odlewali się w okolicy ziemianek poza ustępem. Sekcje czy kapralstwa służbowe w baraku, o ile barak nie jest w bloku inspekcyjny, mają czynności tylko takie: rano przynieść chleb do baraku od sierżanta inspekcyjnego bloku, wyznaczyć 4 ludzi, którzy mają przynosić z kuchni dla baraku śniadanie, obiad i kolację w konewkach, wyznaczyć dyżurnego sali do zamiatania i wyznaczyć kaprala dziennego, którego funkcje są jednak znikome. Tak zorganizowane jest nasze życie w samorządzie wewnętrznym. Choć formalnie przestaliśmy być żołnierzami, jednak sami

żołnierski stan w organizacji wewnętrznej utrzymaliśmy. Formalnego samorządu nie mamy, bo kapitan Olszyna, który w początkach był objął w porozumieniu z Niemcami formalną, acz prowizoryczną, komendę nad całością naszą, został odwołany i nikt na jego miejsce przez Komendę Legionów nie wydelegowany ze względu na formalne zwolnienie nas z wojska. Chociaż więc formalnego samorządu wojskowego nie posiadamy, jednak mamy samorząd tolerowany. W każdym razie Rada Stanu zastrzegła u władz okupacyjnych, żebyśmy nie byli traktowani za jeńców wojennych, jeno za czasowo internowanych. Posterunki niemieckie w obrębie naszego kwartału nie funkcjonują. Kuchnię mamy własną, stosunki wewnętrzne, byle tylko w ramach ogólnych przepisów obozowych, regulujemy sami. W parę dni po naszym przyjściu zarządzona została gimnastyka, która odbywa się co dzień dwa razy dziennie: jedne baraki odbywają ją od godz. 8 do 9 rano i od 4 do 5 po południu, inne – od g. 9 do 10 i od. g. 5 do 6, z tego pół godziny właściwej gimnastyki i pół godziny gier. Gimnastyka jest w naszych warunkach niezbędna wprost dla zdrowia, dla ruchu, a także dla utrzymania karności i sprężystości wewnętrznej. Ostatnio wprowadzono także ćwiczenia w musztrze formalnej, które jednak żadnego sensu nie mają i są przez żołnierzy maltretowane.

29 lipca, rok 1917, niedziela
Kiedy pogoda ładna, wieczorem przed zachodem słońca wre u nas najbujniejsze życie towarzyskie. Wszystko, co żyje, wysypuje wtedy przed baraki i wypełnia placyki i drogę pomiędzy drutami wewnątrz bloków. Wszyscy śpieszą odetchnąć świeżym powietrzem, nasycić się łagodnym ciepłem zachodu, a pogoda i słońce oraz cisza wieczorna dobrze usposabia humory. Im pogodniejszy wieczór, tym większa ochota towarzyska; młodość gra we krwi żołnierzy, tłumionej niewolą. A gdy jeszcze którego dnia żołnierze lepiej zjedzą, to rwą się do życia i zabawy, a nadmiar humoru szuka ujścia; w ziemiankach, których dachy są pokryte czarną smolastą papą, po słonecznym dniu wieczorem duszny upał. Oto co dzień w pogodne wieczory w VI bloku na placyku przednim ułani urządzają zapasy atletyczne; tłumy się przyglądają, gęsto zbite w masę lub tłoczące się na improwizowanych trybunach; z innych bloków z dala przyglądają się również gromady widzów, stojąc lub podnosząc się na nasypy ziemne przed frontem ziemianek, a nawet czepiając się dachów; gdyby nie to, że lokatorzy ziemianek pilnie kontrolują, żeby nie włażono na dach, a tych, co włażą, spędzają, bo ciężarem swoim ugniatają deski i powodują otwory w zszyciach papki, wskutek czego potem, gdy deszcz pada, woda strumieniem wpływa do środka, to dachy byłyby pstre od żołnierzy. Zwycięskich zapaśników atletyki tysięczni widzowie darzą hucznymi oklaskami. Inicjatywa do tych zapasów zapożyczona została, zdaje się, od jeńców Francuzów, których obserwowano kilkakrotnie, zabawiających się wieczorami walką francuską, którą z naszej strony również oklaskiwano. Albo znów innym razem zaczyna się przechadzać po blokach jakiś improwizowany legun-komik, ucharakteryzowany specjalnie, w jakimś zaimprowizowanym stroju i umazany cały a ogolony, błyszczący na twarzy jakimś tłuszczem, który nie wiadomo skąd w naszych chudych warunkach mógł dostać, i zaczyna udawać wizytę członka Rady Stanu, który przyjechał namawiać żołnierzy do przysięgi i naigrawać się z ich niedoli; mówi tonem rubasznym, z chłopska, przeplatanym dowcipami, wyciągając wszystkie niedole naszego życia w formie śmiesznej i smagając ostrą, złośliwą, ale pełną dowcipu satyrą sposób życia i działalności członków Rady Stanu, Sikorskiego, ich stosunku do pana Beselera itd.; dokoła niego tłumy, śmiech, odpowiedzi, zaczepki, żarty złośliwe i dowcipy, w których dostaje się zasłużenie i niezasłużenie Radzie Stanu, Niemcom i wszystkim, do kogo tylko legioniści czują jakiś żal, gniew lub nienawiść, a w gruncie – pusta zabawa. Albo

dziś znów dostrzeżono het za drutami w kierunku toru kolejowego jakieś kobiety w jasnych strojach; natychmiast uwaga tłumów skierowała się na nie; zaczęto się wspinać na nasypy nad ziemiankami, na dachy nawet, wołać, machać chusteczkami; ogólna wesołość i zainteresowanie; w bieliźnie, półnagie albo i nagie postacie legionistów ciągnęły się tęsknotą i humorem do tych z dala dostrzeżonych na wolności kobiet; dostrzeżono tamże na szosie mały transporcik kilku legionistów, odprowadzanych do obozu jeńców; zaraz uwaga skierowała się ku nim; odprowadzało ich paru legionistów uzbrojonych jako eskorta; ludzie z oddziału, do którego oni należeli, poznali lub sądzili poznać w eskortujących żołnierzach Królewiaków zaprzysiężonych; zaraz po wszystkich blokach zaczęto na różne tony gwizdać, a gdzieniegdzie wołać: oddaj karabin! oddaj przysięgę! Gwizd i wołanie sprawiły taki ruch, że aż kilku cywilów, którzy szli szosą, uciekło, sądząc, że to na nich gwiżdżą, a jeńcy Moskale wielkim tłumem wybiegli ze swoich ziemianek, sądząc, że to może jakaś awantura albo bunt. Takie oto u nas obrazki wieczorów pogodnych w naszym monotonnym życiu. Dnie za to są nudne i bezbarwne, czasem aż do niewytrzymania. Ratuje mię tylko to, że mam dziennik do pisania, co dzień po liście, który następnie czeka okazji odejścia, dalej gazety, które niezbyt regularnie wprawdzie, ale dostarczają się i rozdzielają na baraki przez członków komisji kulturalno-oświatowej, dalej w ostatnich dniach i jeszcze na jakiś czas pewne prace publicystyczne dla naszej komisji redakcyjnej (opis aktu odmowy przysięgi w I pułku i inne), wreszcie dość uciążliwa i pochłaniająca dużo czasu i energii praca śledcza i sądowa w kilku sprawach w specjalnej do tego celu doraźnej komisji żołnierskiej. Ta praca szła w ostatnich paru dniach dość intensywnie i nawet męcząco dla osłabionego słabym odżywianiem organizmu. Właściwie to wszystkie te sprawy, jako bardzo charakterystyczne dla obyczajowej strony naszego życia i stosunków, nadawałyby się do dziennika. Może to zrobię, jeżeli nic nie przeszkodzi. Dnie u nas upływają w ten sposób, że większą część doby ludzie leżą, a bardzo wielu nie tylko leży, ale i śpi; doprawdy aż trudno zrozumieć, jak mogą tyle spać. Leżenie to osłabia, toteż dobrym jego uzupełnieniem jest gimnastyka. O ile jest we dnie pogoda, ludzie masami wynoszą się na dwór i tam leżą na trawie albo na kocach. Chodzą przeważnie w bieliźnie, boso, często półnago albo i całkiem nago. Ogarnęła żołnierzy prawdziwa mania „kąpieli słonecznych" i opalania całego ciała na słońcu. Robiono to już w Pomiechówku, a tu aż do przesady. Wielu nie ubiera się tu wcale, nigdy. Czasem w deszcz, o ile jest ciepło, używają „kąpieli deszczowych". W ostatnich jednak czasach było nie tylko dżdżysto, ale przeważnie i chłodno. Wtedy wszystko, co było, leżało po barakach. Nie ma tu regularnych pobudek, przepisów o ścieleniu łóżek itd.; niby pobudka istnieje, ale się nie przestrzega; to samo w większości naszych przepisów, regulujących wewnętrzne w barakach życie. Leży się, próżnuje, śpi, z byle czego robi się sensację, łaknie się rozmaitości, a przede wszystkim czeka niecierpliwie od rana na obiad, od obiadu na kolację i chleb komitetowy, a potem się liczy żartobliwie godziny do rannego fasunku chleba i śniadania. Czasem ktoś w baraku brzęczy na jakiejś mandolinie, to znów śpiewa, czasem są rozmowy i żarty a klęcie Rady Stanu i niecierpliwość z losu; szachów prawie nie ma, w karty zbyt namiętnej gry także nie widać. Tak płynie powszednie szare życie w obozie. Jak długo potrwa – nikt nie wie. Na ogół ludzie zapatrują się sceptycznie na rychłe uwolnienie. Czasem jakaś wieść ze świata, podana pocztą pantoflową lub zakomunikowana przez okazję, elektryzuje masę. To znów plotka lub pogłoska wyrasta nie wiadomo skąd. Tak dziś oto jakaś uporczywa krążyła pogłoska o tym, że wkrótce nas odeślą z powrotem do pułku. A nad całym tym naszym obozem z jego szarym życiem ludzkim i z tymi tłumami mieszkańców – jeńców różnych narodowości, ras, różnych usposobień, tęsknot i aspiracji, czuwają druty kolczaste, zbrojne straże niemieckie, funkcjonujące w postaci

posterunków, placówek za drutami, pogotowia itd. Strzeżony jest obóz bardzo starannie, bo też powinien być strzeżony. Na ewentualność buntu w obozie jest on obstawiony działami i karabinami maszynowymi, których lufy wymierzone na obóz. W obozie stoi parę wysokich wież, właściwie wysoko na podstawach ustawionych domków, otoczonych dokoła gankami i służących za obserwatoria, z których cały obóz widoczny jest jak na dłoni, bo dominują one nad niskimi ziemiankami. Żeby lepiej móc strzec obozu – nie ma w nim ani jednego drzewa, bo zasłaniałoby ono pole obserwacji, a wysokie latarnie elektryczne są tak ustawione, aby w całym obozie nie pozostawało ani jednego zakątka nieoświetlonego w nocy.

30 lipca, rok 1917, poniedziałek
Dziś napiszę o jednej z najważniejszych praw i zarazem bolączek naszego życia niewolnego – sprawie wyżywienia. Gdyśmy przyjechali, zastaliśmy pod tym względem stosunki fatalne. Ci, którzy tu pierwsi przyjechali, wyprzedzając o kilka dni nasz przyjazd – żołnierze pułków III, VI i V – znaleźli się w warunkach zaiste głodowych. Trzeba zaznaczyć, że żołnierze-Królewiacy III pułku, którzy nie przysięgli, przeszli przez prawdziwe katusze. Przede wszystkim, w samym pułku nie byli oni tak, jak my, zostawieni w sprawie przysięgi własnej woli i sumieniu. Usiłowano ich przekonać, zmusić, zastraszyć, aby tylko przysięgę przeforsować. Gdy, pomimo wszystko, odmówili zaprzysiężenia, aresztowano ich i zamknięto na poddaszu, zdarto z nich mundury i buty, na razie nawet głodzono. Z represjami, idącymi z góry, współzawodniczyli ich właśni koledzy, bądź Galicjanie, bądź zaprzysiężeni Królewiacy, obdzierając ich, z czego się dało. Namowy do przysięgi nie ustawały. Okłamywano ich, twierdzono, że wszystkie pułki przysięgły. Starano się wreszcie działać korupcją, wyłapując pojedynczych ludzi, robiąc im różne obietnice łudzące, łechcąc ambicję i chęć wywyższenia się. Do podobnych środków uciekano się zresztą nie tylko w pułku III. Robiono to samo w II pułku ułanów, u werbunkowców w Zambrowie, w II pułku piechoty. W tym ostatnim też najwięcej ludzi przysięgło. Ale w III pułku presja była największa. Pomimo to większość Królewiaków odmówiła przysięgi i wytrwała do końca. Gdy się słyszy od żołnierzy III pułku to, co z nimi wyrabiano, to chwilami włosy powstają na głowie. Warto byłoby zaiste, by rada żołnierska, może nie tyle dla aktualnego użytku politycznego, bo wątpię, aby dobrym było jeszcze większe jątrzenie rozjątrzonych stosunków przez wywlekanie bolesnych szczegółów, ale po prostu dla archiwum faktów historycznych, postarała się o dokładne zaprotokołowanie tych faktów z podaniem nazwisk, daty, miejsca itd., by zarejestrować metody, jakimi się posługiwano w sprawie zaprzysiężenia wojska i nadużycia, popełniane przy tym. O ile u nas trzeba byłoby niepospolitej odwagi cywilnej, aby wbrew zdecydowanemu nastrojowi ogółu przysiąc, o tyle w takim pułku III trzeba było rzeczywiście wielkiej mocy i wytrwałości, aby się nie poddać tym praktykom na rzecz przysięgi i utrzymać się na stanowisku odmowy. Z pułku do Szczypiorna odwieziono ich nie tak, jak nas; jechali pod zbrojną eskortą własnych kolegów i oficerów, jak aresztanci lub jeńcy; oczywiście, że nie było mowy o tym, aby tak jak my, szli przez Kalisz, jak idą ludzie, którzy wprawdzie ulegli przemocy, ale moralnie zwyciężyli i którzy z dumą i podniesionym czołem mogli przechodzić wśród tłumów narodowej publiczności, czczącej w nich omalże nie bohaterów, bo ludzi, którzy dali swym czynem wyraz sumieniu narodowemu. I gdy my wchodziliśmy do obozu jeńców jako ludzie wolni, którzy sami przyjęli na siebie konsekwencje, jakie im przemoc brutalnie narzucić zechciała, oni, biedacy, byli zagnani ze wszystkimi tej przemocy bezpośrednimi oznakami. Przyjęto ich też w obozie jeńców tak, jak się jeńców przyjmuje: poddano natychmiast rewizji osobistej, otoczono strażą, zakwaterowano tak,

jak się zakwaterowuje wszystkich pensjonariuszy tego smutnego zakładu. Karmiono ich też tak, jak są karmieni wszyscy jeńcy w obozie. Dawano im jakieś zupki rzadkie, w których podstawę stanowiła woda, gotowano im trawę z łupinami kartofli, a czasem okraszano jadło, jak głosi czy to prawdziwa relacja, czy tylko uporczywa legenda, w którą wszyscy wierzą, marynowanymi ślimakami lub żabami. O sprowadzaniu jakichkolwiek produktów żywności z zewnątrz nie mogło być oczywiście mowy. Dopiero gdy w parę dni potem przybył transport z V pułku piechoty, prowadzony przez oficerów-Galicjan, stojących na naszym stanowisku przekonaniowym, stosunki w obozie poprawiły się i dla nieszczęsnych żołnierzy III pułku. Jeżeli na razie nie poprawił się jeszcze wikt, to przynajmniej poprawiły się stosunki w innej sferze. Władze niemieckie obozu zorientowały się co do tego, że bądź co bądź nie jesteśmy pospolitymi jeńcami wojennymi, jak jeńcy Moskale, Francuzi i inni, bo nie zostaliśmy schwytani na polu bitwy z bronią w ręku i nie podnosiliśmy zresztą nigdy oręża przeciwko Niemcom. Jeżeli nas tu przysłano, to w innym zgoła charakterze. Jesteśmy ofiarą pewnych czysto wewnętrznych wypadków i sporów w samej Polsce i tylko internowanymi, oddanymi w pewnego rodzaju depozyt niemieckim władzom obozu. Żołnierzy V pułku już nie rewidowano. Cofnięto straże niemieckie z wewnętrznej sfery kwartału, zakwaterowanego przez legionistów. Kuchnię oddano w ręce samorządu naszego. Gdy przyszedł nasz transport z I pułku piechoty, stosunki jeszcze o krok naprzód w kierunku polepszenia postąpiły. Na razie miał się nawet formalny samorząd z kapitanem Olszyną ustalić. A chociaż się nie utrzymał, to jednak samorząd nieformalny, tolerowany przez Niemców, pozostał. Dużo zawdzięczamy temu, że z nami przybyli, choć zamaskowani pod pozorami sierżantów, oficerowie nasi właśni, których obecność umożliwiła zorganizowanie całości na zasadach wojskowych, ułatwiających regularne funkcjonowanie samorządu. Tymczasem zawiązał się i Kaliski Komitet Pomocy. Stopniowo i czynniki społeczne w Warszawie z samą Radą Stanu na czele ujrzały się zmuszone do zajęcia się naszym losem. W pierwszych dniach po naszym przyjeździe było nam jeszcze pod względem żywnościowym bardzo ciężko. Chleb, który przynieśliśmy ze sobą, bardzo prędko został zjedzony. Z zewnątrz nic sprowadzać ani kupować nie mogliśmy. Było to bezwzględnie wykluczone. Obiady były to wodniste „zupki", w których pływało trochę czarnych łusek peluszki czy wyki albo jakichś krupek lub kaszki; w najlepszym razie woda ta była „okraszona" margaryną, po której zostawał w ustach niesmak, a której ślad zaznaczał się mikroskopijnymi oczkami tłuszczu, pływającymi na powierzchni „zupy". Szczytem zaś pożywności była śmierdząca suszona ryba morska, którą raz na kilka dni rozgotowywano w zupie, oczywiście w znikomej proporcji. Tylko w niedzielę zupa była na mięsie, ale mięsa był tylko smak, bo go widać na skutek rozgotowania nie było. Na przeszło 3 000 ludzi mięsa było (z kośćmi) 125 kilo. Na kolację – zupka, wprawdzie bardzo rzadka, jeszcze wodnistsza, niż na obiad, ale zawsze cokolwiek lepsza od tzw. „kawy". Chleba dziennie – 1/6 część bochenka, a bochenki prawie o połowę mniejsze, niż te, jakie dawano w Pomiechówku, Zegrzu, Zambrowie. Chleb smaczny wprawdzie, ale zakalcowaty, jakiś miękki, z ogromną domieszką kartofli i innych obcych dodatków do mąki. Chleba tego wypada mniej niż po pół funta dziennie. Cóż to znaczy na mężczyznę! Zwłaszcza gdy poza tym same wodniste rzeczy jada. Chleb ten zjada się od razu przy śniadaniu i nawet do śniadania go mało. Toteż przeszliśmy przez prawdziwe tortury męki głodowej.

31 lipca, rok 1917, wtorek
Zwycięskie wojska niemieckie za Tarnopolem zbliżają się już do pogranicznego Zbrucza. Niżej na południu po obu stronach Dniestru linia doszła do Jagielnicy,

Horodenki i Zabłotowa nad Prutem. Na Bukowinie w Karpatach front rosyjski cofnął się do linii Seletin (nad Suczawą) – Fundul Moldowa (nad rzeką Mołdową). W Rumunii na Multanach wojska rosyjsko-rumuńskie jeszcze atakują i lekko posuwają się naprzód w dolinie rzeki Susity. Wobec jednak wielkiej ofensywy wschodniogalicyjskiej drobne sukcesy multańskie Rosjan i Rumunów są bez wielkiego znaczenia, a jeżeli tamta ofensywa nie ustanie i pójdzie w tym samym tempie dalej – w Podole, Wołyń i Besarabię, to i Multan losy przesądzone zostaną.
Przyjechał dziś do obozu jeńców kapitan Dreszer wraz z niewielkim transportem internowanych ułanów. Dreszer pozostanie z nami. Przywdział on odznaki plutonowego, to znaczy młodszego sierżanta. Nie widziałem się z nim jeszcze, bo nie zaglądał jeszcze do naszego bloku, toteż nie wiem, jakie przywozi nowiny i czy nie przywozi nam – co nie mniej ważne – poczty z pułku. Po jego przyjeździe rozeszła się pogłoska, że generał-gubernator Beseler otrzymał dymisję. Ile w tym prawdy – to się pokaże. Podług ostatnich wiadomości z gazet, Beseler pojechał do Berlina i konferował tam z nowym kanclerzem Rzeszy, dr Michaelisem. Dymisja Beselera mogłaby oznaczać jakiś zwrot w Niemczech w polityce polskiej, ale zarówno zwrot dodatni, jak ujemny. Trzeba byłoby poczekać na dalsze, jeżeli tylko ona sama jest prawdziwa.
Przechodzę w dalszym ciągu do naszych stosunków żywnościowych, o których wczoraj pisać zacząłem. Przez pierwszych kilka dni były one straszne. Po raz pierwszy mieliśmy już prawdziwy głód. Bywało źle w Łomży, w Pomiechówku, w Zegrzu, ale tak, jak tu – nigdy. Koło pół funta chleba dziennie i dwa razy na dzień gorąca wodnista „zupka", a właściwie prawie że woda. Rano na śniadanie – jakieś ziółka, imitujące barwą herbatę. Chleb się zjadał od razu na śniadanie i nawet do śniadania go było mało. Resztę pożywienia dziennego nie jadło się, lecz piło. Ludzie już w parę dni opadli na siłach i ledwie włóczyli nogami. Przy takim pożywieniu można było się spodziewać zaniku mięśni w szczękach, bo zęby i szczęki nie pracowały wcale: można było odzwyczaić się od żucia w braku pokarmów stałych. Wobec takiego jedzenia, już nie mówiąc o obfitości, ale nawet pod względem jakości, jakże świetnym było utrzymanie parobków w Bohdaniszkach! A suchy post w czasach pokoju, uchodzący za umartwienie, był sutym w porównaniu do naszego wyżywienia. Jeżeli było kiedyś w pułku z jedzeniem krucho, chociaż nigdy brak, jak w obozie jeńców, to było się na wolności i będąc na tyłach, można było sobie coś dokupić. Co do mnie, to byłem pod względem szczególnie wypieszczony, bo zawsze sobie coś dokupywałem do jedzenia; aż do połowy czerwca miałem stale gotówkę i żyłem względnie świetnie. W ostatnich zaś czasach, choć mi już pieniędzy zbrakło, to jednak w oczekiwaniu nowego ich dopływu zawsze się to coś dopożyczało, to z żołdu miało i zawsze, choć skąpo, dokupywało się to trochę masła, to sera, to choć czarnego chleba. Tu, gdyby nawet były pieniądze, nic za nie kupić nie było można, będąc bezwzględnie od świata odciętym. W ogóle tylko w czasach ostatnich poznałem prawdziwą wartość i smak chleba. Lubiłem chleb zawsze i zawsze go dużo jadłem. Ale był on dla mnie tylko dodatkiem do różnych potraw, do mięsa, do zupy, do sera itd. Samego chleba osobno nie jadałem, chyba świeżutki z ciepłego jeszcze pieczywa. Dopiero w tych ostatnich miesiącach, a zwłaszcza od czasu, gdy mi się pieniądze wyczerpywać zaczęły, nauczyłem się cenić chleb: nie najadając się czym innym, najadałem się chlebem. Ale że nie było go zbyt dużo, zaczęło mi go braknąć. Każdy kąsek chleba był dla mnie jak droga kosztowność; chleb stał się prawdziwym przysmakiem. Teraz doszło do tego, że żal mi jeść chleb do obiadu, bo ma on dla mnie sam przez się smak taki, że go żałuję tracić w pomieszaniu ze smakiem jakiejś innej potrawy. W ogóle głód jest, jak się przekonałem na sobie, doskonałą przyprawą do każdego pokarmu, lepszą od wszelkiej musztardy, sosów, pieprzów itd. Pamiętam, jak w Karlsbadzie mówił nam z Mamą w r. 1910 doktor, że podstawą kuracji źródlanej

karlsbadzkiej jest wstrzemięźliwość w jedzeniu, pewne niedojadanie, które jest najskuteczniejszym na organy trawienia środkiem; bo głodem nie tylko apetyt się poprawia, ale i całe funkcjonowanie wszystkich organów; głód tępi kaprysy, usuwa potrzebę wszelkich podniet sztucznych, wydelikaca smak; dopiero wtedy człowiek jest rzeczywiście zdrowy na żołądku i organach trawienia, kiedy w każdym pokarmie wyczuwa jego swoisty smak, który go zadowala i wystarcza dla zaostrzenia apetytu bez innych dodatkowych podniet. Dziś w zupełności doszedłem do tego stanu i zawdzięczam to głodowi. Żołądek mam zdrowy jak nigdy. Głód ma nawet pewnego rodzaju urok, bo każdy pokarm zaprawia takim smakiem, który aż tęsknotę budzi. Doszedłem do tego stopniowo, jak stopniowo w coraz cięższe dostawałem się warunki żywnościowe. Czego nie mógł dokonać żaden Karlsbad, to dokonał głód. Straciłem wszelką wybredność. Najsuchszy chleb jest mi przysmakiem. O żadnych musztardach, octach itp. ani marzę, ani je pragnę. Dawniej w Wilnie jadało się mięso na funty, z sosami i przyprawami, a jeszcze na wieczór na kolację musiałem także zjeść mięso, nie zadowalając się byle czym. Suchy chleb nie uważałbym za kolację, jakaś jedna zupa na obiad, choćby najsutsza i najsmaczniejsza, nie była dla mnie obiadem, post wydawał mi się czymś ciężkim; jakiejś kaszki nie uważałem za potrawę; taki wiejski ser biały, zwykły nie wystarczyłby mi jako coś zasadniczego do zjedzenia; dziś już [jem] wszystko i wszystko mi smakuje; każdy z tych pokarmów jest przysmakiem, w suchym chlebie, w białym serze wiejskim, w kaszce każdej, którą dopiero od paru miesięcy polubiłem, wyczuwam właściwy danemu pokarmowi smak, który mi najzupełniej wystarcza i zadowala, byle tylko był. Przez ten pierwszy tydzień pobytu w obozie jeńców nieraz się znosiło katusze głodu, o których nigdy pojęcia dotąd nie miałem. Jedynym, co niby nas ratowało, to były zakupy w miejscowej kantynie, utrzymywanej przez Niemca. Ale zakupów tych było mało, bo ileż to trzeba byłoby towaru w kantynie, żeby zaspokoić taką gromadę, jak choćby nasza. Kantyna ta ma swój wózek, którym jeździ po zakupy w okolice. Zaledwie co parę dni coś udawało się otrzymać z tego źródła. Nasza komisja żywnościowa rady żołnierskiej w porozumieniu z naszymi władzami ujęła sprawę podziału artykułów z kantyny w swoje ręce w taki sposób, że wszystko, co przychodziło do kantyny, w zakresie przede wszystkim żywności oraz artykułów niezbędnych, jak mydło itp. (na razie także papierosy), było zakupywane ryczałtowo, z całkowitym wykluczeniem zakupów indywidualnych i następnie dzielone równomiernie na bloki, a w blokach na baraki (oczywiście nie bezpłatny podział). Z tego powodu jednak wypadały na osobę racje tak minimalne w zakupach, że ledwo było do włożenia do ust na jeden kąsek. Była na razie nawet taka zasada przyjęta w radzie żołnierskiej, że nie wolno było żadną drogą zakupywać chleb prywatnie; prywatna inicjatywa w tej sferze została uznana za niedopuszczalną, a wszelkie prywatne transporty chleba ponad dwa bochenki konfiskowane i kierowane do podziału ogólnego. Od kilku dni jednak, a mianowicie od wizyty delegatów warszawskich z Komisji Pomocy stosunki radykalnie się zmieniły. Wyrobione zostało to, że Kaliski Komitet otrzymał prawo dostarczania nam produktów (oczywiście są one dostarczane przez komitet bezpłatnie). Co dzień panowie z komitetu przywożą po kilka fur naładowanych rozmaitymi prowiantami, jak chleb biały, który się dzieli do kolacji (wypada mniej więcej bochenek dwufuntowy na 6-7 ludzi), kaszę, groch, kapustę, kartofle, mięso do kuchni naszej. Toteż od kilku dni mamy znakomite obiady i kolacje, bardzo pożywne, o wiele lepsze niż w pułku, bardzo smacznie ugotowane i porcje są też większe, niż w pułku. Zaczynamy pod względem żywnościowym mieć się dobrze. Trochę tylko chleba jeszcze jest za mało i ten jest brak, że prywatnie nic sobie dokupić nie można, prócz bardzo rzadkich i miniaturowych okazji zakupów w kantynie.

1 sierpnia, rok 1917, środa
Dziś upłynęły trzy lata wojny. Co za krwawa rocznica! Mnie osobiście zastaje ona w obozie jeńców.
Był dziś u nas książę Eustachy Sapieha z Warszawy, prezes Rady Głównej Opiekuńczej. Przyjeżdżał specjalnie w naszej sprawie. Żałuję, że nie dopilnowałem jego bytności i nie rozmawiałem z nim. Chciałbym bowiem ułożyć się z nim co do osobistych moich losów w perspektywie ostatecznego zwolnienia tak z wojska, jak z obozu jeńców, o czym już listownie zwróciłem się do niego (list ten zresztą dopiero ewentualnie wczoraj został wysłany, o ile w ogóle odszedł, bo choć mi obiecywano to załatwić, jednak trudności z odchodzeniem poczty są takie, że nigdy skutku pewnym być nie można; a normalnych dróg odchodzenia poczty właściwie nie ma; dwie olbrzymie paczki, wypchane listami żołnierskimi, leżą i czekają możności wyekspediowania ich zawartości). Akurat w czasie wizyty Sapiehy byłem zajęty sądem w bloku II w sprawie niejakiego Jędraszaka o szulerstwo. Ale mniejsza o to. Może większy skutek odniesie mój list, jeżeli przecie dojdzie, niż ustna rozmowa z Sapiehą, który jest zajęty sprawą ogólną i którego mój widok w zniszczonym mundurze, z łatą na jednym łokciu i dziurą na drugim, tu w obozie jeńców w charakterze prostego żołnierza, niezbyt by z pewnością zaimponował. Co do tego, co mówił Sapieha, to mam relacje z ust trzecich. Naturalnie był bardzo grzeczny, układny, nie zdradzał się ze szczególną sympatią dla Rady Stanu. Jak wiem z innych źródeł, Sapieha jest bardzo bliski Rady Stanu, zwłaszcza jej prawicy, reprezentowanej przez Rostworowskiego i cały Departament Spraw Politycznych, ale ze względów popularności, o którą bardzo mu chodzi, nie afiszuje się z tym tam, gdzie to może być źle widziane. Sapieha w ogóle jest człowiekiem ambitnym, któremu jakaś wielka rola uśmiecha się. Jest on dość sprytnym, żeby zrozumieć, że jednym z jego atutów jest to, iż dotąd pozostał wolnym od wszelkich etykietek partyjnych. Ma wielkie arystokratyczne imię rodowe, na co Polacy są niezmiernie wrażliwi, ma wielką fortunę, która otacza jego mitrę książęcą blaskiem i daje mu samodzielność, służąc razem za gwarancję tejże w oczach społeczeństwa, ma wybitne stanowisko społeczne, stojąc na czele jednej z najpotężniejszych i zarazem bodajże najpopularniejszych dziś instytucji krajowych, jaką jest Rada Główna Opiekuńcza, wreszcie jest dotąd nieskalany żadną przeszłością polityczną. Wszystko to otacza jego imię pewnym urokiem i robi zeń gwiazdę wschodzącą, gwiazdę, której popularność w narodzie wzrasta. Sapieha, świadomy tego, strzeże starannie tych wartości swoich. Pozwala to jego ambicji sięgać wysoko, bo aż do kandydatury do projektowanego obecnie i bardzo aktualnego w politycznych układach warszawskich – Rządu Narodowego, który ma stanąć na posterunku, opróżnionym przez Tymczasową Radę Stanu. Książę Eustachy Sapieha, osobiście *homo novus* na wielkim politycznym horyzoncie warszawskim, magnat z Litwy, właściciel wielkich dóbr w Ziemi Grodzieńskiej, staje dziś na linii obok imion tak popularnych, jak książę Zdzisław Lubomirski i ksiądz arcybiskup warszawski dr Aleksander Kakowski. Równorzędnie do nich wyłania się kandydatura do Rządu Narodowego Sapiehy, o czym dziś dał on nam do zrozumienia. Człowiek młody, bo zaledwie trzydzieści parę lat mający, szybko poszedł w górę. Bodajże przerósł on marszałka koronnego Niemojowskiego, który figuruje także na liście kandydatów do tego rządu jako jedyny żywy spadkobierca Tymczasowej Rady Stanu, ocalały z jej rozbicia w narodowej opinii, ale bądź co bądź nieco tą Radą i jej kompromitacją obciążony. Sapieha wyrażał wielką kurtuazję dziś dla nas i wielką gorliwość oraz przejęcie się naszą sprawą. Zapewniał, że dołożone zostaną wszelkie starania, aby losowi naszemu ulżyć i aby pobyt nasz tutaj skrócić. Nic wszakże bardzo konkretnego nie powiedział. Kładł nacisk na spodziewane rychłe powstanie Rządu Narodowego, ale nie określał ściślej związku między tym spodziewanym faktem

a tym, co z nami się stanie. Wspominał o dziesięciu dniach jako przypuszczalnym terminie, w którym dokonają się wybitne zmiany, stanowiące postęp w prawno-państwowym budownictwie Polski. Sprawy dokonanej przez nas odmowy przysięgi nie analizował. W rozmowie spytał jednak kapitana Zosika, czy, gdyby się utworzył Rząd Narodowy i gdyby tenże wezwał do przysięgi, przysięglibyśmy czy nie, a gdy mu Zosik, może zbyt pochopnie dał do zrozumienia, że tak, mówiąc, że przecie Rząd Narodowy był właśnie tym ideałem, za któryśmy się bili i do którego cały nasz czyn zmierzał, Sapieha głosem pojednawczym i wesołym zapowiedział, że w takim razie w krótkim czasie rzecz się dobrze ułoży i on będzie mógł nas na przysiędze powitać, a zwracając się na pożegnanie do ogółu żołnierzy, wyraził im „do widzenia w Warszawie na jakimś tam (tu wymienił któryś) placu – na przysiędze". Nie przeszkodziło mu to, wbrew zapewnieniom o maksymalnym 10-dniowym przypuszczalnie terminie dla wielkich zmian i dla naszego tu internowania, zapowiedzieć, że za dni czternaście (dwa tygodnie) odwiedzi nas znowu. Pewne trudności co do wydawania nam żołnierskich norm dziennych chleba obiecał omówić i postarać się przełamać po porozumieniu z gubernatorem warszawskim.
Rano dziś na gruncie tych właśnie norm chleba zaszło pewne nieporozumienie między nami a niemieckimi władzami obozu, które wywołało chwilowo dość duże zaburzenie i groziło nawet pewnymi komplikacjami. Chodzi to, że już dano doszło do naszej wiadomości, że w zasadzie uznanym zostało, iż za czas od przyjścia naszego do obozu jeńców, to znaczy od 18 lipca do końca tegoż miesiąca należy się nam jeszcze pełny wikt żołnierski, jak również żołd; zostaliśmy formalnie zwolnieni z wojska dnia 23 lipca, ale jeszcze do końca miesiąca należało się nam pełne utrzymanie żołnierskie. Co do żołdu, to ten istotnie już się wypłaca (przysyłają żołd z odpowiednich pułków; żołnierze V pułku już go otrzymali, my – jeszcze nie). Co zaś do wiktu, to ponieważ otrzymywaliśmy wikt podług racji nie żołnierskich, lecz obozowych (należnych jeńcom), więc liczyliśmy, że nam później przez odpowiednią ilość dni to wyrównają, wydając fasunki żołnierskie, zarówno chleba, jak prowiantu do kuchni. Że się to nam należy, o tym mówił nam sam major niemiecki, komendant tutejszego obozu. Mówił też, że to będzie załatwione właśnie w ten sposób, iż nam wydadzą wikt żołnierski przez tyle dni, przez ile byliśmy w czasie należnym pozbawieni. Co do chleba, to major i prowiantura obozowa tym usprawiedliwiali opóźnienie w wydawaniu nam żołnierskich norm chleba (po funcie najmniej dziennie), że w obozie nie ma zapasów chleba, względnie wypieka się tylko chleb obozowy, specjalnie wypiekany dla jeńców, gorszy od żołnierskiego (z większą ilością obcych domieszek do mąki). Wieści te dostawały się do wiadomości ogółu żołnierzy i co pewien czas urastały na tym tle pogłoski, że oto „od jutra" będzie chleba po 1/3 bochenka, zamiast po 1/6. Nigdy się to nie sprawdziło i żołnierze kpili sobie jeno z tych pogłosek. Ale oto przed paru dniami przywieziono duże zapasy chleba żołnierskiego i złożono go w magazynie prowiantowym, z którego my się zaprowiantowujemy. Chleb ten był przeznaczony dla nas. Zapowiedziano tym razem uroczyście, że „od jutra", to znaczy od dziś od 1 sierpnia, dostaniemy pełny chleb żołnierski i cały żołnierski wikt. Żołnierze niekoniecznie temu wierzyli, a zresztą nie nazbyt się tym zachwycali, bo utrzymanie, które mamy obecnie z pomocą komitetu kaliskiego (wraz z dodatkiem komitetowego chleba), stało się lepsze w ostatnich dniach od normalnego niemieckiego utrzymania żołnierskiego na tyłach. Ale czekano tego dnia dzisiejszego. Tymczasem Niemcy wydali znów rano chleb obozowy i w normie poprzedniej. Nasze szarże inspekcyjne odmówiły przyjęcia tego chleba, a na reklamacje zwrócone do Niemców major dał wyjaśnienie, że choć nie zdaje sobie z tego sprawy, jednak faktem jest, że otrzymał od władz warszawskich rozkaz, by wydawać nam nadal po ½ funta chleba. Długo

zostawaliśmy bez chleba, nim się toczyły rokowania z majorem. Żołnierze, głodni, wściekli się na Niemców. Zaczęły się rodzić projekty głodówki zupełnej, aż interweniowała rada żołnierska obozna, która po gorących obradach nie zdecydowała się na ogłoszenie głodówki i postanowiła chleb podług dawnych norm przyjąć. Większość porządnych żołnierzy była też za tym, a tylko garstka awanturników warcholiła.

2 sierpnia, rok 1917, czwartek
Coś wczoraj czy dziś przywieziono do obozu jeńców sporo aresztowanych w różnych miejscowościach Królestwa peowiaków, skazanych (oczywiście bez formalnego wyroku) przez Niemców na internowanie. Niemcy w ostatnich czasach, w związku z naszą sprawą przysięgi i aresztowaniem Piłsudskiego i Sosnkowskiego, dokonali masowych rewizji i aresztowań, zarówno w Warszawie, jak na prowincji. Zdecydowali się wejść kategorycznie na drogę represji dla stłumienia wreszcie ruchu radykalnego, rosnącego gwałtownie i zwracającego się coraz ostrzej przeciwko nim. Niemcy posądzają ten ruch o sympatie rosyjskie oraz rewolucyjne i zaczynają się go obawiać na tyłach swojego frontu. Oprócz obaw czysto militarnych, które mają pewne uzasadnienie wobec kształtów spiskowo-wojskowych, w jakich się ten ruch organizuje (P.O.W. oraz odpowiednie gniazdo tego ruchu w Legionach), Niemcy zdają sobie sprawę, że ruch ten, zdobywający popularność w społeczeństwie, krzyżuje ich polityczne zamiary i atuty w sprawie polskiej i nie chcą do tego dopuścić. Zdaje się, że co do posądzeń o sympatie i ciążenie rosyjskie tego ruchu Niemcy są w błędzie. W ruchu tym rośnie nie tyle ciążenie do układu z Rosją, ile świadomość roli czynnika pojednawczego, która Polsce coraz wyraźniej w udziale wypada. W ogóle w sumieniu narodowym, jak w najwrażliwszych kołach politycznych obozu niepodległościowego świadomość ta robi coraz większe postępy. Istotnie Polska i sprawa jej niepodległości przestaje być bierną kością niezgody oraz aktywnym czynnikiem nienawiści i rozdziału powaśnionych stron w tej wojnie; staje się natomiast coraz bardziej czynnikiem pojednania, mostem do zgody, elementem ukojenia i pokoju. Stąd też rośnie w najradykalniejszych niepodległościowo kołach niechęć i przeciwstawienie się wszelkim usiłowaniom służebnego wiązania sprawy polskiej z jednostronnym interesem tej lub innej strony, zarówno Rosji, jak Niemiec. Niewątpliwie, że antyrosyjski front niepodległościowego kierunku się stępił, ale stąd do czynnego sojuszu z Rosją, do łączenia sprawy polskiej z jej sprawą – daleko. Natomiast faktem jest również, że na gruncie tej nowej budzącej się świadomości zasadza się i pogłębia konflikt między kierunkiem ściśle i konsekwentnie niepodległościowym a tą linią polityczną, po której, choć chwiejnie i zygzakowato, rzucając nieraz błagalne bezradne spojrzenia w stronę własnego społeczeństwa, podąża jednak Tymczasowa Rada Stanu. Niemcy, zdaje się, niezupełnie rozumieją sytuację i nie umieją pomimo swej mądrości zorientować się należycie w procesach, dokonywających się w polityce i w psyche polskiej. Z błędu zaś tego ciągną swoje konsekwencje i niepotrzebnie komplikują stosunek Polaków do nich, tracąc na tym sami. Areszty dotknęły licznych przywódców tzw. lewicy niepodległościowej, P.O.W. i Ligi Kobiet. Jak tylko nasi legioniści dostrzegli w obozie jeńców cywilów, osadzonych w jednym z pobliskich kwartałów, zainteresowali się nimi i zdołali się skomunikować, pomimo że ich kwartał od naszego oddzielają jeńcy Rumuni. Okazało się, że są to peowiacy. Oprócz tego, dostrzeżono w tymże czy jeszcze dalszym kwartale, w jednej z jego sekcji, internowane kobiety i dotarto do nich, i dowiedziano się, że to są internowane „ligawki" (z Ligi Kobiet) – z Płocka i z Siedlec czy Suwałk. Oczywiście że tak peowiacy, jak ligawki nie korzystają z tych różnych względów, z których bądź co bądź korzystamy my, jak brak posterunków niemieckich, tolerowany samorząd

wewnętrzny, zwłaszcza zaś dowóz chleba i prowiantu do kuchni z Kaliskiego Komitetu Pomocy, sprawiający, że mamy dziś wikt od tygodnia już nie tylko znośny, ale wcale dobry, o wiele lepszy, niż wikt żołnierski w pułku. Są oni na stopie pospolitych jeńców z całą ohydą kuchni obozowej i wszelkich ograniczeń i przymusu. Legioniści z całą chęcią dopuściliby tych cywilnych towarzyszy niedoli, z którymi są ideowo spojeni, do równego udziału w chlebie i polepszonym wikcie, ale technicznie jest to do wykonania trudne. Jednak doraźnie dało się parę razy im coś tam z kuchni dostarczyć.
Natrafiłem dziś w gazetach na wiadomość o śmierci Kunowskiego w Warszawie, z którym w roku zeszłym, jeszcze w Piotrkowie, byłem po jego przyjeździe z Petersburga przez Szwecję w bardzo bliskich stosunkach i który był potem członkiem Rady Stanu, gdzie zajmował stanowisko dyrektora Departamentu Pracy; jako członek Rady Stanu jeździł tej wiosny do Sztokholmu, skąd toczył bardzo ważne rokowania z emigracją polską w Rosji, zwłaszcza z obozem demokratycznym i kierunkiem Aleksandra Lednickiego. Wkrótce po powrocie z Warszawy wystąpił z Rady Stanu, będąc z niej odesłany przez PPS, której był w Radzie mężem zaufania. Co spowodowało jego śmierć, tak niespodziewaną – nie wiem. Był to przecie człowiek młody, pełny, zdawało się, sił, i w każdym razie energii. Dla człowieka tego miałem dużo uznania, zaufania osobistego i sympatii.
Je vais aborder[1] dzisiaj temat, który mi się zapewne rozciągnie na długi szereg dni, bo chcę go omówić szczegółowo, a dotyczy on rzeczy w naszych warunkach niezmiernie ważnej. Mam na myśli radę żołnierską, która odgrywa tu dużą rolę i ma do spełnienia dużo bardzo poważnych i bardzo żywotnych zadań. Całe nasze życie tutaj wiąże się z działalnością tej instytucji. Naturalnie, że rada żołnierska tutaj ma zupełnie inne cechy i funkcje, niż miewała dawniej. Z tych też względów, będąc do niedawna jej przeciwnikiem na gruncie pułku, jestem wielkim jej rzecznikiem tu w obozie jeńców i czynnie w niej pracuję. Rada żołnierska bezpośrednich zadań politycznych tutaj właściwie nie ma. To główne zło, które robiło z niej rzecz w stosunkach wojskowych niebezpieczną, a specjalnie w naszych warunkach w ostatnich czasach nawet szkodliwą – mianowicie rola rozpolitykowania żołnierzy, rola jałowej politykomanii, tu z natury rzeczy, z konieczności – odpadła. Gdyby ona nawet chciała się tym zajmować, nie mogłaby tego tu robić. W sferze politycznej rola jej ogranicza się prawie wyłącznie do narzędzia informacyjnego względem masy żołnierskiej. Główne jej natomiast i bardzo doniosłe zadanie, to ścisłe współdziałanie z naszymi przełożonymi oficerami na rzecz utrzymania naszego samorządu, jego spoistości i dobrego funkcjonowania oraz na rzecz w ogóle regulowania wszystkich stosunków, potrzeb i zadań naszego wewnętrznego społecznego życia. W tym charakterze jest ona obok komendantów naszych najpoważniejszym czynnikiem społecznej organizacji naszej. Oczywiście, że jako taka musiała ona tutaj zerwać całkowicie z formą konspiracyjną budowy i działalności i oprzeć się na innych zasadach – w pierwszym rzędzie na jawności.

3 sierpnia, rok 1917, piątek
Nic u nas nowego. Ciągłe te same wieści, że jakieś decyzje zwrotów już, już wiszą na włosku i że oto już za tydzień, że lada dzień coś spadnie wielkiego, jak dojrzały owoc z drzewa. Mówi się o tym ciągle, słyszy się ze wszech stron, wszystkimi porami się to wciska do obozu ze świata zewnętrznego, a w gruncie nie bardzo się już w cokolwiek wierzy. Ciągle niby jest na utworzeniu ten oczekiwany Rząd Narodowy, do którego ma wejść Kakowski, Lubomirski i inni, ciągle niby Niemcy już, już decydują się kategorycznie w sprawie budowy państwa polskiego na koncesje, a w gruncie wóz jak

[1] Rozpoczynam (fr.).

stał, tak stoi. Tak samo rzecz się ma i z naszym losem. Ciągle dochodzą nas z zewnątrz głosy, nawołujące do „wytrwania” (ciekawym, jak moglibyśmy „nie wytrwać”?), do cierpliwości, bo oto już rychło, bardzo rychło zapadną w naszej sprawie decyzje w związku z zasadniczymi decyzjami politycznymi i albo zostaniemy całkiem zwolnieni i wypuszczeni na wolność, albo wrócimy do pułku. Tymczasem zaś czas płynie i płynie. Przyjeżdżał w tych dniach z pułku naszego porucznik Młot-Parczyński, przywiózł nam pocztę, trochę podarków (warcaby, domino, skarpetki i onucze, cukierki, z których przy podziale wypadło po cukierku na gębę), przywiózł trochę wieści ze świata, list od pułkownika Śmigłego. Ale go samego do nas nie wpuszczono, mimo że się bardzo starał o to; dostarczył nam przywiezione rzeczy jakąś kontrabandą i na tym koniec; poczta, wieści ze świata, gazety, nawet ulotne nielegalne świstki, odezwy, broszury i pisemka dochodzą do nas dość obficie i regularnie, przez poszczególnych żołnierzy, którzy wpierw grupkami, a teraz jeszcze pojedynczo przyjeżdżają z pułków do obozu jako internowani. Gorzej jest z pocztą odchodzącą, którą jest bardzo trudno przemycić z obozu do Kalisza, aby ją stamtąd w świat wyekspediować. Z poczty, którą przywiózł Młot, otrzymałem krótki listek od Włodka Mozołowskiego i list od Hellera z kompanii. Nic zresztą nowego w tych listach nie było. Co do pieniędzy, których czekam, bo jestem już zupełnie goły (5 fenigów w kieszeni i 4 marki długu), tak że aż muszę przestać palić, to niestety, wbrew wiadomości w ostatnim liście od Papy, że mi przysyła 100 marek, Heller pisze, że żadne pieniądze do mnie dotychczas do pułku nie przyszły. Ano trudno: cierpliwości!
W paru ostatnich dniach byłem bardzo przeciążony pracą, mianowicie sądową i publicystyczną. Centralny tzw. Obożny Sąd Żołnierski funkcjonuje już na dobre, a że jestem jego prezesem, więc mam w każdej sprawie dużo roboty, zarówno w rozprawie i ustanowieniu oraz ułożeniu wyroku, jak następnie w załatwieniu go formalnym aż do przekazania wykonaniu. Wczoraj miałem dwie takie sprawy w Sądzie Obożnym: sprawę Machaja (mego, jak się okazało, dawnego kolegi z polesko-wołyńskiej kampanii w II plutonie w roku 1915) o kradzież artykułów spożywczych – masła, wędliny i chleba – z paczki prywatnej, którą wiózł z Łomży do obozu dla pewnego żołnierza, i sprawę kaprala Zajdla, furiera naszego bloku, o przywłaszczenie jednej porcji chleba fasunkowego. Zajęły mi one dość dużą część dnia, a jeszcze i dziś miałem z formalnościami wyroków w obu sprawach sporo kramu. A trzebaż, że właśnie z tą forsowną pracą sądową zbiegła się forsowna terminowa praca publicystyczna. Chodziło o dokończenie dłuższego artykułu, zawierającego opis aktu odmowy przysięgi w I pułku piechoty i o terminowy artykuł do jednodniówki, którą wydajemy na 6 sierpnia. Co do pierwszej z tych prac, to gromadzi je, dopiero w charakterze materiału, komisja redakcyjna przy Obożnej Radzie Żołnierskiej (prezes tej komisji – sierżant Wisła z V pułku piechoty). Dałem właściwie nie tylko opis samego aktu odmowy przysięgi w dniu 12 lipca, ale i genezę odmowy w psychologii żołnierzy, motywy i cały tok sprawy przysięgi w I pułku. Co do drugiej z tych prac, to rzecz się przestawia tak. Obożna Rada Żołnierska, do której nie wchodzę, urządza w obozie obchód trzeciej rocznicy 6 sierpnia 1914 (myśl o tym podałem ja sam w ostatnich dniach lipca na posiedzeniu naszej pułkowej czy raczej blokowej rady, zresztą myśl nie nową, tylko że pierwszy o tym przypomniałem). Obchód będzie oczywiście skromny, jak na to nasze szczupłe środki techniczne w obozie jeńców pozwalają. Uroczystość obchodu i jej program nie zostały dotąd żołnierzom obwieszczone, bo Rada Obożna robi z obchodu dla żołnierzy niespodziankę. Z pewnością po obchodzie opiszę go w dzienniku. Tymczasem zaznaczę tylko tyle, że wiem, iż obchód ma się zamanifestować, podług projektu rady, jakimś odczytem (byłem angażowany do jego wygłoszenia, ale się nie podjąłem), deklamacją, odegraniem (oczywiście w bardzo prymitywnych warunkach scenicznych) jakiegoś

kawałka czy może żywym obrazem, z pewnością śpiewem i może jeszcze jakimiś rozrywkami o charakterze poważnym i stosownym do uroczystości, wreszcie, dla dogodzenia najżywotniejszej potrzebie biednych niewolników i upamiętnienia im chwili uroczystej, jakimś sutszym szczególnym fasunkiem czy też obiadem lub chlebem z zapasów, dostarczonych przez komitet kaliski, a nieco zaoszczędzonych w dniach poprzednich. W uzupełnieniu do tego obchodu zaprojektowano wydanie okolicznościowej jednodniówki, która, bez cenzury oczywiście, ma wyjść w Kaliszu; zwołane przez sierżanta Wisłę w sprawie tej jednodniówki zebranko grona ludzi o mniej lub więcej literacko-redakcyjnych aspiracjach czy tam kwalifikacjach wyłoniło przedwczoraj komitecik redakcyjny w osobach Budzyńskiego z I pułku ułanów, sierżanta Orlika z IV pułku piechoty i mnie. Mieliśmy przed sobą termin niesłychanie krótki, o ile jednodniówka ma ukazać się w druku już w dniu 6 sierpnia lub najdalej w parę dni potem; musimy oddać cały materiał gotowy w rękopisach już jutro rano. Naszym zadaniem jest tylko ułożenie planu, wystaranie się o to, aby odpowiednie artykuły były napisane, przeredagowanie ich i – koniec. Uporządkowany przez nas, gotowy do druku materiał zostanie już przemycony bez naszego udziału do Kalisza i złożony tam w ręce stosowne, gdzie już zajmą się całą techniczną stroną wydania. Jednodniówka przeznaczona jest zarówno dla żołnierzy w obozie, jak na zewnątrz. Liczymy na to, że takie pisemko, które wyjdzie z łona internowanych legionistów, przy tym zainteresowaniu, jakie budzi powszechnie w społeczeństwie nasza sprawa, obudzi zaciekawienie i będzie szeroko poszukiwane. Nakładałoby to na nas szczególną odpowiedzialność za doborową treść tej jednodniówki. Niestety, o doborowości ani marzyć nie możemy. To nam zresztą będzie wybaczone, byle myśl i uczucie były proste, szczere, głębokie i silne. I to jest jednak trudne. Bo krótkość terminu, warunki psychiczne i moralne w obozie jeńców, wreszcie brak wszelkich elementarnych wygód do pracy literackiej komplikują strasznie zadanie. Wiadomo jest, jak nawet w najlepszych warunkach trudno wyciągnąć od literatów, i to już nie dyletantów, ale zawodowych jakikolwiek artykuł (o ile zwłaszcza nie jest płatny i o ile literat nie potrzebuje pieniędzy). A cóż dopiero tu u nas! Gdyby był czas dłuższy, to może i dałoby się trochę lepszych rzeczy zebrać, bo ludzi jest w obozie dużo i niejeden może mieć pióro dobre i głowę oraz serce. Uwzględnijmy jeszcze to, że warunki są u nas takie, że nawet o papier jest trudno, stołów, krzeseł ani stołków nie ma i pisać można wyłącznie albo na kolanie, albo leżąc. Licząc się z tymi przeszkodami, ułożyliśmy plan jednodniówki bardzo skromny. Ot – byle tylko uczcić naszą wielką rocznicę, dać, na co nas stać w tych warunkach, a więc: artykuł wstępny, którego podjąłem się ja, kreśląc w nim ideę czynu z dnia 6.VIII.1914 i ciągłość tej idei przez całe dzieje trzech lat wojny w Polsce oraz dzieje Legionów aż do obecnej sprawy przysięgi, wykazując, jak wszystkie późniejsze wypadki oraz cały tok myśli i idei niepodległości we wszystkich jej fenomenach miał swoją żywą krynicę w strzeleckim czynie sierpniowym, dalej mieliśmy się wystarać o artykuł o Piłsudskim, jeden lub dwa wiersze, coś ze wspomnień lub nastrojowych kawałków, wreszcie korespondencję z obozu jeńców, streszczającą główne rysy naszego tu życia. Mój artykuł udał mi się dobrze; jego tytuł: „6 sierpnia 1914 – 6 sierpnia 1917”. Artykuł o Piłsudskim dał niejaki Sadowski; ze wspomnień nikt nie dał nic – rzecz niespodziewana, bo, zdawałoby się, o to najłatwiej; korespondencję, krótką, ale dobrą, treściwą dał Zagłoba-Kamiński. Czegoć napłynęło najwięcej, to… wierszy. Tego wpłynęło tak dużo, że musieliśmy odrzucać. Ale wszystko, co przyszło w sferze poezji – liche aż wstyd.

4 sierpnia, rok 1917, sobota

Nie będę dziś pisał o żadnych wypadkach dnia w obozie, bo zresztą dzień był pospolity, jak inne, jeno wspomnę o ostatnich nowinach wojny, a następnie przejdę do rady żołnierskiej.
Postępy wspaniałej ofensywy niemieckiej na froncie południowo-wschodnim rozwijają się. Ostatni numer dzienników, który miałem w ręku (z dnia 3 sierpnia „Kurier Polski"), przynosi następujące wieści. W Galicji Wschodniej w ostatnim zakątku południowo-wschodnim, w rożku między ujściem Zbrucza a Dniestrem, Rosjanie odrzuceni zostali za granicę, na Chocim. Na południowym brzegu Dniestru zwycięskie wojska zbliżają się już także do granicy rosyjskiej. W całym pasie między Dniestrem a Prutem pochód szybko posuwa się naprzód i jest już niedaleko Czerniowiec. Na południu od Prutu zachodnia część Bukowiny jest już wolna. Walki toczą się tu nad dolnym Czeremoszem, w górnym biegu południowego rumuńskiego Seretu, w dolinach rzek Suczawy i Mołdawy. W południowej Bukowinie Niemcy i Austria dochodzą do Kimpolungu. Niżej, w Multanach, linia rosyjsko-rumuńska znaczniejszych zmian jeszcze nie doznała. Cała już więc Galicja, prócz małego paska na północnym wschodzie w okolicy Brodów, jest wolna od Moskali. Zresztą w kierunku tego paska nacisku ofensywa dotąd nie wywiera. W ogóle o ile chodzi o charakterystykę i tendencje tej ofensywy, tak niespodziewanej dla laików, jak bodaj żadna inna dotąd, a tak świetnej wielkim rozmachu (ruchy o takim zakroju spotykają się w tej wojnie tylko na wschodzie), to coraz widoczniej ujawnia się jej kierunek, idący z północnego zachodu na południowy wschód. Kierunek ten, na razie niedostrzegalny, dziś coraz jaskrawiej się objawia. Przełamanie frontu rosyjskiego, które było punktem wyjścia tej ofensywy, miało miejsce gdzieś na odcinku Brzeżan i dróg z zachodu na Tarnopol; wybiegłszy stamtąd i zaskoczywszy silnym uderzeniem lewego skrzydła Tarnopol, jej siła w posuwaniu się na wschód zaczęła zbaczać skośnie na południe: jej jądro przeszło przez Kozowę, potem na linię Trembowla-Buczacz; tymczasem lewe skrzydło posuwało się w głąb na wschód od Tarnopola, ubezpieczając centrum uderzenia, które, dotarłszy do pogranicznego Zbrucza pod Husiatynem i wyparłszy Moskali z kąta między ujściem galicyjskiego Seretu a Dniestrem, ześliznęło się po Zbruczu od Husiatyna poprzez Skałę aż do jego ujścia, jądro zaś operacji wtłoczyło się w korytarz między Dniestrem a Prutem. W kierunku lewego skrzydła, na północny wschód, w kierunku na Brody i Wołyń Południowo-Zachodni – cisza. O żadnych tam operacjach depesze nie donoszą. Ruch zaś ten, w którym posuwa się groźnie jądro ofensywy, ma wszelkie cechy głębokiego flankowania całych Multan, kierując się albo na Besarabię, albo w ciaśniejszym promieniu na pas zachodnio-multański między Prutem a południowym Seretem. Postępy tego flankowania i szybkość ruchu ofensywy, zbaczającej na południowy wschód, komplikują się groźnie dla Moskali i Rumunów przez obecność czającego się do skoku na południu Mackensena, wielkiego pogromcy wschodu, który jak orzeł zawisł nieruchomo wpatrzony w perspektywę toczącej się przed nim u spodu gry, by w chwili najstosowniejszej runąć na ofiarę i zadać jej „*le coup do grâce*"[2]. Jeżeli coś nadzwyczajnego nie zmieni nagle biegu wypadków, to Rosjanie i Rumuni znajdą się już w dość prędkim czasie w wielkich opałach, by się wydostać z matni, jaką im Hindenburg na Multanach i ewentualnie w Besarabii gotuje. W ofensywie tej manifestuje się znowu ten sam plan, który był wykonywany we wszystkich poprzednich wielkich ofensywach niemieckich na wschodzie, jak również podobny w pierwszej ofensywie we Francji na początku wojny. Plan ten iści się w wielkim przełamaniu frontu i forsownym głębokim flankowaniu. We wszystkich tych ofensywach, czy to bezpośrednich Hindenburgowskich w Prusach Wschodnich, w

[2] Cios miłosierdzia (fr.).

Litwie i na północy Królestwa, czy w wielkiej galicyjskiej z r. 1915, czy też w serbskiej i zeszłorocznej rumuńskiej, czy wreszcie obecnej jest jedna metoda. Z wykonawców jej najgenialniejszym jest Mackensen, ale autorem metody – Hindenburg. Zapewne historycy tej wojny, którzy ją fachowo studiować będą, wykryją i ustalą ścisłe elementy tej jednolitej metody, charakteryzującej całą, co najmniej wschodnią, akcję tej wojny. I nazwą ją chyba metodą Hindenburga.
Maluczko mi zostaje miejsca na radę żołnierską naszą wobec rozległości tematu. Referując w dzienniku o radzie, dotknę prawie wszystkich sfer naszego życia. Zdaje się jednak, że nasz pobyt w obozie jeńców co najmniej tyle się jeszcze przeciągnie, że zdołam wyczerpać cały zasób tematu o radzie, zanim stąd wyjdziemy, choćbym to robił najszczegółowiej.
W warunkach, w jakich tu w obozie jesteśmy, nasz samorząd tolerowany przez władze niemieckie, aczkolwiek zawsze prekarny, mogący nam być każdej chwili odebrany, jest największą dźwignią naszego życia moralnego i fizycznego, sfery duchowej i materialnej. Dzięki niemu tylko mamy względną swobodę ruchów wewnątrz, możemy drogami przemytniczymi komunikować się ze światem zewnętrznym, możemy zaspokoić cały szereg naszych potrzeb kulturalnych, społecznych i narodowych, mamy lepsze utrzymanie przez zaprowiantowanie z Komitetu Kaliskiego itd., a nade wszystko możemy się utrzymać na stopie żołnierzy polskich, wprawdzie formalnie przez Komendę Legionów zwolnionych z wojska i uznanych już za cywilów, ale faktycznie we własnej świadomości i woli pozostających wojskiem, jak owi bajeczni rycerze królowej Jadwigi, zamknięci gdzieś głęboko we wnętrzu Gór Tatrzańskich, unieruchomieni fizycznie przemocą, ale wolni w sercu i woli, czujni, gotowi wyjść i znów do czynu stanąć, gdy ich zew Narodu wywoła, a złoty róg lub wielka dłoń wrota ich ciemnicy otworzy. Za takich obezwładnionych zbrodniczą ręką, ale czujnych i żywych, swoich prawowitych rycerzy – uważa nas prawie cała Polska i takimi też być pragniemy, a przynajmniej pragnie większość; pragną ci, którzy ideę żywą w sercu przechowali. Pod popiołem zmęczenia i zniechęcenia po tylu doznanych zawodach i przejściach, pod rdzą zwątpienia lub demoralizacji zewnętrznej drzemią jeszcze iskry gorące ducha i prawdziwy szlachetny kruszec woli i gotowości czynnej do nowych ofiar. Ale tu w obozie jeńców, w warunkach niewoli, niebezpieczeństwo demoralizacji i skruszenia hartu ducha – jest większe niż gdzie indziej i niż kiedykolwiek. Jest szczególna łatwość szerzenia się jej jak zarazy. Sprężystość organizacji wewnętrznej, zbudowanej na założeniach wojskowych, jest ciągle zagrożona, a wraz z nią zagrożony i nasz samorząd, podczas gdy ta organizacja jest naszą dziś jedyną siłą moralną i materialną. Otóż na straży tej organizacji, a również dla walki i dla uprzedzania demoralizacji, do pomocy i współdziałania z aparatem naszego zwierzchnictwa wojskowego, streszczającego się w oficerach i szarżach podoficerskich wraz z całym mechanizmem zorganizowanych funkcji służbowych, zbudowana tu została nasza rada żołnierska jako organ masy żołnierskiej, organ wybitnie społeczny, oparty na reprezentacji (wyborach). Rada żołnierska taka, jaka tu powstała, jest wyrazem samopomocy żołnierskiej, wspierającej hierarchiczną metodę ładu wojskowego. Równolegle ujmuje ona cały szereg potrzeb ogólnych, takich jak sfera żywnościowa, oświatowo-kulturalna itp. W tym charakterze rada żołnierska jest tutaj nader pożyteczna, wprost niezbędna. U nas w bloku, zamieszkałym przez pułk I, ukonstytuowała się ona zaraz po naszym przyjściu do obozu i od razu na zasadach społecznych jawności i przedstawicielstwa. W niektórych pułkach, jak w pułku V lub w I-szym ułanów, nie zorientowano się na razie w zadaniach i charakterze powstającej rady, i ulegając nałogowi konspiracji, wyniesionemu z praktyki rad żołnierskich w pułkach, zbudowano radę żołnierską tajną, przez kooptację ludzi, którzy poprzednio w

radzie brali udział. Gdyśmy się o tym dowiedzieli, wpłynęliśmy energicznie na dokonanie wszędzie reformy w kierunku jawności tworzonych rad.

5 sierpnia, rok 1917, niedziela
Dziś całą kartę poświęcę radzie żołnierskiej. Organizacja rady ustalona została dwustopniowa. W podstawie stanęła rada żołnierska pułkowa, osobna na każdy pułk, a właściwie na każdy blok (sfera bloku nie pokrywa się, jak to już wspominałem, ze sferą pułku, ponieważ liczby żołnierzy z różnych pułków nie są równe, liczby zaś baraków i przeto miejsc w blokach są równe). Rada więc żołnierska blokowa stanowi główny i pierwszy zrąb organizacji. W naszym bloku, w bloku IV, który prawie że pokrywa się pułkiem, oparto od razu radę żołnierską na pierwiastku bezpośrednich wyborów. Co więcej, ustalono od razu zasadę jak najszerszej jawności rady i jej funkcjonowania we wszystkich sferach. Za jednostkę wyborczą przyjęto barak, to znaczy salę. Każdy barak wybrał przez głosowanie powszechne i bezpośrednie dwóch przedstawicieli do rady pułkowej, względnie blokowej. Pierwszy z tych przedstawicieli jest właściwym delegatem, posiadającym pełnię mandatu, drugi – jego zastępcą. Na posiedzeniach rady mogą być obaj przedstawiciele, ale w zasadzie musi być tylko jeden; jeżeli są obaj, to głos decydujący ma tylko delegat, to znaczy tylko on jeden z danego baraku może uczestniczyć w głosowaniu, zastępca zaś ma tylko głos doradczy, to znaczy może przemawiać w dyskusji i nawet stawiać wnioski, ale nie głosuje nad nimi; o ile główny delegat jest nieobecny, zastępca zyskuje głos decydujący. W tej organizacji chodziło o to, aby w postanowieniach rady zachować równość uczestnictwa poszczególnych baraków, aby wszystkie baraki miały głos i każdy nie więcej, niż po jednym. Do wykonawczej roboty rady, do udziału w komisjach i sekcjach są dopuszczani bez żadnej różnicy tak delegaci, jak zastępcy; w tej też konkretnej pracy, poza plenarnymi posiedzeniami rady, różnica między delegatami a zastępcami ustaje; tam już każdy wykonywa pracę jako członek rady, nie reprezentant baraku. Tak samo nie ma reprezentacji poszczególnych baraków, a więc i różnicy między delegatami a zastępcami na posiedzeniach i w pracy komisji, które są uważane za funkcjonalne organy całej rady. Charakter barakowo-reprezentacyjny istnieje tylko na plenarnych posiedzeniach rady, gdzie zapadają uchwały o charakterze ustawodawczym dla wszystkich zakresów działalności organizacji. Delegaci, względnie ich zastępcy mają obowiązek referowania w swoich barakach o wszystkich uchwałach rady, jak również o pracach w komisjach. Nasza rada blokowa ukonstytuowała się coś w dwa dni po przyjściu naszym do obozu. Skład jej, w wyniku dokonanych po barakach wyborów, okazał się następujący: barak I – delegat ja, zastępca Wiktor Krzewski (szeregowiec); barak II: delegat Wiktor Wąsowicz (młodszy sierżant), zastępca Wojciechowski (kapral); barak III – delegat Zagłoba-Kamiński (kapral), zastępca Frycz (starszy żołnierz); barak IV – delegat Zowczak (młodszy sierżant), zastępca Biernacki (szarży nie wiem); barak VI – delegat Świercz (starszy żołnierz), zastępca Ratajski (szeregowiec); barak VII – delegat Malbrocki, zastępca Niedzielski (obaj szeregowcy); barak VIII – delegat Lehr (starszy sierżant), zastępca Grodek (szarży nie wiem); barak IX – delegat Słonimski (sierżant sanitarny), zastępca Jalowski (szarży nie wiem); barak X – delegat Marek, zastępca Górski (obaj szeregowcy). W tym spisie pominięty jest barak V, ponieważ w czasie organizowania się rady i wyborów do niej barak ten był próżny; dopiero później został on zaludniony z jakichś nowych późniejszych transportów (zdaje się, że kwaterują w nim nie liniowi żołnierze z naszego pułku, jeno żołnierze jakiegoś oddziału specjalnego); czy w baraku V po jego zaludnieniu dokonano wyboru delegata i zastępcy do rady – nie wiem. Co do osobistego składu rady nadmienię, że gdy się zebrała po raz pierwszy, składała się w większości z ludzi na tym

polu działania nowych, mnie osobiście nieznanych i nieraz nie znających się między sobą, ludzi, którzy nie należeli ani do rady żołnierskiej w pułku, ani do rady w kadrze w Zegrzu. Ze starych działaczy rady był Zagłoba, ja, Wąsowicz, Marek, Świercz, Lehr (ten ostatni jednak zawsze trzymał się w radzie w pewnej rezerwie); poza tym w Zegrzu brał udział w radzie Malbrocki, który był jednym z rzeczników utrzymania organizacji w okresie, gdyśmy ją po znanym kryzysie majowym rozwiązywali, w ostatnich zaś czasach w Pomiechówku brał czynny udział Zowczak, który szczególnie twardo, w sposób dla mnie bardzo niesympatyczny, występował w roli mówcy-poskromiciela idei oporu przeciwko rozbrojeniu po odmowie przysięgi. Szereg zaś takich członków rady, jak Krzewski, Frycz, Ratajski, Biernacki, Grodek, Jalowski, Górski – to zupełni *homines novi*, którzy zresztą następnie w działalności rady okazali się zupełnie bierni. Krzewskiego i Frycza znałem, ponieważ jestem z nimi z jednej kompanii, większości zaś innych nie znałem wcale lub bardzo mało. Rada nasza po wyborze zorganizowała się, rozdzielając się na komisje, ale sama się właściwie nie ukonstytuowała, bo żadnego prezydium ani zarządu nie wybrała. Rolę improwizowanego *leadera* przywłaszczył sobie bez żadnego wyboru ani sankcji Zagłoba, który z własnej inicjatywy objął przewodnictwo na zebraniach, prawo zwoływania zebrań, zagajania, słowem całej funkcji centralizowania organizacji. On zresztą był jednym z inicjatorów powołania rady żołnierskiej do życia. Zagłoba, bardzo ambitny, dość zdolny i niegłupi, posiadający niewątpliwie zmysł organizacyjny, niezły, choć niegłęboki mówca, energiczny i wytrwały w swoim dążeniu, nie może nigdy długo utrzymać się w bezczynności, w cieniu, gdy dokoła niego coś się robi. Trawi go wtedy tęsknota i niepokój ambicji, gorączka działania, w której motywy błyszczenia i osobistego zadowolenia dominują nad motywami czynu i sprawy, o którą chodzi. Zresztą nie robię mu z tego wielkiego zarzutu, bo wiem, że ambicja jest dźwignią większości ludzi społecznego czynu i wielu płodnych poczynań i sam zresztą nie jestem zupełnie wolny od niej, tylko trochę za dużo ma jej Zagłoba i trochę jest ona u niego zbyt nerwowa, zbyt trawiąca go gorączką; ale tu młodość jego jest tej ambicji sekundantem. Na skutek tej gorączki ambicji Zagłoba nie zdołał się już nawet w Zegrzu, a tym bardziej potem w Pomiechówku utrzymać konsekwentnie na linii równowagi własnych przekonań i wbrew własnej decyzji i świadomości, po kryzysie majowym, stanąwszy na stanowisku rezerwy i niepolitykowania, uznając tezę o „wytwarzaniu gotowości” za jałową, a w konsekwencjach szkodliwą, nie wytrwał i dostrzegłszy pierwsze ożywienie we wznowionej jeszcze w Zegrzu radzie żołnierskiej, choć był to tylko sztuczny pozorny rumieniec suchotnika, runął znów namiętnie w tę działalność, a raczej w jej fikcję i po powrocie do Pomiechówka znów się wysunął na *leadera* rady. Wprawdzie niewiele zdziałał, bo do działania nic nie było i sam się wkrótce o tym przekonał, powtórnie do likwidacji rady przykładając rękę, ale pozyskał popularność wśród ludzi, którzy w tym suchotniczym okresie rady pomiechowsko-modlińskiej udział brali, a nawet szerzej poza radą, gdy już ona stała się jawną i ogół go w roli sprężyny czynnej mógł ujrzeć. Tę zdobytą popularność wyzyskał teraz, by się tu w radzie blokowej wśród wielu nowych ludzi wysunąć na czoło. Zresztą Zagłoba jest bodaj istotnie z nas wszystkich najstarszym w instytucji rad żołnierskich działaczem, bo był członkiem jeszcze pierwszej rady z czasów Stochodu i Baranowicz po dymisji Piłsudskiego.

6 sierpnia, rok 1917, poniedziałek
Trzecia rocznica dnia 6 sierpnia 1914. Święto idei strzeleckiej, która przed trzema laty streściła się w wymarszu z Krakowa strzelców Piłsudskiego i przekroczeniu przez nich granicy Królestwa Polskiego i w której jak w źródle mieściło się wszystko to, co później w Polsce w zakresie czynu i woli się dokonało. Trzecia rocznica wielkiego dnia

zastaje znakomitą część legionistów, spadkobierców idei strzeleckiej, w niemieckim obozie jeńców wojennych, do którego wtrąceni zostali przez Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego, pierwszą naczelną instytucję narodową, powołaną rzekomo do realizowania państwa polskiego.
Gotowaliśmy się do spędzenia dnia dzisiejszego uroczyście, obchodząc nasze święto tak, jak nas na to stać i jak warunki w obozie jeńców pozwolą. Niestety – uroczysty dzień wypadł nam smutnie. Zamiast wesela, spotkały nas różne zawody i zwłaszcza jedna, bolesna dla nas, przykrość, która może ciężko zaważyć na naszych stosunkach w niewoli.
Mówiłem w dzienniku, że rada żołnierska w porozumieniu z naszymi władzami samorządu przygotowywała w sekrecie od żołnierzy obchód dnia 6 sierpnia. Opracowywany był cały program obchodu, który jednak z różnych przyczyn technicznych nie mógł być uskuteczniony. Pozostawały tylko szczątki programu, które mogły i miały być zrealizowane i które jednak, choć skromne, stanowiłyby pewne urozmaicenie i uprzyjemnienie naszego szarego monotonnego życia. Naturalnie, że ukryć tego od żołnierzy się nie dało. Kto i co zdoła ukryć od wszędobylskiego, węchem wszystko wyszperającego leguna? Opiszę ten dzień, wielki przez swą rocznicę, ale ciężki i smutny przez wypadki, które zaszły. Pierwsza rzecz, planowana w programie uroczystości – to msza polowa. Niemieckie władze obozu na to się chętnie zgodziły. Natomiast sprawa teatru, jakiejś zabawy ogólnej czy tam odczytu, w ogóle urządzenia czegoś wspólnego dla całego ogółu internowanych legionistów – nie znalazła aprobaty u majora niemieckiego. Wszystko miało się skończyć na wspólnej mszy polowej, na obfitszym fasunku chleba z Komitetu Kaliskiego, na dodatkach do wiktu w postaci herbaty z cukrem po kolacji na wydaniu po jednym papierosie dla każdego żołnierza i wreszcie na improwizacjach uroczystości po poszczególnych blokach, a więc prawdopodobnie na śpiewach, może jeszcze gdzieniegdzie na przemówieniach – i już. O godz. 8 ½ rano zarządzono zbiórkę na nabożeństwo. Początkowo mieli iść tylko ci, którzy chcą, ale potem poprowadzono wszystkich. Msza polowa odbywała się między kwartałem naszym a następnym w kierunku południowo-zachodnim. Między takimi dwoma kwartałami jest pewien pas neutralny, szerokości do 50 kroków, oddzielony drutami kolczastymi od obu sąsiednich kwartałów; z obu stron tego pasa ciągnie się droga, jedna należąca do jednego kwartału, druga – do drugiego; przy drodze od strony pasa neutralnego są kuchnie odpowiednich kwartałów, magazyny prowiantowe, kantyny, wychodki. Pas neutralny w długość ciągnie się równolegle do długości kwartałów. W takim pasie neutralnym odbywała się msza. Wszystkie nasze oddziały blokowe przyszły w formacjach barakowych (każdy barak jako osobna jednostka) i ustawiły się w dwurzędach w wielkie głęboko sięgające w długość pasa neutralnego *carré*, w którego pośrodku ustawiony był na trawie prosty drewniany mocny stół, który miał służyć za ołtarz. W sąsiednim kwartale zalokowani są teraz peowiacy. Zaraz zarządzili i oni u siebie zbiórkę w najbliższym sąsiednim bloku i zbliżyli się w dwurzędzie do drutów, oddzieleni od nas kilku rzędami drutu i przebiegającą w środku ich kwartałową drogą. Stali oni od nas w odległości zaledwie 100 kroków. Widzieliśmy ich dokładnie, ale rozmawiać nie mogliśmy, bo to jest zakazane; oczywiście nie można było ich narażać na skutki jawnego łamania przepisów, toteż musieliśmy się wyrzec rozmowy z nimi. Peowiacy, jak prawdziwi jeńcy, mają naszyte na piersiach białe łatki z literą ich kwartału (D) i numerem porządkowym; my, jako korzystający z przywileju, uchodzący nie za właściwych jeńców, jeno za czasowo internowanych, oznak takich nie nosimy. Peowiacy żyją także w kształtach organizacji wojskowej, którą sami dobrowolnie w swoim wewnętrznym trybie w obozie ustanowili i przestrzegają; mają swoich komendantów bloków i baraków, swoich kaprali dziennych, co rano odbywają

gimnastykę, po kilka godzin dziennie – musztrę formalną. Robią to gorliwie i z zapałem, co u nas wiara robi niechętnie, szemrząc i wykręcając się. Bo dla nich to poniekąd nowość i szczególna okazja do praktyki ćwiczeniowej i koszarowej, której w warunkach cywilnych, a jeszcze pod okupacją nie mogli tak swobodnie, jak tu, w obozie jeńców, używać. Ale za to samorządu na zewnątrz peowiacy nie mają tu żadnego. Każdy ich blok jest strzeżony przez posterunek niemiecki; nie wolno się im wychylać z bloku i wszystkie drobiazgowe przepisy obozowego trybu obowiązują ich bezwzględnie. Nie mają oni tej względnej tolerowanej swobody, co my. Do grupy stojących w dwurzędzie peowiaków przyłączyła się i stanęła wśród nich w pierwszym rzędzie także jedna peowianka czy ligawka, kobieta, jedna z tych kilku, które są również tu w obozie internowane. Dziewczęta te zajmują osobną ziemiankę, ale w obrębie jednego z bloków, zajętych przez peowiaków, z którymi mogą przeto widywać się i komunikować się. Wśród internowanych peowiaków jest kilku byłych legionistów, którzy w różnych czasach wycofali się z szeregów wojska i poszli pracować w P.O.W. Peowiacy z bloku, bezpośrednio sąsiadującego z miejscem odprawianej mszy, uczestniczyli przez cały czas w nabożeństwie. Peowiacy z dalszych bloków przyglądali się z daleka w luźnych grupach. Z daleka też przyglądali się nam jeńcy Francuzi, Rumuni i Belgowie. W jednym z pobliskich bloków sąsiedniego kwartału, tuż obok tych peowiaków, którzy, stojąc przy swoich drutach, uczestniczyli z odległości w naszym nabożeństwie, w jakiejś osobnej szopie mieszka, również w charakterze jeńca, jakiś prawosławny pop. Jest to podobno pop z Kalisza. Chodzi w stroju cywilnym, zaniedbanym i wielce oryginalnym: ma na sobie jakiś surdut, który krojem przypomina koszulę, a na nogach portki; na głowie ma kapelusz; zarost brody i długie włosy bardzo charakterystycznie zdradzają od razu na pierwszy rzut oka – popa. Z widzenia znamy go dobrze. Pop ten wychodzi czasem przed swą szopę, staje i długo nieruchomo wpatruje się przed siebie; po jakimś czasie wraca do swej szopy; towarzyszy mu jakiś drugi mniejszy i widocznie podwładny brodacz, zapewne diak, i jeszcze jakiś człowieczek, pewno sługa cerkiewny; pop ten pełni funkcje kapelana jeńców Rosjan, będąc też sam jeńcem. Nasi legioniści śmieją się z niego; gdy wychodzi ze swej szopy, gdy staje i jak manekin nieruchomo wpatruje się w dal, a potem zawraca i chowa się, robi wrażenie figurki barometrów, w których na pogodę mnich wychodzi z budki i posuwa się do kapliczki z krzyżem, na deszcz zaś – chowa się do budki. To podobieństwo uchwycone zostało przez legionistów, którzy, widząc popa przed szopą, żartują, że będzie pogoda, a gdy się chowa, to na deszcz. Otóż dziś na nasze nabożeństwo i pop się ze swej szopy wyłonił w asystencji swoich dwóch towarzyszy i przez cały czas stał i przyglądał się naszej ceremonii. Gdyśmy obnażali głowy w czasie całej mszy i podczas śpiewów późniejszych, pop z towarzyszami robił to samo. Wysłuchał też całej mowy Zosika, wygłoszonej tak donośnie, żeby mogli słyszeć peowiacy, a przez to mógł ją słyszeć i on. W takim otoczeniu odbywało się nasze nabożeństwo. Mszę odprawiał ksiądz wojskowy niemiecki, kapelan obozu jeńców, ubrany w mundur wojskowy z krzyżem na łańcuchu na piersi. Kapelan ten mówi biegle po polsku i być może, że jest Polakiem rodowitym, jeno w służbie pruskiej. Przywiózł ze sobą w szkatułce drewnianej pochodnej wszystkie rekwizyty kościelne do mszy. W szkatułce znalazło się wszystko: stół zasłano czysty białym długim, haftowanym po brzegach obrusem, na stół postawiono krzyż, dwie świece woskowe zapalone w lichtarzach, kielich srebrny, wino, antałki, dzwonki, monstrancję itd. Ksiądz się ubrał w białe szaty, w ornat i odprawił mszę czytaną, podczas której staliśmy z obnażoną głową, chór zaś ułanów odśpiewał, dość marnie zresztą, kilka pieśni, jak „Boże Ojcze, Twoje dzieci”, „Z dymem pożarów” i coś jeszcze. Po mszy i po zdjęciu ze stołu przedmiotów kościelnych stanął na stole kapitan Zosik i wygłosił donośnym głosem mowę

okolicznościową o 6 sierpnia i o obecnej sytuacji w sprawie polskiej w związku z przysięgą i naszym losem. Mówił w tonie pełnym zapału, śmiało i jaskrawie, dotykając ostro roli Rady Stanu i Niemiec. Chór wraz z ogółem żołnierzy odśpiewał wpierw „Rotę” Konopnickiej i następnie „Jeszcze Polska nie zginęła”. W czasie obu pieśni stano z głowami obnażonymi. Wreszcie Zosik wezwał do rozejścia się, z tym, że żołnierze po blokach mogą obchodzić rocznicę, jak się im podoba, byle się nie gromadzili na wspólnej drodze międzybarakowej.

7 sierpnia, rok 1917, wtorek
Wczoraj Niemcy zabrali od nas trzech naszych oficerów z tych, którzy tu przybyli z nami dzielić nasz los. Zabrano kapitana Zosika-Tessaro, który był nieurzędowym komendantem całości naszego obozu legionowego, dalej jego adiutanta podporucznika czy chorążego Szafranowskiego i porucznika Rzeckiego, który był komendantem naszego bloku. Aresztowanie ich dokonało się w warunkach następujących. Był pewien żołnierz legionista – nazwiska nie wiem – jakiś niby Niemiec, podobno kolonista niemiecki z Piotrkowskiego. Mówił, że nie umie i nie rozumie po polsku, jeno po niemiecku; posądzano go jednak, że po polsku umie; chodziły nawet jakieś głuche wersje, że był dawniej szpiclem niemieckim. Żołnierz ten był w naszym pułku, w II baonie. Przyszedł dopiero do Zambrowa jako rekrut, choć mówiono także, nie mając na to dowodów, że był już dawniej w Legionach. Był w ogóle niewyraźny, a że rozmawiał tylko po niemiecku, więc koledzy mało go znali i mało z nim obcowali. 12 lipca w dniu przysięgi żołnierze II baonu obserwowali go, posądzając, że zechce wyłamać się z ogólnej solidarności i przysiąc. Tłumaczono mu przedtem po niemiecku, dlaczego nasi żołnierze nie chcą składać przysięgi, ale się odnosiło wrażenie, że nie bardzo sobie zdaje sprawę, o co chodzi. Z pewnością efekt naszej odmowy przysięgi byłby popsuty, gdyby choć jeden zechciał się zgłosić i przysiąc. Wobec jednolitego nastroju, jaki wtedy panował, mogłoby było dojść nawet do aktów gwałtu i zmaltretowania przez ogół takiego, który by przysiągł. Nasz Niemiec, jeżeli nawet nie rozumiał istotnie, o co chodzi, to już z pewnością wyczuł nastrój ogólny – dość, że tak, jak wszyscy inni, nie przysiągł. Ostatecznie, gdyby był przysiągł, stałoby się lepiej, choćby nawet efekt pozorny jedności był przez to zepsuty. W kilka dni po internowaniu nas w obozie jeńców przyłapano go, jak opowiadał posterunkowi niemieckiemu o tym, że wśród nas są ukryci oficerowie, którzy się dostali jako niby sierżanci. Miał już nawet, jak przypuszczano, dyktować posterunkowi niemieckiemu nazwiska tych oficerów, bo posterunek był już wyjął notes i chciał coś pisać. Nasi go obstąpili, odcięli nieznacznie od posterunku i wziąwszy między siebie odciągnęli do bloku. Tu zaraz zawiadomiono Zosika o wypadku. Legioniści chcieli zbić zdrajcę, urządzić mu zwyczajem żołnierskim pospolitą „dekę”, to znaczy zarzucić coś na twarz, aby nie widział ludzi i nie mógł krzyczeć i sprawić porządne lanie. Zosik nie dopuścił do tego. Zdrajcę izolowano i zamknięto osobno w baraku czy też oddano do któregoś baraku pod straż, oczywiście bez wiedzy Niemców, w ramach naszego samorządu. Przed kilku dniami w nocy usiłował uciec z obozu, ale gdy się przekradał, został przez Niemców dostrzeżony i ujęty, a następnie zamknięty z rozkazu władz niemieckich do aresztu. Tam widocznie zdecydował się ostatecznie na zdradę i wydał tych z naszych oficerów, których wiedział. Z nazwiska znał zapewne tylko jednego Szafranowskiego, bo ten wkrótce po nabożeństwie wczorajszym został imiennie wezwany do władz obozowych i już stamtąd nie wrócił; aresztowano go. Bezpośrednio po tym od władz obozowych przyszła na ręce naszych szarż inspekcyjnych, funkcjonujących jawnie, karta służbowa z żądaniem, aby wszyscy oficerowie lub byli oficerowie, którzy są między nami, stawili się do komendy obozu. Po otrzymaniu tego żądania, które było rozkazem, po krótkiej

naradzie postanowiono, że się zgłosi do komendy jeden Zosik, o którym sądzono, że władze obozowe, jeżeli jeszcze dokładnie nie wiedzą, że jest oficerem, to się domyślają, bo zawsze się wysuwał ze wszystkim na czoło, choć niby formalnie za najstarszego wobec Niemców uchodził jawnie starszy sierżant Jabłoński, najstarszy istotnie rangą ze wszystkich sierżantów w całym obozie. Ale Niemcy mogli z łatwością zaobserwować Zosika, który się ciągle kręcił wszędzie, wydawał rozporządzenia, prowadził zawsze rozmowę z przyjezdnymi panami z delegacji, jak z księdzem Sztobrynem, z Kasperowiczem, z księciem Sapiehą i zresztą w początkach nie bardzo się nawet ukrywał i nie zachowywał ostrożności, licząc na tolerowanie przez Niemców naszego wewnętrznego samorządu, a za mało się licząc z możliwością zdrady z wewnątrz. Wobec różnych niepewnych elementów, których jest między nami mnóstwo, a które w naszych warunkach, ułatwiających gwałtowne zaiste szerzenie się demoralizacji, podnoszą ciągle głowy, Zosik nie zachowywał żadnych środków ostrożności, aby się przynajmniej nie dać poznać tym, którzy go nie znali poprzednio osobiście. Jawnie i publicznie, zwracając się do niego, tytułowano go „obywatelem kapitanem", nieraz się też na różnych kartkach podpisywał z nazwiska i pseudonimu jako komendant obozu, wreszcie co dzień wydawał rozkaz dzienny komendy obozu, który w ostatnich czasach, co skądinąd dodatnio działało na naszą organizację wewnętrzną, utrzymując cechę formacji wojskowej w świadomości ogółu, był odczytywany wieczorami przed apelem po wszystkich blokach na zbiórce ogólnej. Zresztą jakkolwiek by się ukrywało obecność Zosika, zakonspirować ją całkiem i zrobić niedostępną dla oczu i uszu tych, którzy chcą szpiegować lub zdradzać, było prawie niepodobna. Wreszcie wystąpieniem swoim z mową po nabożeństwie wczorajszym Zosik prawie że spalił mosty konspiracji za sobą. Domyślano się, że jeżeli Niemcy mają już jakieś poszlaki z obecności oficerów wśród nas, to już o nim najpierwiej wiedzą i że lepiej mu się samemu wprost zgłosić, niż narażać się na to, że Niemcy zabiorą się do szukania i wykrywania na własną rękę. Liczono, że może zgłoszenie się Zosika jako tego, który stoi na samym czele naszej hierarchicznej organizacji samorządnej, zaspokoi Niemców i przerwie jakieś ewentualne dalsze konsekwencje. Tymczasem wkrótce po obiedzie ujrzeliśmy wkraczającą do naszego bloku patrol niemiecką, złożoną z dwóch żołnierzy z karabinami i pod bagnetami oraz podoficera; z nią szedł legionista, ów zdrajca z II baonu; na razie nasi żołnierze, przynajmniej z pierwszych baraków, zamieszkałych przez ludzi z I baonu, nie poznali go, bo go nie znali nawet z widzenia. Przy pierwszym baraku legionista ów stanął, trzymając rękę w kieszeni, z której wyglądała rękojeść sztajera, patrol zaś niemiecka poszła dalej; wkrótce jednak podoficer niemiecki z patroli skinął na niego i zdrajca pomaszerował z patrolą wzdłuż naszych ziemianek; po drodze spotkali przechodzącego porucznika Rzeckiego, którego zdrajca wskazał patroli i który został aresztowany. Uprowadzono obu – Zosika i Rzeckiego. Byliśmy zaniepokojeni losem aresztowanych oficerów; obawiano się, że mogą zostać uwięzieni i wywiezieni do Niemiec albo oddani pod sąd. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że wszyscy trzej – Zosik, Rzecki i Szafranowski – nie siedzą w areszcie, jeno osadzeni osobno w ziemiance w I kwartale obozu (w numeracji urzędowej niemieckiej – w bloku A) i mają być odesłani do obozu w Zegrzu północnym, gdzie są internowani nasi niezaprzysiężeni oficerowie. Co za łajdactwo – taka zdrada i wydanie Niemcom naszych oficerów! I na kim się taki łajdak mści? Co do oficerów, to materialnie pod względem warunków życia wyjdą na tym lepiej, bo w Zegrzu w oficerskim obozie warunki są lepsze niż tu. Ucierpi na tym tylko nasz ogół żołnierzy, który po dezorganizacji naszego samorządu popadnie w głębszą od Niemców zależność i niewolę. Obecność naszych oficerów była jednym z czynników karności i ładu organizacyjnego w naszym środowisku, w którym nie brak elementów destrukcyjnych; na tej organizacji naszej i na jej sprężystym karnym

funkcjonowaniu opierały się wszystkie nasze atuty, z których korzystaliśmy w niewoli; możność jakiego takiego komunikowania się ze światem, poprawa wiktu przez Komitet Kaliski, względna swoboda ruchów wewnątrz naszego zakwaterowania itd., wreszcie korzyści moralne – odporność ideowa, siła wytrwania itd. To wszystko podważa i niszczy podły czyn zdrajcy. Elementów zdemoralizowanych, destrukcyjnych, wyłamujących się ze wszelkich obowiązków i karności mamy wśród nas dużo i jest, niestety, ciągła tendencja do szerzenia się tej plagi. Obecność oficerów była dla nich pewnym hamulcem, bo jeszcze jest w ludziach instynkt żołnierski, na który działa urok szarży, a na tych, na których to nie działa, jest wędzidło strachu przed bezpośrednią represją ogółu, skłonną do poparcia rozkazów szarży. Wczorajszy wypadek był tylko preludium do tego, co miało nastąpić dziś, a o czym już jutro napiszę.

8 sierpnia, rok 1917, środa
Opiszę przejścia dnia wczorajszego, będące epilogiem pozawczorajszego uwięzienia i izolowania oficerów. Po uprowadzeniu oficerów komendę naszego bloku objął na miejsce Rzeckiego starszy sierżant Jabłoński. Komenda całości po Zosiku również objęta została, przez kogo – o tym pisać nie będę. Zdawało się, że wszystko nadal funkcjonować będzie po dawnemu. Tymczasem w porze obiadowej zwróciło naszą uwagę jakieś niezwykłe poruszenie u Niemców, zwiastujące coś, czego domyślić się nie byliśmy w stanie. Cały pas, który nazwałem przedwczoraj neutralnym (ten sam, w którym odbywała się msza w dniu 6 sierpnia), otaczający dokoła nasz kwartał i oddzielający go tak od kwartałów sąsiednich, jak od zewnętrznych drutów obozu, został ustawiony gęstymi zbrojnymi posterunkami niemieckimi, rozstawionymi co 10 kroków. Nigdy dotąd nie widzieliśmy posterunków w tym pasie. Co to miało znaczyć? I dlaczego taka niezwykła ich gęstość? A jak żeby tego było jeszcze mało, między posterunkami, tak gęsto rozstawionymi, krążyły jeszcze w biały dzień łączniki. Zaczęły się domysły. Przypuszczano, że Niemcy chcą wykonać u nas rewizję; podług innego domysłu, zamierzają dokonać aresztowania oficerów, o których ukrywaniu się wśród nas wciąż jeszcze przypuszczają i może mają jakieś na to poszlaki. Byli i tacy, którzy przypuszczali, że warta ta nie ma żadnego związku z nami, bo posterunki niemieckie, stojące w pasie neutralnym, mogły mieć równie nasz, jak sąsiedni kwartał, jak na przykład peowiaków, na celu; temu wszakże przeczyło to, że wszystkie posterunki zwrócone były frontem do nas. Cała kupa legionistów, kto tylko jeszcze nie dostał albo już skończył jeść obiad, gromadziła się we wszystkich blokach u drutów zewnętrznych, obserwując posterunki niemieckie. Żołnierze posterunków uśmiechali się, ale doskonale służbiści, jak wszyscy Niemcy, nie pozwalali sobie na jakiekolwiek komunikowanie się z nami. Cały obóz legionowy był zaintrygowany. Czekano końca obiadu, przypuszczając, że Niemcy natychmiast po naszym obiedzie odkryją karty. Ale skończył się obiad, a nic się nie zmieniło. Co do mnie, to przewidując ewentualność rewizji, najbardziej się obawiałem o mój dziennik, aby się w ręce niemieckie nie dostał: żal mi było go stracić, a poza tym mógł on odsłonić Niemcom rąbek organizacji wewnętrznej. Nie zdecydowałem się na zniszczenie go, jak zniszczyli niektórzy inne papiery; schowałem go do siennika, w słomę drzewną. Minął obiad, a nic się w postawie Niemców nie zmieniło. Zdrzemnąłem się po obiedzie. Obudził mię żywszy ruch w baraku między żołnierzami; coś sensacyjnego opowiadano sobie w pośpiechu z ust do ust i z głośnymi wykrzyknikami tłoczono się przez drzwi i okna na zewnątrz, by się przyjrzeć jakiemuś pochodowi Niemców. Była już godzina 3 po południu. Wielką centralną drogą obozu ciągnął istotnie jakiś znaczny oddział piechoty niemieckiej w pełnym rynsztunku i uzbrojeniu, z konnymi oficerami. Oddział ten, wynoszący co najmniej pełną kompanię (bodajże więcej), po dojściu do drogi, prowadzącej do

naszego kwartału, stanął. Oficerowie konni lornetowali nas i naradzali się nad czymś. Tymczasem na balkonach wieżyczek strażniczych, dominujących nad obozem, ukazali się obserwatorzy, a przy działach, ustawionych poza obozem na stałe i wymierzonych do obozu, stanęła obsługa. Przyglądaliśmy się ciekawie temu widowisku, rozumiejąc, że coś się wobec nas gotuje takiego, do czego Niemcy uważają za potrzebne aż tak daleko posunięte pogotowie! Co to jednak może być – nie mogliśmy zgadnąć. Wkrótce oddziały piechoty ruszyły naprzód i zapełniły drogę, przecinającą nasz kwartał, stając drobniejszymi pododdziałami naprzeciwko poszczególnych naszych bloków u wejścia do nich. Padły słowa komendy niemieckiej – do nogi broń i ładuj! Zwrócona do nas frontem piechota niemiecka naładowała karabiny ostrymi nabojami. Nasze szarże, bojąc się, aby z tłumu naszych żołnierzy nie padły jakieś nierozważne zaczepki względem Niemców, które by mogły sprowokować awanturę, zarządziły, żeby wszyscy żołnierze porozchodzili się i weszli do ziemianek, czekając spokojnie na to, co dalej nastąpi. Tymczasem Niemcy nawet kucharzy naszych, którzy już się zabrali do gotowania kolacji i wrzucili pęczak do kotła, wygnali z kuchni i wpędzili do bloków. Gubiliśmy się w domysłach, co to będzie. Nie przypuszczaliśmy, żeby to chodziło o rewizję tylko, bo po cóż dla dokonania prostej rewizji u jeńców aż tyle siły zbrojnej! Zdawało się nam najprawdopodobniejszym, że mamy być wyprowadzeni z obozu. Dla wyprowadzenia przeszło 3000 ludzi, aby udaremnić wszelkie próby ucieczki poza drutami, można było istotnie wezwać tak silną eskortę. Dokąd nas ewentualnie wywiozą – nie zdawaliśmy sobie sprawy. W każdym razie, jeżeli wywiozą – to nie na wolność i nie ku czemuś lepszemu, bo nie robiono by z tego takiej niespodzianki i takich przygotowań. Jeżeli wywiozą – to chyba na zachód, a nie na wschód, do Niemiec zapewne: albo do jakiegoś innego obozu jeńców głębiej, albo do robót do Prus. Co zresztą mieliśmy myśleć i robić? Byliśmy zrezygnowani. Długo w ziemiankach nie czekaliśmy. Przyszedł rozkaz ubierania się, zabrania wszystkich rzeczy i nakładania rynsztunku. Domysły o wymarszu z obozu i wywiezieniu zdawały się potwierdzać. Zresztą możliwa była przy tym także i rewizja. Nie wiedziałem, gdzie schować mój dziennik, o który mi najbardziej chodziło. Włożyłem go wreszcie do bocznej wewnętrznej kieszeni w bluzie. Wyszliśmy z ziemianek. Zbiórkę zarządzono podług baraków na placu od strony wyjścia wewnątrz bloków. Tymczasem piechota niemiecka na drodze za drutami naprzeciwko nas ustawiła w kozły naładowaną broń. Oczekując, co dalej będzie, nasi pokładli rynsztunki na ziemi i posiadali przy nich. Wkrótce Niemcy wezwali wszystkich naszych podoficerów, to znaczy kaprali i sierżantów, aby w rynsztunku wystąpili z bloków na drogę. Zarządzono tam ich zbiórkę i odprowadzono poza kwartał na główną drogę obozową. To oderwanie od nas naszych szarż podoficerskich nie podobało się nam i nie mogło nie zaniepokoić. Domyślaliśmy się, że to może być odseparowanie od nas szarż na stałe. Zdawaliśmy sobie sprawę, że po odseparowaniu szarż Niemcom łatwiej będzie opanować masę, nam zaś o wiele trudniej – utrzymać naszą organizację wewnętrzną; wszystkie niesforne, warcholskie i zdemoralizowane elementy podniosą głowę; czy nas stąd wywiozą, czy nie – to samorząd nasz bez szarż runie, a wraz z nim runie to wszystko, co nam zapewniało jaką taką swobodę ruchów i lepsze warunki w niewoli. Bo samorząd nasz i nasza organizacja wewnętrzna opierały się na ścisłym współdziałaniu i wzajemnym poparciu dwóch zasadniczych pierwiastków: pierwiastka władzy, reprezentowanej przez komendę wojskową, która się realizowała przez szarże, i pierwiastka społecznego, wyrażającego wolę czynną masy, streszczoną organizacyjnie w drodze reprezentacyjnej w radzie żołnierskiej. Złamanie jednego z tych pierwiastków, jak w danym razie – komendy, która reprezentowała pierwiastek władzy, groziło katastrofą dla całej organizacji. Pierwiastek społeczny, czyli rada żołnierska, samodzielnej władzy w naszych warunkach i urządzeniach nie

posiadała, żeby zaś ją posiąść z krynicy woli ogólnej, trzeba byłoby, aby ta wola była istotnie jednolita i sprężysta, nie toczona demoralizacją, nie rozkładana niewolą i zewnętrznym gwałtem niemieckim. Nie byliśmy jeszcze pewni odseparowania od nas szarż na stałe, aleśmy się z tym poważnie i z niepokojem liczyli. Błyskała nadzieja, że to odseparowanie może być tylko chwilowe, w celu poinformowania szarż o tym, co ma nastąpić, albo też, co prawdopodobniejsze, w celu wyłapania oficerów, przypuszczając bardzo słusznie, że oficerowie są zadekowani raczej wśród podoficerów, niż wśród pospolitego plebsu szeregowego. Tymczasem po odejściu podoficerów, którym towarzyszył jeden z oddziałów niemieckich piechoty, pozostałe oddziały, rozlokowane naprzeciwko bloków, wzięły za broń i pokładły się na komendę w dwurzędzie z karabinami, wymierzonymi w naszą stronę. Upłynęło tymczasem jeszcze z godzinę lub półtorej bez żadnego dalszego ruchu. Co się przez ten czas działo z odprowadzonymi podoficerami – nie wiedzieliśmy.

9 sierpnia, rok 1917, czwartek
Wracam do pozawczorajszego. Po odprowadzeniu podoficerów zostawaliśmy przez czas dłuższy na miejscu. Żołnierze siedzieli i leżeli na ziemi, wśród ułożonych rzędami rynsztunków, względnie spacerowali, gromadzili się w grupki, omawiając sytuację i dzieląc się domysłami albo też stali wzdłuż drutów, obserwując ruch na drodze i przyglądając się rozłożonej w pozycji leżącej piechocie niemieckiej, trzymającej w ręku karabiny naładowane, zwrócone wylotem lufy do nas. Tymczasem w towarzystwie paru Niemców ukazał się jakiś legionista, nowy egzemplarz zdrajcy; był to chłopiec niski i niepozorny, na trochę krzywych nóżkach, z dużą głową i twarzą o rysach semickich, na której malowała się bezczelność i łotrostwo. W bandycie tym poznano żołnierza IV pułku, z bloku III, który tegoż dnia rano, wyszedłszy z bloku, zbiegł do Niemców, oddając się pod opiekę najbliższego posterunku niemieckiego; posterunek odprowadził go do majora, któremu miał złożyć zeznania; odtąd go już nie widziano; teraz z papierosem w ustach i rękami w kieszeniach szedł w asyście Niemców, rzucając bezczelnie spojrzenie dokoła; oprowadzano go po wszystkich blokach między wszystkimi rzędami legionistów; nie trapiły go spojrzenia nienawiści i pogardy, którymi nasi go witali. Widocznie szukał kogoś i miał Niemcom wskazać oficerów, ukrytych między nami. Poznał tylko i wskazał doktora Kołłątaja i jeszcze jakiegoś oficera IV pułku w III bloku. Szukał widocznie jeszcze kogoś – kogo, to się bardzo łatwo domyślić, bo po kilka razy, wypatrując pilnie, obchodził wszystkie bloki; ale nie znalazł, bo ten, którego szukał, zmienił mundur podoficerski i cały nowiutki, jak z igły, strój wraz z eleganckimi butami, na stare zniszczone ubranie szeregowca i nie odszedł z podoficerami, lecz pozostał w tłumie żołnierskim. Był to ten, który objął po Zosiku komendę; wymieniać go imiennie nie chcę. Podłość i bezczelność tego łotra, który zdradzał, do głębi przejmowała żołnierza. Niestety – byli wobec niego w tych warunkach bezsilni. Nie mogli go obdarzyć niczym, prócz platonicznej nienawiści. Gdyby go dostali w ręce, rzecz nie ograniczyłaby się do pobicia; zabito by go bez żadnego pardonu, a ścierwo zakopano lub wrzucono do latryny; nie kryto się wcale z taką kwalifikacją kary, należnej podłemu zbrodniarzowi: wykonano by ją przy tym nastroju z prawdziwą lubością, jako akt satysfakcji i uczuciowej zemsty. Dopiero w jakąś godzinę lub więcej przystąpili wreszcie Niemcy do właściwego działania. Okazało się, że to chodzi istotnie o rewizję. Rewidowano kolejno blok za blokiem. Oddział piechoty leżał nadal w miejscu, do bloku zaś wkraczał inny oddział żołnierzy niemieckich, w pasach i ładownicach na znak służby, bez karabinów. Żołnierze ci wchodzili pomiędzy rzędy legionistów, stojących każdy przy swoim rynsztunku, i rewidowali. W zasadzie mieli dokonać rewizji szczegółowej w rzeczach i rewizji

osobistej po kieszeniach i w ubraniu. Każdy Niemiec rewidował osobny rząd naszych żołnierzy. Rewizja szła bardzo prędka i była w istocie bardzo powierzchowna. Dostrzegłem tylko jednego żołnierza niemieckiego, który rewidował dość starannie; rewidował on pierwszy nasz rząd; widziałem, jak rewidował stojących na prawym skrzydle Capigę i Trzęsińskiego. Prócz plecaka i chlebaka zajrzał i wybrał wszystkie rzeczy z kieszeni, obmacał ciało przez ubranie, obmacał nogi aż do stóp i pytał nawet przełożonego, czy nie kazać delikwentowi zdjąć obuwie. Inni Niemcy nie byli tak gorliwi. Taka rewizja, jaką o ni robili, była bardzo daleką od rewizji, znanej nam dobrze z praktyk politycznych żandarmerii w Rosji. Nie tylko że nie było żadnego znęcania się przy rewizji, nic brutalnego, ale znać było jeszcze, że rewidującym czynność ta sprawia jeszcze większą przykrość niż nam. Niemcy dawali nam wyraźnie do zrozumienia, że robią rewizję tylko z musu, ale jako żołnierze brzydzą się nią. Świerczowi jeden to wprost oświadczył, mówiąc, że jest to najwstrętniejsza dla niego czynność, jaką kiedykolwiek na wojnie spełniał, on, żołnierz liniowy, który uczestniczył w bitwach i niedawno dopiero został z frontu wycofany. Ten, który mnie rewidował, zrobił to tak szybko i powierzchownie, że gdy odszedł, nie zdawałem sobie sprawy, że to już skończone: zajrzał tylko do plecaka, nie tknął nic, choć tam moc papierów różnych było, potem włożył rękę do kieszonki w plecaku, którą mu sam otworzyłem, chlebaka ani ruszył, osobiście mnie ani dotknął. Widząc, jak inny rewidował poprzednio Capigę, zaniepokoiłem się o mój dziennik, który miałem w kieszeni i po odejściu mego Niemca czym prędzej ukradkiem przełożyłem go z kieszeni do zrewidowanego plecaka; było to zbyteczne, bo już było po rewizji. Szukali Niemcy głównie broni i amunicji, papierosów właściwie nie tykali; wiem w naszym bloku tylko o paru wypadkach, w których, widocznie przez jakąś szczególną gorliwość jednego któregoś z Niemców, zabrano portfel z papierami do przejrzenia. Na ogół w tej rewizji rewidujący żołnierze niemieccy zachowali się jak gentlemani i zasługują rzeczywiście na uznanie. Wiara nasza żartowała potem, że przy takiej rewizji można było ukryć nawet karabin maszynowy. Ale w rzeczywistości taka kulturalna rewizja aż nadto wystarczała do stwierdzenia, że broni ukrytej nie posiadamy. Gdybyśmy ją posiadali, to bądź co bądź zostałoby to ujawnione. Bo że mógłby się ukryć pojedynczy egzemplarz – to pewne, ale gdyby chodziło o masowe przechowywanie broni, to nawet przy takiej rewizji nie dałoby się to zrobić. Po dokonaniu rewizji w rzeczach Niemcy poszli do pustych ziemianek naszych i uzupełnili w nich rewizję. Poprzewracali nieco sienniki i na tym koniec. Gdzieniegdzie żołnierze nasi, mający jakiś zabłąkany jeszcze z pułku nabój, kładli go, wychodząc z ziemianki na jakąś belkę; wracając, naboje te znaleźliśmy nietknięte. Plon rewizji był bardzo mizerny: trochę gwizdków podoficerskich, jakiś drewniany rewolwer własnego wyrobu na zabawkę i na cały obóz, zdaje się, jeden tylko ręczny nóż bawarski. Po skończeniu rewizji w ziemiankach otrzymaliśmy pozwolenie powrotu do nich. Na tym się wszystko skończyło. Cała rzecz okazała się o wiele mniej groźna i poważna, niż przypuszczaliśmy. Domyśliliśmy się wtedy, że w związku z wykryciem obecności oficerów wśród nas Niemcy chcieli się przekonać, czy czasem nie ma wśród nas jakiegoś zbrojnego sprzysiężenia, mającego jakiś plan do wykonania i w tym celu postanowili sprawdzić, czy nie posiadamy broni. Odseparowanie zaś oficerów tłumaczyliśmy tym, że przez wzgląd na ich szarże chcą ich rewidować osobno, nie wobec szeregowców oraz spodziewają się łatwiej rozpoznać w nich oficerów. Mieliśmy nadzieję, że podoficerowie powrócą. Domysły nasze sprawdziły się tylko w pewnej części. Podoficerowie byli rewidowani jak my i istotnie przez tegoż zdrajcę z IV pułku szukano wśród nich oficerów (nie wykryto żadnego). Major miał do podoficerów przemowę, w której usprawiedliwiał swoje zarządzenie rewizji. Z wielką kurtuazją zastrzegł, że nas, którzyśmy walczyli przez przeszło dwa lata w braterstwie

broni z Niemcami, nie może, nie chce i nie będzie traktować na równi z jeńcami, czego składa dowody, żądając jeno, żebyśmy sami lojalnie do wymagań i przepisów ładu obozowego się zastosowali. Mówił dalej, że rewizja została nakazana z Warszawy od władz gubernialnych na skutek denuncjacji, która tam z naszych własnych szeregów posłana została, jakobyśmy posiadali broń i całą organizację z oficerami na czele i projektowali wymarsz z obozu zbrojną ręką (jeszcze z takimi szczegółami, że wymarsz ma się odbywać w formacji czwórkowej). Dokończę jutro.

10 sierpnia, rok 1917, piątek
Wracam jeszcze do rewizji z dnia 7 sierpnia. Wbrew naszym oczekiwaniom, podoficerowie nie wrócili do nas. Zatrzymani zostali przez majora pod pozorem, że będzie im osobno wygodniej i zalokowani w ostatnim, tj. X bloku naszego kwartału, oddzielonego od ostatniego zakwaterowanego przez nas bloku (bloku VII) dwoma blokami pustymi (VIII i IX). Pozwolono wrócić do nas tylko ograniczonej ilości podoficerów, mianowicie po 11 na każdy blok (licząc po jednym komendancie na każdy barak i jednym komendancie na każdy cały blok). Ale do tych, którym w tej ograniczonej ilości pozwolono na powrót do masy żołnierskiej, dopuszczono wyłącznie młodszych sierżantów i kaprali. Nie puszczono ani jednego starszego sierżanta. Celem tego odosobnienia podoficerów jest oczywiście głębsze ujarzmienie nas i poddanie władzy obozowej niemieckiej, osiągając jednocześnie osłabienie naszego samorządu, który z natury rzeczy opiera się przede wszystkim na szarżach; zarazem służy to władzom obozowym do odcięcia od nas naszych oficerów, których obecności, nawet po przytrzymaniu Zosika, Rzeckiego i Szafranowskiego, się domyślają, przypuszczając, że oficerowie, jeżeli są, to się najprawdopodobniej ukrywają wśród starszych sierżantów; dlatego też tych ostatnich odosobniono bez żadnego wyjątku. Żadnych innych oficerów w dniu 7 sierpnia w czasie rewizji, prócz dwóch, poznanych i wskazanych przez zdrajcę z IV pułku, nie wykryto. Podoficerowie, odosobnieni w X bloku, są bardzo gęsto otoczeni strażą i bardzo pilnie strzeżeni; wszelkie wychylenie się poza blok jest dla nich bezwzględnie wykluczone, żeby im przeciąć wszelkie obcowanie z nami i wszelki wpływ na nas. Od tegoż dnia 7 sierpnia, od chwili rewizji, wszystkie nasze bloki są obstawione posterunkami niemieckimi, czego poprzednio nie było. Zresztą winę za to ponoszą sami legioniści, bo gdy nie było posterunków niemieckich z bagnetami, nie chcieli uszanować własnych naszych bezbronnych posterunków, stojących na warcie u wyjścia i bez żadnej potrzeby, przez proste włóczęgostwo, wbrew zakazom i wbrew protestom warty, wyłazili na zewnątrz i gromadami całymi tłukli się, spacerowali, siedzieli itd. na drodze i w okolicach kuchni, robiąc ciągły bajzel w kwartale i kpiąc sobie ze wszelkich przepisów; w tym rozluźnieniu samowoli dochodzili do ekscesów, że zdarzały się wypadki obrazy i pobicia najbliższego posterunku niemieckiego, stojącego na kresach naszego kwartału. Toteż mają dziś, na co zasłużyli. Tylko że jak zawsze w życiu – zawinią złe jednostki, szumowiny, a ciężar skutków spada na ogół, na masę, która swych szumowin poskromić nie zdołała. Co zaś do ich poskramiania, to w warunkach, jakich jesteśmy, które szczególnie sprzyjają wzrostowi szumowin, a pozbawiają masę środków reagowania na nie, walka z wewnętrznym złem i wewnętrzną dezorganizacją jest bardzo trudna i nierówna. Toteż fatalnie ponosimy skutki tego. Oby ten eksperyment z posterunkami niemieckimi, ten wstyd, że tylko bagnet pruski może nas zmusić do karności i ujarzmienia zachcianek, nauczył naszych żołnierzy moresu! Bo major, zwoławszy wczoraj do siebie komendantów wszystkich naszych bloków, zapowiedział, że o ile mu zaręczamy, iż się zastosujemy sami do przepisów zewnętrznego ładu, on posterunki cofnie, z drugiej wszakże strony uprzedza, że jeżeli będzie znów poprzedni bajzel, ekscesy, ciągłe nocne usiłowania ucieczki itd., to będzie

zmuszony zastosować bardzo daleko idące środki represji aż do najdotkliwszego w naszych warunkach, strasznego po prostu środka: odcięcia nam dowozu chleba i artykułów spożywczych z Komitetu Kaliskiego. Nasze komendy bloków gorąco nawołują do zachowania karności i do posłuszeństwa wobec naszych bezbronnych posterunków, gdy te zastąpią Niemców, ogół masy żołnierskiej także usposobiony jest na rzecz ładu, rozumiejąc korzyści utrzymania samorządu, ale czy się da radę z łajdactwem batiarów, za to zaręczyć nie można. I funkcjonowanie sądu, i system odpowiedzialności dyscyplinarnej wobec czynników komendy (droga służbowa), i groźba bezpośredniej represji ze strony masy nie są dotąd w stanie wyplenić tego łajdactwa. Major, izolując podoficerów i obstawiając nas strażą posterunków niemieckich, przez co ograniczył, a właściwie formalnie przeciął komunikowanie się między sobą poza wewnętrznymi ramami bloków, zdezorganizował całkowicie normalne i już ustalone w poprzednim okresie funkcjonowanie naszego samorządu, a właściwie prawie że go zabił; najdotkliwszym ciosem dla tego samorządu było aresztowanie pięciu oficerów z Zosikiem, jako głównym komendantem całości, na czele i następnie odseparowanie podoficerów, na których opierał się nie tylko pierwiastek władzy w naszym samorządzie, to znaczy organu naszej komendy, ale także ten drugi, nie mniej ważny, pierwiastek samorządności, pierwiastek społeczno-reprezentacyjny, albowiem zarówno skład samej rady żołnierskiej, zwłaszcza w jej najwyższej naczelnej formie, w centralizacji obożnej, jak skład jej głównych organów funkcjonalnych (komisja, sąd), rekrutował się w przeważnej mierze spośród podoficerów, górujących przeciętnie inteligencją, wykształceniem i wyrobieniem, nawet poziomem ideowym i kulturalnym, a nade wszystko zmysłem organizacyjnym nad masą szeregową. Jest to więc dotkliwy cios dla całego układu naszych stosunków. W jednej tylko sferze, wprawdzie bodaj najważniejszej w naszych warunkach, major z góry zastrzegł zupełną nietykalność naszego samorządu – w sferze gospodarczo-żywnościowej. W tej sferze nasz samorząd jest jawny (innym by być nie mógł) i zalegalizowany przez majora. To jest nasz największy atut. Jednocześnie funkcjonowanie tego samorządu gospodarczo-żywnościowego (ogarnia on takie sfery, jak kuchnia z aprowizacją, podział chleba z Komitetu Kaliskiego, odbiór i podział paczek, podział zakupów z kantyny) ułatwia nam komunikowanie się między blokami oraz z podoficerami, a więc też odrestaurowanie naszego samorządu faktycznego i w innych jego sferach. Ludzie bowiem, należący do komisji gospodarczej i poszczególnych jej działów, noszą na ramieniu opaski białe z napisem „Liebesgaben Komitee”, które to opaski dają im przywilej swobodnego chodzenia w obrębie całego naszego kwartału, a więc i pośredniczenia w różnych sprawach, tym bardziej, że mogą i innych ludzi ze sobą przeprowadzać. Ten sam przywilej mają funkcjonariusze sanitariatu (izba chorych i szpital), noszący opaskę Czerwonego Krzyża, wreszcie poza ramy bloków wychodzić mogą szarże inspekcyjne blokowe z czerwonymi opaskami. Wreszcie do bloku podoficerskiego mają wstęp żołnierze bloku służbowego, donoszący podoficerom z kuchni obiad, kolację, śniadanie. Z tych 11 podoficerów, którym w tej liczbie pozwolono wrócić do każdego bloku żołnierskiego, wrócili do naszego bloku młodsi sierżanci: Wiktor Wąsowicz (objął on komendę naszego bloku), Zowczak, E. Wojciechowski, Mielczarski-Durski i jeszcze, zdaje się, ktoś z kaprali Jaś-Drzewiecki-Wzgórze, Zagłoba-Kamiński, drugi Wojciechowski i jeszcze paru. Każdy z nich objął komendę poszczególnego baraku. W naszym I baraku komendantem został Drzewiecki na miejsce Krzymowskiego, którego bez żalu zresztą, straciliśmy. Komendy sekcji w baraku objęliśmy tak: ja – I sekcję, Trzęsiński – II-gą, Stokowski – III-cią i Krzewski – IV-tą.

11 sierpnia, rok 1917, sobota

Swoją drogą – życie nasze w tym obozie jeńców jest urozmaicone bardzo, o wiele więcej, niżby się zdawać mogło i niżbym to sam przypuszczał dawniej. Taki obóz – to cały światek, pełny swojego indywidualnego życia, swoich trosk i barw, swoich epizodów i zjawisk, zarówno zrodzonych z jego wewnętrznych potrzeb, jak reflektujących wielkie wypadki wojny i polityki. A w tym światku my, będąc jedną z jego charakterystycznych cząstek, tworzymy zarazem nasz światek własny także, odrębny, posiadający swoiste cele, zadania, potrzeby. Na samo referowanie bieżących wypadków, zagadnień i zajęć dnia wyczerpałbym obficie cały zapas miejsca w dzienniku, wyznaczonego na dany dzień i jeszcze by tego mało było. Muszę z konieczności dotykać tylko fragmentów lub szkicować jeno rzeczy główne. Chciałbym też obraz naszego życia zreferować stopniowo w systematycznym układzie na analizie organizacji i rozwoju rady żołnierskiej w jej funkcjonalnym opisie. Ale ciągle wypadki i sprawy bieżące wpadają mi w tok dzienny, nie pozwalają płynąć ciągłym łożyskiem tego jednego wielkiego obrazu. W samych czynnościach moich, nie tykając już rzeczy i faktów, których tylko widzem jestem, mógłbym nie jedną i nie dwie, ale dobrych kilka kart wyczerpać choćby tylko sprawozdaniem z dwóch głównych moich prac dnia wczorajszego i dzisiejszego – a więc wczorajszej rozprawy sądowo-śledczej w sprawie niejakiego Liwocha i towarzyszy, posądzonych o usiłowanie zdrady, sprawy bardzo charakterystycznej i dla naszych stosunków ciekawej, jak również dzisiejszego udziału mego w komisji kontrolującej w zakresie naszego gospodarczo-żywnościowego samorządu. W naszym tutaj życiu zbiorowym udział mój jest bardzo czynny; to mi tak skraca czas, że dnie mi upływają w obozie jeńców i bardzo szybko, i bardzo pracowicie. Wolę zresztą to, niż gnicie w leniwej śpiączce, która jest tylu tutaj naszych ludzi udziałem. Zresztą, o ile długość naszego pobytu w obozie pozwoli, zreferuję i te poszczególne czynności moje w całości układu naszych stosunków.
Na razie kilka rzeczy poszczególnych. Pierwsza: sympatyczna. Major zdjął dziś we dnie posterunki niemieckie sprzed bloków naszych. Spełnił obietnicę, daną pozawczoraj naszym komendantom bloków, których wezwał do siebie na odprawę. Ale to cofnięcie posterunków oparł major na zasadzie „*do ut des*". My za to mamy spełniać zobowiązania zwrotne: zachowanie porządku i uszanowanie obowiązujących w obozie przepisów. Poczucie konieczności spełnienia tego – rośnie w naszych żołnierzach, ale elementów niesfornych jest dużo; już zaraz po usunięciu posterunków niemieckich, zaczęły się na drodze za blokami gromadzić te włóczęgi: pod jakimkolwiek pretekstem wymykają się z bloku – bądź się uczepią szarży inspekcyjnej, z którą wyjdą, bądź idą na chwilkę po zakupy do kantyny i potem już nie wracają; kręcą się na drodze, spotykają się ze znajomymi, siadają nad rowami i przyglądają się ruchowi, węszą koło kuchni, zbierają nowiny i roznoszą plotki, a nie wracają, mimo nawoływania naszych posterunków; żołnierze w blokach gniewają się na nich, łają, obrzucają ich kamieniami, ale to wszystko mało skutkuje. Major poszedł dalej jeszcze w ustępstwie na rzecz naszą: zgodził się, abyśmy utrzymywali w naszym kwartale czy może tylko w poszczególnych granicach bloków pogotowie nocne, które by miało prawo wysyłania patroli dla udaremniania prób ucieczek nocnych za druty; ucieczki te bowiem nie tylko nie ustają, lecz co noc się mnożą, a wychodki stają się prawdziwymi klubami nocnymi szumowin – lokalnych apaszów; wychodki te stają się czymś w rodzaju sławnego za moich czasów w Paryżu nocnego „*café des innocents*" w Halach; tam się układają zmowy, omawiają się plany ucieczek itp.; oto i dzisiejszej nocy posterunki niemieckie przyłapały siedmiu gości, usiłujących uciekać. Trudno się wprawdzie dziwić chęci ucieczki z obozu jeńców, ale ogółowi naszemu to szkodzi. Na noc posterunki niemieckie stanęły jednak znowu przed naszymi blokami.

Druga rzecz: smutna. Dowiedzieliśmy się, że naszych pięciu aresztowanych oficerów (kapitan Zosik-Tessaro, porucznik Rzecki, Szafranowski, dr Kołłątaj i niewiadomy mi z nazwiska oficer IV pułku) są uwięzieni i siedzą w samotnych celkach, prawie pozbawionych światła; wyprowadzają ich tylko na krótkie przechadzki po dwa razy dziennie; podobno bardzo źle wyglądają, stan ich jest ciężki. Co z nimi zrobią – nie wiadomo.
Wreszcie trzecia rzecz: obrazkowa. Nasz obóz jeńców zaludnił się świeżymi transportami jeńców Moskali, ułamkiem obfitego plonu ostatniej ofensywy galicyjskiej. Dużo tego się napchało tutaj. Są oni zalokowani niedaleko od nas, w sąsiednim kwartale od strony Kalisza. Są oni „pokiwani" srodze na tej niewoli, bo spadli na ten ohydny wikt, w którym pół bochenka chleba dziennego jest ucztą, a poza tym tylko rzadkie, całkiem wodniste zupki i kaszki oraz marynowane ślimaki, cuchnące, dla Słowian zgoła niejadalne. Nie żałuję ich wcale: ci jeńcy Moskale, żołnierze rewolucyjnej armii – to same szumowiny, samo łajdactwo z produktów rewolucji; co jest tęgiego w rewolucyjnych pierwiastkach rosyjskich, to chyba tylko wyjątkowo tu się znajdzie, a do niewoli masowo dostaje się tylko wszelkie świństwo, narastające w rewolucyjnych warunkach jak ropa we wrzodzie. A zresztą w ogóle tracę smak do tej rewolucji rosyjskiej, w której więcej się ujawnia rozkładu, niż siły i jędrnego pędu; obserwując wprawdzie z daleka i wnioskując z towarzyszących jej zjawisk w wewnętrznym układzie stosunków rosyjskich, a zwłaszcza z jej efektów realnych na zewnątrz, nie wierzę ani w jej trwałość, ani w jej moc konstrukcyjną; jedyne, co w niej cenię jeszcze, to ułatwienie dla emanacji odśrodkowych czynników wyzwoleńczych, które w tym zamęcie rozkładu Moskwy mogą, w myśl przysłowia o połowie ryb w mętnej wodzie, osiągać szybciej swoje indywidualne cele. Nasi legioniści potrafili już oczywiście nawiązać nici porozumienia z tymi Moskalami; przerzucają do nich kamuszki z uwiązanymi kartkami i odbierają od nich takąż korespondencję, porozumiewają się okrzykami; tą drogą dowiedzieli się już (o ile tylko nie sami ukuli plotkę, w którą następnie uwierzyli, bo i to zupełnie możliwe, a bodajże nawet prawdopodobniejsze), że Moskale fasowali w swym wojsku po 2 ½ funta chleba dziennie (wielka sensacja dla naszych głodomorów, którzy fasują w obozie jeńców po ½ funta „Erzatz"-chleba), że żołdu od czasu wybuchu rewolucji pobierali po 7 rb. 50 kop. miesięcznie, podoficerowie zaś po 14 rubli itd. Ale większą od jeńców Moskali sensację sprawiają jeńcy ułani polscy z armii rosyjskiej czy też z Legionów Polskich w Rosji, którzy tu się także znaleźli w liczbie podobno trzydziestu. Dostrzegli ich z odległości nasi żołnierze i już się porozumiewają, pełni zainteresowania do tych nowych okazów męczeństwa polskiego i polskich błąkań się po różnych sprzecznych manowcach dążeń wyzwoleńczych. Inną znów sensacją obozową dla naszych legionistów było dziś ukazanie się kilku młodych peowianek w przeciwległym sąsiedztwie naszego kwartału.
Wreszcie jeszcze słówko o najświeższych pogłoskach i wieściach politycznych. Otóż podobno cała kombinacja z Rządem Narodowym polskim wzięła sromotnie w łeb i znowu pływa po próżnej powierzchni jałowego morza łódź… Tymczasowej Rady Stanu. Z tym Rządem Narodowym jest już od miesięcy błędne koło: już-już wisi na włosku, już-już się robi, i znowu – nic. Podobno Niemcy postawili tworzącemu się Rządowi Narodowemu warunek – wypowiedzenie wojny Rosji i koalicji, na co się Polacy nie zgodzili i na tym się układy rozbiły. O nas znów są jakieś mętne pogłoski o jakichś projektach wywiezienia nas na okupację austriacką, gdzieś tam pono do Dęblina czy na jakieś fantastyczne tworzenie z nas jakiejś osobliwej formacji polsko-austriackiej (!). Mówią też, że czynniki Komendy Legionów i Rady Stanu zdecydowane są zrezygnować całkiem z pułków I, IV, V i VI piechoty oraz I-go ułanów i artylerii, i

pozostawienie wyłącznie „żelaznej brygady” Karpatczyków, to znaczy pułków II i III piechoty i II-go ułanów w charakterze „kadry armii polskiej”.

12 sierpnia, rok 1917, niedziela
Słówko o wojnie, naturalnie – o interesującym mię najbardziej froncie wschodnim. Od czasu, gdym ostatni raz wspominał o niej, ofensywa uwolniła od Rosjan prawie całą już Bukowinę, włącznie z Czerniowcami, Seretem, Radantzem. Linia stoi gdzieś na samych kresach wschodniej i południowo-wschodniej Bukowiny, nad granicą rosyjską i rumuńską. Na południu Bukowiny linia wkracza w terytorium rumuńskie, gdzie nad rzeką Bystrzycą w Multanach południowych sięga miasta Holdy. Ciekawe jest, że tak, jak w Galicji wschodniej, w Bukowinie linia ofensywy, dotarłszy do granicy rosyjskiej, nie wkroczyła na terytorium państwowe Rosji (w Podole, względnie w Besarabię), lecz ustała w tempie; forma jej ruchu miała wygląd energicznego uderzenia w głąb na wschód aż do linii granicy państwowej austriacko-rosyjskiej i następnie ześlizgnięcia się po niej z północy na południe. To zbaczanie pomału ciężkości ofensywy w kierunku południowo-wschodnim, które się dało obserwować w pierwszym jej okresie i którego konsekwencją zdawał się być dalszy ruch na terytorium bądź rosyjsko-besarabskim, bądź wschodnio-rumuńskim, okrążający obecną linię frontu w Multanach, nie sprawdziło się w znaczeniu flankowania. Natomiast teraz tempo ofensywy przeniosło się nagle daleko na południe, do odcinka Mackensena, na lewe jego skrzydło. Tam, na północ od miasta Focsani (Fokszany) nad Seretem rumuńskim w Multanach, Mackensen uderzył, przebił front i wyłom lokalny szybko rozszerza, nie dając wytchnąć nieprzyjacielowi, pomimo jego gwałtownych kontrataków. Mackensen już przekroczył ponad Focsani Susitę i posuwa się dalej na północ od tej rzeki, flankując odcinek rumuńsko-rosyjski w dolinach Oitoz (Oituz) i Casinu, gdzie Rosjanie i Rumuni, dla odciążenia ofensywy galicyjsko-bukowińskiej, w ostatnich czasach właśnie gwałtownie uderzali, chcąc tu przełamać front w kierunku na Siedmiogród; dziś sami są tam zagrożeni i zmuszeni będą zapewne przez Mackensena zwinąć ten odcinek, cofając się najmniej za Seret, o ile nie zostaną całkiem z Rumunii wygnani. Jak wszystkie inne ofensywy niemieckie na wschodzie, tak i ta jest stylowa i piękna, w obecnym zaś jej stadium wszedł w grę mistrz – Mackensen. Ciekawa rzecz, czy powstrzymanie tempa ofensywy na granicy rosyjskiej jest wywołane planem strategicznym, czy też ma motywy polityczne, aby wypędzając Moskali z ziem państwowych austriackich uszanować terytorium państwowe rosyjskie, prowadząc dalszy ciąg kokieterii z rewolucyjną Rosją, rozpoczętej już poprzednio i utrzymywanej na gruncie faktycznego zawieszenia broni, które trwało do czasu, póki Rosjanie pierwsi nie wznowili działań; odpędzono ich, ale tylko do granic, dając poznać, że zamiary specjalnie agresywne nie są względem Rosji ze strony mocarstw centralnych żywione. Czy takie są istotnie kurtuazyjne względy Niemców – zobaczymy.
Otrzymałem dziś list od Heli Ochenkowskiej z Warszawy, adresowany wprost do obozu jeńców. Z listu tego dowiedziałem się z radością, że dzięki Bogu sprawa pieniężna stanęła pomyślnie. Pisze mi Hela, że ma już na ręku gotówki dla mnie 192 marki po opłaceniu moich rachunków, oprócz 50 marek, które jeszcze nadesłała Maryńka z Wilna i oprócz 50 marek, które Hela już wysłała do obozu jeńców do mnie (pieniędzy tych jeszcze nie otrzymałem). Rozporządzam więc teraz niespełna 300 markami, choć jeszcze chwilowo w ręku ich nie mam. Ale jest już pewny rezerwuar gotówki, a to grunt. Jakie poszczególne źródła złożyły się na tę gotówkę, o tym Hela nie pisze, prócz jedynego źródła dla 50 marek od Maryńki. Poza tym Hela pisze, że ona, Maryńka i p. Pomorski robią ruch, by mnie z obozu jeńców wyciągnąć i, o ile się da, na Litwę

wyjazd ułatwić. Nie bardzo wierzę, żebym został prędko uwolniony, a tym bardziej, abym się dostał na Litwę, ale że ruch się robi – to dobre.
Przechodzę teraz do rady żołnierskiej, ale dopiero do tych wstępnych stadiów jej organizowania się, o których w zeszłym tygodniu pisać rozpocząłem. Otóż pierwszym zrębem organizacji była rada żołnierska pułkowa, o której powstaniu i składzie osobistym dla naszego pułku (mam tu oczywiście na myśli tylko pochodzenie pułkowe internowanych, nie zaś pułki właściwe jako takie, które pozostały poza obozem jeńców) – już pisałem. Wyższym zrębem organizacji, niejako nadbudową w stosunku do rad pułkowych, jest rada żołnierska obozna, która składa się z reprezentacji poszczególnych rad pułkowych. Każda rada pułkowa deleguje do rady obożnej jednego przedstawiciela i jednego zastępcę. Na pierwszym od razu posiedzeniu naszej rady pułkowej wybrano tę delegację do rady obożnej. Wybór padł na Zagłobę-Kamińskiego jako przedstawiciela i Wiktora Wąsowicz jako zastępcę. Wybór ten był poniekąd przygodny, ponieważ, jak to już mówiłem, nie wszyscy członkowie jeszcze znali się wzajemnie i wiedzieli o sobie, Zagłobę zaś znali najwięcej, bo się dał świeżo poznać z ostatniego okresu rady w Pomiechówku, kiedy na przykład ja byłem wtedy na tym polu bezczynny. Co zaś do Wąsowicza (jest on teraz sierżantem, podczas gdy jeszcze w Zambrowie, a nawet w początkach w Pomiechówku był tylko szeregowcem, szarżę zaś sierżanta uzyskał w drodze potwierdzenia, tak samo jak ja mój stopień starszego żołnierza i w tym samym co ja czasie; miał on jakieś dawne uznanie szarży sierżanta plutonowego od Piłsudskiego, jeszcze z czasów, zdaje się, przed wstąpieniem do Legionów, z tytułu udziału w jakichś tam czynnościach organizacyjno-przygotowawczych) – otóż co do Wąsowicza, to jego wybór opierał się na tym, że jest w ogóle w naszym pułku, jako człowiek ruchliwy i bardzo ekspansywny, ogólnie znany, a zresztą w radzie żołnierskiej I pułku jest on jednym z najstalszych jej członków, bo właściwie sama inicjatywa powołania rady do życia wyszła w Zambrowie od niego; poza tym, jest to człowiek politycznie niezmiernie czysty i bezwzględnie uczciwy i szlachetny, pomimo jakiekolwiek braki, które w jego nadmiernej krewkości i może pewnej żyłce warcholsko-pieniaczej dałyby się znaleźć. Ja więc do rady obożnej nie trafiłem. W funkcjonowaniu naszego samorządu od razu zarysowała się ogromna dominacja rady obożnej nad pułkowymi. Ponieważ obóz bądź co bądź tworzy jedną całość i potrzeby w zakresie samorządu są dla całości jednolite, więc z natury rzeczy ujawniła się od razu supremacja rady obożnej, dochodząca do całkowitego niemal pochłonięcia wszystkich funkcji kosztem wyjałowienia działalności rad pułkowych. Radom pułkowym groziło zejście do roli zupełnie służebnej, roli przyjmowania tylko wiadomości, względnie rozkazów rady obożnej. Później stosunek wzajemny tych dwóch ciał organizacyjnych się unormował przez praktykę. I odtąd rady pułkowe pozostały faktycznie na stopie podrzędnej: nie posiadają one ani wybitnej inicjatywy, ani rozleglejszej sfery działania. Rada pułkowa w plenarnych posiedzeniach prawie że nie funkcjonuje: zbiera się ona prawie wyłącznie dla informowania się wzajemnego, dla celów sprawozdawczych z działalności rady obożnej, dla pewnej kontroli nad pracą komisji i sekcji. Bardzo rzadko ma coś samodzielnie do postanowienia. W sferze więc inicjatywy i w sferze właściwie ustawodawczej i organizacyjnej naszego samorządu prawdziwym ciałem woli żołnierskiej jest rada obożna. W sferze jednak funkcjonalnej i w sferze wykonywania konkretnych czynności samorządu, to znaczy w sferze pracy komisji organów wykonawczych – praktyka sama ustaliła rozgraniczenie obożnych i blokowych organów odpowiednio do potrzeb realnych, dając i jednym, i drugim zakres i pole właściwe działania. Rady pułkowe są w samorządzie w stosunku do rady obożnej tym, czym sekcje lub plutony – do kompanii. Przedstawicielstwo rad pułkowych w radzie obożnej zostało później unormowane nieco inaczej, niż na początku: zamiast delegata i zastępcy

od każdej pułkowej rady ustalono stałych delegatów z pełnym i równym prawem głosu decydującego, kasując całkiem zastępców, a mianowicie od pułków I, IV, V i VI piechoty, I ułanów i I artylerii po dwóch delegatów, od II zaś i III pułków piechoty i od II pułku ułanów – po jednym delegacie; stosunek przedstawicielstwa ustalono proporcjonalnie do stosunku liczbowego ludzi w obozie, pochodzących z różnych pułków.

13 sierpnia, rok 1917, poniedziałek
Czy nie zbliża się już chwila mego wyzwolenia? Bo oto po wczorajszym liście Heli Ochenkowskiej, w którym zawiadamia mię ona o staraniach, jakie się robią na rzecz mego uwolnienia z obozu jeńców i ewentualnego powrotu na Litwę, dziś obozowi funkcjonariusze niemieccy zaczęli mię nachodzić i indagować co do daty i miejsca mego urodzenia, przynależności państwowej, zawodu cywilnego, rysopisu, które to szczegóły są im, jak sami mówią, niezbędne w sprawie mego wypuszczenia stąd. Że się jakiś ruch w mojej szczególnie sprawie robi, gdy co do ogółu dotychczas jeszcze nie robi cię nic, to już jest widoczne, ale czy rychło już od tych formalności do istotnego wyzwolenia, tego bynajmniej pewien nie jestem i wolę się przesadną nadzieją nie łudzić. Gdybyż to Bóg dał, żebym mógł do Litwy wrócić!
W drugiej też, nie mniej dla mnie żywotnej, sprawie – dochodzą mię wieści dodatnie. Po wczorajszym liście od Heli, zawiadamiającym o posiadaniu 292 marek moich pieniędzy, z których 50 marek już wysłała mi do obozu, dziś otrzymałem list od pp. Starzyńskich (szwagra i siostry Stefana Mieczkowskiego), zawiadamiającym mię o wysłaniu mi przez nich 200 marek przez Towarzystwo Pomocy dla Więźniów. Ogółem rozporządzam więc już koło 500 markami; będzie przynajmniej o co na razie ręce zaczepić. Z tych pieniędzy 242 marki są w ręku Heli w Warszawie, a 25 marek – wysłanych do mnie. Nie otrzymałem ich dotąd wprawdzie, ale chyba już lada dzień otrzymam. Dziwi mnie to, że listy wysyłane tą samą drogą przez Towarzystwo Pomocy Jeńcom dochodzą prędzej, niż łatwiejsze do przesłania i doręczenia pieniądze, wysłane razem z tymi listami. W drugim liście od Heli, otrzymanym dziś, pisze mi ona, że 300 marek przysłane jej zostało dla mnie z Rakiszek, a więc chyba od Papy, podczas gdy w liście do mnie z dnia 5 lipca Papa mi pisał o wysłaniu mi pod adresem pułku tylko 100 marek. List obojga pp. Starzyńskich jest niezmiernie serdeczny. Przed wyjazdem z pułku do obozu jeńców pisałem do nich, prosząc o 200 marek pożyczki. Nie tylko że mi te pieniądze przysyłają, ale jeszcze p. Starzyński otwiera mi najuprzejmiej kredyt nieograniczony i prosi o niekrępowanie się, a z całego serca ofiarowuje mi swe usługi w sprawie zabiegów o wyzwolenie mię z obozu jeńców. Brat p. Starzyńskiej, legionista Ludwik Mieczkowski, został staraniem p. Starzyńskiego zwolniony z Legionów po odmowie przysięgi i jest już cywilem. Oby już tylko prędzej przyszły moje pieniądze, a będę dobrej myśli i z otuchą czekać będę losów.
Chcę umieszczać w dzienniku kopie wyroków naszego sądu żołnierskiego jako ciekawe dokumenty naszych bolączek i naszego życia. Chciałem to zrobić po zakończeniu opisu organizacji i funkcjonalnego rozwoju naszej rady żołnierskiej, ale wobec możliwości prędkiego wyjazdu nie będę tego odkładał. Pisać będę równolegle i na przemian: jednego dnia o rozwoju rady żołnierskiej włącznie do organizacji naszego sądownictwa, drugiego – o poszczególnych sprawach rozpatrzonych – materialnie przez sąd, a streszczonych w wyrokach. Tą drogą, jeżeli nawet nie dociągnę do końca w obu tych sferach, to przecież coś niecoś i z jednej, i z drugiej sfery dam materiału do poznania. Sądy są u nas dwa: sąd obożny i sądy blokowe, których jest tyle, ile jest naszych bloków (do 7 sierpnia było ich siedem, odtąd jest osiem; ósmym jest podoficerski). O ściślejszej organizacji tych sądów i o zasadach procedury – napiszę osobno, referując o

radzie żołnierskiej, której sądy te są organami. Tu będę pisać o zasądzonych sprawach. Jestem przewodniczącym sądu obożnego (głównego) i sądu blokowego bloku IV. Pierwsza sprawa, która weszła pod obrady sądu obożnego (koło 26-27 lipca) – była to sprawa kaprala II pułku, Matuszewskiego i towarzyszy, posądzonych o agitowanie na rzecz utworzenia zmowy do zgłoszenia do władz obozowych niemieckich gotowości przysięgi. Kopii orzeczenia w tej sprawie nie posiadam, dlatego ją wyjątkowo zreferuję tylko ustnie (to znaczy pisemnie, ponieważ piszę, ale tylko z pamięci). Rzecz się miała tak. Żołnierze przyłapali kaprala Matuszewskiego na namawianiu ludzi do zgłaszania się do przysięgi i sporządzania list zgłaszających się dla przedstawienia jej majorowi. Wydał go naszym żołnierzom jeden z tych, których Matuszewski agitował i nawet już był wpisał do swojej listy. Przyłapano go w chwili, gdy już siedział z gotową listą na drodze przy pompie naprzeciwko kuchni i wraz z dwoma zaufanymi towarzyszami, niejakim Bergerem, Żydem, i drugim, którego nazwisko ulotniło mi się z pamięci, czekał na majora, który miał tędy przechodzić i któremu mieli oni listę wręczyć. Dowiedziono mu też, że zgłaszał się do posterunku niemieckiego z prośbą o zaprowadzenie go do majora; wartownik z posterunku zaprowadził go do komendanta warty, który jednak nie podjął się zaprowadzenia go do majora i kazał zaczekać na jego przyjście. Toteż czekali we trójkę. Żołnierze nasi, usposobieni do przysięgi tym bardziej wrogo, im dotkliwiej za tę sprawę cierpią, gotowi są omalże nie zmasakrować każdego gościa, który chciałby się do przysięgi zgłosić, a cóż dopiero na jej rzecz w masie agitować. Czują żołnierze instynktem, że każdy wyłamujący się teraz ze wspólnego ponoszenia konsekwencji podkopuje ich postawę zarówno materialnie, jak moralnie. Instynkt szepce im także, że podłością jest taki czyn, który nie tylko że sam w imię materialnych żołądkowych korzyści staje się zbiegiem z szeregów ideowej walki, ale jeszcze szerzy cynicznie demoralizację dokoła i staje się agentem triumfu niskich motywów nad motywami ideowego wytrwania i spekulując na głodzie i męce niewoli, wyławia jednostki słabsze i mniej odporne, by je za sobą pociągnąć. A że masa nie jest nigdy skora do subtelnej i spokojnej analizy faktów i uczynków, lecz je sądzi odruchowo, przez pryzmat własnego uczucia, więc w takich wypadkach pojmanemu grozi zawsze dziki sąd Lyncha. Matuszewskiego i dwóch towarzyszy po zatrzymaniu odprowadzono do Zosika, ówczesnego komendanta naszego obozu, który go na razie aresztował i oddał pod straż i opiekę sekcji służbowej w baraku inspekcyjnym naszego bloku; przez aresztowanie uchronił go od możliwych aktów gwałtu i samowoli ze strony masy. Zosik chciał ich sprawę oddać naszemu sądowi do rozprawy sądowo-karnej. Miała to być nasza pierwsza sprawa w sądzie obożnym. Uznaliśmy jednak w naszym sądzie, że się do rozprawy karnej nie nadaje, po pierwsze dlatego, że samej chęci przysięgania niepodobna uznawać za zbrodnię karalną jako kwestię sumienia osobistego, po wtóre dlatego, że kary, którymi możemy rozporządzać, są śmieszne po prostu wobec zagadnień takich, jak przysięga, solidarność ideowa, honor w ponoszeniu nawet męczarni w konsekwencjach własnych czynów i przekonań, jeżeli już ewentualnie dopuszczać uznania zbrodni w sferze tych obowiązków sumienia i przekonań, wreszcie dlatego, że gdybyśmy mieli za zgłaszanie się do przysięgi karać ludzi, bylibyśmy dali przeciwnikom naszym jeno ten atut, że represją i przymusem, względnie terrorem gwałcimy kolegów i zmuszamy ich do nieprzysięgania. Za zbrodnię uważać możemy nie osobistą chęć przysięgania, ale agitowanie w naszym środowisku i w naszych warunkach na rzecz przysięgi i przekupywania dusz i sumień ludzkich naszych kolegów, spekulując na ich głodzie, nędzy i fizycznych oraz moralnych cierpieniach, przeciwko czemu środowisko nasze, społeczność naszą w obozie jeńców i naszych słabszych kolegów strzec i bronić mamy prawo i obowiązek. Wchodzi to nie w sferę funkcji sądowo-karnej, lecz w sferę bezpieczeństwa publicznego i samoobrony

naszej. Toteż podjęliśmy się nie sądzenia i wymiaru sprawiedliwości (kary), jeno śledztwa i zreferowania rzeczy ze stanowiska bezpieczeństwa i samoobrony społecznej. Wykonaliśmy też to. Śledztwo wykazało, że chodziło tej szajce nie o przysięgę jako taką i nie o namowę do niej, lecz o formę ucieczki z obozu jeńców, licząc na to, że przez zgłoszenie się do przysięgi ich stąd wypuszczą, a w drodze zwieją. Namawiali zaś i sporządzali listę dla przedstawienia jej majorowi dlatego, że słyszeli, iż major rzekomo mówił, że pojedynczych ludzi, zgłaszających się do przysięgi odsyłać nie będzie, jeno odeśle, gdy się zbierze transport z 40 ludzi. Matuszewskiego jednak i Bergera uznaliśmy za jednostki niepewne jako wielce zdemoralizowane i przeto uznaliśmy za konieczne ustanowienie nad nimi ścisłej kontroli, co zaś do trzeciego, bardziej naiwnego – poddania go czasowej obserwacji. Innych, którzy byli wpisani na listę, uznaliśmy za zupełnie wolnych od wszelkiego posądzenia i nic niebezpiecznego osobiście nie przedstawiających.

14 sierpnia, rok 1917, wtorek
Wczoraj otrzymałem znowu dwa ciekawe i ważne dla mnie listy: jeden od Pomorskiego, drugi od Ludwika Abramowicza, a do nich jako załączniki – dopisek Heli Ochenkowskiej u dołu listu Pomorskiego i kartkę Maryńki z Wilna, pisaną do Heli. Przede wszystkim w żywotnej dla mnie sprawie pieniężnej, to o ile poprzednio siedziałem od połowy czerwca na beznadziejnej mieliźnie, nie mogąc dostać pieniędzy, o które zresztą na razie krępowałem się do kogokolwiek się zwrócić, prócz Papy, o tyle teraz gotówka tak się zewsząd do mnie sypie i nawet sama zgłasza, że gotówem wkrótce jak Krezus pławić się – co prawda nie w złocie, bo ono w wojnie obecnej tak się głęboko schowało po kieszeniach szczęśliwych posiadaczy i skarbcach banków, że żaden cud go stamtąd nie wywabi, ale w papierowych banknotach i żelazie wojennego bilonu. Prócz pieniędzy, które w kwocie 242 marek są w gotówce do mego rozporządzenia u Heli (już po opłaceniu 30 marek długu Włodkowi Mozołowskiemu i 28 marek długu tejże Heli), prócz dalej 50 marek, wysłanych mi już przez Helę i 200 marek, wysłanych przez p. Jana Starzyńskiego, teraz oto Pomorski zapytuje mię sam, czy nie potrzebuje pieniędzy i ofiaruje gotowość przysłania na każde zapotrzebowanie. A że jeszcze i p. Starzyński otworzył mi kredyt i prosił o niekrępowanie się, mógłbym teraz obficie pełną dłonią czerpnąć pieniędzy i mieć ich na razie do syta. Przez długi czas nie było nic, a teraz nagle zewsząd się sypnęło. Doznaję takiego wrażenia jak człowiek, który został rzucony na bezludną wyspę i już był stracił nadzieję pomocy, gotując się z rezygnacją do przyjęcia losu, aż tu nagle widzi śpieszący doń ze wszech stron ratunek, większy, niż jakiego mógł w najlepszych nadziejach pożądać, albo jak człowiek, który odwykł zupełnie od czucia i rozumienia względnej wartości pieniędzy, dla którego już 1 marka nędzna wydawała się kapitałem – tak ją trudno było zdobyć i tyle w niej było powabu kawałka chleba lub kilkunastu papierosów, które za nią można było nabyć, aż tu naraz wpadają mu do kieszeni marek tych setki, reprezentujące już nie tylko chleb na dziesiątki pudów i papierosy na dziesiątki tysięcy sztuk, ale jeszcze i cały szereg innych zbytków spoza sfery jedzenia, o których nie śmiało się nawet myśleć wobec elementarnego głodu chlebowego i tytoniowego. Oczywiście wobec dzisiejszej wojennej drożyzny powszedniego życia te setki marek, gdybym się stąd uwolnił i wrócił do życia cywilnego, gdzie wszystko się na gotówkę mierzy, są bogactwem bardzo względnym, ale wrażeniowo w psychologii głodowo-więźniowej zdają się one być czymś olśniewająco wspaniałym, od czego „ma się prawo”, wyrażając się po legionowemu, dostać zawrotu głowy. Co do pożyczki od Pomorskiego, to przed kilku dniami, nie wiedząc jeszcze o tym dopływie gotówki z różnych innych źródeł i nie mogąc się ich doczekać, zdecydowałem się napisać do niego z prośbą o pożyczenie i

przysłanie kilkudziesięciu marek, choć mi to było przykro i choć się długo poprzednio wahałem, woląc uniknąć tego dotkliwego momentu przyjmowania pomocy (bo pożyczka jest w dzisiejszych warunkach bądź co bądź formą pomocy) od człowieka, z którym, jako wicemarszałkiem koronnym, to znaczy wiceprezesem Rady Stanu, stanąłem jako legionista, odmawiający przysięgi, w dwóch przeciwległych i politycznie wrogich obozach. Pozawczoraj, gdym się dowiedział od Heli o pieniądzach, napisałem zaraz do niej, aby poszła do Pomorskiego i odwołała moją prośbę pożyczki, ale tymczasem Pomorski, otrzymawszy mój list, mógł, wobec swojej szczególnej gotowości do pożyczki, ujawnionej w liście, już wysłać pieniądze. „Grozi" mi więc przypływ gotówki jeszcze i z tego źródła dodatkowo. Z listu Maryńki do Heli, załączonego w liście powyższym, widzę, że biedaczka jest niezmiernie przejęta wieścią o internowaniu mię w obozie jeńców i gorąco, serdecznie, jak tylko tak kochająca, jak ona, siostra być może, zaniepokojona o mój los. Co do tych 50 marek, które przysłała dla mnie na ręce Heli, to jest prawdziwy krwawy grosz wdowi, bo biedactwo musiała aż zastawić kosztowności w lombardzie, żeby móc te 50 marek zdobyć. Stokrotnie już wolę czerpać z przykrych pożyczek od Pomorskiego czy Starzyńskiego, niż z tego pieniądza, który z nędzy i krwawej krzywdy siostrzanej pochodzi, a szczególnie już prawie że podłością byłoby korzystać z tych pieniędzy teraz, gdy mam na razie dość gotówki z innych źródeł i bez tego. Toteż napiszę do Heli, aby odesłała zaraz te 50 marek Maryńce z wdzięcznością najserdeczniejszą, która, pomimo że z tych pieniędzy nie skorzystam, będzie żywsza, niż względem tych osób, które mi pożyczyły, choć bez obowiązku dla mnie, ale i bez krzywdy i ujmy dla siebie i z których pieniędzy skorzystam. Dotychczas wysłanych pieniędzy jeszcze na ręce nie otrzymałem.

Co do innych spraw, w listach poruszonych, to tak Pomorski, jak Ludwik Abramowicz i Hela zapewniają mię, że się robi wszystko, co można, aby mi drzwi niewoli otworzyć. Starania te są skierowane do umożliwienia mi powrotu do Litwy: do Bohdaniszek, względnie do Wilna. Abramowicz zaznacza jednak, że z wyjazdem na Litwę będą zapewne specjalne trudności i że o to starać się trzeba będzie zapewne już dopiero po uwolnieniu, osobno (tak mu przynajmniej mówił w tej sprawie Sapieha). Co zaś do samego uwolnienia, to ci, którzy się o to starają, są dobrej myśli. Natomiast co do ewentualnej posady z ramienia Rady Głównej Opiekuńczej na wypadek, gdyby wyjazd do Litwy okazał się niewykonalnym, to Ludwik Abramowicz pisze, zapewne ze słów Sapiehy, do którego odnosił mój list w tej sprawie, że spawa przedstawia się gorzej; widocznie Sapieha nie robi nadziei. Ludwik dodaje, że przypuszcza, że jakieś zajęcie w razie potrzeby da się znaleźć; ze swej strony ofiarowuje mi mieszkanie u siebie; co do zamieszkania, to i pp. Starzyńscy ofiarowali mi gościnę u siebie na wsi w dzierżawionym przez nich Anecinie pod Jabłonną w okolicach Warszawy. Tam mógłbym znaleźć całkowitą gościnę, to znaczy i mieszkanie, i utrzymanie. Wolałbym jednak z tej gościnności nie korzystać, bo nie znoszę tych form zależności pasożytniczej, a zresztą nigdy na tej stopie nie byłem i nie jestem z tym ani obeznany, ani oswojony. Zresztą, da Bóg, że nie przyjdzie do tego.

Poza tym, w liście zarówno Pomorskiego, jak Abramowicza jest także treść polityczna. Pomorski, do którego pisałem moje zdanie w sprawie przysięgi, długo i szeroko tłumaczy całą sprawę ze stanowiska Rady Stanu. List jego ma właściwie charakter spowiedzi pokutniczej. Ubolewa nad tym, co zaszło. Rozumie fatalizm sytuacji. Rozwodzi się nad tym, że Radzie Stanu chodziło nie o przysięgę jako taką, lecz o armię polską, o realne wreszcie tworzenie siły zbrojnej państwowej, do czego nie można było przystąpić bez przysięgi, że tekst przysięgi był wynikiem długich układów i mozolnego kompromisu; że Rada Stanu bynajmniej sama doskonałości roty przysięgi nie stwierdza; że jednak nigdy poprzednio przysięga ta z tej strony, to znaczy co do tekstu

jej roty, nie była kwestionowana, choć znała ją lewica, która wtedy jeszcze zasiadała w Radzie Stanu i brała udział w tych targach o rotę przysięgi, jak również cała prasa nielegalna; że następnie po odmowie przysięgi z naszej strony Rada Stanu nie przypuszczała, że wywiezienie nas do Szczypiorny będzie internowaniem, które zostało przez Niemców uzasadnione względami bezpieczeństwa tyłów frontu, względami, na które Rada Stanu wpływu nie ma. Słowem – wszystko rzeczy znane. Ale grunt jest w tym, czym Pomorski usprawiedliwia samą decyzję Rady Stanu na przeforsowanie przysięgi w Legionach, tę najfatalniejszą decyzję, która nie tylko spowodowała nasze internowanie, ale, co ważniejsze, grozi zgubą i pogrzebaniem całej sprawy wojska i która szczątki Legionów oddała ostatecznie w łapy mafii, usymbolizowanej imionami Zagórski – Januszajtis – Sikorski. Pomorski – o, *sancta simplicitas*, tak charakterystyczna dla Tymczasowej Rady Stanu – z boleścią stwierdza, że to było rezultatem i nieporozumienia, i wprowadzenia Rady w błąd przez oficjalne kierownictwo (Komendę) Legionów, które, gdy już na niedzielę był przeznaczony uroczysty akt przysięgi, jeszcze w piątek zapewniało, że przysięga się uda, a gdy w sobotę nadeszły alarmujące wieści, zaręczało, że najwyżej 10 proc. żołnierzy odmówi przysięgi. A więc Rada Stanu przystąpiła do dzieła tej wagi, jak tworzenie armii narodowej, za pomocą eksperymentów, które budziły kategoryczny sprzeciw w nastrojach żołnierzy i nastrojów tych nie zbadała, a gdy ją ostrzegano, to lekceważąc odpowiedzialność, polegała lekkomyślnie na zapewnieniach i wreszcie, gdy doszło do katastrofy, w imię rzekomo salwowania swego autorytetu obstaje i trwa na błędnym stanowisku, solidaryzując się z tymi, którzy ją tak fatalnie w błąd wprowadzili! Co rzec na to? Wszak takie usprawiedliwienie – to kapitalna kompromitacja i akt oskarżenia, który jest zarazem czynnikiem dziejowym!

15 sierpnia, rok 1917, środa
Dziś Niemcy aresztowali znowu dwóch naszych oficerów, dzielących nasz los: kapitana (względnie rotmistrza) Orlicza-Dreszera i Grzmota-Skotnickiego. O obecności Dreszera wśród nas pisałem, zdaje się, w dzienniku w dniu jego przyjazdu do obozu z transportem ułanów. W dniu rewizji w obozie, 7 sierpnia, po aresztowaniu Zosika, Szafranowskiego i Rzeckiego, Dreszer, domyślając się, że Niemcy chcą wyłapać resztę skrytych w masie żołnierskiej oficerów, a jeżeli nie zdołają wyłapać, to przynajmniej ich izolować, i że w tym celu odosabniają podoficerów, gdy kazano wszystkim podoficerom wystąpić i odprowadzono ich, nie poszedł z nimi i zrzucił swój mundur z podoficerskimi znakami plutonowego, przebrał się w prosty zniszczony mundur szeregowca bez żadnych odznak i pozostał z żołnierzami. Pomimo charakterystycznej postawy, wyróżniającej go na pierwszy rzut oka z całej masy żołnierzy, choć by się nie wiem jak przebrał, nie został poznany przez tego Żydka i zdrajcę, który chodził z Niemcami po wszystkich blokach, wyszukując oficerów dla ich zdradzenia, i pozostał. Zamieszkał w bloku VI i objął na miejsce Zosika komendę obozu. Widywałem się z nim prawie co dzień. Wczoraj jeszcze piłem u niego herbatkę. Nic nie zapowiadało, że zostanie zdradzony i aresztowany. Męczył go głód, bo nie był przywykł do wiktu żołnierskiego, a tym bardziej wiktu jeńców: całego szeregu pokarmów naszych, do których przyzwyczailiśmy się już od dawna i które nas zadowalają, a nawet już poniekąd smakują, jak na przykład ryba suszona w zupie obiadowej, często nam tu podawana i dla nowicjusza wstrętna z powodu swego zapachu, nie jadał wcale, choć był głodny. Ale znosił głód i trwał mocno z nami. Dzielny ten człowiek, jeden z najpopularniejszych oficerów i jeden z najwybitniejszych inteligencją i charakterem, pełny woli, siły i ambicji, był niezmiernie nam użyteczny na stanowisku naszego komendanta obozu. Miał do tego nie tylko głowę, ale i inicjatywę, i autorytet wielki.

Nie wychodząc poza obręb bloku, a nawet nie ruszając się prawie z miejsca ze swego baraku, aby jak najmniej dać się poznać z widzenia szerokiemu tłumowi, w którym obecność szpiegów i kandydatów na zdrajców jest nieunikniona, wszystkim rządził sprężyście i wszystkie potrzeby ogarniał wzrokiem sokolim. Jaką drogą Niemcy dowiedzieli się o nim, czy przez jakiego szpiega-zdrajcę, czy z Komendy Legionów, względnie z Polnische Wehrmacht – nie wiadomo; dość że przyszli dziś rano szukać i aresztować jego i Grzmota. Grzmot siedział w bloku podoficerskim. Znaleziono go i aresztowano zaraz. Dreszer na razie się ukrył, ale potem, rozumiejąc, że skoro niemieckie władze obozowe wiedzą już o jego obecności, to wcześniej czy później go znajdą, i ze względu na to, aby nie narażać ogółu na ewentualną taką rewizję, jak 7 sierpnia, zdecydował sam się zgłosić do majora niemieckiego, co też wykonał. Jaki będzie los jego i Grzmota – nie wiadomo. Z pewnością na razie zostanie zamknięty tam, gdzie już siedzi kapitan Zosik z czterema towarzyszami. Jeden po drugim są nam zmiatani przez Niemców nasi towarzysze oficerowie.
Dziś znowu otrzymałem kartkę od Pomorskiego – tym razem przez urzędową pocztę niemiecką. Kartka króciutka; Pomorski zapytuje, gdzie mi można przysłać ubranie cywilne i pieniądze. Czy znaczyłoby to, że mam być już wkrótce uwolniony? Ale na pewno znaczy przynajmniej tyle, że ruch na rzecz mego wyzwolenia jest energiczny i sprężysty. Pomorskiemu wdzięczny za to jestem. Wiem, że robi, co może, aby mię stąd wyrwać. Co do ubrania cywilnego, to jest to dla mnie rzecz bardzo ważna. Moje własne ubranie cywilne zostawiłem w roku ubiegłym, wracając do pułku, w Lublinie. Tam ono pozostało i jest teraz u niejakiej pani doktorowej Staniszewskiej. Pomimo próśb i starań, nie zdołałem osiągnąć, aby mi je do Warszawy odesłano. Toteż gdyby mię uwolniono, dano by mi tu jakieś łazarskie ubranie cywilne, w którym wyglądałbym jak żebrak. Co innego być w łatanym i starym, ale mundurze legionowym, a co innego – w prostaczym oberwanym stroju cywilnym, jak nędzarz uliczny. Przynajmniej od Pomorskiego będę mieć jakieś odzienie przyzwoite, w którym będę mógł wyjść na świat.
Rzadki dzień, w którym by mi zostawało w dzienniku miejsce na referowanie o rozwoju naszej rady żołnierskiej w obozie jeńców. I już się obawiam, że tematu tego wyczerpać nie zdążę przez czas mego pobytu, choć pragnąłbym bardzo to wykonać. Korzystam teraz z tego skrawka miejsca. Mamy więc radę obozną i rady blokowe. Nasza blokowa, która jest zarazem pułkową, zorganizowała się od razu na zasadzie jawności i wyborów bezpośrednich z masy żołnierskiej. Rada obozna złożona, jak mówiłem, z delegatów rad blokowych, względnie pułkowych (w blokach, które są zamieszkałe przez oddziały z różnych pułków, są, zdaje się, organizacje nie ściśle blokowe, lecz pułkowe, które kombinują się ze sobą dla załatwiania potrzeb blokowych między sobą), zakonspirowała się od razu co do swego składu osobistego. Istnienia swego rada nie zakonspirowała, ale tylko nazwiska osób, składających ją, a to z obawy, aby nie narażać je na ewentualne represje ze strony niemieckich władz obozowych oraz nie ułatwić tymże władzom rozbicia organizacji, gdyby zechciały jej działalność zniweczyć, licząc się z tym, że ujawnienie nazwisk dałoby wszelakim szpiegom możność denuncjowania. Wielkiego znaczenia, a nawet sensu to nie ma, bo działalność rady żołnierskiej politycznych cech tu w naszych stosunkach właściwie nie ma, a przeto konspirowanie się i obawy są zbyteczne. Główna działalność rady zarówno obozowej, jak blokowych – to sfera gospodarczo-żywnościowa, kulturalno-oświatowa i sądowo-dyscyplinarna. Spełnia ona najważniejsze funkcje naszych społecznych potrzeb zbiorowych, a tylko w znikomej mierze jest kierowniczką pewnej ciągłości politycznej naszego stanowiska ideowego w zbiorowości. W tych głównych najważniejszych i najpowszedniejszych sferach działalności rady nie ma się czego obawiać ze strony Niemców, bo samym Niemcom takie funkcjonowanie samorządu naszego musi być chyba na rękę, bo

utrzymuje ład w naszym środowisku i ułatwia im samym rolę wobec nas. Te dodatnie cechy rady albo też inne obojętne dla Niemców, jak kulturalno-oświatowe, równoważą co najmniej, jeżeli nie przeważają nad tymi, które mogą się ze stanowiska niemieckiego wydać ujemnymi, zważywszy zwłaszcza to ubóstwo środków, jakimi organizacja nasza może rozporządzać w obozie jeńców dla celów politycznych, które mieć może. Natomiast zakonspirowanie składu osobistego naczelnej organizacji żołnierskiej, rady obożnej, ma wobec masy tę ujemną stronę, że dla szerokiego ogółu jednostki są symbolami określonych sposobów działania i imiona ludzi znanych są najlepszą gwarancją dobrego funkcjonowania instytucji, budząc wiarę lub niewiarę. Ogół nigdy nie ufa tak bezimiennym komitetom, jak instytucjom i zarządom jawnym, znanym z imienia i oblicza. Prezesem rady obożnej jest wachmistrz Łaszczyc-Olszamowski; rada ma swoje prezydium, którego składu nie znam. Poza Zagłobą-Kamińskim i Wąsowiczem z ludzi wybitniejszych w radzie obożnej, o ile mi wiadomo, zasiadają: Walery Bagiński z artylerii jako referent spraw sądowych, sierżant Wisła z V pułku piechoty, który prowadzi sprawy redakcyjno-literackie, o ile takie zachodzą, i paru innych. Większości jednak należących do tej rady nie znam, to znaczy właściwie nie wiem ściśle, kto należy. Wkrótce po rozpoczęciu działalności rady ujawniło się, że niektóre pułkowe rady, jak na przykład pułku V ułanów, pułku I ułanów i inne, są całkowicie zakonspirowane i tajne dla ogółu żołnierzy. Powstały one nie w drodze wyborów, lecz w drodze dobrania się dawnych uczestników rad z czasów wolności, którzy sami dokooptowali tu sobie nowych członków.

16 sierpnia, rok 1917, czwartek
Rano nasi aresztowani oficerowie w liczbie siedmiu (kapitanowie Zosik i Dreszer, Rzecki, Grzmot, Kołłątaj, Szafranowski i ten z IV pułku, którego nazwiska nie wiem) zostali dokądś wywiezieni. Widziano, jak ich wyprowadzano. Dokąd ich wywożą – nie wiadomo. Druga nowina dnia dzisiejszego: pułkownik niemiecki, który od niedawna objął komendę tego obozu (dotychczasowy komendant, major, pozostał w charakterze zastępcy komendanta), zgodził się, na energiczne nalegania naszego dr kapitana Kapelnera, „tytułem próby" pozwolić naszym podoficerom wrócić do żołnierzy, to znaczy znieść to odosobnienie, jakiemu ulegali od dnia 7 sierpnia. Spodziewamy się, że już jutro wrócą do nas. Zresztą ogół żołnierzy-szeregowców nie entuzjazmuje się tym zbytnio, bo się obawia, że z ich z powrotem wznowią się usiłowania ściślejszego przestrzegania trybu wojskowego, który się znacznie rozluźnił od czasu ich odosobnienia, a zresztą w wielu wypadkach istnieje antagonizm między szeregowcami a podoficerami i pewna niechęć do nich z tytułu, że są oni w stosunkach wewnętrznych na stopie wyższej; tu w obozie jeńców niechęć do hierarchizmu wojskowego i zmysł egalitarny – są większe, niż były w pułku. Poza tym w szczególności w naszym baraku żołnierze nie tęsknią wcale do niepopularnego Krzymowskiego, który ich drażni i ma zaiste dar zrażania do siebie ludzi. Poza i ton mizantropa, które przybiera, ciągłe utyskiwanie na rozwiązłość i brak obowiązkowości u naszych żołnierzy, podczas gdy sam jest klasycznym wzorem opieszałości i zaniedbania obowiązków – to są rzeczy, które robią Krzymowskiego dla żołnierzy nieznośnym, zwłaszcza w tak ścisłym współżyciu, jak tu.
Przed niedawnym czasem powstała myśl wydawania przez nas stąd biuletynów, informujących rzeczowo o naszym życiu i stosunkach w obozie jeńców. Inicjatywa do tego była podniesiona jeszcze na samym początku naszego pobytu w obozie, przez radę żołnierską naszego bloku, ale rzecz ta do skutku nie doszła. Skończyło się tylko na jednodniówce 6 sierpnia, o której w dzienniku pisałem i do której materiał rękopiśmienny został wysłany do Kalisza, ale czy się w druku ukazała, o tym dotąd nie

wiemy nic. Poza tym dla pewnej publikacji, którą również planowaliśmy na wstępie naszego pobytu, zebrano po poszczególnych pułkach i oddziałach opisy rzeczowe aktu odmowy przysięgi. Opisy te jednak dotąd nie zostały zużytkowane i przechowują się na razie w rękopisach. Co się z nimi zrobi, to jeszcze postanowione nie zostało. Obecnie wypłynęła ponownie sprawa biuletynów i korespondencji prasowych. Myśl tę przed kilku dniami poruszał w rozmowie ze mną i Łaszczycem-Olszamowskim Dreszer, chcąc jej nadać kierunek konkretny do wykonania. Obecnie po jego aresztowaniu zajął się tym Łaszczyc, który pełni funkcje naszego komendanta obozu (za wiedzą Niemców zresztą, bo przeciwko niemu jako podoficerowi Niemcy nic nie mają). Łaszczyc, który w jednej osobie łączy funkcje komendanta obozu z funkcjami prezesa obozowego komitetu żołnierskiego (to samo, co rada żołnierska), powołał w tym celu komitet redakcyjno-prasowy w osobach mnie, Bagińskiego z artylerii, Budzyńskiego i jeszcze jednego (zdaje się – nazywa się Wyszyński) z kawalerii. Zebraliśmy się dziś w bloku VI. Po krótkiej naradzie podjęliśmy się następującej pracy: 1) opracowanie właściwie nie tyle biuletynu, ile jednorazowego komunikatu w postaci referatu o naszych stosunkach w obozie i życiu; komunikat ten będzie ściśle informacyjny, ogarniający całokształt stosunków naszych i będzie przesłany w jednym egzemplarzu do Koła Polskiego w Galicji i w drugim – do Warszawy, dla dania dokładnego materiału czynnikom politycznym; 2) mniej więcej stałe korespondencje do pism ze szczególnym uwzględnieniem prasy galicyjskiej, licząc się z tym, że warunki cenzuralne robią prasę warszawską zupełnie niezdatną do tego użytku. Co do regularnych pojedynczych biuletynów, to na razie myśli tej do wykonania zaniechaliśmy. Sprawą korespondencji prasowych zajmiemy się już po zakończeniu referatu, którego opracowania podjęliśmy się zaraz, wyznaczając termin do poniedziałku. Referat podzieliliśmy na trzy zasadnicze części: a) zewnętrzna organizacja i zewnętrzne formy życia w obozie (Budzyński), b) nasza organizacja wewnętrzna (czynniki własnej komendy naszej i samorządu żołnierskiego, jego szkielet i organy: sfera kulturalno-oświatowa, gospodarczo-żywnościowa i sądowa) i stosunek społeczeństwa do nas (Bagiński i ja i c) stan moralny i ideowy (Wyszyński).

Przechodzę teraz do relacji z naszych spraw sądowych. Drugą sprawą, którą sądził nasz obozny sąd żołnierski (pierwszą była zreferowana już w dzienniku sprawa Matuszewskiego, którą sąd przyjął tylko do śledztwa), była sprawa Rozenbauma. Rozenbaum, Żyd z Warszawy, szeregowiec VI pułku, ma wygląd inteligenta. Na rozprawie zachowywał się z dużym taktem. Sprawa jego, która wypłynęła z posądzenia go o chęć przywłaszczenia przeszło 100 bochenków chleba komitetowego, była w swoim czasie wielką sensacją w obozie. Posądzenie to rozniosło się piorunem po wszystkich blokach. Trzeba wiedzieć, czym jest chleb dla zgłodniałej rzeszy żołnierskiej, aby zrozumieć sensację, wywołaną na tę wieść i oburzenie na oskarżonego, i to tym bardziej, że Rozenbaum był funkcjonariuszem kuchni. W bloku I, w którym Rozenbaum mieszka, chciano mu na poczekaniu sprawić „dekę” (zbić). Z wielkim trudem, wśród scen gwałtownych, komenda bloku ledwie go zdołała od tego ustrzec i sprawę przekazała sądowi naszemu. Rozprawa toczyła się w bloku naszym. Licząc się z możliwością braku dowodów oskarżenia, a przeto ewentualnego uniewinnienia i rozumiejąc, że głodna masa, szukając kozła ofiarnego, gotowa wyroku takiego nie uznać, oraz w celu uniknięcia skompromitowania sądu w opinii masy, zaproponowałem komendzie i kolegom, abyśmy ustanowili jawność obrad sądowych, żeby nasz wymiar sprawiedliwości odbywał się pod bezpośrednią kontrolą opinii publicznej, co daje gwarancję bezstronności i większe zaufanie do sądu oraz działa kojąco na sumienie publiczne. Przyjęto to i odtąd jawność została ustalona na stałe.

Cytuję wyrok w sprawie Rozenbauma: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 28-29.VII.1917. Sąd koleżeński, powołany przez ob. kap. Zosika w porozumieniu z obożną radą żołnierską legionistów, internowanych w obozie jeńców w Szczypiornie, w osobach ob. Ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego i Leona Marciniaka z VI pp., Bohdana Stachlewskiego z I p. ułanów i Walerego Bagińskiego z I p. artylerii jako członków, rozpatrzył sprawę ob. Rozenbauma z VI p., oskarżonego o to, że 1) zajmował się kupnem chleba dla sprzedania tegoż poszczególnym żołnierzom po droższej cenie, spekulując na głodzie dla celów zysku osobistego i 2) w dniu 25 lipca przy przyjmowaniu i liczeniu chleba z transportu, dostarczonego z Kalisza przez Komitet Pomocy Legionistom, internowanym w obozie w Szczypiornie, usiłował zataić pewną ilość bochenków tegoż chleba w sumie przeszło 100 sztuk dla celów swojej spekulacji i zysku. Sąd, po przeprowadzeniu dochodzenia sądowego w drodze jawnej i po zbadaniu wszystkich dowodów oskarżenia, jakie mu zostały przez śledztwo pierwiastkowe dostarczone i jakie mu były dostępne oraz dowodów obrony, na które się powołał oskarżony, po przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. Miszewskiego, Rudnickiego, Wendorfa, Czerskiego, Bednarskiego, Komendarskiego i Halperna oraz wszystkich poszkodowanych, wiadomych sądowi, orzeka: 1. co do pierwszego zarzutu oskarżenia w sprawie kupna chleba dla sprzedawania tegoż poszczególnym żołnierzom po droższej cenie, spekulując na głodzie żołnierzy dla celów zysku oskarżonego, wobec stwierdzonych dowodów winy i przyznania się oskarżonego uznać Rozenbauma za winnego; 2. co do drugiego zarzutu oskarżenia w sprawie usiłowania zatajenia pewnej ilości bochenków chleba z transportu kaliskiego, wobec braku dowodów winy – uznać Rozenbauma za uniewinnionego; 3. za karę poddać Rozenbauma aresztowi barakowemu przez dni 7 od dnia ogłoszenia wyroku z obciążeniem aresztu przez pozbawienie go przez cały ten czas udziału w chlebie, dostarczanym z jakichkolwiek bądź źródeł, prócz chleba fasowanego, oraz pozbawienia go co trzeci dzień, a więc trzeciego i szóstego dnia – kolacji; poza tym przez tenże czas poddać Rozenbauma infamii, to znaczy pozbawić go prawa obcowania z kolegami; 4. wykonanie wyroku polecić komendantowi baraku, w którym kwateruje Rozenbaum; 5. z pieniędzy, które w kwocie 180 marek i 1 rubla zostały przy rewizji i aresztowaniu Rozenbauma odebrane, po potrąceniu marek 40-50 już wypłaconych przez ob. Miszewskiego poszczególnym żołnierzom, których pretensje zostały udowodnione, z reszty wypłacić: a) marek 97,50 wypłacić poszczególnym żołnierzom podług kartki złożonej przez Rozenbauma sądowi, zawierającej wyszczególnienie kwot, danych mu przez tychże żołnierzy na zakup chleba i nie uiszczonych dotąd, b) poza tym zwrócić tym żołnierzom, którzy kupowali u Rozenbauma chleb po marek 4,50 za bochenek, w stosunku 1 marki do każdego zakupionego bochenka, tytułem zwrotu nieprawnie pobranego spekulacyjnego zysku, pod warunkiem udowodnienia każdorazowo swojej pretensji przez zgłaszających się po odbiór marek żołnierzy, c) resztę, o ile coś z tych pieniędzy zostanie, zwrócić Rozenbaumowi, d) wypłatę, wskazaną w punkcie b ograniczyć terminem tygodniowym”. Do sprawy tej wrócę raz jeszcze, gdy znów wrócę do mego referatu sądowego w dzienniku.

17 sierpnia, rok 1917, piątek
Mam już niemal pewność, że w najbliższym czasie stąd wyjdę. Mówił mi już dziś o tym Łaszczyc-Olszamowski, który wie o tym od dra Kapelnera. Skoro dr Kapelner, który mię wcale nie zna, zawiadomił Łaszczyca o bliskim moim uwolnieniu, to już z pewnością, że musiał mieć wiadomość dokładną, opartą zapewne na jakichś dokumentach, które widział. Cieszę się z tego. Liczę jednak, że wyjdę nie bardzo wcześniej, niż za dwa tygodnie, bo tyle mniej więcej czasu upłynie, zanim Pomorski

otrzyma moją odpowiedź, dokąd przysłać odzienie cywilne i zanim je odbiorę. A nie chciałbym wyjechać przed otrzymaniem tego ubrania, bo na razie nie mam własnego ani tu, ani w Warszawie, a nawet to, które mam w Lublinie, jest już zniszczone. Sprawić zaś nowe to teraz koszt taki, któremu nie bardzo podołam. Zresztą – czy chwila wyjścia z obozu będzie mogła zależeć ode mnie, gdy już otrzymam papiery na wyjazd, tego nie wiem. Po wyjściu stąd, o ile nie otrzymam bezpośrednio pozwolenia na wyjazd do Litwy, co wydaje mi się wykluczone, planuję sobie zamieszkać gdzieś na początek na wsi pod Warszawą, w miejscu cichym i ustronnym. Muszę bowiem przede wszystkim wypocząć w ciszy zupełnej, w niezmąconym spokoju, najlepiej – w głębokiej samotności, i – odżywić się dobrze. Warunki te znajdę na wsi. Myślę o wyjeździe w okolice Małkini lub Czyżewa. Poza tym, ponieważ będę musiał żyć z gotówki, będę miał tam taniej, niż w Warszawie, mając razem łatwość dojazdu do Warszawy. Tam wypocznę i stamtąd poszukam sobie zajęcia. Tak projektuję sobie. Jestem bądź co bądź osłabiony i wyczerpany bardzo, zwłaszcza fizycznie. Jestem już tylko cieniem tego człowieka, jakim byłem w Wilnie. Ludzie, którzy mię przez dłuższy czas nie widzieli, konstatują straszne wymizerowanie moje; niektórzy wprost mię nie poznają. Było to jeszcze w Pomiechówku, a cóż dopiero tu. Wymęczyła mię intensywna praca w Zegrzu przy nieodpowiednim odżywianiu się, potem w Pomiechówku, siedząc bez pieniędzy, nie mogłem się na fasunkowym wikcie odchwycić, a tu już warunki – głodowe. Bo fikcją jest tylko polepszenie wiktu naszego tutaj, o którym, zdaje się, pisałem w dzienniku. Wprawdzie, mając samorząd kuchenny, jesteśmy mniej od innych jeńców okradani i mamy istotnie pożywienie lepsze, niż było w pierwszym tygodniu i w dodatku kucharze nasi, trzeba im to przyznać, gotują bardzo smacznie, dokazując cudów sztuki kulinarnej na tak marnej aprowizacji, to jednak utrzymanie jest więcej niż skąpe. Od Komitetu Kaliskiego prowiantu nie otrzymujemy teraz wcale, tylko chleb (dzięki mu i za to; błogosławimy co dzień Komitet za ten chleb i z gorącą sympatią witamy wzrokiem parę białych koników, zawsze tych samych, wyrytych w pamięci i sercu naszym, które dzień w dzień o tej samej porze ukazują się naszym oczom, dźwigając furę z chlebem i paczkami imiennymi). Zresztą i przez te dni 10 czy tydzień, kiedy Komitet Kaliski (do dnia 4 sierpnia) dostarczał nam prócz chleba prowiantu do kuchni, były to tylko albo warzywa, albo krupy, mąka lub groch; mięsa i tłuszczu nie dostarczano. Obchodzimy się teraz wyłącznie fasunkiem niemieckim. Najgorsze jest to, że tłuszczów w tym nie ma prawie żadnych, prócz margaryny w niewielkich ilościach w bezmięsne dni i co kilka dni chudego mięsa w porcjach po niespełna 100 gramów na osobę. Brak tłuszczów jest bardzo ciężki. W dodatku do dziennej półfuntowej porcji chleba otrzymujemy z dowozu kaliskiego po ¾ funta chleba co drugi dzień. Wprawdzie organizm i żołądek trochę się do tego pożywienia przystosowały, bo przyszło ono po pierwszym, jeszcze gorszym tygodniu jako „polepszenie" i choć jest dość smaczne i nawet na ilość porcje są niemałe (od kilku dni znakomita innowacja: na śniadanie zamiast kawy, której w obozie zabrakło, mamy, choć rzadziutki, ale grysik czy raczej kukurydzianą na wodzie mamałygę), ale cóż, kiedy pożywności w tych pokarmach jest niezmiernie mało: główny składnik – woda. Toteż czuję się słaby i wycieńczony. Słaby do tego stopnia, że zwłaszcza wieczorami słaniam się idąc, a stać długo na nogach nie mogę; miewam częste zawroty głowy. Nocami też, choć spać mogę, ale śpię źle: co noc mam przeróżne sny, czego dawniej nie miewałem wcale. Ciało moje – to skóra na kościach; ja, który byłem pełny, miałem tuszę okazałą, pokaźny już brzuszek i znaczną otyłość! Że schudłem, to wolę, ale już za nadto, bo to już wycieńczenie. Pieniądze, wysłane przez Helę i p. Starzyńskiego, jeszcze mi nie przyszły. Pieniądze, które są wysyłane pocztą, dochodzą w ciągu 5-6 dni, a wysłane przez Towarzystwo Opieki nad Jeńcami, które to załatwia przez jakiś bank w Kaliszu, nie dochodzą po 15 dniach (Hela

mi wysłała 2 sierpnia, p. Starzyński – 4 sierpnia – i nie mam dotąd!). Podobno są już w Kaliszu w banku i lada dzień zostaną doręczone adresatom, ale tymczasem się jeszcze książkują. Niech im tam z ich księgowaniem, gdy my tu nie mamy za co kupić papierosa lub kawałka chleba z zakupów w Kaliszu!
Mieliśmy dziś kąpiel. Nie strzyżono nas tym razem, bo jeszcze włosy nam nie odrosły. Podoficerowie jeszcze nie wrócili do nas. Wrócą po kąpieli i dezynfekcji.
A teraz na zakończenie ten skrawek kartki dzisiejszej – dla rady żołnierskiej. Ostatnim razem zatrzymałem się na tym, że wkrótce po ukonstytuowaniu się rady obożnej i rad pułkowych dowiedzieliśmy się, że w większości pułków rady te zorganizowały się jako tajne. Jeżeli samo zakonspirowanie tylko osób w radzie obożnej już budziło wątpliwości, ponieważ dla działalności jawnej i publicznej pożądaną zawsze jest jawność i imienność działających osób, to cóż dopiero mówić o kwestii tajności czy jawności samego istnienia instytucji, organizujących samorządne funkcje. Sprawy gospodarczo-żywnościowe, kulturalno-oświatowe i administracyjne, stanowiące jądro działalności rad żołnierskich w obozie jeńców, są sprawami wybitnie społecznymi, które muszą być wykonywane w obliczu powszechności, to znaczy jawnie. Konspiracja tych funkcji jest rzeczą zgoła jałową, kolidującą z ich naturą i zadaniem. Jawność zaś funkcji przy zachowaniu tajności kierownictwa chybia celu, bo w naszych stosunkach o to właśnie głównie chodzi, aby masa miała zaufanie do tych wykonywanych czynności i czuła w nich swoją rękę i swoją wolę zbiorową, a w samym założeniu rad żołnierskich, w całym szeregu takich funkcji, jak dyscyplinarno-administracyjne i sądowe, chodziło przede wszystkim o to, aby poprzeć autorytetem zbiorowości żołnierskiej działalność naszej hierarchicznej służbowej komendy wojskowej, pozbawionej w obcym, niemieckim, obozie jeńców – środków władzy i siły, to znaczy egzekutywy. Władza komendy naszej opiera się tu tylko na czynnikach moralnych, a głównym z nich jest uznanie jej i poparcie przez żołnierzy. Jakimże ono będzie, gdy organy tego poparcia będą tajne, nie tylko nie wypływające z woli żołnierzy, lecz nawet niewiadome dla nich. Nasz pułk, najwięcej co do form społecznych wykształcony i najdalej zaawansowany w demokratycznej ewolucji rad żołnierskich (bo rada nasza jeszcze przed przyjściem do obozu jeńców była w ostatnich czasach jawna i nawiązała kontakt z masą), ani na chwilę nie bawił się tu w konspirowanie swej rady. Toteż, gdyśmy się o tajności w innych pułkach dowiedzieli, zażądaliśmy reformy. Szło to na razie dość opornie, bo w innych pułkach wśród działaczy rady tkwił głęboki nałóg konspiracyjny, pochodzący z niemowlęctwa ich właściwej organizacji w pułku i niewiary do własnych mas. Jednak rada uznała nasze argumenty i przychyliła się do jawności. Toteż udało się to osiągnąć, ale w formie pośredniej. Przedstawiciele rad pułków konspirujących się uznali, że rady muszą być konspiracyjne z natury swych politycznych założeń i że to, co się tu w obozie jeńców tworzy jako organizacja społeczna, jest zgoła czymś innym, niż rada żołnierska. Rady żołnierskie pozostały na wolności w pułkach, gdzie są one nadal tym, czym były i zachowują tajność, to zaś, co się tu tworzy, to są nie rady w myśl ich klasycznej natury, jeno komitety. W myśl tego przechrzczono radę obożną na „Obozowy Komitet Żołnierski", a rady pułkowe w obozie na „Komitety Żołnierskie" tego lub innego pułku.

18 sierpnia, rok 1917, sobota
Dziś dzień pyszny w moim życiu w obozie jeńców: dzień chleba! Nie to, że pracowicie mi ten dzień upłynął na sprawach sądowych, nie to, że przekazano mi dziś wielką i ciekawą sprawę honorową Niemiry-Radomskiego do rozważenia jej w poniedziałek w specjalnym komplecie powołanego *ad hoc* sądu dla wydania prawdziwie odpowiedzialnego wyroku, nie to nawet, że się dowiedziałem wreszcie z całą pewnością

o przyjściu do Kalisza pieniędzy dla mnie, ale ten chleb do syta – ten mi charakteryzuje dzień dzisiejszy dopiero. Ten tylko, kto tygodniami całymi poznał mękę głodu i to głodu beznadziejnego, głodu jeńca, któremu wszelkie wrota wyjścia są zamknięte, a dokoła dziesiątki rzędów kolczastego drutu, strzeżonego zewsząd gęsto zbrojną wartą, dla którego nie ma ucieczki i nadziei znalezienia choćby na razie lepszego bytu – tylko ten zrozumie, co znaczy nagle otrzymać trzy trzyfuntowe bochenki chleba, z których nie tylko może zjeść, ile mu się spodoba, ale jeszcze zostanie dużo w zapasie – na jutro i pojutrze! Chleb powszedni, który w naszym żołnierskim narzeczu nosi krótką nazwę „boski", jest dla nas zaiste nie artykułem „powszednim", lecz „boskim". Chleb, którego pół funta dziennego fasunku otrzymujemy co ranek od Niemców, a co drugi dzień ¾ funta wieczorem z podziału dowozu z Kalisza! Do tego pół funta corannego fasunku tęsknimy, marząc przez dzień cały i usypiamy z myślą o nim wieczorem, szczęśliwi, że się obudzimy na chleb! Fasunek ranny chleba, dla którego się budzę ze świtem dnia i z którego nadziei usnąć już więcej nie mogę, a zjadam go z pietyzmem, cienkimi malutkimi plasterkami, jak smakosz najwyszukańszy przysmak! Chleb komitetowy co drugi dzień, szczęśliwy chlebowy dzień, który jak periodyczne pory roku, znaczy bieg naszego życia, dzieląc go ciągłym rytmicznym wahadłem na smutny bezchlebowy i szczęsny chlebowy dnie, chleb komitetowy, który zajadając tęsknimy już myślą do pozajutrzejszego dnia, z goryczą myśląc, że oto po zjedzeniu dzieli nas znów od niego cały calutki jeden bezchlebowy dzień! O, chlebie, o, boski, szczęsny, kto cię ma! Z tym chlebem było to tak. Komitet Kaliski czy Liga Kobiet spełnia zakupy chleba i różnych innych artykułów, głównie spożywczych, ale nade wszystko chleba, na obstalunki, przychodzące od nas z obozu. W tym celu co pewien czas zbierają się u nas po wszystkich blokach i barakach obstalunki na chleb i inne artykuły, których wykaz wraz z pieniędzmi odsyła się do Kalisza. Co dzień Liga Kobiet wysyła część tych zakupów w postaci paczek adresowanych na imię pewnych stałych przedstawicieli bloków, zwykle furierów – furą Komitetu Kaliskiego, tą samą, którą poczciwa para białych koników przywozi chleb komitetowy do obozu. Paczki, dostarczone w ten sposób, uchodzące wobec władz obozowych niemieckich za „Liebesgaben", są dzielone wewnątrz bloków przez furierów na baraki, a w barakach podług ściślejszych wykazów na poszczególnych ludzi, odpowiednio do pieniędzy danych na obstalunki. Taki sumaryczny składowy obstalunek bywa zwykle wielki; tak pierwszy z nich, który był przesłany do Ligi Kobiet przed mniej więcej dwoma tygodniami, wynosił na sumę przeszło 3000 marek z całego naszego obozu (oczywiście od samych legionistów). Załatwienie tego obstalunku przez Ligę Kobiet trwało z 10 dni. Przed mniej więcej 10 dniami był posłany drugi zbiorowy obstalunek, teraz przez 2-3 dniami – trzeci. W dwóch pierwszych, nie mając pieniędzy, nie uczestniczyłem. Musiałem z bólem serca i głodem srogim w żołądku patrzeć, jak jedli inni, szczęśliwi posiadacze floty. W ostatnim wziąłem udział w kwocie 5 marek, udzielonych mi w drodze pożyczki przez poczciwego Godlewskiego. I oto dziś nagle, niespodziewanie dla nas, bo niezwykle prędko, i to akurat w smutny dzień bezchlebowy, przyszły zakupy na nasz blok z ostatniego obstalunku. Tą drogą doszedłem, po raz pierwszy od miesiąca, do posiadania bogactwa – 3 1/3 bochenka „boskiego". Jedną trzecią dałem Bieniakowi i Gładyszowi, którzy biedacy siedzą bez grosza i nigdy nic sobie kupić nie mogą, jeden bochenek prawie w całku zjadłem, dając tylko po kawałku takimże biedakom Sikorskiemu i Smykowi oraz spory kawał Wąsowiczowi, również męczącemu się bez grosza. Nasyciłem się wspaniale i jeszcze mi dwa całe bochenki pozostały na jutro i zapewne pozajutro. Szczęsny mój los! Pożerałem chleb kęsami, potem go nakruszyłem do rzadziutkiej wodnistej kolacji i jeszcze suto do kolacji przygryzałem, a jadłem chciwie, jak w upojeniu, na w pół przytomny. Co to za potęga – chleb! Kto by to myślał w

szczęśliwych sytych warunkach pokoju, że suchy powszedni chleb jest taką potrzebą? Do niczego się nie tęskni tak, jak właśnie do chleba! Ani mięso, ani żadne przysmaki tak nie nęcą, jak On! Zaiste: boski.
Wreszcie po 15 dniach od dnia wysłania mi przez Hele i p. Starzyńskiego pieniędzy – ujrzałem je, wprawdzie jeszcze nie w gotówce, ale już przynajmniej na autentycznym wykazie! Wiem przynajmniej tyle, że są w Kaliszu i że je niechybnie otrzymam.
Przechodzę teraz z kolei do mego referatu sądowego w dzienniku i wracam jeszcze do sprawy Rozenbauma, w której wyrok już podałem. W sprawie tej zaszedł taki kazus. Po rozprawie, która się odbyła 28 lipca, byliśmy zdecydowani uniewinnić Rozenbauma z obu zarzutów, ponieważ, pomimo posądzeń i mętnego wrażenia o osobie oskarżonego, dowodów jego winy stwierdzonych nie mieliśmy. Co do pomyłki, która zaszła przy liczeniu chleba komitetowego, nie zostało ustalone, czy autorem jej był on, czy któryś inny, ponieważ liczyło kilku. Zresztą mogła to być prosta pomyłka w rachunku. Nie można było stwierdzić intencji. Co zaś do chleba, który kupował i odsprzedawał pojedynczym żołnierzom, to robił to na ich obstalunki, i oni nie mieli doń o to żadnej pretensji, bo choć płacili drogo, to jednak mieli chleb. Posądzenie o spekulację chlebową i złość – płynęły nie od „poszkodowanych”, lecz od głodnego plebsu, który żadnego chleba od nikogo nie kupował, bo nie miał za co. Postanowiliśmy go uniewinnić, jeno zredagowanie wyroku odłożyliśmy na jutro. Tymczasem nazajutrz wpadła nam przypadkowo do rąk kartka, którą zaniepokojony o swój los Rozenbaum napisał i wysłał cichaczem do właściciela kantyny – Niemca. W kartce tej Rozenbaum zawiadamia, że jest aresztowany i prosi, żeby kantyniarz, o ile go będą zapytywać, mówił, że chleb Rozenbaum kupował od „innego” Niemca, i żeby się z tym „innym” Niemcem umówił, żeby ten zeznawał, że sprzedawał bochenek po 4 marki 50 fenigów. Tą kartką Rozenbaum się zasypał. Wobec tego nowego dowodu wznowiliśmy rozprawę i Rozenbaum, który nam sam dał do rąk broń przeciwko sobie, zmuszony był się przyznać, że kupował chleb 3 marki 50 fenigów, odprzedając go po 4,50. Wtedy zapadł wyrok, który zacytowałem pozawczoraj. Poprzednio był już zredagowany wyrok uniewinniający, którego rezolucja miała brzmieć tak (przytaczam ją, ponieważ jej dalsza część charakteryzuje społeczny moment naszej sądowej funkcji): Sąd ... orzeka: wina oskarżonego Rozenbauma na podstawie dowodów rzeczowych stwierdzona nie została, wobec czego Sąd postanawia go od obu wyżej wymienionych zarzutów uniewinnić. Jednocześnie Sąd zwraca uwagę komendanta kuchni i odpowiednich przełożonych na to, że żaden handel artykułami spożywczymi i chlebem przez pracowników kuchni, choćby nie miał cech karygodnych, nie może być tolerowany, ponieważ budzi w masie żołnierskiej, głodnej i wrażliwej na wszelkie możliwe nadużycia w sferze wyżywienia, uzasadnione domysły i podejrzenia. Rozenbaum bezwzględnie z kuchni i prowiantury usunięty być musi. Wreszcie Sąd, uważając się za instytucję obywatelską, w sferze stosunków i potrzeb ogółu żołnierskiego, obdarzoną zaufaniem przełożonych i żołnierzy, reprezentowanych przez Radę żołnierską, pozwala sobie zwrócić uwagę odpowiednich czynników, to znaczy zarówno przełożonych, jak Rady żołnierskiej i jej Komisji żywnościowej, że takie praktyki i nieporządek przy przyjmowaniu i obliczaniu, a następnie przechowywaniu chleba i innych produktów, dostarczanych do obozu przez Komitet Pomocy w Kaliszu, jakie dotąd miały miejsce i jakie się ujawniły przy dochodzeniu sądowym w sprawie Rozenbauma, nie powinny mieć miejsca. Szarże inspekcyjne mogą zażądać od oddziałów służbowych tylu ludzi, ilu im potrzeba do utrzymania ładu w tych czynnościach, i powinny bezwzględnie wypełniać ściśle swoje obowiązki. Ich współpracownictwo z członkami komisji żywnościowej powinno zorganizować cały mechanizm tych czynności tak, aby wszyscy pracujący byli tylko wykonawcami ich zarządzeń. Kontrola obu tych czynników, to

znaczy organów inspekcyjnych i żołnierskiej komisji żywnościowej, powinna być ścisła nad całą sprawą żywnościową we wszystkich jej stadiach ustanowiona i utrzymywana z zachowaniem dokładnej ewidencji publicznej podziałowych funkcji komisji żywnościowej". Tak brzmiała rezolucja pierwotnego projektu wyroku uniewinniającego. Nazajutrz zapadł wyrok skazujący, który cytowałem. Ostatnia część powyższej rezolucji została skreślona z tych względów, że zostało uznane za niestosowne udzielanie rad i wskazówek w wyroku na piśmie – co do obowiązków przełożonych, którzy dla zachowania swego autorytetu muszą sami bez zwracanie uwagi sprawiać wrażenie, że obowiązki swe dostatecznie pojmują. Oczywiście, Rozenbaum został natychmiast z kuchni wyrzucony.

19 sierpnia, rok 1917, niedziela
Znowu spędzono dziś po obiedzie do obozu kilka albo i kilkanaście tysięcy jeńców rosyjskich. Szło tego olbrzymie stado. Nasi legioniści powłazili na dachy ziemianek, aby lepiej widzieć. Tłum jeńców ciągnął się nieskończonym wężem drogą od Kalisza, ginąc w oddali, że ogona jego nie było widać.
Wspominałem już w dzienniku o doktorze Kapelnerze, ale bliżej natury jego pobytu wśród nas nie określiłem. Wspominałem, że na samym początku naszego pobytu w obozie jeńców widomym legalnym zastępcą naszym wobec niemieckich władz obozowych był kapitan Olszyna, oficer V pułku, który jako austriacki poddany nie podlegał przysiędze i przeto, będąc z przekonań naszym człowiekiem, solidaryzującym się całkowicie z naszą odmową przysięgi, nie stracił cech oficera i wojskowego. Kapitan Olszyna, nie chcąc nas opuszczać na łaskę i niełaskę obozowych władz niemieckich, przywiózłszy transport niezaprzysiężonych żołnierzy V pułku, pozostał w Kaliszu i prawem kaduka zajął wobec majora niemieckiego rolę urzędowego zastępcy naszych interesów i komendanta naszego samorządu w obozie. Major roli tej nie kwestionował, ale zreferował o tym do Warszawy. Komenda Legionów po jakimś tygodniu odwołała Olszynę. Z legalnych oficerów naszych, mających wstęp do obozu i służących za łącznika między nami a światem zewnętrznym, pozostał jedynie dr Zamojski, lekarz, jako kierownik ambulatorium naszego, naszej izby chorych i naszego szpitala w obozie, bo na kierownictwo tego działu przez naszego oficera-lekarza Niemcy się zgodzili. Mieszkał dr Zamojski w Kaliszu, ale codziennie bywał u nas. Okazało się wszakże, że i dr Zamojski prawem kaduka objął to stanowisko, tym bardziej że, jak się okazało, jest Królewiakiem i niezaprzysiężonym. Musiała też to spenetrować Komenda Legionów, bo dr Zamojski został również odwołany (wczoraj nas pożegnał i wyjechał). Wyjechał stąd wprost do Zegrza, gdzie w obozie niemieckim są internowani nasi niezaprzysiężeni ex-oficerowie Królewiacy. Mniej więcej jednocześnie z wieścią o odwołaniu dr Zamojskiego dowiedzieliśmy się, że Komenda Legionów deleguje trzech oficerów do nas na stałe. W jakiej mieli przybyć roli, nie wiedzieliśmy. Zaniepokoiło nas jednak to, co wyczytaliśmy w gazetach w związku owym delegowaniem oficerów: że mianowicie mają być do tego wyznaczeni oficerowie „politycznie urobieni"; oczywiście należało przypuszczać, że chodzi o ich „urobienie" w duchu Komendy Legionów. Przypuszczano więc, że ewentualnie zadaniem tych oficerów będzie wężowe wciśnięcie się w nasze środowisko dla zorientowania się w nim i łapania dusz na przysięgę. Wreszcie mniej więcej przed 10 dniami przyjechali pierwsi dwaj z delegowanych oficerów. Byli nimi dwaj lekarze: kapitan dr Kapelner z V pułku i dr Fela z tegoż pułku. Obaj okazali się ludźmi całkowicie naszych przekonań i ideałów. W kilka dni po nich przyjechał trzeci z delegowanych oficerów, niejaki chorąży Sujkowski, człowiek już starszy, który okazał się zaprzysiężonym Królewiakiem, z czym się na razie nie zdradzał. Rychło jednak to się wykryło, bo

chorąży ma syna w ułanach, który nie przysiągł i siedzi wraz z nami w obozie jeńców (w bloku VI, gdzie kwaterują ułani-beliniacy). Czy chorąży Sujkowski miał jakieś zamiary usiłowania agitacji na rzecz przysięgi, nie wiadomo, ale faktem jest, że pod pozorem rozmowy z synem zaczynał szeroko i głośno się rozwodzić nad przysięgą i jej pożytecznością, gromadząc, bez zachęty jednak ze swej strony, tłum słuchaczy, którzy, słuchając, gorszyli się jednocześnie; zaczynały się wśród żołnierzy groźne pomruki przeciw niemu, aż się wdała w to nasza samorządna komenda obozu i przestrzegła pana chorążego, by zaniechał takich ostentacyjnych rozmów z synem na temat przysięgi, bo to i dla niego samego może się źle skończyć, i nie może być przez nas tolerowane, i nie licuje z godnością oficera, który powinien zrozumieć, że należy uszanować cierpienie ludzi, którzy ponoszą w niewoli konsekwencje swego czynu, z przekonań zrodzonego i nie wolno wobec tych ludzi w obliczu ich niedoli bluźnić ich przekonaniom. Zdaje się też, że chorąży zaniechał nadal tych praktyk. Nie wiem nawet, czy jest jeszcze obecnie, bo od kilku dni go nie widzę i nic o nim nie słyszę. Co zaś do dr Kapelnera, to okazał się on w naszych stosunkach doskonałym: jest dzielny, pełny inicjatywy i taktu, umiejący się zachować i wobec Niemców stanowczo służbowo i zarazem grzecznie, i wobec nas, i wobec Kalisza. Oddaje on nam nieocenione usługi we wszystkich zakresach naszego życia i potrzeb. Byłem dziś w ambulatorium, gdzie miałem do omówienia sprawę naszej jednodniówki 6 sierpnia i byłem świadkiem rozmowy dr Kapelnera z członkami naszej komisji gospodarczo-żywnościowej, których wezwał na pogadankę. Zaczął od tego, że jego zdaniem komisja „zasłużyła na dekę", a to mianowicie z tego tytułu, że oto dopiero wczoraj zupełnie przygodnie dr Kapelner dowiedział się, że już od czterech dni nic nie dowieziono z Komitetu Kaliskiego dla kuchni naszej, a jak się dziś dowiaduje, to nie od czterech, ale od sześciu. Zarzucał więc, że komisja wiedząc, że przecie dr Kapelner jest jedynym łącznikiem między nami a Komitetem Kaliskim, zamiast się zwrócić do niego i zainterpelować przezeń komitet, zrobić ruch, najspokojniej zadowalała się gotowaniem dla żołnierzy obiadów i kolacji głodowych z fasunku wyłącznie niemieckiego. Dr Kapelner natychmiast ze swej strony zainterpelował wczoraj Komitet w Kaliszu i już wyrobił to, że dziś przysłano z Kalisza nam krup do kuchni, we wtorek znów przywiezie mięsa. Ułożył się też dr Kapelner z Komitetem, że odtąd będzie ta sprawa załatwiana tak: co tydzień dr Kapelner ułoży z komisją gospodarczo-żywnościową rozkład tego, co na każdy dzień trzeba dowieźć do kuchni (na każdy tydzień z góry Niemcy dają do kuchni wykaz tego, co na każdy dzień ma być wydane z prowiantu do kuchni, wobec czego łatwo wykombinować, jakie produkty będą stosowne do dowiezienia na każdy dzień dla uzupełnienia obiadu i kolacji). Rozkład ten dr Kapelner przedstawi Komitetowi w Kaliszu, który regularnie na każdy dzień dowiezie odpowiednie artykuły. Będzie to znakomita metoda i przynajmniej rzeczywiście mieć będziemy zapewnioną poprawę wiktu oraz, aż nader ważne, jego regularność. Poza tym, dr Kapelner zakomunikował nowinę pierwszorzędnej wagi – że otrzymywać mamy po 400 gramów (funt rosyjski) fasunku dziennego chleba, zamiast 230 czy 240 gramów, jak dotąd. Dr Kapelner twierdzi, że to jest pewnik i że widział u władz niemieckich obozu odpowiedni rozkaz. Jest to rozkaz, dotyczący nie specjalnie nas, ale nowej, podwyższonej normy chlebowego zaprowiantowania jeńców cywilnych w ogóle, do których kategorii my zaliczeni jesteśmy. Postanowiono jednak nie ogłaszać tej nowiny żołnierzom, dopóki się to nie stanie faktem, żeby znowu nie wywołać ewentualnie zawodu i bałaganu, jaki już był raz z analogicznego powodu w dniu 1 sierpnia, gdy się zapowiedź nie sprawdziła.

20 sierpnia, rok 1917, poniedziałek

Ponieważ miałem w dniach poprzednich sporo różnych zajęć, więc spóźniłem się z opracowaniem tego, czego się podjąłem do naszego referatu do Koła Polskiego w Wiedniu, który miał być wykończony na dziś. Z tego powodu musiałem przysiąść fałdów wczoraj, a również spędziłem nad tą pracą przy świecy większą część nocy dzisiejszej. Ale za to moje skończyłem. Zebraliśmy się dziś w całym komplecie redakcji referatu – ob. Budzyński, Wyszyński, Bagiński i ja – i odczytaliśmy wszystkie części pracy, które każdy z nas wykonał. Stopienie tych części w jedną całość i dokonanie ostatecznej redakcji poleciliśmy Wyszyńskiemu. Jutro się jeszcze raz zbierzemy dla odczytania całości i rzecz będzie gotowa i wyekspediowana. Brakuje jeszcze tylko statystyki z komisji gospodarczo-żywnościowej, która się z tym spóźniła.
Co do naszej jednodniówki 6 sierpnia, to, jak się wczoraj okazało, nie została ona dotąd wydrukowana i o wydrukowaniu jej w Kaliszu nie ma mowy. Zostanie ona skierowana do Krakowa i tam wydrukowana. Wielkiej wartości ona nie posiada i straciła też swoje poprzednie znaczenie jako jeden z elementów obchodu przez nas rocznicy 6 sierpnia 1914. Jedno tylko, co usprawiedliwia jej wydanie dzisiaj, to wypowiedzenie się nasze na zewnątrz, uzasadniające nasz ostatni czyn odmowy przysięgi, wprawdzie nie bezpośrednio wprost, ale przez nawiązanie ciągłości między tym czynem a żywą ideą strzelecką, której praźródło mieści się w dniu 6 sierpnia 1914. Również co do opisów odmowy przysięgi w poszczególnych pułkach, to odnośne rękopisy, przechowywane dotąd u sierżanta Wisły, zostaną wysłane do Krakowa, by mogły być zabezpieczone od zniszczenia czy konfiskaty przy ewentualnej rewizji i zużytkowane tamże.
Co do naszego losu, to niewesołej dowiadujemy się nowiny, jeżeli tylko to się sprawdzi. Oto słyszałem dziś, będąc u Olszamowskiego w bloku VI, że major miał podobno zapowiedzieć, iż mamy być podzieleni na kompanie w obozie i zanumerowani tak, jak inni jeńcy. Przyszło podobno takie rozporządzenie. Tacy zanumerowani jeńcy – jest to reguła powszechna w obozie jeńców, od której my tylko wolni dotąd byliśmy – noszą na ubraniu na piersiach naszyty swój numer porządkowy i, zdaje się, literę bloku. Pomijając, że to jest przykre i osobiście upokarzające, ma to jeszcze te przykre dla naszych żołnierzy strony, że 1) może służyć za wskazówkę, że nasz niby to chwilowy pobyt w obozie nabiera niemiłej dla nas cechy stałości i 2) może się łączyć z ewentualnością innych konsekwencji, jak przede wszystkim apelu codziennego, dokonywanego przez Niemców.
W sferze wieści i pogłosek z zewnątrz, z Legionów, mam do zanotowania następujące. Przede wszystkim przyszła wiadomość o zwolnieniu z wojska szeregu naszych oficerów – Galicjan z I pp., w ich liczbie kapitanów Stachiewicza, Lisa i Sasa-Kulczyckiego, poruczników Młota-Parczyńskiego, Kruka-Grzybowskiego, podporucznika Rutkowskiego, chorążego Buxbauma i kilku innych. Jest to epizodem tego czyszczenia „stajni augiaszowej" Legionów i zwłaszcza pułków I Brygady z elementów podejrzanych przez Komendę Legionów o agitacje polityczną w duchu wrogim urzędowej polityce Komendy. Druga wieść, a raczej pogłoska, jest niezwykle sensacyjna. Głosi ona, że parę batalionów II i III pułków piechoty, owej „żelaznej Brygady", wiernej gwardii Januszajtisa, Zagórskiego i Sikorskiego, zaprzysiężonej i „niezłomnej", przemaszerowało samowolnie (jak dodają pewne wersje – pod wodzą rzucającego się na wszystkie strony dziwaka Berbeckiego) z okupacji niemieckiej na austriacką. A to by ci był kawał!
Przechodzę teraz do referatu spraw sądowych. Przytaczam z kolei wyrok w następnej sprawie, sądzonej przez sąd obozny. Była to sprawa o szulerstwo. Wyrok brzmi: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 1.VIII.1917. Sąd żołnierski w osobach ob. Rzymskiego Mateusza z I pp. jako przewodniczącego, i ob. ob. Moskwy Antoniego z II pp. I Jakubiaka Bolesława z V pp. jako członków, powołany przez ob. kap. Zosika w

porozumieniu z obożną Radą żołnierską legionistów, internowanych w obozie jeńców w Szczypiornie, w sprawie Jędrasiaka Wincentego z II pp., oskarżonego o systematyczne uprawianie niesumiennej gry hazardowej w karty na pieniądze, posługując się dla ogrywania kolegów znaczonymi kartami, po zbadaniu wszystkich dowodów, jakim Sąd rozporządzał i przesłuchaniu w procesie jawnym świadków ob. ob. Lucjana Pytla, Jana Turskiego, Jakóba Mostowicza i Bolesława Czajkowskiego, orzeka: 1. oskarżonego Jędrasiaka uznać za winnego wyżej wyłożonej zbrodni. 2. Za karę poddać go ścisłemu aresztowi barakowemu na przeciąg 2 tygodni z obciążeniem aresztu przez cały czas jego trwania a) twardym łożem, to znaczy odebraniem mu siennika i koca, b) pozbawieniem chleba dodatkowego z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego, c) pozbawieniem go co trzeci dzień, to znaczy trzeciego, szóstego, dziewiątego i dwunastego dnia – kolacji, d) infamią, to znaczy pozbawieniem przez tenże czas prawa obcowania z kolegami. 3. wykonanie kary polecić komendantowi baraku, w którym zakwaterowany będzie Jędrasiak. 4. temuż Jędrasiakowi wzbronić raz na zawsze gry w karty w obozie; gdyby udowodnione zostało, że wbrew temu zakazowi Jędrasiak w karty gra, ma być bez rozprawy sądowej poddany karze, która każdorazowo przez Sąd obożny określona zostanie. 5. talię kart znaczonych, skonfiskowanych u Jędrasiaka, zniszczyć. (Podpisano:) M. Rzymski. B. Jakubiak. Antoni Moskwa. Zatwierdzam: 2.8.17. (Podpis:) Zosik”. W sprawie tej miałem przygodę osobistą, jaka mi się rzadko zdarza, bo jestem z natury spokojny, nie unoszący się zbyt raptownie. Jednak pewne fakty i przejawy złośliwej krnąbrności i uporu oburzają mię do tego stopnia, że wybucham nagle i wtedy tracę panowanie nad sobą i staję się niepohamowany. Trwa to krótko; ale wystarczy, żeby przez ten czas popełnić czyn gwałtowny nad osobą przeciwnika. Tak się uniosłem raz w Zegrzu względem łajdactwa starych żołnierzy, wyzyskujących nieświadomość rekrutów dla inscenizowania tzw. strajku obiadowego, nie dbając o karność rekruta, ale wówczas ograniczyłem się wymyślaniem słownym, i tak oto tutaj w sprawie Jędrasiaka uniosłem się znowu tak, żem mu wyrwał z rąk menażkę z kolacją, którą jadł, menażkę rzucił o ziemię, kolację wylał, a sam rzuciłem się za uciekającym w przerażeniu bandytą i dognawszy go, skopał nogami. Jędrasiak – to bandyta istny. Szulerkę uprawiał systematycznie wraz z całą szajką przyjaciół, takichże jak on łajdaków. Już to w I bloku, gdzie kwaterują żołnierze II i III pułków piechoty, tego typu ananasów nie brak. Na sądzie Jędrasiak powołał się na paru swoich przyjaciół z szajki jako świadków obrony. Członek sądu, Moskwa, poszedł ich wezwać. Odmówili przyjścia. Ponieważ Jędrasiak, sprytna i wyszczekana sztuka, domagał się ich przesłuchania, posłałem go wraz z sędzią, sierżantem Moskwą, by ich wezwał ponownie z tym, że jeżeli odmówią znowu, to będziemy uważać tę odmowę za stwierdzenie, że nic do zeznania nie mają, a ponieważ są to świadkowie Jędrasiaka, to niech się sam o ich sprowadzenie stara, gdy mu są potrzebni. „Świadkowie” ci nie tylko odmówili znowu, ale jeszcze w obecności członka sądu Moskwy wyrazili się: „Srać na taki sąd!”. Jędrasiak także już nie wrócił na rozprawę i pozostał z przyjaciółmi. Był to moment obrazy sądu i gdybyśmy chcieli, moglibyśmy wszcząć o to osobną sprawę przeciwko całej bandzie. Ale daliśmy już pokój i zakończyliśmy sprawę wyżej zacytowanym wyrokiem. Gdy nazajutrz poszliśmy odczytać wyrok Jędrasiakowi w czasie kolacji w towarzystwie komendanta I bloku Miszewskiego, Jędrasiak wywoływany z baraku, nie chciał wychodzić. Weszliśmy z Miszewskim do baraku i Miszewski ostro żądał od Jędrasiaka posłuszeństwa. Ten nawet nie wstał, nie odpowiadał i dalej najspokojniej zajadał kolację. Wtedy to się uniosłem i skopałem go, wyrwawszy mu z rąk kolację. Na to z końca sali rzuciła mu się na odsiecz banda opryszków, groźnie sunąc do mnie z intencją zapewne sprawienia mi deki. Ledwie ich pohamował Miszewski, a ja stanąłem w postawie wyzywającej, mierząc łajdactwo

wzrokiem. Spokorniałemu Jędrasiakowi odczytałem wyrok. Dla wykonania wyroku oddzielono go od szajki i przeniesiono do naszego bloku.

21 sierpnia, rok 1917, wtorek
Wreszcie otrzymałem dziś moją gotówkę z Kalisza w kwocie 250 marek. Szła ni mniej ni więcej, jak 19 dni z Warszawy. Ale przynajmniej wreszcie ją mam. Ze sprawą mego uwolnienia nic jakoś w ostatnich dniach nie słychać. Z jednej strony nie śpieszy mi się o tyle, że wolałbym doczekać się przysłania mi ubrania cywilnego od Pomorskiego, co może potrwać jeszcze ze dwa tygodnie, z drugiej strony jednak ta cisza w sprawie mego uwolnienia zatrważa mię na myśl, że nuż wszelkie starania poszły na nic i będę skazany na siedzenie tutaj. Cisza ma w sobie coś mimo woli złowieszczego. Jesień się zbliża, wieczory są coraz dłuższe. W jesieni dopiero tu będzie męka prawdziwa, gdy przyjdą długie czarne noce bez żadnego oświetlenia – a świece są w kantynie drogie, po marce sztuka – słota i szaruga ślepych jesiennych dni, wreszcie chłody, które będą straszne do wytrzymania w tych nędznych ziemiankach o kruchych ścianach z desek i marnym piecyku, na który Niemcy ze swoją klasyczną oszczędnością sączyć będą opał w dawkach mikroskopijnych, mierzonych bodaj że na menażkę węgla dziennie. To będzie dopiero los! Obym go nie doczekał w tym obozie!
Mieliśmy dziś wieczorem zebranie naszego pułkowego komitetu żołnierskiego. Omawiane były głównie dwie ważne w naszych stosunkach sprawy: jedna – to sprawa powrotu do nas naszych podoficerów z bloku VIII, i druga – to sprawa oświadczeń niemieckich w kwestii naszego internowania, którą nam referował Zagłoba z posiedzenia obozowego komitetu żołnierskiego. Ta druga sprawa przedstawia się tak: niemieckie władze obozowe zakomunikowały naszej samorządnej komendzie obozu treść dwóch listów Beselera i rozkazu dziennego komendanta obozu jeńców, dotyczące naszego losu. W pierwszym liście Beselera do legionistów oświadcza on, że wobec kursujących pogłosek i komentarzy do naszego internowania uważa za potrzebne wyjaśnić, że nie jest to jakaś represja lub kara za odmowę przysięgi, jeno środek ostrożności ze względu na bezpieczeństwo tyłów walczącej armii, dla których legioniści, zwolnieni za niesubordynację z wojska i rozwichrzeni politycznie, mogą być żywiołem niebezpiecznym; toteż internowanie to trwać będzie póty, póki to niebezpieczeństwo nie zostanie usunięte (dodajmy od siebie, że może to trwać bardzo długo, w każdym razie przez czas nieokreślony; liczę, że będzie to trwało tak długo, jak długo sprawa nasza nie przestanie być aktualna i nowe fakty w układzie politycznym nie przejdą nad nią do porządku dziennego, jak toń wody po rzucie kamienia nie wygładzi się na powierzchni, co się jeszcze na bliską metę nie zapowiada; przypuszczam, że pojedyncze jednostki będą wypuszczane za każdorazowym udowodnieniem, że osobiście niebezpieczeństwa ani pod względem bandytyzmu, ani pod względem politycznej agitacji przedstawiać nie będą). Dalej Beseler oświadcza, że internowanie nastąpiło na „policyjny" rozkaz komendanta polskiej siły zbrojnej (chyba więc samego Beselera, bo on przecie się tym tytułem mianuje; ale co znaczy „policyjny" rozkaz i dlaczego komendanta polskiej siły zbrojnej, gdy poprzednio powiedziano o tyłach frontu niemieckiego? Odpowiedź, zdaje się, znajduje się w drugim liście Beselera). Wreszcie p. Beseler powiada, że jednak, przez wzgląd na poprzednie nasze zasługi wojenne, chociaż straciliśmy ostatecznie cechę żołnierzy i staliśmy się dziś po prostu jeńcami cywilnymi, pozwolono nam korzystać z pewnych przywilejów i ulg szczególnych, a mianowicie: z opieki Komitetu Kaliskiego i dowozu przezeń żywności dla nas oraz paczek z podarunkami, dalej z możności otrzymywania przesyłek z książkami (oczywiście z zastrzeżeniem cenzury) i ubraniem i wreszcie z dopuszczenia odwiedzin członków rodziny w wypadkach nadzwyczajnych. Drugi list

Beselera jest odpowiedzią na list oficerów legionowych. Treści listu oficerów nie znamy. W odpowiedzi swej Beseler charakteryzuje naszą odmowę przysięgi jako akt niesubordynacji, albowiem przysięga nakazana została przez naszą władzę wojskową i z polecenia najwyższej narodowej polskiej instytucji państwowej, jaką jest Tymczasowa Rada Stanu. Zaznacza dalej Beseler, że dopuściliśmy się tego aktu, łamiącego zasadę posłuszeństwa i obowiązku wojskowego w chwili, gdy na froncie wojska sprzymierzone zmuszone są wciąż jeszcze odpierać ataki wroga, grożącego inwazją ojczyźnie polskiej. Mówi dalej o noszeniu przez nas austriackich i niemieckich medali waleczności, co uważa za rzecz zupełnie możliwą, albowiem medale te stwierdzają zasługi osobiste, które miały miejsce jeszcze przed odmową przysięgi itd. W rozkazie niemieckiego komendanta obozu zaznaczono, że stosują się do nas wszystkie przepisy, dotyczące jeńców cywilnych. Władze obozowe projektowały podobno na razie ogłosić nam te listy Beselera i rozkaz przed frontem, ale następnie zaniechały tego zamiaru i zakomunikowały tylko ich treść dla podania do wiadomości żołnierzom, zastrzegłszy wprzódy, że odpisu z tych dokumentów robić nie będziemy.
Co do drugiej sprawy – powrotu do nas podoficerów z bloku VIII, to, jak to już pisałem, sprawa ta w zasadzie przez Niemców została rozstrzygnięta. Wykonanie tego opóźnia się ze względu na dezynfekcję. Kąpiel się już odbyła, ale stwierdzone zostało, że coś koło 300 ludzi spośród nas uchyliło się od niej i od dezynfekcji, a w tej liczbie z samego bloku podoficerskiego pono stu kilkudziesięciu. Władze niemieckie żądają kompletnej dezynfekcji, aby nikt z niej nie był wyłączony i pod tym względem niepodobna im odmówić słuszności (większość uchylających się chce oszczędzić włosy od ostrzyżenia pod maszynkę, bawiąc się w głupią kokieterię). Tymczasem, nim sprawa powrotu podoficerów nie została załatwiona, w masie żołnierskiej narastać zaczęła coraz żywsza niechęć do tego, aby podoficerowie wrócili i objęli wśród nas ponownie funkcje i władzę, rugując w imię starszeństwa szarży obecnych komendantów bloków i sal. Od czasu odejścia podoficerów masa czuje się swobodniejsza i uważa, że porządek jest lepszy i stosunki wewnętrzne stały się bardziej koleżeńskie, w czym ma, zdaje się, rację. Poza tym, masa żołnierska żywi wdzięczność i uznanie dla tych podoficerów, którzy od razu pozostali z nami i objęli wśród nas funkcje, i gorszy się na myśl, że próżniacy i pasożyci z VIII bloku wrócą i wyrugują ich. Trzeba też zaznaczyć, że wszystkie najniepopularniejsze i najbardziej nielubiane jednostki pozostały tam, w bloku podoficerskim, bo z natury rzeczy one były najmniej pochopne do pozostania z nami. Do wszystkich młodszych sierżantów i kaprali, którzy pozostali w bloku podoficerskim, żołnierze czują urazę i nie życzą dziś wcale witać ich serdecznie w swym gronie. Wiedzą też żołnierze, że w bloku podoficerskim panuje dziś największy bajzel i że panowie podoficerowie, aspiranci oficerscy nie świecą przykładem ani karności, ani powagi i moralności; do pretensjonalności zaś tych paniczyków, którzy lubią przewodzić, ale nie robić, grać rolę komendantów, ale nie dzielić mękę i pracę, masa żołnierska usposobiona jest bardzo niechętnie. Podoficerowie, którzy sami się błaźnią, autorytetu mieć i szacunku nie mogą, a za wiele błazeństwa masa z ich strony widziała. Wolno się błaźnić szeregowcowi, ale nie temu, który pretenduje do przodowania. Historia z uchylaniem się od kąpieli i pielęgnowaniem włosów, a wraz z nimi i wszy w niewoli – także nie przyczynia się do autorytetu podoficerów. Toteż myśl, że ci ex-pankowie mają wrócić, by nam łaskawie przewodzić i usunąć przez swój powrót tych, co dzielili z nami nasz los, oburza masę i budzić zaczyna coraz bardziej wrogi odruch; masa powołuje się na to, że jesteśmy dziś cywilami i że panków tych nie potrzeba. Jeżeli wrócą, to jako pospolici śmiertelnicy, obowiązani do równości we wszystkim, a nie komendanci z urzędu i tytułu.

22 sierpnia, rok 1917,środa

Dalszy ciąg sprawy powrotu podoficerów z bloku VIII. Jak pisałem wczoraj, wieść o powrocie podoficerów i objęcia przez nich funkcji, powitana na razie bez entuzjazmu, nawet z pewną niechęcią, stopniowo zaczęła budzić coraz bardziej wrogi nastrój wśród żołnierzy. Wreszcie zaczęto protestować przeciwko objęciu przez nich funkcji, gdy wrócą. W naszym bloku w całym szeregu braków zapadły rezolucje żołnierzy, żądające stanowczo pozostawienia funkcji w ręku obecnych komendantów bloku i sal. Zwłaszcza powszechnym było żądanie pozostawienia na stanowisku komendanta bloku – Wiktora Wąsowicza, który zdobył sobie jako taki wielką popularność u żołnierzy. Żądanie to było tym silniejsze, że wiedziano, iż po powrocie podoficerów zastąpi go ewentualnie z urzędu najstarszy rangą, nielubiany przez ogół – starszy sierżant Jabłoński. W naszym baraku również niechętnie, a nawet wrogo oczekiwano powrotu niepopularnego Krzymowskiego, który, będąc sam opieszałym, prawi ciągle w sposób przykry kazania o obowiązkowości i nie potrafi nigdy uszanować w żołnierzu jego godności osobistej. Ogół woli obecnego komendanta baraku, cichego i dobrego kaprala Drzewieckiego, człowieka, który nikomu wody nie zamąci, jest uczciwy, łagodny, sprawiedliwy i wyrozumiały, a bardzo dobry kolega; zresztą chłopiec słabowity, fizycznie strasznie wymizerowany, któremu z oczu i zapadłych policzków wyziera śmierć, poza tym cierpiący na padającą chorobę, której ataki miewa wprawdzie bardzo rzadko, ale miewa (ostatni atak miał w roku zeszłym w Baranowiczach); chłopiec to inteligencji niewielkiej, ale bardzo poczciwy i wierny idei strzeleckiej; od czasu, gdy w początkach wojny wstąpił do szeregów strzelców w Kielcach, był stale w pułku i zawsze w linii, gdzie dosłużył się szarży kaprala. Wiara nasza woli za komendanta swego kolegę z krwi i kości Drzewieckiego, zwanego Pagórkiem od pseudonimu Wzgórze, który przyjął wstępując do strzelców, niż nudnego i przykrego Krzymowskiego. Co prawda, starszym sierżantom żołnierze nie mogą robić tych zarzutów, co młodszym sierżantom i kapralom, którzy w dniu odosobnienia podoficerów nie zgłosili się do powrotu do masy, bo starszym sierżantom wtedy wracać nie pozwolono, ale za to pośród starszych sierżantów jako tych, co są najbliżsi godności oficerskiej i najbardziej zwykle pozują na „aspirantów", jest najwięcej jednostek niepopularnych. Żeby teraz mieli wrócić do nas jako pankowie i obejmując łaskawie funkcje komendantów, wyrugować tych, co od nas nie odeszli i zdobyli szczególne uznanie żołnierzy – na to się u nas wszyscy burzą. Powiadają, że jeżeli podoficerowie mogą wrócić, to niech wracają jako równi do równych i niech pełnią te same roboty i mają te same obowiązki, co wszyscy. W ogóle nasz ogół zaczyna zatracać powoli psychologię wojskową i zaczyna się czuć społecznością cywilną, w której rosną prądy demokratyczne i samorządne. W tej kwestii powrotu podoficerów ujawnia się to szczególnie charakterystycznie. Nasz blok stawia tę rzecz może bardziej radykalnie i kategorycznie od innych, ale, o ile słychać – i w innych powstają takie same prądy co do powrotu podoficerów. Zresztą najradykalniej sprawę przebudowy społecznej, zupełnie niezależnie od obecnej kwestii powrotu podoficerów, załatwiła u siebie artyleria w bloku V, gdzie po zrzeczeniu się szarż przez wszystkich podoficerów ustanowiono własne organy komendy i rozdzielono funkcje na zasadzie wyborów. Wobec nastroju żołnierzy w stosunku do powrotu podoficerów sprawa ta wytoczyła się na forum obozowego komitetu żołnierskiego, gdzie, nie rozstrzygając jej merytorycznie, polecono delegatom pułkowym dokładniejsze zbadanie jej na miejscu w komitetach pułkowych. Z tego tytułu podniósł ją u nas wczoraj Zagłoba. Na ogół członkowie naszego komitetu pułkowego wypowiedzieli się w duchu nastrojów i żądań żołnierskich, ale do wniosku jednolitego nie doszli. Wyłoniły się trzy wnioski: a) jeden mój – aby podoficerowie, jeżeli to możliwe, nie wracali wcale, motywując wobec władz niemieckich chęć pozostania względami należnej im większej

wygody, na co się sami Niemcy przy izolowaniu ich powoływali; gdyby zaś mieli wrócić, to aby ich zakwaterować osobno; w przeciwnym razie zachodziłoby niebezpieczeństwo powikłań w stosunkach wewnętrznych i – zamiast podniesienia ładu – dezorganizacji; b) drugi projekt – Niedzielskiego – żeby wziąć wzór z artylerii i zorganizować się na wzór demokratycznej społeczności cywilnej: zarządzić ogólne zebranie się szarż i zorganizować władze w drodze wyborów; niebezpieczeństwo tego projektu w naszych warunkach i nastrojach psychologicznych – widmo demagogii i faworytyzmu oraz niesprawiedliwości w funkcjonowaniu wybieralnych organów, zależnych od masy i szukających poparcia klik; na to Niedzielski proponował środek – terminowość funkcji i nieusuwalność, słowem – konstytucję: coś analogicznego w powrocie podoficerów do powrotu Ludwika XVIII we Francji z oktrojowaną kartą konstytucyjną; c) trzeci projekt – Zagłoby – aby sprawę ustalić w drodze bezpośredniego układu delegacji żołnierskiej z podoficerami. Projekt Zagłoby upadł, dwa pierwsze zaś otrzymały równą ilość głosów. Ponieważ Zagłoba, który sam jest podoficerem (kapral), krępował się być rzecznikiem tej sprawy, by mu nie zarzucono niekoleżeństwa względem podoficerów, wybrano delegację w osobach Niedzielskiego, Marka-Marczyńskiego i Świercza dla omówienia naszych wniosków z naszą komendą obozu. Nasza komenda jest jednak podnoszeniu tej sprawy niechętna; delegacja nic nie wskórała. Jak się sprawa załatwi – nie wiem, a jest ona dla naszych stosunków symptomatyczna. Dziś rozmawiałem w tej sprawie z paru podoficerami z bloku VIII. Są oni zgorszeni stanowiskiem żołnierzy. Powiadają, że jeżeli żołnierze będę obstawali za tym, to oni zbiorą wszystkich piłsudczyków z pułków dawnej I Brygady i postawią im pytanie, czy zwolnił ich z wojska jedyny prawowity Komendant Józef Piłsudski, czy też Beseler i Komenda Legionów i czy dla nich miarodajny jest rozkaz Piłsudskiego czy Beselera: jeżeli się nie uznają za wojsko i chcą być społecznością cywilną, to przez to ulegają Beselerowi contra Piłsudskiemu. Tym dylematem logicznym, operującym najwyższą racją naszego żołnierza – powagą i miłością „Dziadka" – zamierzają ewentualnie rozwiązać tę trudną kwestię. Do czasu!
Przechodząc do referatu sądowego, przytoczę dziś następny z kolei wyrok sądu obożnego w sprawie Machaja o kradzież, jednej z bezbarwnych szablonowych spraw: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 3.VIII.1917. Obożny Sąd żołnierski w osobach ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego i ob. ob. Antoniego Moskwy z II pp., Walerego Bagińskiego z I p. art., Aleksandra Wernika z I p. art. I Bohdana Stachlewskiego z I p. uł., powołany przez Komendanta obozu ob. Zosika w porozumieniu z obozowym Komitetem żołnierskim legionistów, internowanych w obozie jeńców w Szczypiornie, w sprawie ob. Stanisława Machaja z IV pp., oskarżonego o kradzież artykułów spożywczych (masło, kiełbasa, szynka) z paczki prywatnej, którą wiózł z Łomży do obozu dla ob. Wnorowskiego z I pp., po przeprowadzeniu dochodzenia sądowego w drodze jawnej i po zbadaniu wszystkich dowodów w sprawie, którymi rozporządzał, oraz przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. por. Rzeckiego, sierż. Orlika, poszkodowanego Wnorowskiego, Piątka, Jędrzejowskiego, Opolskiego i Knoszaua, - orzekł: 1. oskarżonego Machaja uznać za winnego wymienionego przestępstwa. 2. za karę: a) pozbawić go na przeciąg 2 tygodni chleba z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego, b) pozbawić go przez tenże czas co trzeci dzień, tj. trzeciego, szóstego, dziewiątego i dwunastego dnia – kolacji. 3. Garnuszek po maśle, złożony sądowi jako dowód rzeczowy, zwrócić jego prawowitemu właścicielowi, poszkodowanemu Wnorowskiemu, i temuż Wnorowskiemu zwrócić złożony przezeń Sądowi list jego matki. (Podpisy:) M. Rzymski. B. Stachlewski. A. Moskwa. A. Wernik. Wal. Bagiński. Wyrok zatwierdzam i polecam wykonanie Radzie bloku. Komenda bloku zwróci się do Sądu po dowody

rzeczowe, stanowiące własność Wnorowskiego i przekaże je właścicielowi. (Podpis:) Zosik-Tessaro. 3.VIII.17 r. Garnuszek po maśle i list od matki otrzymałem. (Podpis:) Tadeusz Wnorowski. Szczypiorna. 14.8.17”.

23 sierpnia, rok 1917, czwartek
Jest nawał spraw w sądzie zarówno oboźnym, jak blokowym bloku IV, w których uczestniczę jako przewodniczący. Chociaż ta działalność sądowa jest społecznie dla nas pożyteczna, a nawet ciekawa, bo daje żywy materiał obyczajowy i dotyka najróżniejszych sfer naszego współżycia, jednak przyznam się, że mię trochę nudzi; zbyt dużo mi też czasu zajmuje, a nieraz napełnia obrzydzeniem, gdy się zbyt często trzeba z łajdactwem i zbrodnią w ich przeróżnych postaciach nędzy moralnej stykać. Ale trudno – traktuję pracę tę za obowiązek, który rzadko składa się z samych tylko rozkosznych elementów. Poza tym, uczestniczę też w specjalnym *ad hoc* zorganizowanym sądzie honorowym, powołanym przez obozowy komitet żołnierski w sprawie sierżanta III pp., dobrze mi znanego z Zegrza ob. Radomskiego co do jego zachowania się w związku z przysięgą. O sprawie tej, głośnej i ciekawej ze względu na osobę Radomskiego, który odegrał wybitną rolę w naszym ruchu żołnierskim w ostatnich miesiącach, powiem innym razem osobno, gdy już wyrok zostanie ustalony. W sprawie tej, w której skład sądu honorowego wchodzimy z ramienia urzędowo obozowego komitetu żołnierskiego, a w istocie z ramienia dawnej Rady Żołnierskiej Legionów Polskich – ja jako przewodniczący i ob. ob. Wyszyński z I pułku ułanów i Wisła-Łaguna z V pułku piechoty jako członkowie, referentem zaś – ob. Dan-Stachlewski z I pułku ułanów – odbywały się posiedzenia wczoraj i dziś.
Dziś przed samym obiadem zarządzono po wszystkich blokach zbiórkę. Wywołało to, naturalnie, zrozumiałe w naszych martwych warunkach poruszenie i ogólne zainteresowanie żołnierzy, co z tego będzie. Wiedziano tylko tyle, że zbiórka jest zarządzona nie przez władze niemieckie, lecz przez naszą samorządną komendę obozu. Domyślano się, że coś ma być ogłoszone żołnierzom. Naturalnie, że przy tej sposobności nie obeszło się bez sfabrykowanych na poczekaniu plotek. Słyszałem gdzieś, jak jeden żołnierz wmawiał w swoich słuchaczy, że Komenda Legionów rozkazała spisać tych, kto chce się zgłosić do przysięgi i że ci mają być uwolnieni z obozu jeńców i w tym oto celu jest zbiórka. Wkrótce ujrzeliśmy kapitana dra Kapelnera, przechodzącego w towarzystwie Łaszczyca-Olszamowskiego z bloku do bloku; w każdym bloku miał przemowę do zebranych żołnierzy. Gdy przemawiał w sąsiednim bloku V, słyszeliśmy wszystko, jednak stamtąd z kolei przyszedł i do nas i powtórzył to samo. U nas komendant bloku Wąsowicz przyjął go iście po wojskowemu: zakomenderował „Baczność!” i „W prawo – patrz!”. Na chwilę przestaliśmy być cywilami i poczuliśmy się znów wojskiem – żołnierzami. Kapelner oświadczył, co następuje: do Kalisza przybył w specjalnej misji do nas, wydelegowany przez arcybiskupa ks. Kakowskiego, pewien wybitny kanonik, którego nazwisko wypadło mi w tej chwili z pamięci; przyjechał dla wyrażenia nam podziękowania za adres, który wysłany został stąd przez żołnierzy do księdza arcybiskupa przed kilku tygodniami (jeżeli się nie mylę – w ostatnich dniach lipca; o adresie tym w dzienniku nie wspominałem; wspomnę tu nieco niżej). Do obozu jeńców delegat arcybiskupi, ksiądz kanonik, dopuszczony nie został i dlatego powiadamia o treści swej misji przez usta dra Kapelnera. Arcybiskup Kakowski dziękuję nam gorąco za adres i całym sercem głęboko współczuje naszej niedoli. Przysyła nam błogosławieństwo arcypasterskie i zapewnienie, że sercem i sympatią jest po naszej stronie. Wreszcie przysyła przez tegoż delegata kanonika ze szkatuły własnej 2000 marek na ręce Komitetu Kaliskiego na zakup produktów dla polepszenia naszego wyżywienia. Tyle od arcybiskupa. Do

oświadczenia tego Kapelner dodał kilka słów treściwych od siebie. Zaznaczył, jak wielką wagę ma to przysłanie specjalnego delegata arcybiskupiego do nas i jak symptomatycznym jest zwrócone do nas oświadczenie Kakowskiego, zważywszy, że Kakowski jest w dziś w Polsce jednym z najpoważniejszych kandydatów na regenta, względnie do Rady Regencyjnej. Słowa jego, że jest on sercem po naszej stronie, wypowiedziane do nas, nie chowane pod kocem, nie osłaniane poufnością, poparte wysłaniem umyślnego delegata, wskazują aż nadto wyraźnie, jaki kierunek w tej sprawie reprezentują tendencje czynników, wysuwanych ze społeczeństwa do Regencji. Należy stąd wnioskować, że Kakowski nie przyjąłby regencji inaczej, jak pod warunkiem co najmniej uwolnienia nas. Kończąc, Kapelner wezwał nas do wytrwania w karności i organizacji wojskowej, w ładzie i harcie moralnym, by nie zawieść tego zaufania narodu, które wyraża się przez usta arcybiskupa, czerpiąc stąd ufność, że sprawa nasza stracona nie jest. W przemówieniu swym nadmienił też o martyrologii żołnierza polskiego, której nasza niedola jest tylko jednym z dziejowych ogniw. Na ogół dość ładnie, a rzeczywiście treściwie przemówił dr Kapelner. Gdy skończył, Wąsowicz powtórzył komendę „Baczność!", „W prawo patrz!" i Kapelner wyszedł. Co do mnie, to uważam krok arcybiskupa Kakowskiego za istotnie symptomatyczny, a to nie tyle nawet ze względu na jego osobiste dla nas sympatie i przekonanie, ile na to, że najwyższy dostojnik Kościoła w Królestwie i głowa kleru, stojący na czele polityki konserwatywnej i klerykalnej i rozporządzający silną i sprężystą organizacją o wpływach olbrzymich, uważa za wskazane w ten sposób zwracać się do nas, internowanych w obozie jeńców legionistów. Wiadomo, jak klerykalizm katolicki jest sprężysty i giętki, jak jest politycznie mądry, jakie ma czucie władzy i jak umie przystosować się do tego, co jest w społeczeństwie popularne, by się nie dyskredytować i by wyzyskać zachodzące fakty i zjawiska na swoją korzyść, dla wzmocnienia swego stanowiska i wpływów. Nikt się tak nie liczy ze stosunkami siły, nikt nie jest tak realny i tak mało pochopny do uczuciowego sentymentalizmu w rzeczach politycznych, jak kler. Niepodobna przypuścić, by arcybiskup Kakowski dał się nieobliczalnie, bez trzeźwego rozważenia *pro* i *contra* ze stanowiska własnego interesu, unieść uczuciowości. Jeżeli arcybiskup zdecydował się na skierowanie do nas takiego oświadczenia przez jednego z najpoważniejszych kanoników umyślnie do nas delegowanego, to świadczy, że nasza sprawa musi być bardzo popularna w społeczeństwie i że kler ma interes w opowiadaniu się z sympatiami po naszej stronie. To jest symptomatyczne. Jak na arenie wypadków światowych międzynarodowa czarna Kuria Rzymska i międzynarodowa czerwona Socjalna Demokracja podają dziś sobie ręce w manifestowaniu usiłowań pokojowych, rywalizując w głębokim przeciwieństwie swych celów i dążeń, w zasłudze nad likwidowaniem wojny, tak na arenie wypadków polskich klerykalizm z konserwatywną prawicą z jednej strony, a radykalna lewica – z drugiej – uganiają się w świadczeniu nam swego uznania i sympatii, zagarniając naszą sprawę pod swój szyld polityczny. Charakterystyczne to, choć nie przeczę, że jest w tym pewien niemoralny element – korumpowanie dusz naszych żołnierzy i spekulowanie na tym, co jest ich serdecznej idei płodem i męką bolesną. A ponieważ wiem, że celem tych zabiegów klerykalnych jesteśmy w gruncie nie my i nie sprawa sama przez się, która jest wyrazem i tęsknotą czynu naszych żołnierzy, lecz właściwy interes władzy klerykalnej i dominacji jej w Polsce, którym ideowo nie sprzyjam bynajmniej, więc dlatego brzydząc się po prostu pewnej „*moral insanity*", ja osobiście nie zgodziłem się podpisać i nie podpisałem tego adresu czy memoriału do Kakowskiego, który był doń od nas przed kilku tygodniami skierowany i który zawierał spowiedź naszej krzywdy. Nie przeczę jednak, że politycznie krok Kakowskiego jest w tej chwili dla naszej sprawy atutem bardzo ważkim. Słyszałem od Wąsowicza, że dr

Kapelner mówił także prywatnie, że rzekomo Kakowski uzależnia swój udział w Regencji od tego, żeby do Rady Regencyjnej wszedł także „Dziadek”, to znaczy Piłsudski, który oczywiście musiałby w triumfie wrócić do Warszawy ze swego internowania w twierdzy niemieckiej (w Swinemünde). Ile w tym prawdy – nie wiem. Dla Niemców byłaby to sytuacja bardzo trudna do wybrnięcia.
Przyjeżdżał dziś do nas inżynier p. Kasperowicz, delegat Towarzystwa Opieki nad Jeńcami. Wezwał mię i upewnił, że już jutro albo pojutrze papiery moje przyjdą do obozu i zostanę stąd uwolniony. Czyżby to była prawda? Kasperowicz okazał się moim kolegą ze „Związku Postępowej Młodzieży Polskiej” z lat 1902-1905, z czasów moich studiów paryskich. Spotykałem się z nim wtedy na naszych zjazdach związkowych, w szczególności w Zurychu. Przypomnieliśmy się sobie teraz. Był on wtedy studentem w Szwajcarii, ja – w Paryżu.

24 sierpnia, rok 1917, piątek
Papiery, uwalniające mię z obozu jeńców, jeszcze nie przyszły. Nie wątpię jednak, że przyjdą lada dzień i że wreszcie będę na wolności. Inżynier Kasperowicz najsolenniej zapewnił mię wczoraj, że dziś albo juro zostanę zwolniony i będę mógł wyjechać do Warszawy. Ostatecznie termin ten może się o kilka dni opóźnić, o co mniejsza, ale w każdym razie jest bliski i chyba już pewny. Kasperowicz dodał, że wigilią jego przyjazdu do nas, to znaczy pozawczoraj, moje papiery zwalniające powędrowały już do Beselera do podpisu i stamtąd zaraz zostaną tutaj przesłane. Dzięki Bogu.
Dziś wrócili do nas podoficerowie z bloku VIII, który został zlikwidowany. Żołnierze mocno na ten powrót sarkali i przyjęli podoficerów więcej niż niechętnie, chociaż do kategorycznego wystąpienia przeciwko nim nie doszło. Podoficerowie wyczuli dobrze nastrój, z jakim ich witano, a raczej odmówiono powitania i zresztą wiedzieli już o tym z góry, bo wieść o niezadowoleniu z ich powrotu i protestach przeciwko objęciu przez nich funkcji była dotarła do ich VIII bloku. Bezpośrednio przed ich powrotem, a nawet już po wejściu do naszego bloku, gdy jeszcze podoficerowie ustawili się na podwórzu, gdzie ich rozdzielano na poszczególne baraki czyli sale, wśród żołnierzy wrzało: powstała myśl wybrania w każdej sali po jednym rzeczniku dla zaprotestowania przeciwko zmianie funkcjonariuszy (komendanta bloku i komendantów baraków) i przedstawienia podoficerom żądania, aby dotychczasowi komendanci, bez względu na stosunek szarż, pozostali przy pełnieniu swoich funkcji. Jak to jednak często bywa w tłumie niezorganizowanym, gdzie nikt nie ujął zawczasu kierownictwa w sprężyste ręce, dopóki gorąco dyskutowano w gromadkach, dopóty projekty były stawiane najradykalniejsze, gdy jednak doszło do wykonania, a szczególnie do imiennego wyboru ludzi na owych rzeczników barakowych, na których to rzeczników kandydaci się jakoś nie kwapili, wykręcając się od zaszczytnego mandatu jak kto mógł – rzecz cała poszła w rozsypkę. Tymczasem poszczególni podoficerowie zaczęli się już wnosić z siennikami i plecakami do wyznaczonych im sal. Przykro było podoficerom w tej roli mimowolnych intruzów, tak nieżyczliwie przez niższych kolegów przyjmowanych. Witano ich przy wkraczaniu na salę grobowym milczeniem. Niestety – bardzo wielu z nich zasłużyło na to w zupełności; nie zdołali zdobyć sobie szacunku i sympatii ogółu, toteż jak tylko w tym ogóle podupadać zaczął zmysł wojskowy i gdy się on przekonał w parotygodniowej praktyce nie tylko o tym, że może istnieć i rządzić się bez tych podoficerów, ale także o tym, że bez nich ład był jeszcze lepszy, niż za czasów ich komendy, upadła gwałtownie sama idea posłuchu dla nich, a stosunek stał się z niechętnego wrogim. Powitanie było takie, jak dwóch stron wrogich, dwóch obozów, ostro się sobie przeciwstawiających. Do naszego baraku przybyło na razie coś z sześciu podoficerów, w tej liczbie Krzymowski, sierżant sanitarny Bajurski, niejaki starszy

sierżant Konrad, który ma być podobno komendantem bloku, niejaki Krasiński i jeszcze dwóch czy trzech sierżantów i kaprali. Były trudności z wyznaczeniem im miejsca na pryczy, bo nikt nie kwapił się z opróżnieniem im miejsc dogodniejszych, oni zaś, pragnąc pozyskania tychże, nie ośmielali się żądać i używać formy rozkazu, nie chcąc prowokować ewentualnego nieposłuszeństwa i może awantury. Doszło jednak parokrotnie do scysji w naszej sali i to w postaci dość brutalnej, wywołanej kwestią rozmieszczenia podoficerów w baraku. W skutku tych scysji przyleciał Szajewski i nagadał trochę naszym ludziom, ale za to podoficerowie pojedynczo wynieśli się i postarali o miejsca na innych salach. W rezultacie z tych, co wrócili z VIII bloku, pozostało u nas tylko trzech: Krzymowski, Krasiński i Bajurski. Reszta się ulotniła. Przechodzę do mego dziennikowego referatu sądowego. Następną sprawą, którą z kolei zreferuję, była sprawa karna kaprala Zajdla, który pełnił funkcje furiera (prowiantowca) naszego bloku. Wyrok w tej sprawie brzmi: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 2-3.VIII.1917. Oboźny Sąd żołnierski w osobach ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego, i ob. ob. Jana Lehra z I pp., Aleksandra Wernika z I p. art., Bolesława Jakubiaka z V pp. I Władysława Orlika z IV pp. jako członków, powołany przez ob. kap. Zosika i w porozumieniu z obozowym Komitetem żołnierskim legionistów, internowanych w obozie jeńców w Szczypiornie, w sprawie ob. kaprala Antoniego Zajdla z I pp., oskarżonego o to, że dnia 1 sierpnia, pełniąc funkcje prowiantowca IV bloku, przy rannym fasunku chleba od władz niemieckich, korzystając z zamieszania, wynikłego z powodu nieporozumień w sprawie tegoż chleba między czynnikami naszymi a niemieckimi i stąd wahań co do przyjęcia go przez nas, przywłaszczył ukradkiem jedną porcję chleba, którą następnie dał w swym kapralstwie do podziału, i przez to przywłaszczenie naraził ogół legionistów na stratę, ponieważ brakujące porcje chleba musiano uzupełnić z zapasów, otrzymanych do ogólnego podziału z Kaliskiego Komitetu Pomocy, po zbadaniu wszystkich dowodów w sprawie, którymi Sąd rozporządzał, i po przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. por. Rzeckiego, sierż. Moskwy, sierż. Marciniaka, Bocheńskiego i Zanulewicza, orzeka: 1. oskarżonego kaprala Zajdla Sąd uznaje za winnego wyżej wymienionego przestępstwa, wszakże ze względu na okoliczności łagodzące zasługującego na pobłażanie. 2. za karę pozbawić go na przeciąg tygodnia chleba z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego. (Podpisy:) Mateusz Rzymski. Jan Lehr. B. Jakubiak. W. Orlik. A. Wernik. Wyrok zatwierdzam. Polecam do wykonania komendantowi bloku. Kaprala Zajdla natychmiast usunąć od pełnionych funkcji. (Podpis:) Zosik-Tessaro. Szczypiorna. 3.8.17”. Dwa ostatnie punkty wyroku (3-ci i 4-ty), które były w projekcie naszym, zostały przez kap. Zosika przy zatwierdzeniu wyroku skreślone. Brzmiały one w projekcie: „3. Wykonanie kary polecić komendantowi baraku, w którym kwateruje kapral Zajdel. 4. zwrócić się do ob. Komendanta bloku z prośbą o usunięcie kaprala Zajdla od pełnienia funkcji podoficera prowiantowego (furiera). Punkt trzeci skreślony został przez Zosika dlatego, że ustalił on dotąd jako zasadę, iż wykonanie wyroków sądów żołnierskich należy wyłącznie do organów komendy jako jej przywilej, punkt zaś czwarty – dla tych samych motywów, co analogiczny punkt w zreferowanej przeze mnie sprawie Rozenbauma. W tej sprawie Zajdla niedużo mam do dodania do wyroku, jest ona nieskomplikowana. Wszakże maleńki komentarzyk dodam. Mogłoby się zdawać, że skoro chleb, przywłaszczony przez Zajdla z ogólnego fasunku niemieckiego, był przezeń oddany do podziału w kapralstwie, to nie może być mowy o cechach osobistej interesowności i osobistej korzyści w przestępstwie, co naturalnie wpływa na zmianę samej natury tego przestępstwa i bardzo zmniejsza jego wagę. A jednak tak nie jest. Chodziło o to, że Zajdel, będąc furierem blokowym, spekulował na zmianach w stanie liczebnym ludzi, a mianowicie bardzo dokładnie sprawdzał co dzień po barakach

ilość ludzi i notował ich ubytek (w drodze ucieczki bądź w innej formie wyjazdu z obozu) i korzystając z tego, że Niemcy, dzięki pewnemu samorządowi naszemu, nie mogą wciąż ustalić ścisłej ewidencji naszej, ukrywał od Niemców przy fasunku cyfry ubytku i pobierał chleb podług poprzedniego stanu liczbowego; powstałą w ten sposób nadwyżkę chleba w postaci porcji rezerwowych – nie oddawał na salę, w której tam ktoś ubył, lecz przechowywał u siebie, a następnie zjadał; miał więc zawsze zapasy chleba kosztem prowiantury niemieckiej i zapasów tych używał jednak nie na dobro ogółu naszego, lecz osobiście dla siebie; żeby zaś nie budzić szemrania zgłodniałych żołnierzy, którzy patrzą niechętnym, bo zgłodniałym wzrokiem na każdy nadmiar chleba u kogoś, a cóż dopiero u furiera, od czasu do czasu przeznaczał coś z tych wyspekulowanych zapasów łaskawie na kapralstwo lub sekcję, przekupując tym ludzi i zaskarbiając ich względność. Takie też znaczenie miało niniejsze rozdanie przywłaszczonego chleba na kapralstwo. Ze strony funkcjonariusza publicznego było to bądź co bądź nadużycie.
Już po napisaniu większej części karty dzisiejszej dowiedziałem się pod wieczór od sierżanta sanitarnego Słonimskiego, że już przyszła dla mnie marszruta i że już pojutrze będę mógł z obozu wyjechać – na wolność!

25 sierpnia, rok 1917, sobota
Piszę tę kartkę dziennika naprzód, z góry, bo ewentualnie myślę nie brać dziennika ze sobą ze względu na prawdopodobną rewizję, jeno go wyekspediować prywatną drogą. Piszę więc przed zakończeniem dnia.
W Warszawie czy gdziekolwiek będę, postaram się wolnym czasem, o ile mi pilniejsze bieżące rzeczy nie wyczerpią całego miejsca w dzienniku, dokończyć relacji o naszych sprawach sądowych w obozie jeńców, a także o rozwoju i działalności całej naszej organizacji żołnierskiej w obozie. Co do relacji sądowej, to chciałbym skopiować i omówić w dzienniku wszystkie wyroki, w których uczestniczyłem. Dziś robię to na początku karty dziennej, podając wyrok kolejny. Był to pierwszy wyrok naszego sądu blokowego w bloku IV. Sprawa była sama przez się błaha, ale należała do kategorii innych przestępstw, niż pierwszych kilka spraw sądu obożnego, zreferowanych poprzednio. Chodziło o wykroczenie przeciwko dyscyplinie wojskowej. Wyrok brzmiał: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 4.VIII.1917. Sąd żołnierski VI bloku w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Jana Świercza jako referenta, i ob. ob. Jana Lehra, Edwarda Niedzielskiego i Franciszka Mieszkowskiego jako członków, powołany przez ob. por. Rzeckiego i w porozumieniu z radą żołnierską IV bloku legionistów, internowanych w obozie jeńców w Szczypiornie, rozważał sprawę ob. Grzegorza Mrozika z 4 baraku, oskarżonego a) o systematyczne odmawianie posłuszeństwa przełożonym oraz szerzenie złym przykładem i słowami niesubordynacji wśród żołnierzy, co prowadzi do łamania organizacji, na której się opiera nasz samorząd w obozie jeńców, gwarantujący nam moralne i materialne korzyści współżycia, a także w szczególności b) o to, że w piątek 3 sierpnia przy pobudce rannej dopuścił się aktu ostrej niesubordynacji względem kaprala dziennego ob. Andrzeja Koszczaka, pełniącego obowiązek służby, rzucając się na niego i klnąc obelżywymi wyrazami za to, że tenże go budził i wzywał do wstawania. Po zbadaniu wszystkich dowodów, które były dla sądu dostępne, oraz przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. sierż. Gołdysza, sierż. Stawiasza, kapr. Koszczaka i szer. Majerowicza, Sąd orzeka: 1. systematyczne odmawianie przez oskarżonego Mrozika posłuszeństwa przełożonym oraz szerzenie złym przykładem i słowami niesubordynacji wśród żołnierzy nie zostało udowodnione, przeto w stosunku do tego zarzutu Sąd Mrozika uniewinnia. 2. w stosunku do drugiego punktu oskarżenia – aktu ostrej niesubordynacji

względem kaprala dziennego, pełniącego obowiązek służby, Sąd uznaje Mrozika za winnego przestępstwa, a ze względu na okoliczności obciążające winę – zasługującego na szczególne potępienie. 3. za okoliczności, obciążające winę takiego przestępstwa, Sąd uważa to, że a) przestępstwo popełnione zostało w obozie jeńców, w warunkach, w których karność i posłuszeństwo wobec własnych przełożonych są szczególnie niezbędne dla utrzymania naszej organizacji wewnętrznej i samorządu, licząc się z tym, że ta organizacja i samorząd są naszą jedyną dziś siłą zarówno moralną, jak materialną, że b) tego rodzaju wykroczenia przeciwko dyscyplinie są w naszych warunkach szczególnie niebezpieczne, bo się szerzą jak zaraza wśród żołnierzy, znękanych niewolą, niepewnych jutra i narażonych na demoralizację, że c) Mrozik, jak stwierdzono na Sądzie, nie po raz pierwszy okazał krnąbrność wobec przełożonego i że d) przestępstwo, choć nie plami honoru, jednak należy do kategorii tych, które wykraczają przeciwko specjalnym obowiązkom stanu żołnierskiego i na które żołnierz nie może znaleźć usprawiedliwienia w nieświadomości lub uniesieniu. 4. za karę Sąd postanowił wyznaczyć Mrozikowi twarde łoże, to znaczy pozbawić go siennika i prawa sypiania na nim przez 3 doby, w tej liczbie przez jedną noc zobowiązać go do czuwania z obowiązkiem dla kontroli meldowania się co 2 godziny od capstrzyku wieczornego aż do pobudki rannej, w szarży inspekcyjnej baraku, oraz w ciągu tychże 3 dni pełnić służbę dyżurnego na sali, z obowiązkiem zamiatania i czyszczenia dokoła baraku. 5. wyrok przedstawić do zatwierdzenia i wykonania ob. komendantowi bloku. (Podpisy:) M. Rzymski. Jan Świercz. J. Lehr. F. Mieszkowski, E. Niedzielski. Wyrok zatwierdzam dnia 4.8.17. Komenda IV bloku”. Oskarżony Mrozik zachowywał się na sprawie z dużym taktem i powagą. Mrozik, którego poprzednio nie znałem wcale, stał się odtąd dla mnie szczególnie grzecznym i uprzejmym. Nie tylko że nie wykazywał gniewu za skazanie go, ale, zdawałoby się, że jest za to szczególnie wdzięczny. Zdaje się, że ujęło go w naszym wyroku to, że wykroczenie jego nie plami honoru i zdawać się może, że chodzi mu o zamanifestowanie, iż jest nie pospolitym batiarem, jakim by go mógł kwalifikować jego czyn sądzony, lecz człowiekiem, który umie być grzecznym i umie się zachować we współżyciu. Po odczytaniu mu wyroku podziękował zań i oświadczył, że wyrok przyjmuje (oczywiście nie zapytywany o to); nadal też był bardzo zawsze uprzejmy dla mnie, pełen inicjatywy w tej uprzejmości. Wczoraj zaś doszło do tego, że mi zaproponował herbaty i uraczył mię nie tylko kubkiem smacznej herbaty z cukrem, napojem bardzo rzadkim u nas, ale, co jeszcze rzadsze i zgoła niezwykłe, dużą kromką chleba z masłem. W naszych głodowych stosunkach artykuły takie, jak chleb oraz przedmiot wyszukany – masło, są czymś tak cennym, że chyba między nadzwyczajnymi przyjaciółmi lub na dowód szczególnych jakichś uczuć można być nimi uraczonym. Jest to więcej, niż w czasach pokojowych na wolności zgotowanie jakiejś najwspanialszej uczty proszonej z delicjami takimi, jak bażanty, ostrygi i szampan. Rzadki to wypadek nie tylko w naszej, ale sądzę, że i powszechnej praktyce sądowej, by oskarżony, będąc skazanym na karę, czuł po skazaniu i odbyciu kary taką szczególną wdzięczność i bezinteresowne uznanie dla sędziego.
W tej chwili, gdy to piszę, jest już wieczór, po kolacji. Dotychczas marszruty nie otrzymałem i dotychczas nie zawiadomiono mię urzędowo o zwolnieniu. Trudno jednak wątpić, gdy Słonimski twierdzi, że sam na własne oczy widział w kancelarii niemieckiej dokumenty zwolnienia dla sześciu osób, a w tej liczbie – dla mnie. Gdyby zresztą nastąpiło jakieś opóźnienie i miałbym wyjechać zamiast jutra – pojutrze, nie gniewałbym się o to. Chleba mam dosyć, bo otrzymałem z zakupów z Kalisza. Zakończyliśmy dziś sprawę Radomskiego. Spodziewam się, że czas i miejsce w dzienniku pozwolą mi na omówienie w najbliższej przyszłości tej ciekawej sprawy.

Złożyłem dziś moje funkcje przewodniczącego sądu obożnego i sądu bloku IV. Przewodniczącym sądu blokowego wybrany został na moje miejsce starszy sierżant Jan Lehr z karabinów maszynowych naszego pułku, Żyd, chłopiec rozumny, szwagier mojego przyjaciela Lerna Altera, bardzo dzielny żołnierz, który odznaczył się szczególnie w roku zeszłym przy odwrocie spod Optowej, kierując samodzielnie akcją naszych karabinów maszynowych przeciwko kawalerii rosyjskiej pod Wołczackiem. Dzięki tej akcji, która zadała krwawe straty kawalerii rosyjskiej, umożliwiony został odwrót sił naszych za Stochód. Na prezesa zaś sądu obożnego wybrany został na moje miejsce ob. Walery Bagiński z I pułku artylerii. Wycofując się z sądu, zostawiam spraw w toku, to znaczy będących w stadium śledztwa i jeszcze niezałatwionych w rozprawie: w sądzie blokowym – jedna (sprawa Czerwonki i towarzyszy, skomplikowana kradzież butów) i w sądzie obożnym – cztery: a) sprawa o kradzież butów, b) sprawa dziewięciu oskarżonych o gromadny rabunek chleba fasunkowego z wozu prowiantowego niemieckiego, c) sprawa o kradzież dewizki złotej i d) sprawa o potwarz, skierowana do komisji aprowizacyjnej.

26 sierpnia, rok 1917, niedziela
Nastał dzień wyzwolenia. Już wczoraj wieczorem, koło godz. 8, wezwano mnie wraz z kilku innymi zwolnionymi, abyśmy odnieśli do magazynu obozowego wszystkie rzeczy fasowane, jakie posiadamy, ponieważ nazajutrz rano wyjeżdżamy. Ci ze zwolnionych, którym nie przysłano dotąd ubrania cywilnego, mogą wyjechać w mundurze z warunkiem, że po przyjeździe na miejsce natychmiast się rozmundurują. Niedużo znalazło się u mnie rzeczy fasowanych do zwrotu Niemcom: menażka, miska do jedzenia, jedne kalesony i koc, wyfasowany w obozie. Zwolnionych, którzy wyjeżdżają dzisiaj, jest ogółem sześciu, poza tym paru udaje się na urlop, który, choć z wielkimi trudnościami, w nadzwyczajnych wypadkach bywa udzielany. Sześciu zwolnionych na przeszło 3 000 internowanych – to kropla, której nie znać zgoła i która na los ogółu żadnego wpływu nie wywiera. Są to tylko wybrani szczęśliwcy, którzy wyjątkowo mieli stosunki i protekcję w Warszawie u wyższych władz niemieckich. Ich losem nie można mierzyć losu ogółu, w którego internowaniu nie znać jeszcze żadnych symptomów rychłego rozwiązania.
Wyjście z obozu było wyznaczone na dziś o godz. 7 rano. Wstałem wcześnie, jak zresztą wstawałem zwykle w obozie jeńców. Kucharz tzw. Kuba (Komenderski), który przyszedł mię prosić o pomoc z Warszawy w uwolnieniu go z obozu, przyniósł mi kawy; nie zostałem więc bez śniadania. Ale już fasunku chleba nie doczekałem się. Dla tego, kto tak przywykł cenić chleb, jak my go tu cenić przywykliśmy, było szkoda straty tego chleba (nawet radość wyzwolenia nie stłumiła pragnienia otrzymania jeszcze choćby kawałka chleba). Zanim ubrałem się i umyłem, i ułożyłem rzeczy w plecaku, zawołano mię już, że pora wychodzić. Pożegnałem wszystkich kolegów w baraku krótkim uściskiem dłoni i poszedłem. Niech ich Bóg ma w swojej opiece! Przed opuszczeniem obozu jeszcze przed zewnętrznymi drutami wprowadzono nas do ubikacji, w której dokonywa się rewizji rzeczy i rewizji osobistej odchodzących. Najwięcej obawiałem się o dziennik, by mi go przy rewizji nie odebrano, a nie chciałem też porzucać ani listów do mnie, które przez czas pobytu w obozie otrzymałem, ani kompletu wyroków sądu żołnierskiego, które chciałem zachować na pamiątkę oraz dla ewentualnego zreferowania ich w dzienniku. Po pewnym wahaniu zdecydowałem się zabrać wszystkie te rzeczy wprost ze sobą i porozmieszczać po kieszeniach licząc, że zbyt ostrej rewizji osobistej po kieszeniach Niemcy zarządzać nie będą. I nie omyliłem się: feldfebel, zarządzający naszym kwartałem, poczciwy brodacz Sas, ograniczył się tylko do formalizmu; gdym mu otworzył plecak i wyjął z góry koc, rzucił okiem do

środka, nie dotykając nawet ręką i na tym rewizję zakończył. Spytał jeszcze, czy nie mam jakichś listów na sobie, bo wywożenie ich jest surowo wzbronione. Nie skłamałem, zaprzeczając temu, bo istotnie żadnych listów do wywiezienia z obozu od nikogo nie przyjmowałem. W istocie zaś można było wynieść, co się jeno żywnie chciało. W kilka chwil po tej „rewizji", przechodząc swobodnie przez przejścia i bramy, nie zatrzymywany przez posterunki, owszem – żegnany przez nie życzliwie serdecznym powinszowaniem wolności, znalazłem się za ostatnimi wrotami obozu jeńców, na szosie, wiodącej do Kalisza – na swobodzie! Szczęsne jest uczucie wolności w chwili wyjścia z niewoli. Przede mną – świat szeroki, nieograniczony licznymi zagrodami z drutów kolczastych. Maszerowałem drogą na Kalisz raźnie, nie czując mimo osłabienie fizyczne – ciężaru mocno wypchanego plecaka. Droga wydała mi się krótka. W obozie jeńców męczyło mię nieraz, zwłaszcza wieczorami, kiedy się najsłabszy czułem, że aż się słaniałem, podnosząc na nogi i stąpając pierwszych kilka kroków – przejście z baraku do ustępu i z powrotem, choć nic do dźwigania nie miałem – tutaj teraz nie czułem dźwiganego ciężaru. Błogosławiona niech będzie Wolność! Nie czeka mię los różami słany na swobodzie, ale cokolwiek mi wypadnie znosić i jakie bądź trudności pokonywać, wolę, niż niewolne życie. Z zaciekawieniem, jak rzeczy nowej, rzeczy, w której się piękno niespodziewane odkrywa, przyglądałem się drzewom przy szosie, których widoku pozbawieni byliśmy całkiem w obozie. Postanowiłem nie odjeżdżać natychmiast do Warszawy, lecz spędzić choć kilka godzin swobodnie w Kaliszu. Z tym miastem, do którego idąc do obozu wkraczaliśmy demonstracyjnie, zbratani z nim tak gorąco, jakeśmy się nie bratali z żadnym innym w wędrówkach naszych i które potem tyle nam świadczyło w głodzie i niedoli, śląc nam codziennie chleb i produkty i łącząc nas ze światem, takie nas wiążą uczucia sympatii, że nie mogłem się oprzeć chęci spędzenia tu jeszcze chwil kilku. Rynsztunek złożyłem na dworcu kolejowym, sam zaś poszedłem do miasta. Wstępowałem do paru kawiarni na kawę białą, ciastka, mleko i jaja – delicje, o których się w obozie jeńców nie śniło, bo snem tam był tylko pospolity suchy czarny chleb, przyglądałem się z nie mniejszym, niż za pierwszym razem, wrażeniem temu miastu ruin, którego kamienice w środkowej głównej dzielnicy są chaotycznym zwałem gruzów i zębatych strzępów ścian. Zwiedzałem różne uliczki i zaułki Kalisza, nie omieszkałem przejść się po ulicy Kanonicznej tam, gdzieśmy przy kościele, naprzeciwko hotelu „Corso" rozłożyli się improwizowanym obozowiskiem za pierwszą bytnością naszą. Na obiad poszedłem do hotelu Saskiego. Miałem też obiad taki, jakiego bodaj już od szeregu miesięcy, jeżeli nie od paru lat nie jadłem: doskonały rosół z kartoflami i świeżą kapustą, z pływającym wewnątrz szpikiem i dużym kawałem wołowego mięsa, do którego dodano sos biały z fasolką, na drugą potrawę – olbrzymi kawał szpikowanej doskonałej pieczeni baraniej przy kości, wreszcie owoce, do tego piwo i na ostatek filiżankę czarnej kawy! Można jeszcze żyć w Kaliszu! Żołądek mój jest tak wygłodzony, że od wszelkiego sutszego pokarmu wnet dostaje odęcia. Doświadczyłem tego już z chlebem z zakupów w obozie jeńców i tu dzisiaj w Kaliszu. Do normalnego jedzenia muszę się dopiero przyzwyczajać. Jestem chudy, że tylko skóra i kości. Nie tylko na ciele, ale już i na twarzy, którą mam z natury pucatą, znać chudość głodową. Wyglądam też jak dzikus: obrosłem brodą, bo się nie goliłem od półtora miesiąca. Po obiedzie zwiedziłem piękny park Kalisza. Nie wyjechałem dziś z Kalisza. Nie obeszło się też bez przygody z płcią piękną.

27 sierpnia, rok 1917, niedziela
O godz. 8 rano wyjechałem z Kalisza. Do Warszawy przyjechałem koło godz. 5 po południu. Wprost z Dworca Wiedeńskiego, z rynsztunkiem na plecach, ruszyłem na ul. Mazowiecką do Ludwika Abramowicza i Heli Ochenkowskiej, u których znajdę

pierwszy doraźny przytułek. Jestem jeszcze w mundurze wojskowym, ale już jestem właściwie cywilem, bo nie posiadam niezbędnych atrybutów, charakteryzujących każdego żołnierza bez różnicy stopnia i szarży – pasa i broni bocznej. Wobec tego uważam się już za zwolnionego od obowiązków stanu wojskowego, a więc w pierwszym rzędzie od obowiązku salutowania. Po drodze na Mazowiecką spotkałem od razu pierwszego znajomego, który ledwie mię poznał – tak się zmieniłem. Był to dziennikarz lwowski, który za czasów Departamentu Wojskowego pracował w piotrkowskim „Dzienniku Narodowym", nazwiska jego nie pamiętam. Od niego też zaraz powziąłem pierwszych informacji o wypadkach, które zaszły. Są to rzeczy ciężkie, ale kto wie, czy nie były jedyne w sferze realnych możliwości. A więc: Legiony przestały być kadrą wojska polskiego. Zostały one w charakterze „polskiego korpusu posiłkowego", a więc w swej starej formie prawnej sprzed 5 listopada, odwołane przez Austrię; odjeżdżają do Przemyśla na razie, gdzie wyznaczony został dla nich punkt zborny, a stamtąd odchodzą na linię, na front rumuński! Dotyczy to całości Legionów, nie wyłączając znajdujących się w nich zaprzysiężonych Królewiaków. Dla Legionów jest to naturalnie degradacja. Z kadry armii polskiej stają się znowu polskim korpusem posiłkowym w c.k. armii austriacko-węgierskiej. Jeżeli się to utrzyma, jeżeli nie zostanie cofnięte, to chyba sprawa tworzenia armii polskiej w budownictwie państwowym na gruncie aktu 5 listopada raz na zawsze – oczywiście na czas trwania wojny, dopóki państwowość polska na tym akcie się opiera – upadnie. Wprawdzie w myśl tego postanowienia tzw. kursy wyszkolenia rekruckie nie są wcielone do Legionów i jako formalny zawiązek armii polskiej pozostają, ale oczywiście ta garstka rekrutów – to szopka, która nawet fikcji armii polskiej nie przedstawia. Decyzja o odwołaniu przez Austrię „polskiego korpusu posiłkowego" zapadła w porozumieniu hr. Czernina z kanclerzem Michaelisem i generałem Lüdendorfem. W politycznych kołach w Warszawie z tego powodu wielka konsternacja. Rada Stanu podała się do dymisji, motywując rezygnację swoją tym, że w odwołaniu Legionów upatruje polityczną likwidację aktu 5 listopada. W tej próżni prawno-państwowej polskiej, która się przez to tworzy, wyłania się gwałtownie zagadnienie regencji lub Rady Regencyjnej. Jak do tego zagadnienia odniosą się okupanci – to znak zapytania, jak pod znakiem zapytania pozostaje dotąd samo wewnętrzne ukształtowanie się regencyjnego zagadnienia. Z ewentualnego triumwiratu regenckiego: Zdzisław Lubomirski – arcybiskup Kakowski – marszałek Niemojowski – jedna z najpoważniejszych firm, Kakowski, podobno się nie decyduje przyjąć tej godności. Natomiast Lubomirski jest podobno gotów; stałby się więc on ewentualnie jedynym regentem. W ogóle sytuacja jest bardzo zawiła i trudno osądzić, czy decyzja okupantów o odwołaniu Legionów jest tylko wynikiem ich przekonania o niemożności załatwienia sprawy wojska polskiego, czy też istotnie przekreśleniem aktu 5 listopada i powrotem do dawnych tez polityki polskiej Niemiec i Austrii. Rada Stanu i polityczne koła polskie, które ją popierały i stały na gruncie budowania Polski w związku z mocarstwami centralnymi, traktują odwołanie Legionów jako zasadnicze złamanie aktu 5 listopada i współpracę państwową Polski z mocarstwami centralnymi uzależniają od cofnięcia tej decyzji. Jak reagują na to czynniki polityczne, zarówno na prawicy, jak na lewicy, które były przeciwne związaniu sprawy polskiej z mocarstwami centralnymi, tego jeszcze nie wiem. Jeżeli chodzi o prawicę, to ta z pewnością uważać będzie ten fakt za zwycięstwo swego programu. Co do lewicy niepodległościowej (obóz Piłsudskiego), to ta dawno już przestała wierzyć w urzeczywistnialność aktu 5 listopada i ostatniego tego wypadku nie będzie zapewne uważała za coś niespodziewanego. Będzie on tylko potwierdzeniem jej poglądów i tez, konsekwentnie od dłuższego już czasu nie tylko wypowiadanych, ale i w czynie wykonywanych. Słowem – dla jednych jest to rzecz logicznie konieczna,

rzecz, do której przyjść musiało, bez względu na to, w jakiej formie, jako konsekwentny epizod albo wreszcie epilog rozbratu sprawy polskiej ze sprawą mocarstw centralnych, dla drugich, z obozu Rady Stanu – to jest ciosem dla ich polityki, zachwianiem samej podstawy, na której się dotąd opierali, usiłując iść dalej po linii realizacji aktu 5 listopada. Ten obóz pojmuje, że grunt aktu 5 listopada zostaje mu spod nóg wyrwany i wyciąga stąd konsekwencje w stosunku do mocarstw centralnych. Czy one zechcą się z tym liczyć i przestaną się bawić w politykę 5 listopada – najbliższa zapewne przyszłość pokaże. Obóz Rady Stanu przekonany jest, że winę ponoszą ci, co sprowokowali takie rozwiązanie, odmawiając przysięgi w Legionach, a ostatnio przeprowadzając akcję masowego podania się legionistów Galicjan o przeniesienie ich do c.k. landszturmu. Ich zdaniem, opór Legionów przeciw rozpaczliwym próbom Rady Stanu realizowania aktu 5 listopada był prowokacją, która oto sprowadza dziś katastrofę. Dla tych zaś, co ten opór wykonywali, był on tylko wyrazem uświadomionego zasadniczego przeciwieństwa sprawy polskiej ze sprawą mocarstw centralnych, a zwłaszcza Niemiec w obecnym stadium dziejowym stosunków polityczno-międzynarodowych (może nawet głębiej, niż politycznych, bo i kulturalnych). Bądź co bądź, sprawa jest ciężka, kryzys jest u samego zenitu. Jak mię poinformował Ludwik Abramowicz, pierwsze transporty Legionów miały odjechać dzisiaj, ale nie odjeżdżają. Urzędowo odjazd ten odłożony został na dni kilka. Są wiadomości, że pułki I i V zdecydowane są nie dać się dobrowolnie zawagonować. W związku z tą ciężką sytuacją polityczną jest nie mniej ciężka sytuacja losu innych sfer państwowej organizacji polskiej, jak sądownictwo, szkolnictwo itd., które z dymisją Rady Stanu i powstaniem próżni zostają w jakimś nieokreślonym zawieszeniu między bytem i niebytem. Ma się tworzyć dla nich komisja likwidacyjna Rady Stanu.
Zamieszkałem chwilowo u Abramowicza. Dowiedziałem się już, że moje ubranie cywilne już nadeszło z Lublina, ale właśnie pozawczoraj czy wczoraj powiózł ja dla mnie do Szczypiorna chorąży Sujkowski, który się ze mną rozminął. Ma on je z powrotem tu odesłać, o ile mię już nie zastanie. Tymczasowo pożyczy mi ubranie cywilne Ludwik Abramowicz.

28 sierpnia, rok 1917, wtorek
Nie będę się wdawał w rozważanie perspektyw politycznych w związku z najświeższymi wypadkami z Legionach, Radzie Stanu itd. Jest to labirynt, który ma wprawdzie swoją stateczną logikę rozwoju i głębokiej współzależności interesów i poszczególnych posunięć – coś jakby gra w szachy, w której graczami są interesy, tendencje dziejowe i natura ludzka – ale którego poszczególne stadia tworzą prawdziwy kalejdoskop sprzeczności, gmatwaniny, nieraz pozorów, odbiegających od rzeczywistości, woli lub niedołęstwa, męki błędów lub mądrości jasnowidzenia. Czynnie w ten chaos polityczny pogrążać się nie myślę, a badać go wprawdzie nie przestanę, ale z dnia na dzień wałkować jego całokształt – praca daremna. Notować będę tylko wieści i fakty, bo inaczej brakłoby mi miejsca na inne tematy w dzienniku. Są więc dziś pogłoski w politycznych sferach Centrum Narodowego i Ligi Państwowości, to znaczy w obozie, najwytrwalej broniącym stanowiska 5 listopada, że odwołanie Legionów z wojska polskiego przez Austrię zarządzone zostało na własną rękę przez Lüdendorfa w porozumieniu z austriacką A.O.K., bez wiedzy i sankcji politycznych czynników niemieckich, które właśnie w tym czasie na poufnych obradach kanclersko-parlamentarnych w Berlinie decydowały się na daleko idące kroki w sprawie polskiej, na tworzenie rządu polskiego itd. Rozkaz o Legionach i płynące stąd konsekwencje, jak dymisja Rady Stanu, postawienie na nożu sprawy regencyjnej, zakwestionowanie przez Polaków samego aktu 5 listopada – zaskoczyło polityczne

czynniki w Berlinie. Co do Legionów samych – to czy poszczególne oddziały już się udały w drogę do Galicji, czy nie, czy zdecydowane są stawiać opór, czy też są posłuszne rozkazowi – o tym w Warszawie wiadomości są na razie sprzeczne. Podanie się Rady Stanu do dymisji jest faktem. Dla spraw organicznej działalności państwowej, które nie mogą wisieć w powietrzu przez czas kryzysu politycznego, jak sądownictwo, szkolnictwo itp., wyłoniona została z Rady komisja przejściowa w osobach Pomorskiego, Bukowieckiego i Natansona (Kaczorowskiego i Górskiego, jako zastępców). Rada Stanu złożyła dymisję na ręce Rady Regencyjnej w osobach Zdzisława Lubomirskiego, Kakowskiego i Niemojowskiego. Kakowski, wbrew temu, co mówiono wczoraj, zdecydował się podobno na wejście do Rady Regencyjnej. Właściwie więc Rada Regencyjna jest faktem, chociaż tylko faktem wewnętrznym w stosunkach polskich, bo Niemcy jej nie uznali i podobno się na nią nie godzą. Ale fakty wytwarzają się nie tylko dyktowaniem ich z zewnątrz, lecz także samorzutnym ich z wewnątrz wyłonieniem. Może wreszcie Polacy wejdą na tę ostatnią drogę, własną inicjatywą organizując swoją sprawę i stawiając Niemców wobec własnych aktów woli oraz faktów dokonanych, z którymi się liczyć i do których ustosunkowywać będą zmuszeni. Ta droga może lepsze wyda rezultaty, a w każdym razie jest ona jedyną, po której iść mogą próby polskiego budownictwa państwowego w warunkach okupacji i niezbędnego kompromisu.
Ubrałem dziś już po cywilnemu. Ubranie pożyczył mi na razie Ludwik Abramowicz, zanim mi odeśle moje chorąży Sujkowski z Kalisza. Tym razem nie czułem się głupio w ubraniu cywilnym, jak przed rokiem w Warszawie, gdym tejże metamorfozy na sobie dokonał. Dziś do wszystkiego się przyzwyczaiłem. W odzieniu cywilnym wyglądam jak Piotrowin, który wstał z grobu. Wychudłem wprost przeraźliwie. Poszedłem rano się zameldować do odpowiedniego urzędu niemieckiego. Wydano mi jakąś kartkę czasową z obowiązkiem meldowania się co tydzień. To znaczy, że mam pozostawać pod dozorem policyjnym. Jest to los wszystkich zwolnionych z obozów jeńców. Drugą czynnością moją dzisiaj było nawiązanie pierwszych prób znalezienia jakiejś posady, bo wiecznie – aż do niewiadomego kresu wojny – żyć z gotówki pożyczanej nie mogę. Powiodło mi się nadspodziewanie. Wpadłem na myśl skorzystać z organizującego obecnie gorączkowo sądownictwa polskiego i zgłosić moją kandydaturę jako prawnika. Przygodnie otrzymałem też propozycję ubiegania się o wakującą posadę juryskonsulta we Wzajemnym Ubezpieczeniu Budowli od Ognia – instytucji publicznej przymusowego ubezpieczenia. Do tego wielkiej ochoty nie miałem, choć posada ta ma atut pozostania w Warszawie (atut, który mię najmniej nęci, bo wolę gdzieś się zadekować na cichej głębokiej prowincji). Mając to jednak w rezerwie, poszedłem do Departamentu Sprawiedliwości Tymczasowej Rady Stanu, gdzie wre i kipi w przededniu otwarcia sądownictwa polskiego. Zwróciłem się tam do Wacława Makowskiego, który zajmuje stanowisko wicedyrektora departamentu. Gdym mu wyraził moją chęć zaangażowania się do sądownictwa, okazało się, że jest po prostu „*embarras de choix*". Rzadko się zdarza, by przy poszukiwaniu posady rzecz tak poszła gładko, jak tutaj: posady po prostu same biegną do rąk, szczególnie gdy się jest prawnikiem, bo przy organizującym się tak szybko, na poczekaniu sądownictwie, prawników – brak. Trudniej jest o posadę w Warszawie, bo na Warszawę wszyscy lecą, ale na prowincji – nic łatwiejszego. Makowski, upewniwszy się, że gotów jestem decydować się na najgłębszą prowincję i że wolę posadę sędziowską od prokuratorskiej, zaproponował mi miejsce sędziego pokoju w Kolnie na północy guberni łomżyńskiej, w zapadłym kącie, gdzieś w okolicach siedzib Kurpiów, nad granicą pruską, albo w Hrubieszowie nad Bugiem. I jedna, i druga miejscowość jest z wielu względów ciekawa. Śmierowski, z którym się potem zobaczyłem, namawiał mię na posadę

samodzielnego podprukoratora w Sandomierzu, zachęcając gorąco do przyjęcia jej (Śmierowski kieruje całym zorganizowaniem sądownictwa). Piękny Sandomierz, którego nie znam, nęciłby mię bardzo, ale funkcja prokuratora nie zachęca mię; zawsze czułem pewien niesmak do instytucji prokuratury; tutaj byłaby ona, niezależnie od swoich przykrych cech ciągłego oskarżania, jeszcze poza tym bardzo pracowita, wymagająca ogromnego wytężenia pracy, bo brak sędziów śledczych, poza tym nie ma urobionej, normalnie funkcjonującej policji kryminalnej; rola prokuratora wymaga poza tym użerania się z okupantami i będzie miała z konieczności ciągłą styczność ze sferą polityki, czego bym wolał uniknąć. Żywa to i gorąca praca, ale w moim stanie nerwów i zdrowia fizycznego wolałbym cichą pracę w cichym i głuchym Kolnie lub Hrubieszowie. Decyzję odłożyłem do jutra. Ludwik Abramowicz radzi mi Kolno; skądinąd i Hrubieszów w Chełmszczyźnie mię nęci. Ale w Hrubieszowie obawiam się nieco wciągania mię w sferze społecznego życia i działalności w walki polsko-ruskie, w których bym pragnął zachować neutralność. A więc: Kolno kurpiowskie lub Hrubieszów ruski? Funkcje sędziego pokoju same przez się nie będą dla mnie łatwe, bo nie mam odpowiedniej praktyki ani też specjalnej znajomości obowiązującego w Królestwie ustawodawstwa. Ale, będąc prawnikiem, mam nadzieję, że podołam zadaniu. Materialnie byłbym wyposażony wcale dobrze. Jak wykazuje tablica wynagrodzenia funkcjonariuszy sądownictwa polskiego, miałbym, jeżeli się nie mylę, pensji regularnej wraz z dodatkiem drożyźnianym (nie licząc ewentualnych diet) bodajże 7 800 marek rocznie, co w cichym ustroniu prowincjonalnym jest wcale dobrym wyposażeniem, zapewniającym wygodne i dostatnie życie.

29 sierpnia, rok 1917, środa
Zdecydowałem się na Kolno. Dziura to dziura, ale będę miał spokój, ciszę, dobre warunki odrestaurowania mego organizmu. Pracy umysłowej, choćby najcięższej, przy dobrym odżywianiu się – nie obawiam się. Natomiast gdybym się miał zdecydować na prokuraturę (ewentualnie do Sandomierza), praca wymagałaby ciągłej gorączki nerwowej, czego muszę w chwili obecnej unikać, bo jestem wyczerpany nie tylko fizycznie, ale nie mniej i nerwowo. Na stanowisku sędziego pokoju wiem, że będę miał pracę szaloną i że czasem aż się wściekać będę na trudności, jakie napotkam i jakie będę musiał pokonać, ale to będzie w sferze pracy umysłowej; tego się nie obawiam. Wyobrażam sobie, jaki będzie na razie trud, chaos i bajzel, zwłaszcza w czynnościach sądów pokoju. Dobór sędziów w powstającym sądownictwie polskim jest z konieczności przygodny: są to przeważnie albo adwokaci, albo prawnicy bez praktyki, pozbierani z całego kraju; rutyny sędziowskiej ludzie ci nie mają; tradycji ani ustalonej praktyki sądownictwa polskiego – nie ma; dawna praktyka sądów rosyjskich nie będzie się całkowicie nadawała do działalności sądów polskich. W wyższych sądach kolegialnych szybciej się ujednostajni praktyka, bo sędziami będą tam wytrawniejsi prawnicy, sama kolegialna współpraca ustali lepiej busolę praktyki, wreszcie dozór wyższych instancji będzie energiczniej korygować błędy, a obcowanie wzajemne sądów i bliższy związek z Sądem Najwyższym jako kasacyjnym wpłynie normująco na metodę czynności sądowych. Gorzej będzie z sądami pokoju, rozproszonymi po głuchych kątach prowincji. Tam każdy sędzia na własną rękę tworzyć będzie swoją praktykę i pokonywać trudności – bez pomocy niczyjej, bo pomocy i wskazówki, poza własną głową i wiedzą i poza książkami, które będzie miał pod ręką, nie znajdzie. Będzie to praca nieraz wściekła. Nie odstrasza ona mię jednak, mimo że ja w szczególności nie miałem nigdy praktycznie do czynienia z ustawami, obowiązującymi w Królestwie i nie będąc Królewiakiem, nie mam praktycznej znajomości stosunków życiowych w tej dzielnicy. Polegam jednak na głowie mojej i na zmyśle prawniczym, który posiadam w

wysokim stopniu. Kolno wybrałem dla przyczyn, o których pisałem wczoraj. Wolę [je], niż Hrubieszów. Zachęcał mię też do tego gorąco Ludwik Abramowicz. Oprócz innych dodatnich stron Kolna – cisza, taniość, warunki wiejskie, ciekawa kraina Kurpiów, miejscowość kulturalnie dziewicza, wreszcie kierunek północno-wschodni, zbliżający geograficznie do Litwy – jest jeszcze wzgląd ten, że grono prawników wileńskich, starających się dostać do Królestwa dla objęcia posad w sądownictwie polskim, roiło sobie założyć gniazdo w okręgu sądowym łomżyńskim, to znaczy tu się skupić, zakładając w sferze tego sądu rodzaj kolonii prawniczej litewskiej. Nie wiem, czy to dojdzie do skutku, bo dotąd tylko jednemu adwokatowi Urbanowiczowi z Wilna udało się tu dostać i zainstalować istotnie w Sądzie Okręgowym łomżyńskim na stanowisku prokuratora. W tymże celu starali się o przyjazd z Wilna adwokaci Juliusz Kozłowski, Władysław Dmochowski, Jaszczołt, ale władze okupacyjne odmawiają im pozwolenia na wyjazd. Dowiaduję się od Urbanowicza, że i Tadeusz Wróblewski chciał się tu dostać, zgłaszając swoje usługi do sądownictwa, miano go tu mianować członkiem Najwyższego Sądu, ale i jego nie puszczono. Biedni adwokaci wileńscy przymierają głodem, nie mając tam żadnej pracy ani środków do życia. Gdym przyszedł dziś rano do Departamentu Sprawiedliwości i oświadczył Śmierowskiemu, że się decyduję na Kolno, skierował on mię do niejakiego p. Szmidowskiego, urzędnika departamentu, u którego podpisałem deklarację żądaną. Jutro mam otrzymać gotową nominację. Rzecz ta poszła nadspodziewanie szybko. Trzeba mieć szczęście, żeby tak bez ubiegania się, bez upokorzeń i długich starań dostać na poczekaniu posadę. Trafiłem na arcypomyślny moment, kiedy prawnicy byli szczególnie poszukiwani do tworzącego się sądownictwa polskiego. Pracy będzie dużo i będzie to praca odpowiedzialna, bo każdy z nas, uczestników tego sądownictwa, będzie współdziałał na wyrobienie reputacji sądów polskich i będzie jednym z najpierwszych na prowincji państwowych urzędników polskich, symbolem widomym dźwigającej się władzy polskiej państwowej, ale właśnie dla tej odpowiedzialności praca ta mi się uśmiecha. Umówiłem się z Urbanowiczem, że wyjedziemy z nim stąd razem do Łomży w niedzielę rano. W Departamencie Sprawiedliwości zostałem przedstawiony bawiącemu tam prezesowi Sądu Okręgowego łomżyńskiego, memu *eo ipso* przełożonemu, panu Filochowskiemu. Jest to człowiek starszy, otyły, który przelotnie zrobił na mnie wrażenie poczciwca, świadomego jednak swojej wagi przełożonego. Urbanowicz i inni sądownicy łomżyńscy, których poznałem, chwalą go: ma to być człowiek dużej wiedzy i rutyny sądowniczej, wytrawny prawnik, przy tym Łomżanin, który wiek strawił w tym mieście, jeden z najpoważniejszych adwokatów w Łomży.

Wieczorem zrobiłem sobie dziś frajdę i poszedłem na kolację do Lijewskiego, gdzie zdarzało mi się jadać wytrawnie za czasów pokojowych. Zapłaciłem sowicie, ale też zjadłem co się nazywa. Wyprawiłem sobie tę ucztę po głodzie szczypiornieńskim. Jakże dziwnie wygląda dziś restauracja Lijewskiego: wspaniała sala, tonąca w gęstwinie żywej zieleni, szemrząca fontanną, rzeźwiącą powietrze, z basenami żywych ryb, z bufetem, zastawionym okazale, z piękną orkiestrą, wytworna, jak z fantazji – pusta i głucha. Dokoła cisza, gości ze 3-4, rutynowani eleganccy kelnerzy, snujący w pustkach jak cienie, z przygnębieniem na twarzy. Jakże cię wojna dotknęła, o Lijewski! Pustka ta maltretuje cię, wspaniała świątynio uczt kulinarnych! Gdzie twój gwar i ruch dawny, gdzie goście płacący szeroko, smakosze win doskonałych i wyszukanych dań twej kuchni! Dziś budzisz żal i tęsknotę jakąś, jak coś z przeszłości, jak mumia wśród żywych ludzi, jak uroczysta świątynia wśród skarlałego miasteczka! Twoja świetna kuchnia, twoje wyszukane przysmaki – jakże stoją daleko, samotne – od trosk plebsu o chleb powszedni, o ziemniaki, o worek mąki itd. Odeszłaś od życia, którego poziom

skarlał w tej głodnej wojnie i świecisz samotnie pustkami, wytworna, dumna, zrozpaczona zapomnieniem powszechnym, klnąca wojnę i Niemców!
Nie chcę dać za wygraną i choć moje życie wkracza w zupełnie nowe stadium, które by aż nadto wypełniło sobą karty dziennika, chcę dokończyć opisu naszych stosunków w obozie jeńców w Szczypiornie. W pierwszym rzędzie chcę kończyć relację naszych spraw sądowych w obozie. Gdy to skończę, poświęcę jeszcze miejsce zreferowaniu samorządu naszego w jego działalności i budowie. Dziś z kolei biorę następną sprawę, która była na wokandzie sądu blokowego. Była to obszerna sprawa, którą sąd nasz przyjął w charakterze dochodzenia śledczego. Rezolucję przytaczam: „Obóz jeńców w Szczypiornie,10.VIII.1917. Sąd żołnierski bloku IV w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Franciszka Mieszkowskiego jako referenta i ob. ob. Jana Świercza, Edwarda Niedzielskiego i Zbigniewa Michałowskiego jako członków, z polecenia komendy bloku, w porozumieniu z komitetem żołnierskim, rozważał sprawę ob. ob. Piotra Liwocha, Kazimierza Fatymy, Józefa Soboli, Michała Borowieckiego, Stanisława Adamowicza i Józefa Lisa, oskarżonych o to, że w związku z usiłowaną w nocy z dnia 8 na 9 ucieczkę zbiorową mieli zamiar lub przynajmniej na wypadek nieudania się ucieczki byli zdecydowani zwrócić się do niemieckiej komendy obozu dla ofiarowania jej swych usług albo też udzielenia potrzebnych jej informacji z zakresu naszego życia i stosunków, a więc o usiłowanie zdrady. Wobec trudności dokładnego ustalenia szczegółów sprawy, a zwłaszcza niemożności zbadania tego, jak się zachowywali oskarżeni przez czas ich pobytu w rękach Niemców, dalej ze względu na ubóstwo kar, jakimi Sąd rozporządza i które są zgoła nieodpowiednie dla tego rodzaju zbrodni, gdyby wina oskarżonych dowiedziona została, jak wreszcie ze względu na to, że w sprawie tej w naszych warunkach chodzi nie tyle o wymiar sprawiedliwości, ile o własne bezpieczeństwo nasze i obronę przed skutkami denuncjacji, Sąd z góry zastrzegł, że w tej sprawie podejmuje się nie działania karnego, jeno śledczego. To znaczy, że Sąd nie będzie sam wymierzał sprawiedliwości, nie będąc w stanie to zrobić, a tylko zbada sprawę dla wyjaśnienia, czy rzeczywiście są w niej dowody winy oskarżonych i czy wypadek ten, jak również osoby oskarżonych grożą naszemu bezpieczeństwu czy nie. Na tych warunkach, z góry przez Sąd zastrzeżonych, komenda bloku sprawę tę mu przekazała. Sąd, po zbadaniu wszystkich dowodów, które mu były dostępne, i po przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. Sławca, Kowalczyka, sierżanta Granosika, sierżanta Chybińskiego, sierżanta Wąsowicza, sierżanta Mieszkowskiego i Borsuka, orzeka: „…
Nie pozostaje mi miejsca – dokończenie jutro.

30 sierpnia, rok 1917, czwartek
Dokończenie rezolucji sądu żołnierskiego w Szczypiornie z d. 10.VIII w śledztwie w sprawie Liwocha i towarzyszy: „… (Sąd orzeka:) 1. oskarżony Józef Lis nie ma żadnego związku ze sprawą reszty oskarżonych, z którą zupełnie przygodnie i mechanicznie został związany li tylko przez to, że go zatrzymano w chwili zamieszania i ruchu, sprawionego przez ucieczkę innych oskarżonych; ucieczka, którą planował Lis, ale której wtedy zresztą jeszcze nie wykonywał, nie miała żadnych cech takich, o jakie są oskarżeni Liwoch i towarzysze; toteż Sąd stwierdza, że Lis jest wolny od wszelkiego zarzutu i że należy ubolewać, że został do tej sprawy przez pomyłkę wmieszany, ponieważ nie zasługuje na żadną plamę nawet posądzenia o zdradę. 2. co do innych oskarżonych, to między Liwochem, Fatymą, Sobolą i Borowieckim była zmowa na rzecz wspólnej nocnej ucieczki za druty; Sąd uważa za udowodnione, że w tej zmowie oskarżeni, jeżeli nie mieli wprost zamiaru zwrócenia się do majora dla dokonania zdrady, to jednak na wypadek zatrzymania ich przez posterunek niemiecki lub w ogóle

nieudania się ucieczki byli gotowi wejść w stosunek z majorem niemieckim, byle tylko uniknąć pozostania nadal w obozie na stopie, na jakiej jesteśmy, lub co gorzej – aresztu niemieckiego. Przywódcą tej zmowy był Liwoch; on dawał pomysły, on był na czele wykonania. Trzej inni – Fatyma, Sobola i Borowiecki – ulegali namowom Liwocha. 3. czy Liwoch, Fatyma, Sobola i Borowiecki spełnili to, do czego byli gotowi, to znaczy czy porozumiewali się z majorem, czy udzielali mu jakich wyjaśnień i wiadomości i czy w ogóle major chciał wchodzić z nimi w stosunki, czy też po prostu odesłał ich nazad do nas, gardząc nowymi próbami donosów i zdrady, na których się już poprzednio zawiódł; czy może oskarżeni sami cofnęli się od pierwotnego zamiaru, czemu przynajmniej w stosunku do Liwocha przeczy jego zachowanie się przy powrocie do bloku, kiedy w ostatniej chwili usiłował stawiać opór i oddać się ponownie w ręce posterunku niemieckiego; wreszcie dlaczego major niemiecki, wbrew stosowanym dotychczas i powszechnie przyjętym metodom, zamiast ukarać przyłapanych zbiegów aresztem, uwolnił ich od odpowiedzialności i odesłał nazad do nas i czy to jest tylko trafem szczególnego zbiegu okoliczności, że ta osobliwa wyrozumiałość majora akurat wypadła na ucieczkę tych, na których powstały u nas poprzednio poszlaki, że się do majora z wynurzeniami zdrady chcą zwrócić – tych wszystkich pytań Sąd w badaniu śledczym rozwiązać nie był w stanie z powodu warunków niezależnych od niego, dlatego też, rozumiejąc, że pytania te postawione być muszą, bo są najważniejsze dla nas, Sąd, stawiając je, nie może odpowiedzieć na nie ani „tak", ani „nie". 4. co do oskarżonego Adamowicza, to do zmowy z Liwochem i towarzyszami należał, ale w ostatniej chwili od udziału w wykonaniu się cofnął; żeby wiedział lub zdawał sobie sprawę z gotowości Liwocha i towarzyszy do zdrady – to udowodnione nie zostało. 5. co do niebezpieczeństwa, mogącego grozić ogółowi naszemu ze strony Liwocha i towarzyszy, to Sąd uznaje, że niebezpieczeństwo takie istnieje i że najgroźniejszym jest ono ze strony właśnie Liwocha, osobnika zdecydowanego na wszystko i z gruntu zdemoralizowanego. Fatyma, Sobola i Borowiecki – ludzie słabej woli, ulegający pokusom, zepsuci, pozbawieni motywów ideowych – powinni być również za niebezpiecznych uznani, szczególnie w ręku takim, jak Liwocha. Aby to niebezpieczeństwo usunąć, powinni być oni w jakikolwiek sposób ze środowiska naszego wyłączeni. Co do Adamowicza, to kategorycznie stwierdzić o jego niebezpieczeństwie i o konieczności wyłączenia go ze środowiska Sąd się nie decyduje, uważa wszakże, że ostrożność nakazuje poddać go ścisłemu dozorowi aż do odwołania przez Komendę. 6. Papiery, odebrane od oskarżonych przy rewizji osobistej i złożone Sądowi Sąd postanawia zwrócić ich właścicielom, oskarżonym, za pośrednictwem Komendy bloku. Podpisy: M. Rzymski, F. Mieszkowski, Jan Świercz, E. Niedzielski, Z. Michałowski, Wąsowicz". Ostatni podpis Wąsowicza, który był wtedy komendantem naszego bloku, wyraża zatwierdzenie rezolucji Sądu przez Komendę. Do tej rezolucji w sprawie Liwocha należałoby dodać kilka komentarzy. Należy ją traktować tylko jako wniosek ze śledztwa, poniekąd rodzaj policyjnego referatu Komendzie, w żadnym zaś razie nie wyrok sądowy. Jest to tylko zbieg okoliczności, a właściwie rezultat połączenia różnych funkcji w jednej instytucji, że ta sama instytucja, która urzędowo nosi w obozie nazwę Sądu, wykonywa zarazem, gdy zachodzi potrzeba, czynności śledczo-policyjne, co w danym razie może wprowadzać w błąd nieświadomych i sprawiać wrażenie, że nasz sąd żołnierski w Szczypiornie charakter sądu inkwizycyjnego. W istocie instytucja nasza działała w tej sprawie nie w charakterze sądu, lecz w charakterze komisji policyjno-śledczej. W wyroku sądowym taki na przykład punkt trzeci cytowanej rezolucji byłby zgoła niedopuszczalny, stanowiłby bowiem nie wyraźne orzeczenie o faktach i winie, jeno szereg insynuacji, charakteryzujących typowo inkwizycyjne metody sądzenia. Redagując rezolucję, a

nawet poprzednio przyjmując do rozpatrzenia przekazaną nam przez Komendę sprawę Liwocha i towarzyszy i wiedząc o tym, że wypadnie nam właśnie na to policyjne zagadnienie położyć główny nacisk, zdawałem sobie w zupełności sprawę z tego, że jako sąd wykonać tego nie możemy i dlatego zastrzegłem śledczo-policyjny charakter czynności w tej sprawie, co też w pierwszej części rezolucji wyraziłem. W warunkach, w jakich żyliśmy w niewoli i w środowisku żołnierskim nie było możności tworzenia osobnych instytucji śledczych i sądowych. Organizacja musiała być uproszczona i doskonałą w swej budowie być nie mogła. W stosownym czasie postaram się tę organizację zreferować, bo chciałbym zobrazować w dzienniku całokształt naszych stosunków w obozie jeńców. Wracam jeszcze do sprawy Liwocha. Liwoch i jego kompani byli bandytami spod ciemnej gwiazdy. Sam herszt, Liwoch, był łazikiem pierwszej klasy. W czasie wojny zwiedził kawał świata i miał pełno przygód. Kilkakrotnie był w Legionach, dezerterował i znów wstępował. Był w różnych stronach Niemiec na robotach, skąd znowuż uciekał. Był trzykrotnie pod sądem polowym za różne zbrodnie; ciążą na nim liczne kary. Jego twarz ospowata aż nadto wyrazem swoim świadczy, do czego ten człowiek jest zdolny. Z towarzyszy jego – Fatyma był w Zambrowie aresztowany za kradzież u oficera, u którego był za ordynansa. Sobola czy Borowiecki – nie pamiętam – ma także kradzieże na sumieniu. Wypadek, którego dotyczyło nasze śledztwo, miał przebieg taki. W nocy czterej towarzysze, próbując ucieczki, znaleźli się za pierwszymi drutami w okolicach wychodka (wychodek był prawie zawsze punktem wyjścia ucieczek; nocami wychodki stawały się nieraz klubami uciekinierów i przeróżnych szumowin; dodam, że w ogóle ucieczki, a raczej ich próby były częste u nas; bywały noce, że po kilkunastu ludzi usiłowało wiać; większość Niemcy zatrzymywali, ale niektórym ucieczka się powiodła; nieraz co noc rozlegały się strzały, którymi posterunki niemieckie zatrzymywały zbiegów. Jednego z bandy Liwocha, bodajże jego samego, zatrzymał za drutami posterunek niemiecki i nie chcąc go aresztować, by nie mieć zachodu, kazał mu wracać nazad przez druty; zatrzymany jednak wracać nie chciał i twierdząc, że ma coś ważnego do zakomunikowania majorowi, domagał się, by go Niemiec aresztował; gdy ten nie chciał słuchać, Liwoch oświadczył, że jest tu nie on jeden, na co z grząd kapusty podniosło się i podbiegło do żołnierza niemieckiego trzech innych (Fatyma, Sobola i Borowiecki), żądając, by ich wszystkich aresztowano i przedstawiono majorowi. Niemiec odprowadził ich do lokalu warty. Scenę tę widziano i słyszano dokładnie po naszej stronie drutów. Wywołało to u nas sensację i wrzenie – jako wypadek nowej zdrady. Nazajutrz major odesłał nam z powrotem wszystkich czterech, nie karząc ich wcale za usiłowanie ucieczki. Rzecz oczywiście była bardzo podejrzana dla nas. Dla charakterystyki Liwocha podam jeszcze epizod z jego zachowania się na śledztwie. W przerwie, gdy nasz sąd opuścił barak, w którym toczyła się rozprawa, Liwoch rzekł do towarzyszy: „A dobrze się przypatrujcie świadkom, abyśmy zapamiętali ich twarze". Odezwanie to zostało usłyszane przez żołnierzy, obecnych w baraku i zakomunikowane nam, czemu sam Liwoch nie mógł zaprzeczyć. W rezolucji naszej stwierdziliśmy, że Liwoch i towarzysze są niebezpieczni i wobec tego postawiliśmy wniosek o usunięcie go ze środowiska. Komenda bloku była tego samego zdania, ale powstały trudności z wykonaniem. Usunięcie byłoby możliwe albo w drodze oddania Liwocha i towarzyszy w ręce niemieckie, aby go Niemcy zalokowali poza obrębem naszej dzielnicy, gdzieś na przykład z jeńcami Moskalami, albo w drodze umieszczenia go w jakimś izolowanym baraku. Pierwszy sposób budził wśród organów naszej Komendy i w komitecie żołnierskim spory; jedni uważali to za jedyny sposób do pozbycia się elementów szkodliwych, inni uważali wszelkie odwoływanie się do władz niemieckich za niedopuszczalne. Nasza samorządna Komenda obozu chwiała się, ale wreszcie okazało się po porozumieniu z majorem, że to

w ogóle niemożliwe. Co zaś do osobnego baraku karnego, to mimo że dla wykonywania naszych czynności sądowo-karnych byłaby to rzecz bardzo pożądana, to jednak, choć dużo o tym mówiono, nie doszło do tego. Zdaje się, że przeszkodził temu wzgląd na szczupłość lokalów w rejonie naszego zakwaterowania i to, że trzeba byłoby wystawiać specjalną straż przy baraku karnym. Słowem – Liwoch i towarzysze wykluczeni nie zostali. Przez jakichś dni dziesięć przenosili się oni co dzień w południe z jednego baraku do drugiego, ponieważ w południe jest zmiana służby, a byli oni na stopie aresztowanych, oddanych pod straż baraku służbowego. Nałykali się przez ten czas wstydu i upokorzenia, bo po obcych barakach patrzono na nich wrogo, jak na zakałę. Wreszcie skończyło się na tym, że porozdzielano ich i zakwaterowano na stałe każdego osobno w innym bloku.
Relacja z tej sprawy Liwocha zajęła mi za dużo miejsca. A jest dziś o czym pisać na temat aktualnych rzeczy, w pierwszym zaś rzędzie o nominacji mojej na sędziego pokoju w Kolnie. Nominacja ta jest już faktem dokonanym. Akt nominacyjny okazały, na dużym arkuszu papieru, imitującym na pierwszy rzut oka pergamin, wypisany ładnym pismem. Akt nominacyjny, podpisany przez wicemarszałka koronnego Józefa Mikułowskiego-Pomorskiego, wicedyrektora Departamentu Sprawiedliwości Wacława Makowskiego, naczelnika sekcji organizacyjnej Eugeniusza Śmierowskiego i sekretarza członka Tymczasowej Rady Stanu Ludomira Grendyszyńskiego, opatrzony w pieczęć Rady Stanu, z firmą tejże Rady i orłem polskim u góry. Dyplom nominacyjny jest antydatowany o dni kilka, ponieważ dla formalizmu nie może nosić daty po dymisji Rady Stanu. Nosi datę 25 sierpnia. Jest to data symboliczna: data dymisji Rady Stanu, mojego uwolnienia z obozu jeńców i zarazem mojej formalnej nominacji na sędziego pokoju. Rzeczywiście fantastyczne są moje losy: przed miesiącem szeregowiec Legionów Polskich, wczoraj – jeniec stanu, dziś sędzia pokoju w dźwigającym się do bytu sądownictwie polskim. Kim to w życiu nie byłem? Prawowied, student paryski, redaktor dziennika („Gazeta Wileńska"), autor „Litwy", mecenas (adwokat przysięgły), prezes (vénérable) loży masońskiej, szeregowiec Legionów Polskich, jeniec, sędzia pokoju. Wręczenie dyplomu nominacyjnego odbyło się uroczyście w gabinecie wicedyrektora departamentu W. Makowskiego, z odczytaniem przez nas głośno i podpisaniu roty uroczystego przyrzeczenia.

31 sierpnia, rok 1917, piątek
Po otrzymaniu wczoraj z rąk Makowskiego nominacji w postaci formalnego dyplomu chodziło już tylko o wyrobienie przepustki na wyjazd i podjęcie należnej mi sumy zaliczki. Obie te rzeczy załatwiane są przez Departament Sprawiedliwości. W tym celu poszedłem dziś rano do departamentu i wręczyłem mój paszport, na którego podstawie departament otrzymuje od władz niemieckich przepustki na wyjazd dla mianowanych urzędników sądownictwa. Wieczorem przepustka miała być gotowa. Dotąd wszystko szło nadzwyczajnie gładko. Okazało się tymczasem, gdym się zgłosił wieczorem, że zaszło jeszcze pewne „ale": oto Makowski tak bajecznie szybko, bez żadnych formalizmów załatwił moją nominację, że zapomniał o jednym zastrzeżeniu, a mianowicie, że kandydat na posadę musi być przed nominacją przedstawiony do wiadomości władz niemieckich, które w terminie siedmiodniowym mają prawo zgłoszenia sprzeciwu („*veto*") w stosunku do jego osoby. Ponieważ to zostało opuszczone, więc musi być zrobione teraz. Faktycznie więc nominacja moja, choć już dyplom na nią mam, jest jeszcze na razie zawieszona i przeto ani otrzymać przepustki, ani wyjechać w niedzielę, jak to zamierzałem, jeszcze nie mogę. Zwłoka ta byłaby dla mnie obojętną, gdyby mię nie niepokoiła inna rzecz. Oto boję się, aby władze niemieckie, które to prawo sprzeciwu wykonują, nie natrafiły na trop mojego świeżego

internowania w obozie jeńców i z tego tytułu nie zechciały robić trudności. Makowski i Śmierowski nie przewidują tego i zapewniają, że właściwie rzecz jest tak jak załatwiona, bo zaraz po ujawnieniu tego braku zatelefonowano z departamentu do odpowiednich władz niemieckich, które, ze względu na śpieszność sprawy, bo sądownictwo polskie zaczyna funkcjonować już od jutra, przyrzekły rzecz załatwić szybciej, nie wyczekując siedmiodniowego terminu. Skądinąd w paszporcie moim, za którym się po przyjeździe moim do Warszawy zameldowałem (jest to mój zeszłoroczny paszport cywilny niemiecki), nie ma żadnego śladu nie tylko pobytu mojego w Szczypiornie, ale nawet jakiegokolwiek udziału w Legionach i przerwy w zamieszkaniu w Warszawie przez rok cały. Jeżeli więc Niemcy sprawdzą w milicji meldunek, to na trop nie wpadną. Nie mogę też być notowany politycznie w policji warszawskiej, ponieważ faktycznie w Warszawie mię nie było. Chyba że natrafiliby na ów mój specjalny meldunek w urzędzie, notującym i dozorującym byłych legionistów, wypuszczonych po odmowie przysięgi z obozu jeńców. Kto to wie? Zobaczymy. Ponieważ jutro jest uroczyste nabożeństwo z okazji otwarcia sądownictwa, pojutrze zaś niedziela, więc dopiero w poniedziałek dowiem się w Departamencie Sprawiedliwości, czy rzecz została pomyślnie załatwiona. Ostatecznie nawet w najgorszym razie rzecz nie byłaby rozpaczliwą, bo ewentualnie mogą być jeszcze wakanse w Hrubieszowie lub Sandomierzu, które mi były proponowane, albo jeszcze i inne mogą się znaleźć, a w okupacji austriackiej te trudności, które mogą zaszkodzić dla mnie w okupacji niemieckiej, nie zachodzą. Mam wrażenie, że Makowski i Śmierowski są do mojej kandydatury bardzo życzliwie usposobieni, bo na ludziach rozumnych, ideowych i znanych zależy im w sądownictwie, gdyż w ogóle jest dość wielki brak ludzi wykwalifikowanych, a wśród tych, co są, przeważają, jak się zdaje, pospolici karierowicze, spragnieni posad i pieniędzy w tych ciężkich czasach, którzy chcieliby albo jak najmniej robić, mając jak największą wygodę, albo wysługiwać się, ale bez poczucia głębokiej odpowiedzialności, jaką ta praca w powstającym sądownictwie polskim nakłada na wszystkich i każdego z osobna. A wreszcie Makowski i Śmierowski będą już nieco skrępowani osobiście wobec mnie, aby mogli tak oto na bruku porzucić; zresztą są to ludzie zbyt porządni na to. W ostateczności i Pomorski by mię poparł, i Staniszewski także, adwokat i działacz społeczny z Suwałk, który tu zajął wybitne stanowisko w Radzie Głównej Opiekuńczej i jest obecnie mianowany prezesem Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Już mi Staniszewski mówił, dowiedziawszy się o mojej nominacji do Kolna, że szkoda, abym się tam na dalekiej prowincji na dłuższy czas zakopywał i że trzeba będzie mię stamtąd po jakimś czasie wyciągnąć. Spotkałem się też przed paru dniami z Kazimierzem Rudnickim z Piotrkowa, który został prokuratorem Sądu Okręgowego Piotrkowskiego (także okupacja austriacka) i który, chcąc mię do Piotrkowa ściągnąć, namawiał, abym się postarał raczej o nominację na członka tegoż sądu, ponieważ za parę tygodni będzie tam podług wszelkiego prawdopodobieństwa wakans. Mam więc nadzieję, że gdyby nawet spotkał mię teraz zawód, to przez to sprawa mojej posady w sądownictwie upaść nie może. Pomimo to jednak byłoby mi przykro, po pierwsze dlatego, że bądź co bądź jestem zmęczony i chciałbym już czegoś pewnego, a po wtóre dlatego, że się już z myślą o Kolnie oswoiłem i co więcej – przywiązałem nawet. Tak jestem po wyjściu z obozu jeńców stęskniony do jakiegoś spokojnego portu, do czegoś wyraźnego i statecznego, że przylgnąłem całą myślą i sercem do tej posady sędziowskiej w cichym spokojnym Kolnie, gdzie mieć będą samodzielność, stanowisko zrównoważone i poważne dla małego prowincjonalnego miasta, gdzie się urządzę swobodnie tak jak zechcę. W myśli już sobie roiłem projekty, jak się tam będę instalować, zagospodarowywać itd. – a to rozkosz nie lada po dwóch leciech tak ciężkiej tułaczki wojennej i tylu męczących

przejść! I nagle to znów pod znakiem zapytania! Obyż decyzja wypadła pomyślnie – na rzecz kurpiowskiego Kolna!
W sprawach publicznych są następujące wieści. Przede wszystkim potwierdza się to, że odwołanie Legionów do skierowania ich w charakterze Polskiego Korpusu Posiłkowego na front wschodni nie oznacza cofnięcia się mocarstw centralnych do polityki sprzed 5 listopada. Nie tylko że zostały utrzymane wszystkie te zarządzenia, które oddały w ręce polskie różne działy administracji krajowej, pozostające obecnie, po dymisji Rady Stanu, w ręku wyłonionej przez nią komisji przejściowej, ale jeszcze potwierdza się coraz bardziej gotowość Niemiec na dalsze ustępstwa, a w szczególności na zgodzenie się na Rząd Narodowy i prawdopodobnie Radę Regencyjną czy coś w tym guście. Są o tym wieści z Berlina, z posiedzenia poufnego parlamentarnej tzw. Komisji Głównej, w której sprawa polska była szeroko omawiana i to w duchu bardziej liberalnego jej traktowania, to samo wyraża ciekawe przemówienie Beselera na obchodzie dwuletniej rocznicy ustanowienia generał-gubernatorstwa warszawskiego, podobnie też wypowiedzieli się komisarze rządowi austriacko-węgierski i niemiecki na ostatnim likwidacyjnym posiedzeniu plenarnym Tymczasowej Rady Stanu wczoraj. W sprawie wojskowej Niemcy urzędowo wypowiadają się tak, że odwołanie Legionów nie ma charakteru politycznego, jeno jest zarządzeniem natury czysto wojskowej, które bynajmniej nie zmienia stosunku Legionów do armii polskiej w myśl poprzedniego uznania ich za kadry tejże. Po wypełnieniu odpowiednich zadań wojskowych Legiony wrócą znów do czynności kadrowych, a tymczasem dzieło tworzenia armii nie dozna szwanku, bo kursy wyszkolenia, istniejące w Ostrowiu i Zambrowie oraz Krajowy Urząd Zaciągowy, służący do werbunku czy ewentualnego poboru, pozostają nietknięte i funkcjonować nadal nie przestaną. Tak to wygląda w oświetleniu urzędowym niemieckim, obliczonym na to, by nie drażnić Polaków. Prawdopodobnie jest to pewnego rodzaju cofaniem się, za którym może pójdą pewne zarządzenia, łagodzące albo częściowo zmieniające rozkaz skierowania Legionów na linię. Zdaje mi się, że zupełnie szczerym to nie jest i że mocarstwa centralne, a przynajmniej pewne ich czynniki wojskowo-polityczne odwołały Legiony z tą myślą, że obecnością swoją w Królestwie komplikują one jeno sprawę polską i, sprawiając bajzel, same w bajzlu się rozkładają. A może było to wyrazem zrezygnowania mocarstw centralnych z idei tworzenia armii polskiej, wiązanej z nimi.
Ta sama Komisja Główna parlamentu niemieckiego, która rozważała sprawę polską, poświęciła jedno ze swych posiedzeń plenarnych sprawie polityki niemieckiej względem okupowanej Litwy i Kurlandii. W rezultacie tych obrad zapadła uchwała o zwrócenie się do rządu z propozycją zorganizowania samorządu obu tych krajów w sferze zarządu cywilnego z powołaniem do niego całej ludności miejscowej. W ogóle ujawniła się tendencja liberalnego traktowania Litwy i Kurlandii w zakresie zarządu cywilnego i spraw narodowościowych, poza sferą konieczności wojennych. Sprawę jednak przyszłych państwowych losów Litwy i Kurlandii po wojnie zostawiono otwartą. Prasa niemiecka bardzo szeroko rozpisuje się o tych uchwałach co do Litwy i Kurlandii, określając je jako coś przełomowego, choć wygląda to na same ogólniki. Zobaczymy, co konkretnego z nich powstanie. Wczoraj w cukierni Lardellego przy Jasnej odbyło się wieczorem małe zebranko tzw. Komisji Litewskiej w osobach księcia Sapiehy, Ludwika Abramowicza, p. Staniszewskiego i dr Mackiewicza. Ja także byłem obecny. Nic ważnego nie było. Pogawędzono sobie. Sapieha wyjeżdża do Lwowa i Tarnopola. Ma tam we Lwowie poruszyć także sprawę subsydiowania szkół na Litwie, będących w stanie opłakanym.

1 września, rok 1917, sobota

Odbyło się dziś uroczyste otwarcie sądownictwa polskiego. Rano w katedrze św. Jana – nabożeństwo uroczyste, celebrowane przez ks. Arcybiskupa Kakowskiego, w południe – uroczystość świecka. Nie byłem na tym, bo o kartę wstępu poprzednio się nie wystarałem. Gdyby to tak w Łomży, to jako sędzia pokoju w Kolnie musiałbym być, ale tu – niekoniecznie. Nazywam siebie sędzią pokoju, bo dyplom nominacyjny mam w kieszeni, ale czy nim istotnie jestem i czy będę – nie wiem. O, jakżebym tego pragnął. Bawi tu w Warszawie Karol O'Rourke z Marylą. Dowiedziałem się o ich przyjeździe od Abramowicza i naturalnie pospieszyłem odwiedzić ich w Hotelu Europejskim. Co za miłe spotkanie! W tych czasach spotkania z krewnymi są przygodnymi niespodziankami takimi, jak spotkania przygodne na dalekich krańcach świata. Ludzie są porozrzucani i przeważnie, o ile pochodzą z terenów objętych wojną, unieruchomieni jak jakieś przedmioty, przygwożdżone do miejsc im wyznaczonych. O'Rourke'om po dwóch leciech okupacji, którą przetrwali nieruchomo we Wsielubiu, w najbliższym sąsiedztwie linii bojowej (linia przechodzi o 10 wiorst od ich majątku), udało się po raz pierwszy wydostać się na świat Boży, do cywilizacji, którą O'Rourke tak lubi. Karol O'Rourke, wytworny sybaryta, wyrafinowany doskonały sobek, miękki pieszczoch, który miał po prostu wstręt do wszystkiego, co już nie tylko jest brutalnym i dzikim, ale co choćby tchnie jakimś niepokojem, ostrzejszym wrażeniem, w ogóle czymś jaskrawszym, mogącym zachwiać kwietyzm pogodnej myśli i idealnego trawienia, skazić doskonałość komfortu, przez dwa lata znosił bieg wypadków wojny i okupacji niemieckiej niemal na samej linii bojowej. Przez Wsielub przeleciała przed dwoma laty dzika fala wojny, odwrotu Moskali, ucieczki masowej panicznej dziesiątków i setek tysięcy ludu, grasowania Kozaków, oczekiwań nerwowych, niepewności jutra, chowania się w piwnicy dla przeczekania spodziewanej bitwy, która zapowiedziana była na terenie samego dworu, rabunku i pożaru miasteczka i okolicznych wiosek… W samym dworze były okopy i cofające się ariergardy rosyjskie tu zamierzały stawiać opór ścigającemu nieprzyjacielowi. Do bitwy jednak nie doszło i sam dwór uniknął także splądrowania. Potem przyszła okupacja niemiecka: dwa lata nieruchomości, załóg we dworze, gospodarzenia we dworze i w domu różnych gości, z których jedni byli grzeczni i ludzcy, inni – brutale i świnie. Obecny oficer niemiecki, rezydujący we Wsielubiu, należy do najgorszych okazów. W gabinecie Karola jest rodzaj kasyna oficerskiego, nocami całymi ruch, fortepian, kwaterujący na dworze oficerowie i podoficerowie jawnie sprowadzają sobie dziewki, nie krępując się tak dalece, że wprowadzają je do samego „pałacu", czyli do swoich pokoi, zajmowanych w domu mieszkalnym samych Karolostwa. Dzieje się to na oczach Maryli. Maryla nie może spać nocami; czuła się chora, bała się, żeby to nie był rak, z którego umarła jej matka. Pobyt w Warszawie wydaje się im teraz rajem; tu wypoczywają, jedzą smacznie, wysypiają się wygodnie; Karol dorwał się do komfortu, do cywilizacji, do Europy, do tego, co lubi. Oboje O'Rourke'owie, Maryczka i Karol, byli dla mnie bardzo serdeczni; zdaje się, że się prawdziwie ucieszyli z tego spotkania. Odwiedziłem ich wczoraj wieczorem, a dziś byłem z nimi na obiedzie; zaprosili mię na obiady na co dzień – na te kilka prawdopodobnie dni, które mi pozostają do spędzenia; a jadają w najlepszych restauracjach, bardzo drogo i wytwornie, jak na smakosza Karola przystało; co do mnie, to apetyt mam teraz taki, że chyba zjadłbym słonia. Obiad, który oni jadają, dla mnie jest bagatelą; po takim obiedzie, mimo że jest względnie suty, z zupy i dwóch mięs złożony, zjadłbym jeszcze drugi taki. Po tym obozie jeńców mam prawdziwie wilczy apetyt. Karol O'Rourke, pomimo ciężkich doświadczeń wojny, nie tylko że nie przestał być wybredny w smaku, ale i w doskonałym gatunku dań i prowiantu przebiera. Nie ufając domieszkom do mąki w chlebie, wypiekanym w Warszawie, O'Rourke jada tylko chleb własny ze Wsielubia, który przywiózł i nosi ze sobą do restauracji na obiad;

nie jada żadnych jarzyn do mięsnych potraw, bo nie ufa tłuszczom, na których te jarzyny są przyrządzone; nie jada w restauracji żadnych słodkich potraw, choć je lubi, bo posądza w nich obecność sacharyny; ciastka i słodycze jada tylko u Lourse'a, bo tam ma pewność, że są one na czystym cukrze i maśle. O'Rourke'owie żyją w czasie wojny tylko z gotówki, którą Karol miał u siebie w ręku, bo majątek ze zniszczonym inwentarzem i prawie nie obsiewany, dochodu nie daje, a kapitały Karola i Maryczki, zdeponowane niegdyś, z obawy przed rewolucją w Rosji, w banku Berlińskich, zostały po wybuchu wojny zasekwestrowane jako należące do poddanego rosyjskiego i procentów nie dają. Gotówka jest już na wyczerpaniu i Karol robi stąd starania o zaliczkę z odpowiednich banków Berlińskich na rachunek zalegających zasekwestrowanych procentów. Ale „pańskie ostatki" muszą być jeszcze piękne, skoro Karol sprawia w Warszawie toaletę dla Maryli i dla siebie, płacąc za dwa garnitury męskie i dwie suknie dla żony – 2 000 marek! Obuwie zaś kupuje u Hiszpańskiego! Karol nosi się z myślą, gdyby mu środków w gotówce zabrakło, postarania się ewentualnie o… posadę w urzędach polskich i w tym celu chce złożyć wizytę Pomorskiemu jako wicemarszałkowi koronnemu, na którego protekcję w razie potrzeby chce liczyć. Nie wyobrażam sobie wypieszczonego, wydelikaconego jak kosztowna lalka Karola w roli urzędnika, pełniącego służbę i zmuszonego do naginania się do przepisów i konieczności pracy. Liczy on na swoje kwalifikacje wiedzy i umysłu, które go uzdalniają do pracy w urzędach państwowych. Ma on szerokie i gruntowne wykształcenie ekonomiczne, ma wiedzę i erudycję rozległą, umysł rzeczywiście nietuzinkowy i w zagadnieniach gospodarczo-finansowych dobrze się orientujący, ale tylko że to próżniak, sybaryta, człowiek, który nigdy nie zaznał musu. Jest miły towarzysko, jest bardzo kulturalny w formach życia (wszakże tylko w stosunku z ludźmi swego stanu, bo służbę, chłopów i podwładnych maltretuje, gdy kaprysowi jego dogodzić nie zdołają), jest w konwersacji przyjemny, bo ma wiedzę, wykształcenie i subtelną kurtuazję form, ale jako pracownika – nie wyobrażam go sobie. Nie wyobrażam, by mógł swoją wygodę i kaprysy poddać jarzmu.
Zostawiam ten kącik dziennika na dalszy ciąg mego referatu sądowego ze Szczypiorny. Następna sprawa, która znalazła się na wokandzie sądu żołnierskiego, była to sprawa o pobicie, sądzona w drodze prywatnego oskarżenia. Wyrok brzmiał tak: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 12.VIII.1917. Sąd żołnierski bloku IV, w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Edwarda Niedzielskiego jako referenta i ob. ob. Zbigniewa Michałowskiego, Jana Świercza i Franciszka Mieszkowskiego jako członków, rozważał sprawę ob. Adama Dziurkowskiego, oskarżonego przez ob. Jana Otta o pobicie tegoż. Po zbadaniu wszystkich dowodów, którymi Sąd rozporządzał, i przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. Bazgiera, Chłonda i Górskiego, Sąd orzeka: fakt pobicia ob. Otta przez oskarżonego Dziurkowskiego był wywołany przez posądzenie tegoż Dziurkowskiego przez Otta o kradzież chleba; posądzenie to zgoła nieuzasadnione, było wyrażone publicznie w formie, która nie mogła budzić wątpliwości, do kogo się ono odnosi: było ono krzywdzące dla ob. Dziurkowskiego i obrażało go. Pobicie więc, dokonane przez ob. Dziurkowskiego, pokrywa się wzajemnością obrazy ze strony ob. Otta. Wobec tego Sąd uznaje oskarżonego za uniewinnionego co do zarzutu obrazy, która była obustronną. Ze swej strony Sąd podkreśla jednak, że takie sposoby załatwiania uraz i wymierzania sobie sprawiedliwości nie powinny mieć miejsca i zasługują na potępienie ze stanowiska koleżeńskiego, szczególnie zaś w naszych warunkach, gdzie konieczne jest mocne panowanie nad swoimi nerwami i unikanie wszelkich gwałtów względem uczciwych kolegów, choćby ci względem kogoś z nas pod wpływem rozdrażnienia zawinili. Podpisy: M. Rzymski, E. Niedzielski, F. Mieszkowski, Jan Świercz, Z. Michałowski".

Oczywiście, że oskarżyciel Otto, wielka „łaferma”, który przyszedł na skargę z płaczem, został z wyroku naszego niezadowolony, bo liczył, że sąd mu wymierzy zemstę na przeciwniku.

2 września, rok 1917, niedziela
Dzisiejszego dnia nie zaszło nic ciekawego u mnie. Czekam dnia jutrzejszego, kiedy się już może dowiem o moim zatwierdzeniu do Kolna, co daj Boże. Byłem z O’Rourke’ami na obiedzie w Hotelu Europejskim. Poza tym cicho mi zeszedł dzień.
Wczoraj wieczorem referowałem przed gronem osób z dawnych kół CKN-owych o warunkach i stosunkach w Szczypiornie. Ludzie tu mają bardzo słabe pojęcie o tym, co się w Szczypiornie dzieje i w jakich warunkach płynie życie internowanych legionistów. Szerokie koła inteligenckie Warszawy albo skurczyły się jak ślimak do swojej skorupy i o niczym wiedzieć nie chcą, w nic nie wierzą i niczego się nie spodziewają, byle tylko wojna prędzej się skończyła, albo, o ile należą do elementów politykujących, zajęci są tylko aktualnymi wypadkami i perspektywą tych lub innych horoskopów. Ogromne są też zastępy karierowiczów, które, zupełnie niezależnie od jakichkolwiek swoich przekonań politycznych, węszą tylko jedno: gdzie są jakie posady do objęcia w powstających instytucjach publicznych. Sprawa internowanych w Szczypiornie jest dla tych wszystkich kół mało aktualną. Co do rodzin internowanych – to te są bezradne i nie wiedzą, co by mogły dla ulżenia ich losu przedsięwziąć. Młodzież, czująca żywiej i koła polityczne tzw. lewicy niepodległościowej, zdziesiątkowanej aresztami i zdezorganizowanej straszliwie jak po pogromie, niewiele mogą się ruszać i robić, choć gorąco się interesują sprawą legionistów w Szczypiornie i uważają ją za sprawę swoją. Ponieważ komunikacja ze Szczypiornem jest bardzo trudna, wieści i informacji brak, więc pogłoski krążą najrozmaitsze, nieraz oparte na domysłach, na jakichś dorobionych wnioskach do fragmentów prawdy, na tym wreszcie, co dane koła pragnęłyby dla swych celów i swojej agitacji widzieć. Przez pannę Hankę Rzepecką, która już jest panią Pohoską, bo wyszła za Pohoskiego za mąż, wyraziłem chęć udzielenia relacji ustnej ze stosunków w Szczypiornie gronu osób z tych kół, które się żywiej tą sprawą interesują i które mogłyby ewentualnie goręcej się zakrzątnąć i może przyczynić choć trochę do tego, o co, moim i internowanych zdaniem, najbardziej chodzi – do szybszego i skuteczniejszego zwolnienia z obozu jeńców. Nie chciałem referować na zebraniu, jeno poufnie w gronie osób. Ludzie z działaczy obozu Piłsudskiego są obecnie tak sterroryzowani, że lękają się zbierać dla narad i pogawędek po mieszkaniach prywatnych i szukają kryjówek konspiracyjnych, pozorujących różnymi pretekstami zebrania, tak jak to było za najgorszych czasów policyjno-rosyjskich. Sporo też jest osób, które prowadzą już stały żywot konspiracyjny, nie nocując w domu, posądzając w przechodniach szpiclów itd. Zaproszony zostałem na wczoraj wieczór do lokalu szkoły rzemieślniczej na dalekich krańcach ulicy Nowowiejskiej, za Politechniką. Odbywało się tam właśnie jakieś konspiracyjne zebranko polityczne, stereotypowo agitacyjne, trącące myszką, oczywiście PPS-owskie. Jakiś młodzieniec rozwodził się o sytuacji politycznej, o nastrojach mas ludowych, o szansach ruchu masowego itd., o warunkach agitacji. Zebranie odbywało się na parterze, po ciemku, aby żadne czujne oko z zewnątrz nie mogło się niczego domyślić. Młodzieniec ów miał same słuchaczki w audytorium, mężczyzny ani jednego. Panie: profesorowa Sujkowska, adwokatowa Eysymontowa z Wilna, która obecnie tu politycznie „grasuje”, piękna i miła panna Ela Kwiatkowska, rodząca się z Huszczanki wileńskiej, które urządzały to moje zebranko relacyjne – poinformowały mię, że to zebranie niewieścio-PPS-owskie wkrótce się skończy, a jest ono tylko takim, żeby „nie dać się resztkom ludzi rozproszyć” i jakoś szczątki

organizacyjne w kupie trzymać (zaiste, jeżeli takie są owe „masy", na których PPS swoje wpływy buduje, to nierychło do rewolucji ludowej dojdzie). Istotnie wkrótce się owo zebranie skończyło i rozeszło, a garść wybranych wraz ze mną przeszła na piętro, gdzie w obszernym korytarzu szkolnym, oświetlonym elektrycznością usiedliśmy w koło na ławach. Był profesor geograf Sujkowski (rodzony brat chorążego ze Szczypiorna) z żoną, była p. Eysymontowa i p. Ela Kwiatkowska, wymienione przeze mnie, był literat Strug z żoną, jeszcze dwóch mężczyzn i z osiem czy dziesięć pań, nieznanych mi z nazwiska. Opowiedziałem im o Szczypiornie, o warunkach życia obozowego, o stanie wyżywienia i stanie zdrowotnym, o naszym samorządzie, jego organizacji i działalności, o usposobieniu internowanych żołnierzy, o wszystkim słowem. Wysłuchali, interesowali się gorąco i niewątpliwie szczerze, ale cóż być mogło? Na tym się skończyło. Rozeszli się. I z pewnością sprawa przez to nie postąpi. Przy tej okazji dowiedziałem się w tym gronie, że wreszcie przyszła pierwsza wieść od Piłsudskiego. Pani Strugowa otrzymała od niego kartkę. Kartka jest pisana z Weichselmünde – tam więc siedzi Piłsudski. Pani Strugowa posłała mu szachy, które on tak lubi. Piłsudski pisze, że je otrzymał, dziękuje za nie serdecznie, ale, dodaje, nie może z nich mieć użytku, bo nie może grać sam ze sobą. Z tego widać, że siedzi w samotnej celi. Towarzystwa Sosnkowskiego, jak przypuszczam, nie ma.
Na zakończenie następny wzorek z mego referatu sądowego z obozu jeńców ze Szczypiorny. Sprawa trzech kucharzy naszych, oskarżonych o kradzież z prowiantury niemieckiej. Wyrok Sądu obożnego brzmiał: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 13.VIII.1917. Obożny Sąd żołnierski w osobach ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego, ob. Jana Pawłowskiego z V pp. jako referenta i ob. Walerego Bagińskiego z I p. art. jako członka, rozważał sprawę ob. ob. Staniasława Stawiarskiego, Wacława Midzińskiego i Walerego Dabiacha, oskarżonych o kradzież z włamaniem artykułów spożywczych (miód i ser) z magazynu prowiantowego niemieckiego, dokonaną w dniu 11 bm. Po zbadaniu dowodów, którymi Sąd rozporządzał, i przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. Wendorfa, Komenderskiego i Jordana, Sąd orzeka: 1. oskarżonego Stawiarskiego Sąd uznaje winnym udziału w kradzieży z włamaniem, włamanie to wszakże nie było premedytowane, ponieważ Stawiarski miał podstawę do przypuszczania, że zamek jest uszkodzony i że włamanie będzie zbyteczne; gdy się zaś przekonał, że zamek jest naprawiony, dokonał włamania, nie chcąc się cofnąć od pokusy pożywienia się kosztem prowiantury niemieckiej. 2. oskarżonych Midzińskiego i Dabiacha Sąd uznaje winnymi dokonania kradzieży bez włamania i uważa ich, ze względu na okoliczności łagodzące, za zasługujących na pobłażanie. 3. za okoliczność łagodzącą dla wszystkich oskarżonych Sąd uznaje to, że w przekonaniu swoim nie uważali oni tego uczynku za rzecz zdrożną, równą kradzieży własności prywatnej, jeno za rzecz zabronioną przez władze niemieckie. W szczególności zaś w stosunku do Midzińskiego i Dabiacha za okoliczności łagodzące Sąd uważa to, że działali bez premedytacji, zachęceni nadarzającą się sposobnością i że przyznali się do winy natychmiast po wykryciu kradzieży oraz sami dobrowolnie zwrócili rzeczy skradzione. 4. za karę pozbawić Stawiarskiego na przeciąg 2 tygodni chleba dodatkowego z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego, i na tyleż czasu co trzeci dzień, to znaczy trzeciego, szóstego, dziewiątego i dwunastego dnia – śniadania; Midzińskiego zaś i Dabiacha pozbawić przez tydzień, to znaczy trzeciego i szóstego dnia – kolacji. Podpisy: M. Rzymski, W. Bagiński, Jan Pawłowski. Wyrok zatwierdzam. Szczypiorno. 14.VIII.17. Podpis: Orlicz". Sprawa ta, sama przez się bardzo bagatelna i pospolita, bo cała rzecz polegała na tym, że kucharze, skuszeni łatwością pożywienia się smakołykami z sąsiedniego magazynu niemieckiego w chwili, gdy miano te smakołyki stamtąd wywozić,

cichaczem je zabrali, a gdy się rzecz wykryła, zaraz się przyznali i zwrócili wszystko, sami zaś z kuchni zostali za to wyrzuceni. I prawdopodobnie rzecz by się na tym skończyła; nasza komenda prawdopodobnie nie przekazałaby wcale tej sprawy sądowi, gdyby nie chęć zrehabilitowania się przed komendantem niemieckim, majorem, do którego to doszło. Major nie myślał wcale sam nadawać sprawie konsekwencji, ponieważ artykuły skradzione znalazły się i winnych z kuchni wydalono. Ale że kilka dni przed tym złapano jakiegoś żołnierza Niemca na okradzeniu jakiejś paczki naszej i że major bardzo energicznie się w to wdał, zainterweniował osobiście i poszedł aż tak daleko, że oddał żołnierza pod sąd wojenny, więc nasza komisja aprowizacyjna uważała za punkt naszego honoru dać majorowi poznać, że my ze swej strony także nie tolerujemy okradzenia prowiantury niemieckiej i że w zakresie naszych stosunków wewnętrznych reagujemy na to. Major właściwie o naszych sądach żołnierskich wie; są one przez władze niemieckie tolerowane. Parę tygodni potem, już przed samym moim wyjazdem, Olszamowski wspomniał coś majorowi o tej sprawie i naszym sądzie nad kucharzami. Major wyraził chęć otrzymania wyroku, aby go mógł przedstawić głównemu komendantowi – hrabiemu pułkownikowi. Wyrok został przetłumaczony na niemiecki i w tej formie przedstawiony majorowi. Usunięto tylko w tłumaczeniu niemieckim z wyroku ten motyw, przyjęty u nas za okoliczność łagodzącą, że kucharze nie uważali tego za rzecz, równającą się kradzieży własności prywatnej.

3 września, rok 1917, poniedziałek
Dowiadywałem się dziś w Departamencie Sprawiedliwości w sprawie mojej nominacji i wyjazdu do Kolna. Makowski wyjaśnił mi, jak się rzecz ma. Muszę wyczekać jeszcze tydzień i dopiero w przyszły poniedziałek będę mógł wyjechać. Chodzi o to, że dopiero w sobotę Makowski podpisał owo doniesienie do władz niemieckich o mianowaniu mię sędzią pokoju. Doszło ono do rąk władz albo w sobotę, albo w poniedziałek, czyli że dla wszelkiej pewności od poniedziałku, to znaczy od dziś, trzeba liczyć ów termin siedmiodniowy, w którego ciągu władzom przysługuje prawo sprzeciwu (*veto*). Jeżeli więc do poniedziałku przyszłego władze sprzeciwu nie złożą, to rzecz będzie najformalniej załatwiona i będę mógł wyjechać, nie narażając się na żadne ewentualności odwołania. Wtedy moja nominacja z Departamentu Sprawiedliwości uzyszcze całkowitą moc prawną i nie będzie podlegała żadnemu zakwestionowaniu. Przepustka dla mnie na wyjazd do Kolna już jest, ale z powyższych względów mam się z wyjazdem wstrzymać. Makowski nie przypuszcza, aby Niemcy nominację moją zakwestionowali, bo dotąd na przeszło 500 nominacji Departamentu Sprawiedliwości, władze niemieckie ani razu nie skorzystały z przysługującego im prawa *veto*. Będę więc czekał. Nie martwię się o to i nie niepokoję zbytnio. Tydzień lotem ptaka upłynie, a za to będę miał już pewność zupełną i nominację murowaną. Może też przez ten czas doczekam się powrotu mego ubrania, które się gdzieś miedzy Szczypiorną a Warszawą zawieruszyło, i może jeszcze uda mi się sprowadzić moje palto z Lublina. Mam bowiem kłopot z ubraniem, bo sprawiać sobie nowe garnitury – to rzecz zbyt kosztowna.
Żeby sobie trudu oszczędzić, a razem podać w dzienniku samą esencję moich poglądów na sprawę Legionów, Szczypiorna i wojska, przytoczę po prostu cytatę z mojego prywatnego listu do Łaszczyca-Olszamowskiego z dnia dzisiejszego (list ten wysyłam doń przez okazję): „...Jednak sprawa zwolnienia nie przedstawia się zbyt różowo. Złudzeń wielkich niech nie mają. W Warszawie szerokie koła inteligenckie mało się tą sprawą zajmują. Jedni są tak przygnębieni wojną, że o niczym myśleć nie chcą, inni, którzy mają żyłkę polityczną, interesują się sprawami aktualnymi i perspektywami tworzących się rzeczy, które płyną jak w kalejdoskopie. Na ogół sprawa internowanych straciła na aktualności – takie jest moje wrażenie. Wiecie o odwołaniu Legionów do

Galicji i o nowych perspektywach rychłego powołania Rządu Narodowego względnie Rady Regencyjnej, przyśpieszonych przez dymisję Tymczasowej Rady Stanu. Zdaje się, że pod tym względem perspektywy zapowiadają się nieźle; oczywiście nie dotyczy to jakichś nowych faz w Waszym losie. Uwaga kół politycznych jest zwrócona na te nowe oczekiwane wypadki. Inni znowu – a takich jest masa olbrzymia – zajęci są wyłącznie, niezależnie od swoich przekonań i sympatii politycznych, gorączkowym węszeniem posad płatnych w różnych otwierających się urzędach publicznych. Obok ludzi, którzy chcą rzetelnie pracować i być użyteczni, są setki i tysiące karierowiczów. Karierowiczostwo i chciwość płatnych posad – są u zenitu. Co do tzw. lewicy niepodległościowej, to tej są tylko szczątki; te elementy sprzyjają internowanym w Szczypiornie i chciałyby coś zrobić, ale są same rozbite, przygnębione i zdezorientowane. Na mnie robią one wrażenie bankrutów politycznych. Nie wiem, czy mają oni świadomość, że są w roli Jaśka z „Wesela", który miał „złoty róg" czynu w ręku, ale go zgubił czy zmarnował, tak że mu jeno został sznur. Miały one Legiony za sobą, ale wypisując frazesy rewolucyjne po piśmidłach swoich, zapomniały o czynie istotnym; wystarczał im gest. Doprowadziły do tego, że zgubione zostało to, co mogło być siłą czynną: Legiony się rozsypały, ich tajemnica czynu dziś gnije i demoralizuje się w niewoli w Szczypiornie. Wołano o złożenie broni i posłuszne poddanie się biernemu męczeństwu. Dziś ta lewica niepodległościowa, ten obóz Piłsudskiego jest po stracie Legionów tym, czym został Samson po ucięciu mu włosów, w których był sekret jego mocy: dziś lada mierność go kopie, lada kabotyn lekceważy; są oni dziś – *quantité négligeable*. Nikt się ich tam nie boi i nie potrzebuje liczyć. Poaresztowano ich, rozbito, rozrzucono i – nic. Zaiste pozostała z nich taka nędza, że niewarci są żalu. Ci, co tak zmarnowali żywe źródło mocy, są może biedni, ale nie są dla mnie w upadku ani wspaniali, ani tragiczni. Są to marnotrawcy i utracjusze skarbu idei i czynu. Czy pamiętacie, Obywatelu, co mówiłem niegdyś na pewnym zebraniu w końcu maja (mam na myśli zjazd Rady Żołnierskiej Legionów Polskich z dnia, zdaje się, 27 maja; przyp. w dzienniku)? Czy nie miałem racji? Chciano „wytwarzać" jakąś „gotowość czynu", a ja Wam oświadczyłem, że to jest zbędne, bo gotowość jest, jeno ci, którzy do jej wytwarzania nawołują, stracili wiarę i wewnętrzną wolę decyzji i pozorami „wytwarzania gotowości" chcą uśpić moment przejścia gotowości w czyn. Tak, Obywatelu, miałem rację: to było właśnie tak. Ale mniejsza o to. To są rzeczy przebrzmiałe. Należy to do przeszłości. Powiedzmy: amen i przechodźmy do życia, tworzącego przyszłość, a trupa wskrzeszać nie usiłujmy. Próżny to trud. Nie łudźcie się, żeby z żołnierzy, którzy złożyli broń, mogła się odrodzić idea żywego wojska. Żal mi Was, żal Waszej wiary szlachetnej i mocy żywej, ukrytej w Was, abyście mieli ją na niewdzięczne dzieło odświeżania trupiarni poświęcać. O ile o sprawę wojska chodzi, to ewentualnie może się ona nie tą, lecz tylko nową drogą odrodzić i zrealizować: drogą stopniowych poborów przymusowych z mozolnym i, niestety, powolnym wytwarzaniem kadr, ale już po załatwieniu sprawy Rządu Narodowego czy Rady Regencyjnej jako władzy państwowej. Trudna to droga, ale może być skuteczna. Gotów jestem wierzyć w nią. O poborze, o jego konieczności coraz więcej tu mówią. Z myślą tą oswajają się ludzie. Zrozumienie, że wojsko jest potrzebne dla sprawy polskiej, robi coraz większe postępy w świadomości publicznej. I wiecie, że kto wie, czy do tych nowych zadań, które w nowych warunkach czekają wojsko polskie, nie będzie bardziej powołana armia z poboru, armia rekrucka, niż wojsko, które by wyrosło z ochotniczego elementu, z krwi i kości Legionów? Innym było powołanie idei strzeleckiej, która zrodziła Legiony, inne zaś jest powołanie i inną idea regularnej armii państwowej. Tam było rycerstwo obywatelskie, twórcze i dające inicjatywę, tu – organ wykonawczy, ręka zbrojna państwa. Czy sądzicie, że te dwie różne natury powołań i idei nie kłóciłyby się

w wojsku? Uświadomienie potrzeby wojska przenika już nawet tam, gdzie by się tego najmniej spodziewać można. Kwitnie w Was wiara w szczególne sympatie dla Was arcybiskupa Kakowskiego. Czy wiecie, jak w jego sferach, sferach arystokratyczno-klerykalnych *par excellence*, jest uzasadniania potrzeba wojska? Wiem o tym z pewnego towarzyskiego zebrania tych sfer w dniu wczorajszym. Oto mówiono tam, że wojsko jest niezbędne nie tylko ze względów polityczno-narodowych na czas zawierania pokoju, jako niepodległości podstawa, ale dla bezpieczeństwa publicznego wobec powrotnej fali uchodźców polskich między Wisłą a Bugiem, którzy wracając z Rosji, zarażeni fermentem rewolucyjnym, wnosić będą zaczyn tegoż do kraju. Czy Wy sądzicie, że do takich „zadań" wojska mogłyby się nagiąć Legiony z ich żywą obywatelską ideą strzelecką? W sprawie uwalniania ludzi ze Szczypiorna nie słychać nic wesołego, niestety. Rodziny internowanych są bezradne, bo nic wskórać nie mogą. Do Towarzystwa Opieki nad Jeńcami łażą, ale nic z tego".
To arystokratyczno-klerykalne zebranie towarzyskie, o którym wspominam w liście do Olszamowskiego i na którym w powyższy sposób uzasadniono w prywatnych rozmowach potrzebę posiadania narodowego wojska, jest faktem. Mówił mi o nim dziś przy obiedzie Karol O'Rourke. Było to zebranie imieninowe wczoraj u jego rodzonej ciotki (nazwiska jej nie znam), piastującej jakąś wysoką godność w arystokratycznym zrzeszeniu pań kanoniczek. Był tam liczny dobór pań i panów, sam wiek sędziwy, „*des contemporains*" jego ciotki, jak się wyraził Karol, których wiek w sumie Karol obliczał żartobliwie na ilość lat ery Chrystusowej. Był to sam uwiędły kwiat najklerykalniejszej arystokracji. Zebranie zaszczycił swoją wizytą sam ksiądz arcybiskup, przyszły domniemany prymas Polski, kandydat na regenta, wysoki protektor pań kanoniczek – Kakowski! Ciekawe, jakimi to argumentami toruje sobie popularność w umysłach – idea armii narodowej.

4 września, rok 1917, wtorek
Niepospolita nowina: Ryga wzięta! Wojska niemieckie przeprawiły się, łamiąc opór rosyjski, przez Dźwinę pod Uexküll i usadowiły się na brzegu północnym. Rosjanie, władający przyczółkiem mostowym na zachód od Rygi, na lewym brzegu Dźwiny, między Rygą a ujściem rzeki kurlandzkiej Aa, zaczęli, pod wpływem faktu przejścia Niemców za Dźwinę, cofać się, nacierani ostro z frontu przez następujących na ich pięty Niemców z jednoczesnym silnym natarciem tychże z prawego brzegu rzeki w kierunku rzeczek Małego i Wielkiego Jägel. Skutkiem tego było zajęcie przez Niemców historycznej stolicy Inflant i zarazem Łotwy – Rygi. Dokonało się to z piorunującym pośpiechem. Dwa długie lata stał niewzruszenie front nad Dźwiną i pod samą Rygą. Zdawało się, że tu bodaj stały kres północnej linii wojennej. Ofensywa niemiecka w Galicji Wschodniej i na Bukowinie, która nie tylko przełamała linię rosyjską, ale i zmiotła tam trzyletnią inwazję moskiewską, zachwiała w dużym stopniu pojęcie o niewzruszoności linii rosyjskiej i na innych frontach oraz podcięła kapitalnie walor rewolucyjnych wojsk Kiereńskiego w opinii świata i zapewne ich własnej. Ale na razie cicho było pod Rygą, gdzie tylko od czasu do czasu wzmagał się w walce pozycyjnej ogień działowy, by znów się uciszyć, jak na szeregu innych ognisk wielkiego frontu – pod Smorgoniami, pod Baranowiczami, na zachód od Łucka, pod Tarnopolem. Mogło się zdawać, że to tylko armia południowo-zachodnia rosyjska, była armia Brusiłowa, pobita w Galicji Wschodniej i na Bukowinie, okryta hańbą orgii rabunkowych, demoralizacji, rozprężenia i łajdackiej ucieczki, jest w stanie takiego upadku! Mogło się zdawać, że inne wojska rosyjskie, a zwłaszcza wojska północne, broniące przeprawy przez Dźwinę i Rygi, złożone prawdopodobnie z doborowych korpusów, mające bowiem najważniejsze zadanie – osłony dróg na Petersburg – są mocne i są chlubą

armii rewolucyjnej. Ofensywa na południowym wschodzie, dotarłszy do kresów Galicji i Bukowiny, przelała się na odcinki multańskie w Rumunii i wbrew przewidywaniom wielu laików, a w tej liczbie i moim, rozdrobniła się na walki lokalne i detaliczne w dolinach dopływów rumuńskiego Seretu – rzeczek Susiţy, Putny, Trotusa. W Rosji liczono się ciągle z uderzeniem Niemców na Rygę i straszono tym jako najgroźniejszą ewentualnością wojenną, gdyby się to Niemcom udać miało. Sforsowanie linii Dźwiny uważane było za niebezpieczeństwo dla samej stolicy państwa – Petersburga. Ofensywa północna przez Inflanty na Estonię, ewentualnie Psków i Petersburg, nie tylko po sforsowaniu linii Dźwiny zagrażała stolicy otwierając drogę do niej, ale mogła pociągnąć dla całego państwa katastrofalne skutki przez całkowite odcięcie go od Bałtyku, sparaliżowanie w najczulszych zachodnich arteriach państwowych i podanie ewentualnie ręki buntującej się i dążącej konsekwentnie do niepodległości Finlandii. I oto nagle: trach! Ryga padła. Niemcy prą na północ. Rewolucyjne hordy wojsk rosyjskich znaczą gromadny odwrót w kierunku północno-wschodnim zniszczeniem i pożarami. Niesłychanie ciekawe, co z tego dalej będzie? W Warszawie po obiedzie kolportowano pogłoski, że Dyneburg także wzięty. W gazetach nic o tym nie było. Dałby Bóg, żeby przez wzięcie Dyneburga linia wojenna oddaliła się i od Bohdaniszek. Oby jak najdalej, choć na to bardzo liczyć nie można, bo czyżby oprócz uderzenia na północ Niemcy zechcieli także uderzać na wschód, łamiąc i tam linię i waląc się w jakąś przeraźliwą próżnię bez kresów?
Poza tym w dniu dzisiejszym nic się nie stało. Dobrze zjadłem, co teraz stale robię, choć mię to słono kosztuje. Organizm mój strasznie potrzebuje pokarmu, jak chyba nigdy. Wydaję szeroko na jedzenie, obecnie bardzo drogie, licząc na moją przyszłą pensję sędziowską. Wieczorem wcześnie się położyłem, bo czułem zbliżający się katar; gdzieś się przeziębiłem.
Kilka słów jeszcze o sobotnim prywatnym zebranku, na którym referowałem o Szczypiornie. Zwróciłem uwagę zebranych słuchaczy, wszystko ludzi z politycznego obozu Piłsudskiego, że internowani w Szczypiornie legioniści irytują się bardzo tym, że nieraz otrzymują listy z domu, w których są zapytywani, czy życzą sobie zwolnienia z obozu jeńców; rodziny donoszą nieraz, że rozpoczęłyby starania o zwolnienie, ale się wstrzymują, bo dochodzą do nich wieści, że internowani przez jakąś solidarność, przez jakiś wzgląd ideowy nie życzą sobie tego. Drażni to żołnierzy, którzy niczego bardziej nie pragną, jak wolności cywilnej i nie dostrzegają żadnej idei w dobrowolnym bezcelowym męczeństwie. Zarówno dobrowolne bierne poddanie się męczeństwu (internowaniu i „wytrwaniu" w obozie jeńców), jak poprzednie dobrowolne poddanie się rozbrojeniu i wysłaniu do obozu jeńców przeczy sumieniu żołnierza i jest dziś przez szeroki ogół internowanych legionistów, jeżeli nie przez wszystkich, uważane za błąd, który był zgoła niepotrzebnie popełniony. Nawet ci, którzy swojego czasu gardłowali za złożeniem broni z rozkazu Piłsudskiego, mitygując popularne prądy oporu, dziś w większości żałują tego. Dla żołnierza poddanie się rozbrojeniu i internowaniu jest czymś plamiącym. Idea biernego męczeństwa nie imponuje mu i zasadniczo przeczy jego duchowi i jego idealizmowi czynu i inicjatywy. O ile odmowa przysięgi była popularną i spłynęła samorzutnie i logicznie z sumienia i przekonań naszych żołnierzy, wbrew twierdzeniom przeciwników, jakoby to było skutkiem agitacji i rozkazu Piłsudskiego (rozkaz Piłsudskiego mógłby zapewne sforsować sumienie żołnierzy na rzecz przysięgi, ale dla odmowy był, o ile o większość olbrzymią chodzi, zgoła zbyteczny), o tyle złożenie broni i dalsza bierna martyrologia były i są bardzo niepopularne, dokonane li tylko na rozkaz i odpowiedzialność Piłsudskiego, wbrew sumieniu i przekonaniu. I gdyby nie to, że sam Piłsudski został aresztowany i internowany przez Niemców, co podnosi jego blask w oczach wiary, to kto wie, czy

jego autorytet zostałby w opinii żołnierzy-piłsudczyków zachwiany. Złorzeczyć mu żołnierze się nie ośmielą, bo zbyt wielką jest dla nich jego postać, ale że pokpił sprawę – to żołnierze myślą. I jeżeli teraz ktoś rozszerza wśród rodzin internowanych wieści, jakoby żołnierze nadal pragnęli biernego męczeństwa z myślą przetrwania i ewentualnego powrotu do wojska w nowej chwale męczenników, to jest nieprawda, bo żołnierz, który dopuścił się złożenia broni, nie może, nie powinien myśleć i istotnie nie myśli o czym innym, jak o wolności w stanie cywilnym. A szerzą te wieści z pewnością jakieś czynniki partyjne, dla których celów politycznych potrzebna jest ta rezerwa męczenników. I żołnierzy to drażni, bo ich cele i dążenia zaiste nie pokrywają się z partyjnymi, a swoją męką fizyczną i moralną dawać narzędzie machinacji partyjnej, w dodatku bardzo nędznej i jałowej – nie ma racji. Ostrzegłem o tym ludzi z „lewicy": oby internowani nie przejrzeli i do tej „lewicy" Piłsudskiego żalu swego i gniewu na przyszłość nie zwrócili.
Na zakończenie kartki mały wyroczek z następnej kolejnej sprawy naszego sądu żołnierskiego w Szczypiornie. „Obóz jeńców w Szczypiornie, 13.VIII.1917. Sąd żołnierski IV bloku w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Jana Świercza jako referenta, i ob. ob. Franciszka Mieszkowskiego, Leona Górskiego i Antoniego Dąbrowskiego jako członków, rozważał sprawę ob. ob. Zygmunta Tempińskiego i Wacława Marczaka, oskarżonych: Tempiński o nieposłuszeństwo względem posterunku, użycie przemocy dla przekroczenia zakazu tegoż i znieważenie przy tym ob. Gugały, pełniącego służbę posterunkową, i Marczak – o takież nieposłuszeństwo bez wyżej wyłuszczonych obciążających okoliczności. Po zbadaniu wszystkich dowodów, którymi Sąd rozporządzał i przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. Gugały i Miładowskiego, Sąd orzeka: 1. oskarżonego Tempińskiego uznać za winnego nieposłuszeństwa względem posterunku i użycia przemocy dla przekroczenia zakazu tegoż; co do znieważenia przy tym ob. Gugały, Sąd dowodów winy nie stwierdził; 2. oskarżonego Marczaka uznać za winnego nieposłuszeństwa względem posterunku. 3. za karę poddać Tempińskiego 7-dniowemu aresztowi barakowemu z pozbawieniem przez tenże czas chleba dodatkowego z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego, Marczaka poddać takiejże karze na dni trzy. Podpisy: M. Rzymski, Jan Świercz, F. Mieszkowski, Górski Leon, A. Dąbrowski, Wąsowicz". Obaj oskarżeni – Tempiński i Marczak – rekruci z Zegrza. Ci zawsze, nie mając czucia wojskowego, są pierwsi do robienia „bajzlu". Wina ich polegała na tym, że wbrew zakazowi naszego posterunkowego, przełazili za bramę bloku, żeby się szwendać. A takie szwendanie się sprawia niebezpieczeństwo, że Niemcy dla utrzymania ładu gotowi są znowu postawić przy blokach naszych swoje niemieckie posterunki zbrojne.

5 września, rok 1917, środa
Wojska niemieckie na północy dotarły do dolnego biegu rzeki inflanckiej Aa. Port i twierdza Dźwinoujście, Dünamünde (po rosyjsku Ust'-Dwinsk, ongi za czasów Rzeczypospolitej przezwane przez Polaków „Diament", jak to wyszperał Wacław Studnicki w Wilnie), zostało opuszczone przez Moskali i z pewnością jest już obecnie przez Niemców zajęte. W rannych depeszach była wiadomość, że Rosjanie opuścili Dyneburg, ale wieczorem ukazało się urzędowe sprostowanie, że dotyczy to nie Dyneburga, lecz Dźwinoujścia. Pochód na północ i ucieczka wojsk rosyjskich trwa dalej. Wyobrażam, co za panika ogarnia Petersburg, gdzie zawsze liczono, że ewentualne zajęcie Rygi otwiera drogę do Petersburga. Choć od Rygi do Petersburga jeszcze daleko i choć stolicy bronią naturalne olbrzymie bagna ingermanlandzkiej niziny, to jednak wrażenie i obawa w rewolucyjnym Petersburgu muszą być szalone. Ta wojna i ta inwazja niemiecka do zachodnich dzielnic państwa rosyjskiego ma jedną

bardzo ciekawą i bardzo dodatnią rzecz. W promieniach tej wojny wyłaniają się, jak wyspy z wody po olbrzymiej powodzi, jedna po drugiej indywidualne, historyczne, żywe prowincje. Były one zalane państwowością rosyjską, zgładzone indywidualnie, zmechanizowane jako gubernie olbrzymiego niewolnego państwa. Straciły swą mowę, swą krasę żywych organizmów historycznych i jak ludzie w więzieniu, znaczone były porządkowym numerem guberni w rejestrze administracyjnego podziału państwa. Tylko nieliczne jednostki inteligentne, studiujące historię lub lubujące się w krajoznawstwie albo też politycy i działacze narodowi, tworzący w męce przyszłe dzieło wolności i żywego rozwoju społeczeństw, poza automatycznym podziałem na gubernialne szablony dostrzegali żywe całości poszczególnych krajów i ludów, pełne historycznej przeszłości, ciągłe w swym indywidualnym życiu, jak zaczarowane zielone wyspy pod powodzią fal obcej państwowości. Indywidualność każdego z tych krajów pulsowała głęboko pod pozorami szablonu, pod przemocą obcego najazdu, który nie był w stanie przerwać kiełkowania indywidualnego życia. Było to życie podziemne, życie głuszone, mało albo zgoła niewidzialne nawet dla najbliższych sąsiadów z innych takichże zatopionych powłoką wspólnej obcej państwowości krajów. Wobec Europy, wobec jawnych dziejów świata była to jedna wielka Rosja, jedno olbrzymie morze, toczące swe fale po zniwelowanych trupach krajów i ludów od Oceanu Lodowatego do Morza Czarnego. Olbrzymia Rosja była wspólnym grobem dziesiątków krajów, zacząwszy od Polski, a kończąc na Ukrainie, Litwie, Łotwie itd. I dopiero w tej wielkiej wojnie, wraz z postępem mocarstw centralnych na wschód i północ, wyłaniają się z tej Rosji raz w raz coraz to nowe żywe indywidualności krajowe, z których każda jest odrębnym żywym problemem, nabierającym w promieniach ogłoszenia państwowego charakteru międzynarodowego. O ile na zachodzie – w Belgii lub Francji – okupacja niemiecka prowincji przez wojnę od ich macierzystej państwowości oderwanych, nie stwarza żadnych indywidualnych problemów krajowo-narodowych, z wyjątkiem ewentualnie może, aczkolwiek z dużymi zastrzeżeniami, kwestii flamandzkiej w Belgii, o tyle na wschodzie, im dalej uderza fala inwazji niemieckiej, tym więcej wypływa żywych indywidualnych problemów, które się nie pokrywają pojęciem państwowości rosyjskiej. Ofensywa niemiecka zagarnia coraz nowe i dalsze tereny, odrywane od Rosji i dotąd przecież na właściwą Rosję jeszcze nigdzie nie natrafiła. Polska, Litwa, skrawki Ukrainy, Polesie, zachodnia połać Białej Rusi, Kurlandia, wreszcie teraz Inflanty – wypływają na światło dziejowe w swym obliczu indywidualnym, jako każde z nich odrębny żywy problem. I za to, pomimo nieszczęść i męki ludzkiej, pomimo głodu i wszelkich niesłychanie ciężkich objawów, towarzyszących okupacji niemieckiej, niech będzie błogosławiona ta wojna i niech będą błogosławione zwłaszcza zwycięstwa oręża niemieckiego na wschodzie. Dla ludów bowiem i krajów niosą one zarody życia, nie – śmierci. Tym bardziej, że te zwycięstwa wojenne, obnażające problemy, nie grożą w tej szczęśliwej wojnie polityczną dyktaturą w przyszłości Niemiec, dyktaturą, która by jedną powódź i najazd zastąpiła automatycznie drugą. I kto wie, czy idąc ewentualnie dalej, ta ofensywa niemiecka po przejściu, powiedzmy, na północy przez Inflanty i Estonię, wkraczając, o ile to nastąpi, na tereny Pskowa i Petersburga, nie odrodzi jeszcze takich, zdawało się już całkiem strupieszałych i pogrzebanych problemów krajowo-narodowych, jak kwestia Ingermanlandii fińskiej, Karelii itd.? Mgławicowy Petersburg rosyjski, jak olbrzymi grzyb kolonii obcej, osiadłej na bagnach fińskich, czy nie rozwieje się jak koszmar, jak senna fikcja, w myśl zresztą legendarnych zabobonów samych Rosjan? Zdaje się to nieprawdopodobnym, bo zbyt wielkim, zbyt rozrosłym jest ten grzyb obcy Petersburga na ciele ludów fińskich, ale – kto wie? Gdzieś het – w tajnych głębiach mego sumienia żywiłem zawsze i żywię wiarę mistyczną w ten ludowy zabobon rosyjski, który uważa Petersburg za coś nieistotnego, coś, co jak mgły Zatoki

Fińskiej, zwiane zostanie przez rzeczywistość dziejową! Ano – zobaczymy. Obecna ofensywa niemiecka, która zagarnia pod ich okupację Inflanty (przynajmniej ich część główną, tzw. Inflanty „szwedzkie"), uwydatni problem Łotwy. Dopóki okupowana była tylko Kurlandia, chodziło jeno o prowincję; teraz wyłaniać się zacznie stopniowo kwestia kraju. Niemcy traktują ją *sub specie* problemu bałtyckiego, kraju Bałtów jako historycznej jednostki o kulturze germańskiej, zaludnionej etnograficznie przez Niemców (właściwych Bałtów) i Łotyszów. Dla tych ostatnich w ich koncepcji demokratycznej problem ten przedstawia się inaczej, niż dla Niemców – bo *sub specie* Łotwy. Tu powstanie zapewne dość głęboka rozbieżność i antagonizm między tymi dwiema metodami problemu prowincji nadbałtyckich.
Na zakończenie znów dalszy ciąg mego referatu sądowego ze Szczypiorny. Następny z kolei wyrok sądu blokowego żołnierskiego: „Obóz jeńców w Szczypiornie 14.VIII.1917. Sąd żołnierski bloku IV w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Zbigniewa Michałowskiego jako referenta i ob. ob. Jana Świercza, Franciszka Mieszkowskiego i Leona Górskiego jako członków, rozważał sprawę ob. ob. Mateusza Jabłońskiego i Stanisława Kwiatkowskiego, oskarżonych o zakłócanie porządku na sali przez wszczęcie wzajemnej bójki w dniu 12 sierpnia. Po zbadaniu dowodów, którymi Sąd rozporządzał, i przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. st. Sierż. Jabłońskiego, Jankowskiego, Dąbrowskiego, Niedzielskiego, Mitki i Rządkowskiego, Sąd orzeka: 1. oskarżonego Jabłońskiego Sąd uznaje winnym pobicia ob. Kwiatkowskiego oraz zakłócenia porządku przez udział w bójce wzajemnej, wszczętej przez tegoż Kwiatkowskiego wkrótce po pobiciu go; ze względu na okoliczności łagodzące Sąd uznaje oskarżonego Jabłońskiego za zasługującego na pobłażanie. 2. oskarżonego Kwiatkowskiego Sąd uznaje winnym zakłócenia porządku przez wszczęcie bójki z ob. Jabłońskim, ze względu wszakże na okoliczności łagodzące – za zasługującego na pobłażanie. 3. za okoliczności łagodzące dla oskarżonego Jabłońskiego Sąd uznaje to, że pobicie było wywołane stanem podrażnienia, spowodowanym przez ob. Kwiatkowskiego, który na częste upominanie się Jabłońskiego o zwrot wziętego odeń bagnetu lub jego wartości, zbywał go lekceważącymi odpowiedziami, co też miało miejsce bezpośrednio przed zajściem; co zaś do udziału Jabłońskiego w bójce, która później, po pewnej przerwie nastąpiła, to okolicznością łagodzącą jest to, że bójkę wszczął nie on, lecz ob. Kwiatkowski. 4. za okoliczność łagodzącą dla oskarżonego Kwiatkowskiego Sąd uważa to, że bójkę wszczął wkrótce po pobiciu go, kiedy jeszcze nie ochłonął z wrażenia otrzymanych ciosów i nie był w stanie rozważyć spokojnie i zdać sobie sprawę, że droga bójki nie jest właściwą drogą satysfakcji za pobicie; samo pobicie było zakończone w chwili wszczęcia bójki i przeto bójka cech obrony nie miała, jednak wszczynał ją oskarżony w stanie podniecenia. 5. za karę Sąd postanawia poddać Jabłońskiego aresztowi barakowemu na dni trzy z obowiązkiem meldowania się dla kontroli u komendanta baraku co 2 godziny od pobudki do capstrzyku oraz obciążeniem aresztu pierwszego i trzeciego dnia – twardym łożem, Kwiatkowskiego zaś poddać takiemuż aresztowi barakowemu na tyleż dni z takimże obowiązkiem meldowania się – bez twardego łoża. Podpisy: M. Rzymski, Z. Michałowski, Jan Świercz, F. Mieszkowski, Górski Leon, Wąsowicz". Pobity Kwiatkowski był z wyroku tego niezadowolony, uważając siebie w zajściu z Jabłońskim za pokrzywdzonego, a więc niewinnego. Chciał od wyroku Sądu apelować, ale nasze sądy żołnierskie żadnej apelacji nie znały.

6 września, rok 1917, czwartek

Diament (Dźwinoujście vel Dünamünde) – zajęty przez Niemców. Inflancka Aa w dolnym biegu przekroczona. Na drodze z Rygi do Wenden Niemcy dotarli do miejscowości Hinzenberg.
W związku z uchwałą Komisji Głównej parlamentu Rzeszy Niemieckiej w sprawie Litwy i Kurlandii (dopuszczenie ludności krajowej do samorządu narodowego i administracyjnego) ma się odbyć w Wilnie zjazd litewski. Sprawa samorządu w okupowanej Litwie, względnie pewnego prawno-państwowego statutu dla Litwy, była w kołach politycznych niemieckich dosyć dawno poruszana. Jeszcze w końcu tej zimy była ona przez Niemców podnoszona oraz robione były Litwinom w drodze urzędowej półgębkiem w tym kierunku nadzieje (przemówienie Zimmermanna do delegacji Litwinów w Berlinie). Dotąd jednak do realizacji nie doszło. Nadzieje niemieckie na odrębny pokój z rewolucyjną Rosją usposabiały Niemców hamująco do jakichkolwiek liberalnych zarządzeń na rzecz Litwy, mających przesądzać kierunek losów Litwy oraz litewskiej polityki Niemiec. Aby nie drażnić Rosjan i nie utrudniać dróg do pokoju odrębnego, nie chciano w Berlinie dotykać sprawy litewskiej. Niemcy oczywiście nie zawahaliby się ani na chwilę poświęcić Litwę do zwrotu Rosji i zrzec się jakichkolwiek w stosunku do niej zamiarów – dla zyskania pokoju na wschodzie. Niechęć do traktowania sprawy litewskiej w jakimkolwiek określonym kierunku politycznym płynęła z tych samych źródeł, co powściągliwość wojenna Niemców na froncie wschodnim. Kokietowano Rosję. Gdy jednak Rosja nie zechciała się na tej kokieterii poznać i odrzuciła kategorycznie umizgi niemieckie, gdy w Rosji zwyciężyły jaskrawe prądy wojenne, a Kiereński i Rada Robotniczo-Żołnierska stanęli bez zastrzeżeń na usługi koalicji i Rosja w lipcu przeszła do „ofensywy”, flirt niemiecki zaczął się chwiać. Jeżeli Berlin kokietował, to oczywiście nie dla pięknych oczu Kiereńskiego i nie z miłości platonicznej dla Rosji. „Ofensywę” rosyjską odparto i przechodząc do krwawej kontrofensywy, dano rewolucyjnej Rosji krwawą nauczkę w Galicji Wschodniej i na Bukowinie. Gdy i to nie pomogło i Rosja coraz bardziej, coraz bezwzględniej w kierunku wojennym *à outrance* orientowała się nadal, stopniały w Niemczech resztki względów dla niej. Cackanie się z nią jak z kapryśnym dzieckiem, umizgi jak do rozpieszczonej panny – ustały. Dziś Niemcy nie zawahali się uderzyć w najczulsze miejsce Rosji, wydrzeć jej Rygę i zagrozić Petersburgowi. Wyrazem tej samej zmiany w stosunku, zerwaniem z polityką umizgów jest podniesienie w Berlinie znowu kwestii Litwy. Podniesiona ona została w ten sposób, że bez przesądzania na razie przyszłych losów państwowych kraju postanowiono oprzeć stosunki wewnętrzne na zasadach samorządu o zabarwieniu wyraźnie narodowym. O ile chodzi o Litwę, to Niemcy odnoszą do niej gubernię suwalską, kowieńską i część wileńskiej z Wilnem, czyli teren, odpowiadający w przybliżeniu litewskiej przedwojennej formule etnograficznej. Gubernia grodzieńska z obwodem białostockim jest, o ile wiem, z tej kombinacji wykluczona (skądinąd na ostatnich obradach parlamentarnej Komisji Głównej odrzucono stanowczo myśl rozszerzenia na wschód, to znaczy w pierwszym rzędzie na tęż gubernię grodzieńską i obwód białostocki – granic państwa polskiego). W Litwie, tak przez Niemców określonej, pierwsze skrzypce trzymać mają Litwini. Oni są uznani za prawowitych tego kraju gospodarzy, za jego ludność i narodowość rdzenną, której przysługuje prawo stanowienia o rozwoju kraju i kierowaniu jego samorządem. W związku z tym nowym kursem ma się odbyć ów zjazd litewski. Ma on służyć wyrazem woli krajowej. Ściślejszych i dokładniejszych wiadomości o tym nie mam, choć to są rzeczy, które mię najbardziej ze wszystkiego interesują. Przypadkowo wiem o tym tyle, co doszło tu pantoflową pocztą, przez list prywatny pani Franciszkowej Juriewiczowej z Wilna do Heli Ochenkowskiej, przywieziony przez żołnierza niemieckiego. Zaznaczam z góry, że źródło to jest w założeniu niechętne Litwinom, bo traktujące sprawy litewskie

przez pryzmat nacjonalizmu polskiego. Otóż Litwini podobno, jak pisze p. Juriewiczowa, przyjęli niemiecką propozycję zjazdu z zastrzeżeniami. Główne zastrzeżenie z ich strony polegało na tym, że nie uważają za możliwe cokolwiek bądź przesądzać bez porozumienia się z działaczami litewskimi w Rosji; wiadomo bowiem, że polityczne „gros" inteligencji litewskiej znalazło się, na skutek tych czy innych przyczyn, z tamtej strony linii wojennej i tam, w Petersburgu, na gruncie rewolucji rosyjskiej prowadzi dalej politykę litewską. Podobno Niemcy są skłonni liczyć się z tymi zastrzeżeniami Litwinów, bo Litwini, wysuwając je, nie zajmują stanowiska zasadniczo niechętnego kombinacjom samorządnym, proponowanym przez Niemców. Jako politycy realni, Litwini nie zasklepiają się w opozycji i, owszem, skłonni są wytwarzać ten samorząd, uważając go za atut na rzecz prawno-państwowych precedensów w kierunku ich zasadniczego postulatu: niepodległości Litwy. Niemcy podobno gotowi są pozwolić przedstawicielom Litwinów na wyjazd do Sztokholmu dla porozumienia się tam z Litwinami w Rosji, zastrzegając jeno pewną kontrolę nad tym porozumieniem. Tak podobno stoi w tej chwili w Wilnie sprawa układów Niemców z Litwinami. Wydaje mi się to, przynajmniej o ile o litewskie stanowisko chodzi, dość prawdopodobne na podstawie tego, co wiem o tendencjach Litwinów z czasów mego ostatniego pobytu w Wilnie na Wielkanoc roku bieżącego. Litwini wileńscy stali i niewątpliwie stoją mocno na gruncie postulatu niepodległości. Twierdzą, że postulat ten jest u nich ogólnonarodowym, wyznawanym bez wyjątku przez wszystkie odcienie polityczne zarówno w kraju pod okupacją niemiecką, jak na emigracji w Rosji. Pomimo że na Wielkanoc, gdym się po raz ostatni z Litwinami widział, była jeszcze faza miodowych miesięcy rewolucji rosyjskiej, która budziła powszechnie duże nadzieje i kiedy jeszcze nie spodziewano się tak rychłego jej rozkładu, jaki się teraz ujawnia, nie stwierdziłem, wbrew moim obawom, ani cienia moskalofilskich, w znaczeniu państwowo-rosyjskim, odchyleń od programu niepodległości u Litwinów. Wobec perspektyw ludowo-demokratycznych i nawet ewentualnie federalistycznych, które otwierała rewolucja rosyjska, a z drugiej strony wobec straszliwego, wprost dzikiego uciemiężenia Litwy przez okupację niemiecką, przypuszczałem, że grunt dla moskalofilstwa będzie w umysłach Litwinów wileńskich szczególnie podatny i że ciążenia w tym kierunku będą silne. Przekonałem się jednak, że Litwini mieli tyle realizmu politycznego i wyrobienia, że się zdołali oprzeć łatwej pokusie i taniej polityce państwowego moskalofilstwa, i to zarówno na lewicy, jak na prawicy. Chociaż z dwojga, w ewentualnym dylemacie, czy Rosja rewolucyjna, czy Niemcy – woleliby raczej przynależność państwową do Rosji, jednak nie tylko nie rezygnowali z niepodległości jako programu na dziś, ale dostrzegali czynniki, realizujące ewentualnie ten program i cały swój wysiłek skupiali na użytkowanie tych właśnie czynników. Ich myśl szła po linii wytwarzania tendencji, precedensów i faktów prawno-państwowego stanu Litwy. Nie gardzili detalami, uważając każdy z nich za punkt oparcia do dalszego wytwarzania tendencji i faktów w tym kierunku. Ich usposobienie polityczne było na ogół optymistyczne; za atuty uważali faktyczne oderwanie Litwy od Rosji przez okupację niemiecką i podniety zarówno w Rosji, jak w Niemczech do pewnego licytowania się politycznego w sprawie Litwy; własną zaś rolę pojmowali w postaci bacznego śledzenia tej rywalizacji, akcentowania i pobudzania jej przez iście na rękę wytwarzaniu przez jedną i drugą stronę faktów oraz spekulowania na tej grze. Polityka ta była planowana i, o ile się dało, uskuteczniana przez Litwinów zarówno w Petersburgu, jak w Wilnie i Berlinie, aczkolwiek różnymi drogami, ale w gruncie tą samą metodą; współdziałali zaś z nimi rodacy w krajach neutralnych i koalicyjnych, rozumiejący doskonale grę litewską po obu stronach frontu. Szczupłe są siły i środki Litwinów, ale ścisłość ich polityki jest bardzo dodatnim i ważnym czynnikiem ich

sprawy. Okres ostatnich kilku miesięcy, kiedy Niemcy, w imię ugodowych umizgów do Rosji zaniechali sprawy Litwy, nie sprzyjał oczywiście polityce Litwinów, ale dziś rozpoczną oni z pewnością dalszą akcję w myśl tejże praktycznej metody.
Na zakończenie znowu wyroczek sądu żołnierskiego w Szczypiornie. W tych sądach naszych, gdy ilość członków sądu przewyższała liczbę, potrzebną do kompletu, poszczególni sędziowie po kolei byli wolni od kadencji. W sądzie obożnym ja, jako przewodniczący, uczestniczyłem bezwzględnie w każdej sprawie, w sądzie blokowym jednak podlegałem kolejce zwolnienia, a wtedy przewodniczył z kolei jeden z członków, biorących udział w kadencji. W sprawie, której wyrok tu cytuję, nie uczestniczyłem. „Obóz jeńców w Szczypiornie, 14.VIII.1917. Sąd żołnierski IV bloku w osobach ob. Jana Świercza jako zastępcy przewodniczącego, ob. Mieczkowskiego Franciszka jako referenta i ob. ob. Edwarda Niedzielskiego, Antoniego Dąbrowskiego i Leona Górskiego jako członków, rozpatrywał sprawę ob. Pinkusa Dawidowicza, oskarżonego o to, że w nocy z dnia 13 na 14 sierpnia dopuścił się przestępstwa kradzieży chleba, będącego własnością ob. Jana Ostaszewskiego. Po zbadaniu wszystkich dowodów, dostępnych dla Sądu, oraz po przesłuchaniu ob. ob. Ostaszewskiego i Kłosowicza jako świadków, Sąd orzekł: 1. oskarżony P. Dawidowicz winien jest kradzieży chleba. 2. jako okoliczności, obciążające przestępstwo Sąd uważa: a) oskarżony nie popełnił kradzieży specjalnie z głodu, gdyż fakt tejże miał miejsce po otrzymaniu chleba komitetowego, b) oskarżony, jako stary żołnierz, winien był wiedzieć, że kradnąc chleb popełnia jedno z najwstrętniejszych przestępstw, jakiego w stosunku do swych współtowarzyszy może dopuścić się żołnierz, co w obecnych naszych warunkach jeszcze więcej zasługuje na naganę. 3. jako karę Sąd postanawia: a) oskarżonego P. Dawidowicza pozbawić chleba dodatkowego z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego, na przeciąg 2 tygodni, b) wyznaczyć oskarżonemu na tenże przeciąg czasu odosobnione miejsce na pryczy, to znaczy odosobnić go od bezpośredniego sąsiadowania z kolegami, co Sąd uważa za piętno moralne dla starego żołnierza. Podpisy: Jan Świercz, F. Mieszkowski, Górski Leon, E. Niedzielski, A. Dąbrowski. Wyrok zatwierdzam. Podpis: Wąsowicz”. Otóż – co w tym jest ze stanowiska prawniczego wadliwe? Jaki błąd popełniony, i to na meritum sprawy, czego, gdybym ja uczestniczył, byłbym nie dopuścił z całą pewnością? Uznanie za okoliczność obciążającą w kradzieży to, że kradzież nie była popełniona specjalnie z głodu. Przede wszystkim, to niezupełnie ścisłe, bo u nas w Szczypiornie wszyscy byli głodni, nawet po chlebie komitetowym. Ale nie o to chodzi. Z wyroku tego może się zdawać, że kradzieżą normalną, jako normalnym przestępstwem, jest kradzież z głodu. Tak nie jest. Jest odwrotnie i głód jest okolicznością łagodzącą i kradzież z głodu jest albo lżejszą formą kradzieży, albo nawet zgoła przestępstwem być przestaje. Kradzież zaś bez specjalnego głodu jest normalną zwykłą kradzieżą, nie mogącą uchodzić przez to za obciążoną.

7 września, rok 1917, piątek
Korzystając z przymusowego bezczynnego pobytu w Warszawie, chciałem pójść choć na jedno posiedzenie któregokolwiek z nowych polskich sądów pokoju, aby zorientować się nieco w technice i rutynie funkcjonowania tego urzędu, który mi wkrótce samemu wykonywać wypadnie. W tym celu wybrałem się dziś do sądu pokoju nie pamiętam którego okręgu, mieszczącego się na Nowym Świecie, 16. Byłem zdumiony, gdy nie zastawszy sesji, dowiedziałem się, że najbliższa sesja odbędzie się dopiero w środę. Zdumiony i zarazem przyjemnie zadowolony. Jeżeli bowiem – pomyślałem sobie – sąd pokoju w stolicy, w jednej z najbiedniejszej dzielnic, w śródmieściu, ma tak mało spraw, że ma sesję raz na tydzień, to cóż dopiero będzie w

Kolnie! A trzeba wiedzieć, że w tym sądzie na Nowym Świecie urzęduje jeden z najlepszych sędziów, zalecony mi specjalnie w Departamencie Sprawiedliwości jako taki, którego sądzenia, o ile mi chodzi o praktyczne zorientowanie się, posłuchać warto. Ucieszyło mię to, bo tego się najbardziej obawiałem, że w nawale spraw w Kolnie, nie posiadając na razie wprawy sędziowskiej, trudno mi będzie dać sobie radę. Teraz odetchnąłem lżej; zrozumiałem, że chyba w Kolnie w obecnych warunkach nie może być mowy o nawale spraw i że przeto do wszystkich spraw na każdą sesję będę miał możność gruntownie się przygotować, a jeszcze, da Bóg, wystarczy mi czasu wolnego i dla siebie, to znaczy na lekturę, na dziennik, na jakieś rzadkie stosunki z ludźmi, na poznanie okolicy, a może i na jakąś pracę literacką, gdybym się na nią w ciszy i samotności zdobył.
Dodam tu jeszcze słówko o Litwinach podług relacji p. Jurjewiczowej z Wilna w jej liście do Heli Ochenkowskiej. W związku z owym projektowanym zjazdem litewskim, o którym wspominałem wczoraj, pisze ona o jakichś próbach pertraktowania Polaków litewskich w Wilnie z Litwinami w sprawie szkolnictwa. Pani Jurjewiczowa pisze z przekąsem i w formie zarzutu, skierowanego do Litwinów, że odmówili oni zgoła wszelkiego traktowania w tej sprawie; jeden tylko Michał Biržiška wyraził gotowość, ale i to pod takim warunkiem, który rzecz uniemożliwił; zażądał bowiem, aby pertraktacje toczyły się w języku litewskim, którego panowie Polacy litewscy w Wilnie nie znają. Pani Jurjewiczowa oczywiście tym się gorszy, a i Hela także uważa taki warunek ze strony Biržiški za dziwaczny i wygórowanie nacjonalistyczny. Trudno mi wchodzić *in meritum* tej sprawy, bo nie wiem, o jakie to układy i o jakie szkolnictwo chodziło, choć w zasadzie uważam oczywiście, że język polski w Litwie, zwłaszcza w samym Wilnie, musi być równouprawniony z litewskim, to jednak zbytnio się nie dziwię żądaniu Biržiški w obecnym okresie tworzących się precedensów i kształtujących stosunków. Cóż innego robią Polacy w Polsce? Czy również nie zastrzegają na każdym kroku bezwzględnie państwowe stanowisko języka polskiego? Litwini muszą być w tym względzie jeszcze bardziej drażliwi i wymagający w Litwie, niż Polacy w Polsce, bo ich język jest w ich własnym kraju bardziej upośledzony i więcej dlań tam trzeba wywalczyć, niż dla polskiego w Królestwie. To, że Polacy mieszkający w Litwie jako autochtoni i obywatele kraju nie znają języka litewskiego, nie postarali się go dotąd poznać i nauczyć nim władać, a choćby rozumieć – to trudno, to ich własna wina. Powinni byli to zrobić. Powinni byli od słów o obywatelstwie przejść do praktyki, a nie lekceważyć języka krajowego, języka ogromnej masy demokracji krajowej. Konsekwencje tego mogą być dla nich przykre, ale tylko ewentualnie przez nacisk na te konsekwencje Litwini przyśpieszą fakt oswojenia się Polaków litewskich z tym językiem krajowym. Przypuszczam, znając Litwinów i Biržiškę, że chodzi im nie o to, aby język polski stłumić i nie dopuścić do równoległości z litewskim w Wilnie, ale o to, aby litewskiemu wywalczyć równe co najmniej stanowisko i nie dopuścić do tego, aby przy spotkaniu z polskim litewski musiał koniecznie schodzić ze sceny. Ponieważ Litwini stają już kategorycznie na gruncie prawno-państwowej jednostki Litwy, więc we wszystkich sprawach publicznych muszą żądać dla języka litewskiego w kraju praw i stanowiska w całej pełni obywatelskiego, co najmniej nie ustępującego żadnym innym używanym w kraju językom. Może to być dla Polaków litewskich uciążliwe, a nawet przykre, ale będą musieli z tym się pogodzić i do tego sami wcześniej czy później zastosować. Co do mnie osobiście, to nic przykrego w tym nie widzę, a pod warunkiem równouprawnienia języka polskiego w Wilnie uważam żądanie obywatelskich praw dla języka litewskiego w sferze publicznej za rzecz nie tylko naturalną, lecz konieczną. Rozumiem więc Litwinów, nie dziwię się im i uważam ich wymagania za logiczne. Chyba że byłoby to żądanie całkowitego

rugowania języka polskiego, czego jednak nie przypuszczam; rozumiałbym nawet to, w obecnym stadium, kiedy Litwini ugruntowują ideę prawno-państwową Litwy; rozumiałbym, ale *à la longue*[3] uważałbym to za niesprawiedliwe, bo w Wilnie i we wschodnich dzielnicach Litwy etnograficznej język polski powinien być na równych prawach obywatelskich utrzymany; nie sądzę jednak, by to było żądanie rugowania języka polskiego ze sfery praw obywatelskich. A co do języka litewskiego, to nasi Polacy będą musieli się pogodzić z koniecznością oswojenia się z nim i uczenia. To darmo. Swoją drogą – ciekawe tam zachodzą w naszej Litwie ewolucje. Że nie jestem w kraju, żałuję tego bardzo. Ale o dostanie się tam w czasie wojny, przynajmniej w stosunkach obecnych, nie można marzyć, niestety.
Teraz przechodzę do mego referatu sądowego z obozu jeńców w Szczypiornie. Śpieszy mi się, aby się prędzej z tym tematem, jak w ogóle z całą relacją szczypiorniańską, uporać. Dzisiaj z kolei wypada mi zacytować i omówić nie wyrok karny, lecz orzeczenie sądu żołnierskiego w sprawie cywilnej. Orzeczenie to jest obszerne, ponieważ nasz sąd żołnierski w sprawach cywilnych przyjął za zasadę ujmować w rezolucji całą istotę sporu i przebiegu sprawy oraz orzeczenie szczegółowo motywować. Wyroki karne były krótsze i prostsze. Z tego powodu orzeczenie to będę musiał rozłożyć w dzienniku na dziś i na jutro. W sprawach cywilnych nasze sądy żołnierskie funkcjonowały li tylko w charakterze polubownych, to znaczy, że przyjmowały sprawę tylko o tyle, o ile spór był im przekazywany przez obie strony dobrowolnie; w tych sprawach ingerencja Komendy, to znaczy zarówno przekazywanie sprawy sądowi przez nią, jak zatwierdzenie wyroku, było wykluczone. Strony przekazywały spór sądowi żołnierskiemu dobrowolnie, ale po przekazaniu musiały się już bezwzględnie poddać orzeczeniu. Różnica między prywatnym sądem polubownym a sądem żołnierskim w sprawach cywilnych polegała li tylko na tym, że prywatni ludzie mogli przyjąć lub nie przyjąć propozycji stron o oddaniu im sporu do osądzenia, podczas gdy sądy żołnierskie, o ile im strony spór swój przekazały, miały obowiązek funkcjonowania, nie mogąc się uchylić od sprawy. Mało mi zostaje miejsca, ale zaczynam. Orzeczenie w tej pierwszej rozprawie cywilnej w sądzie żołnierskim brzmi tak „Obóz jeńców w Szczypiornie, 17-18.VIII.1917. Obozny Sąd żołnierski w osobach ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego, ob. Walerego Bagińskiego z I p. art. jako referenta i ob. Leona Marciniaka z VI pp. jako członka, rozważał sprawę cywilną między ob. Antonim Heürichem z kompanii saperów jako powodem, a oboźną żołnierską komisją gospodarczo-żywnościową jako pozwaną o zwrot produktów z dwóch paczek, nadesłanych z Kalisza na imię ob. Heuricha i, po nieodszukaniu adresata przez komisję, rozpakowanych przez nią i wcielonych do ogólnych zapasów zaprowiantowania obozu…”. Dalszy ciąg i, spodziewam się, dokończenie – jutro.

8 września, rok 1917, sobota
Dalszy ciąg cytowanego orzeczenia oboźnego sądu żołnierskiego w obozie jeńców w Szczypiornie z dnia 17-18.VIII w sprawie cywilnej Heurich – komisja aprowizacyjna: „Okoliczności sprawy są następujące. Ob. Heurich w dniu 8 bm. otrzymał list od żony z zawiadomieniem, że wysyła mu trzy paczki, z których pierwsza ma być wysłana 4-go, druga 7-go i trzecia – 9 bm. W liście wyszczególnione były produkty, które zawierać ma każda paczka, a mianowicie: a) jedna paczka – mniej więcej 6 ½ funta chleba, szyneczka, 10 jaj gotowanych, b) druga – to samo, c) trzecia – 6 ½ funta chleba, 1 ½ funta szynki, 1 ½ funta boczku, słoik topionego masła, 1 funt cukru, trochę herbaty i butelka soku. Na dowód ob. Heurich składa list żony. Z tych trzech paczek otrzymał

[3] (fr.) na dłuższą metę.

tylko jedną, która przyszła ostatnia, a która w liście żony była podana jako druga. Dwóch innych paczek, które przyszły wcześniej (oznaczone w liście jako pierwsza i trzecia), nie otrzymał wcale. Prosi o przysądzenie na komisji zwrotu mu produktów, zawartych w tych dwóch paczkach, względnie zwrotu ich wartości w zamianie na inne produkty, względnie na chleb. Komisja gospodarczo-żywnościowa nie przeczy faktom powyższym. Istotnie, dwie paczki, zawierające ściśle takie produkty, były nadeszły. Jedna z tych dwóch paczek zawierała oprócz tego i funt kiełbasy. Nazwisko adresata było na nich wypisane o tyle nieczytelnie, że komisja je przyjęła w brzmieniu nie „Heurich", lecz „Heinrich". Na adresie prócz nazwiska było wypisane: I pułk piechoty. Do dnia 7 bm., kiedy został ustalony nowy system książkowania paczek, doręczanie ich adresatom i publikowania niedoręczonych paczek, postępowano z paczkami, które nadchodziły wtedy jeszcze w nieznacznej ilości, w ten sposób, że paczki rozdzielano podług adresatów na bloki i wykaz każdej grupy wręczano inspekcyjnym poszczególnych bloków. Ogłaszano zaś po wszystkich blokach nazwiska tylko tych, adresatów, przy których na adresie nie był wyszczególniony blok lub pułk. Komisja, wiedząc, że I pułk piechoty kwateruje w bloku IV, wpisała nazwisko Heinricha do wykazu paczek, nadeszłych do bloku IV, atoli osoby tego nazwiska w bloku tym nie znaleziono. Wobec tego, po kilku dniach, gdy zawartość jednej z tych paczek (mianowicie kiełbasa) zaczynała się psuć, komisja paczki rozpakowała i zawartość zużytkowała na użytek ogółu. Gdy się później ujawniło, że paczki te były przeznaczone dla ob. Heuricha, zamieszkałego w bloku V, komisja wyrażała gotowość zwrócenia mu chleba z zapasów ogólnych, nadchodzących regularnie z Komitetu Kaliskiego, a również zwrotu tych produktów, jak herbata i cukier, które komisja ma na składzie w zapasach ogólnych. Co zaś do produktów innych (wędliny i jaja), to komisja, nie mając tych produktów na składzie ani też nie rozporządzając ich regularnym dopływem, nie zgodziła się na proponowaną przez ob. Heuricha zamianę ich na chleb podług stosunku wartości, czyli – ponieważ pieniędzmi, nie rozporządzając żadnymi, zwrócić wartości nie mogła – zwrotu tych produktów całkowicie odmówiła. Odmowę swoją uzasadniła tak. Zdaniem komisji, nieodszukanie adresata nastąpiło nie z jej winy; komisja w stosunku do tych paczek i odszukania ich właściciela spełniła wszystko, co do niej należało podług przyjętego podówczas systemu poszukiwania adresatów i wręczania paczek. Wobec tego otwarcie paczek i zużytkowanie ich na dobro ogólne było zupełnie legalne i było wypełnieniem obowiązku komisji. Z tego tytułu komisja do odpowiedzialności wobec ob. Heuricha się nie poczuwa. Co do chleba, to ponieważ poszedł on do ogólnego podziału i był przez ogół żołnierzy spożyty, przeto słusznie może być z zapasów tegoż ogółu zwrócony. Co do szynki zaś i jaj, to ponieważ ilości tych produktów były w porównaniu do potrzeb ogółu znikome, a że akurat w tym czasie siedziała w więzieniu celkowym grupa pięciu naszych oficerów, aresztowanych przez niemieckie władze obozowe, w warunkach nader ciężkich, wymagających większej o nich troski, komisja zdecydowała się przesłać im te produkty do spożycia, co też wykonała. Oficerowie ci obecnie są już wywiezieni, nie ma zaś żadnej racji, aby czy to sama komisja z własnych środków, nie ponosząc winy za swoje legalne postępowanie, czy też ogół, który z tej wędliny i jaj wcale nie korzystał, miał dziś zwracać ob. Heurichowi wartość tych produktów ze swych zapasów chleba. Poza tym komisja stwierdziła, że 1 funt kiełbasy i słoik masła był wrzucony do ogólnego kotła, cukier – do szpitala, a butelka z resztkami soku malinowego, którego większa część wyciekła, została nietknięta i jest do odebrania. Ponieważ obie strony nie chciały zejść ze swych stanowisk i przeto do ugody bezpośredniej nie doszło, przekazały sprawę do polubownego rozstrzygnięcia obożnemu sądowi żołnierskiemu. Na rozprawę stawił się powód ob. Heurich i z ramienia pozwanej komisji – członkowie tejże ob. ob. Kosiarski i

Wendorff, powołujący się na udzielony im do przedstawiania komisji mandat. Obie strony obstawały przy swoich twierdzeniach i żądaniach. Sąd, po zbadaniu przedstawionych mu przez strony dowodów i przesłuchaniu w charakterze świadka ob. Bayera, orzeka: 1. aczkolwiek system poszukiwania adresatów paczkowych, praktykowany do dnia 7 sierpnia, nie był doskonały, z czym się też sama komisja zgadza i co sama następnie naprawiła, zmieniając go gruntownie, to przecież komisja w ramach tego, przyjętego podówczas systemu działała legalnie i za niewykrycie adresata dwóch paczek, ob. Heuricha, a więc rozpakowanie ich i zużytkowanie ich zawartości na dobro ogółu, członkowie jej nie ponoszą jako tacy żadnej wobec ob. Heuricha odpowiedzialności, ponieważ czynem tym spełnili swój bezpośredni obowiązek; 2. ob. Heurich udowodnił swoje prawo do obu powyższych paczek i przeto ma słuszne prawo żądania zwrotu mu ich należności, względnie odszkodowania, nie ograniczając tegoż wyłącznie do chleba, herbaty, cukru i soku, lecz również i do szynki, boczku, kiełbasy i masła topionego; 3. ponieważ zawartość paczek została (prócz soku) zużytkowana na dobro ogółu legionistów, internowanych w obozie jeńców, przeto w myśl elementarnej zasady prawnej, ogół jest winien odszkodowania ob. Heuricha z zapasów, które bądź posiada na składzie, bądź są mu dostarczane z Kalisza i są jego własnością; 4. dowodzenie komisji, że część produktów – wędlina i jaja – została zużytkowana nie na dobro ogółu, lecz na dobro kilku poszczególnych aresztowanych i więzionych oficerów i że przeto ogół ze swych zapasów odszkodowania za nie ob. Heurichowi nie winien, nie zasługuje, zdaniem sądu, na uznanie, ponieważ obożny sąd żołnierski z całą stanowczością stwierdza, że aresztowani i więzieni oficerowie, dopóki byli w obozie jeńców, byli cząstką tegoż ogółu i że ich sprawa była jednym z elementów sprawy ogólnej, a ich potrzeby były przeto cząstką potrzeb ogólnych, za które odpowiedzialność ponoszą nie oni osobiście, lecz ogół, co jest zarówno zasadą prawa i sprawiedliwości, jak honoru tegoż żołnierskiego ogółu; 5. Sąd, stwierdzając obowiązek odszkodowania ob. Heuricha ze strony ogółu, traktuje komisję gospodarczo-żywnościową jako organ administracyjny tegoż ogółu i w tym charakterze uważa ją za pozwaną i do niej skierowuje rezolucję o sposobie odszkodowania ob. Heuricha; 6. Sąd postanawia, że ob. Heurichowi a) z zapasów ogólnego chleba ma być przez komisję zwrócone tyleż chleba, ile było w obu paczkach, to znaczy 13 funtów (6 ½ i 6 ½); b) ma być zwrócona butelka z resztkami soku malinowego; c) 1/8 funta herbaty i 1 funt cukru mają być zwrócone w naturze z zapasów tychże artykułów; d) co do 1 funta kiełbasy, 3 ½ funta szynki (podług zeznania komisji, niekwestionowanego przez ob. Heuricha, w pierwszej paczce było 2 funty , w drugiej – 1 ½ funta szynki), 1 ½ funta boczku (zgodność listu żony ob. Heuricha z zeznaniem komisji), 10 jaj (takaż zgodność) i ½ funta masła (zeznanie komisji, nie kwestionowane przez powoda), to artykuły te mają być zwrócone ob. Heurichowi bądź z takichże w naturze, bądź analogicznych (za wędlinę – wędlina, za masło – inny tłuszcz – byle nie margaryna) artykułów, o ile by takie w niżej wskazanym terminie napłynęły z Kalisza na użytek ogółu lub znalazły się w paczkach, których adresatów nie znaleziono i których zawartość została wcielona do ogólnych zapasów, gdyby zaś takie artykuły nie wpłynęły, to w drodze zamiany na chleb, przy czym sąd określa stosunek wartości poszczególnych produktów tak: boczek i szynka – po 1 rb. 60 kop. funt, kiełbasa – po 1 rb. 20 kop. funt, masło 4 marki 40 fenigów funt, jaja – 25 fenigów sztuka; stosunek marki do rubla: 1 marka = 40 kopiejek; e) wypłatę odszkodowania w naturze bądź tymi samymi lub analogicznymi artykułami, bądź zamianę na chleb rozłożyć w ten sposób, żeby odszkodowanie za pierwszą paczkę pokryć w ciągu pierwszego tygodnia od dnia ogłoszenia niniejszego orzeczenia, za drugą – w ciągu drugiego tygodnia; 7. dowody rzeczowe złożone sądowi zostały stronom zwrócone przy zakończeniu rozprawy. Podpisy: M. Rzymski, W. Bagiński,

Marciniak". Sprawa jest tak jasna, rezolucja tak wyczerpująca, że komentarze są zbyteczne. Zaznaczę tylko to, że w warunkach, w jakich byliśmy w obozie, z konieczności trzeba było wbrew zasadom ustalać przy odszkodowaniu ekwiwalent nie w pieniądzach, które były rzadkie i zresztą trudne do zużytkowania, a których ogół ani komisja, nie posiadająca kasy, nie miały, jeno w elementarnym towarze użytkowym, który w warunkach głodowych był ponad wszystko inne ceniony – w chlebie.
W dniu dzisiejszym nic osobliwego nie zaszło.

9 września, rok 1917, niedziela
Na froncie północnym za Rygą od paru dni zastój w dalszych postępach ofensywy niemieckiej. Komunikaty żadnych nowych zajętych miejscowości nie wyszczególniają i jeno mówią ogólnikowo o walkach z ariergardami rosyjskimi. Ostatnio w komunikacie niemieckim jest wzmianka o tym, że Rosjanie zaczynają się okopywać dla regularnej obrony. Dość powszechne jest mniemanie w Warszawie, że Niemcy na razie dalej posuwać się na północ nie będą i zadowolą się Rygą wraz z Dźwinoujściem oraz dokonanym na linii Dźwiny wyłomem, który sięga w górę rzeki aż do Kokenhuzy. Linia obecna przebiega na tym odcinku od wybrzeża bałtyckiego gdzieś na północ od ujścia inflanckiej Aa, stamtąd gdzieś ku okolicom Segewald na drodze do Wenden, dalej na Niton i stąd ku Kokenhuzie na Dźwinie. Podług wersji, które przywiózł z Berlina hr. Ronikier, Niemcy ofensywy forsować dalej na razie nie będą, natomiast w najbliższym czasie ma wybuchnąć w Finlandii powstanie.
Do prasy przenikać zaczynają szczegóły układu Austro-Węgier z Niemcami w sprawie polskiej, osiągniętego w podróży hrabiego Czernina do Berlina. Chodzi o coś więcej, niż proklamowanie rządu polskiego. Ma być wreszcie istotnie podjęta pierwsza próba realizacji państwowości polskiej. Ma być proklamowana Rada Regencyjna Królestwa Polskiego jako organ władzy państwowej, która dopiero powoła rząd odpowiedzialny w osobie prezesa ministrów; prezes ministrów ukonstytuuje gabinet, którego listę przedstawi Radzie Regencyjnej. Po ukonstytuowaniu się rządu mają być niezwłocznie rozpisane wybory do parlamentu, a więc sejmu polskiego. Do atrybucji tego sejmu ma należeć także wybór osoby króla. Nie będzie to wszakże Konstytuanta, jeno Sejm Ustawodawczy. Stąd wniosek, że zostanie przez monarchów Niemiec i Austro-Węgier oktrojowana konstytucja dla Polski. Bądź co bądź, chociaż w formie nie z woli Narodu, jeno z woli dwóch cesarzów – wskrzesicieli Polski, będzie to początkiem budowy państwa polskiego. Akt ten ma być obwieszczony w postaci manifestu dwóch cesarzy, podobnie do zeszłorocznego aktu 5 listopada. Będzie to nowy fakt, dokonany w sprawie polskiej, fakt dużej niewątpliwie wagi, który posłuży za punkt wyjścia do dalszej ewolucji sprawy. W dzisiejszym „Dzienniku Poznańskim" jest z powołaniem się na „Vossische Zeitung" notatka, że manifestu należy spodziewać się jutro. W każdym razie, jest to już, zdaje się, kwestią najbliższych dni. Że się o tym pozwala pisać w prasie, to wskazuje, że w układzie rządów państw centralnych jest to sprawa przesądzona, w której decyzje zapadły. Co do osób Rady Regencyjnej, to poza ks. Zdzisławem Lubomirskim i ks. arcybiskupem Kakowskim osoba trzeciego członka tej prowizorycznej najwyższej władzy państwowej pozostaje jeszcze zagadką. Marszałek Niemojowski nie będzie tym trzecim i nie będzie nim nikt z członków byłej Tymczasowej Rady Stanu. Robi się to przez wzgląd na prawicę (Koło Międzypartyjne), która warunek ten zastrzegła i uzależniła od niego swoje ewentualne poparcie dla Rady Regencyjnej. Na trzeciego współregenta jedną z najpoważniejszych zdaje się być kandydatura ziemianina hr. Ostrowskiego, sympatycznie widziana w Kole Międzypartyjnym. W ostatnich dniach z kół Centrum Narodowego wysuwa się i kolportuje kandydaturę hr. Adama Tarnowskiego, uchodzącego za jednego z

najpoważniejszych dotąd kandydatów na prezesa ministrów polskiego; jest to wytrawny mąż stanu i dyplomata, były ambasador austriacko-węgierski w Sofii i niedoszły ambasador w Waszyngtonie. Kandydatura jego, jako zwolennika Austrii, który, acz bardzo wybitny mąż stanu, strawił wiek na usługach Austrii i sprawy mocarstw centralnych w tej wojnie, jest z tego tytułu mile widziana przez wszystkich zwolenników neutralizmu Polski, pasywizmu, ukrytego moskalofilstwa itp. Wśród kandydatów na pierwszego premiera polskiego poza hr. Adamem Tarnowskim wymieniany jest też w ostatnich dniach Józef Pomorski, w którego gabinecie Tarnowski miałby ewentualnie tekę spraw zagranicznych. Pomorski, obecny wicemarszałek koronny w byłej Tymczasowej Radzie Stanu i podczas Komisji Przejściowej, funkcjonującej chwilowo w zastępstwie wakującej instytucji najwyższej, był obok rektora Brudzińskiego wymieniany jako kandydat do teki oświaty w przyszłym rządzie polskim. Nie jest to zgoła człowiek, kwalifikujący się na męża stanu. Polecenie mu stworzenia gabinetu w pierwszym rządzie polskim byłoby chyba tym usprawiedliwione, że jest to człowiek ze wszystkich stron miękki i na wszystkie strony okrągły, bez żadnych ostrych kantów i bez wyrazistej indywidualności, który by był tylko firmą, pokrywającą różne indywidualności wewnątrz gabinetu, które dla tych czy innych powodów, przez swoją taką czy inną wyrazistość są dla poszczególnych grup czy kierunków kamieniem obrazy. Jednocześnie prezesura Pomorskiego w rządzie dawałaby satysfakcję moralną Tymczasowej Radzie Stanu, którą musi obrażać niedopuszczenie nikogo z jej ludzi do Rady Regencyjnej. Kandydatura Pomorskiego byłaby kompromisową. Indywidualnie byłaby nic nie mówiącą, a zaletą jej byłaby satysfakcja moralna dla Rady Stanu, rodzaj odczepnego dla tej nieboszczki w myśl zasady „*de mortuis aut bene aut nihil*" (w tym wypadku równa się to = *nihil*) i nieszkodliwość osobista premiera jako męża stanu; minus tej kandydatury – to idea czy tani nałóg kunktatorstwa i połowiczności, których wcieleniem zdaje się być poczciwy Pomorski; jest on poniekąd żywym ucieleśnieniem, żywym symbolem nieboszczki Rady Stanu w jej klasycznych rysach chwiejności, dobrej woli i poczciwego niedołęstwa.

W obliczu mających się dokonać faktów w sferze państwowej realizacji Polski sprawa wojska polskiego i w szczególności polskich Legionów traci swój dotychczasowy ostry charakter kryzysu, a właściwie i całe swoje dotychczasowe oblicze. Ustaje bowiem wreszcie sprawa armii narodowej jako sprawa jakaś odrębna, wykrojona z całokształtu zagadnienia państwowości polskiej, jak ją dotąd traktowali i Niemcy i Rada Stanu, i w dużym stopniu społeczeństwo, i nawet poniekąd same czynniki wojskowe. Była to anomalia, dziwaczna i nieżywotna, która też była jedną z kardynalnych przyczyn wszystkich niepowodzeń w tej sprawie i wszystkich konfliktów, przesileń i katastrof w Legionach. Trzeba przyznać, że Legiony, a przynajmniej ta ich część, która „politykowała" i skończyła na obozie jeńców w Szczypiornie i Beniaminowie (Zegrzu) oraz na masowym podawaniu się Galicjan o przeniesienie do c.k. armii, zawsze konsekwentnie stała na gruncie tej idei o zależności sprawy wojska od sprawy państwa i protestowała przeciwko ich rozdwajaniu i robieniu ze sprawy wojska jakiejś niezależnej sprawy, którą można rozwiązać *à part*[4]. Wszak wyrazem tegoż dążenia była odmowa przysięgi. Teraz kwestia armii pozostanie już wewnątrz państwowości polskiej i na gruncie jej władzy i organów jako zagadnienie jednej z funkcji państwowych. I tym bardziej budzi się teraz żal do nieboszczki Rady Stanu i pytanie, po co ona forsowała rozwiązanie sprawy wojska poza sprawą realizacji państwa, przez co nie tylko nic nie osiągnęła, ale jeszcze doprowadziła ten szczupły zawiązek wojska, jaki był w

[4] (fr.) tu: osobno.

Legionach, do rozbicia i zmarnowania. Tak bliska przecie meta oddzielała moment forsowanej nieszczęsnej przysięgi od momentu dzisiejszego, kiedy się zaczną zapewne realizować fakty państwowości polskiej! Czy Rada Stanu tego nie przewidziała? Czy też bez tych bolesnych doświadczeń i przyśpieszonego przez nie kryzysu sprawa realizacji państwowej nie byłaby może jeszcze dojrzała? Czy koniecznie potrzebna była jeszcze ta ostatnia, najtragiczniejsza ofiara legionowych dziejów? I zarazem ostrzej mi w sercu dźwięczy żal do Piłsudskiego. Czy nie widział tego komendant, gdy miast usiłowania udaremnienia polityki Rady Stanu i niedopuszczenia do smutnych doświadczeń z przysięgą, umył ręce i przeszedł do roli widza, obserwując, jak załamuje się i wali legionowa sprawa?! Tak, on był z nimi, gdy stawiali opór przysiędze, ale nie chciał (czy tylko nie mógł?) przeszkodzić, żeby sama sprawa przysięgi powstała. A cała ta walka, całe to dziwactwo poprzednich eksperymentów w sprawie wojska – zniszczyła Legiony. Zmuszało to je do polityki, a polityka je koślawiła i wojskowo demoralizowała. Ocaliły one zasadę, ale siebie zgubiły. Są dziś ludzie, którzy widzą, że po utworzeniu regencji i rządu Legiony mogą wrócić do formacji wojska i że nawet ci ze Szczypiorna mogą być zużytkowani. Nie wierzę w to. Legiony zgubiły w polityce swoje kwalifikacje do armii jako regularnej formacji państwowej, a ci ze Szczypiorny mają na sobie plamę wojskową – złożenie broni. Żołnierz, który złożył broń, który dał się rozbroić, dobrym żołnierzem nie będzie, pozostaje to jak rdza na jego poczuciu żołnierskim. Jeżeli nie wszyscy jeszcze, to ogromna większość internowanych w Szczypiornie czuje to – bądź świadomie, bądź podświadomie.

10 września, rok 1917, poniedziałek
Manifest niemiecko-austriacki w sprawie polskiej dziś się nie ukazał, wbrew zapowiedziom prasy i oczekiwaniu powszechnemu. Przypuszczam, że zachodzą jeszcze kwestie i trudności w sprawie osoby trzeciego członka Rady Regencyjnej, co wpływa na opóźnienie aktu.
Dzisiaj upłynął termin mojego oczekiwania na ewentualny sprzeciw władz okupacyjnych niemieckich w sprawie mojej nominacji na sędziego pokoju. Wobec tego udałem się rano do Pałacu Rzeczypospolitej na Placu Krasińskich, gdzie od tygodnia mieści się Departament Sprawiedliwości. Dowiedziałem się, że władze okupacyjne sprzeciwu nie zgłosiły i że nic zatem nie stoi już na przeszkodzie objęcia przeze mnie posady i wyjazdowi do Kolna. Dzięki Bogu – rzecz ta doszła do skutku. Makowski obiecał, że jutro otrzymam wszystkie papiery potrzebne dla wyjazdu.
W związku ze sprawą mego wyjazdu stały dwie najtrudniejsze dla mnie sprawy – sprawa ubrania cywilnego i pieniędzy. Obie też, dzięki Bogu, załatwiły się bardzo pomyślnie. Odroczenie wyjazdu na tydzień dopomogło mi w tym. Przed kilku dniami chorąży Sujkowski odwiózł mój garnitur marynarki, który był powędrował do Kalisza i Szczypiorna i rozminął się ze mną w drodze, a przed paru dniami trafiła się okazja do Lublina, skąd przywieziono mi moje ładne palto jesienne. Brak mi tylko strojniejszego wizytowego ubrania, które z konieczności będę musiał sobie zafundować w postaci żakietu jako tańszego i, dzięki Bogu, modniejszego obecnie od długiego uroczystego tużurka. Wolę tużurek, ale względy drożyzny są silniejsze. Żakiet upatrzyłem już sobie gotowy u pewnego krawca przy ul. Świętokrzyskiej – za 68 rubli (z kamizelką).
Co do pieniędzy, to także nie poszło mi z tym ciężko. Choć czekał na mnie spory względnie zasób gotówki w Warszawie, łącznie z tym, co ze Szczypiorna odwiozłem, jednak miałem sporo różnych wydatków, a poza tym, licząc na posadę i wyjazd do Kolna, nie żałowałem sobie na jedzenie i odżywiałem się jak na dzisiejsze czasy – po królewsku. Było to poniekąd koniecznością po głodzie i osłabieniu fizycznym w obozie jeńców. Kosztowało mię to drogo, bo dziś dobre jedzenie w Warszawie – to zbytek, ale

musiałem sobie teraz na to pozwolić. Nie przypominam też sobie, żebym miał kiedykolwiek taki wilczy apetyt, jak teraz. Pieniądze topniały, a przed sobą miałem jeszcze takie niezbędne grube wydatki, jak nabycie książek prawniczych (do 100 marek) i co najmniej żakiet. Nie martwiłem się jednak zbytnio, bo miałem jeszcze źródła kredytu – w pierwszym rzędzie p. Starzyńskiego, który mi pozwolił w liście do Szczypiorna na jak najszersze korzystanie z jego kredytu, i w rezerwie na wszelki wypadek – Pomorskiego. Sięgnąłem w pierwszym rzędzie do kredytu p. Starzyńskiego, skąd wziąłem przed trzema dniami 200 marek. Do Pomorskiego na razie sięgać nie zamierzałem. Najniespodziewaniej wszakże wystąpił wczoraj z ofertą 300 marek pożyczki Karol O'Rourke, który otrzymał akurat wigilią zawiadomienie z banku w Berlinie, że może mu być wypłacona zaliczka *à conto* należnych mu wypłat procentów na zdeponowany tamże kapitał. Nie chciałem na razie zaciągać pożyczki od O'Rourke'a, ale gdy nalegał, przyjąłem. Z tych pieniędzy wykupię z lombardu mój pamiątkowy zegarek złoty, który tam od roku pokutuje, i oprócz tego odeślę Maryńce 50 marek, które mi na wieść o internowaniu moim przysłała, zastawiając biedaczka jakieś tam kosztowności swoje w lombardzie.
Przyszły dziś świeże wieści z Litwy w liście Witolda Abramowicza do Ludwika, przysłanym przez okazję. Do listu załącza Witold odezwę, wydaną przez Polaków wileńskich, protestującą energicznie przeciwko stanowisku Litwinów. Większa część listu poświęcona jest tej samej sprawie *ex re* zjazdu litewskiego, mającego się odbyć koło 12 września. Jest to ten sam zjazd, o którym wspominałem przed paru dniami w dzienniku. Zjazd ten ma być poprzedzony szeregiem wieców, urządzanych przez Litwinów dla spopularyzowania platformy polityczno-państwowej, na której oni stoją, i zapewne przygotowania terenu dla uchwał na samym zjeździe. Zjazd jest podobno obliczany na 200 uczestników, w tej liczbie kilku Polaków, zaproszonych przez Litwinów. Odezwa polska wzywa Polaków litewskich do bojkotowania zjazdu i odmawia im prawa nie tylko przedstawiania Polaków, ale nawet uczestniczenia. Witold Abramowicz gorąco się odwołuje do Ludwika, żeby w Warszawie zrobić wszystko, co się da, by przeciwko temu zjazdowi zaprotestować. Cóż to tak gorszy Witolda Abramowicza i Polaków litewskich? Oto to, że zjazd ma stanąć na platformie, wystawianej przez Niemców w ich kombinacjach litewskich: Litwa jako samodzielna jednostka państwowa w związku Rzeszy Niemieckiej ze stolicą w Wilnie i obszarem, ogarniającym obecne „Civilverwaltung Littauen" (gub. kowieńska, większa część suwalskiej aż po powiat augustowski, niemal cała wileńska w granicach obecnej linii wojennej i cząstka ewentualnie powiatu grodzieńskiego). Polacy uderzają na alarm, że Litwini tą drogą ćwiartują żywy organizm Litwy na ciele ludności białoruskiej i polskiej, że anektują Wilno, że dążą do litwinizacji przymusowej kraju itd., itd. Witold Abramowicz upewnia, że Białorusini są na Litwinów oburzeni, że Żydzi są wrogo do tych kombinacji usposobieni, że słowem wszyscy – prócz samych Litwinów – uważają ich stanowisko i ich usiłowania za bolesną dla siebie krzywdę. Najbardziej oczywiście krzyczą Polacy litewscy. Co do Żydów, to się im nie dziwię, bo im najmniej chodzi o prawno-państwowe tezy kraju i zapewne najbardziej przez nich upragnionym jest powrót do Rosji, w której rewolucja otwiera im szeroko wrota do handlu i spekulacji na wschodzie. Co do Białorusinów, to przyjmowałbym z wielką rezerwą twierdzenia Witolda o pokrzywdzeniu ich przez Litwinów. Wiem, jak często i jak usilnie większość Polaków litewskich stara się rozdmuchać antagonizmy litewsko-białoruskie, przeciwko czemu tak jedni, jak drudzy zwykle, przynajmniej dotąd, bardzo ostro się zastrzegali. Ciekawe, że Polacy litewscy, którzy sami tak lekceważą Białorusinów i ruch białoruski i w swoich kombinacjach i dążeniach tak mało się z prawami Białorusinów liczą, uważając ten lud za przyszły żer polonizmu, są tak wrażliwi ma krzywdy białoruskie,

gdy te ewentualnie od Litwinów pochodzą. Witold Abramowicz rwie szaty na sobie ze zgorszenia i woła, że oto Litwini odrywają Wilno od Polski, anektują, ćwiartują i dzielą W. K. Litewskie. Ale o co mu właściwie chodzi? Rozumiałbym raczej zgorszenie tych Polaków, którzy w imię haseł wszechpolskich, odrzucając z góry wszelkie teorie krajowe, żądali oderwania od Litwy Białej Rusi katolickiej i Wilna w celu ich wcielenia do Polski, albo tych, którzy bezwzględnie stali na absolutnej niepodzielności W. K. Litewskiego. Litwini, zagarniając Wilno do Litwy, a godząc się na wyłączenie gub. grodzieńskiej obrażaliby i pierwszy, i drugi z tych programów. Ale Witold Abramowicz! O co jemu tak chodzi? Wszak przedstawiał się on za przeciwnika wszechpolskiego programu oderwania Wilna od Litwy i aneksji jego do Polski, a znów z drugiej strony, w swoim Wielkanocnym programie państwa związkowego czy związku państwa, przeforsowanym przezeń w Komitecie Polskim, uznawał w gruncie dopuszczalność dzielenia Litwy na odrębne jednostki związkowe. I nie wiadomo, o co tu bardziej Polakom litewskim w ich zgorszeniu chodzi: czy o to, że Litwini godzą się na rezygnację z Grodzieńszczyzny, czy też o to, że nie rezygnują z Wilna. Litwini jako realni praktyczni politycy układają kombinację na gruncie propozycji niemieckich, które tym razem są co do określenia terytorialnego dość bliskie ich aspiracjom. Trudno się temu dziwić. A co do polityki Polaków litewskich, to popełniają oni, moim zdaniem, błąd gruby. Dla skierowania Litwinów do idei ewentualnego związku z Polską, o ile tego Polacy litewscy pragną, należałoby rozpoczynać nie od protestów i bojkotowania litewskich zapoczątkowani państwowych, ale wejść z Litwinami we współpracownictwo i za punkt wyjścia wziąć właśnie niepodległość Litwy. Tylko bowiem przez niepodległość Litwy można dojść do programu jej związku z Polską; w przeciwnym razie, jeżeli Litwini poczują w Polakach litewskich pragnienie aneksji, nigdy na ideę związku nie pójdą. Że też Polacy litewscy nie wyczuwają jedynej możliwej metody i sami krzykiem i obstrukcją, stając w roli szkodników niepodległości Litwy, jednocześnie przez to niszczą tę ideę, o którą im samym chodzi.

11 września, rok 1917, wtorek
Wracając do wczorajszego listu Witolda Abramowicza z Wilna do Ludwika Abramowicza, zanotuję jeszcze parę szczegółików z wiadomości wileńskich. Wacław Studnicki z żoną są aresztowani. Co Niemcy z nimi zrobią – nie wiadomo: zapewne wyślą do obozu jeńców, jak tylu innych (z Wilna byli wysłani między innymi – Jeleński-Czyż, Jan Vileišis, Augustyn Janulaitis – jeszcze w roku 1916). Przypuszczam, że Studniccy aresztowani zostali za „Gross-polnische Agitation", która przeciwstawia się niemieckim w stosunku do Litwy kombinacjom. W tych swoich zapędach wszechpolskich Studniccy byli istotnie niepohamowani i szkodliwi w Wilnie (nie usprawiedliwiam przez to bynajmniej represji niemieckiej). Dla Studnickich wszystko było za mało aneksyjne wobec Litwy. I usiłowania Komitetu Polskiego w Wilnie, i wszelkie oświadczenia stronnictw polskich w Warszawie w sprawie Litwy, choć zmierzały wszystkie różnymi drogami i poprzez różne kombinacje do jednego celu – jakiejkolwiek formy związku państwowego Litwy i Wilna z Polską – były dla Studnickiego złe i niewystarczające. Studnicki chciał jawnych i szczerych, bezwzględnych oświadczeń na rzecz wcielenia Litwy, a przynajmniej jej znakomitej części z Wilnem – do Polski. Nie znosił żadnych osłon i dróg krętych, które uważał za nie prowadzące do celu. Bo też rzeczywiście, cokolwiek mu można zarzucić co do wartości jego działania, jest to człowiek niezmiernie szczery i prosty w polityce, człowiek zupełnie prawy. Słał ciągle deklaracje, adresy lub protesty do Warszawy, walił obuchem we wszelką połowiczność, demaskował najsubtelniejszą przędzę Komitetu Polskiego w Wilnie, był prawdziwym „*enfant terrible*" polityki polsko-litewskiej. Nie

znajdując dla swych szczerych i radykalnych metod polityki imperialistyczno-wszechpolskiej zwolenników wśród polityków wileńskich, szukał adeptów w kołach nieodpowiedzialnej młodzieży lub rzemieślników i gromadził jakieś niewiadome podpisy pod swymi protestami, deklaracjami itd. On też nasłał do Legionów całą kupę jakichś rekrutów z Wilna, rozmaitej hołoty i zbieraniny, która się teraz obija albo w Szczypiornie, albo w „kursie wyszkolenia” w Ostrowiu, niewiele przynosząc sławy i zaszczytu czy to wojsku polskiemu, czy Wilnu. Studnicki z żoną, roznamiętnieni politycznie, rozwichrzeni i rozagitowani, szalejący w swym ciągłym warcholstwie, w ostatnich czasach ostatecznie już przymierali z głodu. Teraz biedacy są aresztowani. Druga wiadomość z listu Witolda Abramowicza – że u Białorusinów nastąpił rozłam. Wacław Łastoŭski na czele jakiejś organizacji, której nazwy sobie nie przypominam (jakieś „Hramadzianstwo) zwrócił się przeciwko braciom Łuckiewiczom, z którymi zerwał. Znając jednak spryt i giętkość braci Łuckiewiczów oraz ten ich atut, że są oni główną sprężyną środków materialnych ruchu białoruskiego, Witold Abramowicz wątpi, czy ten rozłam się utrzyma i czy osamotnienie braci Łuckiewiczów będzie istotnie kresem ich kariery politycznej. Trzecia wiadomość z Wilna – to już nie z listu Witolda Abramowicza: Antoni Smetona zaczyna wydawać w Wilnie pismo litewskie „Lietuvos Aidas”. Będzie to od czasu okupacji niemieckiej pierwszy narodowy organ Litwinów, bo jedyne pismo, które wychodziło przez czas okupacji w kraju – „Dabartis” (wpierw w Kownie, obecnie aż w Białymstoku) – jest organem, służącym tendencjom okupantów i wydawanym przez Litwina pruskiego Steputaitisa za pieniądze niemieckie. Będę musiał zaprenumerować „Lietuvos Aidas” do Kolna. Ciekaw jestem bardzo tego pisma; może i sam doń pisywać czasem będę.
Otrzymałem dziś w Departamencie Sprawiedliwości wszystko, co mi do wyjazdu do Kolna potrzebne: przepustkę, świadectwo lekarskie odwszenia (bez takiego świadectwa udawać się w podróż cywilom nie wolno), zaliczkę na koszta przeprowadzki. Zameldowałem mój wyjazd w tym biurze niemieckim policji wojennej, w którym po przyjeździe z obozu jeńców miałem rozkaz meldowania się co tydzień jako podlegający dozorowi specjalnemu. Obawiałem się, że z tej strony mogą jeszcze w ostatniej chwili zajść jakieś trudności i może przeszkody do wyjazdu i objęcia urzędu, ale nic – rzecz poszła zupełnie gładko. Wyjeżdżam do Kolna pozajutro.
Dziś Hela Ochenkowska wyjechała z Warszawy, udając się przez Wilno do matki do Karolinowa, tuż pod sam front. Biedaczka wyjeżdżała smutna i znerwowana. Najciężej jej było opuszczać Ludwika Abramowicza, którego kocha całą siłą istoty wysoce indywidualnej i rozpaczliwie walczącej z nadchodzącą starością fizyczną. Jako kobieta, która ma lat przeszło czterdzieści, choć jeszcze niezwykle młodo na swój wiek wygląda i pełna jest duchowych przymiotów młodości – Hela czuje uciekające jej ostatki młodości, których się trzyma kurczowo, bo z nimi związana jest ta miłość i szczęście, jakie opromieniają jej życie w stosunku z Ludwikiem Abramowiczem. Kocha ona Ludwika szalenie i w tę miłość, w tego człowieka kładzie całą swoją bogatą piękną naturę fizyczną i duchową. Ten kryzys zerwania stosunku, który miał miejsce przed laty czterema czy pięciu w Wilnie, w którym też przygodnie uczestniczyłem i którego ślad pozostał w dzienniku moim z owych czasów, nie umniejszył miłości i rozwiał się jak dym. Mam wrażenie, że Ludwik Abramowicz nie wart jest tej wielkiej miłości Heli i że skarb swojej indywidualności, który mu Hela w miłości daje, jest po królewsku hojny w porównaniu do wartości indywidualnych, jakie są w Ludwiku. Ale mam też wrażenie, że neurastenik Ludwik także kocha Helę prawdziwie. Dla Heli wyjazd obecny z Warszawy był tragedią.
Dowiedziałem się dziś od Ludwika Abramowicza, że w Przemyślu, gdzie były zgromadzone pułki Legionów, dokonał się ostatni akt dramatu upadku Legionów. Z

pułków piechoty – pułki I, IV, V i VI przestały istnieć. Zadano wszystkim żołnierzom Legionów, austriackim poddanym (w tych pułkach Królewiaków już nie było, bo wszyscy siedzą w Szczypiornie, o ile nie uratowali się od obozu jeńców dezercją) [pytanie] – kto chce zostać w wojsku polskim, a kto – być przeniesionym do c.k. armii. Tych, którzy wyrazili chęć zostania, włączono do II lub III pp. Z I pułku piechoty wyraził chęć zostania tylko jeden żołnierz, z V – dwóch. Odchodzących do c.k. armii natychmiast przydzielono do odpowiednich oddziałów, skąd mają być ex-legioniści wysłani na front (bodajże włoski). Tak więc oto nie ma już mojego pułku.
Na zakończenie następny z kolei wyroczek z praktyki naszych sądów żołnierskich w obozie jeńców w Szczypiornie. Była to sprawa, w której ja w sądzie nie uczestniczyłem. „Obóz jeńców w Szczypiornie, dnia 20.VIII. 1917. Sąd blokowy w osobach ob. Edwarda Niedzielskiego jako przewodniczącego, ob. Leona Górskiego jako referenta, ob. ob. Zbigniewa Michałowskiego, Jana Świercza i Antoniego Michałowskiego jako członków, rozpatrując sprawę ob. Leonarda Czerwonki, oskarżonego o ukrycie butów, danych mu przez ob. Bronisława Janka na sprzedaż, celem późniejszej sprzedaży tychże butów i zatrzymania zysku dla siebie, po wysłuchaniu oskarżonego Czerwonki i ob. ob. Br. Janka, Jana Olszaka, St. Chłonda, Łuszczka Piotra i sierżanta Szulca Jana jako świadków – oświadcza: w toku sprawy wykazano, że sprawa Czerwonki stoi w ścisłym związku z nową, o której przekazanie Sąd zwraca się do komendy bloku czwartego. Sąd proponuje pociągnąć do odpowiedzialności ob. ob.: 1. Olszaka Jana za usiłowanie sprzedaży butów przywłaszczonych (rzekomo należących do ob. chorążego Bielińskiego); 2. Janka Bronisława o pośrednictwo w tej sprzedaży; 3. Chłonda Stanisława o przechowanie tych butów i współudział z Czerwonką; 4. Czerwonkę Leonarda o wyżej wymienione oskarżenie w rozpatrzonej już przez Sąd sprawie; sprawę zaś obecną przerwać. Podpisy: E. Niedzielski, Górski Leon, Z. Michałowski. Jan Świercz, A. Dąbrowski, Wąsowicz”. Wniosek sądu został przez komendę bloku zaakceptowany: Wąsowicz przekazał nową sprawę sądowi. Pod obrady sądu weszła ona już po moim wyjeździe. Istota rzeczy w tej sprawie przedstawia się tak: niejaki Janek dał Czerwonce buty do sprzedania, nazajutrz rano Czerwonka robi na sali alarm, że mu buty zginęły, widocznie skradzione przez kogoś z kolegów. Koledzy na sali, posądzając, że sam Czerwonka schował buty, a potem rzuca na salę podejrzenie, zrobili u niego rewizję i pod deską pod pryczą buty znaleźli, za co sprawili Czerwonce „dekę', Czerwonka zaś oddany został pod sąd. Na sądzie Czerwonka, broniąc się przeciwko oskarżającym go i rzekomo poszkodowanym świadkom, wyśpiewał sekret, że buty te wcale nie były własnością poszkodowanych, którzy sami je skradli jeszcze w Pomiechówku od chorążego Bielińskiego. W ten sposób ze sprawy tej wynikło nowe oskarżenie i nowa sprawa. Piękne to były ptaszki! Czerwonka usiłował okraść nie właściciela, lecz złodzieja: szajka złodziejska, w której wspólnicy okradają się wzajemnie. Tenże Czerwonka w parę dni później został oddany pod sąd obozowy pod oskarżeniem kradzieży dewizki złotej i pierścionka. Ładny ananas! W wyżej cytowanej sprawie sędziowie nasi, obradując beze mnie, nie umieli sobie poradzić i nie wiedzieli, co zrobić, gdy się natknęli na ślady szerszej zbrodni. Musieli się odwołać do mnie jako do eksperta prawnika: ja to im wskazałem drogę umorzenia tej sprawy i wszczęcia innej, nowej.

12 września, rok 1917, środa
W Rosji nowa zawierucha. Generał Korniłow *contra* Kiereńskiemu, usiłowany zamach stanu Korniłowa, prawdopodobnie wojna domowa, ewentualne powstanie w Finlandii, chaos najdziwaczniejszych rozpętanych przeciwieństw, a wszystko to na tle strasznej wojny zewnętrznej, pogromów wojennych Rosji na frontach, spodziewanych marszów

wroga w głąb kraju i na samą stolicę, dezorganizacji armii, najstraszniejszego rozprzężenia finansów, kompletnej anarchii w całej machinie państwowej. Oto obraz „wielkiej" rewolucji rosyjskiej. Czy wyłoni się z niej jakaś myśl i czyn twórczy, czy też posłuży ona tylko do rozkładu wielkiej niewoli ludów w imperium rosyjskim i do utorowania dróg nowym zawiązkom twórczym na gruzach zwalonego kolosa! Czy może nastąpi reakcja i powrót wstecz, a właściwie poddanie bierne Rosji jarzmu angielskiemu. To, co się teraz w Rosji dzieje – to prawdziwa opętańcza orgia żywiołów. Biedny szlachetny Kierenskij. Cześć Ci, bracie serdeczny, któryś pragnął zbratania wolności z siłą, wielkiego idealizmu ludowego z mądrością stanu. Są pogłoski o zamordowaniu Kierenskiego, o marszu Korniłowa na Petersburg. Wieści z Rosji w depeszach są bardzo sprzeczne. Są jakieś niedokładności, jakieś przerwy w komunikacji telegraficznej z Rosji do Sztokholmu, a stąd wszystko, co się tam dzieje, błąka się na razie w mgle pogłosek. Wkrótce zapewne wyłonią się fakty.
Przechodząc, jak to jest w zwyczaju w dzienniku, od wielkich wypadków dziejowych do moich osobistych spraw powszednich, zanotuję fakt dla mnie przyjemny: oto wykupiłem dziś z lombardu mój kochany zegarek złoty, pamiątkę po moim zmarłym przed laty akurat dwudziestu przyjacielu i koledze ze Szkoły Prawa w Petersburgu, Piotrze Szymkowiczu. Ja osobiście mam zawsze wielką skłonność przywiązywania się do rzeczy, do drobnych przedmiotów użytkowych, które mi dłuższy czas służą. Nabierają one indywidualności w mojej psychice, łączą się z epizodami mojego życia, mają swoje dzieje, swoją ciągłość, swoją tradycję u mnie. Przez pochodzenie swoje lub czas służby stają mi się drogie i prawie żywe. Kocham je jak przyjaciół. Do największych przyjaciół w ich liczbie należy ten mój piękny zegarek, bijący dźwięcznym głosem na każde zawołanie godziny, kwadranse i minuty. Służy on mi wiernie i towarzyszy we wszystkich przejściach mego życia od roku 1897 aż dotychczas. Tragiczna była geneza mojej własności zegarka, bo go dostałem z przedśmiertnego legatu po samobójczej śmierci młodego przyjaciela i kolegi. Przez późniejszy okres mego życia zegarek ten powiązał mi się w pamięci ze wszystkim, co przeżyłem i co kochałem. Jest w nim zaklęta epizodyczna mojego życia ciągłość, jest w nim cząstka tego, co dla mnie było, jest i pozostanie najgłębszym, najdroższym i najszlachetniejszym w życiu – Aninki mojej pamięć. Tak, zegarku kochany, znowu jesteś ze mną i u mnie, pamiątko droga, towarzyszu wierny. Przez rok cały był w lombardzie, po raz drugi w ciągu lat dwudziestu. Oba razy przeleżał w lombardzie po roku, raz w Krakowie, teraz – w Warszawie. I trzebaż takiego trafu, że jak wtedy spędził w lombardzie dziesiąty rok służby u mnie, tak teraz spędził tak samo dwudziesty. W Krakowie był w lombardzie od roku 1906 do roku 1907, teraz w Warszawie od roku 1916 do roku 1917. Ciekaw jestem, czy nie wydarzy mu się to – dla rytmu dziesięcioletnich okresów – w latach 1926-1927, jeżeli wtedy jeszcze żyć będę. Bądź znowu moim, zegarku złoty.
Gotów już jestem do podróży do Kolna, dokąd jutro rano, *via* Łomża, wyjeżdżam. Odebrałem dziś od krawca mój żakiet, kupiony wczoraj i zostawiony mu jeszcze do przeróbki. Za żakiet z kamizelką zapłaciłem 68 rubli. Wobec postępującej deprecjacji rubli papierowych wytworzył się dziwaczny stosunek między rublem a marką w handlu. Ceny urzędowo są w markach, ale liczone są jeszcze w handlu najczęściej w rublach i kopiejkach z przekładem rubla na markę w stosunku 1 marka = 40 kopiejek, co się równa 1 rubel = 2 marki 50 fenigów. Ponieważ rynkowy kurs rubla jest niższy od tego stosunku, więc coraz powszechniej ludzie, oznaczający cenę w rublach i kopiejkach, zastrzegają, że zapłatę przyjmą tylko w markach i fenigach, do czego mają prawo, bo rubel urzędowego kursu nie posiada. Ostatecznie płacić rublem można jeszcze – znaczna część kupców przystaje jeszcze na to, ale biada, jeżeli w banknocie rublowym

znajdzie się choćby najmniejsza dziurka, choćby była mniejsza od dziurki od szpilki. Takiego rubla nie przyjmie nikt i ceny nie ma on w handlu żadnej. Transakcje w rublach są męką prawdziwą, bo płaceniu towarzyszy szczegółowa i bezwzględna analiza banknotów pod światło. Najmniejsza, ledwie dostrzegalna dziurka sprawia odrzucenie banknotu bez pardonu. Mój krawiec, określając cenę w rublach, chciał, bym mu zapłacił w markach – 170 Mk, ale ostatecznie zgodził się na ruble, byle były całe. Zaryzykowałem i w pierwszorzędnym banku kupiłem 68 rubli za 154 marek 50 fenigów, kłócąc się o każdy banknot i odrzucając kilka dla domniemanych dziurek. Ryzyko się udało. Krawiec nie zakwestionował nowiutkich banknotów rosyjskich, ja zaś wygrałem przeszło 15 marek na płaceniu rublami.
Chcę jeszcze nadmienić słówko o sprawie wojska i Legionów. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale Ludwik Abramowicz mi powiada, że sprawa wojska będzie formalnie (czy także faktycznie?) wyłączona z kompetencji Rady Regencyjnej i rządu i pozostanie jak dotąd atrybutem „Abteilung für polnische Wehrmacht", samodzielnie na dotychczasowej stopie w ręku Beselera jako organizatora i wodza polskiej siły zbrojnej. Jeżeli tak będzie, to nadal utrzyma się dziwaczne i anormalne odseparowanie sprawy armii od sprawy państwowości polskiej, ale w takim razie nic chyba ze sprawy wojska nie będzie, tak jak nie było dotąd. Anomalia taka nie może być płodną.
Co zaś do Legionów, których epilog w Przemyślu się dokonał, to chociaż uważam, że inaczej stać się nie mogło i że Legiony już były zmarnowane i przestały być dla ewentualnej sprawy armii użyteczne, bo armia ta, jeżeli ma być tworzona, winna już być teraz oparta tylko na poborze rekruta, a nie na nieszczęsnych wykolejonych Legionach, to przecież w całej tej katastrofie legionowej, nieuniknionej i logicznej – niestety, dostrzegam jedno bardzo poważne niebezpieczeństwo dla całej sprawy państwowej polskiej w przyszłości. Jakże kruchym jest państwo, nie opierające się o lud, a tym bardziej budowane wbrew niemu. Tymczasem to grozi właśnie Polsce. Chodzi o to, że masy ludowe w Królestwie powszechnie, prawie bez wyjątku, są wrogie bezwzględnie mocarstwom centralnym i każdy akt budowania Polski w jakimkolwiek kontakcie z Niemcami jest przez te masy niechętnie widziany, właśnie ze względu na ów kontakt. Tymczasem uniknąć całkowicie tego kontaktu niepodobna. Legioniści, którzy, o ile zwłaszcza o Królewiaków chodzi, rekrutowali się przeważnie z masy ludowej, stanowili najgorętszy i najwrażliwszy element ludowy, sprzyjający budowaniu niepodległości; element ten mógł, będąc pełnym zapału i czynnych aspiracji, paraliżować nieufność i niechęć ludową do Polski, tworzonej z oparciem się o Niemcy. Tymczasem teraz, po wypadkach, które zaszły, legioniści odpadli do kadrów opozycji i wrócą oni ze Szczypiorny najgorzej usposobieni do jakichkolwiek kombinacji państwowo-polskich z Niemcami. I w masie ludowej wzmogą oni kierunek i nastrój nieufny i niechętny tworzącemu się państwu. Inteligencja polska coraz chętniej, nawet coraz dalej ku prawicy, zabiera się do akcji państwowej, ale czy zdaje ona sobie sprawę, że buduje państwo bez ludu i czy zdaje sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo tkwi w zmarnowaniu demokratycznego czynnika legionowego w fundamencie dzieła państwowego. Państwo, które nie opiera się o demokrację, jest dziś kombinacją bardzo źle zbudowaną. Dużo, bardzo dużo straciła Polska w Legionach, nie tylko dla sprawy armii (to, moim zdaniem, strata względnie mniejsza), ale dla samej wewnętrznej mocy swego bytu. Nad tym, zdaje się, najmniej zastanawiano się w Królestwie, myśląc tylko o sprawie wojska, jak gdyby sprawa ta mogła być sama w sobie rozważana. O ile o Legionach politycznie myślano, to tylko, zdaje się, wyłącznie *sub specie* zagadnienia armii. A było to zagadnienie głębiej sięgające.
Jeszcze mały referacik sądowy z obozu jeńców ze Szczypiorny. Wyrok oboźnego sądu żołnierskiego: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 20-21.VIII.1917. Oboźny Sąd żołnierski

w osobach ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego, ob. Jana Pawłowskiego z V pp. jako referenta i ob. Bronisława Wahrena z II pp. jako członka, rozważał sprawę ob. kaprala Bronisława Grabałowskiego z V pp., oskarżonego o to, że będąc obdarzony zaufaniem kolegów i pełniąc z wyboru obowiązki członka komisji gospodarczo-żywnościowej z ramienia bloku II, przy wydawaniu żołnierzom chleba z zakupów z Kalisza, oszukiwał ich na wadze tegoż, przy czym różnica między wagą chleba, podawaną przez oskarżonego przy wydawaniu a rzeczywistą dochodziła na niektórych bochenkach do przeszło 30 procent, co w dniu 18 bm. stwierdzone zostało w całym szeregu faktów po przeważeniu chleba przez żołnierzy na tychże kuchennych wagach, na których go ważył poprzednio oskarżony. Po zbadaniu wszystkich dowodów sprawy, którymi Sąd rozporządzał, i po przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. sierżanta Wojciechowskiego, kaprala Hebdy i Kordelasińskiego, Sąd orzeka: 1. oskarżonego Grabałowskiego uznać winnym wymienionego przestępstwa, 2. za karę, niezależnie od pozbawienia go zaufania kolegów i usunięcia od obowiązków członka komisji gospodarczo-żywnościowej, co już zostało dokonane – pozbawić go na przeciąg dwóch tygodni chleba dodatkowego z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego i oprócz tego skazać go na tenże przeciąg czasu na pełnienie karnych dyżurów na Sali co trzeci dzień, to znaczy trzeciego, szóstego, dziewiątego i dwunastego dnia. Podpisy: M. Rzymski, Jan Pawłowski, B. Wahren. Wyrok zatwierdzam. 21.VIII.1917. Komendant obozu (podpis) Łuszczyc". Sprawa i wyrok – jasne; komentarze zbyteczne. Zaznaczę, że Grabałowskiemu przed oddaniem go pod sąd oburzeni żołnierze zaraz po wykryciu nadużycia sprawili tzw. „dekę".

13 września, rok 1917, czwartek
Jestem w Łomży. Zanim powiem o mojej podróży, wspomnę o tym *de publicis*, co mi dzisiaj rano przed pożegnaniem Ludwik Abramowicz ze sfer politycznych opowiedział. A więc manifest dwóch monarchów w sprawie polskiej, kreujący Radę Regencyjną w osobach Lubomirskiego, Kakowskiego i Ostrowskiego, jest już faktem postanowionym i ukaże się jutro 14 września. Nie ukaże się dziś li tylko ze względu na datę 13-go, która uchodzi, jak wiadomo, za zły omen. Lepiej brzmi: „Manifest 14 września", niż „Manifest 13 września". Jak widać – w wielkiej polityce dla względów popularności zabobony obowiązują. Do atrybucji Sejmu, który ma być powołany po ukonstytuowaniu się rządu, należeć ma, prócz normalnych spraw ustawodawczych, nie tylko wybór króla, ale i ułożenie konstytucji. Sejm więc ten będzie na poły Konstytuantą, ograniczoną zapewne tylko pewnym oktrojowanym statutem organicznym, zakreślającym z góry pewne ogólne tezy ustroju, takie, na przykład, jak monarchia. Druga rzecz, bardziej epizodyczna, o której mi Ludwik Abramowicz opowiadał, to pewien zatarg miedzy Kakowskim a Kołem Międzypartyjnym. Jest to nie tyle zatarg, ile ze strony Kakowskiego skarcenie Koła Międzypartyjnego. Organizacja ta, jak wiadomo, złożona z realistów i endeków oraz elementów, ciążących do grup powyższych, hołduje zasadzie oparcia się o czynniki koalicji (dawniej – o Rosję) przeciwko mocarstwom centralnym i ogląda się na polityczną emigrację, działającą z ramienia Dmowskiego w Rosji, w Anglii, Francji, Szwajcarii. Elementy te dzisiaj już moskalofilskimi w pierwotnym znaczeniu tej koncepcji być przestały i stoją pod hasłem niepodległości; niepodległości jednak z rąk mocarstw centralnych brać nie chcą, bo im nie ufają. Taktyka tego obozu polega na ciągłym wystawianiu zastrzeżeń przeciwko wszelkiemu czynnemu angażowaniu się w realizację aktu 5 listopada, do którego żywią głęboką niechęć. Pod płaszczykiem neutralizmu usiłują nie dopuszczać realizowania czegokolwiek bądź, a przez ciągłe zastrzeżenia nie przestają udaremniać wszelki istotny aktywizm w duchu 5 listopada. Metoda ich jest w istocie metodą obstrukcji, choć się do

niej otwarcie nie przyznają. Chodzi im właściwie o przeszkodzenie faktom dokonanym, aby przez to utrzymać w kraju *tabula rasa*, ułatwiając menerom endecji za granicą i na emigracji ich dzieło układów z Koalicją. Otóż arcybiskup Kakowski, który wraz ze Zdzisławem Lubomirskim należał poprzednio do tegoż obozu, a w ostatnich czasach zaczął stopniowo się zwracać do realizmu państwowego na gruncie aktu 5 listopada i zdecydował się na wstąpienie do Rady Regencyjnej, zaczyna dziś doświadczać na sobie obstrukcyjnej metody Koła Międzypartyjnego. Doszło wreszcie do tego, że zagroził Kołu Międzypartyjnemu, że o ile nie zaniecha ono systematycznego udaremniania wszelkich poczynań przez ciągłe zastrzeżenia i obstrukcję, to wystosuje on list pasterski przeciwko niemu. Dla panów z prawicy jest to groźba bardzo poważna, bo siła ich i wpływy są bardzo ściśle i głęboko z klerykalizmem spojone. Dla arcybiskupa, jak widzimy, list pasterski służy nie tylko za narzędzie duchowe zarządzania diecezją, ale także za środek polityczny. A jest to środek niezmiernie potężny w katolickiej Polsce. Żadne stronnictwo polityczne nie rozporządza takimi środkami wpływów, jak kler i arcybiskup, mogący rzucić na szalę polityki swą władzę duchową nad sumieniem milionów ludzi. Koło Międzypartyjne może sobie pozwolić zlekceważyć nawet popularnego księcia-prezydenta, księcia Zdzisława Lubomirskiego, ale nie arcybiskupa Kakowskiego. Od Lubomirskiego, który urzędowo wystąpił z Koła Międzypartyjnego, Koło zaczyna się już jawnie odgradzać, stwierdzając w organie swoim – „Gazecie Porannej" – że Lubomirski stanął dziś przekonaniowo na gruncie Ligi Państwowości Polskiej. Takie oświadczenie w przededniu utworzenia Rady Regencyjnej, do której należeć będzie Lubomirski, jest jednym z posunięć Koła Międzypartyjnego przeciwko regencji na rzecz zdyskredytowania jej w opinii szerokich sfer sympatyków ideowych Koła. Trudniej jednak Kołu dać sobie radę z Kakowskim, którego oto tak sobie kopnąć *en passant* – niepodobna. Ano – polityka...
Raniutko dziś wstałem, pożegnałem Ludwika Abramowicza i ruszyłem na Dworzec Wiedeński, skąd pociągiem o godz. 7.50 wyjechałem na Małkinię, Ostrołękę do Łomży. Przesiadałem w drodze dwa razy na obydwóch wymienionych stacjach węzłowych. Za towarzyszy podróży w wagonie miałem przez całą drogę samych Żydów. Doprawdy, jadąc teraz w czasach okupacji wojennej koleją, można byłoby sądzić, że ludność Polski składa się z samych Żydów i że to w istocie nie Polska, lecz Judea. Autochtonów aryjsko-słowiańskiej rasy nie dostrzega się wcale. Ruchliwi, z handlu i spekulacji żyjący Żydzi są w ciągłym ruchu: zdawałoby się, że nie ma dla nich żadnych przeszkód ani ograniczeń komunikacyjnych, które unieruchamiają resztę osiadłych krajowców. Cała też rozmowa w wagonie toczy się w żargonowo-niemieckim dialekcie na temat handlu, spekulacji, zysków, rekwizycji, wreszcie na temat świeżo zajętej przez Niemców Rygi, co do której płyną obliczenia i kalkulacje, jakie też tam można teraz spekulacje i zyski uprawiać z towarów, których jest na ogół brak, a które tam pozostały z rąk rosyjskich. O godz. 2 przyjechałem do Łomży. Dorożek nie ma w tym mieście. Tragarz ręczny zaniósł mi rzeczy do hotelu „Rembielin", w którym stanąłem. Łomża jest dla mnie pełna wspomnień z czasów postoju w niej naszego pułku. Z prezesem sądu p. Filochowskim jeszcze się dziś nie widziałem. Widziałem się tylko z naszym wileńskim Urbanowiczem, prokuratorem w Łomży. Pomimo, że w Kolnie będzie mi ze względu na praktykę zawodową ciężko, bo nie będę miał żadnego prawnika do poradzenia się w wątpliwościach, zapewne bardzo częstych, to jednak wolę, że będę tam, niż gdybym miał być tutaj. Obrzydliwe są dla mnie stosunki klikowe, tworzące z sądowników małą sektę towarzyską w głuchym prowincjonalnym mieście, jakim jest Łomża. Przyjrzałem się dziś temu w otoczeniu Urbanowicza i paru podprokuratorów i sędziów śledczych. Żebyż to jeszcze była sekta przynajmniej koleżeńska. Ale gdzież tam! Ponieważ jest między członkami kliki wzajemna zależność służbowo-

hierarchiczna, więc stosunki są przepojone z jednej strony pochlebstwem i głupim służalstwem (po rosyjsku „подобострастие”), z drugiej – próżnością i poufałością. Wstrętne i głupie!

14 września, rok 1917, piątek
Jestem na miejscu w Kolnie. Chciałem w Łomży zostać nieco dłużej, wyjechać ewentualnie dopiero jutro albo nawet w niedzielę, ale do przyspieszenia wyjazdu skłoniła mię ta okoliczność, że dziś wieczorem zapadają święta żydowskie, które oprócz soboty obejmować będą poniedziałek i wtorek. Bez Żydów zaś trudno o furmankę do Kolna, bo choć w ostateczności można wynająć konia i u chrześcijanina, ale po cenie podwójnie albo i kilkakrotnie droższej. Nie byłem tylko pewny, czy zdążę dziś wyjechać, bo musiałbym wyjechać zaraz po obiedzie, aby przed szabasem dotrzeć do Kolna, odległego od Łomży o 4 mile. Nie wiedziałem zaś, czy rozmowa z prezesem Sądu Okręgowego p. Filochowskim, moim bezpośrednim zwierzchnikiem, nie będzie wymagała jakichś szczególnych dłuższych instrukcji z jego strony i czy poza tym załatwię takie rzeczy, jak uregulowanie w kasie sądu zwrotu kosztów podróży, otrzymania niezbędnych blankietów, formularzy, druków, pieczątek, szarfy sędziowskiej itd. Wszystko jednak dało się zrobić. Rozmowa z p. Filochowskim trwała krótko. Nie udzielał mi on właściwie żadnych instrukcji, nie wdawał się w żadne indagacje. Nie bardzo też go z mojej strony indagowałem o jakieś wskazówki, bo jestem jeszcze tak nieświadom techniki i rutyny sędziowskiej, a nawet przeważnie ustaw, działających w Królestwie, że krępowałem się wszczynać jakieś rozmowy, wgłębiające się w detale mojej przyszłej pracy, aby się nie zdradzić zanadto z ignorancją i nie skompromitować na czymkolwiek. Muszę polegać na samym sobie i własnym wysiłkiem pracy, studiów, kombinowania, łamania głowy – wyrobić sobie sam na miejscu odpowiednią umiejętność i rutynę. Czuję, że to będzie zadanie trudne, robota nieraz łamigłówkowa, ciężka nie tyle może dla umysłu, ile nawet po prostu dla ambicji, gdy przyjdzie do jakichś postanowień, a brak będzie wprawy i pewności wniosków, ale muszę podołać. Choć wiem, że nie święci garnki lepią i że człowiek, który ma głowę, odpowiednie uzdolnienia i kwalifikacje wykształceniowe oraz wolę, potrafi to, co mu się z daleka wydaje tak trudnym, jednak chwilami lęk mię ogarnia. Czuję, jakbym stąpał po gruncie niepewnym po omacku, gdzie lada chwila noga mi się może powinąć i mogę upaść na jakimś głupstwie, narażając powagę moją tak w funkcjach sędziowskich ważną, na kompromitację. „Im dalej w las, tym więcej drzew” – mówi przysłowie rosyjskie; przeczuwam to już z góry co do mojej pracy sędziowskiej, a przedsmak tego mam już obecnie przy zaglądaniu do ustaw i obznajmianiu się, względnie odświeżaniu w pamięci różnych działów i zagadnień prawa i procedury. Niepokoi mię też to, że będąc z natury bardzo wrażliwy, nie mam tej aroganckiej pewności siebie, która umie w chwilach trudnych maskować tupetem brak mocnych rzeczywistych podstaw i argumentów. Jednak – muszę dać sobie radę. Przyjąłem ten obowiązek pracy sędziowskiej w warunkach bardzo odpowiedzialnych i nie wolno mi nie podołać. W Kolnie z konieczności będę wobec nie tylko publiczności, ale i współpracowników w osobach ławników, sekretarza sądu, pisarza hipotecznego etc. autorytetem jako prawnik i odpowiedzialny szef sądu, a więc całego lokalnego wymiaru sprawiedliwości i straży ustaw oraz praw prywatnych w stosunkach ludzkich i nie wolno mi zadaniu temu nie podołać. Jest to sprawa honoru mego. Otrzymałem od prezesa Filochowskiego zwrot kosztów podróży, od sekretarza Sądu Okręgowego blankiety i formularze, jakie dotąd zostały z Departamentu Sprawiedliwości nadesłane, natomiast pieczątki i szarfy zielonej, służącej za emblemat godności sędziowskiej, dotąd nie ma. Prezes Filochowski był dla mnie towarzysko bardzo grzeczny, choć – nie

wiem, czy to może tylko moja imaginacja – wyczuwam w jego stosunku pewien rażący mię protekcjonalizm zwierzchnika, umyślnie pokrywany pewną manierą miękkości i poufałości towarzyskiej. Po obiedzie, który spożyłem w restauracji hotelu „Rembielin” w towarzystwie prezesa Filochowskiego, prokuratora Urbanowicza i jeszcze kilku sądowników łomżyńskich, wyjechałem z Łomży furmaneczką żydowską. Szkapa, choć chuda jak sławny koń Don Kichota, biegła po szosie nieustającym kłusem bez względu na nierówności terenu, poganiana usilnie przez woźnicę, któremu spieszno było stanąć przed szabasem na miejscu. Droga dobra, szosa jak po stole. Miejscowość na ogół niebrzydka i dość urozmaicona. Droga w kilku miejscach przypominała mi różne bardzo znane mi epizody krajobrazowe. W paru miejscach po wyjeździe z Łomży za Narwią coś mi tak przypominało, jakby fragmenty szosy z Wilna do Mejszagoły. Znów w jednym miejscu kawałek widoczku przy drodze – jakby nasz kochany i tak pamiętny z dziecinnych naszych czasów wzgórek Monticul pod Gajem w Bohdaniszkach, tylko w powiększonej skali; wreszcie w innym miejscu kawałek drogi podobny do fragmentu drogi z Pleszczenic do Petrolina. Po drodze, im bliżej Kolna w okolicach między miasteczkiem Mały Płock a Kolnem, dużo śladów zniszczenia wojennego: świecą pustką i ruiną mury kościoła w Małym Płocku, całe wsie w gruzach, wśród których sporo już gdzieniegdzie nowych zabudowań włościańskich. Lasów po drodze, wbrew memu oczekiwaniu, mało; okazuje się, że dopiero w stronie zachodniej od Kolna zaczynają się w pobliżu wielkie głuche puszcze Kurpiów, które Niemcy obecnie tną i niszczą. Wreszcie dojeżdżamy do Kolna. Miasto leży w dolinie, która sprawia wrażenie głębokiej i szerokiej kotliny między dwoma rzędami wzgórz czy płaskowzgórza. W najgłębszym wgłębieniu kotliny płynie po bagnistym terenie strumień. Zajechałem na rynku do zajazdu jakiegoś Żyda. Jak się okazuje, jest w Kolnie kolej żelazna, ale tylko do Prus, wybudowana już w czasie wojny. Był projekt połączenia jej z Łomżą, ale do skutku nie doszedł. Kolej ta ułatwia Niemcom wywóz żywności z tych okolic, co wpływa na to, że i tu drożyzna istnieje, choć dostać można wszystko i względnie jeszcze ceny są na artykuły żywności znośniejsze. W sklepiku chrześcijańskim, do którego wstąpiłem po świecę, poznałem ławnika, właściciela tegoż sklepiku, pana Stachelskiego, i sekretarza sądu pokoju. W Kolnie spośród ludności polskiej i żydowskiej (z wyjątkiem przedstawicieli władz okupacyjnych) nie ma ani jednego inteligenta z wyższym wykształceniem. Z trzech księży dwóch młodych wikarych jest podobno Litwinów. Cieszę się z tego. Obejrzałem z sekretarzem sądu mieszkanko, które zapewne najmę.

15 września, rok 1917, sobota
Dzisiaj jedna rzecz mię głównie pochłonęła: przenosiny i urządzanie mieszkania. O znalezienie mieszkania nie było trudno. Sekretarz sądu, niejaki Miętkiewicz czy Mienkiewicz, pokazał mi mieszkanie, które zajmował poprzedni sędzia pokoju, obecny sędzia śledczy w Szczuczynie. Jest to mieszkanko złożone z dwóch niewielkich pokoików i kuchenki, oddzielonej przepierzeniem od pokoiku sypialnego, bez mebli, same ściany. Mieszkanko jest w domu gospodarza Pikulińskiego, zamożnego chłopa, właściciela 40 morgów gruntu; wygodnym jest to, że mieści się ono w pobliżu lokalu sądu, na tejże ulicy, naprzeciwko tzw. „Świńskiego rynku”. Mieszkanko kosztuje 25 marek miesięcznie. Miałem wielką trudność z umeblowaniem, bo oczywiście nie mam nic ze sobą nie tylko z mebli, ale nawet z pościeli, sprzętów itd. Z pomocą sekretarza sądu jakoś jednak sobie poradziłem. Gospodarz Pikuliński dał szafę i jeden stolik, drugi stół do pisania, zastępujący biurko, sekretarz wystarał się w magistracie, dwa krzesła i trzeci stolik pożyczył miejski stolarz Mieczkowski, z którego mebli korzystał mój poprzednik, szafę do ubrania dał sekretarz, wreszcie łóżko znalazło się gdzieś w

sąsiedztwie u jakiejś baby. Jest to piękne łóżko składane drewniane z blatem sprężynowym fabrycznym, obszerne wszerz i wzdłuż; należy ono do jakiejś „strażniczki", to znaczy żony byłego strażnika z czasów rosyjskich, nieobecnej w Kolnie, i było na przechowaniu u baby, od której je dostałem; że to na miejscu o wszystkich szczegółach pochodzenia każdego sprzętu dobrze wiedzą sąsiedzi, więc i o tym łóżku wiadomo dobrze, że pochodzi ono z Prus z początków wojny, kiedy wojska rosyjskie naszły na Prusy i każdy, kto chciał, rabował i sprowadzał stamtąd rzeczy, pozostałe w pustych domach po zbiegach niemieckich. Łóżko to dostałem z wielką trudnością, bo baba na razie bała się je dać, a nasz woźny sądowy, przez gorliwość dla mnie, nakrzyczał na nią i groził jej zarekwirowaniem łóżka i nawet biegał w tym celu do magistratu, chcąc otrzymać sukurs w osobie żołnierza niemieckiego dla dokonania „rekwizycji", aż się sam w to wdałem i zapłaciwszy babie 5 marek tytułem wynajmu łóżka zabrałem je polubownie. Sprzęty te, pozbierane od różnych osób, zwiózł mi wieczorem woźny furmanką z głuchoniemym szwagrem mego gospodarza i w ten sposób jako tako urządziłem moje „gniazdko". Pusto w nim, ale już mam przynajmniej swój kąt i dach nad głowa. Poza nagimi meblami, których wnętrze nie bardzo mam czym zapełnić, brak mi wszelkich normalnie potrzebnych sprzętów. Nie mam ani siennika, ani prześcieradła, ani kołdry, prócz mego koca wojskowego, ani talerzy, widelca, noża, szklanek, kubków, miednicy itd., itd. Powoli zagospodaruję się. Tymczasem jednak musiałem się iście po spartańsku urządzić. Dla mnie to bagatela, boć na wojnie w wojsku człowiek się od wszelkich wygód odzwyczaił i nauczył się obchodzić niczym, ale na stanowisku sędziego w małym powiatowym mieście trzeba dla samego oka ludzkiego jakimś „komfortem" się wykazać. Oczy ludzkie w takim małym miasteczku są niezmiernie ciekawe i uważne, bo niewiele mają innych obiektów do skoncentrowania swego wzroku, a w umyśle prowincjonalnych osiadłych „obywateli" szacunek i wartość przybysza mierzy się w dużym stopniu jego zasobnością i wygodą życia. Osobiście dla mnie gorsze jest to, że od paru dni jesień na dobre się robi: ochłodło bardzo, wiatr przenikliwy dmucha, słońce już straciło swój cieplik grzejący, deszczyk chwilami mży lub pada, a mieszkanko jest zimne; wieczory też coraz dłuższe, a oświetlenia nie ma: elektryczności w Kolnie nie ma, o naftę trudno i drogo, świece po 1 marce 50 fenigów lub po 2 marki sztuka i także dostać trudno. Za to pod względem wiejskich produktów spożywczych nie będzie tu braku i ceny są jeszcze wcale znośne.
Współpracowników moich, prócz P. Stachelskiego, kupca chrześcijanina, człowieka ogólnie bardzo tu chwalonego i szanowanego, którego przelotnie tylko wczoraj w sklepie poznałem – innych jeszcze poznać „nie miałem zaszczytu i przyjemności". Jest dwóch ławników Polaków i dwóch Żydów. Z personelu podwładnego – sekretarz – człowiek w wieku lat 28, żonaty, żona uciekła do Rosji; sam on miał także uciec, ale okupacja niemiecka zaskoczyła go tu nagle; był on jakimś urzędniczkiem w powiecie rosyjskim w Kolnie; później objął funkcję nauczyciela w mieście, a sekretarzem sądu pokoju jest dopiero od paru tygodni; człowiek wydaje się niegłupi i zaradny. Woźny sądowy – z pochodzenia Rosjanin z matki Polki, ale urodzony i wychowany w Królestwie, mówi i pisze po polsku dobrze, służył także w powiecie i także go tu okupacja zaskoczyła znienacka; człowiek sprytny i obrotny. Pisarz hipoteczny – stary, dość niedołężny i przeklinający Kolno i swój los, który go do tak zapadłej dziury wepchnął; ten jest w Kolnie dopiero od tygodnia. Poznałem też „adwokata" miejscowego, unikata palestry lokalnej – Goldberga, Żyda, który mi się przedstawił w sądzie, gdym tam był właśnie. Pierwsza sesja sądowa wypadnie we środę 19 bm.
Złożyłem dziś wizytę na plebanii księżom. Poznałem jednego z wikariuszów, Litwina, ks. Kudyrkowskiego, i dziekana. Litwin wydał mi się dość niemrawy, choć, jak słyszę

od ludzi, jest człowiekiem dość oryginalnym, oddanym sprawom wyłącznie kościelnym, a poza tym samotnikiem, zamiłowanym w fotografii i mającym pewne upodobanie techniczno-artystyczne. Dziekan, Polak rodowity, wydał mi się człowiekiem żywym i energicznym.

16 września, rok 1917, niedziela
Dzień zeszedł mi tak cichutko, jak cichutkim jest Kolno. Zacząłem się stołować u niejakiej Chodnickiej przy ul. Gromadzińskiej, żony byłego strażnika rosyjskiego. Płacę za obiady po 2 marki 50 fenigów, obiad z dwóch dań i herbaty. Zbyt smaczne obiady te nie są, ale dość obfite. Poza tym rano i wieczór żywię się mlekiem, miodem, masłem, chlebem, ewentualnie dokupuję sobie kiełbasy, względnie ogórka solonego lub pomidorów. Jeszcze nie unormowałem zresztą mego trybu życia. W każdym razie co do pożywienia będę głównie, poza obiadami, odżywiał się produktami wiejskimi, w pierwszym rzędzie – mlekiem.
Kazałem sobie przez woźnego Dywizjonka przynieść akta spraw, wyznaczonych na najbliższą sesję sądową na 19 września. Przejrzałem te sprawy i w związku z nimi zabrałem się do studiowania ustaw, zwłaszcza zaś w pierwszym rzędzie – procedury. Zaiste – im dalej w las, tym więcej drzew. Czytam, wertuję, analizuję, przebiegam z jednego działu do innego, tonę w chaosie przepisów, które w istocie wiążą się w jedną logiczną budowę, lecz w szczegółowym zapoznawaniu się z nimi, zanim całość ogarnę, sprawiają wrażenie prawdziwego chaosu nagromadzonych detali. Czuję się tak, jak gdybym przyszedłszy do jakiejś wielkiej katedry francuskiej, powiedzmy – w Reims lub w Chartres, zamiast oglądać całokształt, zaczął rozpatrywać i uczyć się szczegółowo tysiącznych fragmentów ozdób. Wzrok i myśl gubi się w szczegółach, plącze się w nich jak w sieci, błądzi jak po labiryncie i zdaje się wtedy chwilami, że się wobec tego nagromadzenia szczegółów nie wybrnie nigdy na opanowanie całości i podporządkowanie jej swojej woli i myśli. A o to przecie chodzi w działaniu sędziego. Sędzia powinien władać ustawami, które stosuje, powinien się w nich poruszać swobodnie, rozporządzać jak posłusznym narzędziem. Zanim do tej sprawy i rutyny dojdę, nie ustawy i paragrafy moimi, lecz ja ich niewolnikiem jestem. Jest to męka prawdziwa, męka tonącego w chaosie, nie umiejącego w nim pływać; kurczowo, rozpaczliwie chwytam się poszczególnych tez, artykułów, działów, szukam wątku nici przewodniej, jakiegoś oparcia statecznego i gdy już coś chwytam, znów mi się to usuwa i ucieka, a dokoła chaos i fale, wały i bałwany nowych i nowych, innych, pozornie sprzecznych, przepisów. Ciężka to niewola, męcząca praca myśli. Staję się chwilami bezradnym, przestaję rozumieć, czytam i powtarzam słowa jak papuga, nie rozumiejąc ich pod wpływem lęku i przerażenia, które gdzieś wewnątrz w instynktach się budzą i nurtują w całym organizmie psychicznym. Najgorzej, że w tej pracy straciłem równowagę i panowanie nad sobą, dałem się sterroryzować i prowadzę moje studia gorączkowo, nerwowo, jak opętaniec. Najlepszy pływak, jeżeli w środku wielkiej przestrzeni wodnej, wśród fal zburzonych straci spokój i władzę nad sobą i da się unieść instynktowi przerażenia, może nie dopłynąć do brzegu i utonąć. Chwilami jestem w podobnym położeniu. Tylko gdzieś iskierka zdrowego rozsądku szepce mi, że rzecz nie jest bynajmniej tak straszna i że dopłynę szczęśliwie, opanuję ten żywioł ustaw i paragrafów, które dziś zdają się mię tyranizować i przerobię je na posłuszne, uległe narzędzie rąk moich, że wreszcie chaos jest tylko pozorny, bo w istocie jest w całości logika i ciągłość dokładna więzi. Jak każde zwierzę w stosunku do człowieka, który usiłuje nim władać, jak koń pod jeźdźcem, jak kobieta w stosunku do mężczyzny, jak wszystko w naturze, tak i martwe na pozór ustawy prawa, w których zawarta jest budowa żywej myśli i żywych stosunków ludzkich, stają się miękkie i uległe, podatne i

zmyślne, gdy poczują nad sobą wyższą wolę i rękę pana. Trzeba tylko umieć je opanować, a będą wierne i nie tylko dadzą posłuszeństwo, ale nawet miłość, ofiarowując z siebie wszystko, co jest ich tajemnicą i jaźnią. Trzeba mieć nade wszystko wolę władania i spokojną moc w sobie. Ludzie, zwierzęta i pojęcia w naturze są stworzone nie tylko do bytowania, ale i do życia, to znaczy do miłości i czynu, a więc do wydajności, do ofiary z siebie zaklętych w nich bogactw na rzecz tych, którzy po nie sięgnąć zechcą. Życie jest stosunkiem, a stosunek – sztuką.

17 września, rok 1917, poniedziałek
Dziś znowu dzionek upłynął jak inne, tylko wieczorem nieco był urozmaicony. Przypominam sobie jednak w tej chwili, że wpierw powinienem w innej materii słówko napisać. Oto dziś otrzymałem numer „Kuriera Polskiego" z wydrukowanymi w nim aktami monarchów Austro-Węgier i Niemiec, cesarza Karola i cesarza Wilhelma, w sprawie realizacji aktu 5 listopada. Akty te układają się z odezw tych monarchów, z dwóch pism do generał-gubernatora warszawskiego Beselera i generał-gubernatora lubelskiego hr. Szeptyckiego, wreszcie z tzw. Patentu, który jest właściwą ustawą organiczną dla Polski. Patent tworzy Radę Regencyjną z trzech osób, stanowiącą najwyższą władzę państwową polską, prowizoryczną oczywiście w zastępstwie prawowitego króla, dalej określa powołanie rządu odpowiedzialnego z ramienia Rady Regencyjnej, zorganizowanego w postaci Rady Ministrów z premierem na czele, wreszcie jako władzę ustawodawczą tworzy nową rozszerzoną Radę Stanu, nie pochodzącą wszakże z wyborów, ale już za to nie doradczą tylko, jaką była jej poprzedniczka. Akty te tworzą bądź co bądź poważny krok naprzód na drodze polskiego budownictwa państwowego, chociaż są one skromniejsze, niż to, czego opinia publiczna oczekiwała po nich i co było kolportowane w wieściach, poprzedzających ich ogłoszenie. Największym zawodem jest to, że zwołanie Sejmu zostało wykluczone, choć było zapowiadane w wieściach poprzednich. Widocznie Niemcy, znając usposobienie kraju, obawiały się radykalizmu narodowego w Sejmie i nie zdecydowały się na zarządzenie wyborów. Nowa Rada Stanu, która ma powstać i która, jak się stało modą i normą w stosunkach tej wojny, będzie „erzatzem" Sejmu tak, jak Rada Regencyjna będzie „erzatzem" króla, ta Rada Stanu powstanie zapewne z mężów zaufania albo stronnictw politycznych, albo, co byłoby lepszym, organizacji i instytucji społeczno-publicznych tej miary, co Rada Główna Opiekuńcza i rady opiekuńcze lokalne oraz sejmiki powiatowe i rady miejskie na okupacji niemieckiej, a Komitet Główny i komitety ratunkowe lokalne oraz rady miejskie itp. na okupacji austriackiej. Rząd, który ma być powołany z ramienia Rady Regencyjnej, będzie podlegał zatwierdzeniu władz okupacyjnych. Rada Regencyjna atrybucji państwowych w sferze międzynarodowej mieć nie będzie. O wojsku polskim świeżo wydane akty nie wspominają wcale. Osoby, które mają utworzyć komplet Rady Regencyjnej (ks. arcybiskup Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski i hr. Ostrowski) nie są w patencie wymienione; formalnie mają być one wskazane władzom okupacyjnym (generał-gubernatorom) do nominacji – przez Komisję Przejściową byłej Tymczasowej Rady Stanu. Tak się w ogólnych rysach przedstawia ów Patent. Ciekaw jestem, jak został on przyjęty w Warszawie. Prawica, niechętna aktywizmowi w duchu 5 listopada, usiłuje zapewne wykorzystać braki i niedoskonałości Patentu, by tłumić rozwój usiłowań konstrukcyjnych, lewica – przypuszczam – nie jest zadowolona. Nie można jednak odmówić poważnego znaczenia tym aktom. Wszystko zresztą będzie zależało od ich realizacji konkretnej, od tempa, od liberalizmu itd. w wykonaniu ogłoszonych reform. Jeżeli to będzie szło równie kunktatorsko i chwiejnie, jak to miało miejsce dotąd w stosunku do aktu 5 listopada, to rzecz może być zmarnowana.

Dziś na wieczór zostałem zaproszony na ucztę noworoczną (żydowski Nowy Rok) do adwokata miejscowego, jedynego przedstawiciela palestry kolneńskiej, pana Goldberga. Uczta ta, zastosowana do Nowego Roku, była wydana właściwie *ex re* mojego przyjazdu na urząd sędziowski do Kolna. Pan Goldberg, adwokat prywatny, Żyd, jest człowiekiem, który ma dobrą opinię i umie zachować takt. Sprawia wrażenie dodatnie; ma oczywiście skłonność do liberalizmu i postępu, trzyma się w stosunkach swoich raczej chrześcijan, niż Żydów, których wprawdzie nie drażni, ale z którymi nie utrzymuje bezwzględnej solidarności i „chewry", występuje jako rzecznik patriotyzmu polskiego. Wraz ze mną zaproszone zostało grono „notabli" kolneńskich poniekąd ze sfery sądowniczej, ale też paru spoza sądowników – wszyscy sami chrześcijanie. Był p. Stachelski, człowiek bardzo poważany w Kolnie i rzeczywiście, zdaje się, bardzo porządny, obecnie właściciel jednego z większych sklepów w mieście, poprzednio zaś za czasów rosyjskich urzędnik w powiecie (bodajże kasjer), zarazem ławnik i zastępca sędziego pokoju, był mój sekretarz sądu Miętkiewicz, był felczer miejscowy i ktoś jeszcze, zdaje się, sekretarz czy agent Krajowej Publicznej Asekuracji Budowli. Wieczór upłynął sympatycznie. Była suta kolacja – przekąska ze śledzia z pomidorami, ryba znakomita po żydowsku i doskonałe kotlety siekane wołowe z kartoflami, wreszcie owoce i herbata. Zamiast chleba była bułka – tradycyjna chała. Doskonałe były wódki: starka i jeszcze lepsza od niej, smaczna pejsachówka zaprawiana. Goldberg wypowiedział przy tej okazji kilka słów powitalnych do mnie. Piłem dużo. Szczególnie felczer, widocznie wielki amator trunków, dolewał mi wciąż kieliszek po kieliszku: może chciał doświadczyć mojej głowy. Próbę dobrze wytrzymałem, bo wypiłem mnóstwo, a zachowałem przez całą kolację pozory trzeźwości. Dopiero po kolacji zacząłem czuć silne skutki alkoholu. Poczułem się pijany i poszedłem do domu w towarzystwie kilku z tych panów. Jak przez sen doszedłem do domu, czego już nie bardzo pamiętam i nie rozbierając się rzuciłem na łóżko.

18 września, rok 1917, wtorek

Otrzymałem dziś pierwszą pocztę w Kolnie. Składała się ona z bieżącego numeru „Kuriera Polskiego", który zaprenumerowałem przed wyjazdem z Warszawy i który dochodzi tu na drugi dzień, i z kartki kochanej Maryńki z Wilna. Maryńka dopiero z listu mego, który jej Hela Ochenkowska przywiozła, dowiedziała się tak o wypuszczeniu mię z obozu jeńców w Szczypiornie, jak o nominacji mojej na sędziego pokoju w Kolnie. Jest oczywiście z obu tych faktów uszczęśliwiona, a że o obydwóch dowiedziała się naraz i że oba były niespodziewane, więc się nie posiada z radości. Była bowiem dotąd jak zmorą dręczona troską o mnie, i to zarówno co do mojego internowania w obozie jeńców, jak co do dalszego losu po ewentualnym uwolnieniu. Kochana Maryńka! Kocha mię ona miłością prawie macierzyńską, w każdym razie najwyższą siostrzanej miłości postacią. Jaka by to była radość, gdybym mógł ją tu do Kolna na czas jakiś sprowadzić, by z nią w tym zaciszu pobyć we dwoje i by się ona trochę ładem w mojej skromnej gospodareczce zajęła. Chociaż lubię sam na własną rękę się urządzać, sam być panem na swoich rupieciach, a dziś może bardziej niż kiedykolwiek tę spokojną swobodną samotność cenię, jednak siostrzyczki mojej kochanej Maryńki obecność nie tylko by mi nie zawadzała i nie krępowała wcale, lecz byłaby w tej chwili szczególnie słodką dla mnie, doskonale harmonizującą z tym ukojeniem, jakie we mnie samotność kolneńska zaczyna już obecnie wytwarzać. Z listu Maryńki widzę, że nie otrzymała ona wcale mego pierwszego do niej listu z Warszawy, pisanego po niemiecku i wysłanego pocztą. W ogóle z braku odpowiedzi na cały już szereg listów, wysłanych przeze mnie po wyjściu ze Szczypiorna, zaczynam

miarkować, czy aby tylko cenzura pocztowa niemiecka nie konfiskowała wszystkich listów z tekstem, będących w jakimkolwiek ze Szczypiornem związku. W liście Maryńki jest też jedna smutna nowina: 13 września, w dniu, kiedy Maryńka pisała swoją kartkę do mnie, umarł w Wilnie jej szwagier, biedny Staś Römer – na przewrót kiszek. Trzebaż było biedakowi tak niezwykłej choroby i śmierci. Cały był on biedaczek jakiś nienormalny i dziwaczny i takaż dziwaczna była przyczyna śmierci. Bardziej niż jego żałuję jego matki biednej, staruszki stryjenki Józefowej Römerowej, która, ach, takąż ma starość ciężką! Z dostatku, z bogactwa zasobnego domu ziemiańskiego spadła w głąb nędzy, tułając się na starość w Dobroczynności i żyjąc z łaski bogatszych krewnych. A to jedyne, co ją z życiem wiązało, ten Staś niedołęga biedaczek, w którego całą miłość i całe życie przelała, umiera. Zaiste – jeżeli Bóg wynagradza w życiu przyszłym cierpienia ludzkie i jeżeli jest tam miara równowagi dla win i zasług, dla nieszczęścia i szczęścia w tym życiu, to ta staruszka zmyła nadmiarem tragicznym swej nieszczęśliwej starości wszelkie błędy i winy, jakie w życiu kiedykolwiek popełnić mogła. Będzie wybawiona, bo cierpiała wiele. Jej cierpienie – to nie frazes, to krwawy straszny życia ochłap.
Dziś kończyłem moje przygotowawcze studia do pierwszej mojej sesji sądowej w Kolnie, która będzie miała miejsce jutro. Doświadczam wobec niej uczucia, jakiego doświadcza sztubak przed egzaminem. Im więcej studiuję, im więcej analizuję i szperam w ustawach i komentarzach poszczególne zagadnienia, powstające w związku ze sprawami sesji jutrzejszej, tym więcej się zagadnień coraz nowych rodzi i kwestie proste komplikują się i przeradzają w zawiłe karkołomne problemy. I chwilami tracę głowę i zdaje mi się, że jakieś niepokonalne przeszkody, z których nie zdołam wybrnąć, piętrzą się przede mną. Ale dzięki Bogu – ta iskra rozwagi i spokoju, ten statek głowy, który stanowi busolę w chaosie wrażeniowym i trzeźwo, wbrew terroryzmowi nerwów, kroczy ze swobodą naprzód ku zadaniom – pewny, że przecież im podoła – coraz bardziej się utwierdza we mnie i góruje nad powyższymi instynktami przerażenia. Czuję się dziś, w przeddzień tej pierwszej mojej sesji sądowej, spokojny na ogół i pewny siebie. Doświadczyłem, że jest to u mnie jakiś rodzaj choroby nerwowej, która mię od czasu do czasu, zwłaszcza w chwilach jakichś zmian okolicznościowych w moim położeniu lub środowisku wytrąca z równowagi i pogrąża w jakiś dziwny stan chwiejności, niepanowania nad sobą, ogólnego przygnębienia i sztywnej bezradności. Jest to prawdziwie stan chorobliwy. Czasem lada drobiazg, lada jakieś wrażenie lub zwłaszcza niepowodzenie – a zawsze w chwilach przemian w środowisku i usytuowaniu – wywołuje ten stan. Jest on męczący, bo żyję wtedy jakimś życiem podwójnym; rozdwajam się na dwie istoty, z których jedna jest manekinem o ruchach na zewnątrz, a druga bacznie śledzi, krytykuje i męczy tę pierwszą, która pod wpływem tego śledzenia traci moc spokoju i równowagi. Dzięki Bogu – nie trwa to nigdy długo; po kilku dniach się dźwigam i odzyskuję zakłóconą równowagę. Tak było i teraz przez dni kilka w Kolnie, ale właśnie od wczoraj rozpoczęła się reakcja rekonwalescencji nerwowej. Ten rodzaj choroby nerwowej ma u mnie jakieś swoje okresy, na szczęście – rzadkie.

19 września, rok 1917, środa
Odbyła się dziś pierwsza moja sesja sądowa. Po raz pierwszy ferowałem wyroki, jeżeli nie liczyć naszego improwizowanego sądu żołnierskiego w Szczypiornie i sądów honorowych, w których uczestniczyłem. Po raz pierwszy urzędowo, jako funkcjonariusz państwowy „Korony Polskiej”, pełniłem obowiązek sędziego, w imieniu tejże Korony. „Królewsko-polskie” sądy pokoju są sądami kolegialnymi: funkcjonują one zawsze w komplecie sędziego pokoju i dwóch ławników jako mężów zaufania

ludności miejscowej. Sędziowie pokoju, przynajmniej obecnie, podczas przepisów przechodnich czasu wojennego, są nie z wyboru, lecz z nominacji. Ławnicy natomiast są zatwierdzani z listy kandydatów, przedstawionej przez sejmiki powiatowe i rady miejskie, a więc mają w sobie przez to element zaufania publicznego. Na razie wszakże, na pierwsze sześć miesięcy funkcjonowania sądownictwa polskiego, list kandydatów na ławników jeszcze nie sporządzono: ławnicy zatwierdzeni zostali tymczasowo ci sami, którzy zajmowali te stanowiska w poprzednich sądach pokoju i sądach gminnych okupacyjnych. Mam tu w Kolnie czterech ławników – dwóch chrześcijan (p. Stachelski i wójt gminy Czerwona, Kocik) i dwóch Żydów (pp. Remba i Jerozolimski, obaj kupcy kolneńscy). Rewir mojego sądu rozciąga się na Kolno z przedmieściami i trzy gminy – gmina Czerwona na północ w kierunku Prus i dokoła Kolna, gmina Turośl i gmina Łyse na zachód na właściwej Puszczy Kurpiowskiej. Zresztą, jak cały mój rewir sądowy, tak i samo Kolno – jest na Kurpiach. Kolno nawet poniekąd rywalizuje z Myszyńcem i Ostrołęką o tytuł stolicy Kurpiów. Mój rewir sądowy zajmuje całą północno-zachodnią część powiatu, ciągnąc się wzdłuż granicy pruskiej i na zachód aż do administracyjnej granicy dawnej guberni płockiej, obecnie zaś okupacyjnej guberni mławskiej i polskiego – Mławskiego Okręgu Sądowego. Dzisiaj na sesji zasiadali ze mną ławnicy: Stachelski i Remba. Spraw zbyt dużo nie było: dwie karne i coś z pięć cywilnych. Na ogół nie były skomplikowane, ale zabierałem się do nich z pewnym wzruszeniem i niepokojem, nie ufając mojej wprawie sędziowskiej, samej technice kierowniczej, a także biegłości w przepisach ustaw i procedury na wypadek wyłonienia się bardziej skomplikowanych i nie przewidzianych przeze mnie z góry zagadnień. To wzruszenie z początku przeszkadzało mi trochę w pracy, ale już stopniowo w dalszych sprawach ustępowało. Po trochę nabierałem większej pewności siebie i równowagi. I ciekawa rzecz, że gdy w dalszych sprawach adwokat Goldberg wyciągnął cały szereg zagadnień prawnych, komplikując sprawy, nie tylko że się nie speszyłem, ale jeszcze coraz większej energii i sprawności myśli i pracy nabierałem. Pogłębienie zagadnień i intensywniejsza praca dodawały mi bodźca do działania. Wywiązałem się też na ogół z zadania, jak na pierwszy raz, nieźle. Wprawdzie popełniłem parę błędów i niedokładności proceduralnych, co do których się sam następnie spostrzegłem, jednak na ogół byłem zadowolony z siebie. Mam wrażenie, że później, gdy pokonam pierwsze trudności ustaw i nabędę pewnej rutyny technicznej, praca ta będzie przyjemną. Odpowiada ona memu umysłowi, który ogarnia całość zagadnień w ich subiektywizmie i nie jest skłonny do jednostronności i tendencji. Sądzę, że obowiązek sędziego bardziej mi odpowiada i większe mi dać może zadowolenie, niż rola adwokata czy też prokuratora w procesie, rola strony. Ze spraw dzisiaj rozważanych właściwie tylko jedną osądziliśmy własnym wyrokiem: była to sprawa karna o kradzież, w której uniewinniliśmy 70-letniego starca oskarżonego. Poza tym, jedną cywilną zakończyliśmy rezolucją, stwierdzającą ugodę, zawartą przez strony na sądzie i jedną karną z prywatnego oskarżenia umorzyliśmy za niestawieniem się oskarżyciela. Inne sprawy, które z tych czy innych przyczyn okazały się w toku rozprawy niedojrzałymi do rezolucji – odroczyliśmy na zasadzie orzeczeń incydentalnych. W większości spraw stawał adwokat Goldberg. Obecność adwokata w sprawie nadaje jej przeważnie większy wyraz i charakter, pogłębia ją zagadnieniami prawa i procedury, robi ją ciekawszą. Resztę dnia po obiedzie wypoczywałem, nie zaglądając już dziś więcej do ustaw i nie studiując nic więcej. Przeszedłem się po dalszych uliczkach Kolna, załatwiłem kilka sprawunków i interesów bieżących, wieczorem już tylko napisałem list, dziennik, spożyłem moją wiejską wieczerzę w domu i o godz. 9 wieczór byłem już w łóżku.

20 września, rok 1917, czwartek

Dzień cichy kolneński, jak inne. Cichy dla mnie, bo dla Kolna czwartek jest zawsze dniem niepowszednim, dniem wielkiego ożywienia i ruchu; jest to bowiem dzień targowy, dzień, w którym się odbywają kiermasze tygodniowe w miasteczku. Kolno ma dwa rynki: jeden główny w samym śródmieściu, który stanowi zarazem najozdobniejszą część miasta, ma najporządniejsze kamieniczki mieszczan kolneńskich, głównie sklepy, aptekę itd., a wieczorami służy za miejsce promenady lub, jeżeli kto woli, deptaka towarzyskiego, gdzie przechadzają się lub gawędzą w grupach poważni mieszczanie i kupcy, prawie wyłącznie Żydzi i spaceruje młodzież i drugi – zazwyczaj pusty, ot taki sobie zwykły plac bez chodnika dokoła, położony u wylotu dzielnicy żydowskiej, gdzie się już zaczynają zabudowania gospodarskie chłopów, przy drodze, prowadzącej z Kolna w kierunku na Myszyniec, to znaczy na zachód, w samo serce Puszczy Kurpiowskiej. Ten drugi plac rynkowy ma zabudowania frontowe tylko przy właściwej drodze myszynieckiej; trzy inne jego linie nie mają regularnych równych frontów i składają się z przygodnych konturów różnych zabudowań bądź gospodarskich (stodoły, chlewy przeważnie zwrócone do placu tyłami), bądź mieszkalnych. Ale nie frontowych. Ten drugi plac nosi popularną, a może i urzędową nazwę Świńskiego Rynku ze względu na swoje przeznaczenie w dni targowe; ta zaś droga myszyniecka, która przebiega wzdłuż placu, zarówno jak jej przedłużenie na wschód w kierunku cmentarza chrześcijańskiego, to znaczy w przeciwległym od Myszyńca kierunku, nosi nazwę urzędową, bardzo szumną – Nowy Świat, wzorowaną na Warszawie, o czym świadczą tabliczki na rogach tej ulicy. Przy tej to drodze myszynieckiej, na wprost placu, mieści się w białej kamieniczce na piętrze – mój Królewsko-Polski Sąd Pokoju, a nieco dalej, o jakieś 3-4 domy, również na wprost placu – moje mieszkanko prywatne w domu, należącym do gospodarza Pikulińskiego Józefa. Można więc mój adres w Kolnie, zarówno jak adres sądu pokoju w Kolnie, kreślić z równym prawem bądź mianem Świńskiego Rynku, bądź mianem Nowy Świat. Pierwsza nazwa jest popularniejsza i w użyciu powszechniejsza, druga – uroczystsza, stosowna do powagi sądu. W dnie targowe, we czwartki, oba rynki ożywiają się i przeobrażają. W rynku głównym odbywa się targ na wszystkie pospolite produkty handlu wiejskiego, w rynku zaś Świńskim – targ na zwierzęta grubsze inwentarza. Przed wojną kwitł w Konie handel końmi; kupcy końscy byli tu potentatami i robili grube interesy; stąd szedł wywóz koni do pobliskich Prus; sprowadzano tu konie z Rosji i sprzedawano do Prus. Obecnie handel ten naturalnie upadł. Świński Rynek dziś we czwartki ani w przybliżeniu z pewnością nie przypomina tego, czym był dawniej za swoich świetnych handlowych czasów. Jednak i dotąd nie świeci on zupełną pustką we czwartki, jak by się zdawać mogło, wnosząc ze skrępowania hodowli i nieznośnych utrudnień handlu pod wojenną okupacją niemiecką. Sprzedają się tu jeszcze świnie, konie, nawet krowy. Jest to już oczywiście handel wyłącznie miejscowy, że się tak wyrażę – spożywczy. Jak na czasy pokojowe, to nie tylko na Kolno, ale na każde miasteczko handel taki, jaki się tu do dziś jeszcze na Świńskim Rynku utrzymał, byłby bardzo ubogi; na dzisiejsze czasy jednak i to jest jeszcze obfite i pewnym dostatkiem tchnące. Było w transakcjach coś kilkanaście albo i więcej świń, do kilkunastu koni i parę krów. Świnie idą nawet w niezbyt drogiej cenie, po rubli coś 60-80 dość duże chude sztuki. Wieprzy utuczonych nie ma na rynku wcale, bo zostałyby natychmiast zakupione przez Niemców po cenie przymusowej, nie odpowiadającej wysokiej cenie rynkowej. Ale i to, co jest, świadczy, że przecież tu jeszcze całkowitego wyczerpania hodowli i żywego inwentarza – nie ma i że jeszcze jakikolwiek handel jawny jest możliwy. Nie przeczy to faktowi, że zubożenie jest oczywiście ogromne, bo nikt z gospodarzy nie posiada urzędowo więcej nad jedną krowę dojną i jednego konia roboczego. W bydle zaś, które co dzień rano przepędza się

w Kolnie mimo moich okien na paszę, jest ogromna ilość kóz, tych żydowskich „ersatz”-krów. Na głównym rynku odbywa się natomiast targ na inne detaliczne produkty wiejskie: pierwsze miejsce, stosownie do pory roku, trzymają tam gruszki ulęgałki (gruszki polne) i kury, dalej są przeróżne artykuły – cebula, ogórki, brukiew i marchew, kaczki, gęsi, jaja, pomidory, grzyby, wyroby koszykarskie i naczyń z drzewa, furki z torfem itd. Żydówki sprzedają chustki i perkaliki, drobni handlarze – mydło itp., są nawet na sprzedaż buty. Mało jest tego wszystkiego, prócz ulęgałek i kur oraz poniekąd warzyw, ale przecież ruch znać.

21 września, rok 1917, piątek
Mamy dotychczas ciepłą i miłą jesień. Tylko krótko, przez kilka pierwszych dni po przyjeździe moim do Kolna, powietrze było ostre i zimne, z przenikliwym wiatrem. Za parę dni znowu ocieplało. Powietrze łagodne i ciepłe, ale jesień już znaczna. Pogoda zmienna: to słońce o blasku jesiennym, to znów deszcze przelotne albo gęste niskie chmury, pod których ciśnieniem nastaje spokój nieruchomy w ciepłej atmosferze. Nie ma jeszcze charakterystycznych jesiennych złotych blasków i czerwonych, żółtych i miedzianych barw na drzewach; przymrozku nie było dotąd ani jednego i liście na drzewach, pomimo późnej pory, jeszcze zielone. Dziś rano mieliśmy znowu gęstą białą mgłę, która się potem rozproszyła, ustępując słońcu, potem przelotnym deszczom, a wreszcie na wieczór rozszalał wyjący gwałtowny wiatr. Trząsł on szybami, rzucał szyldy na sklepach w rynku, wył w kominach, szumiał i huczał w drzewach, których zresztą w Kolnie jest mało. Lubię taki wiatr jesienny w ślepą ciemną noc. Jest pewien kontrast malowniczy między tą orgią wiatru na zewnątrz, łamiącego w czarnych mrokach drzewa, płoty, chłoszczącego zmęczoną konającą naturę żywą, szturmującego gwałtownie do domów ludzkich, a ciszą i nieruchomością wnętrza wszelkich domostw, w których schroniły się i drzemią w spokoju lub pracują i spełniają swe funkcje trwałe ogniska ciągłego życia – ludzie z ich dobytkiem, inwentarzem, troskami, myślą i czuciem. Przeszedłem się wśród tego wichru, smagających urywanych kropli deszczowych i czarnego wieczora – po Kolnie. Wycie, szum i szczęk na zewnątrz, a cisza we wnętrzach domów, rzadko z powodu trudności i drożyzny źródeł światła (nafta, świece, karbid) oświetlonych, mimo szabasu nawet. Nafta kosztuje po kilkanaście marek kwarta i jest przedmiotem kosztownym zbytku; kto jej używa, ten pali malutkie lampeczki, jakie dawniej przed wojną używane były tylko do sieni lub w najlepszym razie do kuchni. Świece – po 8 marek funt i sprzedawane tylko pod wielkim sekretem osobom zaufanym, jako artykuł kontrabandy. Karbid podrożał także. Każdy, jak może, stara się jak najmniej świecić wieczorami, toteż wieczorami ciemność zalega miasto i tylko w rzadkich oknach błyszczą nikłe światełka. Jeżeli tak dalej pójdzie, to chyba w piątym roku wojny ludzie wrócą do patriarchalnego oświetlenia łuczyną: gdzieniegdzie wojna już doprowadziła do tego. A tymczasem wieczory są coraz dłuższe, światła naturalnego coraz mniej. Jeżeli gdzieś się jeszcze świeci w oknach miasteczka wieczorem, to tylko w urzędach i biurach okupacyjnych niemieckich, które naftę posiadają. Przypuszczam, że dla sądu niemieckie władze powiatowe zechcą przecież odstąpić naftę po tańszej cenie z zapasów, które na jesień mają być podobno dostarczone. Takiż jest brak opału. Również trzeba będzie kołatać do Niemców, choć drzewo, którym władają, jest przecie drzewem krajowym, rabowanym przez nich bez żadnej miary. Drzewa już prywatnie do kupienia na opał dostać nie można, o węglu tutaj nie ma ani mowy, a jedyny jeszcze materiał – torf, dowożony przez chłopów, drożeje straszliwie. Wreszcie jeszcze jeden artykuł, bez którego osobiście się nie obejdę – tytoń (papierosy) – wyczerpał się już również i należy obecnie do rzadkości. Papierosy można dostać tylko szwarcowane, pod największym sekretem i coraz drożej.

Okupacja niemiecka, w przeciwstawieniu do austriackiej, szczyciła się tym, że pomimo braku monopolu państwowego na tytoń, nie brakło go nigdy: obecnie już i tutaj zabrakło. To są wszystko trudności życiowe, sprawione wojną w czwartym roku jej trwania, ale za to przynajmniej artykułów spożywczych wiejskich w Kolnie nie brak. To jedna z głównych rzeczy. Co zaś do innych artykułów, zwłaszcza sprowadzanych, to drożyzna i trudność dostania większa, niż w wielkich ośrodkach miejskich. Mnie, jako sędziemu pokoju, którego stanowisko w takim Kolnie jest bardzo wysokim, wszystko o wiele łatwiej dostać, bo wszyscy chcą się liczyć ze mną. Są tutaj jeszcze względnie niedrogie takie artykuły, jak na przykład buty: obuwie męskie na obstalunek można mieć w lepszym gatunku za 150 marek, podczas gdy w Warszawie bez 200 marek nie ma co ani marzyć, o ile podeszwy mają być skórzane i mocne. Ale oto na przykład chciałem kupić prześcieradło, bo nie mam żadnego: zażądano 40 marek; nie kupiłem. Siennik gotowy (podszewka na siennik) – 90 marek.
Zamierzam dokończyć moją relację z działalności naszych sądów żołnierskich w obozie jeńców w Szczypiornie. Chociaż tu w Kolnie mam sąd prawdziwy, sąd publiczny państwowy – polski, z którego działalności więcej by się może dało zanotować, niż z sądu w biednym nieszczęśliwym środowisku legionistów, internowanych w obozie jeńców, jednak dla pamiątki historycznej dokończę tę relację, którą w Szczypiornie zacząłem. Może to będzie jedyna tych momentów niewoli legionowej pamiątka, przedstawiona w konkretnych żywych fragmentach stosunków. Niedużo mi już pozostało do skopiowania wyroków sądu żołnierskiego z czasów, gdym ja tą działalnością kierował. Zaś po ich zreferowaniu streszczę jeszcze w dzienniku główne zarysy samej organizacji samorządnej internowanych legionistów – w sferze gospodarczo-żywnościowej i kulturalno-oświatowej. Sądzę, że w Kolnie nawał rzeczy aktualnych do dziennika nie będzie tak duży, abym nie mógł tego zrobić, choć skądinąd nie chciałbym zaniedbać notowania mojej kolneńskiej działalności i stosunków miejscowych w ich ciekawych momentach.

22 września, rok 1917, sobota
Wykonując postanowienie wczorajsze, zaczynam dziś od zreferowania następnego z kolei referowanych – wyroku naszego sądu żołnierskiego w Szczypiornie. Jest to tym razem orzeczenie w sprawie cywilnej. Oto ono: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 17-21.VIII.1917. Obożny Sąd żołnierski w osobach ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego, ob. Władysława Orlika z IV pp. jako referenta i ob. Edwarda Niedzielskiego z I pp. jako członka, rozważał sprawę cywilną między ob. Feliksem Modzelewskim z I pp. jako powodem a naszą komendą obozu w zastępstwie pozwanego. Ob. Modzelewski dowiedział się, że 6 sierpnia na imię jego został przysłany z Kalisza od Ligi Kobiet list pieniężny, zawierający 60 marek; listu tego jednak ani pieniędzy nie otrzymał; wszelkie jego poszukiwania i dowiadywanie się u czynników, prowadzących naszą pocztę, okazały się bezowocne. Ówczesny nasz komendant obozu ob. kapitan Orlicz-Dreszer, po dowiedzeniu się o tym fakcie, wyraził zamiar odszkodowania ob. Modzelewskiego w charakterze przedstawiciela Komendy i przyjął zobowiązanie wypłacenia mu sumy 60 marek, o ile obożny sąd żołnierski ustali, że list taki z pieniędzmi istotnie wysłany został i ugrzązł gdzieś bądź już w samym obozie, bądź w ogóle od chwili, gdy się dostał w ręce naszych czynników pocztowych; jednocześnie Komenda obozu zastrzegła, aby Sąd w toku dochodzenia sprawy postarał się ustalić ślady wędrówki listu i gdyby natrafił na poszlaki, gdzie i ewentualnie w czyim ręku list z pieniędzmi ugrzązł – doniósł o tym Komendzie w orzeczeniu swoim w celu wszczęcia odpowiedniego śledztwa i dochodzenia karnego. Ob. Modzelewski na przekazanie sprawy Sądowi w tej formie się zgodził i zgłosił powództwo o 60 marek.

Na tych warunkach i z tymi zastrzeżeniami obożny Sąd żołnierski sprawę przyjął i przystąpił do czynności. W toku tego ob. kapitan Dreszer został przez niemieckie władze obozowe aresztowany i wywieziony z obozu. Nasza Komenda obozu wszakże w osobie nowego komendanta ob. wachmistrza Łaszczyca-Olszamowskiego, na którego ręce ob. kapitan Dreszer złożył przed aresztowaniem 60 marek do rozporządzenia w tej sprawie, przyjęła na siebie zastępstwo pozwanego. Sąd, po zbadaniu wszystkich dostępnych mu dowodów sprawy i przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. podporucznika dr Zamojskiego, sierżantów Szajewskiego, Wojciechowskiego i Fabiszewskiego oraz Sobczyńskiego i Mieczysława Modzelewskiego, stwierdza następujące okoliczności sprawy. W dniu 6 sierpnia, gdy dr Zamojski, podług jego zeznania, spożywał w Kaliszu śniadanie w restauracji hotelowej, siedząc w towarzystwie oficera austriackiego, przyszedł do niego p. Sztark, który stale doręczał mu pocztę, przeznaczoną dla internowanych legionistów, przechodzącą przez ręce Ligi Kobiet. Zwykle przy tym doręczaniu poczta pieniężna była wydzielana z poczty ogólnej i osobno kwitowana przez dr Zamojskiego. Tym razem jednak p. Sztark, nie ufając obcemu oficerowi austriackiemu, nie zrobił tego i całą pocztę zaniósł do pokoju dr Zamojskiego i złożył ją tam. Stamtąd też dr Zamojski ją zabrał i tym razem ryczałtowo zaniósł do obozu, nie oddzielając poczty pieniężnej od zwykłej. Wręczając ją w obozie naszym funkcjonariuszom pocztowym, pokwitowania od nich na listy pieniężne tym razem także nie brał, zarówno dlatego, że sam nie pokwitował p. Sztarka, jak dlatego, że tego dnia natrafił w obozie na uroczystość obchodu 6 sierpnia 1914, po czym wkrótce nastąpiło aresztowanie ob. ppor. Szafranowskiego, a następnie jeszcze dwóch naszych oficerów, co wszystko razem sprawiło pewną konsternację i zamieszanie w naszych stosunkach wewnętrznych i w funkcjonowaniu wszystkich wydziałów. O ile sobie dr Zamojski przypomina, pocztę odbierał od niego tego dnia ob. sierż. Szajewski, nie zaś Szafranowski, który już przed paru dniami był przekazał swoje funkcje pocztowe ob. Szajewskiemu, co zresztą stwierdzone zostało księgą pocztową i kwitami z poprzednich dni, przedstawionymi przez dr Zamojskiego. Czy w tej poczcie z dnia 6 sierpnia był jakikolwiek list do ob. Feliksa Modzelewskiego, tego osobiście świadek nie zauważył, bo się zresztą tym nie interesował. Dr Zamojski stwierdza kategorycznie, że tego dnia poczty, po jej przeniesieniu do obozu, nikomu do przechowania nie dawał i miał ją przez cały czas przy sobie aż do chwili wręczenia jej naszym funkcjonariuszom pocztowym w adiutanturze. Świadek ob. sierż. Szajewski (Szajewski jest tu tytułowany stale sierżantem, nie zaś chorążym, żeby nie zdradzać w dokumencie publicznym pisanym, który ewentualnie mógłby się w jakichś okolicznościach dostać do rąk niemieckich, że jest oficerem; przypisek mój dzisiejszy) zeznał, że pocztę już od kilku dni przed 6 sierpnia odbierał od dr Zamojskiego on, nie zaś ob. Szafranowski. W dniu 6 sierpnia z poczty, doręczonej przez dr Zamojskiego, były tylko dwa listy, doręczone jako pieniężne i wpisane jako takie do księgi za podpisem dr Zamojskiego, na dowód czego przedstawia księgę. Wśród tych dwóch listów listu do ob. Modzelewskiego nie ma. Czy wśród listów zwykłych, nie pieniężnych, był list do ob. Modzelewskiego – nie wie. Pocztę zwykłą segregowali na poszczególne bloki różni ludzie; kto segregował pocztę z dnia 6 sierpnia – świadek ustalić nie może. Na ogół należy zaznaczyć, że, jak się ujawniło na sądzie, w dniu 6 sierpnia, z powodu uroczystości obchodu i następnie aresztowań oficerów, panował w stosunkach i pełnieniu funkcji pewien zamęt i nieład. 18 sierpnia Sąd zażądał od ob. Feliksa Modzelewskiego, powoda, wystarania się o dowód z Ligi Kobiet w Kaliszu, że list pieniężny był do niego istotnie z Ligi Kobiet tą drogą skierowany. W dniu 20 bm. dowód taki został złożony do Sądu w postaci listu od Ligi Kobiet za podpisami pp. A. Sztarkówny i Z. Janiszewskiej, przewodniczącej, z pieczęcią i datą 18.VIII.1917, w którym to liście Liga zaświadcza, że 60 marek zostało

przez nią wysłane 6 sierpnia przez dr Zamojskiego dla ob. F. Modzelewskiego. Świadek ob. Sobczyński, jeden z poczmistrzów III bloku, w którym kwateruje powód, stwierdził, że ani on, ani drugi poczmistrz tegoż bloku, ani też komendant bloku poczty blokowej z adiutantury osobiście w tym czasie nie odbierali i że ten system odbierania poczty z adiutantury przez poczmistrzów blokowych został dopiero od tygodnia ustalony; poprzednio zaś odbierano pospolitą pocztę blokową z adiutantury, względnie dostarczano ją do bloku przygodnie, bądź przez szarże inspekcyjne, bądź przez ochotników. Listu do Modzelewskiego nie przypomina sobie, listu zaś pieniężnego, o ile wie – nie było. Świadek ob. M. Modzelewski z V bloku, imiennik powoda, zeznał, że żadnego listu na imię F. Modzelewskiego nie odbierał i nigdy wywoływanego nie widział; sam dwukrotnie odebrał listy pieniężne z Kalisza, oba po kilkanaście marek, ale były to listy i pieniądze, przeznaczone osobiście dla świadka. Świadek ob. Wojciechowski, który nazajutrz, po dniu, o który chodzi, mianowicie 7 sierpnia, przejął od ob. Szajewskiego funkcje kierownika poczty w adiutanturze, zeznaje, że poczta z dnia 6 sierpnia nie była doręczona. Gdy ob. Wojciechowski usłyszał, że ob. Modzelewski poszukuje jakiegoś listu pieniężnego na 60 marek, którego śladu w księdze pocztowej nie ma, zwrócił się z zapytaniem listownym w tej kwestii do uwięzionego ob. Szafranowskiego, od którego otrzymał odpowiedź. W odpowiedzi tej w postaci krótkiej kartki bez daty, przedstawionej przez ob. Wojciechowskiego Sądowi, ob. Szafranowski powiada, że list dla ob. Modzelewskiego, o ile on sobie przypomina, był, ale został wraz z innymi listami oddany ob. Szajewskiemu; listy te były u ob. Szafranowskiego tylko przez pół dnia; wszakże tego, czy tam były jakie pieniądze, ob. Szafranowski nie wie, bo listy te były mu wręczone bez uprzedzenia o pieniądzach...”. Dokończę jutro. Orzeczenie to jest tak obszerne, że nic mi dziś w dzienniku miejsca na Kolno nie zostało.

23 września, rok 1917, niedziela
Spieszę dokończyć rozpoczętą wczoraj relację z orzeczenia sądu żołnierskiego w Szczypiornie z dnia 17.VIII.1917 w sprawie cywilnej Modzelewski – Komenda obozu (Dreszer). „...Zarówno świadek Wojciechowski, jak powtórnie przesłuchany ob. Szajewski stwierdzają jednak, że jest niepodobieństwem, aby listy z dnia 6 sierpnia, a więc i list do ob. Modzelewskiego, jeżeli był w ich liczbie, mogły przechodzić przez ręce ob. Szafranowskiego, który wtedy od kilku dni przestał już pełnić funkcje pocztowe i tego dnia poczty nie odbierał, a bezpośrednio po tym został aresztowany. Świadkowie przypuszczają, że ob. Szafranowski, pisząc kartkę do ob. Wojciechowskiego, nie zdawał sobie sprawy z daty listu do Modzelewskiego i że może utkwiły mu w pamięci listy do innego Modzelewskiego, Mieczysława, zarówno pieniężne, jak zwykłe, które tenże M. Modzelewski odbierał za czasów urzędowania ob. Szafranowskiego. Wreszcie świadek ob. Fabiszewski, który pomagał ob. Szajewskiemu w czynnościach pocztowych, zeznał, że segregowaniem poczty prywatnej na bloki nie zajmował się i w sprawie listu do ob. Modzelewskiego nic nie wie. Rozprawa sądowa toczyła się jawnie, w obecności powoda ob. Feliksa Modzelewskiego. Strona pozwana obecna na rozprawie nie była: będąc o rozprawie powiadomiona, uprzedziła z góry o niestawieniu się. Na podstawie powyższego materiału faktycznego obozny Sąd żołnierski orzeka: „1. Pretensja ob. Feliksa Modzelewskiego została w zupełności udowodniona, a ponieważ odpowiada warunkom, na których Komenda obozu przyjęła na siebie zastępczo obowiązek odszkodowania go, Sąd postanawia po odebrania od Komendy obozu 60 marek, złożonych u niej na ten cel przez ob. kap. Dreszera, wypłacić tę sumę ob. Feliksowi Modzelewskiemu. 2. Obecność warunków, zastrzeżonych przez Komendę obozu, Sąd upatruje w tym, że dr Zamojski nie

kwestionuje, że w poczcie, którą odebrał 6 sierpnia w Kaliszu od przedstawiciela Ligi Kobiet p. Sztarka, mógł być list pieniężny dla ob. Feliksa Modzelewskiego, Liga Kobiet zaś stwierdza kategorycznie, że pieniądze takie tego dnia na imię wymienionego adresata załączone były. Pieniądze więc ugrzęzły i zaginęły niewiadomo gdzie, już po przekazaniu ich przez Ligę Kobiet naszym czynnikom pocztowym. Wprawdzie przekazanie to odbyło się tego dnia formalnie nie tak, jak było w regule, to jednak usprawiedliwia się to wyjątkowymi okolicznościami, a zresztą przyjęcie przez dr Zamojskiego poczty, w ten sposób mu doręczonej, świadczy, że uznał on to przekazanie za dokonane legalnie. Niezależnie więc od tego, kiedy i gdzie pieniądze ugrzęzły, w każdym razie należy uznać za ustalone, że nastąpiło to po złożeniu poczty przez delegata Ligi Kobiet. 3. Co do śladów wędrówki i zaginięcia pieniędzy, to Sąd ustalić żadnych faktów nie zdołał. Zdaje się być najprawdopodobniejszym, że pieniądze zginęły albo w międzyczasie między złożeniem przez p. Sztarka poczty a zabraniem jej przez dr Zamojskiego w Kaliszu, albo, co jest jeszcze prawdopodobniejsze, przy segregowaniu i roznoszeniu oraz wywoływaniu po blokach poczty prywatnej zwykłej z dnia 6 sierpnia, wśród której mógł się podług wszelkiego prawdopodobieństwa znajdować list pieniężny dla ob. Modzelewskiego. Kto wykonywał te czynności w tym dniu – stwierdzić się nie dało. Uwzględniając nieład, który panował podówczas przy rozdawnictwie poczty prywatnej, można wnioskować, że pierwszy lepszy żołnierz mógł dostać te listy do rąk i przywłaszczyć z nich sobie list z pieniędzmi powoda. Jedyny ślad tego listu mógłby być stwierdzony w kartce ob. Szafranowskiego do ob. Wojciechowskiego, ale inne okoliczności sprawy przeczą twierdzeniom tej kartki. 4. Dowody rzeczowe – list Ligi Kobiet do ob. Modzelewskiego z dnia 18 sierpnia i kartka ob. Szafranowskiego do ob. Wojciechowskiego bez daty, o ile ich nie zażąda w ciągu dni trzech Komenda obozu, Sąd postanawia zwrócić: pierwszy ob. Modzelewskiemu i drugą – ob. Wojciechowskiemu. (Podpisy:) M. Rzymski, W. Orlik, E. Niedzielski. Niniejszym poświadczam jako otrzymałem od ob. Rzymskiego, przewodniczącego Sądu obożnego żołnierskiego marek 60 (sześćdziesiąt), przysądzonych mi rezolucją tegoż Sądu z dnia 21.VIII.1917 z pieniędzy, złożonych przez kap. Dreszera. (Podpis:) Feliks Modzelewski. 23.VIII.1917. Obóz jeńców w Szczypiornie, 23.VIII.1917. Otrzymałem z rąk przewodniczącego obożnego Sądu żołnierskiego, ob. Mateusza Rzymskiego, na żądanie moje z tytułu orzeczenia tegoż Sądu z dnia 21 bm. w sprawie cywilnej między ob. Feliksem Modzelewskim a Komendą obozu: 1. List Ligi Kobiet do ob. Feliksa Modzelewskiego z dnia 18.VIII.1917 i 2. Kartkę od ob. Szafranowskiego do ob. E. Wojciechowskiego bez daty. (Podpis:) J. Łaszczyc-Olszamowski”. Do tej sprawy mały komentarz. Powstała ona z tego powodu, że doszło do wiadomości Dreszera, iż Modzelewskiemu pieniądze zginęły i że się on odgraża, że wniesie skargę do niemieckiego majora, urzędowego komendanta obozu jeńców. Dreszerowi chodziło zarówno o to, aby nie dopuścić do takiej skargi, która by ujawniła wobec władz niemieckich funkcjonowanie naszej poczty, a zwłaszcza nielegalny i ostro przez władze zakazany fakt poufnego dostarczania nam poczty prywatnej z Kalisza do obozu jeńców, jak również o to, aby przez pokrycie tej pretensji zatuszować ewentualne nadużycie ze strony funkcjonariuszy poczty naszej, ponieważ obawiał się, że zawinił tu ewentualnie podporucznik Szafranowski, który miał już w swej przeszłości podobne kawałki niesumienności pieniężnej i przywłaszczenia sobie sum zleconych. Pozostawienie w zawieszeniu poszlak, mogących ciążyć w opinii żołnierzy na oficerach, uważał Dreszer za rzecz niebezpieczną, szkodzącą dyscyplinie i podważającą autorytet szarż, a więc ujemną dla całokształtu stosunków i organizacji naszej w obozie jeńców, gdzie w ogóle ujawniały się coraz groźniej tendencje do niesubordynacji i złamania form wojskowych współżycia. W interesie więc tych względów dobra publicznego Dreszer przyjął na

siebie zobowiązanie uregulowania w drodze sądowej pretensji Modzelewskiego z kieszeni własnej. Obowiązku bowiem żadnego z urzędu Dreszer w tej sprawie nie miał. Nasza samorządna Komenda obozu w Szczypiornie żadnych środków pieniężnych nie posiadała, a oczywiście własne środki komendanta Dreszera nie mogły być przymusowo skierowane na pokrycie pretensji do Komendy. Ale gdyby nawet Komenda nasza była pieniężnie wypłacalna, to i w takim wypadku nie mogłaby być uznana za odpowiedzialną za straty, wyrządzone przez instytucję pocztową, mimo że ta instytucja była jej organem, a to mianowicie dlatego, że wszystkie braki w tej instytucji i jej funkcjonowaniu, jak również samo jej ustanowienie płynęły *primo* z warunków, w jakich ona działała, niezależnych od Komendy, i *secundo* – ze względów dobra publicznego z zastrzeżeniem wszelkich niedokładności nieuniknionych. Poczta ta była dobrodziejstwem dla ogółu, toteż za ewentualne straty prywatne powinien był legalnie odpowiadać ten, kto był jej użytkownikiem i w czyim interesie ona działała – to znaczy ogół. Najprawidłowszą byłaby taka forma odpowiedzialności, która w razie niemożności stwierdzenia osobistej odpowiedzialności opierałaby się na zasadzie asekuracji jednostek przez ogół albo wzajemnej asekuracji tych, co z poczty faktycznie korzystają. W warunkach współżycia, jakie istnieją w obozie jeńców, gdzie samorząd i organa władzy opierają się nie na autorytecie zewnętrznym, lecz na samopomocy, wytwarzanej konspiracyjnie, byłaby to forma prawnie najodpowiedniejsza. Ale nasi żołnierze w Szczypiornie byli już tak podminowani rozprzężeniem, że wprowadzać taką formę, wymagającą wielkiego solidaryzmu i tężyzny społecznej – nie było podobna. Trzeba więc było łatać ot tak, jak załatał w tym wypadku Dreszer z własnej ofiary. Że pieniądze Modzelewskiego utonęły w kieszeni któregoś z oficerów lub sierżantów pocztowych, korzystających z zamieszania, to bardzo prawdopodobne; już w samym protokole zeznań świadków są wskazówki na niewyraźną tu rolę niektórych. Ale stwierdzić się nie dało.

24 września, rok 1917, poniedziałek

Jestem tu w Kolnie jak oderwany od świata, ale mi z tym dotąd dobrze. Z gazet wiem, co się na wielkim świecie dzieje. Ukazała się odpowiedź Niemiec i Austro-Węgier na notę pokojową papieża Benedykta XV; w Rosji, która po zwycięstwie Kiereńskiego nad Korniłowem i stłumieniu jego buntu ogłosiła się Rzeczpospolitą, ferment i dalsze komplikacje w stosunkach wewnętrznych nie ustają; w Warszawie Rada Regencyjna dotąd się formalnie nie ukonstytuowała; nastąpiło przekazanie szkolnictwa w Królestwie w ręce polskie; na froncie wschodnim gazety dzisiejsze donoszą o przełamaniu frontu rosyjskiego pod Jakobstadtem nad Dźwiną; to nowe zwycięstwo niemieckie wyrwało z rąk rosyjskich cały przyczółek mostowy, który Rosjanie trzymali w tym miejscu na lewym brzegu Dźwiny i wyrzuciło ich na północny brzeg rzeki: Jakobstadt jest zajęty przez Niemców. Oto jest kronika wielkich wypadków światowych.

W Kolnie coraz częstsze są rano mgły, jesień robi postępy. Klimat tu w samym Kolnie jest niezdrowy; miasto położone jest na nizinie, nad bagnami i torfowiskami, które noszą nazwę Łabno (imię to należy do strugi, która się sączy przez bagna i wpada o jakiś kilometr czy dwa do rzeczki Skrody, oraz do przedmieścia). W Kolnie co roku podobno panuje tyfus, z którego sporo ludzi umiera, a nie wiem, czy nie ma tu także febry. Dzielnica, w której ja mieszkam, jest nieco wyżej położona, przeto względnie może być nieco zdrowsza.

Powoli wprawiam się w moje obowiązki sędziowskie. Orientuje się coraz szybciej, nabieram biegłości w czynnościach technicznych. Już władam ustawami, umiem dość szybko wynaleźć w nich to, o co mi chodzi, nie jestem tak bezradny w technicznych,

administracyjnych i kancelaryjnych kwestiach. Studiuje Kodeks Cywilny (Kodeks Napoleona), który mi już poza kazuistyką artykułów otwiera tajemnice swej budowy logicznej, swego ducha i pierwiastków organicznych, orientuje się w procedurze. Stopniowo rozwija się mój zmysł prawa, stanowiący główne narzędzie działalności prawnika, odradza się instynkt techniki proceduralnej cywilnej i karnej, odnawiają się same przez się w pamięci wiadomości, nabyte w mojej szczupłej praktyce adwokackiej. Poszczególne zagadnienia, na które się natykam, o ile nie są szczególnie pilne, notuje sobie, a następnie w chwilach wolnych osobno przestudiowuję. Naturalnie, że daleko mi jeszcze do zupełnej biegłości i nawet umiejętności, ale bo też krótki jeszcze czas mojego urzędowania sędziowskiego i bardzo niewielka praktyka. Dotąd miałem dopiero elementarne, najprostsze czynności i zagadnienia prawa i procedury. Nie zetknąłem się jeszcze praktycznie ani z hipoteką, ani z czynnościami rejentalnymi, ani z całym zakresem innych zagadnień z dziedziny wykonawczej itp. Jedną też tylko dotąd miałem sesję sądową, a napływ spraw jest nieduży i przeważnie są one nieskomplikowane. Jest mi to bardzo na rękę, bo pozwala mi na spokojniejsze rozejrzenie się, lepsze przestudiowanie i stopniowe nabycie wprawy i umiejętności. Z każdym dniem czuję się coraz mocniejszy. Pracuje pilnie. Siedzę co dzień w Sądzie od godz. 9 rano do obiadu, to znaczy do 1 ½, i po obiedzie od godz. 3 do zmroku, to znaczy do 5-5 ½. Interesantów, o ile przychodzą w sądzie bezpośrednio do mnie, dla zadeklarowania skargi lub powództwa albo w innej jakiejś materii, załatwiam rozważnie, starannie, nie spiesząc zbytnio i w tym już mam pewną metodę. Co do interesantów, to mam nieraz z nimi kram, gdy przychodzą nie tyle z czymś określonym jako żądaniem konkretnym zgłaszanym do sądu, ale „na radę". Znaczna większość nie zdaje sobie sprawy z tego, że sędzia nie może być doradcą strony i że zadanie jego oraz obowiązek jest zasadniczo różny od zadania i obowiązku adwokata. Niektórzy interesanci próbują nawiedzać mię prywatnie w domu, co zmuszony jestem uchylać; muszę się od nich jak od much bronić. Nie bardzo zaś mogę odsyłać ich „do adwokata", bo w Kolnie jest jedyny adwokat Goldberg i interesantom mogłoby się zdawać, że go faworyzuję i że staram się być jego naganiaczem, przysparzając mu klienteli. Kancelarię mam nieliczną (dwóch ludzi: sekretarz Miętkiewicz i woźny Dywizjonek), ale bardzo dobrze funkcjonującą, z której jestem bardzo zadowolony. Lepszej kancelarii i lepszych pracowników, tak co do pilności, jak pojętności – nie mógłbym wymarzyć. Zalety ich i zdolność, o ile je dotąd poznałem, jeżeli się tylko nie mylę, kwalifikują ich do pracy daleko wydajniejszej, niż tu, w Kolnie. Obaj zresztą czekają tylko chwili, kiedy ewentualnie administracja powiatowa zostanie przekazana przez okupantów władzom polskim; obaj bowiem pracowali dawniej za rosyjskich czasów w urzędzie powiatowym i są w tej dziedzinie biegli i obaj zamierzają tam przejść w tym wypadku; gdyby to nastąpiło, byłaby to dla mnie w sądzie wielka ujma, którą trudno byłoby powetować; wątpię zresztą, czy do tego prędko przyjdzie. Natomiast do niczego jest pisarz hipoteczny, urzędujący w odpowiednim wydziale przy sądzie moim. Jest to starzec przeszło 60-letni, niedołężny i schorowany. Nazywa się, zdaje się, Mystkowski. Sprawia nawet wrażenie człowieka o pewnym poziomie wychowania i kultury całkiem inteligenckim, pełną gębą, ale jest już zupełną ruiną człowieka. Ledwie włóczy nogami, ma widocznie w najwyższym stopniu rozwiniętą sklerozę, nos czerwony, barwę cery blado-siną, ręce sine zupełnie, oko zamglone, cały wyraz i figurę zupełnie zrujnowaną, jak u starca zgrzybiałego. Nie jest on już po prostu w stanie pracować, nie ma w sobie żadnej energii i sprężystości ani ciała, ani umysłu. W jego kancelarii hipotecznej jest nieład i chaos. Nie umie on sobie poradzić, nie ma pojęcia o robocie, która do niego należy. Musi być biedaczek materialnie w bardzo złym stanie i nie mieć żadnej znikąd pomocy, skoro jeszcze usiłuje zarabiać. Takiemu to już by się należało tylko łóżko, szlafrok i ciepły piec.

Nadrabia jeszcze miną, ale już nic nadrobić i zamaskować swego niedołęstwa nie jest w stanie. Narzeka tylko ciągle na zimno, nie ma mieszkania i gnieździ się tymczasem w kancelarii hipotecznej; stęka i klnie Kolno, ale doprawdy i tu jeszcze dla niego za dobre miejsce w stosunku do wartości, jaką przedstawia. Jedyna czynność, którą jest w stanie wykonywać, to przepisywanie kopii z aktów, co też ciągle i, zdaje się, jedynie robi. Szczęściem, że czynności hipoteczne w Kolnie są bardzo nieskomplikowane i że prawie żadnych interesantów nie ma. Gdy się do niego interesant zjawi, to załatwienie go trwa godzinami; Mystkowski nie umie znaleźć aktów, nie orientuje się w skorowidzach, nie umie uporządkować chaosu, jaki zastał; tylko kopie umie przepisać – jedyne, zdaje się, obstalunki interesantów, które załatwia. Że też takiego niedołęgę mianowano! I to na hipotekę, która należy do najtrudniejszych działów prawa! Mystkowski przyjechał do Kolna tydzień przede mną. Doprawdy nawet Dywizjonek byłby stosowniejszy, bo choć przynajmniej umiałby porządek w aktach utrzymać. Gdyby nie to, że mi żal biednego starca, to chyba by już innej posady nie mógł znaleźć, byłbym chyba musiał interweniować u prezesa sądu w Łomży, aby go stąd usunięto z powodu zupełnej niezdatności. Ale mi go żal. Nie mam serca go pozbawić tego kawałka chleba. Wieczorem, co drugi dzień, Mystkowski przyłazi do mnie, bo nie ma co robić i żałuje palić światło. Wysiaduje u mnie godzinami i nudzi mię nieskończenie. Nie mogę go wyprosić, a nie ma z nim po prostu o czym rozmawiać. W rozmowie jest równie niedołężny, jak w pracy. Chyba że prędko umrze. Mam wrażenie, że już od czasu mego przyjazdu postarzał i zniedołężniał i że z dnia na dzień chyli się do ostatecznego upadku. Lada dzień gotowiśmy go znaleźć nieżywego.

25 września, rok 1917, wtorek
Otrzymałem dwie kartki z pułku – od Hellera i od Włodka Mozołowskiego. Są pisane w odpowiedzi na mój list do Hellera z Warszawy po wyjściu ze Szczypiorna. Adresowane były do Warszawy, skąd przesłane zostały do Kolna. Datowane są z 9 września z I pułku piechoty z Siedlisk pod Przemyślem. Dziwi mię, że ani Heller, ani Włodek nie wspominają nic o przeniesieniu do c.k. armii austriackiej. Czyżby to, co mówiono w Warszawie, ze źródeł tak dobrze poinformowanych politycznie, o zlikwidowaniu całego szeregu pułków Legionów, w tej liczbie i I pp., i o dokonanym przeniesieniu legionistów do c.k. armii miało być nieścisłym? Albo nastąpiło tak niespodziewanie i nagle, że na parę dni wcześniej jeszcze w pułku nic o tym nie wiedziano i nie gotowano się do tego? Cieszę się, że przynajmniej koledzy moi pułkowi mają mój adres warszawski i wiedzą o moim uwolnieniu ze Szczypiorna, toteż będą pisać do mnie, nawet gdyby zostali z Legionów wycofani. To mi umożliwi utrzymanie z nimi nadal korespondencji, czego sobie bardzo życzę. Heller pisze mi o jakichś 200 markach, które otrzymał dla mnie i które ma mi do Warszawy pocztą odesłać. Nie domyślam się, co to mogą być za pieniądze. Zresztą teraz są mi zbyteczne, chyba że byłyby od Papy.
Co do pieniędzy, to w tej chwili moja gotówka, którą ze sobą przywiozłem z Warszawy, jest na wyczerpaniu. Pozostaje mi coś 50 marek. Pensja w sądownictwie polskim jest widocznie płatna z dołu, bo przy wyjeździe na objęcie urzędu nie wypłacono jej. Otrzymałem tylko 225 marek z Departamentu Sprawiedliwości tytułem należności „na koszta przeprowadzki” w wysokości połowy pensji zasadniczej (mimo dodatek drożyzniany) oraz w Łomży z kasy Sądu Okręgowego zwrot kosztów podróży z Warszawy do Kolna. Pensji jeszcze nie otrzymałem. Nie wiem, czy otrzymam ją w pełnej kwocie należnej, czy też za potrąceniem owych 225 marek. W departamencie, zdaje się, ową wypłatę „na koszta przeprowadzki” uważają za zaliczkę, choć w myśl Przepisów Przechodnich o wynagrodzeniu urzędników wymiaru sprawiedliwości zdaje się to być samodzielną wypłatą jednorazową „à fonds perdus”. Chyba że na pierwszego

otrzymamy obecnie należną pensję z dołu za wrzesień. Ale pierwszszy się zbliża, a dotąd nic jeszcze o tym nie słychać i nic nie wiemy o technice dokonywania wypłaty pensji przez Sąd Okręgowy łomżyński. W ogóle co do wydatkowania nie mamy jeszcze żadnych wskazówek ani żadnych środków z sądu łomżyńskiego, wszystkie zaś wpływy sądu pokoju, które posiadam, są u mnie li tylko w charakterze depozytu i muszą być 1 października przesłane nietykalnie do kasy Sądu Okręgowego.
Dziś w Kolnie Rada Opiekuńcza miejska, której prezesem jest p. Stachelski, sekretarzem zaś p. Litwiński (który jest zarazem sekretarzem o wiele czynniejszej Rady Opiekuńczej powiatowej) zwołała zebranie w sprawie obchodu 100-letniej rocznicy śmierci Kościuszki, bardzo uroczyście w całej Polsce mającej być obchodzoną. Byłem zaproszony na to zebranie. Odbyło się ono przy ul. Gromadzyńskiej w kancelarii p. Litwińskiego. Prócz dwóch wymienionych członków zarządu, obecni byli: mój sekretarz sądu Miętkiewicz, aptekarz, sekretarz magistratu, felczerowa p. Borawska, osoba miła, przystojna i młoda, trzy nauczycielki i grono gospodarzy kolneńskich, wśród których był też mój gospodarz Józef Pikuliński, chłop bardzo uspołeczniony. Kolno nie chce zostawać w tyle w szeregu innych miast i powiatów co do uroczystości narodowej. Niestety jednak – obchód organizuje się tu w odosobnieniu od powiatu, bo dotąd Rada Opiekuńcza powiatowa jeszcze się tym nie zajęła. A byłoby o wiele lepiej, gdyby się to robiło podług jednolitego planu na cały powiat, wspólnymi siłami. Omówiono na zebraniu główny szkic planu obchodowego. Obchód ma się składać z uroczystego nabożeństwa i ogłoszenia dnia 15 października za dzień świąteczny w parafii (księża kolneńscy, choć byli zaproszeni, nie przyszli na zebranie, co bardzo dotknęło zebranych, wśród których zresztą dostrzegłem w ogóle pewną nieufność i nawet jakby skrytą niechęć do kleru: podobno księża w ogóle tu bardzo mało i niechętnie udzielają się sprawom publicznym, a nawet szykanują inicjatywę społeczną; czy to wypływa z tego, że bodaj większość księży tutaj – to są Litwini, dla których sprawy publiczne i narodowe polskie są obce, czy też tylko z sobkostwa i obojętności dla wszelkich w ogóle spraw publicznych?), dalej obchód ma zawierać odczyt publiczny o Kościuszce, który ma być ewentualnie wygłoszony pod gołym niebem, na rynku lub cmentarzu kościelnym, wreszcie dwudniową kwestę uliczną, ruchomą ze sprzedażą znaczków i siedzącą przy stolikach. Rozdawnictwo broszur okolicznościowych, w Warszawie na ten cel wydanych i ewentualnie jeszcze jakieś inne szczegóły programu, jak sprzedaż medali pamiątkowych itd., mają być ustalone w uzupełnieniu programu obchodu później. Co do odczytu, proszono mnie i Miętkiewicza. Podjęliśmy się we dwóch zaradzić temu. Coraz bardziej się przekonywam, że Miętkiewicz jest człowiekiem dzielnym i różnostronnym a zdolnym. Na zebraniu jego wnioski były najdzielniejsze. Co do odczytu, to jeżeli chodzi o odczyt publiczny pod otwartym niebem, to ja się go nie podejmę; chyba że byłyby dwa odczyty, z których jeden na otwartym placu wygłosiłby Miętkiewicz, a drugi, w lokalu zamkniętym, publiczny, ale ściślejszy, mógłbym wygłosić w postaci referatu ja. Wybrano komisję obchodową z sześciu osób, do której i mnie zaproszono.

26 września, rok 1917, środa
Wielka dziś nowina, którą z gazet wyczytałem. Wielka dla mnie, bo dotyczy mojej Ojczyzny: wreszcie tym razem i Ona z kolei wchodzi w stadium realizacji państwowej. Litwa, ten Kopciuszek narodów, kraj zapomniany w stosunkach międzynarodowych i w wielkiej polityce świata, kraj i lud, których imienia nawet nie pamiętano na świecie, podnosi się nagle i wyłania na wielką widownię faktów międzynarodowych i woli państwowej. Z pewnością – to, co Litwa uzyskała, dalekim jest jeszcze od państwowości we właściwym znaczeniu słowa, a tym bardziej od Niepodległości, która

jeszcze nawet w Polsce nie jest dokonaną. Ale już samo to, że się zorganizowała Litewska Rada Krajowa jako instytucja prawno-publiczna do samorządnego udziału w zarządzie kraju, bez względu na ograniczony zakres jej właściwości – jest dla Litwy faktem doniosłości historycznej. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Litwa staje jako jednostka publiczna, jednostka międzynarodowa. Zważmy, że imienia jej zapomniano w Europie; że litewska kwestia w znaczeniu międzynarodowym nie istniała wcale; że była ona tylko prowincją w państwie rosyjskim i to prowincją, która nawet nie tworzyła jednostki całej, jeno była guberniami, niczym się urzędowo od automatycznej masy guberni nie różniącą; że jeżeli istniała „kwestia litewska", to tylko jako spór idealny między Rosją a Polską o granice roszczeń kulturalnych i ewentualnie, na wypadek państwowości polskiej, państwowych – między tymi dwoma wielkimi sąsiadami; że tylko we wnętrzu kraju tlała iskierka dążeń do jego usamodzielnienia, do wyodrębnienia jego rozwoju i praw od sprawy rosyjskiej lub polskiej – iskierka nikła, która się w ludowym ruchu litewskim iściła i w najsilniejszym elemencie ludnościowym kraju, wśród Polaków litewskich, prawie że odpowiednika nie miała, przeważnie zaś była zwalczana; że iskierka ta, która ośmieliła się w roku 1905 wyłonić popularny ludowy postulat autonomii, datowała się dopiero od lat mniej więcej 35, to znaczy była tak wątła i młoda, że dotąd żyją jeszcze ci ludzie (dr Basanowicz), którzy pierwsi ją rozpalać zaczęli; że przed laty 35, to znaczy o czasokres jednego pokolenia wstecz – co to znaczy w dziejach narodów – ta Litwa była jeszcze tak ubogą, bezwłasnowolną i bierną, że nawet tej jedynej czynnej iskierki żywotności nie posiadała; że o istnieniu tej iskierki wiedziano i wyczuwano ją tylko w wewnętrznych stosunkach krajowych i nawet tu ją lekceważono przeważnie, a już w sąsiednich i bezpośrednio zainteresowanych Rosji i Polsce zaledwie coś o niej słyszano, bagatelizując zgoła jej roszczenia, poza Polską zaś i Rosją nie domyślano się jej wcale; że nawet historyczne Wielkie Xięstwo Litewskie jako część składowa Rzeczypospolitej, o ile wiedzieli o nim w Europie rzadcy ludzie, świadomi historii Wschodu europejskiego, było w ich pojęciu nie jakąś Litwą samą w sobie, o której nic zgoła nie wiedzieli, lecz częścią Polski lub ruskimi terenami polskiego podboju. Każdy ludek i kraik bałkański, wyjarzmiany od rozkładającej się Turcji, od chłopskiej Serbii do półdzikiej Albanii, każde plemionko słowiańskie w różnojęzycznej Austrii miało swoją klasyfikację w międzynarodowych zagadnieniach polityki europejskiej, względnie nawet miało byt albo przynamniej swój problem państwowy. Litwa, kulturalnie od nich wyższa – nie miała nic: była pariasem, o którym nie wiedziano nawet, że istnieje. Dopiero ta wojna i płynąca z niej okupacja niemiecka zachodnich terytoriów Rosji oraz komplikacje sporu anglo-niemieckiego, tamujące ujście pokoju i zmuszające zaangażowane strony do wytwarzania przeróżnych kombinacji i odkryć, wyłoniła sprawę litewską po raz pierwszy jako sprawę międzynarodową i sprawę państwową. To, co się teraz wobec Litwy dzieje, jest w miniaturze takim objawieniem, jak odkrycie Ameryki. I niezależnie nawet od tego, czy się całkowita państwowość, a tym bardziej niepodległość Litwy spełni, fakt jej odkrycia i postawienie jej zagadnienia państwowego w międzynarodowej sferze stosunków pozostanie trwałym potężnym atutem, na którym się oprą jej wierni synowie, jej budowniczowie niezmordowani. Tego jej już nikt i nic nie odejmie. Szczęsny dr Basanowicz, który za życia ogląda owoc wielkiego dzieła, poczęty z jego samotnego czynu przed laty 35! Niechże raz jeszcze błogosławioną będzie ta wojna! Litwo, Ojczyzno, cześć Tobie – Zmartwychwstająca, Żywa!

O powstaniu Litewskiej Rady Krajowej dowiedziałem się z „Kuriera Polskiego", który cytuje odpowiedni opis tego faktu podług litewskiego pisma niepodległościowego „Lietuvos Aidas" w Wilnie, organu Antoniego Smetony, podany przez niemiecką

urzędową Agencję Telegraficzną Wolfa. Powołanie do życia Litewskiej Rady Krajowej nastąpiło w wykonaniu uchwał Komisji Głównej Parlamentu Rzeszy Niemieckiej. W Wilnie odbył się Zjazd Litewski, złożony z kilkuset osób, który ułożył listę członków Rady Krajowej, przedstawiając Głównemu Dowódcy Wschodu (Oberbefehlshaber Ost"), właściwemu wielkorządcy krajów okupowanych na wschodzie (prócz Polski) – księciu Leopoldowi Bawarskiemu. Narodowy Zjazd Litewski był otwarty uroczyście nabożeństwem publicznym w Katedrze Wileńskiej, o którym „Lietuvos Aidas" pisze ze wzruszeniem jako o pierwszym akcie publicznym litewskim w prastarej świątyni stołecznej. Książę Leopold Bawarski zatwierdził Litewską Radę Krajową. Uroczysty akt zatwierdzenia dokonał się u szefa zarządu cywilnego Litwy księcia V. Isenburg-Birsteina, w obecności delegacji litewskiej (mianowanych członków Rady Krajowej) z dr Basanowiczem na czele. Przemówienia uroczyste i adres Rady Krajowej były wygłoszone i odczytane po niemiecku i litewsku. Książę Isenburg-Birstein zaznaczył, że Litewska Rada Krajowa musi być uzupełniona członkami przedstawicielstwa krajowych mniejszości narodowych (chodzi zapewne o Polaków litewskich, Białorusinów i ewentualnie Żydów). Nie przeceniam atrybucji prawno-państwowych tej Rady ani uważam faktu jej powołania za fakt już dokonanej natury państwowej. Jeżeli nieboszczka Tymczasowa Rada Stanu w Polsce nie posiadała charakteru i władzy państwowej, to cóż dopiero pierwsza krajowa instytucja samorządna Litwy. Ani marzyć o tym, żeby była ona czymś więcej, niż „Beiratem" (ciało doradcze). Ale niemniej ma ona charakter publiczny, charakter instytucji krajowej, streszczającej w sobie ideę prawno-państwową kraju. To jest jej waga. Ten moment witam entuzjastycznie. Pierwszym moim odruchem po przeczytaniu wielkiej dla Litwy nowiny – był żal, że ja tam nie jestem teraz w Wilnie i że gdy Litwa wchodzi w epokowe stadium swojego odrodzenia, ja, jej syn najwierniejszy, ja, który ją tak kocham, siedzę gdzieś w Kolnie na urzędzie sędziego pokoju. Ewentualnie miejsce moje byłoby tam. Ale czyż gdym wyjeżdżał z Litwy, by wstąpić do Legionów, mogłem marzyć o tym, że jej sprawa na ten poziom i na to stanowisko się wzniesie! Dalekim jeszcze zdawało się i mało prawdopodobnym wtedy (wiosna roku 1915), żeby nawet doszło do oderwania ziem litewskich od Rosji, a cóż dopiero ewolucja ku państwowości litewskiej! Dźwignią wyjarzmienia Litwy, tylko wyjarzmienia spod Rosji, ale nie spełnienia jeszcze jej własnej wolności, zdawała się sprawa polska – i nic więcej ponadto! Od tego czasu co za zmiana, sprawiona przez bieg wypadków wojny. Jeszcze na Boże Narodzenie tego roku nie dostrzegałem perspektyw realnych dla sprawy państwowości Litwy, a raczej dla aktywizmu w tym kierunku. Nie zaszedł też był jeszcze jeden z kapitalnych faktów – rewolucja rosyjska. Dziś staje się już to, co by się wydało zbyt śmiałym marzeniem, a co dopiero na Wielkanoc zacząłem dostrzegać, gdy dostrzegli już to patrioci litewscy w tym czasie. Postanowiłem wysłać depeszę powitalną do Litewskiej Rady Krajowej.

27 września, rok 1917, czwartek
Jak wspomniałem wczoraj, postanowiłem wysłać telegram powitalny do Litewskiej Rady Krajowej w Wilnie. Nie byłem pewien, czy telegramy prywatne do Litwy są dopuszczalne. Okazało się wszakże, że mogą być wysyłane na tych samych zasadach, co wewnątrz Królestwa, to znaczy tekst musi być w języku niemieckim i za poprzednim potwierdzeniem naczelnika powiatu. Ułożyłem więc depeszę tej treści: „Litewska Rada Krajowa. Wilno. Dowiedziałem się o utworzeniu Litewskiej Rady Krajowej, którą witam gorąco, życzę powodzenia dla szczęścia naszej ukochanej Ojczyzny Litwy. Michał Römer". Po niemiecku to brzmi: „*Litthauischer Landesrat. Wilna. In Erfahrung gebracht von Bildung Litthauischen Landesrates begrüsse ich heissest denselben wünsche Erfolg zum Glück unseren lieben Vaterlandes Litthauen. Michael von Römer*".

Depeszę tę po obiedzie wysłałem. Co do tego, że nie jestem w tej historycznej chwili w Wilnie, to kto wie – może to i lepiej. Nie wiem, czy przydałbym się na co i czy byłbym w stanie wziąć udział w dokonywających się tam faktach. Bo trzeba wiedzieć, że niestety, powstawanie zawiązków prawno-państwowości Litwy dokonywa się w nader ciężkich warunkach i komplikacjach wewnętrznych układu narodowego. Polacy litewscy, jak to już widzę z listu Witolda Abramowicza do Ludwika, który czytałem w Warszawie, są do powstającej Litewskiej Rady Krajowej, jak również do Litewskiego Zjazdu Narodowego, który się odbył w Wilnie, bardzo niechętnie, wprost wrogo [usposobieni]. Nie mogą się oni pogodzić z tym, że, *primo*, w charakterze gospodarzy właściwych kraju występują Litwini, utrącając Polaków do roli tolerowanej mniejszości narodowej, może nawet względnie autonomicznej, ale nie równie decydującej o losach kraju, i *secundo*, że Wilno włączone zostało do Litwy etnograficznej jako jej stolica narodowa. Ten ostatni punkt zwłaszcza jest dla Polaków litewskich w Wilnie kamieniem obrazy. Walczyli oni zawsze o polski charakter Wilna i zaprzeczali Litwinom praw narodowych do stolicy, których się Litwini namiętnie domagali, a mieli w tym Polacy poważny atut w postaci faktycznego statystycznego stanu ludnościowego Wilna pod względem narodowościowym. Ta autonomia Litwy, która się zaczyna spełniać, jest zbudowana na zasadach etnicznego (narodowego) terytorium Litwy i Wilno zostaje do niej włączone jako stolica. Polacy litewscy w Wilnie marzyli o przynależności lub chociażby związku państwowym z Polską, do czego dążyli nawet ci, którzy uznawali stanowisko krajowe – stanowisko państwowe Litwy. To stanowisko państwowe pojmowali oni z zastrzeżeniem albo niepodzielności Litwy historycznej (względnie Litwy tzw. „katolickiej" w ramach obecnego faktycznego jej oderwania od Rosji), albo, jeżeli odstępowali od zasady bezwzględnej niepodzielności i modyfikowali program federacji czy unii Litwy z Polską na program państwa związkowego czy związku państw, jak to zainicjowali „demokraci" z Witoldem Abramowiczem na czele w Komitecie Polskim w Wilnie na wiosnę roku bieżącego, to mieli na myśli, że Wilno w każdym razie dzielić powinno losy nie ścisłej Litwy etnograficznej, lecz Białej Rusi katolickiej, to znaczy gub. wileńskiej i gub. grodzieńskiej, stanowiących most przejściowy do Polski, gdzie wpływy polskie będą przeważające. W ten sposób czy to w niepodzielności zupełnej, czy w podzielności, która wyodrębni Wilno z Białą Rusią Zachodnią w osobną jednostkę państwową, liczyli oni na to, że zachowają poważne wpływy i stanowisko państwowe w kraju oraz moc narodową. Tymczasem kombinacja, zachodząca obecnie, przeczy wszystkim tym założeniom. Niweczy ona te wszystkie punkty wyjścia, które umożliwiały „demokratom" z obozu Witolda Abramowicza, głównym kombinatorom stanowiska krajowego wśród Polaków litewskich – pogodzenie krajowości z aspiracjami narodowymi polskimi. Stąd też ta wściekłość Witolda Abramowicza i zdecydowanie wrogi stosunek do zachodzących faktów, przyjmowanych, a nawet współwytwarzanych przez Litwinów z Niemcami. Znając usposobienie stosunków wileńskich przypuszczam, że Polacy litewscy będą wręcz bojkotowali Litewską Radę Krajową, aby jej utrudnić, a jeżeli się da, to uniemożliwić funkcjonowanie. Będą ją szkalowali, szykanowali i dyskredytowali wewnątrz i [na] zewnątrz. Poprowadzą wściekłą, o ile ich bardzo słabe dziś siły pozwolą, kampanię przeciwko niej. Rola Polaków, którzy by zechcieli zająć stanowisko pojednawcze, a tym bardziej zaakceptować bez zastrzeżeń fakt dokonywający się i ewentualnie współdziałać z Litewską Radą Krajową, byłaby niesłychanie trudna i drażliwa. Ciekaw jestem, jak się wobec tych stosunków zachowa Zasztowt i nieliczna garstka ludzi tegoż pokroju ideowego. Przypuszczam, że Polacy litewscy, o ile się dowiedzą o moim telegramie powitalnym do Litewskiej Rady Krajowej, wezmą mi to za złe, choć usprawiedliwiać mię będzie w ich oczach to, że, będąc daleko, nie zdaję sobie rzekomo

sprawy z zachodzących konfliktów, a zresztą znany jestem aż nadto z mej „słabości" do Litwinów. Mnie to zresztą mało obchodzi, bo choć rozumiem względy i obawy, kierujące Polakami litewskimi, którzy cząstkę słuszności mają niewątpliwie za sobą, uważam, że fakt wytwarzania podstaw państwowości Litwy jest sam przez się tak doniosły, tak wielki dla sprawy ludowej w kraju i dla sprawy wolności, w której wcześniej czy później zrealizuje się wolność także wszystkich współmieszkańców kraju we wszystkich ich rozwoju i praw sferach, nie wyłączając i Polaków litewskich, że nawet pewne ewentualne niedoskonałości czasów, za jakie uważam w tej chwili zostawienie poza nawiasem Litwy pozostałych części Białej Rusi Zachodniej (gub. grodzieńska) i ewentualna przesada Litwinów w kierunku narzucenia Wilnu etnicznie litewskiego charakteru – nie mogą w moim przekonaniu zachwiać doniosłości i dodatniej wagi faktu, a zresztą tak przywykłem chodzić w polityce własnymi, samotnymi, choćby chwilowo niepopularnymi drogami, że mię niezadowolenie czyjeś z mojego stanowiska – nie przeraża. A co do Wilna, to jednak w każdym razie (z zastrzeżeniem zupełnej wolności i równości oraz pełni praw narodowych) uważam, że nie może ono nie być stolicą Litwy, jakkolwiek byśmy tę Litwę terytorialnie formułowali. Bez Wilna Litwa byłaby zawsze okaleczona. Za błąd Polaków litewskich uważam to, że dla walki o warunki i prawa swoje, walki doraźnej – bo nie mówię o słusznej walce stałej i żądaniach zasadniczych, które będą z ich strony wymagać dużych nakładów energii – gotowi są, jeżeli tylko moje przypuszczenia mię nie mylą, niszczyć wartości zasadnicze, wytworzone tak ciężko. Utrudniają oni sami przez to swą przyszłość w kraju. Z drugiej strony jestem pewien, że Litwini też umiarkowaniem nie grzeszą i że ich dążenie do wyłączności narodowej i dominacji w kraju jest takie, że gdybym był na miejscu, trudno by mi było bez zastrzeżeń współdziałać czynnie z nimi. Z daleka mogę sprzyjać wielkim faktom i wytycznym ewolucji, ale czy bym mógł konkretnie uczestniczyć w samych faktach już dziś – nie jestem tego pewny. Może to i lepiej, że mię na razie tam nie ma i że wrócę nie splamiony namiętnościami walki. W każdym razie, jak tylko otrzymam najbliższą moją pensję, pośpieszę zaprenumerować wileńskie pisma – polski „Dziennik Wileński", litewskie „Lietuvos aidas" i białoruski „Homan", jeżeli tylko wolno je do Królestwa prenumerować.

28 września, rok 1917, piątek
Dzisiaj odbyła się druga sesja sądowa w mym urzędowaniu. Ławnikami byli Józef Kocik, wójt gminy Czerwone, który był ongi braciszkiem w klasztorze oo. Paulinów na Jasnej Górze, a następnie, po zakochaniu się przygodnym w jakiejś dziewczynie ze stron kolneńskich, która przybyła do Częstochowy w pielgrzymce pobożnej, przyjechał w te strony za nią, ożenił się i osiadł na jej roli, a za okupacji niemieckiej został wójtem, i kupiec Wolf Remba. Spraw do osądzenia było niedużo, ale pierwsza z nich zajęła tyle czasu, że następne prowadziliśmy już w tempie bardzo przyśpieszonym. Nie powiem, żebym był bardzo z sesji dzisiejszej zadowolony. Jeszcze się trochę myliłem, a także się trochę denerwowałem przy ustalaniu rezolucji, co mi przeszkadzało w metodycznym spokojnym rozejrzeniu się w ustawach. Jednak na ogół zasądziliśmy sprawy sprawiedliwie. W jednej sprawie musieliśmy zasądzić biedną kobietę wdowę jako opiekunkę nad małoletnimi dziećmi, spadkobiercami po jej mężu, a ich ojcu, z rewersu na kilkaset rubli kapitału i procentów, mając zupełną świadomość, że biedaczka mogłaby się od zasądzenia tego skutecznie bronić i co do procentów całkowicie zwolnić, a co do kapitału, to co najmniej dochodzenie przewlec, a może i całkiem także zwolnić. Dług z rewersu zmarłego męża uzyskiwał od niej stary bogaty chłop, sknera, pożyczający pieniądze ludziom, niejaki Wyrwas, który od razu kilka podobnych rewersowych spraw wniósł i w obecności sądu od kilku pozwanych dziś pieniądze

zgarnął – bez wyroku nawet, ponieważ pozwani gotówką go zaspokoili. Biedna wdowa, Kubrakowa, posiada w imieniu małoletnich dzieci po mężu dwa domy w Czerwonym i parę morgów ziemi, ale obecnie ziemia ta leży odłogiem, inwentarza nie ma, kobiecina nie ma sił i środków do zagospodarowania własności, domy też dochodu nie dają, jeno przynajmniej służą jej za schronienie z małymi dziećmi. Po wojnie mogłaby ziemię wypuścić w dzierżawę, domami też stosownie rozporządzić i spłaciłaby dług mężowski bez wielkiej biedy. Tymczasem teraz Wyrwas może jej z mocy wyroku sądowego nałożyć egzekucję na domy i sprzedać je, a kobiecinę na bruk wyrzucić. W tej sprawie przed kilku dniami apelował do mnie dziekan, dopytując, czy by się jakoś krzywdy biedaczki uniknąć nie dało. Cóż jednak sąd mógł zrobić, gdy pozwana kobiecina na sądzie, płacząc i prosząc o względy, powołując się na ubóstwo i na krzywdę dzieci i obiecując zwrot długu po wojnie, przyznała jednak całkowitą sumę powództwa bez żadnych zastrzeżeń co do słuszności żądań powodu. Zasądziliśmy z obowiązku, świadomi krzywdy, jaka się wyrządza. Obowiązek sędziego, który jest w takich wypadkach wykonawcą praw cywilnych ludzkich i któremu nie wolno bawić się w miłosierdzie, jest ciężki.
Dla mnie dni sesji sądowych są jeszcze dniami uroczystymi. Nie traktuję mego zawodu rzemieślniczo. Lubię dni sesji. W Kolnie są one zresztą rzadkie, bo spraw nie napływa wiele. W ostatnich 3-4 dniach nawet nic nie wpłynęło nowego: nikt się z żadnym powództwem cywilnym nie zgłosił, jeno parę drobnych spraw karnych z oskarżenia prywatnego wpłynęło. Studiuję dalej kodeks Napoleona, z którym dawniej praktycznie nigdy do czynienia nie miałem i który tylko bardzo ogólnikowo znałem. Kodeks karny, obowiązujący nas teraz, jest kodeksem także nowym, z którym praktycznie do czynienia nie miałem. Jest to Kodeks Karny rosyjski („Уголовное Уложение”), zatwierdzony w r. 1903, który jednak w Rosji w życie wprowadzony nie został, prócz działu przestępstw politycznych. Znam go jednak z moich dawnych studiów prawa karnego w Szkole Prawa; głównym autorem tego kodeksu był znakomity kryminalista rosyjski, senator prof. Tagancew, który był moim profesorem prawa karnego i stąd w jego wykładach oraz w jego podręczniku ten Kodeks Karny, który był wtedy dopiero projektem, był starannie uwzględniany. Przez to jest on dziś dla mnie łatwy; jest ułożony podług metody i zasad kryminalistyki, które ja w szkole prof. Tagancewa nabyłem do mojej świadomości prawnej. Przed kilku dniami przysłano nam z Warszawy Ustawę Postępowania Cywilnego w tłumaczeniu polskim, rzecz bardzo pożądaną, bo ułatwiającej stosowanie ścisłej terminologii polskiej. Wkrótce zapewne otrzymamy w takimże tłumaczeniu Ustawę Postępowania Karnego. Egzemplarz rosyjski, który mam, jest strasznie przestarzały. Brak mi poza tym wszystkich innych specjalnych ustaw, z którymi czasem może mi wypaść mieć do czynienia. Poza Kodeksami Cywilnym i Karnym oraz Ustawami Postępowania Cywilnego i Karnego – nie posiadam nic, a przy sądzie pokoju żadnej podręcznej biblioteki prawniczej nie ma.
Na zakończenie dnia dzisiejszego dopiszę jeden wyroczek w maleńkiej sprawie naszego sądu żołnierskiego ze Szczypiorna. Jest to już jedna z ostatnich spraw, które mi pozostają do zreferowania w tym cyklu. Jest ona krótka i żadnych komentarzy wymagać nie będzie. „Obóz jeńców w Szczypiornie, 21.VIII.1917. Sąd żołnierski bloku IV w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Antoniego Dąbrowskiego jako referenta ob. ob. Jana Świercza, Edwarda Niedzielskiego i Zbigniewa Michałowskiego jako członków, rozważał sprawę ob. Wnorowskiego, oskarżonego przez ob. Chojnackiego o potwarz, która wyraziła się w tym, że ob. Wnorowski w dniu 18 bm. rzucił podejrzenie na ob. Chojnackiego o kradzież browninga na sali i zniesławiał go wobec komendanta sali i brata oskarżyciela, które to podejrzenie było zgoła nieuzasadnione. Oskarżony Wnorowski przyznał się do winy i

wyraził chęć przeproszenia oskarżyciela Chojnackiego, który zgodził się przeproszenie przyjąć i zrzec się oskarżenia. Bezpośrednio po tym ob. Wnorowski przeprosił ob. Chojnackiego w obecności Sądu. Wobec tego Sąd postanawia sprawę umorzyć i wyraża ob. ob. Chojnackiemu i Wnorowskiemu uznanie za polubowne zgodne załatwienie sprawy. (Podpisy:) M. Rzymski, Jan Świercz, A. Dąbrowski, E. Niedzielski. (Podpis sankcji Komendy bloku:) Wąsowicz”.

29 września, rok 1917, sobota
Przysłano nam dziś z Sądu Okręgowego w Łomży pieniądze na wypłatę pensji miesięcznej funkcjonariuszom sądowym w Kolnie, to znaczy mnie jako sędziemu pokoju, pisarzowi hipotecznemu Mystkowskiemu, sekretarzowi sądu Miętkiewiczowi i woźnemu Dywizjonkowi. Tak więc trudności pieniężne, w których się znalazłem na skutek topnienia resztek gotówki na wypadek niewypłacenia pensji na pierwszego, zostały usunięte. Policzono mi całą pensję, bez potrącenia pierwotnej wypłaty „na koszta przeprowadzki”. Ogółem otrzymałem 650 marek, to znaczy, że przyznana mi została cała kwota dodatku drożyźnianego, należna z tytułu kategorii „żonaty” w myśl mojej deklaracji, bez względu na to, że nie zdążyłem jeszcze sprowadzić metryki ślubnej z Wilna. 650 marek – to mi aż nadto miesięcznie, bez względu na drożyznę. Liczę, że będzie mi zostawać miesięcznie do 250 marek, nawet w pierwszych miesiącach, kiedy będę miał pewne nadzwyczajne wydatki na urządzenie się. Z pozostałej co miesiąc nadwyżki będę asygnować część na spłatę długów, zaciągniętych w czasie wojny, część Maryńce posyłać i część odkładać na wydatki kapitalne, jak w pierwszym rzędzie wykup mego łańcuszka z lombardu, ubranie itd. Pod względem materialnym będę miał warunki wygodne. Zaraz w pierwszym miesiącu przeprowadzę ścisłą statystykę wydatków bieżących, notując z dnia na dzień każdy rozchód. Po upływie miesiąca rachunek tych wydatków wpiszę też do dziennika, nie tyle na pamiątkę, ile jako próbę cen bieżących w Kolnie w jesieni czwartego roku Wielkiej Wojny.
Miałem dziś nowinę w sądzie, która jednak praktycznie tym razem do skutku nie doszła. Zgłosiło się mianowicie do mnie, jako sędziego pokoju w zastępstwie rejenta, kilku chłopów, z których jeden, starzec, zamierzał sporządzić testament rejentalny. Było to pierwsze zgłoszenie się do mnie o wykonanie czynności niesądowej. Zabrałem się do tego, zajrzałem do kodeksu, do dawnych ksiąg rejentalnych, przechowywanych w kancelarii hipotecznej i naszkicowałem już sobie projekt redakcji aktu. Nie doszło jednak do tego, bo stary nie znalazł w archiwum hipotecznym dokumentu, do którego się chciał dla ścisłości w swym rozporządzeniu testamentowym odwołać. Może zgłosi się za dni kilka. W napływie spraw do sądu jest od dni kilku zupełny zastój. Nikt się nie zgłasza z żadnym powództwem cywilnym lub skargą karną. Na razie nie mogłem sobie tego zjawiska wytłumaczyć, bo choć w kolneńskim sądzie pokoju jest w ogóle ruch mały, jednak przecież w pierwszych 10 dniach mego urzędowania wpływało dziennie przeciętnie po dwie sprawy. Teraz tłumaczę sobie to tym, że nastał czas kopania kartofli, uroczysty pracowity okres w życiu wsi, kiedy wszystko, co żyje – od starców do dzieci – bierze udział w tej robocie i nikt nie ma czasu na cokolwiek innego. A nasze Kolno, choć się liczy miastem, jest właściwie wielką wsią i żyje życiem wsi. Przypuszczam, że tu jest przyczyna.
Poznałem już całą, zdaje się, elitę towarzyską Kolna. Oprócz urzędników sądu, należą do niej: p. Litwiński, sekretarz Rady Opiekuńczej powiatowej, której biuro jest w Kolnie; główna czynność tego biura, a więc i p. Litwińskiego, polega na podziale soli i cukru na gminy i rozprzedaży tych artykułów chłopom; Rada Opiekuńcza pośredniczy w zaopatrzeniu ludności w te niezbędne artykuły; otrzymuje ona sól i cukier hurtownie

po cenach maksymalnych na potrzeby powiatu i czuwa nad ich równomiernym zaspokajaniem; z tytułu tych czynności p. Litwiński jest pewnego rodzaju małym lokalnym potentatem, zwłaszcza wobec chłopów, bo ma w ręku rozdawnictwo jednego z najważniejszych produktów użytkowych; nie zabraknie mu, gdy jeno zechce – masła, jaj i tym podobnych produktów wiejskich, w które wieś chłopska jest obfita; nie śmiem posądzać, by popełniał nadużycia, choć okazji do tego z pewnością mu nie brakuje; gdym przyjechał, zastałem w sądzie sprawę karną przeciwko Litwińskiemu o zniesławienie księży, przekazaną sądowi przez niemieckiego naczelnika powiatu na zasadzie skargi niejakiego księdza Witkowskiego, który w tejże skardze, wniesionej notabene nie do sądu, lecz do władz okupacyjnych o „ukaranie" Litwińskiego w drodze administracyjnej, wypisuje w formie insynuacji zarzut, jakoby p. Litwiński pobierał od chłopów dary za sprzedaż soli i cukru; sprawa ta była na wokandzie na pierwszej mojej sesji sądowej, została jednak umorzona, ponieważ ksiądz się nie stawił i nadesłał pismo ze zrzeczeniem się oskarżenia; z powodu tej skargi księdza Litwiński ma przykrości, bo zwierzchność jego z Rady Opiekuńczej, która się o treści skargi dowiedziała, żąda od niego sądowego dowodu rehabilitacji; Litwiński – człowiek ruchliwy i obrotny, sprytny, ale niezbyt dla mnie sympatyczny. Widuję się z nim co dzień, bo się razem stołujemy u niejakiej Chodnickiej przy tzw. „ulicy Gromadzyńskiej". Tamże stołują się dwaj inni „inteligenci" kolneńscy ze sfery ptaków wędrownych, zarobkujących na posadach społecznych. Jednym z nich jest urzędnik publicznej asekuracji – p. Wiśniewski, zdaje się, człowiek młody jeszcze i z gruntu, zdaje się, bardzo dobry i poczciwy, wesoły, ale – mam wrażenie – głupi. Drugim jest jakiś nowy przybysz, którego nazwiska nie znam, na imię zaś ma Pankracy (drugie imię Bonifacy, trzecie – Serwacy). Ten jest zaledwie od 3-4 dni na bruku kolneńskim. Jest on urzędnikiem Warszawskiej Miejskiej Sekcji Żywnościowej, z której ramienia zakupuje po cenach przymusowych kartofle w powiecie kolneńskim i ekspediuje je koleją do Warszawy *via* Prusy. Popularnie nazywają go „kartoflanym". Jest to figura nudna, typowy inteligencki włóczęga zarobkowy z pretensjami i dobrym węchem. Grasuje tu i będzie rychło znienawidzony, bo ogałaca okolicę z kartofli. Dla chłopów nienawistnym jest to, że zabiera od nich kartofle podług dzisiejszych cen nawet kolneńskich – za bezcen – przymusowo, dla mieszczan zaś to, że przyczynia się do podrożenia artykułu tak pospolitego spożycia, jak kartofle. To bowiem, że tu siedzi i skupuje przymusowo kartofle, sprawia, że chłopi je ukrywają i sprzedają prywatnie w wolnym handlu po cenach droższych, powołując się na ich brak, a *secundo* – istotnie zmniejsza się przez to zasób rozporządzanych dla miejscowego spożycia kartofli, wpływając na podrożenie.

30 września, rok 1917, niedziela.
Niedziela. Dzień, w którym nie urzęduję i który spędzam przeważnie w domu. W dnie powszednie bowiem przesiaduję w sądzie od godz. 9 rano do obiadu, to znaczy do godz. 1 ½ i po obiedzie od godz. mniej więcej 3 do zmroku. To nie przeszkadza jednak, że i w niedzielę, choć w domu, pracuję, bo jakże bym przepędził inaczej ten dzień w Kolnie. Poza napisaniem dziennika i jakiegoś listu prywatnego, zobaczeniu się z kilku tymi samymi ludźmi przy obiedzie i załatwieniu jakiegoś sprawunku na mieście, co jest rzeczą codzienną, niezależną od święta czy dnia powszedniego, resztę czasu poświęcam pracy prawniczej w związku z moim zawodem sędziowskim. Niedziela tym się tylko różni od innych dni w tygodniu, że nie urzęduję formalnie, to znaczy nie wysiaduję normalnych godzin w sądzie. Między innymi czynnościami napisałem dziś wyroki w ostatecznej formie do spraw, które były zasądzone na ostatniej sesji. W myśl przepisów Ustawy Postępowania każdy wyrok w sprawie zakończonej powinien być zredagowany w formie ostatecznej w ciągu tygodnia. Faktycznie w praktyce sądowej tylko te wyroki

są redagowane w formie ostatecznej, które strony zaskarżają w drodze apelacji, ponieważ inne uprawomocniają się same przez się; zredagowanie wyroku w formie ostatecznej nie ma żadnego wpływu na jego uprawomocnienie się i skutki prawne i jest przeto praktycznie zbyteczne, a niespełnienie obowiązku sędziego co do zredagowania wyroku w formie ostatecznej, nie ulegając kontroli, jako czynność dla toku sprawy obojętna, pozbawione jest wszelkiej sankcji w stosunku do sędziego. Ja wszakże każdy wyrok redaguję w formie ostatecznej, spełniając najściślej ten obowiązek formalny bez względu na potrzebę tegoż, a robię to w tym celu, żeby nabyć wprawy i większej praktycznej biegłości w orientowaniu się w ustawach i przepisach prawnych, ponieważ w takiej redakcji muszę wyrok umotywować ściśle względami prawa, okoliczności sprawy i dowodów. To mię zmusza do przetrawienia całej sprawy i pogłębienia jej ze stanowiska prawa i okoliczności faktycznych, czego nieraz na samej rozprawie, przy szybkim załatwianiu czynności, dokonać niepodobna. Pisanie więc wyroków w formie ostatecznej jest dla mnie jednym ze sposobów nauki i studiów, lepszym w metodzie od studiowania ryczałtowo całych działów ustawy lub poszczególnych zagadnień *in abstracto*. Zapewne w przyszłości, gdy już należytej wprawy nabiorę, zaniecham tego.
Poza tym, dzień dzisiejszy upłynął bezbarwnie. Jedyne, czym się zaznaczył, to chyba to, że sprawiłem dziś sobie zieloną szarfę sędziowską, przepisaną w praktyce sądownictwa polskiego do urzędowania na sesjach. Dnie zaczynają być teraz coraz bardziej jesienne. Prawie co dzień rano jest mgła, podnoszą się z bagien Łabna, nad którymi jest położone Kolno.
Dodam dzisiaj jeden następny wyroczek sądu żołnierskiego w Szczypiornie. Jest to rezolucja w sprawie cywilnej, zakończonej umorzeniem. „Obóz jeńców w Szczypiornie, 19-22.VIII.1917. Obożny Sąd żołnierski w osobach ob. Mateusza Rzymskiego z I pp. jako przewodniczącego, ob. Edwarda Niedzielskiego z I pp. jako referenta i ob. Wacława Święckiego z I p. ułanów jako członka, rozważał sprawę cywilną między ob. Stanisławem Ziemińskim jako powodem, a żołnierską Komisją Aprowizacyjną jako pozwaną. Ob. Ziemiński zgłosił powództwo o wydanie mu przez Komisję wędzonego boczku wagi koło 10 funtów, który nadesłany został z Kalisza w bezimiennej paczce i do którego rościł pretensję na podstawie otrzymanej wiadomości od matki, że ma się wkrótce spodziewać przysłania mu wędliny. Komisja wydania paczki odmówiła na tej zasadzie, że paczka z boczkiem nie była do nikogo adresowana, a więc powinna być uważana za własność ogólną i pójść na użytek ogółu. Obie strony zgodziły się na przekazanie sporu Sądowi obożnemu. Na rozprawę stawili się: powód ob. Ziemiński i z ramienia pozwanej Komisji Aprowizacyjnej jej członkowie ob. ob. Kosierski i Wendorf, powołujący się na mandat do jej reprezentowania. Sąd zastrzegł nietykalność boczku do czasu orzeczenia sądowego w sprawie. W toku rozprawy Sąd zażądał od stron zwrócenia się do ligi Kobiet w Kaliszu, od której nadchodziły paczki, z prośbą o zaświadczenie, dla kogo była przeznaczona bezimienna sporna paczka. Dnia 22 sierpnia żądany dowód został dostarczony w postaci piśmiennego zaświadczenia dr Fali, który się poinformował o tym w Lidze Kobiet, a mianowicie, że sporna paczka z boczkiem była wysłana przez p. Łaszczyńskiego na użytek ogółu internowanych legionistów. Wobec tego ob. Ziemiński zrzekł się pretensji i cofnął powództwo. Sąd postanowił sprawę umorzyć i zastrzeżenie nietykalności paczki cofnąć, przekazując ją do swobodnej dyspozycji Komisji. (Podpisy:) M. Rzymski, E. Niedzielski, W. Święcki”.
Sprawa bagatelna, którą rejestruję dla kompletu.

1 października, rok 1917, poniedziałek
Dziś wpłynęły po kilkudniowej przerwie dwie nowe sprawy cywilne, jedna o dług z rewersu, druga – o żyto, skoszone i zabrane przez sąsiada w r. 1915, gdy właściciel był

uciekł z Moskalami przed najściem Niemców, skąd następnie późną jesienią aż spod Baranowicz wrócił. Przypuszczam, że gdy się skończą święta żydowskie (kuczki) i kopanie kartofli, to napływ spraw się zwiększy. Z okazji pierwszego dnia nowego miesiąca mieliśmy dziś w kancelarii sądowej pracę z zakończeniem rachunków kasowych, sporządzeniem wykazów i raportu i odesłaniem gotówki do kasy Sądu Okręgowego. Poza tym, jak w każdy poniedziałek, dokonałem z jednym z ławników, p. Stachelskim, tygodniowego sprawdzenia stanu kasy w zestawieniu z książkami i kwitariuszami. W ruchu interesantów, poza dwoma zgłoszonymi dziś powództwami, miałem jeszcze paru, przychodzących na „poradę". Z tą kategorią interesantów mam największy kłopot, bo każdy rad by u sędziego się poradzić, bo liczy, że rada, udzielona przez tego, który mocen jest sądzić i rozstrzygać, jest najkompetentniejsza i gwarantuje ewentualne zwycięstwo. Ja zaś z urzędu nie mogę udzielać w ścisłym znaczeniu jednostronnych porad. Tłumaczę to tej kategorii interesantom, ale nie mogę ich przekonać i wciąż się do mnie z tym zgłaszają, zwłaszcza kobiety. Przychodzą niby to dla wniesienia skargi, ale właściwie same dobrze nie wiedzą, czego chcą i wybadują na wszystkie strony, co i jak mogłyby w swym sporze żądać i skarżyć. Właściwie powinien bym je w takich razach odsyłać do adwokata, ale że w Kolnie jedynym adwokatem jest Goldberg, wyglądałoby to na stręczenie jego, czego z tytułu bezstronności sędziego powinienem unikać. Trzeba bowiem wiedzieć, że chłopi są zazwyczaj bardzo podejrzliwi i gotowi są o byle co posądzać, że sędzia jest z adwokatem w zmowie. Niech adwokat kilka razy wygra w sądzie, to będą mówić, że adwokat jest u sędziego wszechmocnym. A że Goldberg jest Żydem, więc nieufność chłopów tym większa. Już słyszałem takie gawędy o poprzednikach moich. O mnie chyba tego mówić nie mogą, bo dotychczas było raczej odwrotnie: jakoś tak się trafia, że najczęściej stawało się zadość przeciwnikom strony, reprezentowanej przez Goldberga, choć oczywiście były to tylko przypadki, bo nie kieruję się względami ani *pro*, ani *contra* adwokata. Normalnie zrozumiałym jest zjawisko, że częstsze jest wygrywanie sporów przez tę stronę, która ma adwokata, bo ten lepiej uwydatni prawo, uzasadni żądanie, ściślej sformułuje istotę rzeczy. Ponieważ proces sądowy cywilny jest oparty na zasadzie dialektycznej, więc oczywiście wyższe ma szanse ten, który jest w sztuce dialektycznej nie tylko wymowy, ale i merytorycznych i prawnych formuł – bieglejszy. Chłop jednak tego nie rozumie. Co zaś do Goldberga, to ten znów utyskuje, że ja za dużo sam biorę inicjatywy na siebie, nie odmawiam bezwzględnie porady i przyjmuję do protokołowania ustne zgłoszenia skarg i powództw, że wreszcie w sądzeniu poza formalną biernością usiłuję zgłębić meritum rzeczy i sięgnąć do prawdy treściwej; przez to „robię konkurencję" adwokatowi. Goldberg, z którym utrzymuję dobry stosunek i którego lubię, dał mi to już kilkakrotnie do zrozumienia. Metody mojej jednak zmieniać nie myślę. Dzięki niej wytwarzać się zaczyna o mnie, jeżeli się nie mylę, opinia, jako o sędzim sprawiedliwym i rośnie u ludu zaufanie do sądu, co zaś do Goldberga, to choć może wolałby, abym był trochę innym, czuje jednak dla mnie szacunek i zmuszony jest sam do większej pilności i merytorycznej kontroli swej działalności, co też na dobro ogółu wychodzi.
Miałem dziś epizod taki w sądzie. Gdym przychodził do sądu rano, spotkałem w drzwiach kobietę, która przyniosła dla mnie pięknego węgorza. Myślałem, że na sprzedaż. Gdym jednak spytał o cenę, okazało się, że w darze. Na dalsze pytania dowiedziałem się, że kobieta ma sprawę w sądzie. Zagroziłem jej, że mógłbym ją za to do odpowiedzialności pociągnąć i zastrzegłem, że w przyszłości, o ile się takie wypadki powtarzać będą, będę spisywał protokół i stawiał winnych w stan oskarżenia o usiłowanie przekupienia sędziego. Węgorz był piękny; chciałem go kupić, ale w tych warunkach i kupić go w lokalu sądu się nie zdecydowałem. Odesłałem kobiecinę z

węgorzem do sklepu p. Stachelskiego, który go kupił dla mnie, ale potem prosił o zatrzymanie dla siebie na imieniny swoje, które w tych dniach wypadają i na które, zdaje się, mam być także zaproszony.
Wieczorem byłem u Goldberga, zaproszony przezeń z okazji świąt żydowskich. Prócz mnie nikogo więcej nie było. Przyjął mię pejsachówką, śledziem, befsztyczkiem, kompotem i herbatą z miodem, słowem – całą kolacyjką.

2 października, rok 1917, wtorek
Będąc daleko od Warszawy, na głębokiej prowincji, do której nie docierają nowiny zza kulis stosunków politycznych, nie zdaję sobie dokładnie sprawy, jakie są komplikacje i przyczyny, które opóźniają realizację patentu mocarstw centralnych w spawie polskiej z dnia 12.IX w stosunku do Rady Regencyjnej. Poza tym, co czytam w gazetach cenzuralnych, nic nie wiem. Znowu jest kunktatorstwo i znowu widocznie są targi oraz obustronne zastrzeżenia, w których grzęźnie wóz polski. Przed paru dniami ukazał się wprawdzie rodzaj sprawozdawczego komunikatu Komisji Przejściowej byłej Tymczasowej Rady Stanu, w którym jest wzmianka o wyznaczeniu przez tęż komisję na regentów ks. Arcybiskupa dr Aleksandra Kakowskiego, księcia Zdzisława Lubomirskiego i p. Józefa Ostrowskiego i o tym, że ci panowie mandat przyjęli. Jednak sama Regencja dotychczas żadnego aktu nie wydała i czynności nie rozpoczęła. Nadal funkcjonuje jeszcze Komisja Przejściowa. Trudno mi stąd wnioskować o konkretnych przyczynach tej zwłoki.
U mnie w Kolnie nic nowego. Jesień, mgły codzienne, wilgoć, ale na dworze ciepło; za to w mieszkaniu chłód. Tęsknię już do opału, którego dotąd nie mam. Zdecydowałem się na kupienie torfu, którym będę na razie palił u siebie w piecu. Wprawdzie „Kreisschef”(naczelnik powiatu) przyrzekł mi przysłać drzewa na opał do sądu, z którego to drzewa mógłbym część wziąć i na osobisty użytek (drzewo to jest płatne), ale dotąd tego nie zrobił, choć już tydzień przeszło upłynął. Dziwi mię też, że Kreisschef nie był u mnie dotąd z rewizytą. Czyżby był tak mało z formami towarzyskimi obeznany lub uważał, że jako najwyższy przedstawiciel władzy okupacyjnej w powiecie nie był obowiązany do rewizytowania przedstawicieli urzędów polskich? Dotychczas, dopóki funkcjonowały sądy okupacyjne, sędziowie, choć Polacy, byli faktycznie urzędnikami niemiecko-okupacyjnymi, zależnymi formalnie w granicach powiatu od Kreisschefa. Może p. Kreisschef dotychczas uważa mię za coś podobnego do poprzedników moich w Kolnie sprzed dnia 1 września i nie orientuje się co do stanowiska, jakim jest ono obecnie. Przy nominacji w Warszawie otrzymaliśmy z Departamentu Sprawiedliwości instrukcje, jak się mamy wobec niemieckich władz powiatowych zachować; chodziło o to, aby zachować wobec nich grzeczność, wizytować naczelnika i utrzymać kurtuazję zupełną, ale jednocześnie rezerwować w stosunkach zupełną niezależność od niego, nie dawać sobie jeździć po nosie i przewodzić, pomnąc, że sędzia pokoju w powiecie, jako dotychczas najwyższy miejscowy urzędnik polski, jest co najmniej równy, jeżeli nie wyższy stosunkowo – do naczelnika powiatu, przedstawiciela władzy okupacyjnej. W czasie mojej wizyty u naczelnika w niedzielę ubiegłą przed tygodniem, był on w stosunku do mnie bardzo uprzejmy i sprawił na mnie wrażenie dodatnie, mimo że u ludności miejscowej nie korzysta z dobrej opinii: uchodzi za bardzo bezwzględnego, jest niezmiernie gorliwy w ściąganiu rekwizycji, nie folguje w niczym i strzeże z całą energią interesu niemieckiego. Powiadają, że żaden inny naczelnik powiatu w okupacji niemieckiej nie ściągnął z ludności tyle złota do skarbu niemieckiego, ile ten w Kolnie; trzeba bowiem wiedzieć, że Niemcy, aby wydostać ukryte głęboko w czasie wojny pieniądze złote, posługiwali się taką metodą, że za przepustki i różne świadczenia, potrzebne osobom

prywatnym, żądali opłaty w złocie, oczywiście licząc monetę złotą w walucie papierowej, która jest przeszło parokrotnie niższa od złotej i naturalnie z biegiem wojny i obciążeniem finansów państw wojujących olbrzymimi długami spada coraz niżej i niżej. Otóż w tym pompowaniu złota z kryjówek prywatnych naczelnik powiatu w Kolnie był podobno mistrzem nad mistrze. Jego bezwzględność w nieliczeniu się z interesami krajowymi na rzecz interesów niemieckich nie zjednała mu u ludności miejscowej szacunku i sympatii. Ten straszny rabunek lasów w nieszczęsnej Puszczy Kurpiowskiej jest także pod tego p. naczelnika władzą dokonywany. Kolnianie zarzucają mu także to, że przyjął do powiatu na przymusowe zakwaterowanie ogromną ilość wygnańców – Białorusinów, Poleszuków i Żydów z okolic frontu, ewakuowanych spod Pińska i Baranowicz, których tu istotnie jest mnóstwo w powiecie; ci biedni wygnańcy – to nędza, która nie wiadomo jak żyje i utrzymuje się; oczywiście z konieczności są oni ciężarem dla ludności miejscowej, która jednak, o ile zdołałem zaobserwować, nie krzywdzi ich. W samym Kolnie jest pełno tej wygnańczej nędzy żydowskiej, brudnej, ubogiej, pełnej dzieci; często też się dają widzieć na ulicach charakterystyczne sukmany i poczciwe brodate twarze wygnańców Białorusinów i Poleszuków z gub. grodzieńskiej i mińskiej, przychodzących do miasta z okolicznych wiosek, w których są zalokowani. Kolnianie zarzucają naczelnikowi powiatu, że gdy inni naczelnicy starali się jak najmniej tych wygnańców do powiatu przyjąć – kolneński przyjmował jak najwięcej, nie bacząc na ciężar, płynący stąd dla ludności miejscowej powiatu, ciężko nawiedzonego klęskami wojny, która tu o kilka kilometrów na południe od Kolna przez czas dłuższy szalała (pod wsią Borkowem, pod Małym Płockiem, dalej na Jedwabno itd.). Naczelnik powiatu jest Sasem i zna moje nazwisko i mój ród, pochodzący istotnie przed kilku wiekami z Saksonii. Zna on nawet ludzi tegoż rodu i majątki ziemskie Römerów w Królestwie Saskim. Że mię nie rewizytował, mam mu za złe.

3 października, rok 1917, środa
Dziś zacznę od zreferowania kolejnego wyroku naszego sądu żołnierskiego ze Szczypiorna. Jest to już przedostatni wyrok tego sądu, który mi pozostaje do zreferowania. Brzmi on tak: „Obóz jeńców w Szczypiornie, 22-23.VIII.1917. Sąd żołnierski bloku IV w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Zbigniewa Michałowskiego jako referenta, i ob. ob. Edwarda Niedzielskiego, Franciszka Mieszkowskiego i Leona Górskiego jako członków rozważał sprawę ob. Franciszka Franciszkowskiego, oskarżonego o to, że przed mniej więcej trzema tygodniami ukradł od ob. Jana Jaworskiego 380 marek gotówką w walucie niemieckiej i rosyjskiej. Zarazem w sprawie tej, jako karnej, poszkodowany ob. Jaworski zgłosił powództwo cywilne o przysądzenie mu od oskarżonego 170 marek niedoboru po potrąceniu z ogólnej sumy skradzionej pieniędzy, odebranych od oskarżonego i zwróconych poszkodowanemu w kwocie 210 marek. W kwestii powództwa cywilnego oskarżony nie zaprzeczył, że suma skradziona wynosiła 380 marek i stwierdził, że prócz odebrania mu 210 marek w walucie niemieckiej i rosyjskiej odebrano mu także przy aresztowaniu następujące przedmioty ubrania wojskowego, które są obecnie w ręku poszkodowanego: bluza, spodnie, czapka i buty. Poszkodowany nie przeczy temu. Oskarżony ocenia te przedmioty w sumie 13 marek 86 fenigów. Poszkodowany oceny oskarżonego nie kwestionuje. Oskarżony wyraża zamiar spłacenia niedoboru 170 mk. gotówką po otrzymaniu z domu, w zamian za co żąda zwrotu mu odebranych przedmiotów umundurowania. Poszkodowany zgadza się zwrócić te przedmioty dopiero po otrzymaniu całej należności w gotówce. Świadków dla ustalenia winy oskarżonego Sąd, wobec przyznania się oskarżonego, nie przesłuchiwał. Po

zreferowaniu aktu oskarżenia przez referenta ob. Michałowskiego i wysłuchaniu zeznania oskarżonego oraz po przesłuchaniu poszkodowanego Jaworskiego w sprawie powództwa cywilnego, Sąd orzeka: 1. Oskarżonego Franciszkowskiego uznać winnym kradzieży 380 mk. i wobec okoliczności obciążających winę zasługującym na szczególną surowość. 2. Za okoliczności obciążające winę Sąd uważa: a) że oskarżony nie po raz pierwszy popełnia kradzież, b) że oskarżony, gdy nań padło podejrzenie, zrzucał przy aresztowaniu winę na nieobecnego kolegę ob. Bursztyna, który poprzednio zbiegł z obozu i jako nieobecny nie mógł bronić swej czci, a przyznał się do kradzieży dopiero wtedy, gdy koledzy zastosowali doń środki represyjne. 3. Za karę: a) opublikować po wszystkich blokach nazwisko i rysopis skazanego Franciszkowskiego jako notorycznego złodzieja, b) pozbawić go przez 3 tygodnie chleba dodatkowego z jakichkolwiek źródeł, prócz chleba fasowanego, gdyby zaś dowóz chleba komitetowego został czasowo zawieszony, to termin pozbawienia chleba ma się rozpocząć dopiero od dnia wznowienia tegoż dowozu, c) pozbawić go w ciągu 2 tygodni co trzeci dzień, to znaczy trzeciego, szóstego, dziewiątego i dwunastego dnia, kolacji, d) przez tydzień wyznaczyć mu twarde łoże, to znaczy pozbawić siennika. 4. Powództwo cywilne, jako w zupełności udowodnione, zasądzić w sumie 170 marek od skazanego Franciszkowskiego na rzecz poszkodowanego Jaworskiego; o ile pieniądze te będą przez Franciszkowskiego lub z jakichkolwiek jego funduszów spłacane, to odebrane mu przedmioty umundurowania mają mu być przez ob. Jaworskiego zwracane, licząc podług rachunku następującego: na 170 mk. niedoboru ob. Jaworski ma zastawu na 13 mk. 86 fenigów w postaci wyżej wymienionych przedmiotów; pozostaje więc 157 mk. 14 fenigów nie zabezpieczonych zastawem; dopóki więc Franciszkowski nie wypłaci 157 mk. 14 fenigów, dopóty przedmioty, będące w zastawie, nie mają mu być zwracane; dopiero po wypłaceniu tej sumy mają mu być stopniowo zwracane przedmioty, a więc przede wszystkim buty, następnie po dopłacie 2 marek – spodnie, po dopłacie dalszych 4 marek – czapka i wreszcie po wypłacie ostatnich 7 mk. 86 fenigów – bluza, ponieważ w takich kwotach oceniał sam Franciszkowski poszczególne przedmioty. Gdyby do 1.X. roku bieżącego lub do dnia uwolnienia z obozu, jeżeli to uwolnienie nastąpi przed tym terminem, Franciszkowski spłaty powyższej nie uskutecznił, to przedmioty zastawu przechodzą na własność poszkodowanego Jaworskiego, dług zaś Franciszkowskiego zmniejsza się o 13 mk. 86 fenigów, czyli redukuje się do 157 mk. 14 fenigów w ogólnej sumie. (Podpisy:) M. Rzymski, Fr. Mieszkowski, Z. Michałowski, E. Niedzielski, Górski Leon. (Podpis, stwierdzający sankcję Komendy bloku:) Wąsowicz". Powództwo cywilne w tej sprawie było prawdziwą szopą, bo nie ulega wątpliwości, że złodziej Franciszkowski pieniędzy tych nie odda. Taki „batiar" w wojsku żadnych środków nie posiada ani też nigdy pieniędzy z domu nie widzi, a żołdu w obozie jeńców też nie pobiera; jedyne dlań ewentualne źródło dochodów – to kradzież lub jakieś spekulacje; a gdyby nawet jakieś pieniądze skądkolwiek otrzymał, to z pewnością, będąc łajdakiem, żadnych obowiązków odszkodowania nie uznającym, nie będzie tak głupi, aby oddawać, wiedząc, że w naszej organizacji żadnej prawidłowo zorganizowanej egzekutywy nie ma. Ale skoro poszkodowany wnosił powództwo cywilne, sąd nasz z urzędu zasądzić je musiał. Cała ta sprawa o powództwo cywilne wypłynęła z powodu zatrzymanych przez poszkodowanego rzeczy złodzieja: poszkodowany bał się, że bez tego powództwa nakażemy mu rzeczy te zwrócić, a znów oskarżony obiecywał zwrot pieniędzy w tym celu, aby żądanie zwrotu uzasadnić; ale kapitalnie sprawę pokpił, oceniając rzeczy te tak tanio; spodziewał się, że przysądzimy mu prawo wykupienia tych rzeczy za tę cenę bez zwrotu długu. Zresztą obaj – tak poszkodowany, jak oskarżony – to były ładne ptaszki. Oskarżony przyznawał się, że za skradzione pieniądze kupował w kantynie

keksów za 20 do 25 mk. dziennie, zapewne kłamiąc w celu usprawiedliwienia wydania 210 marek, z których część z pewnością ma jeszcze gdzieś pochowaną, poszkodowany zaś w ten sposób wykrył sprawcę kradzieży, że sam mu w nocy skradł pugilares i przekonał się, że są w nim jego własne pieniądze. Wart Pac pałaca.
W „Kurierze Polskim", który dziś otrzymałem, jest lista członków Litewskiej Rady Krajowej w Wilnie. Z moich znajomych należą do niej: dr Basanowicz, adwokat Jonas Vileišis, Kairys, Michał Biržiška, dr Jerzy Šaulys, Antoni Smetona, Donat Malinowski, Stanisław Narutowicz z Telsz. Ogółem jest ze 20 nazwisk – sami Litwini. Dziwię się, że nie ma wśród nich dr Andrzeja Domaszewicza, dr Piotra Vileišisa i Antoniego Żmujdzinowicza. Ciekaw jestem dalszej ewolucji Litewskiej Rady Krajowej. Przypuszczam, że będzie ona miała trudny żywot i bardzo ograniczone pole działania. Zadanie jej nie będzie łatwe ani wspaniałe w praktyce, choć w idei i w punkcie wyjścia jest wielkie i w razie rozwiązania rąk mogłoby być świetne.

4 października, rok 1917, czwartek
Otrzymałem dziś dwie kartki od Maryńki z Wilna i oprócz tego moją metrykę ślubną, którą mi ona przysyła na moją prośbę dla ewentualnego uzasadnienia wysokości dodatku drożyźnianego do pensji, który dla żonatych jest o marek 600 rocznie wyższy od dodatku dla kawalerów. Zresztą metryka ta jest, zdaje się, zbyteczna, bo bez żądania dowodów, na samą deklarację moją, wypłacają mi już dodatek w należnej kwocie.
Te kartki Maryńki – to dla mnie zawsze bardzo miłe upominki i nowiny. Maryńka pisze, że jest bardzo zajęta swymi ogrodami, z których zbiera teraz plon. Ewa już wróciła z Bohdaniszek do Wilna; Maryńka widocznie liczy, że będzie mogła otrzymać pozwolenie na przyjazd do mnie w odwiedziny do Kolna, bo wybiera się. Pisze, że chętnie by przyjechała teraz, gdyby nie roboty w ogrodzie; Ewa ją napędza, żeby jechała, ale Maryńka pisze, że może się na Boże Narodzenie wybierze. Za miesiąc wybiera się na parotygodniowy odpoczynek do Bohdaniszek. Gdyby mię Maryńka odwiedziła, byłaby to dla mnie radość nieopisana. Oprócz podróży, nic ją kosztować nie będzie; utrzymanie kochanej siostrzyczki w Kolnie wezmę chętnie na czas jej pobytu na siebie. W ogóle też z pozostałości mojej pensji będę cząstkę Maryńce posyłać na sukurs, bo wiem, jak jej ciężko z pieniędzmi w Wilnie. To, co zaoszczędzę co miesiąc – a liczę, że miesięcznie będzie mi zostawać do 250 marek – będę dzielić w nierównych częściach, podług proporcji, którą później ustanowię na: a) spłatę długów osobistych, zaciągniętych podczas wojny, b) na zapomogę Maryńce, c) na zapomogę rodzinie Anny, jej biednej staruszce matce i siostrze w Libawie, d) na osobiste wydatki nadzwyczajne i e) na rezerwę, którą odkładać będę.
Z osobistych wiadomości z kartek Maryńki jest to, że Maryńka otrzymała listek czy wieści od Kotuńki Pruszanowskiej zza kordonu wojennego, dalej to, że syn Maryńki, Stefuś, z którym biedaczka ma tyle utrapienia, ma być z inicjatywy Papy oddany do jakiejś specjalnej, bardzo podobno dobrej szkoły poprawczej w Saksonii, gdzie uczą tego rodzaju leniwych i mających złe skłonności chłopców (skłonności pewne ma Stefek złe, ale z gruntu jest dobry i bardzo serdeczny) – uczą więc tego, do czego ci chłopcy mają chęć i uzdolnienie; Maryńka cieszy się z tego bardzo. W drugiej kartce Maryńki jest nieco z rzeczy publicznych; jest mianowicie echo sporów, toczących się w Wilnie między Litwinami a Polakami litewskimi. Maryńka pisze o jakichś dwóch memoriałach, jednym – litewskim, drugim – polskim. Naturalnie, że Polacy, opierając się na mieszanym składzie narodowościowym kraju i wskazując na wielką ilość Polaków, Białorusinów i Żydów, odmawiają Litwinom przewagi i prawa do uznawania kraju za narodowo litewski, Litwini zaś twierdzą, że tzw. Polacy litewscy są z pochodzenia i narodowości Litwinami, sprawa zaś języka, którym się posługują, nie

może faktu ich narodowości krajowej przekreślać. Osobiście Maryńka jest bardzo od tych sporów i walk daleka i nie roznamiętnia się nimi wcale. Z tradycji wychowania i poglądów, jakie nam jeszcze śp. Mama wpoiła i z całego układu naszego dzieciństwa i naszego stosunku do ludu i do służby w Bohdaniszkach – my w naszej rodzinie nie tylko mamy pewien sentyment do Litwinów, ale czujemy pewien bliski realny związek z ludowym tłem litewskim kraju. I to sprawia, że nie mamy w sobie tej jakiejś zaciekłości polonomańskiej, tego jakiegoś ostrego przeciwstawienia się Litwinom jako elementowi obcemu. Już dzieci Maryńki, wychowywane w Wilnie, w atmosferze środowisk i prądów polskich, a zwłaszcza Ewa – ma mniej może tego czucia związku krajowego z Litwinami, ale także nie w tym stopniu, co rdzenni inteligenci Wilnianie. Maryńka jest w polsko-litewskich stosunkach usposobiona bardzo pojednawczo. Pisze, że była z Ewą w teatrze na przedstawieniu litewskim, na którym grano bardzo dobrze i gdzie, jak pisze, spotkała bardzo wielu ludzi z naszych stron – było to zapewne podczas zjazdu litewskiego. Ci ludzie – Litwini z naszych stron – to nie są dla Maryńki jakimiś cudzoziemcami, jakimiś obcymi – to jest ta sama krew i kość krajowa, co my. I wśród Litwinów wileńskich ma Maryńka wielu przyjaciół, jak Żmujdzinowiczowie, Janowie Vileišisowie. W ogóle cała ta tragedia rozdziału i namiętnej, pełnej nienawiści, gorszącej walki polsko-litewskiej w Wilnie jest w istocie zjawiskiem chyba że przejściowym, zjawiskiem pewnego stadium budowy stosunków krajowych, nie zaś ich rdzeniem.
Dziś wieczorem byłem u p. Stachelskiego, który, jako Franciszek, obchodził dziś swoje imieniny. Zaproszony byłem ja, sekretarz sądu Bronisław Miętkiewicz, aptekarz Goszewski, sekretarz Rady Opiekuńczej Litwiński, felczer Borowski, sekretarz magistratu Antonowicz i stolarz Mieczkowski. Uczta składała się z obfitej libacji wódczanej, sutej przekąski, wśród której królował ów węgorz, którym mię baba przekupić przed paru dniami chciała, poza węgorzem zaś kiełbasa, jakieś rybki w oliwie i mnóstwo grzybów marynowanych, dalej właściwa kolacja, złożona z pieczystego z kaczek z jabłkami, do tego borówki, kompoty, chleb biały, wreszcie na ostatek owoce, kawa, herbata. Czas zeszedł przyjemnie; opowiadałem dużo o moich przygodach wojennych w kampanii poleskiej. Bardzo sympatyczny i dobry człowiek wydaje się felczer Borowski, który lubi wypić, ale ma dużo serca i szlachetnego rdzenia.

5 października, rok 1917, piątek 041
Odbyła się dziś moja trzecia sesja sądowa. Przeciągnęła się ona niezwykle, bo trwała od godz. 9 rano do godz. 8 ½ wieczorem z jednorazową przerwą godzinową na obiad od godz. 4 ½ do 5 ½. Spraw było wyznaczonych dziesięć, z których tylko dwie zostały za niestawieniem się stron usunięte z porządku dziennego. Trafiło się tak, że wszystkie sprawy dzisiejsze były oparte na świadkach, a w niektórych świadków tych było aż po sześciu. Chłopi w ogólności, a Kurpie może jeszcze więcej od innych, nie umieją być w zeznaniach ścisłymi i rozwodzą się w gadulstwie do nieskończoności. Nie pomaga upominanie i przerywanie, bo chłop inaczej nie potrafi się wypowiedzieć, jak w długim wątku całej historii, w którą dopiero wplecione są istotne szczegóły sprawy. Ale za to Kurpie wydają mi się ludźmi bardzo na ogół uczciwymi; zeznania świadków tchną szczerością, kontrolowaną skrupulatnie przez sumienie. Przysięga też gra w ich sumieniu dużą rolę i sprawia na nich widoczne wrażenie. Księża stosują tu na sądzie przysięgę bardzo rytualną; składającym przysięgę każą klękać, co podnosi pewnego rodzaju nastrój już nie tylko uroczysty, ale nawet zabobonny, średniowieczem tchnący. W pojęciu takich Kurpiów bodajże istotniejszą w tej przysiędze jest jej forma zewnętrzna, jak klękanie w obecności całej sali, uroczyście powstającej, podnoszenie ręki z dwoma palcami do góry, wzrok, zwrócony na krzyż i następnie ucałowanie stóp

figury Chrystusowej na krzyżu, niż sama wewnętrzna przysięgi treść, zawarta w mistycznym akcie zobowiązania się w sumieniu swoim wobec Boga. Dla wymiaru sprawiedliwości skutek się przez to nie zmniejsza, ale na poziomie umysłowości ludu taka obrzędowa tendencja księży wpływu dobrego nie ma, bo zamiast oczyszczać religię z ciężaru materialnego formalizmu, zwiększa jej elementy pogańskie, w przesądach formy utkwione.
Dwie były sprawy karne – o obrazę osobistą, publicznie dokonaną, i o pobicie – obie zasądzone wyrokami skazującymi, reszta spraw – cywilne, ale przeważnie skomplikowane i dość grube. W jednej wyrok nasz zapadł wbrew naszemu wewnętrznemu przekonaniu o słuszności sprawy powoda, ponieważ wszakże formalnie powód prawa swego uzasadnić nie był w stanie. Ten, kto był sędzią lub się orientuje w zadaniach sądownictwa i względności prawdy formalnej ustawowej – ten zna te przykre a częste wypadki niezgodności formalnego obowiązku sędziowskiego z głosem przekonania i sumienia.
Wśród spraw cywilnych były dwie sprawy o konia, należące w dzisiejszych warunkach gospodarczych do spraw najgrubszych w sądach pokoju i bardzo ważnych w stosunkach włościańskich. Obie merytorycznie odroczone zostały dla zbadania uzupełniających dowodów. Adwokat Goldberg powinien był być dzisiaj zadowolony, bo stawał prawie we wszystkich sprawach i zawsze ze skutkiem dla niego dodatnim. Ławnicy uczestniczyli dziś z kolei pp. Stachelski i Jerozolimski (Żyd). Jerozolimski, którego poznałem po raz pierwszy, sprawił na mnie dodatnie wrażenie człowieka uczciwego, aczkolwiek wolę drugiego ławnika – Żyda Rembę, który jest subtelniejszy od niego. Wieczorem sesja toczyła się przy świetle świecy, a ławnik Jerozolimski, Żyd prawowierny, nie mógł już z powodu szabasu kłaść podpisu pod rezolucjami (będzie musiał uzupełnić tę lukę po szabasie).

6 października, rok 1917, sobota
Nic nie ma – żadnego ruchu spraw w sądzie. Żadne nowe powództwa ani oskarżenia karne nie napływają. Ten tydzień był jeszcze uboższy pod tym względem od poprzedniego. W pierwszych dniach mojego urzędowania wpływały przeciętnie dwie sprawy dziennie, potem mniej, a teraz wszelki dopływ ustał. Ani się sami interesanci nie zgłaszają, ani przez adwokata Goldberga nic nie napływa. Dobrze, jeżeli w tygodniu Goldberg trzy powództwa zgłosi albo jakąś starą zawieszoną sprawę odświeży. I nic ponadto. Ze stanowiska publicznego jest to lepiej, że sporów i kłótni nie ma, ale dla pracy mojej jest to element ujemny. Jeżeli tak dalej pójdzie, to faktycznie sąd się zawiesi. Spraw do sądzenia mamy jeszcze tylko na dwie pełne sesje, na 10-go i 19-go b.m., a już na 24-go jest tylko jedna sprawa, na 26-go zaś – dwie, odroczone z sesji wczorajszej (ustaliłem, że każda odroczona sprawa wyznaczona zostaje na czwartą kolejną sesję, a to w tym celu, aby była dalej sądzona przez tenże komplet ławników; komplety ławników będą szły stale w następującej kolejności: a) Stachelski-Remba, b)Remba-Kocik, c) Stachelski-Jerozolimski, d) Jerozolimski-Kocik; ze względów oszczędzania drażliwości wyznaniowych, aby nie jątrzyć antysemityzmu i utrzymać sąd poza tego rodzaju gawędami i posądzeniami, przyjąłem stałą zasadę mieszania ławników chrześcijan i Żydów).
Poczciwi Kolnianie – nie procesują się. Adwokat Goldberg żali się, że mu brak praktyki i że nie będzie miał środków do życia. Znawcy stosunków lokalnych twierdzą, że ten sezon ogórkowy w sądzie jest spowodowany powszechnym kopaniem kartofli i że za jakieś jeszcze tydzień-dwa mieć będziemy aż nadto praktyki, która wystarczy i sądowi do pracy, i adwokatowi do zarobkowania, bo Kurpie, choć są poczciwi, jednak z natury są zaciekli i uraz swych pamiętni, toteż do procesowania się są skorzy. Ano –

zobaczymy. Co prawda, z powodu wojny i towarzyszących jej objawów w stosunkach gospodarczych i społecznych, a nawet przemianach psychicznych – jest ogólny zastój w sądownictwie, ale ten nagły nadzwyczajny spadek spraw sądowych w Kolnie musi mieć swoje szczególne przyczyny, które ewentualnie w kopaniu kartofli się zawierają.
Dowiaduję się z dzisiejszego „Kuriera Polskiego", że Komisja Przejściowa Tymczasowej Rady Stanu zatwierdziła projekt noweli ustawowej o dodaniu sędziom pokoju czynności śledczych w śledztwie pierwiastkowym o zbrodniach ogólnych, podległych sądom okręgowym. Czytałem uprzednio o uchwaleniu tego projektu przez Radę Departamentu Sprawiedliwości, obecnie zaś projekt ten stanie się nowelą obowiązującą, która już zapewne ukaże się w najbliższym numerze „Dziennika Urzędowego Departamentu Sprawiedliwości". Tekstu, a nawet dokładnej treści tej noweli nie znam. Przysporzy ona mi pracy, ale się z tego tylko cieszę, bo nie mam jej dotąd za dużo; praca ta o tyle też mi się podoba w perspektywie, że będzie zapewne bardziej ruchliwa, będzie wymagała częstszych wyjazdów na miejsce spełnienia zbrodni lub zatrzymania zbrodniarza, co mi urozmaici życie i da okazję do szerszego poznania kraju, zwłaszcza, że przypuszczam, iż zakres tej działalności będzie ogarniał cały powiat. Ale czy tylko w istocie zdarzą się w praktyce częstsze wyjazdy? Bo nie tylko pod względem spraw cywilnych, ale i pod względem zbrodni powiat kolneński należy do cichych. Jeżeli nawet prawdą jest, że Kurpie mają żyłkę do kłótni cywilnych i nie są cierpliwi krzywd i uraz wzajemnych, to zdaje się, że namiętności zbrodniczych jednak nie mają i zepsucia obyczajów na Kurpiach nie ma. O bandytach i bandytyzmie, tak upowszechnionych w Królestwie, tu nikt nie słyszał; na dowód przeciwny rzecznicy wysokiego ucywilizowania kraju – bo za jedną z miar rozwoju cywilizacji przyjęto uważać, niestety, większą ilość zbrodni – cytują jakiś wypadek napadu bandyckiego na kupca końskiego w lesie pod Małym Płockiem, co się wydarzyło w roku... 1904!
Dziś po raz pierwszy paliłem w piecu w mieszkaniu moim. Paliłem torfem, co mi się w ogóle pierwszy raz w życiu trafiło. Wcale dobry opał, a zwłaszcza, względnie do innych materiałów opałowych obecnie – tani. Przybyło mi w mieszkaniu małe żywe stworzonko: jeżyk. Przyniósł mi go głuchoniemy brat mojej gospodarzowej Pikulińskiej. Miłe zwierzątko, ale nie wiem, czy je zachowam, bo nic nie chce jeść. Jeżeli będzie nadal uprawiać strajk głodowy, to głodówką wymusi na mnie swoją wolność.
Zacytuję dziś ostatni wyrok sądu żołnierskiego w Szczypiornie, jaki zapadł z moim udziałem przed uwolnieniem moim z obozu jeńców. Będzie już w dzienniku całkowity tych wyroków komplet. „Obóz jeńców w Szczypiornie, 24-25.VIII.1917. Sąd żołnierski bloku IV w osobach ob. Mateusza Rzymskiego jako przewodniczącego, ob. Edwarda Niedzielskiego jako referenta, i ob. ob. Franciszka Mieszkowskiego, Leona Górskiego i Antoniego Dąbrowskiego jako członków, rozważał sprawę ob. Kazimierza Kraińskiego i Władysława Polewskiego, oskarżonych przez ob. sierż. Edwarda Wojciechowskiego o obrazę czci i oszczerstwo. Po zbadaniu wszystkich dowodów sprawy i przesłuchaniu w charakterze świadków ob. ob. sierż. Wąsowicza, sierż. Zowczaka, kapr. Zagłoby-Kamińskiego, Kaliny, Tempińskiego, Grimuzy, Kmiecia i Michałowskiego, Sąd orzeka: 1. Dowodów winy oskarżonego ob. Polewskiego Sąd nie stwierdził i wobec tego postanawia uznać go za uniewinnionego. 2. Oskarżonego Kraińskiego Sąd uznaje winnym szerzenia niesprawdzonych przezeń pogłosek, uwłaczających czci oskarżyciela ob. sierż. Wojciechowskiego, ze względu jednak na okoliczności łagodzące – zasługującym na pobłażanie. 3. Za okoliczności łagodzące Sąd uważa to, że ob. Kraiński sam pogłosek tych nie wymyślał, jeno przeważnie powtarzał to, o czym gadali inni, tylko że robił to głośniej i otwarciej od innych, nie ukrywając się za niczyimi plecami i zbyt łatwo dawał wiarę podszeptom niektórych jednostek, które, bojąc się

same występować głośno, a znając otwartość i prostotę ob. Kraińskiego, robiły to przez jego usta, a następnie uszły uwagi ob. Wojciechowskiego i nie zostały przez niego pociągnięte do odpowiedzialności, chociaż to one były właściwymi oszczercami. 4. Za karę wyrazić ob. Kraińskiemu ustną naganę z zaznaczeniem, że dla utrzymania ładu i uczciwości w naszych stosunkach wewnętrznych nie wolno szerzyć o ludziach i ich działalności pogłosek niesprawdzonych lub wyciągać z dostrzeżonych a budzących jakieś wątpliwości faktów – wnioski na własną rękę, które się potem rzucają w podrażniony i głodny tłum jako oskarżenie i pewnik, lecz należy o faktach takich lub pogłoskach podawać do wiadomości bądź czynników Komendy, bądź, jeżeli to chodzi o członków Komisji Aprowizacyjnej, do wiadomości komisji kontrolującej, która jest co 10 dni na każdą dekadę wybierana i której zadaniem jest sprawdzanie wszelkich czynności, dotyczących kuchni, podziału chleba, paczek itd., a więc i przyjmowania wszelkich skarg i zarzutów, kierowanych do członków Komisji Aprowizacyjnej. (Podpisy:) M. Rzymski, E. Niedzielski, Fr. Mieszkowski, Górski Leon, A. Dąbrowski”. W tej sprawie oskarżeni byli o wiele sympatyczniejsi od oskarżycieli. Kraiński i Polewski – to byli dwaj warcholi, dwa „batiary” niedyscyplinowane, ale chłopcy w gruncie prawi, którym łajdactwa zarzucić nie było można. Natomiast Wojciechowski był człowiekiem grubo poszlakowanym, o którego nadużyciach wróble na dachu ćwierkały – ale umiał chować końce do wody.

7 października, rok 1917, niedziela
Pierwszy przymrozek jesienny.
Byłem pod wieczór z wizytą u o pp. Borawskich. On jest felczerem w Kolnie, a właściwie lekarzem, bo doktora nie ma. Żona jego, choć miała czworo dzieci, jest kobietą jeszcze bardzo przystojną i zgrabną, osobą bardzo miłą. Oboje sprawiają wrażenie ludzi bardzo dobrych. W Kolnie, pomimo wojny i drożyzny, gościnność jeszcze kwitnie. Nie rozumieją tu, zdaje się, wizyty bez odpowiedniego uraczenia gościa. I zawsze jeszcze na stół wypływa wódeczka; widocznie zwyczaj używania alkoholu, skracającego nudy towarzyskie w małym miasteczku, takie tu głębokie z lat dawnych zapuścił korzenie, że dotychczas, choć spirytus jest dziś zbytkiem, Kolnianie uważają za swój obowiązek mieć w pogotowiu flaszeczkę dla gościa lub dla jakiegoś przygodnego zebranka. Zatrzymali mię pp. Borawscy na herbatę, która w istocie okazała się kolacyjką, bo na stół, przy lampie naftowej, która też do luksusowych dziś należy przedmiotów, stanęła buteleczka starki domowego wyrobu, kiełbaska od p. Stachelskiego, doskonałe rydze marynowane i kotlety na zimno. Na herbatce był także sekretarz sądu p. Bronisław Miętkiewicz, który stale się przez cały czas wojny u pp. Borawskich stołuje. Miętkiewicz jest żonaty, ale żona z kilkuletnim synkiem jest w Rosji. Dzieje tego człowieka są dość niezwykłe. Zaczął swoją karierę w roli artysty wędrownej prowincjonalnej trupy teatralnej; będąc z teatrem w Kolnie, poznał się tu i zakochał w swojej przyszłej żonie i po ożenku został tu na stałe; był sekretarzem w urzędzie powiatowym za czasów rosyjskich. Podczas okupacji, zaskoczony nagłą inwazją niemiecką, przed którą zamierzał umknąć, jakiś czas był bez żadnego zajęcia; został potem nauczycielem w szkole miejskiej, będąc jednocześnie ławnikiem w okupacyjnym sądzie gminnym, a do czasu przejścia sądownictwa w ręce polskie objął posadę sekretarza sądu pokoju. Brak formalnego cenzusu wykształceniowego (Miętkiewicz ma tylko 4 klasy ukończone) nie pozwala mu zająć wyższego stanowiska w sądownictwie, choć dla ewentualnej służby państwowej kwalifikuje się inteligencją i zdolnościami do posad daleko lepiej płatnych i odpowiedzialniejszych. Rozmawialiśmy u Borawskich o Kurpiach. Ten lud interesuje mię bardzo. Jak to bywa często – ci, co siedzą na miejscu, najmniej się tym krajem interesują i najmniej go studiują. Wystarcza

im to, co z doświadczenia i powszednich wrażeń o nim wiedzą. Nie ma w Kolnie, który z Myszyńcem i Ostrołęką rywalizuje o tytuł stolicy Kurpiów, żadnej książki, która o Kurpiach, o ich zwyczajach, pochodzeniu, etnografii, kulturze traktuje, chociaż przecie, o ile wiem, literatura taka istnieje. Nikt też na ochotnika nie uprawia studiów nad krajem. A kraj to i lud ciekawy. Za to z doświadczeń i wrażeń Kolnianie znają dobrze naturę Kurpia i scharakteryzować go w opowiadaniach potrafią. Zwyczaje i charakter Kurpia, jak już z opowiadań widać i co z warunków społecznych ich środowiska i życia wypływa logicznie, muszą posiadać dużo cech bardzo indywidualnych. Ciekawe, że na całej tej dużej przestrzeni kraju, zamieszkałej przez Kurpiów i ogarniającej północną i zachodnią część powiatu kolneńskiego i cały bodaj powiat ostrołęcki, a zwanej popularnie Puszczą, nie ma wcale żadnej szlachty ani dworów i folwarków. Na piaskach i bagnach, pośród lasów, są tylko duże wsie kurpiowskie. Dwory i folwarki zaczynają się dopiero od okolic Małego Płocka w powiecie kolneńskim i Ostrołęki. Brak szlachty i dworów może się tłumaczyć czynnikami gospodarczymi, które nie dopuściły ich powstania oraz kultury szlacheckiej, tak charakterystycznej w Polsce, a zwłaszcza na Mazowszu, do krainy wielkich lasów i ubogiej piaszczysto-bagnistej gleby, na której się rozsiadła wielmożnie – Puszcza. Natomiast bezpośrednio na wschód od Puszczy, tuż obok dziewiczych Kurpiów z ich indywidualną puszczańską kulturą etniczną, z ich odrębnym charakterem, dość znacznie, jak się z opowiadań zdaje, różniącym od typu etnicznego Mazura, siedzi gęsto drobna szlachta, która wypełnia gwarnym pszczelnym rojem cały sąsiedni powiat szczuczyński. Drobnoszlachecki rojny powiat szczuczyński i dziewicza puszcza Kurpiów w powiatach kolneńskim i ostrołęckim sąsiadują tuż obok siebie, tworząc dwa odrębne typy kultury ludowej, dwa światy indywidualne, głęboko różne. Dwa te kontrasty biegną obok, jeden za drugim wzdłuż granicy pruskiej na północnym byłego państwa polskiego szlaku. Drobnoszlachecki Szczuczyn odcina Kurpiów od osiedlisk białoruskich i litewskich na wschodzie i północy, tworząc jedno z północnych ogniw wielkiego szlacheckiego osiedlenia Podlasia. Przychodzi na myśl, choć nie śmiem tego domysłu uzasadniać, czy Kurpie nie są dziewiczą pozostałością starożytnych litewskich Jadźwingów, ich potomkami w prostej linii, może jedynym zakonserwowanym szczepem tego wytępionego przez Mazurów i następnie zalanego mazurską kolonizacją plemienia. Na zachodzie i południu Puszcza Kurpiowska dotyka właściwego rdzennego Mazowsza, granicząc ze starożytnym Ciechanowem i właściwą Ziemią Łomżyńską. Przedłużeniem tego Mazowsza na północ od Ciechanowa jest Warmia i kraina Mazurów pruskich, z którymi Puszcza na północy sąsiaduje. Na wschodzie zaś ta z kolonizacji mazowieckiej powstała drobnoszlachecka mrówista kraina Podlasia i szczuczyńskiego powiatu czy nie jest klinem, który odciął jakiś szczątek puszczański, na piaskach i bagnach leśnych osadzony litewskich Jadźwingów, od macierzystego pnia plemiennego Litwinów? I czy Kurpie nie są tego szczątka żywym pokoleniem? Podobno zachowały się jeszcze oryginalne tańce Kurpiów; stroje charakterystyczne są coraz rzadsze. Kurp ma być bardzo chytrym, zaradczym, nie bitym w ciemię. Jest sprytny i przedsiębiorczy, zacięty i ostrożny, umie znakomicie taić się i maskować. Miłuje się w kontrabandzie, która jest jego żywiołem. Ciekawy to lud. Oryginalne, że na Kurpiach nie istnieje wcale uprawa sadów owocowych. Jest ona natomiast specjalnością szlachty szczuczyńskiej.

8 października, rok 1917, poniedziałek
Nie pocieszył mię bynajmniej prokurator Sądu Okręgowego w Łomży, Urbanowicz, od którego dziś list otrzymałem, zapewniając mię, że w Sądzie Łomżyńskim postanowiono jak najmniej korzystać z nowej ustawy o przekazywaniu sędziom pokoju czynności śledztwa pierwiastkowego w zbrodniach, podlegających sądom okręgowym. Pisząc do

niego w końcu września, zapytywałem o tej nowej ustawie. Widocznie sędziowie pokoju na ogół nie bardzo się kwapią na tę dodatkową pracę, toteż Urbanowicz spieszy mię pod tym względem uspokoić. Powiada on, że w Łomży nie życzą sobie przeciążać sędziów pokoju. Co do mnie – to bym się jeno ucieszył z tego „przeciążenia" nie tylko dlatego, że mam aż nadto czasu i energii zbywających do pracy i że perspektywa braku zajęcia na urzędzie sędziowskim wcale mię nie zachwyca, ale także dlatego, że z powodu czynności śledczych liczyłem ewentualnie na częstsze okazje do wyjazdów, a przeto i do zapoznania się z krajem i ludem, czego bym sobie bardzo życzył. Pisząc do Urbanowicza powtórnie, zastrzegę się, żeby sobie ze mną ceremonii nie robiono i „przeciążano", ile się zmieści. Wiem, że i tak w tym spokojnym kraju nie będę miał nadmiaru ruchu i pracy. Gotów jestem bardzo chętnie i czynności sędziego śledczego uzupełniająco spełniać, i do rewiru mojego sądu pokoju jeszcze ze dwie gminy (Mały Płock i Gawrychy) dobrać. Wiem, że podołam i jeszcze nadmiaru mieć nie będę. W czynnościach śledczych miałbym ewentualnie cały powiat, to znaczy zarówno kraj puszczański (Kurpie), jak część właściwego Mazowsza i szlacheckich okolic, w rewirze zaś sądu pokoju także cząstkę, do właściwej Puszczy już nie należącą; gmina Mały Płock bowiem to już nie są Kurpie, Gawrychy zaś, zdaje się, jeszcze do okolic puszczańskich należą. Pierwszy wyjazd z Kolna na wizję miejscową i badanie świadków w pewnej sprawie cywilnej o zakłócenie posiadania ma mieć miejsce w przyszłym tygodniu we środę. Cieszę się z tej pierwszej okazji wycieczki w głąb Kurpiów. Pojedziemy do wsi Wenecji czy Wanacji (na mapie – „Wenecja", Kurpie nazywają ją wszakże „Wanacją", choć podobno jest to tylko taka wymowa kurpiowska). Wieś ta położona za Turośłą, w samym rdzeniu Puszczy. Najistotniejsza, głęboka „Puszcza", w której najczystszy się utrzymał charakter kraju i ludu, zaczyna się podobno za rzeką Piszą, która przecina drogę między Kolnem a Turośłą. Niestety, częstszych wyjazdów tego rodzaju nie przewiduję. Niezależnie od tego, że słaby ruch w kolneńskim sądzie pokoju nie nastręcza częstych okazji wyjazdów na wizje miejscowe, trzeba jeszcze i z tym się liczyć, że takie wyjazdy sądu są bardzo kosztowne dla procesujących się stron, więc tylko w ostateczności należy je stosować. Oprócz zwrotu kosztów przejazdu, które są dziś bardzo duże ze względu na brak koni i drożyznę furmanek, strony obowiązane są do wypłaty diet dla wyjeżdżających funkcjonariuszy sądu; ja biorę za każdy wyjazd 20 marek diety.
Muszę sprostować parę błędów, których się dopuściłem w dzienniku odnośnie do geografii kraju. Błędy te stwierdziłem, oglądając mapę byłej guberni łomżyńskiej. Po pierwsze, mój rewir sądowy, mianowicie gmina Łyse na jego krańcach zachodnich, nie dotyka wcale, jak to kiedyś napisałem, do byłej guberni płockiej, jeno do północnej części powiatu ostrołęckiego, w której mieści się rdzennie kurpiowski Myszyniec; po wtóre, nie cały chyba powiat ostrołęcki należy do Kurpiów, jak to wczoraj pisałem; południowa część tego powiatu, położona między powiatami ostrowskim i makowskim – to już nie są chyba Kurpie i nie jest Puszcza. Wreszcie nie jestem pewien, czy nie popełniłem błędu, zaliczając północno-wschodni drobnoszlachecki powiat szczuczyński Ziemi Łomżyńskiej za część terytorium, związaną organicznie z Podlasiem. O ile się nie mylę – najwłaściwsze Podlasie mieści się w byłej guberni siedleckiej, od której powiat szczuczyński oddzielony jest wschodnią częścią powiatu łomżyńskiego i powiatem mazowieckim. Czy jest ciągłość tej drobnoszlacheckiej kolonizacji między właściwym Podlasiem a powiatem szczuczyńskim – nie wiem. Zdaje mi się, że jednak jest, ale pewny nie jestem. Bardzo bym chciał dostać jakąś książkę o historii i etnografii tych stron Polski. Może ją dostanę u p. Kisielnickiego w Korzenistym, gdy się do niego z wizytą wybiorę.

Chciałbym omówić w dzienniku pewną sprawę z naszych stosunków legionowych, korzystając z czasu i miejsca. Nie jest to wprawdzie sprawa zasadnicza, ale w swoim czasie była bardzo głośna i poruszała głęboko umysły internowanych legionistów w Szczypiornie. Wzmiankowałem o niej głucho w dzienniku, głównie z czasów kadry w Zegrzu. Jest to sprawa Radomskiego, byłego sierżanta III pułku piechoty, o którym dość częste są u mnie wzmianki w dzienniku, głównie z czasów kadry w Zegrzu. Radomski był jednym z najenergiczniejszych działaczy rad żołnierskich w Legionach, był inicjatorem i *leaderem* całego ruchu politycznego w III pułku. On tam ten ruch stworzył, on nim kierował, nawiązując go do ruchu w pułkach dawnej I Brygady. On był mężem zaufania piłsudczyków na pułk III, pułk tak bardzo daleki od tradycji I Brygady, pułk niegdyś Minkiewicza, wierny Zagórskiemu, Komendzie Legionów, Sikorskiemu i całej plejadzie potentatów tamtego obozu Legionów. Za tę wierność, a raczej bierność i bezbarwność polityczno-ideową pułk ten był w swoim czasie zaszczycony honorem wkroczenia do Warszawy i zakwaterowania w stolicy, gdzie jednak, przez kontakt żywy z ludnością, zaczął się samorzutnie rewolucjonizować. Radomski był jednym z czynnych agentów tego rewolucjonizowania się pułku, stwarzając dlań organizację. Poznałem się z nim jeszcze przed Zegrzem, a potem spotkałem w kadrze, gdzie przez czas jakiś byliśmy w stosunkach współpracownictwa w naszym ruchu i naszych niedoszłych projektach działania w spisku wojskowym. Radomski reprezentował tam zawsze element jak najbardziej rewolucyjnie zdecydowany, jaskrawy w pomysłach i inicjatywie. W połowie maja jeździł z delegacją rady żołnierskiej I pułku do Piłsudskiego dla omówienia projektu ewentualnego marszu na Warszawę. W dalszym ciągu zreferuję tę rzecz jutro.

9 października, rok 1917, wtorek

Nic dzisiaj szczególnego nie zaszło w Kolnie, toteż mogę swobodnie dokończyć o sierżancie Radomskim.

Gdy w maju, po pamiętnym udaniu się delegacji I pułku piechoty do Piłsudskiego, wróciliśmy z Warszawy zdezorientowani, wątpiący o polityczno-obywatelskiej roli Legionów i o Komendancie Piłsudskim i gdy dla wielu z nas, którzyśmy dotąd stali na czele organizacji i ruchu, posłużyło to za punkt zwrotny do całkowitego zaniechania wszelkich w tym kierunku, jako próżnych, usiłowań, względnie – do przeciwstawienia się dalszemu ruchowi, służącemu, jakeśmy dostrzegać zaczęli, nie naszemu pierwotnemu celowi, lecz pewnym intrygom partyjnym albo wprost, w myśl dążeń Piłsudskiego, rozbiciu Legionów, i gdyśmy wobec tego zwracać się zaczęli do czysto wojskowej technicznej pracy, co wprawdzie nie stało się prądem powszechnym, ale w każdym razie wytworzyło pewne w tym kierunku tendencje i ogarnęło część jednostek, poprzednio kierowniczych w organizacji I pułku, w tej liczbie i mnie, Radomski nie dał za wygraną. Przeciwnie – usiłował odwrócić nas od nowej drogi, był najgorętszym rzecznikiem kontynuowania akcji polityczno-wojskowej o celach rewolucyjnych, skierowanych do wojskowego zamachu stanu na rzecz Rządu Narodowego – choćby wbrew Piłsudskiemu, a gdy nas przekonać nie zdołał, rzucił się do innych sposobów. Stał się bardzo czynnym w nawiązującym się wtedy organizacyjnym kontakcie między pułkami i jednym z inicjatorów i twórców Rady Żołnierskiej Legionów Polskich jako centralnej organizacji całego politycznego ruchu wojskowego, do której nasz I pułk na razie z udziałem się ociągał, ale później na stopie biernej nie wytrwał i przyłączył się także (nie wytrwały też na stanowisku pracy czysto wojskowej te jednostki u nas, które na razie po bytności u Piłsudskiego weszły na tę drogę, jak na przykład Zagłoba-Kamiński). Wiadomo, jak ta Rada Żołnierska Legionów Polskich była prowadzona na pasku przez elementy z redakcji „Rządu i Wojska”, przez sługi Piłsudskiego, którym

chodziło o zawładnięcie wojskiem dla jego politycznych posunięć. Formułą, ujarzmiającą ruch żołnierski, była teza tak zwanego „wytwarzania gotowości", która jednocześnie hamowała inicjatywę i samorzutność czynu rewolucyjnego w wojsku i łudziła młodzież legionową jakąś niewiadomą jeszcze, ale z pewnością wielką i w świadomości Komendanta dojrzewającą akcją, podczas gdy w rzeczywistości Piłsudski, jak to mi już w maju stało się wyraźnym i co późniejsze wypadki potwierdziły, był już tylko wątpiącym i chwiejnym próchnem, niezdecydowanym i uwikłanym w kontrasty polityki, z którą sobie sam poradzić nie umiał. Otóż Radomski był w tej Radzie Żołnierskiej duszą radykalizmu, był tym, który starał się przeforsować narzucaną przez cywilnych piłsudczyków „gotowość" na rzecz konkretnego czynu. Od niego pochodziły na Radzie Żołnierskiej najjaskrawsze projekty, najszerzej pomyślane wielkie plany; on utrzymywał główny kontakt z organizacją oficerską, on się komunikował z Dreszerem, co prawda także chwiejącym się między jaskrawością własnego temperamentu politycznego a posłuszeństwem dla hamulców Piłsudskiego, oraz z Boguszewskim, którego plany były najśmielsze (marsz na Litwę, obwołanie jej niepodległości przez wojsko polskie, powstanie litewskie, cios śmiertelny – „*coup do grâce*" dla Niemców w kombinacji z ofensywą rewolucyjnej Rosji; pomysły może kruche, zwłaszcza wobec tego, co się okazało, ale nie pozbawione głębszej myśli politycznej). I nagle w momencie przysięgi w lipcu gruchnęła wieść, że Radomski, który został poprzednio aresztowany, przysiągł. Nie dość tego, że przysiągł sam, ale że jeszcze, będąc wypuszczony z aresztu, w porozumieniu z majorem Zagórskim, agitował na rzecz przysięgi wśród tych Królewiaków III pułku, którzy przysięgi odmówili. Ze zgorszeniem opowiadali nam o tym internowani żołnierze III pułku w Szczypiornie. Co to było? Zdrada, słabość czy nagła zmiana przekonań? Tak jaskrawe przerzucenie się od skrajnego radykalizmu do uległości, połączone jeszcze z odpowiednią agitacją – i w takim momencie – zdawało się aktem zdrady. Tak też to zrozumiano wśród internowanych w Szczypiornie, gdzie się znaleźli prawie wszyscy przywódcy i działacze Rady Żołnierskiej, o ile byli Królewiakami. Ja osobiście nie byłem koniecznie o zdradzie Radomskiego przekonany. Zdawało mi się, że Radomski, przekonawszy się, że cała działalność poprzednia ruchu, cała owa „gotowość" kończy się istotnie w rzeczywistości, jakeśmy jeszcze w maju ze słów Piłsudskiego wyczuli, rozbiciem Legionów i jeszcze w dodatku internowaniem w obozie jeńców, bez żadnego pożytku dla sprawy i zgoła nie w myśl tych ideałów, które on dla tego ruchu zakładał, mógł się w sprawie przysięgi załamać i dojść do przekonania, że należy ratować Legiony od rozbicia. Ale to, że agitował i to jeszcze, jak się zdawało, w jakiejś kombinacji z Zagórskim, gdy ci, co odmówili przysięgi, byli aresztowani, męczeni i nie mieli swobody wyboru dróg – to mię także do Radomskiego usposabiało krytycznie. I jakież było nasze zdziwienie, gdy nagle pewnego dnia Radomski do obozu jeńców zawitał w charakterze także internowanego, jak my wszyscy. Nie wiedziano na razie, co sądzić i jak się wobec niego zachować. Większość, uważając go za skompromitowanego i nie ufając ewentualnie jego roli w obozie jeńców, nie podawała mu nawet ręki. Radomski, żądając rehabilitacji, zwrócił się do członków byłej Rady Żołnierskiej Legionów Polskich z prośbą o sąd honorowy koleżeński nad nim. Do sądu tego wyznaczony zostałem ja jako jego przewodniczący i Wyszyński z I pułku ułanów i sierżant Wisła-Łaguna z V pp., jako członkowie, na referenta zaś, któremu zlecono śledztwo i wnoszenie oskarżenia, wyznaczono sierżanta Dana-Stachlewskiego z I pułku ułanów. Po parudniowych rozprawach, prowadzonych poufnie, zapadł wyrok tej treści: „Wyrok Sądu żołnierskiego, powołanego przez Żołnierski Komitet Obozowy, w składzie ob. Michała Römera jako przewodniczącego, i ob. ob. Jerzego Łaguny i Kazimierza Wyszyńskiego, w sprawie zarzutów przeciw ob. Jerzemu Radomskiemu, podnoszonym

z powodu zachowania się jego podczas składania przysięgi przez III pp. Wojsk Polskich. Sąd po wysłuchaniu podsądnego i ob. Bohdana Stachlewskiego jako referenta z ramienia obecnych w Szczypiornie członków byłej Naczelnej Rady Żołnierskiej, oraz świadków w osobach ob. Andrzeja Korcza, Faustyna Zalasa, Bernarda Anzelewicza, Juliana Orlika i Teodora Hajdricha, wszystkich z III pp., oraz ob. Walerego Bagińskiego z I p. art., Władysława Kamińskiego z I pp. I Władysława Broniewskiego z IV pp., nie stwierdził w postępowaniu ob. Jerzego Radomskiego czynów niehonorowych. Niezdecydowane i chwiejne zachowanie się jego w sprawie przysięgi, które przejawiło się w szeregu sprzecznych między sobą postępków, Sąd przypisuje przede wszystkim depresji z powodu bardzo ciężkich przejść rodzinnych, a poza tym niewyrobieniu i nieustaleniu charakteru politycznego ob. Jerzego Radomskiego. Z oryginału wyroku sporządzone są dwa odpisy, jeden – dla ob. Jerzego Radomskiego, drugi – dla prezydium Żołnierskiego Komitetu Obozowego w osobie ob. Janusza Olszamowskiego. (Podpisy:) Michał Römer, Jerzy Łaguna, Kazimierz Wyszyński. Szczypiorna, 25.VIII.1917".
Tak się zakończyła ta sensacyjna w stosunkach legionowych sprawa Radomskiego. Dodam, że przejścia rodzinne, o których wspomina wyrok, była to śmierć matki Radomskiego, która nastąpiła akurat w czasie owych wypadków na gruncie przysięgi.

10 października, rok 1917, środa
Dzisiaj – czwarta moja sesja sądowa. Udała mi się najlepiej ze wszystkich. Zadowolony byłem z siebie bardzo, bo, zdaje się, pomyłki żadnej nie popełniłem, czuję w sumieniu, że w żadnej sprawie sprawiedliwości nie tylko formalnej, ale i treściwej nie uchybiłem i zdołałem wszystkie zagadnienia rozwiązać mądrze i kunsztownie, jak prawda i słuszność nakazywała. Co do kunsztowności, o której wspominam, to miała ona miejsce w kilku sprawach. Przede wszystkim, chodziło o nią w pierwszej, dość skomplikowanej technicznie, w której miało się do czynienia z kilkoma spadkobiercami, których prawa należało w pewnym zakresie i co do niektórych osób ustalić, co do innych odrzucić, przy czym nie wszyscy spadkobiercy byli w sprawie pozwani, dalej miało się tu do czynienia z powództwem wzajemnym i ze zgłoszoną przez jednego ze spadkobierców wątpliwością co do autentyczności rewersu. Rozwiązałem wszystkie zagadnienia doskonale, w sposób, który zachwycił ławników i zdobył uznanie adwokata Goldberga, mimo że domaganiom jego nie w całym zakresie stało się zadość. W innej zaś sprawie doprowadziłem kunsztownie dwie kobietki do układu pojednawczego; w tej sprawie leżało mi bardzo na sercu, aby jakoś proces tych dwóch poczciwych kobiecin do takiego rozwiązania doprowadzić, że by i domaganiom się powódki dać satysfakcję, i zarazem dokonać to bez krzywdy pozwanej; chodziło bowiem o to, że powódka nie miała formalnie żadnego dowodu prawnego dla oparcia swych żądań, bo stosunek, dla którego kodeks żąda kategorycznie aktu na piśmie, kobiecina chciała tylko świadkami udowadniać, co jest z urzędu niedopuszczalne, podczas gdy w rzeczywistości należność była niewątpliwa, a znów z drugiej strony żądanie było skierowane do synowej właściwego zmarłego dłużnika, synowej, której mąż jest w Ameryce i która formalnie spadkobierczynią nie jest, choć faktycznie ze spadku użytkuje. Powództwo więc, na wypadek ekscepcji pozwanej, musiałbym uchylić albo też, uznając je za wytoczone do masy spadkowej, odroczyć na dokonanie w najlepszym razie ogłoszeń z wezwaniem nieobecnego pozwanego, a po ewentualnych terminach – znowuż bądź co bądź, w braku przyznania należności ze strony spadkobiercy lub w razie niestawienia się, nieomal pewnego (bo z Ameryki nawet po wszelkich terminach nie wróci), uchylić jako nieudowodnione. Działając na sumienie kobiecin i nie ujawniając im rygoru prawa, doprowadziłem je do układu pojednawczego, który daje podstawę żądaniom powódki,

jakiej brakowało im poprzednio i zarazem, rozkładając zwrot na dogodne dla pozwanej raty, nie krzywdzi jej i odpowiada sprawiedliwości. Ławnicy podziwiali moją zręczność. W innych sprawach równie dobrze mi się udało znaleźć sprawiedliwe formuły wyroków. Sprawy były przeważnie drobne, urozmaicone, przeciętne, ale charakterystyczne. Ogółem było spraw osiem. Z tych jedna była o dług z rewersu; była to ta właśnie skomplikowana, ze spadkobiercami, powództwem wzajemnym z tytułu jakiejś bryczki, wziętej na przechowanie przez powoda i zabranej następnie przez Niemców w drodze gwałtu i z wątpliwością o autentyczności; druga była między owymi kobiecinami, które do układu doprowadziłem; trzecia – incydentalna o rozłożenie zasądzonej sumy na raty; czwarta – o zwrot należności za sprzedanego konia, który zdechł, z tytułu wady ukrytej; piąta – o należność za komorne od biednego Żydka i o eksmisję; szósta – o alimenty dla starego ojca od dwóch synowych-wdów; siódma – odroczona do wskazania miejsca zamieszkania pozwanego; ósmej nie przypominam sobie na razie. Karnych spraw nie było. Ławnicy zasiadali: Kocik i Jerozolimski. Sesja trwała bez przerwy od godz. 10 ½ do 4 ½ po południu; późno się zaczęła z racji spóźnienia się Kocika. Zaczynam się już widocznie wdrażać w czynności sędziego, zwłaszcza w najistotniejszej funkcji – sądzenia. Sesja jest dla mnie przyjemnością. Jest ona życia falą, jest teatrem rzeczywistości ludzkiej.
Miałem list od Ludwika Abramowicza. Pisze o Legionach, wspomina o Radzie Regencyjnej, wreszcie pisze w sprawie litewskiej. O Legionach potwierdza wiadomość o przeniesieniu legionistów Galicjan do c.k. armii austriackiej. I pułk piechoty już nie istnieje. Cały I pułk przeniesiono do Lublany, gdzie miał otrzymać mundury austriackie i być wysłany jako landszturm austriacki na front, oczywiście włoski. V pułk poszedł w tym samym charakterze także na front włoski, IV pułk – na rumuński. O Radzie Regencyjnej pisze Abramowicz tylko tyle, że pozostaje wciąż jeszcze w sferze projektów, choć „układy są na dobrej drodze”. W sprawach litewskich Abramowicz jest wprawdzie przeciwnikiem wykrajania Litwy etnograficznej i stoi twardo na gruncie historycznej Litwy jako jednostki prawno-państwowej, zastrzegając jej różnonarodowość i uważa, że błąd obecnej rozpoczętej jej budowy jako litewskiej jednostki narodowej musi być naprawiony, o czym nie wątpi, to jednak godzi się ze mną co do doniosłości samego faktu uznania Litwy za organizm samodzielny i gani stanowisko Polaków litewskich w Wilnie, którzy „wbili sobie w głowę, że Wilno musi należeć do Polski i stanąwszy raz na tym fałszywym punkcie widzenia, nie mogą ruszyć z miejsca, oglądając się tylko na Warszawę, która nic im dopomóc nie jest w stanie”. Ciekawe, że, jak pisze Ludwik Abramowicz, „Komisja do spraw Litwy” (istniejąca przy Departamencie Politycznym, w której skład wchodzi on, Eustachy Sapieha, Staniszewski i paru innych ludzi) postanowiła działać na Komitet Wileński, aby się bardziej „ukrajowił”. Ciekawa rzecz, że Warszawa musi mitygować skrajne wszechpolskie aspiracje Polaków z Wilna. Istotnie – nie tylko delegacja Polaków litewskich w Warszawie, za jaką się ma Komisja do spraw Litwy w Warszawie, ale cała polska Warszawa powinna rozumieć, że w interesie zarówno samej Polski, jak nawet jej ewentualnego związku z Litwą leży niepodległość Litwy, nie zaś aneksja polska ziem litewskich.

11 października, rok 1917, czwartek
Była dziś osobliwość o tej porze roku – burza wieczorem. Padał rzęsisty, zgoła nie jesienny deszcz, z błyskawicami i grzmotem. Trwało dość krótko.
W sądzie był dziś trochę większy ruch, niż w ostatnich czasach. Zgłaszało się parę osób do zaświadczenia podpisów na dokumentach, zgłoszono dwa powództwa cywilne, oba zresztą miniaturowe, jedno – o zwrot wag przywłaszczonych wartości 3 marek, drugie –

o 8 marek niedopłaconych za sprzedany warkocz, poza tym jedna prośba o rozłożenie zasądzonej należności na raty i paru interesantów „na poradę”. Lubię, gdy ruch interesantów w sądzie jest większy. Poza tym, był typowy powszedni dzień. Mogę sobie śmiało zrobić odpoczynek w dzienniku w dniu dzisiejszym. Chcę wprawdzie uzupełnić jeszcze w dzienniku relację o układzie życia i stosunków samorządnych w środowisku internowanych legionistów w obozie jeńców w Szczypiornie, aby zachować całkowity obraz tego momentu w dziejach Legionów, ale zrobię to już innym razem. Dziś poprzestanę na tym.

12 października, rok 1917, piątek
Przyszedł dziś do mnie do sądu jakiś młody chłopiec, lat koło dwudziestustu, który poprosił o chwilkę rozmowy poufnej. Jak się okazało, jest to niejaki Kraszewski z Łomży, członek Polskiej Organizacji Wojskowej. Organizacja ta, osłabiona po aresztach, dokonanych przed dwoma miesiącami, przechodzi ciężki kryzys. Najdzielniejszych ludzi wyrwano z jej szeregów; pozostały jeno szczątki dawnej organizacji i liczba adeptów zmalała bardzo. Koła i kółka lokalne ledwie wegetują, a nieliczni działacze i kierownicy ruchu, którzy ocaleli, muszą mozolnie nawiązywać porwane nici i sztukować luki. Polska Organizacja Wojskowa, która zawsze ogarniała przeważnie młodzież, dziś już niemal całkowicie spoczęła w ręku zielonych młodzieńców. Kierownikami kół miejscowych są młokosi, którym brak doświadczenia i wytrawności, ale za to nie brak zapału i wiary. Tą wiarą młodzieńczą, która jest najsympatyczniejszą Polskiej Organizacji Wojskowej cechą, utrzymuje się ona jeszcze przy życiu. POW, zbudowana na zasadach ściśle spiskowych, stała się jakimś kościołem patriotycznej młodzieży, którego Mesjaszem jest Józef Piłsudski. Kolno miało takie swoje koło POW. Jeden z kierowników tego koła, młody pisarz hipoteczny w Kolnie, poprzednik niedołężnego p. Mystkowskiego, został także przez Niemców aresztowany i wywieziony. Z POW łączy się akcja polityczna ludowców, podstawą całego tego ruchu jest młodzież włościańska. W braku kierownika ruchu na miejscu bawi tu chwilowo ten właśnie młody Kraszewski z Łomży. Słyszał on o mnie, zna mię jeszcze z jakichś, jak powiada, broszur moich (zapewne zeszłoroczna broszurka o rocznicy 6 sierpnia roku 19154, wydana przez redakcję „Widnokręgu” jako odbitka z artykułu); wskazywano mu na mnie w Łomży drogą zapewne warszawskich kół CKN-owych; Kraszewski wiedział o mnie jako o dawnym członku CKN-u, byłym legioniście I pułku piechoty i byłym jeńcem ze Szczypiorna. Te tytuły uprawniały go do zwrócenia się do mnie. Nie przyszedł do mnie z żadną propozycją konkretną, jeno dla zapoznania się, nawiązania kontaktu i głównie zorientowania się co do mojego obecnego usposobienia politycznego. Sprawił na mnie dodatnie wrażenie chłopca niegłupiego, szczerego i nie nazbyt ciasnego, ale mu nic dokładnie odpowiedzieć na określenie mojego stosunku do POW i do całego politycznego obozu Piłsudskiego nie mogłem. Przede wszystkim, nie negując dodatniego moralno-wychowawczego znaczenia POW dla młodzieży, nie tyle na skutek celów organizacji, ile na skutek pewnego nastroju ideowego, nie zdaję sobie dokładnie sprawy, jakie są dziś właściwie dążenia i drogi tego ruchu i o co mu, konkretnie rzecz traktując, chodzi. Jeżeli o sprawę wojskową chodzi, to dziś może być tylko zagadnienie regularnej armii państwowej, bardzo dalekiej od tego idealistycznego i spiskowym romantyzmem podszytego ruchu POW. Zresztą zagadnienie to jest dziś w praktyce bardzo nieaktualne. Katastrofa Legionów jeżeli nie pogrzebała, to w ogromnym stopniu cofnęła wstecz sprawę armii. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jak trudnym jest to zadanie i nikt, zdaje się, nie ma ochoty śpieszyć się z podnoszeniem tej sprawy. Rozbiła się na niej Tymczasowa Rada Stanu, oparzyli się Niemcy, pękły tragicznie Legiony i omal cały akt 5 listopada, cała sprawa

konkretnego budownictwa państwowego Polski nie rozsypała się w gruzy na sprawie armii. Dziś nikt jej się tknąć nie waży. Jest ona bodaj ze wszystkich zagadnień państwowości polskiej najtrudniejsza, choć może jedna z najpoważniejszych. Jest trudniejszą od sprawy rządu, administracji, Regencji itd. W każdym razie, nie leży ona w płaszczyźnie tego powstańczego spiskowego romantyzmu, jakim tchnie młodzieńcza POW. Dalej, jeżeli chodzi o rewolucyjne metody w polityce, to zaiste mógł być czas na nie wtedy, kiedy jeszcze Legiony nie były rozbite i kiedy Piłsudski mógł nimi rozporządzać. Dziś nie jestem tak dobrej myśli, jak byłem w maju, co do tego, czy akcja rewolucyjno-polityczna, oparta o ruch wojskowy, mogła być nawet jeszcze wtedy skuteczna i czy Niemcy nie zawahaliby się jej stłumić bezwzględnie i w krwawej represji utopić, jak, choć bez krwi rozlewu, nie zawahali się zdusić represją Legiony po odmowie przysięgi. Ale w każdym razie, jeżeli kiedy metoda rewolucyjno-polityczna mogła być skuteczna, to chyba wtedy, ale nie dziś, po Szczypiornie i Przemyślu, po katastrofie sprawy wojskowej, do której sam Piłsudski dopuścił (jeżeli nie doprowadził). Wreszcie – o ile o same cele polityczne, o kierunek i tzw. orientację chodzi, to w obozie byłych piłsudczyków jest on bodaj najmniej sprecyzowany. Obóz ten, którego latoroślą jest POW, jest całkowicie zbity z tropu, zdezorientowany; poza krytyką nie umie się zdobyć na żadne pozytywne wskazanie, na żadne określenie konkretne. Przechodzi on dziś przesilenie i bez Piłsudskiego jest jak bez głowy. Wskazałem na to wszystko młodemu Kraszewskiemu. Nie jestem bynajmniej obozowi temu wrogim ani niechętnym. Sprzyjam mu, a zwłaszcza sprzyjam akcji ludowej, która w jego promieniu się mieści. Ale do jakiegoś współpracownictwa z nim podstaw brak, bo w obecnej chwili nie wiadomo, do czego on właściwie dąży, a czas do bezwzględnej li tylko krytyki jest może najmniej stosowny.
Poza tym, nie mam w obecnej chwili najmniejszych do polityki aspiracji. Jeżeli co mię dziś bardzo gorąco w sferze polityki zajmuje – to tylko sprawa litewska, ale w tej ostatniej zmuszony jestem z konieczności do roli biernego widza i to widza, który niestety mało może widzieć.

13 października, rok 1917, sobota
W przygotowaniu do nadchodzącego obchodu kościuszkowskiego zebrał się dziś o godz. 3 w kancelarii Rady Opiekuńczej powiatowej zarząd komitetu obchodu w Kolnie wraz z kwestarkami, które już mają jutro rozpocząć na ulicach Kolna kwestę. Był p. Stachelski, Miętkiewicz, Józef Pikuliński, jeszcze jakiś gospodarz, jakiś młodzieniec, ja, trzy nauczycielki kolneńskie, z których jedna, panna Śnieżko, jest bardzo milutką, przystojną i zwłaszcza zgrabną i efektowną w budowie osóbką, panna Chodnicka i jeszcze jakaś panienka. Chodziło o dokonanie procedury opieczętowania skarbonek, wręczenia ich kwestarkom, ustalenia techniki kwesty na jutro i spisania odpowiedniego protokołu. Na ogół w Kolnie obchód zapowiada się dość mizernie. Poza kwestą uliczną, odbędzie się tylko zebranie odczytowe w poniedziałek i odczyt w szkole dla dzieci. Oczywiście domy, o ile ludność do tego się zastosuje, udekorowane mają być sztandarami narodowymi. W kościele, z rozkazu arcybiskupa na całą archidiecezję, odbędzie się w poniedziałek uroczyste nabożeństwo i dzień ogłoszony jest za świąteczny. Poza tym – nie będzie w Kolnie nic. Nie dostarczono z głównego komitetu obchodowego z Warszawy żadnych broszur, odezw, odznak, medali – nic. Miał się tym zająć p. Litwiński, ale nie zrobił czy nie mógł zrobić tego, a wreszcie i sam wyjechał. Księża kolneńscy nie dopisali. Jest ich tutaj aż czterech, ale są oddani wyłącznie sprawom kościelnym lub prywatno-gospodarczym, nie są towarzyscy i żadnego udziału w życiu społecznym nie biorą. A ksiądz – to jeszcze w Polsce potęga. O ile chodzi o dotarcie do masy chłopskiej, o poruszenie ludu, to ksiądz jest dotąd jedyny. Tam, gdzie

księża się zabrali gorliwie do tego obchodu, tam uroczystości zapowiadają się imponująco. Podobno w Turośli, gdzie siedzi energiczny i bardzo rzekomo uspołeczniony ks. Dargis, który choć jest osobiście Litwinem, zajął się sprawą uroczystości kościuszkowskiej, obchód zapowiada się okazale. Tak samo jest w malutkiej filii Lemanie, złożonej z dwóch wiosek, gdzie siedzi energiczny czynny ks. Ramotowski. W Kolnie – księża, poza nakazanym przez władze diecezjalne nabożeństwem żadnego udziału w obchodzie nie biorą. Może społecznie to jest lepiej, bo lud, a przynajmniej tzw. „obywatele" kolneńscy nie wciągają się tak w szpony klerykalizmu i zmuszeni są sami o sprawy publiczne się troszczyć, ale masowość wszelkich uroczystości doraźnie traci na tym. Zresztą nawet w zakresie tego ubogiego programu obchodowego w Kolnie – rzecz przedstawia się bardzo mizernie. Jest w Kolnie wielka sala teatralna, która się mieści, zdaje się, w tzw. domu ludowym. Jest ona zajęta przez Niemców, ale gdyby się zawczasu postarano, mogłaby być zapewne na uroczystość obchodu pozyskana. Można ją było udekorować, można było zorganizować jakieś deklamacje, śpiew, żywe obrazy, apoteozę itp. Nie zrobiono nic z tego. „Odczyt" ma się odbyć w sali szkolnej, którą udekorują nauczycielki z dziećmi. Co do samego odczytu, to także jest z nim kłopot. Byłem proszony o odczyt ja. Wielkiej chęci do tego nie miałem, bo zresztą nie mam daru odczytowego. Łatwiej mi napisać, niż wygłosić ustnie, zwłaszcza gdy chodzi nie o jakąś rzecz sprawozdawczą lub aktualną. Zresztą nie mam żadnych książek o Kościuszce, żadnego materiału do przygotowania się. To by było najmniejsze, gdyby nie to, że do publicznych wystąpień w mowie nie mam zgoła usposobienia. Potrafię dzielnie przemówić w dyskusji, potrafię nawet odczyt wygłosić, ale nie na zamówienie, a zwłaszcza nie na obchodowe. Tego po prostu nie potrafię. Jest to narów natury mojej. Mógłbym jeszcze od biedy wygłosić krótkie przemówienie, coś w rodzaju zagajenia, ale nie właściwy odczyt obchodowy. Liczyłem na Miętkiewicza, któremu już o tym przed kilku dniami powiedziałem, ale ten się teraz zanarowił i – za nic. Wygłosi on odczyt w szkole dla dzieci, ale drugiego stanowczo odmawia. Powstał z tym kłopot dziś nie lada, ale na szczęście p. Stachelski, przewidując widocznie trudności, zamówił już cichaczem jakiegoś bawiącego tu studenta na odczyt, ratując sytuację.
Poza tym dziś nic szczególnego. Piękny ciepły dzień słoneczny.

14 października, rok 1917, niedziela
Gdyby tak teraz uchylono rąbek linii z drutów kolczastych i okopów i gdyby Kotunia i Elwira mogły na chwilę zajrzeć na tę stronę frontu, to by się dopiero zdziwiły, gdyby mię ujrzały w... Kolnie na urzędzie sędziowskim. Przypuszczam, że mogą się różnych moich losów domyślać, nie wyłączając tego faktu, że byłem w Legionach, ale rzeczywistość przeszłaby fantazję ich domysłów. Że byłem szeregowcem w wojsku i że czynnie walczyłem na linii, że byłem przez czas jakiś internowany w obozie jeńców, że wreszcie teraz losy mię rzuciły w głuchy kraik Kurpiów i osadziły w nieznanej im zapewne nawet ze słyszenia mieścinie – Kolnie, gdzie kazały mi spełniać czynności sędziego pokoju – tego się z pewnością domyślać nie mogą. Gdzieś im wyfrunąłem w roku 1915 na Rumunię, a co się ze mną dalej stało – to jest dla nich bajką z fantazji. Po dłuższym czasie milczenia i braku wieści zamieniły się ze mną kilkoma listami za pośrednictwem Bukaresztu, ale skąd były moje listy pisane i na czym polegała moja działalność – tego z tej korespondencji dociec nie mogły. Od jesieni roku 1916, gdy Rumunia wstąpiła do wojny, i to się urwało. Często myślę o tym, jak jesteśmy teraz od tych naszych dwóch sióstr dalecy i jak, będąc sobie bliscy w sercu, jesteśmy fizycznie obcy, jak mieszkańcy różnych planet. Patrzę na księżyc i gwiazdy, które i one też widzą, ale ani się zobaczyć i usłyszeć nawzajem, ani nawet przemówić i dać znać o

sobie nawzajem – niepodobna. I gdy tak ja sobie błądzę myślą, to jeszcze je znaleźć mogę w pewnych punktach przestrzeni i w określonym środowisku, choćby w pojęciu tylko, podczas gdy one o mnie nawet tego wiedzieć nie mogą i szukając mię w domysłach swoich, szukają z pewnością nie tam, gdzie jestem. Życie i samo bytowanie w czasie wojny jest jakąś niespodzianką. Zresztą i o nich teraz nie mogę sobie w myślach wyobrażać tak, jak może jest w istocie. Ich warunki życia, ich środowisko i tryb psychiczny bytowania z pewnością też są inne, niż mi się w myślach kreślą. Jakie jest tam to życie, jakie są troski, nadzieje, cierpienia, serca i pojęć wzruszenia – w odmęcie rewolucji, w wirze zgoła niepowszednich stosunków, w pobliżu linii wojennej? Ta sama płynie Berezyna poprzez łuhy bielczańskie, ten sam las wiązowiecki szumi Elwirze i jej dziatkom, ten sam może wierny mój Bryś strzeże leśniczówki w Wiązowcu albo pędzi żywot samotny na łańcuchu w Łowcewiczach, te same mury Mińska, te same jeszcze może tramwaje konne pełzną po ulicach Zacharzewskiej i Gubernatorskiej, gdzie na nie może przez okno patrzy Kotuńka. Wszystko to takie znane, takie dawne i te same, a przecie jakże zapewne różne w sferze duchowego życia ludzi po tamtej stronie wojennego kordonu! Bo stosunki ludzkie przekształcają nawet wyraz tych samych niewzruszonych rzeczy fizycznych. Kiedyż ustanie to wszystko, kiedy z katastrofy tej wyłoni się coś statecznego?! Kiedy i co?! Rok upływa za rokiem i im dalej odbiegamy od początku katastrofy, tym bardziej się zdajemy oddalać od jej końca. Zdaje się, jak gdybyśmy płynęli po rozhukanych bałwanach oceanu bez kresu, bez żadnych widoków stałego lądu ani wstecz, ani wprzód. Próżne rozmyślania. Co będzie – to będzie. Może dożyjemy jeszcze jakiegoś katastrofy końca i widzami będziemy zjawisk stałych, które się z niej wyłonią. Tymczasem stwierdzajmy to, co jest. Zapewne na długi bieg pokoleń po raz jedyny świadkami jesteśmy takich wypadków, jakie są. Jeno że czasem tęsknota serce szarpie.
Ba, skoro już piszę dziennik, to niechże zgromadzi on to, czego świadkiem byłem lub jestem. A więc jeszcze wracam do Szczypiorna. Wracam oczywiście tylko w dzienniku. Niech mię Bóg strzeże od powrotu tam w rzeczywistości! Zreferuję jeszcze o organizacji i działaniu samorządu internowanych w Szczypiornie legionistów. Samorząd ten wyraził się głównie w trzech sferach stosunków: w sferze gospodarczo-żywnościowej, w sferze kulturalno-oświatowej i w sferze dyscyplinarno-sądowej. O działalności sądów żołnierskich w Szczypiornie już pisałem: wszystkie wyroki sądu obozowego i sądu bloku IV z czasów mojego pobytu zacytowałem. Wspomnę teraz o organizacji tych sądów. A więc w każdym tzw. bloku był sąd osobny. Członkami tego sądu, czyli sędziami, byli żołnierze, wyznaczeni do tego przez odpowiedni żołnierski komitet blokowy. Później w większości bloków komplet członków sądu został ustalony w drodze bezpośrednich wyborów. Jeden z członków sądu był prezesem. Sąd obozowy składał się ze wszystkich prezesów sądów blokowych i miał też swego prezesa, którym byłem ja. Statutu sądownictwa nie było; nie było też kodyfikacji ani procedury, ani prawa materialnego. Zarówno organizację, jak zasady procedury i prawa materialnego ustalałem ja, a następnie skrystalizowały się one w praktyce sądowej. Głównym zadaniem sądu żołnierskiego był wymiar kar i walka ze zbrodnią, to znaczy sfera karna. W sprawach cywilnych sądy żołnierskie funkcjonowały tylko jako polubowne. Procedura była następująca. Osobnej instytucji śledczej nie było. Był przez pewien czas projekt utworzenia bądź organizacji dyscyplinarnej, odrębnej od sądownictwa, bądź milicji, ale oba projekty zostały zaniechane. Sądy żołnierskie żadnych skarg od poszczególnych żołnierzy nie przyjmowały. Instytucją skarżącą była wyłącznie nasza samorządna komenda, bądź bloku, bądź obozu. Sąd był mocen tylko taką sprawę rozważać, która mu była przez odpowiednią komendę przekazana. Po przekazaniu sprawy prezes sądu wyznaczał z kolei jednego z członków sądu na referenta. W sądzie

obożnym referentem był członek sądu z tego bloku, do którego należał oskarżony (ponieważ prezes nigdy referentem być nie mógł, więc z bloku IV, do którego ja należałem, był w sądzie obożnym oprócz mnie jeszcze drugi członek; był nim poprzednio Lehr, potem Niedzielski). Obowiązkiem referenta było dokonanie śledztwa pierwiastkowego, zgromadzenie materiału dowodowego (głównie świadkowie) zarówno na rzecz oskarżenia, jak obrony. Na rozprawie ustnej referent pełnił poniekąd obowiązki woźnego, bo zgromadzał i wywoływał świadków, strzegł porządku, a zarazem należał do kompletu sądzącego. On „referował" sprawę; referat jego zastępował akt oskarżenia. Wszakże w toku rozprawy referent oskarżycielem nie był, jeno był sędzią. Ponieważ nie było instytucji obrońców, więc nie było i instytucji oskarżyciela publicznego. Rozprawa toczyła się ustnie i jawnie (publicznie). Po rozprawie i naradzie sędziowskiej wyrok formułował na piśmie prezes. Każdy wyrok musiał podlegać zatwierdzeniu komendy i dopiero stawał się prawomocnym. Był on odczytywany następnie oskarżonemu. Kopia wyroku, sporządzona przez referenta, była wręczana komendzie. Wykonanie wyroku nie należało do sądu; było to już obowiązkiem komendy. O karach wspomnę innym razem.

15 października, rok 1917, poniedziałek
Dzień obchodu kościuszkowskiego. Nie obeszło się na obchodzie w Kolnie bez zajścia, które wywołało pewien zgrzyt w stosunkach i niesmak. Przebieg uroczystości był tu następujący. O godz. 9 rano – nabożeństwo w kościele. Kolnianie z komitetu obchodowego z p. Stachelskim na czele byli już z góry mocno zażaleni na księży miejscowych za to, że ci nie tylko nie wzięli udziału w komitecie, nie poczynili ze swej strony żadnych zarządzeń ani agitacji wśród ludu na rzecz obchodu, ale jeszcze szykanowali i utrudniali komitetu starania. Księża ograniczyli się wyłącznie do tego, co im władza diecezjalna rozkazała. Zarządzili nabożeństwo i nic więcej. O nabożeństwie tym ogłosili wczoraj z ambony tylko tyle, że odbędzie się ono za bohatera narodowego Kościuszkę. Nie nawoływali do licznego stawienia się na obchód, do uroczystego święcenia dnia kościuszkowskiego, nie agitowali, nie wyjaśniali ludowi znaczenia obchodu. Na zaproszenie do komitetu na rzecz urządzenia obchodu nie stawili się. Zachowali się tak, jak żeby to chodziło o rzecz najzupełniej dla nich obcą. Co więcej – na prośbę p. Stachelskiego o pozwolenie ucięcia gałązek świerkowych na cmentarzu dla udekorowania sali do uroczystości obchodu dziekan odpowiedział odmownie. Podczas nabożeństwa, gdy młodzież kolneńska chciała na chórze zaintonować pieśni narodowe, dziekan zakazał śpiewów itd., itd. Oburzenie więc na księży było wśród członków komitetu i grona ludzi, zaliczających się bądź do inteligencji miejscowej, bądź do najbardziej uspołecznionej cząstki „obywatelstwa", jak mój gospodarz Józef Pikuliński i kilku innych gospodarzy, bardzo wielkie. Ludności z parafii stawiło się na nabożeństwo bardzo niewiele. Spoza Kolna chłopi prawie że wcale nie przybyli. Dzięki też niedbalstwu czy niechęci księży parafianie nie wzięli wcale do serca wezwania do święcenia dnia dzisiejszego i pracowali w najlepsze, jak w najpowszedniejszy dzień roboczy. Kazanie okolicznościowe wygłosił w kościele ksiądz Pomiechowski, starzec, który już nie jest na etacie parafialnym, jeno ma dom własny w rodzinnym Kolnie i spędza tu sobie swoją starość. Kazanie wygłosił ot takie sobie – księżowskie, dość patetyczne, wzruszając się chwilami, mówiąc o cnocie, o pielęgnowaniu dobrych obyczajów i zgody, cytując różnych królów od Mieczysława I począwszy ze szczególnym naciskiem na „króla chłopków" Kazimierza, o Kościuszce też słówko itd. Po nabożeństwie publiczność odśpiewała w kościele „Rotę" Konopnickiej, wymierzoną oczywiście przeciw Niemcom i na tym się w kościele skończyło. Z kościoła ruszono do domu ludowego przy ul. Łomżyńskiej, gdzie w wielkiej sali teatralnej, istotnie jak na

Kolno wspaniałej, ustąpionej na dziś przez Niemców na urządzenie obchodu, miał się odbyć odczyt. Wszystka niemal publiczność z kościoła przybyła do sali na odczyt. Sala była udekorowana choinką; nad estradą wśród zieleni portret Kościuszki. Na galerii – chór młodzieży. Sala była tylko do połowy zapełniona. Przy wejściu stolik z tacą do zbierania ofiar pieniężnych na biednych i z listą do wpisywania się ofiarodawców. Przy stoliku tym honorowe miejsca zajęły panie Stachelska i felczerowa Borawska ze mną (ogółem złożono sto kilkanaście marek ofiar). Z księży przybył na uroczystość świecką obchodu tylko ksiądz Pomiechowski, który usadowił się z boku na estradzie. Chór młodzieży odśpiewał kilka pieśni narodowych i legionowych. Sądziłem, że może wypadnie mnie zagaić uroczystość przemówieniem. Przygotowałem sobie nawet temat, ale usposobienia do przemowy nie miałem. Obeszło się bez tego. Pan Stachelski dał znak Miętkiewiczowi, który wstąpił na estradę i wygłosił odczyt. Wykazał duże zdolności mówcy wiecowego. Był to nie tyle odczyt, ile płomienna mowa, wygłoszona z ogromnym zapałem i silną ekspresją, barwnie, z doskonałą techniką efektów głosu i uczucia. Tak forma, jak treść były bardzo ładne i znakomicie na umysły słuchaczy działające. I tu właśnie zaszedł incydent. Miętkiewicz w ostatniej części przemówienia, po wykazaniu wolnościowego i ludowego pierwiastka w dziele Kościuszki, wyraził żal i wstyd, że lud kolneński, że Kurp dziś, gdy cały naród w 100-letnią rocznicę zgonu Naczelnika czci jego pamięć świętem narodowym, nie stawił się na wezwanie. Zwracając się do portretu Kościuszki i przemawiając do oblicza Naczelnika, wezwał go na świadka nieświadomości tego ludu, rozgrzeszającej go w tej winie. Zaznaczył natomiast, że wina spada na tych, którzy są tego ludu przywódcami i którzy, zamiast go oświecać, zamiast go uświadamiać i prowadzić do sprawy powszechnej, zamknęli się w sferze swoich egoistycznych interesów i hołdując chciwości, czczą złotego cielca i o niczym widzieć nie chcą. Było jasnym, że Miętkiewicz mówi w tym miejscu o księżach kolneńskich. Na domiar obrazy Miętkiewicz przyrównał tych złych przewodników ludu do targowiczan. Gdy skończył, powstał ze swego krzesła ks. Pomiechowski i wystąpił z repliką, biorąc księży w obronę i potępiając tendencję Miętkiewicza do siania niezgody między stanami i podburzania ludu przeciwko pasterzom. Na razie ks. Pomiechowski mówił dość spokojnie, ale rychło oburzenie zaczęło go coraz bardziej ogarniać i temperament zaczął jurnego starca unosić. Podnieciło go jeszcze to, że z publiczności, z męskiej połowy zebrania zaczęto mu przerywać i odpowiadać, wskazując, że księża istotnie nie spełnili swego obywatelskiego obowiązku. Ks. Pomiechowski zaczął się unosić, ktoś z młodzieży mu rzucił jakieś zaprzeczenie z galerii, co go jeszcze bardziej podnieciło, a p. Stachelski, przerywając mu, zawołał donośnie, wzywając obecnych do opuszczenia sali, skoro ksiądz chce zebranym urągać. Pan Stachelski ruszył ku wyjściu, a za nim zrobił się ruch na sali. Ja wszakże doradziłem p. Stachelskiemu, aby nie robił tego i nie powiększał skandalu. Pan Stachelski stanął. Tymczasem ks. Pomiechowski na estradzie rzucał się i miotał dalej, dając wyraz swemu oburzeniu i przechadzając się wielkim krokiem, wzburzony, po deskach estrady. Kończąc, wezwał tych, co nie chcą słuchać inwektyw na księży i ufają kapłanom swoim, aby się skupili dokoła estrady, podczas gdy inni mogą sobie wychodzić, gdy tego życzą, i bezpośrednio zaintonował „Boże, coś Polskę". Kilka pierwszych wierszy pieśni prześpiewał sam – robiło to wrażenie dość niezwykłe wśród wzburzonej sali, aż przyłączyły się doń głosy innych, przeważnie kobiet, które się w większej gromadce przy estradzie skupiły. Siwy ksiądz, mężczyzna tęgi i pełny jeszcze życia, miotający się w najwyższym oburzeniu i w poczuciu swojej siły księżowskiej, tak wielkiej w tej Polsce – i konsternacja na sali, oburzenie jednych, współczucie innych, chaos skandalu – to była scena nie uroczysta dla obchodu.

16 października, rok 1917, wtorek
Zapisuję dalszy ciąg incydentu wczorajszego na obchodzie kościuszkowskim. Ksiądz Pomiechowski po zakończeniu swojej filipiki i odśpiewaniu z gronem bab „Boże, coś Polskę" zeszedł z estrady i nie przestając gromić jeszcze „wybryku" organizatorów obchodu, skierował się ku wyjściu. Wśród publiczności powstało pewne zamieszanie: jedni stawali po stronie księdza, komentując niestosowność obrazy duchowieństwa w mowie Miętkiewicza; inni – i tych była, zdaje się, większość zwłaszcza wśród mężczyzn – potakiwali oskarżeniu, rzuconemu przez Miętkiewicza i oburzali się na ks. Pomiechowskiego za sprowokowanie awantury i zakłócenie uroczystości. Nikt wszakże nie decydował się wystąpienie bezpośrednie; szata kapłańska zapewniała publiczną bezkarność ks. Pomiechowskiego, co też on czuł dobrze i wyzyskiwał śmiało. Wiedział, że ostatecznie on, jako ksiądz, będzie miał rację. Kroczył powoli przez salę, torując sobie drogę wśród publiczności i wykrzykiwał w dalszym ciągu, zwracając się już do osób. Na próżno p. Stachelski, chcąc położyć kres zajściu, wołał głośno, czy ktoś jeszcze nie życzy zabrać głosu i przemówić na obchodzie. Wreszcie, aby przerwać zamęt, p. Stachelski zawołał do chóru, aby zaintonował „Jeszcze Polska nie zginęła". Tymczasem ks. Pomiechowski stanął jeszcze kilka kroków przed drzwiami i gotując się już do opuszczenia sali, uniesiony temperamentem, nie zważając na pieśń, nakrył głowę kapeluszem i coś jeszcze wykrzykiwał do grupki osób w kącie, skąd jakiś padł głos protestu; wołał przeciwko „podburzaniu stanów", przeciwko poniewieraniu kapłanów i obwieszczał z triumfem, że lud nie posłucha fałszywych proroków z inteligencji, usiłujących w nim podkopać wiarę do pasterzy. I tu ja jeszcze osobiście miałem mały epizodzik zatargu z księdzem. Będąc od niego blisko, zwróciłem mu uwagę, aby zdjął kapelusz z głowy, co wywołało replikę oburzenia ze strony księdza; skierował się wszakże ku drzwiom i wyszedł, a gdym chciał mu jeszcze przedstawić niestosowność całego incydentu, zakłócającego obchód, zbył mię brutalnie.
Tak się niefortunnie dokonał obchód kościuszkowski w Kolnie. Nie wiem, czy księża nie zechcą teraz mścić się na Miętkiewiczu i zwłaszcza Stachelskim, którego za inspiratora uważają. Czy nie zechcą jakichś konsekwencji wyciągać i w szczególności zwrócić swoją podejrzliwą i mściwą, a silną w stosunkach polskich niechęć przeciwko sądowi, w którym Miętkiewicz jest sekretarzem, a Stachelski ławnikiem i w którym poza tym, co też księżom oczy kole i co daje się wyzyskać w popularnych przesądach ludu, zasiadają dwaj ławnicy – Żydzi. Sąd ten może być przez mściwych księży za gniazdo „masońsko-żydowskie" uznany. Pan Stachelski jednak twierdzi, że księża sami się nie odważą ciągnąć zatargu dalej i schowają rzecz pod korzec, bo dziekan wie dobrze, jakie na nim ciążą grzechy chciwości i ile p. Stachelski ma przeciw niemu dowodów. Jeżeli dziekan w niedzielę na kazaniu pozwoli sobie na wałkowanie tego incydentu, to p. Stachelski zdecydowany jest przenieść zatarg na łamy prasy i zdemaskować dziekana, a zwłaszcza jego zachowanie się w sprawie obchodu kościuszkowskiego. Rzecz więc jest w zawieszeniu, ale już dziś tok swój miała. Pan Stachelski dowiedział się, że dziekan zabronił służbie kupowania w sklepie p. Stachelskiego, na co w odpowiedzi Stachelski zażądał od dziekana listownie uregulowania długu za towar. Dziekan w liście zwrotnym oświadczył na to, że po wczorajszym „wypadku" nie dziwi go list Stachelskiego, ale skoro Stachelski „nie chce", aby dziekan nadal kupował u niego, to wolna wola, bo towar jest Stachelskiego, a dziekana pieniądze i choć Stachelski „szuka zaczepki", to jej jednak mieć nie będzie, bo dziekan przekłada zgodę i spokój nad kłótnię; co zaś do długu, to uiści chętnie po naprawieniu przez Stachelskiego uszkodzonej beczki po miodzie. Wymiana not dyplomatycznych już więc nastąpiła i Stachelski sądzi, że dziekan stchórzy przed walką otwartą, świadom swoich grzeszków i wiedzy Stachelskiego o nich.

Co do zaś samego zajścia w mowie Miętkiewicza, to ja osobiście nie zajmuję stanowiska, zajętego przez Miętkiewicza i Stachelskiego i cieszącego się sympatią garstki najbardziej uspołecznionych Kolnian. To, co w stosunkach kolneńskich jest już szczytem obywatelskiego uspołecznienia, jest w istocie jeszcze niemowlęctwem wolności obywatelskiej i demokratycznego stanowiska. Rozumiem ich oburzenie na księży, ale płynie ono z założenia, które jest głęboko niedemokratyczne, a może nawet nieobywatelskie, natomiast jest rdzennie klerykalne. Jest to bowiem założenie takie, że ksiądz jest niejako z przyrodzenia powołanym ojcem i kierownikiem społeczeństwa w sprawach obywatelskich i narodowych i że bez księdza nie ma nic. Księdzu przyznaje się tu rolę opiekuna i przewodnika, szczególny przywilej publiczny. Gniewa się nań nie za to, że sobie jakiś przywilej przywłaszcza, lecz przeciwnie – że go nie chce użytkować. Jak gdyby naród i lud bez tego przywileju i bez jego wykonywania przez księdza nie mógł się obejść. Gdy w istocie ksiądz, poza sferą swych bezpośrednich obowiązków w kościele, winien być tylko współrzędnym do ogółu obywatelem, lepszym lub gorszym, zależnie od swoich kwalifikacji i wartości. Być może, że na wsi polskiej stosunki w rozwoju demokratycznym są jeszcze tak spóźnione, że istotnie przywilej społeczny księdza jest jeszcze faktycznie olbrzymi i że masa ludu bez księdza nie ruszy, ale czy należy to na każdym miejscu sankcjonować? Czy raczej nie należy czasem stracić na masowości jakiegoś obchodu, zyskując na sile i wyrazistości pierwiastka obywatelskiej inicjatywy i samodzielności demokratycznej? Wszystko w Polsce od księdza się zaczyna i na nim się kończy. Od obchodu począwszy, a na Radzie Regencyjnej kończąc. Na wszystkim musi być pieczęć aprobaty katolickiej i klerykalnej. Od góry do dołu – to samo. Cóż się dziwić poczciwym ludziskom w Kolnie? Gniewają się na księdza, że zaniedbuje swego przywileju i poświęca dobro publiczne dla „złotego cielca”, jak żeby dobro narodowe istotnie się w tym przywileju mieściło – a zaniedbują do obchodu tego wezwać współobywateli Żydów, których przecie trzeba do obowiązków obywatelskich wobec wspólnej Ojczyzny – Polski wdrożyć.

17 października, rok 1917, środa
Dziś sąd pokoju wyjeżdżał na wizję miejscową do wsi Wanacji, położonej w gminie turośląńskiej. Chodziło o obejrzenie na miejscu spornych granic posiadania w sprawie z powództwa niejakich rodzeństwa Bałdygów przeciwko ogółowi gospodarzy tejże wsi o przywrócenie zakłóconego posiadania. Zakłócenie to wyraziło się w zburzeniu przez ogół gospodarzy Wanacji płotu, zagrodzonego przez Bałdygów. Pozwani twierdzili, że Bałdygowie, grodząc płot, przesunęli go na wspólne pastwisko całej wsi. Decyzja o dokonaniu wizji miejscowej zapadła jeszcze za dawnego sądu okupacyjnego; musiałem ją wykonać. W ogóle obecnie należy z bardzo wielką oględnością, tylko w wypadkach ostatecznej potrzeby, stosować wizję miejscową, ponieważ ten sposób sprawdzania dowodów jest w dzisiejszych warunkach lokomocji łącznie ze sprawą diet dla wyjeżdżających urzędników sądu bardzo kosztownym i przeto dla stron uciążliwym. Sąd wyjeżdża w komplecie złożonym z sędziego, dwóch ławników i sekretarza; dieta wynosi: dla sędziego – 20 marek, dla ławników po 8 marek i dla sekretarza 5 marek, furmanka zaś parokonna z Kolna do Wanacji, położonej o 18 wiorst – do 40 marek, pomimo że się jedzie większą część drogi doskonałą szosą. W sprawie zaś tej chodzi o spór zaledwie kilku, najwyżej kilkunastu łokci posiadania (nawet nie własności). Za cenę kosztów wizji można by prawdopodobnie własność owych spornych łokci nabyć. Gdyby nie kosztowność tego środka procedury, stosowałbym go jak najchętniej i jak najczęściej, bo to jedyna dla mnie okazja do wycieczek w głąb Puszczy, a więc do bezpośredniego poznania kraju i ludu.

Wyjazd był wyznaczony na godz. 7 ½ rano. Jechali ze mną ławnicy Stachelski i Remba oraz sekretarz Miętkiewicz. Wiózł nas mój gospodarz Józef Pikuliński, który sprzągł swojego konia z koniem, wynajętym od innego gospodarza. Doskonała szosa, zbudowana przez Niemców i będąca jednym z nielicznych prawdziwych dobrodziejstw czasów okupacyjnych – nabytek trwały dla kraju – prowadzi z Kolna na zachód w głąb Puszczy. Szosa ta przez Turośl, Dęby biegnie na Myszyniec. Wzdłuż szosy biegnie tor kolejki, która dowozi kamień i wszelki inny materiał do budowy drogi (na Puszczy, za Piszą, kamienia nie znajdzie nawet na lekarstwo) i po trochę też, w miarę swoich sił, co jest jednak znikomym ułamkiem leśnego wywozu z Puszczy, wywozi wyrobiony materiał leśny do Kolna, skąd eksportuje się on dalej do Prus koleją normalną. Gęsta mgła towarzyszyła naszemu wyjazdowi. Stopniowo zaczęła ona opadać, ale aż do samego przyjazdu do Wanacji nie opadła jeszcze całkowicie. Dopiero później nastał piękny dzień słoneczny. Ciepło było jednak, wiatru nie było wcale. Od Kolna do Piszy ciągnie się kraj bezleśny, wyłącznie rolniczy. O 3 kilometry za Kolnem – duża wieś Zabiele, największa w gminie Czerwone. Wieś ta liczyła 300 gospodarzy i posiadała dwie długie ulice przed zniszczeniem jej, jak mię informują towarzysze podróży. Kwitł tutaj handel końmi; drugim źródłem bogactwa Zabiela był torf, który ma być tu przedniego gatunku. Obecnie stara wieś od dwóch przeszło lat leży w gruzach. Zniszczyły ją doszczętnie pociski armatnie rosyjskie po cofnięciu się stąd Rosjan. Wśród gruzów odbudowały się dość gęsto nowe domy i osady ludzkie, ale ma to wygląd prowizoryczny. Dziś kwitnąca dawniej wieś zrujnowana jest nie tylko fizycznie, ale i gospodarczo. Zabielanie należą do uboższej ludności wiejskiej w okolicy; grunta są mało urodzajne, o handlu końmi nie ma mowy, inwentarz zniszczony; przednówek tegoroczny był dla Zabiela bardzo ciężki. O kilka kilometrów dalej – wieś Ptaki nad Piszą. Tu jest właściwej Puszczy granica. Tam, za Piszą, zaczyna się jej królestwo. Kurpie są i z tej strony Piszy; gmina Czerwone, cały lud dokoła Kolna – to już Kurpie; ale Puszcza dopiero za Piszą. Rzeczka jest dość szeroka, mało co węższa od właściwego łożyska Narwi pod Łomżą, niegłęboka, o brzegach płaskich. Jedziemy dalej. Lud już tutaj to nie tylko Kurpie, ale Puszczyki albo Puszczaki, jak ich tu różnie nazywają. Przy drodze dość często spotykamy bądź krzyże, bądź figury drewniane świętych na postumencie wysokim, jak krzyż polny, pod daszkiem w kapliczkowym stylu albo też w niszy specjalnej, rodzaju budki; figury te są malowane; przeważa kolor błękitny szat. Szosa przecina w kilku miejscach skrawki lasów puszczańskich, które na nią zachodzą jak macki i odnogi właściwego cielska Puszczy. Skrawki te jeszcze imponującego wrażenia nie robią, ale się już przeczuwa i wie początek Puszczy. Te skrawki leśne na razie nie są jeszcze zbyt gęste, raczej rzadkie, często rosochatego kształtu drzew, ale już sama sosna, nic innego. Jeszcze o kilka kilometrów – Turośl. Nie widzimy jej, niestety. Zostaje ona na lewo od szosy. Powstaje u nas krótka dyskusja: zajechać do Turośli czy nie zajechać? Przeważa decyzja: nie zajechać; uczestnicy wycieczki śpieszą do Wanacji, aby prędzej dokonać urzędowej czynności i wstąpić do Turośli dla pożywienia się w drodze powrotnej. Niestety – straciłem przez to może jedyną okazję poznania tej jednej z większych osad puszczańskich, bo gdyśmy wracali, była już noc i do Turośli nie było po co zajeżdżać. Głębokie piaski prowadzą od szosy w kierunku Turośli. W okolicach Turośli przecinamy Kanał Turoślański. Jedziemy szosą jeszcze dwa kilometry do wsi Cieloszki. Las coraz częstszy i coraz jednolitszy. Tu za Turoślą wjeżdżamy już w rdzeń Puszczy. W Cieloszce zbaczamy z szosy na drogę boczną do położonej o cztery kilometry Wanacji. Zaraz za Cieloszką – nagi szmat powalonej Puszczy. Tam, gdzie gęsto stały wspaniałe olbrzymy leśne, sterczą samotnie w dalekich odstępach zostawione nasienniki. Na ziemi zaś leży cała Puszcza. Co za bogactwo! Co za wspaniałe okazy sosen! Co to był za las! I jakaż tego ilość, co za gęstwina była! Cały

las leży powalony, nie sprzątnięty, ale z poobcinanymi już gałęziami. Zresztą gałęzi i sęków prawie nie było, same tylko korony na potężnych wyniosłych postumentach. Ile tego jest! Wspaniałe drzewo i wspaniały las. Była puszcza żywa, teraz leży istna puszcza trupów sosnowych. Czeka to zapewne sanny, aby być zwiezione na brzeg Piszy do wiosennego spławu. Tak na całej Puszczy, gdzie tylko był las dorosły, Niemcy zrąbali i zabierają drzewo do cna. Żal tego lasu. Ludność ocenia to na miliardy. Wszyscy tej Puszczy żałują: Kurpie – bo ją kochają, Żydzi – bo była nieprzebranym źródłem handlu. Dziś – leży Puszcza. Za tym szmatem powalonego lasu przejeżdżamy przez kawałki ślicznego jak subtelna poezja młodego lasu sosny. Nie ma tu w lasach innego drzewa, jak sosna. Wreszcie – wjeżdżamy do Wanacji. Śliczna wieś, położona kępami w gajach brzozowych i klonowych. Jesienne złotawe barwy klonów grają tonami bogactwa natury. Brzozy wysokopienne, jak w typowej okolicy leśnej. Domy w Wanacji typowe – z ornamentacją szczytów w kształcie krzyżów i jakby jakichś instrumentów; dachy wysokie i strome; wszędzie okiennice, również gdzieniegdzie zdobione. W Wanacji czeka nas robota i czeka cała wieś, roznamiętniona sporem, zebrana dokoła spornego gruntu. Urzędujemy w typowej izbie zamożnego Kurpia. Na ścianach obrazy, ozdoby, wianeczki, symboliczne jakieś pęki suszonych roślin, wstążeczki i wycinanki, zdobiące różne świętości, wazony na oknach, jakieś misterne ołtarzyki czy dekory narzędzi i symbolów dewocji na szafach i stolikach, na łóżku „kilim" 20-letni domowego tkania o świeżutkich barwach. Przesłuchujemy strony, zaprzysięgam świadków, idziemy dokonać oględzin. Kłótnia, krzyk, namiętność taka, jaka zawsze chłopów ogarnia, gdy o ziemię chodzi. Mityguję, wrzeszczę, ledwie wreszcie dochodzimy do ładu. Po wizji spisujemy protokół, kończymy formalności. I już zapada zmrok. Przez cały dzień nie mieliśmy nic w ustach i wracamy prosto do domu.

18 października, rok 1917, czwartek
Gdy na froncie zachodnim w Belgii szalona ofensywa angielska zadaje cięgi Niemcom, na froncie wschodnim Niemcy raz po raz osiągają sukcesy. Nie ma tu jednak ciągłej ofensywy niemieckiej, jeno co pewien czas jakiś pojedynczy energiczny krok, uwieńczony powodzeniem. Wszakże szereg tych pojedynczych sukcesów wiąże się w planową systematyczną akcję, kruszącą opór rosyjski i metodycznie opanowującą jeden z najpoważniejszych terenów wojny z Rosją – wybrzeża bałtyckie, sam Bałtyk i Inflanty. Takim wiązadłem z pojedynczych wielkich fragmentów były: zajęcie Rygi, zdobycie przyczółka mostowego pod Jakobstadtem i obecnie zajęcie wyspy Oesel. To ostatnie oddało Zatokę Ryską w posiadanie Niemców i zagrażając Rosjanom w Inflantach już nie tylko z południa od lądu, ale i z zachodu od wybrzeży, stanowi jednocześnie punkt wyjścia do ewentualnej akcji na Zatokę Fińską – na Kronsztadt, Rewel i Helsingfors. Strategicznie klęska Rosjan na wyspie Oesel jest bardzo poważna. Co do frontu zachodniego, to szalejąca tam nieustanna bitwa Anglików niewątpliwie daje im pewne sukcesy. Przewaga jest po ich stronie, ale opór niemiecki złamać się nie daje, a zdobycze w terenie mierzą się zaledwie na kilometry, nie dochodząc nawet do ich dziesiątków. Na pokój się nie zanosi, pomimo ciągłego wałkowania pokojowych zagadnień i usiłowań. Jedno tylko ewentualnie w kierunku pokoju zmierza: to coraz konkretniejsze formułowanie się tzw. celów wojennych obydwóch stron.
Gazety, które dziś z kilku dni przyszły, przynoszą doniosłą wieść: Rada Regencyjna jest już rzeczą dokonaną. Mianowanie regentów nastąpiło. Trójca regentów jest ta sama, o jakiej już wiadomo było z góry: ksiądz arcybiskup Aleksander dr Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski i Józef Ostrowski. Z powołaniem Rady Regencyjnej Polska zyskuje wreszcie pierwiastek władzy państwowej. Poza formalnym pierwiastkiem

suwerenności, pozyskanym w Radzie Regencyjnej, sam autorytet faktyczny tych trojga ludzi, tworzących Regencję, jest w narodzie polskim tak wielki, że chyba gwarantuje w istocie symbol na zewnątrz państwowości polskiej, ale, co ważniejsze, uznanie faktu tejże wewnątrz, w narodzie. Z Tymczasową Radą Stanu, złożoną z ludzi „nowych", ludzi, którzy w arystokratycznej i hołdującej tradycjom i ciągłości Polsce imponować nikomu nie mogli, w szerokich kołach mało się liczono i opozycja endecka mogła ją śmiało lekceważyć. Cały nimb uznania i sumisji, jakim koła polityczne aktywistów usiłowały na razie otoczyć Radę Stanu, by jej wyraz symbolu władzy państwowej nadać, rychło prysł; przeważyła bierność, niechęć do aktywizmu i brak istotnego autorytetu ludzi, którzy do Tymczasowej Rady Stanu weszli. I doszło do tego, że nawet ci, którzy na razie byli Radę Stanu uznali, nie robili z niej już sobie nic. Zeszła ona na szmatę, którą każdy pomiatał. Inaczej się rzecz ma z arcybiskupem Kakowskim i Zdzisławem Lubomirskim. Ich siła w narodzie, popularność i autorytet są takie, że drasnąć ich bezkarnie nie odważy się chyba nawet endecja na emigracji petersburskiej. I w stosunku do Niemców również panowie Kakowski, Lubomirski i Ostrowski mają taką niezależność, nie tyle formalną, bo tej w warunkach okupacji być nie może, ile naturalną, płynącą z ich stanowiska społecznego w Polsce, że za narzędzia powolne obcych celów użyć się nie dadzą, bo większą ma dla nich wagę ich w narodzie popularność i siła, niż to, co im Niemcy użyczyć mogą. Bardzo ciekaw jestem, czy teraz po powstaniu Regencji wypłynie znów na tory aktualne zagadnienie armii polskiej i jeżeli wypłynie, to jak zostanie załatwione. Przypuszczam, że w jakiejkolwiek formie sprawa ta jednak wypłynie i że będzie musiała być załatwiona nie w innej postaci, jak poboru rekruta. Sądzę jednak, że na wielką skalę rzecz ta załatwić się nie da. Nie myślę, żeby w drodze poboru powołano do tej armii więcej, niż jeden rocznik rekruta, co dać może koło 40 tysięcy żołnierzy. Nawet na tę liczbę kadra, jaką przedstawiają dziś resztki Legionów, jest za szczupła, a cóż dopiero na wielką armię. Niezależnie zresztą od braku kadry własnej, nie wierzę, żeby doszło do skutku powołanie dużej armii polskiej, mogącej liczyć z jakieś pół miliona wojska. Niemcy zgodziliby się na taką armię tylko w tym wypadku, gdyby mogli być pewni, że armia ta pójdzie z nimi ręka w rękę, będzie posłusznym narzędziem ich zadań i wystąpi szczerze do wojny z Rosją, czego znów Polska bynajmniej sobie nie życzy. Wiedzą o tym Niemcy dobrze, toteż wątpię, aby się z tym kwapili. Niemcy są aż nadto mądrzy na to, aby rozumieć, że dzisiaj armia narodowa wbrew woli ludu, wbrew popularnym nastrojom nie może być użytkowana. Na froncie nie tylko że nie ma z takiej armii pożytku, ale mogą być nieobliczalne straty; taka armia byłaby dla nich samych niebezpieczna. Natomiast wielkiej armii polskiej Polacy pragnęliby tylko o tyle, o ile pozostałaby ona w kraju na stopie neutralnej, nie biorąc udziału w wojnie i pozostając w zupełnej niezależności od Niemców. Na to znów nie wierzę, aby się zgodzili Niemcy. Powstanie na tyłach ich linii wojennej wielkiej niezależnej i neutralnej armii groziłoby im wprost katastrofą. Wiedzą oni, znając dobrze usposobienie Polaków względem Niemców, że armia taka, gdyby się poczuła silną, mogłaby pewnego dnia rzucić się na Niemców i nie tylko wypędzić ich z Królestwa, kasując fakt okupacji, ale jeszcze uderzyć z tyłu na ich walczące na froncie wojska, przełamać front, połączyć się z Moskalami i koalicją i zadać Niemcom istotnie „*un coup de grâce*" w tej wojnie. Niemcy byliby ostatnimi głupcami, gdyby się na wielką wolną armię polską zgodzić mieli. Tego po nich spodziewać się niepodobna. Egzamin mądrości życiowej zdali. Toteż nie wierzą w powstanie wielkiej kilkusettysięcznej armii polskiej przed zawarciem pokoju. Na wielką zaś armię zależną, niewolniczo ujarzmioną przez Niemców Polska się nie zgodzi nigdy. Nawet mała 40-tysięczna armia polska, choć będzie przez Niemców pilnie strzeżona i obstawiona gwarancjami, będzie dla nich niebezpieczna. Dziś bez armii polskiej żadna rewolucja

lub ruchawka w Polsce nie jest dla Niemców straszna i jest nawet niemożliwa. Gdyby wszakże było do rewolucji 40 000 uzbrojonych i wyćwiczonych żołnierzy, byliby oni w ewentualnej rewolucji czynnikiem już bardzo poważnym i dla Niemców groźnym. Nawet mała garstka Legionów – i ta wydawała się Niemcom niebezpieczna, gdyby miała się stać ośrodkiem, kością pacierzową, podług wyrażenia Piłsudskiego, rewolucji ludowej. Toteż gdy Niemcy zwęszyli te tendencje w Legionach, postarali się o ich zniszczenie, względnie usunięcie resztek.

19 października, rok 1917, piątek
Dzień sesji. Ławnicy: Stachelski i Remba. Sesja trwała od godz. 10 rano do godz. 6 wieczór z przerwą jednej godziny na obiad. Były trzy sprawy karne (kradzież, pobicie i obelgi), z których pierwsza odroczona, druga zasądzona skazaniem na areszt i trzecia zasądzona uniewinnieniem. Cywilnych spraw było pięć czy sześć. Co do spraw karnych, to jestem z nich zadowolony, co do cywilnych zaś – to, chociaż błędów, zdaje się, nie popełniłem, nie czuję z siebie zupełnie zadowolonym. Trafiły się wśród nich sprawy takie, zwłaszcza pierwsza, najgrubsza, o zwrot krowy, w których formalizm prawa nie jest zgodny ze sprawiedliwością zwyczajów i stosunków krajowego współżycia. W sprawie tej występował Goldberg i potrafił wyciągnąć od strony przeciwnej takie zeznania, które ze stanowiska prawnego zachwiały całkowicie jej prawo, chociaż prawo to odpowiadało słuszności. I mogło być inną drogą uzasadniane, gdyby tylko nie te zeznania, złożone naiwnie w nieświadomości ustaw w przypuszczeniu, że właśnie one pomogą. Z takim zjawiskiem w stosunkach chłopskich ma się bardzo często do czynienia. Chłopi są w sferze prawa jak dzieci. Ustawy w pewnych subtelnościach swoich nie odpowiadają pojęciom prawnym chłopów i stąd częste pomyłki. Chłop się nie może połapać w komplikacjach prawa formalnego i polegając li tylko na swoim poczuciu sprawiedliwości, pada bardzo często ofiarą strony zręczniejszej, która posługuje się biegłym w prawie adwokatem. Chłop jest w procesie nieraz jak człowiek ślepy lub jak zbłąkany w lesie. Instynktem wyczuwa niepewność swojej sytuacji i przeczuwa pułapki dokoła, których jednak ominąć nie umie. Wpada w nie, bo je zręczny łowca rozstawia. Są to częste wypadki, a zawsze dla mnie przykre w mojej praktyce sądowej. Podwójnie przykre, raz dlatego, że wyczuwam krzywdę i że mi żal biednej ofiary, a pomóc jej nie mogę, bo sędzia jest tylko sędzią i nie może się z pewną kategorycznością przepisów nie liczyć, choćby nieraz starał się interpretować je jak najliberalniej, czego zresztą pokrzywdzony chłop nie rozumie, czując tylko krzywdę swoją i widząc nagi fakt niesprawiedliwości, a po drugie dlatego, że w umyśle chłopów podkopuje się przez to zaufanie do sędziego i powstaje wrażenie, że to nie biegłość adwokata, ale jakaś protekcja, z której tenże korzysta, omalże nie zmowa sędziego z adwokatem stała się przyczyną jego niepowodzenia. Podobnie też może sądzić i strona wygrana, to znaczy wygrywający klienci adwokata. Gdy na jednej sesji w kilku sprawach się to wydarzy lub choćby w jednej, ale przy tym inne, w których tenże adwokat występuje, są, choć bez takiej krzywdy, zasądzone również na rzecz strony, posiadającej adwokata – a trzeba wiedzieć, że przy innych równych warunkach zawsze strona stawiająca adwokata ma względnie więcej szans wygrania – to w umysłach chłopów domniemanie jakiejś szczególnej siły adwokata w jego stosunkach z sędzią utrwala się na niekorzyść zaufania do publicznego wymiaru sprawiedliwości. Tak właśnie było dzisiaj, toteż pomimo że nie czuję popełnienia błędu, mam pewien niesmak do ubiegłej sesji.
Wczoraj miałem dwie kartki od Maryńki i kartkę od jej córki Ewy. Maryńka pisze, że wybiera się do mnie. Ma wpierw jeszcze pojechać do Bohdaniszek, a po powrocie stamtąd – do mnie. Z pewnością zbadała już, czy otrzyma pozwolenie na jazdę do

Kolna. Ciekawa rzecz, że, jak pisze Maryńka ze słów Jonasa Vileišisa, żadnej depeszy ode mnie Litewska Rada Krajowa nie otrzymała. Cóż się więc stało z tą depeszą, którą przed trzema tygodniami wysłałem? Została ona przez naczelnika powiatu zakwalifikowana do wysłania i na poczcie przyjęta. Jeżeli nie doręczono jej, to dlaczego mi jej nie zwrócono, skoro zwracane są listy wstrzymane przez cenzurę. Czyżby szła ona dłużej jeszcze od listów? Maryńka, również ze słów Vileišisa, z którym o mnie rozmawiała i któremu mój list ostatni pokazywała, pisze, że Litwini chcą mię zaprosić do Wilna, ale żadnej posady płatnej zapewnić nie mogą, wobec czego Maryńka mi przyjazd i porzucenie urzędu sędziego pokoju odradza. Rzeczywiście, z czego bym się tam utrzymał? Gdybym był przekonany, że już dziś nastała chwila do skutecznego działania mojego w Litwie, byłbym pojechał, mając pozwolenie, bez względu na środki utrzymania. Mam jednak wrażenie, że na razie jeszcze jest lepiej, że mię tam nie ma; przypuszczam, że przyjdzie jeszcze czas na mnie, w którym rzeczywiście będą mię czekać większe zadania w kraju. Wolę przyjść na ten czas, nie będąc ani skompromitowany, ani zużyty w obecnym trudnym okresie, w którym udział mój skutecznym by być nie mógł. Litwinom chodzi zapewne o ukompletowanie Rady Krajowej przedstawicielami mniejszości narodowych albo przynajmniej ich figurantami, powolnymi ich wymaganiom.

20 października, rok 1917, sobota
Ma więc Polska regentów. Jaka będzie ich działalność i jakie dalsze dzieje rozwoju państwowości polskiej w czasie wojny – rychło zobaczymy. Charakterystyczny jest fakt, że najwyższa władza odradzającej się Polski spoczęła w ręku arcybiskupa, głowy Kościoła katolickiego w Polsce, księcia, przedstawiciela jednego z najwyższych rodów arystokratycznych polskich i ziemianina, *leadera* obozu konserwatywnego. Na czele Polski stanął ksiądz i wielki pan, arystokrata. I okazało się, że dopiero kombinacja tych trzech elementów – arystokracji rodowej, szlachty ziemiańskiej i kleru – jest w Polsce tak mocna, że zdoła dźwignąć gmach państwowości i zapewnić autorytet dokonywanemu dziełu. Dopóki gmach ten był wznoszony ręką czerwonego Piłsudskiego, a później inteligencji burżuazyjnej, dopóty, choć w pewnych nielicznych kołach tu i ówdzie budziła się gorąca serdeczna wiara i miłość dla Sprawy, płynąca strugami ochotniczej krwi Legionów lub manifestująca wolę do wolności – wielka masa narodu nie tylko pozostała bierna, ale była raczej niechętna całemu dziełu, spoglądając nań jak na przedsięwzięcie niepoważne. Żadne wysiłki i ofiary nie poruszyły całej masy, nie spopularyzowały w powszechnej opinii narodu – Sprawy. Czynniki zachowawcze stały na uboczu, ostrożne, uważne. Przyglądały się pilnie wypadkom i nastrojom, zachowywały zimną rezerwę, sztywne, czekały, aż ich godzina wybije. Patrzyły na tragedię woli i czynu, obserwowały bierność ogólną, chwilami może z niepokojem śledziły rozpaczliwą konspirację czerwonych. Znając Polskę, mogli być spokojni. Wiedzieli z pewnością, że do steru ostatecznie przyjdą oni; że ani czerwoni, opierający się na garstce robotników, na ludowcach chłopskich, na młodzieży gorącej z P.O.W. i na żywych siłach Legionów, ani biały oportunizm inteligencki, operujący kompromisem bez oparcia o jakieś podłoże społeczne – nie spełnią zadania bez ich interwencji, nie dźwigną Polski, nie dokonają też przy tym tych przemian społeczno-narodowych, bądź w kierunku ludowo-rewolucyjnym, bądź w kierunku ideałów mieszczańskich, które z programów i założeń tych pionierów wolności płyną, a które mogłyby być groźne dla wszechmocnego jeszcze w Polsce klerykalizmu, arystokracji i szlachecko-ziemiańskiej kultury społecznej i narodowej oraz tradycji. I zaiste mieli rację. Wysiłki pionierskie tamtych zorały co prawda rolę, wydały kiełki wolności, ale się załamały same na całej linii, nie będąc w stanie doprowadzić dzieła do końca. I gdy

się załamały wszystkie, gdy doszły do kryzysu, do punktu martwego, z którego wyjścia o ich własnych siłach już nie było żadnego i gdy już zdawało się, że Sprawa tragicznie utknie w pół drogi i wszystko, co zaczęte, zmarnowane będzie, oczy wszystkich, których troska o Polskę gryzła, zwróciły się na czynniki zachowawcze, bo od nich już tylko mógł przyjść ratunek, by śpiącą moc narodu obudzić, piekło bezwładu opanować i państwo polskie tworzyć. Doczekały się czynniki zachowawcze dnia, w którym jako zbawcy Polski wystąpić na arenę narodowego czynu i ująć niepodzielnie ster sprawy publicznej mogą. Stają ochoczo. Konkurencji obawiać się nie potrzebują; nie potrzebują też liczyć się z jakąś możliwością podkopania ich wpływów, knowania rewolucyjnego itp. Mają aprobatę powszechną. Mają posłuch nawet tych, którzy są z natury ich wrogami, bo oto doczekali się chwili, gdy są faktycznie zbawcami zarówno sprawy publicznej, jak zawiązków dzieła tych, którzy z myślą przeciwko nim dzieło rozpoczęli. Rada Regencyjna jest triumfem klerykalizmu i arystokracji w Polsce. Niepodobna zaprzeczać talentów, wyrobienia politycznego i mądrości czynnikom zachowawczym w Polsce, toteż ich rządy mogą mieć trwałość i mogą bynajmniej nie być pozbawione zasług użyteczności publicznej. Ale że dokonywa się to kosztem demokracji polskiej, że jest to jednym z wielkich atutów uwstecznienia społecznego rozwoju ludu polskiego – to fakt. Rada Regencyjna jest bankructwem demokracji, jest dalszym logicznym etapem tej klęski demokratycznej, jaką była katastrofa Legionów. Z gruzów podnosiły Polskę czynniki ludowo-rewolucyjne, odrodzi zaś ją moc zachowawcza, która w szlachecko-katolickiej tradycji kultury narodowej jest wszechpotężną. Powiadają, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje. Jest to prawda. Polska jest do szpiku zachowawcza – arystokratyczna i klerykalna, toteż tylko te czynniki są w stanie ją podźwignąć. Jest to historycznej ciągłości konieczność. Ale w głębi nie ustanie zmaganie się dwóch potęg sobie przeciwnych – potęgi arystokratyczno-szlachecko-klerykalnej i demokratyczno-ludowej. Jeżeli w drodze rewolucyjnej nie doszło do demokratycznych i ludowych form rozwoju w Polsce, to tym ostrzejszy wybuchnie kiedyś kryzys rewolucji ludowej. Tylko że my jej już może nie doczekamy. Jakże inaczej kiełkuje i iści się idea państwowa ludowej odradzającej się Litwy.

21 października, rok 1917, niedziela
Rano w półśnie, kiedy to już człowiek nie śpi snem zupełnym, ale jeszcze, ociągając się wstać, na chwilkę się zdrzemnie i majaczy, przyśnił mi się sierżant Kosa, zafrontowy niegdyś naszego plutonu z czasów mojej kampanii na Polesiu Wołyńskim. Gdym się obudził, przypomniałem sobie, że dziś akurat dwuletnia rocznica jego śmierci w ataku na Jabłonkę. W takiż zimny pochmurny ranek jesienny na dalekich polach bagnistego Polesia zginąłeś, kolego, od kuli rosyjskiej. Dlaczegoś mi się akurat w rocznicę przyśnił, poległy rycerzu, towarzyszu mój? Niech ci lekką będzie ta ziemia smutnego Polesia, na której zginąłeś jako przybysz obcy. Nie o jej prawa walczyłeś wprawdzie i nie z Twojej mogiły płynąć będą promienie jej słońca. Nic z nią Ciebie nie wiąże w sferze ducha, prócz faktu śmierci Twojej i żadnego długu względem Ciebie ziemia ta, w której śpisz, nie zaciągnęła, ale gościnę, którą Ci w niej wojna wyznaczyła – Wieczystą Gościnę – winna Ci ona jako czystemu, jako dalekiemu bratu jej śpiących dzieci, rycerzowi, który ideę miał w sercu i siebie cicho w ofierze wielkiej miłości złożył. Cześć, sierżancie Koso!
Wieczorem byłem dziś „z wizytą” u jednego z ławników moich, Jerozolimskiego, Żyda. Rozumiejąc, jak wiele znaczy okazanie grzeczności, która mnie nic nie kosztuje, a która jedna ludzi i do więzów formalnego stosunku z urzędu dodaje cząstkę osobistą z serca, postanowiłem sobie do każdego z moich ławników, jako przyjezdny, zajść dla złożenia aktu grzeczności i uprzejmości towarzyskiej. O p. Stachelskim nie mam co mówić, bo u

niego często bywałem i często wstępuję, ale z takąż wizytą byłem u Remby i dziś u Jerozolimskiego. Tylko ławnika Kocika wizytować nie mogę, bo ten mieszka w odległej o 7 kilometrów od Kolna Wincencie nad granicą pruską. Ławnicy Żydzi są jeszcze wrażliwsi na taką wizytę, im złożoną, niż chrześcijanie, bo przywykli oni do pewnej niższości w traktowaniu ich przez chrześcijan. Toteż dla nich wizyta sędziego w ich domu jest aktem zaszczytu, który cenią wysoko. Że zaś we mnie nie czują żadnej dla siebie niechęci ani pogardy, żadnego cienia antysemityzmu, jeno zawsze stosunek ludzki, równy jak do wszystkich, więc sobie tym bardziej cenią taką wizytę z mej strony. Jerozolimski, który jest z zawodu zegarmistrzem, a za czasów pokoju handlował poza tym lasem, przyjął mnie bardzo gościnnie. Znalazł się „todres" (wódka) – doskonała pejsachówka, rybki po żydowsku smacznie przyrządzone, grube porcyjki chały i owoce. Pod koniec tej wizyty przyszedł także do towarzystwa i drugi ławnik żydowski, Remba. Gawędziliśmy oczywiście o drożyźnie i ciężkich czasach, wreszcie o sądzie naszym i niektórych sprawach, zarówno zasądzonych, jak będących w toku. Ławnicy moi – to typowi małomiasteczkowi Żydzi polscy. Są bardzo prawowierni, nabożni rytualnie i drobiazgowo, wszakże nie są chasydami, o co ich posądzałem. W szabas nie mogą się podpisywać, toteż gdy sesja piątkowa przeciąga się do wieczora, to już rezolucji i wyroków tego dnia nie podpisują, jeno przychodzą tego dopełnić w poniedziałek, a są tak pilni w przestrzeganiu obrzędowości, że gdy mają wypić kieliszek pejsachówki jako wódki, przyrządzonej rytualnie, to nakrywają głowę czapką. Na sąd i swoje ławnikostwo zapatrują się w dużym stopniu pod kątem widzenia geszeftu, bardzo dbają o ilość wypadającego im honorarium, sprawę wcielenia do naszego rewiru sądowego gmin Mały Płock i Gawrychy, o co się staram, traktują ze stanowiska ożywienia przez to handlu w Kolnie. Są między sobą bardzo solidarni, bo skrupulatnie dzielą się równo całym swoim honorarium, aby jednemu nie wypadło więcej od drugiego. Z tym wszystkim mają jednak duże poczucie społecznego honoru w pełnieniu przez nich funkcji ławników i w czynnościach sądowych są uczciwi; nic im zarzucić nie mogę pod tym względem. Co zaś do Remby w szczególności, to ten ma nawet bardzo wybitny zmysł prawa, wyrobiony zapewne na biegłości w subtelnej karnistyce Talmudu. Ze wszystkich moich ławników Remba najlepiej i najbystrzej się orientuje w zagadnieniach czysto prawnych. W ogóle są to porządni i uczciwi ludzie, prości i naiwni w swoim charakterystycznym obyczajowym typie. Są to typowe mieszczuchy; wrażliwi na opinię, uzgodnieni z nią do pedanterii; Remba nie umie odróżnić nawet brzozy od sosny; pomimo drożyzny obuwia za nic nie zdecyduje się sprawić swoim dzieciom obuwia o drewnianych podeszwach, dopóki zwyczaj ten się nie upowszechni w lokalnych stosunkach i dopóki przykład z góry od miejscowych potentatów i ludzi szanownych nie przyjdzie; z powodu Rady Regencyjnej nic innego go nie zajmuje, jak tylko obawa, że z pewnością kryje się pod tym zamiar Niemców powołania Polaków pod broń, wskutek czego i jego może także do wojska wezmą. U tych Żydów po małych miasteczkach w Polsce przerażający jest brak uobywatelnienia i uspołecznienia w kierunku państwowym czy krajowym. O ile są oni bardzo wysoce, bo aż do karykatury szlifierskiej uspołecznieni w ramach społeczności żydowskiej, a jeszcze ściśle swojej lokalnej żydowsko-miasteczkowej, o tyle są zupełnie obcy całości społeczności krajowej. Pewne przywiązanie do kraju jako do miejsca istnieje u nich i może być nawet dość rozwinięte mocno, ale poczucia obywatelskiego czynnego związku z krajem jako z historycznym kompleksem społeczno-kulturalnym – nie mają. Mam wrażenie, że pod tym względem stoją oni na poziomie jeszcze niższym, niż Żydzi litewscy i ruscy. U tamtych poczucie obywatelstwa państwowego jest silniej zaakcentowane, jeno nie w kierunku właściwego kraju Litwy albo Rusi, ale jednostki państwowej – Rosji. U Żydów polskich tego państwowego poczucia związku z Rosją nie ma, są oni może

więcej przywiązani do Polski, niż Żydzi litewscy do Litwy, ale w braku form prawno-państwowych czy publiczno-samorządnych w Polsce to przywiązanie jest czysto mechaniczne, nie ożywione ideą więzi obywatelskiej jako czynnej współpracy krajowej. I tu właśnie otwiera się wobec Polski zagadnienie żydowskie. Żydzi są w Polsce społecznością w społeczności. Polska ze zjawiskiem tym chce walczyć, ale zabiera się do tego albo metodą antysemityzmu (endecy), albo metodą żądania bezwzględnej asymilacji. Zdaje się, że ani jedna, ani druga metoda nie są wyłącznie słuszne. Natomiast na prowincji popełniają się w stosunku obywatelskim do Żydów bardzo grube błędy. Tak oto, na przykład, w Kolnie. Był obchód kościuszkowski. Żydzi byli od niego zupełnie wyłączeni. Miano pretensję do księży, że nie ujmują steru obchodu w swe wyłącznie ręce i z tego tytułu obdarzono dziekana mianem targowiczanina, a tymczasem Żydów umyślnie usunięto. Jakże więc? Jeżeli się ich usuwa, to się przez to samo sankcjonuje ich wyłączenie z dziejowego organizmu Polski jako kraju i państwa, to znaczy daje się placet na Judeo-Polskę, którą się w teorii zaciekle zwalcza. A przecie rocznica kościuszkowska może więcej, niż jakakolwiek inna, daje teren do ………. idei obywatelskiej między Żydami-Polakami w ciągłości dziejowej.

Michał Römer,
sędzia pokoju w Kolnie.
Kolno, 21.X.1917.